

# **Wolność i Solidarność**

STUDIA Z DZIEJÓW OPOZYCJI WOBEC KOMUNIZMU I DYKTATURY

*Wolność i Solidarność*

*Studia z dziejów opozycji wobec komunizmu i dyktatury*

ISSN: 2082-6826

**Rada Naukowo-Programowa:**

Anne Applebaum, Jerzy Eisler, Andrzej Friszke, Paweł Golak, Aleksander Hall,  
Jerzy Holzer, Basil Kerski, Jacek Kołtan, Ireneusz Krzemiński, Andrzej Paczkowski,  
Aleksander Smolar, Edmund Wnuk-Lipiński

**Redakcja:**

Andrzej Kaczyński, Jakub Kufel (sekretarz), Przemysław Ruchlewski,  
Jan Skórzyński (redaktor naczelny), Małgorzata Strasz

**Wydawca:**



**Adres Wydawcy:**

Europejskie Centrum Solidarności  
ul. Doki 1, 80-958 Gdańsk  
tel. (058) 767 79 71, fax (058) 767 79 78  
e-mail: [ecs@ecs.gda.pl](mailto:ecs@ecs.gda.pl)

**Projekt graficzny i skład:** Tatastudio

**Korekta:** Małgorzata Strasz

**Druk i oprawa:** Zakład Poligraficzny Normex

**Nakład:** 500 egzemplarzy

# SPIS TREŚCI

---

### 4 OD REDAKTORA

#### ESEJ

- 6 EDMUND WNUK-LIPIŃSKI 25 lat po przełomie

#### ANKIETA „WOLNOŚCI I SOLIDARNOŚCI”: POLSKI ROK 1989

- 11 KLAUS ZIEMER  
16 JERZY HOLZER  
17 ANDRZEJ PACZKOWSKI  
21 DAVID OST  
23 ANTONI DUDEK  
25 MAREK CICHOCKI  
27 ANDRZEJ FRISZKE

#### MIĘDZY DYKTATURĄ A DEMOKRACJĄ

- 31 PRZEMYSŁAW GASZTOLD-SEŃ Birma na zakręcie.  
Zmiany w Kraju Tysiąca Pagód 2007–2014

#### STUDIA

- 46 BARTOSZ KALISKI Sprawa nie tylko „tatarników”  
55 MACIEJ KOZŁOWSKI Historia jednego przypadku  
58 PAWEŁ SOWIŃSKI Z ziemi włoskiej do Polski  
74 EWA ŁEPKOWSKA Niepolityczni politycy.  
Etyczne aspekty współpracy środowisk opozycyjnych NRD i PRL

#### TADEUSZ MAZOWIECKI IN MEMORIAM

- 88 JERZY JEDLICKI Spotkania z Tadeuszem Mazowieckim  
96 RYSZARD BUGAJ Testament Mazowieckiego  
99 JAN SKÓRZYŃSKI Polityk dialogu

#### ARCHIWUM WOLNEJ MYŚLI

- 101 TADEUSZ MAZOWIECKI Chrześcijaństwo a prawa człowieka

#### EUROPA DYSYDENTÓW

- 114 LUDMIŁA ALEKSIEJEWĄ Ruch obrony praw człowieka  
w ZSRR (II)  
154 ANDRZEJ KRAWCZYK Opozycja przeciw komunizmowi  
na Słowacji

#### SYLWETKI

- 165 PAWEŁ SOWIŃSKI Walczący z bezprawiem

#### EX LIBRIS

- 171 PAWEŁ MACHCEWICZ Stalinizm z lotu ptaka  
175 ANNA MACHCEWICZ Portret niedokończony  
179 ANDRZEJ KACZYŃSKI Bydgoszcz '81  
184 TOMASZ WIŚCICKI Co wiemy o opozycji – a czego  
jeszcze nie  
189 MARCIN FRYBES Międzynarodowe kłopoty z Panną S  
194 ANNA MACHCEWICZ Polak o skośnych oczach  
197 NOTY O KSIĄŻKACH

---

# OD REDAKTORA

---

Dwadzieścia pięć lat, które minęło od upadku komunizmu w Polsce i odzyskania niepodległości, nie uśmierzyło kontrowersji wciąż wywoływanych przez ten historyczny proces i jego skutki. Spora część społeczeństwa nie przyjmuje do wiadomości, że odnieśliśmy historyczny sukces, zarówno w wymiarze indywidualnym, jak zbiorowym, choć twarde dane wskazują na zasadniczą poprawę jakości życia i zamożności obywateli. Polska wymyka się z pułapki zacofania, w którą wpędziły ją rządy komunistyczne, o czym pisze w swoim eseju Edmund Wnuk-Lipiński. Na tle wydarzeń na Ukrainie widać też wyraźnie rewolucyjną zmianę geopolitycznego położenia naszego kraju. Warszawie nie grozi dzisiaj scenariusz pełzającej reintegracji postsowieckiego imperium, jaki Moskwa stosuje wobec Kijowa.

Zaskakująco wielu ludzi ocenia jednak negatywnie skutki transformacji. Socjologowie obserwują, że choć w zasadzie Polacy pozytywnie oceniają zmiany zapoczątkowane w 1989 r., to wzrasta krytycyzm wobec porozumień Okrągłego Stołu. Rośnie liczba osób sądzących, że tamto porozumienie z władzą PRL było niepotrzebne, bo stary system i tak wkrótce by upadł. Równocześnie rośnie obojętność lub niewiedza o tym, co się wydarzyło 25 lat temu. Według najnowszych, przeprowadzonych w styczniu 2014 r. badań CBOS pozytywny stosunek do Okrągłego Stołu ma 42 proc., a negatywny jedynie 10 proc. Jednak blisko połowa deklaruje brak zainteresowania tą kwestią bądź nie potrafi jej ocenić. 41 proc. ankietowanych uważa, że choć sposób przeprowadzenia przemian w Polsce miał dobre strony, to ustępstwa wobec władzy były zbyt duże, a 11 proc. ocenia, że sposób zmian był zły, a ustępstwa w ogóle niepotrzebne.

Na ocenę wydarzeń z przeszłości w opinii społecznej ma bez wątpienia wpływ instrumentalne podejście polityków, którzy chętnie przykrawają historię do potrzeb walki z partyjną konkurencją. Nie służy to ani polityce, ani historii. Mimo sporego już dorobku profesjonalnych badaczy, dziesiątków książek i artykułów przedstawiających rzetelny obraz niedawnej przeszłości, w przestrzeni publicznej wygrywa historia fałszywa, tak jak w ekonomii, zgodnie z prawem Kopernika, fałszywa moneta wypiera dobrą. Wyssana z palca teoria o spisku z Magdalenki, powtarzana także przez ludzi z tytułami naukowymi, wydaje się cieszyć większym zainteresowaniem niż mniej efektowna prawda o z trudem wynegocjowanym kompromisie. „Wydaje się, że historyzujące interpretacje uwzględniające ówczesne warunki polityczne w chwili obecnej przegrywają z »narracją« ahistoryczną. Szczególnie ujawnia się to w opiniach młodych ludzi, starsze pokolenia mają bowiem

szansę pamiętać, że przekonanie o tym, co możliwe do osiągnięcia, było wówczas zupełnie inne, niż chcą późniejsi reinterpreterzy tego wydarzenia” – ocenia Krzysztof Pankowski z CBOS.

Dyskusja o wydarzeniach 1989 r. i polskiej drodze do wolności będzie nam zapewne jeszcze długo towarzyszyć, tak jak wciąż toczymy spory o powstanie warszawskie. Z okazji 25. rocznicy demokratycznej transformacji o zdanie na temat najważniejszych przyczyn i konsekwencji roku 1989 zapytaliśmy polskich i zagranicznych badaczy tego problemu – historyków, socjologów, politologów. W tym wydaniu „Wolności i Solidarności” przedstawiamy pierwszą partię odpowiedzi na naszą ankietę. Kolejne wypowiedzi, m.in. Jerzego Eislera, Jerzego Jedlickiego, Alaina Touraine’a, Andrzeja Zolla, opublikujemy w następnym numerze.

Przed podobnymi dylematami, co Polska 25 lat temu, stoi dziś Birma. Wojskowy reżim rozpoczął tam dialog z demokratyczną opozycją. Narodowa Liga na rzecz Demokracji została zalegalizowana i wzięła udział w częściowo wolnych wyborach do parlamentu, a jej przywódczyni Aung San Suu Kyi zawarła kompromis z rządzącymi generałami, licząc na dalsze reformy. Jaka była geneza birmańskiej odwilży i jakie są szanse

na demokratyzację Kraju Tysiąca Pagód – pisze Przemysław Gasztold-Señ.

W niniejszym numerze „Wolności i Solidarności” polecamy również drugą część historii rosyjskich dysydentów pióra Ludmiły Aleksiejewej (część pierwszą opublikowaliśmy w „WiS” nr 6). Jeden z początkowych epizodów dziejów polskiej opozycji przedstawia Bartosz Kaliski w monograficznym artykule o tzw. sprawie taterników. O początkach tej odważnej akcji przetrwania książek paryskiej „Kultury” przez Tatry opowiada jej inicjator Maciej Kozłowski.

Zmarli w ciągu minionego półrocza Tadeusz Mazowiecki i Zbigniew Romaszewski wywodzili się z różnych tradycji i mieli odmienne poglądy na szczegółowe kwestie polityczne. Mazowiecki to katolicki intelektualista, mistrz ucierania kompromisu, współtwórca porozumień z 1980 i 1989 r. Romaszewski to przede wszystkim człowiek czynu, organizator Biura Interwencyjnego KSS KOR i Radia Solidarność, bohater podziemia, zwolennik radykalnej strategii strajku generalnego. Choć często stali osobno, razem tworzyli historię Solidarności. Na łamach naszego piśma wspominamy ich obu.

*Jan Skórzyński*

---

## 25 LAT PO PRZEŁOMIE

---

### EDMUND WNUK-LIPIŃSKI

prof. socjologii, autor wielu prac z dziedziny socjologii polityki. Uczestniczył w rozmowach Okrągłego Stołu, był doradcą Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego. Był założycielem i pierwszym dyrektorem Instytutu Studiów Politycznych PAN, rektorem Collegium Civitas. Obecnie kieruje Instytutem Socjologii w Collegium Civitas. Ostatnio opublikował książki: *Świat międzyepoki. Globalizacja – demokracja – państwo narodowe* (2004), *Socjologia życia publicznego* (2005 i 2008).

Upadek komunizmu w Polsce nie był jednorazowym aktem ani – tym bardziej – znową elit (jak chcą wyznawcy rozmaitych teorii spiskowych). Fenomenowi tego nie da się też wytłumaczyć jednostronnymi analizami, w których absolutyzuje się rolę wybranego czynnika, ignorując działania pozostałych. Był to wielowątkowy, skomplikowany proces społeczny, napędzany całym splotem czynników niekiedy wywołujących efekt synergiczny, a kiedy indziej neutralizujących się wzajemnie. Czy wobec tego jesteśmy bezradni poznawczo i nie potrafimy wskazać – choćby w przybliżeniu – podstawowych przyczyn, które w końcowym rezultacie doprowadziły do przełomu? Nie jest tak źle. Godząc się na nieuniknione uproszczenia, można jednak analitycznie wykreślić pewną trajektorię zmian, których kumulacja doprowadziła do upadku komunizmu w Polsce, a następnie – na zasadzie kostek domina – wymiotła ten system z innych krajów bloku sowieckiego, by w końcu doprowadzić do kulminacji, którą był rozpad samego ZSRR.

Przede wszystkim warto zwrócić uwagę na fakt, iż komunizm – w odróżnieniu od nazizmu – trwał dostatecznie długo, by podlegać wewnętrznej ewolucji. Jeśli przyjmiemy założenie, że totalitarna faza tego systemu była jego modelową wersją, czy też Weberowskim typem idealnym, to musimy stwierdzić, że model ten nie trwał długo (gdy pominąć przypadek Korei Północnej). W Polsce zaledwie kilka lat – z grubsza od 1948 r., kiedy w wyniku wchłonięcia przez komunistów Polskiej Partii Socjalistycznej zlikwidowano resztki pluralizmu politycznego, do 1955 r., kiedy dały się zauważyć pierwsze oznaki odwilży. Tak więc komunizm, z którym mieliśmy do czynienia w latach późniejszych, był już inny. Juan Linz i Alfred Stepan określają ten system mianem dojrzałego posttotalitaryzmu<sup>1</sup>.

Erozji podlegała także ideologia komunistyczna, która w tamtym systemie spełniała niezwykle ważną rolę substytutu legitymizacji władzy. W tym wymiarze przełomem okazał się 1956 r. w Polsce i na Węgrzech. W Polsce zaowocował on rewizjonizmem (czyli zakwestionowaniem dogmatów ideologicznych), na Węgrzech – po krwawym rozprawieniu się przez Armię Radziecką z powstaniem – „gulaszowym komunizmem” (pragmatycznym odej-

<sup>1</sup> J. Linz, A. Stepan, *Problems of Democratic Transition and Consolidation. Southern Europe, South America, and Post-Communist Europe*, Baltimore – London 1996.

ściem od totalitarnych dogmatów ideologicznych, jeśli brak wiary w ideologię nie naruszał kierowniczej roli partii komunistycznej). Spóźnionym echem polskiego rewizjonizmu były próby wewnątrzsystemowej reformy komunizmu (budowa „socjalizmu z ludzką twarzą”) w Czechosłowacji w 1968 r., stłumione przez wojska Układu Warszawskiego. W rezultacie w Czechosłowacji nastąpiła „normalizacja” w stylu Gustáva Husáka, czyli cofnięcie się do dogmatycznej wersji systemu (choć naturalnie niedokładnie takiej samej jak w okresie stalinowskim). Pojawiła się także tzw. doktryna Breżniewa, która zawierała się w niewinnym na pozór zdaniu „Nie zostawimy naszych przyjaciół w biedzie”, a w istocie oznaczała polityczną podstawę siłowego tłumienia aspiracji wolnościowych na peryferiach imperium sowieckiego.

Dekada lat siedemdziesiątych zakończyła się w Polsce ciężkim kryzysem gospodarki centralnie planowanej. W 1979 r. nastąpił spadek dochodu narodowego, a tym samym zaczęła się rozwierać luka między aspiracjami konsumpcyjnymi społeczeństwa (wzbudzonymi zaciąganyymi na Zachodzie kredytami) a możliwościami niewydolnego systemu gospodarczego. Zawiedzione aspiracje mas – o czym przekonywał już Tocqueville w odniesieniu do rewolucji francuskiej – są potężnym czynnikiem zmian społecznych, bowiem wywołują powszechną frustrację.

W tym kontekście należy rozpatrywać wybór Karola Wojtyły na Stolicę Piotrową. Przywódcy komunistyczni, zarówno w Warszawie, jak i w Moskwie, zdawali sobie sprawę z politycznych problemów, jakie ten wybór może wywołać<sup>2</sup>, ale zapewne nie spodziewali się, że będą one brzemienne w aż tak poważne skutki. Tymczasem dla polskiego społeczeństwa wyniki konklawe były – jak mówią o tym niezliczone świadectwa – źródłem nowej nadziei na odmianę losu. Pielgrzymka Jana Pawła II do Polski – mimo zaniepokojenia Kremła – była nieunikniona, bowiem jej uniemożliwienie groziło wybuchem rozruchów na tle religijnym, które szalenie trudno byłoby wygasić.

Wizyta papieża w Polsce w 1979 r., zbiegająca się z otwartą już fazą kryzysu ekonomicznego, uruchomiła procesy, nad którymi władze komunistyczne nie były w stanie zapanować. Pominę czysto religijne aspekty (które oczywiście były nie bez znaczenia dla duchowego ożywienia znacznej części Polaków) i skupię się na konsekwencjach społecznych. Jan Paweł II, przyjeżdżając do Polski – *nolens volens* – naruszył trzy filary, na których wspierał się system komunistyczny. Po pierwsze przełamał izolację społeczną. Po drugie złamał obowiązujący w życiu publicznym kod dyskursu, kontrolowany przez cenzurę przewencyjną. Po trzecie wreszcie zaangażowanie dziesiątek tysięcy wolontariuszy uświadomiło Polakom potęgę oddolnej samoorganizacji poza strukturami komunistycznego państwa.

Wszystko to rok później przyczyniło się do powstania Solidarności. Tutaj jednak trzeba być możliwie precyzyjnym, aby uniknąć nieporozumień. Nie twierdzą, że pierwsza wizyta papieża w Polsce była bezpośrednią przyczyną powstania Solidarności. Pogląd taki – pojawiający się tu i ówdzie w piśmiennictwie – można bowiem łatwo zakwestionować, choćby przywołując przykłady odwiedzanych przez papieża niedemokratycznych krajów (Kuba, Nikaragua czy niektóre kraje afrykańskie), które nie weszły na ścieżkę demokratyzacji i respektowania praw człowieka. Doświadczenia z pierwszej pielgrzymki papieża do Polski zostały wprawdzie wykorzystane w procesie budowy masowego ruchu społecznego, ale sama pielgrzymka odegrała raczej rolę katalizatora niż bezpośredniej przyczyny. Potencjał zmiany istniał już wcześniej, a jego źródła można by zapewne poszukiwać w niespełnionych obietnicach konsumpcyjnych dekady Gierka.

Aby dopełnić listy czynników wewnątrz krajowych, które miały swój udział w doprowadzeniu systemu komunistycznego do upadku, wspomnieć należy o rozmaitych ugrupowaniach dysydenckich powstałych w Polsce w dekadzie lat siedemdziesiątych, zwłaszcza

<sup>2</sup> G. Weigel, *Świadek nadziei*, Kraków 2005, s. 355–360.

o Komitecie Obrony Robotników w Warszawie i gdańskich załączkach kontrolity w postaci Wolnych Związków Zawodowych i Ruchu Młodej Polski. Bowiem te właśnie środowiska dysydenckie nadały formę owemu potencjałowi zmiany, który ujawnił się latem 1980 r.

Pojawienie się Solidarności w życiu publicznym komunistycznego przecież kraju było ewenementem, który na dłuższą metę nie mógł trwać, bowiem autonomiczny w stosunku do władz ruch społeczny był całkowicie niekompatybilny z systemem. Coraz jaśniejsza stawała się alternatywa: albo Solidarność zmieni system, albo system zniszczy Solidarność. Pokusa ponownego zastosowania doktryny Breżniewa była duża. Z ujawnionych dzisiaj dokumentów wiemy, że od początku grudnia 1980 r. w stanie gotowym do inwazji na Polskę znajdowało się piętnaście dywizji sowieckich, dwie czechosłowackie i jedna wschodniemiecka<sup>3</sup>. Jednak w owym czasie prezydentem Stanów Zjednoczonych był Jimmy Carter, a jego doradcą do spraw bezpieczeństwa – Zbigniew Brzeziński, który doskonale znał polskie realia. Zdecydowana reakcja administracji Cartera prawdopodobnie powstrzymała inwazję, ale kryzys systemowy w Polsce się pogłębiał.

Stan wojenny nie zażegnał kryzysu, lecz wprowadził go w fazę utajoną. Solidarność wprawdzie została wypchnięta z życia publicznego do podziemia, ale nie została zniszczona. Operacyjnie stan wojenny się udał, jednak nie zdołał doprowadzić ani do osiągnięcia celów gospodarczych, ani też politycznych. Gospodarka coraz mocniej pogrążała się w kryzysie, a polityczne manewry ekipy Jaruzelskiego (Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego czy Rada Konsultacyjna, do której weszło kilka opozycyjnie nastawionych osób) nie przyniosły spodziewanych skutków; podziemna Solidarność – choć osłabiona – dla większości społeczeństwa nadal była ważnym punktem odniesienia przy formowaniu własnych postaw.

Tymczasem w połowie lat osiemdziesiątych na Kremlu zaszła istotna zmiana. Gerontokratyczne

rzędy partyjnych starców ustąpiły miejsca dynamicznemu Michaiłowi Gorbaczowowi, który zapragnął tchnąć nowe idee w skostniały system, przegrawszy ze Stanami Zjednoczonymi wyścig technologiczny. Polityka pierestrojki i *glasnosti* postawiła pod znakiem zapytania nie tylko doktrynę Breżniewa, ale także stosowany nieformalnie, choć szeroko, substytut legitymizowania się władzy komunistycznej w Polsce („jeśli nie polscy komuniści, to będą radzieccy”).

Fakt ten zasadniczo zmienił warunki brzegowe możliwych scenariuszy rozwoju sytuacji w Polsce. Pojawiła się szansa systemowej alternatywy, choć możliwości jej realizacji były raczej mgliste. Niemniej jednak pozbawienie Jaruzelskiego istotnego instrumentu panowania, jakim był straszak doktryny Breżniewa, prawdopodobnie zmusiło władze komunistyczne do rozejrzenia się za planem awaryjnym. Mogło nim być jedynie pójście na kompromis z solidarnościową kontrolitą.

Kiedy doszło do rozmów Okrągłego Stołu, nikt nie zdawał sobie w pełni sprawy z konsekwencji systemowych. Komunizm w modelowej, czyli totalitarnej, formie nie negocjuje swojego istnienia z opozycją, lecz ją likwiduje. Ale system, który pod koniec lat osiemdziesiątych istniał w Polsce, daleki był od ortodoksji modelowej; instytucjonalną podstawę władzy stanowiła armia, a nie partia. Ekipa Jaruzelskiego miała świadomość, że koniecznych reform gospodarczych nie da się przeprowadzić bez przyzwolenia społecznego, a tego nie uzyska się bez kompromisu z solidarnościową kontrolitą. Z kolei strona solidarnościowa przystępowała do rozmów bez nadmiernych oczekiwań, lecz jeden cel nie podlegał dyskusji: ponowne wejście w przestrzeń życia publicznego, czyli przywrócenie Solidarności statusu organizacji legalnej.

Jednak wybory 4 czerwca 1989 r. zasadniczo zmieniły sytuację polityczną. Ich plebiscytowy charakter sprawił, że władza komunistyczna utraciła ostatnie pozory legitymizacji. Wszak kandydaci PZPR nie zdo-

<sup>3</sup> A. Lubowski, *Zbig. Człowiek, który podminował Kreml*, Warszawa 2011, s. 230.



łali wygrać nawet w tzw. obwodach zamkniętych (wojsko i milicja), co było dla starej elity władzy wyraźnym sygnałem, że „opcja siłowa” jest skrajnie ryzykowna i może zakończyć się wojną domową. Wprawdzie elita ta utrzymywała przez jakiś czas pozory kontrolowania sytuacji, o czym świadczyć mogło powierzenie tworzenia rządu Czesławowi Kiszczakowi, ale po fiasku jego misji przełom był już nieunikniony. To był koniec starego systemu w Polsce. Usunięcie polskiego składnika z bloku sowieckiego tak dalece naruszyło jego stabilność i było tak silnie wzorotwórcze, że w kolejnych krajach na obrzeżach imperium system zaczął upadać, ale agonia trwała jeszcze dwa lata. Dopiero po nieudanym puczu Janajewa i rozwiązaniu Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego w 1991 r. można było z całym przekonaniem stwierdzić, że światowy system komunistyczny przestał istnieć.

Dziś, gdy patrzymy na tamte wydarzenia z perspektywy ćwierćwiecza, warto uświadomić sobie przynajmniej dwa fakty, które umykają naszej uwadze pod naporem bieżących i na ogół błahych konfliktów politycznych. Po pierwsze, od czasu I Rzeczypospolitej Polska nie przeżywała tak długiego okresu pokojowego rozwoju. Mamy w kraju skonsolidowaną demokrację. Wprawdzie pojawiają się na publicznej scenie siły nacjonalistyczne, które chciałyby tę konsolidację naruszyć, a może nawet obalić demokrację (jak wynika z deklaracji liderów nurtów narodowych, otwarcie atakujących „republikę okrągłostołową”), ale – przynajmniej na razie – nie zyskują one znaczącego poparcia społecznego.

Po drugie, kiedy kontrolita solidarnościowa obejmowała władzę i odpowiedzialność za kraj dwadzieścia pięć lat temu, polska gospodarka była w stanie rozpadu, przestarzała infrastruktura z trudem spełniała podstawowe wymogi eksploatacyjne (a i to nie zawsze), a wykształcenie Polaków oraz ich standard życia były na żenująco niskim poziomie. Polska

dźwiga się z upadku z zadziwiającą skutecznością, a wymykanie się z pułapki zacofania wyraźniej widać z zagranicy niż ze środka. Produkt krajowy brutto podwoił się, spadła wyraźnie śmiertelność niemowląt i wydłużyła się średnia długość życia. Poziom scholaryzacji polskiego społeczeństwa podniósł się z niespełna 10 proc. w 1990 r. do ponad 40 proc. w 2011 r.<sup>4</sup> Zatem wszystkie najistotniejsze wskaźniki poziomu cywilizacyjnego poszły zdecydowanie do góry. Nasze granice są bezpieczne, a kraj znajduje się w korzystnych strategicznie sojuszach gospodarczych, militarnych i politycznych (Unia Europejska i NATO). To wszystko zaliczyć trzeba do niewątpliwych sukcesów minionego ćwierćwiecza. Na tle innych krajów regionu, które miały zbliżony punkt startu, wypadamy dobrze, a w niektórych wymiarach nawet bardzo dobrze. Trochę to nie pasuje do głęboko zakodowanego w naszej tradycji przekonania, że wprawdzie chcemy dobrze, ale albo nam się nie udaje, albo też inni nie pozwalają rozwinąć nam skrzydeł. Toteż zdecydowana większość Polaków – w odróżnieniu od obserwatorów zagranicznych – skłonna jest te dane lekceważyć lub traktować jako przejaw propagandy sukcesu czy wręcz zaktamowanie rzeczywistości.

Nie oznacza to, rzecz jasna, że radykalne zmiany społeczne w aspekcie awansu cywilizacyjnego miały wyłącznie pozytywny przebieg. Ponieważ jestem socjologiem, skupię się jedynie na niepokojących zjawiskach, które tkwią w samej tkance społecznej i nic nie wskazuje na to, by miały niebawem wygasnąć. Najbardziej dramatycznie przedstawia się kwestia zaufania społecznego. Według badań CBOS zaledwie 23 proc. Polaków darzy współrodaków zaufaniem<sup>5</sup>, a w badaniach zespołu prof. Janusza Czapińskiego wskaźnik ten jest jeszcze niższy, bo oscyluje wokół 10 proc.<sup>6</sup> Niski poziom zaufania społecznego (jeden z najniższych w Europie) podwyższa koszt wszystkich transakcji, psuje codzienne relacje z bliźnimi,

<sup>4</sup> *Szkolnictwo wyższe w Polsce*, Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego, Warszawa 2013, s. 3.

<sup>5</sup> *Zaufanie społeczne. Komunikat z badań*, CBOS, Warszawa 2012, s. 1.

<sup>6</sup> *Diagnoza społeczna 2013. Warunki i jakość życia Polaków*, red. J. Czapiński, T. Panek, Rada Monitoringu Społecznego, Warszawa 2013, s. 294.

a także stanowi żyzną glebę do rozkwitu postaw skrajnie partykularnych. Cierpi na tym oczywiście konieczne w każdej wspólnocie dbanie o dobro wspólne, które – jak wiadomo – nie jest prostą sumą dóbr partykularnych.

Drugim niekorzystnym zjawiskiem, tym razem wywołanym przede wszystkim przez klasę polityczną, jest głębokie pęknięcie wspólnoty narodowej z grubsza wedle sympatii partyjnych, a zwłaszcza sympatii dla dwóch największych partii: Prawa i Sprawiedliwości oraz Platformy Obywatelskiej. W warunkach demokratycznych różnicowanie się preferencji partyjnych jest czymś naturalnym. Jednak w Polsce podziały te są o wiele głębsze niż zwykłe różnice preferencji politycznych. Są one na tyle głębokie, że wytwarzają fundamentalnie odmienne opisy i interpretacje rzeczywistości społecznej; to, co w jednym opisie jest sukcesem, w opozycyjnej interpretacji jest klęską; to, co w jednej narracji jest pracą na rzecz dobra wspólnego, w narracji alternatywnej jest wybitnym szkodnictwem. Podziały te są tak intensywne, że niemożliwe jest ustalenie pewnego minimalnego zestawu dobrze zdefiniowanych interesów narodowych, co do których panowałaby powszechna

zgoda. Żywi te podziały nie tyle odmienność programów, ile głęboka wzajemna niechęć, a nawet nienawiść, czyli bardzo silne emocje, które zostawiają niewiele miejsca na kompromis i myślenie w kategoriach dobra całej wspólnoty. Tak intensywne emocje z pewnością spowalniają nasz rozwój, i to nie tylko dlatego, że konsumują energię społeczną, która z większym pożytkiem mogłaby zostać wykorzystana na osiągnięcie celów pozytywnych. Również dlatego, że sukcesy Polski pod rządami jednych partii są interpretowane jako klęska przez inne partie, znajdujące się akurat w opozycji. To jest niewątpliwa porażka, zwłaszcza jeśli uwzględnimy fakt, iż dzięki międzyludzkiej solidarności (która była przeciwieństwem relacji obecnie dominujących w życiu publicznym) udało się przetrwać opresję stanu wojennego i doprowadzić do upadku komunizmu.

Niemniej jednak w sumarycznym bilansie naszej radykalnej zmiany postkomunistycznej saldo jest zdecydowanie dodatnie. I jeśli nie pojawią się jakieś poważne zaburzenia społeczne, które mogłyby zepchnąć nas z korzystnego kursu rozwojowego, to z umiarkowanym optymizmem można patrzeć w przyszłość.

# ANKIETA „WOLNOŚCI I SOLIDARNOŚCI”

## POLSKI ROK 1989

W roku dwudziestopięciolecia transformacji demokratycznej poprosiliśmy polskich i zagranicznych badaczy – historyków, politologów, socjologów, a także obserwatorów życia publicznego – o odpowiedź na dwa pytania:

1. Jakie były główne siły sprawcze upadku komunizmu w Polsce?
2. Jakie są największe sukcesy i najistotniejsze niepowodzenia polskiej transformacji na tle innych krajów Europy Środkowo-Wschodniej?

W obecnym numerze publikujemy pierwszą część nadesłanych odpowiedzi. Część druga w następnym wydaniu „Wolności i Sprawiedliwości”.

### KLAUS ZIEMER

1. Ustrój komunistyczny załamał się w Polsce z wielu powodów. Od samego początku brakło mu demokratycznej legitymizacji. W odczuciu znacznej części społeczeństwa rządu komunistyczne zostały narzucone z zewnątrz. Polacy, z ich historyczną i kulturową tożsamością, poczuli się do związków nie z imperium sowieckim, lecz z Zachodem. Komunistyczna ideologia położyła się cieniem na pewnym etapie polskiej historii. Jednak istniała w Polsce długa tradycja oporu przeciwko państwu postrzeganemu jako twór obcy, a kolejne ostre kryzysy systemowe (lata 1956, 1970, 1980–1981) osłabiały legitymizację komunistycznych rządów.

Naprzeciw komunistycznej partii stał Kościół katolicki, od dziesięcioleci strzegący tradycyjnego systemu wartości przed niszczącym wpływem propagandy PZPR. Wybór Jana Pawła II w 1978 r. wzmocnił pozycję Kościoła, ale też siłę społeczeństwa, którego celem były demokracja i prawa człowieka.

Ekipa Edwarda Gierka podjęła próbę modernizacji polskiej gospodarki, importując nowoczesne technologie i zaciągając zachodnie kredyty. Represje po protestach przeciwko zaplanowanym podwyżkom cen detalicznych dały w 1976 r. początek zrazu nielicznej, ale strategicznie ważnej opozycji, złożonej z intelektualistów i robotników, co było wydarzeniem bez precedensu w skali całego bloku wschodniego. Powstał załączek społeczeństwa obywatelskiego dążącego do przywrócenia społeczeństwu dziedzin życia publicznego, takich jak kultura, które partia próbowała objąć monopolistyczną kontrolą.

---

politolog i historyk, profesor na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego. W latach 1998–2008 dyrektor Niemieckiego Instytutu Historycznego w Warszawie. Najnowsze publikacje: *Totalitarian and Authoritarian Regimes in Europe. Legacies and Lessons from the Twentieth Century*, red. J.W. Borejsza, K. Ziemer (2006), *Pojednanie i polityka. Polsko-niemieckie inicjatywy pojednania w latach sześćdziesiątych XX wieku a polityka odprężenia*, red. F. Boll, W. Wysocki, K. Ziemer (2010), *Das politische System Polens. Eine Einführung* (2013).

Lokalne strajki w lipcu i sierpniu 1980 r., wywołane powszechnym niezadowoleniem z powodu pogłębiającego się kryzysu gospodarczego, nabrały bardziej politycznego charakteru, kiedy w połowie sierpnia dołączyła Stocznia Gdańska. Protest szybko ogarnął znaczną część Wybrzeża, a strajki solidarnościowe objęły inne ważne centra przemysłowe, aż po śląskie zagłębie węglowe. Świadome swej słabości kierownictwo PZPR przystało na główne żądanie strajkujących, czyli utworzenie niezależnych i samorządnych związków zawodowych. Ustępstwo to, jaskrawo sprzeczne z komunistycznymi pryncypiami, oznaczało ideologiczne bankructwo, po którym partia nigdy się już nie podniosła.

Szesnaście miesięcy legalnego istnienia Solidarności odcisnęło głęboki ślad w świadomości społeczeństwa, które było jednak podzielone w jej ocenie. Jako jedyna obok Kościoła niekontrolowana przez partię organizacja o ogólnokrajowym zasięgu była Solidarność ruchem społecznym jednoczącym różne polityczne nurty i opcje, które przetrwały mimo dziesięcioleci komunistycznego monopolu i cenzury. Solidarność reprezentowała autentyczne tradycje narodowe i polską tożsamość, często silnie związaną z wartościami religijnymi, przeciwko całkowicie zdyskredytowanemu rządowi komunistycznemu. Jednak gdy Solidarność i PZPR znalazły się w patowej sytuacji, a w kraju narastał bezład, znaczna część społeczeństwa zaakceptowała wprowadzenie 13 grudnia 1981 r. przez gen. Jaruzelskiego stanu wojennego jako mniejsze zło.

Jaruzelski nie miał szerokiego planu rekonstrukcji systemu politycznego, zyskania poparcia społecznego i przede wszystkim uniknięcia gospodarczej zapaści. Dla utrzymania kontroli nad społeczeństwem potrzebował współpracy Kościoła katolickiego – również w społecznie ważnych dziedzinach, jak dyscyplina pracy. Znaczna część duchowieństwa popierała jednak solidarnościowe podziemie.

Polskie reformy, m.in. powołanie (etapowo w latach 1982–1985) Trybunału Konstytucyjnego, spotkały się z ostrą krytyką bardziej ortodoksyjnych sąsiadów, w tym NRD, jako niezgodne z doktryną marksizmu-leninizmu. W Związku Radzieckim w epoce Gorbaczowa wzbudziły zainteresowanie, choć miały dość technokratyczny charakter i nie poprawiały ogólnej sytuacji kraju. Także podejmowane od 1986 r. próby wciągnięcia do współpracy skłonnej do tego części opozycji (m.in. utworzenie Rady Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady Państwa, tj. gen. Jaruzelskim) okazały się kolejnym przykładem paternalistycznego traktowania społeczeństwa przez kierownictwo partii.

Ogromnym problemem była dramatycznie pogarszająca się sytuacja ekonomiczna kraju. Klęska rozpisanego w listopadzie 1987 r. referendum, które miało legitymizować bliżej nieokreślone i niegwarantujące skuteczności reformy (była to jedyna porażka wyborcza, do jakiej przyznały się kiedykolwiek komunistyczne władze), a także fala strajków w maju i sierpniu 1988 r., które zakończyć można było jedynie z pomocą nielegalnej Solidarności, dowodziły, że komunistyczne władze Polski zabrnęły w ślepy zaułek. Zarazem strajki te i sposób ich zakończenia dowiodły niezwykłej siły opozycji, jaką zapewniła jej ścisła współpraca intelektualistów i robotników.

Okoliczność zewnętrzna – rezygnacja ZSRR z doktryny Breżniewa, a więc koniec strachu przed interwencją – umożliwiła próbę rozwiązania, na jaką nie poważył się dotąd żaden kraj rządzony przez komunistów: polityczną demokratyzację według południowoamerykańskiego lub południowouropejskiego modelu. Liberalna frakcja autorytarnego

establishmentu i liberalny odłam opozycji uzgodniły przy Okrągłym Stole wspólne zasady politycznej demokratyzacji w ściśle określonym okresie od 4 do 6 lat. Dla opozycyjnych elit był to początek demokratycznej przebudowy państwa, rządzący natomiast wierzyli, że zachowają kontrolę nad tym procesem i utrzymają władzę.

Nieoczekiwana skala zwycięstwa Solidarności w wyborach w czerwcu 1989 r. zainicjowała dynamiczny proces, którego nikt przy Okrągłym Stole nie przewidział. Polska wkroczyła na drogę nie „demokratyzacji”, ale całkowitej transformacji ustrojowej i demokracji. Umożliwiła to godna podziwu odpowiedzialność, jaką wykazały się wówczas zarówno stare, jak i nowe elity. Deklarowanym oficjalnie wspólnym mianownikiem było dobro kraju, ale żadna ze stron nie mogła liczyć na łatwą akceptację kompromisu we własnym obozie. Nomenklaturowa prywatyzacja końca lat osiemdziesiątych umożliwiła establishmentowi przejmowanie własności państwowej, dzięki czemu ludzie władzy stali się zamożniejsi, a więc mniej zainteresowani przeciwstawianiem się radykalnym przemianom ładu polityczno-ekonomicznego. Większość społeczeństwa przyjęła sukces wyborczy Solidarności z entuzjazmem ułatwiającym zaakceptowanie porozumień Okrągłego Stołu, zwłaszcza gdy nieoczekiwanie premierem został niekomunista. W październiku 1989 r. rząd Tadeusza Mazowieckiego popierało około 80 proc. społeczeństwa. Sukces Solidarności wieszczył zwycięstwo społeczeństwa obywatelskiego nad komunistycznym państwem. Jednak drugie miejsce w wyborach prezydenckich 1990 r. populisty znikąd Stanisława Tymińskiego było niewątpliwym dowodem słabości społeczeństwa obywatelskiego po dziesięcioleciach monopolistycznej władzy komunistów.

Polska łagodna rewolucja umożliwiła pokojowe obalenie komunistycznych rządów. Spowodowało to efekt domina i upadek komunistycznych reżimów w sąsiednich krajach Europy Środkowej (mur berliński, aksamitna rewolucja w Czechosłowacji), a w dalszej kolejności także na południowym wschodzie i wschodzie Europy. Nigdzie w Europie Środkowej zmiany nie przebiegały tak, jak w Polsce, gdzie udział we władzy zachowały dawne elity (prezydent, resorty spraw wewnętrznych i obrony). Z czasem ujawniły się negatywne skutki tego rozwiązania.

**2.** W minionym ćwierćwieczu III Rzeczpospolita zbudowała stabilny, demokratyczny ustrój polityczny. Konstytucja z 1997 r. dowiodła, że Polacy kumulują instytucjonalne doświadczenie, wprowadzono np. potrzebne do zdymisjonowania rządu konstruktywne wotum nieufności (w latach 1989–1997 premier zmieniał się co rok, Polska mogła w tym śmiało konkurować z Włochami). Wzmocniło to pozycję prezesa rady ministrów i ustabilizowało relacje rządu z parlamentem. Konstytucyjne rozwiązania okazały się trwałe. Przez ponad piętnaście lat konstytucję poprawiono tylko dwa razy, i to w kwestiach raczej drugorzędnych, jak możliwość ekstradycji w określonych warunkach polskich obywateli i sądenia ich przez międzynarodowe trybunały oraz utrata pewnych uprawnień przez skazanych za przestępstwa ścigane z oskarżenia publicznego. Polski system parlamentarno-prezydencki przewiduje mniej więcej taki sam podział władzy między parlamentem, prezydentem i rządem jak w większości krajów środkowoeuropejskich.

Pewną słabością tego ustrojowego rozwiązania było niejasne rozgraniczenie kompetencji prezydenta, premiera i szefa MSZ w dziedzinie polityki zagranicznej. Problemu tego nie

rozwiązało do końca orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego z 2009 r. Brak ścisłej współpracy między prezydentem, premierem i ministrem spraw zagranicznych może odbijać się niekorzystnie na polityce zagranicznej państwa. Dawało to znać o sobie w kłopotliwy sposób w latach 2007–2010, podczas kohabitacji prezydenta Lecha Kaczyńskiego z rządem premiera Tuska.

Konstytucja z 1997 r. zapewniła równowagę między demokracją przedstawicielską a elementami demokracji bezpośredniej. Ta pierwsza dominuje, ale dopuszczalne są, także na szczeblu krajowym, oddolne inicjatywy ustawodawcze, które wielokrotnie odniosły sukces, mimo że droga do ich zatwierdzenia przez parlament najeżona jest przeszkodami.

Za łagodną transformację ustrojową musiała Polska zapłacić cenę. Niewykonalny okazał się czechosłowacki wariant dekomunizacji, przewidujący najpierw pięcioletni, a potem nawet dziesięcioletni zakaz zajmowania stanowisk publicznych przez funkcjonariuszy partii aż po szczebel powiatu i dzielnicy, bo w Polsce aż do lipca 1990 r. ważne ministerstwa (spraw wewnętrznych, obrony narodowej) pozostawały w rękach dawnych członków PZPR, a gen. Jaruzelski był prezydentem do grudnia 1990 r. Wątek lustracji, czyli sprawdzenia, czy dana osoba współpracowała z komunistycznymi tajnymi służbami, wypłynął już podczas „wojny na górze” latem 1990 r. i powrócił w kampanii wyborczej 1991 r. Jednak do skompromitowania idei lustracji przyczynił się niefortunny sposób jej przeprowadzenia przez ministra spraw wewnętrznych Antoniego Macierewicza, który w czerwcu 1992 r. opublikował listę czterystu domniemych tajnych współpracowników, obejmującą m.in. prezydenta państwa, czterdziestu senatorów i wielu innych wysokiej rangi polityków. Przez następne lata temat lustracji prowokował ostre kontrowersje, które sięgnęły zenitu w 2006 i 2007 r., za rządów Jarosława Kaczyńskiego. Część uchwalonych wówczas ustaw została unieważniona przez Trybunał Konstytucyjny. W latach 2005–2010 ujawniane teczki z archiwum Instytutu Pamięci Narodowej służyły dyskredytowaniu osób publicznych. Niełatwe okazało się też rozliczenie z komunistyczną przeszłością przez pociągnięcie do odpowiedzialności funkcjonariuszy, którzy w przeszłości łamali prawa człowieka. Dopiero w 2008 r. zniesiono przysługujące członkom aparatu emerytury specjalne.

W transformacji socjalistycznej gospodarki nakazowo-rozdzielczej w system rynkowy Polska była pionierem na skalę nie tylko Europy Środkowej, ale i świata. Leszek Balcerowicz wykorzystał szansę, jaką dało ogromne poparcie dla rządu Mazowieckiego, by wdrożyć terapię szokową wiążącą się z wysokimi kosztami społecznymi. O ile wskaźniki makroekonomiczne (wzrost PKB, ograniczenie hiperinflacji) poprawiały się względnie szybko, o tyle na wzrost na poziomie mikroekonomicznym (dochód realny) czekać trzeba było do połowy lat dziewięćdziesiątych. W odróżnieniu od Niemiec Zachodnich, Austrii i Włoch po drugiej wojnie światowej w Polsce (podobnie jak w innych krajach regionu) przez pierwsze piętnaście lat po 1989 r. rozwój społeczno-ekonomiczny odczuwany na poziomie indywidualnym nie przyczyniał się znacząco do legitymizacji nowego, demokratycznego porządku. Dopiero w 2009 r. w sondażu CBOS wyraźna większość (56 proc. „tak”, 12 proc. „nie”) uznała, że przemiany po 1989 r. przyniosły więcej korzyści niż strat zwykłym ludziom (proporcje te wynosiły 24 proc. do 37 proc. w 1999 r. i tylko 15 proc. do 55 proc. w 2001 r.). Powodem tej radykalnej zmiany nastawienia mógł być szeroki strumień dotacji, które popłynęły do Polski po jej przystąpieniu do Unii Europejskiej w 2004 r.



W dobie światowego kryzysu gospodarczego trwającego od 2008 r. Polska radzi sobie znakomicie. W 2009 r. była jedynym krajem Unii, który odnotował wzrost PKB. Zdecydowała o tym architektura ładu ekonomicznego stworzona tuż po 1989 r. i potwierdzona konstytucją z 1997 r., m.in. niezależność banku centralnego od rządu i nieprzekraczalny pułap długu publicznego w wysokości 60 proc. PKB, którego pilnują instytucje państwa, w tym Najwyższa Izba Kontroli. Słabą stroną w tym pozytywnym ekonomicznym bilansie jest stosunkowo wysoka stopa bezrobocia, sięgająca pod koniec 2013 r. 13,4 proc. Byłaby ona nawet wyższa, gdyby nie setki tysięcy zwykle młodych, wysoko wykwalifikowanych Polaków emigrujących za pracą do Niemiec, na Wyspy Brytyjskie, do Skandynawii i innych krajów Unii Europejskiej. Wielu nie wraca, co oznacza drenaż mózgow i zaostrza problemy demograficzne kraju.

W odróżnieniu od niektórych krajów Europy Środkowej Polska nie weszła jeszcze do strefy euro. Na razie jest to dla niej korzystne. Jednak większość ważnych decyzji Unii podejmują kraje euro. Polska doświadczyła tego gorzko za swojej prezydentury w 2012 r. Z zadania tego wywiązywała się doskonale, niemniej nie brała udziału w podejmowaniu pilnych decyzji dotyczących kryzysu euro. Żeby wyjść z unijnego „zewnątrznego kręgu”, Polska musi wprowadzić euro. Nastrożona to jednak poważnych problemów wewnętrznych, m.in. wymaga poprawienia konstytucji, zgodnie z którą polskim pieniądzem jest złoty. Niezbędna będzie zgoda opozycyjnego Prawa i Sprawiedliwości, które domaga się w tej sprawie referendum, a kolejne sondaże wskazują, że znaczna większość społeczeństwa jest przeciwna euro.

W początkach transformacji podziały polityczne organizowały się wokół systemu wartości i tożsamości kulturowej. System partyjny, który od tamtego czasu ewoluował, przechodząc liczne przeobrażenia, nie jest niestety w stanie przekładać tych podziałów na język interesów ekonomicznych. Podziały partyjne przeobraziły się w kulturowe, podkreślające rolę tożsamości narodowej skontrastowanej ze społeczeństwem obywatelskim. Główna partia opozycyjna, która reprezentuje jedną ze stron i cieszy się poparciem jednej trzeciej elektoratu, kwestionuje prawomocność III Rzeczypospolitej, a porozumienie Okrągłego Stołu nazywa spiskiem komunistycznych elit i części przywódców Solidarności mającym na celu ocalenie PRL. Partia ta domaga się dekomunizacji, lustracji i ustalenia źródeł majątku nowych elit gospodarczych. Ukształtowało to kulturę polityczną zdominowaną przez ostre podziały i dyskurs publiczny, w którym nienawiść łatwo bierze górę nad dialogiem.

Kościół katolicki, który jesienią 1989 r. święcił szczyty społecznej popularności, mimo postępującej sekularyzacji zachował silną pozycję, zwłaszcza kiedy porównamy Polskę z większością krajów Europy Zachodniej. Po 1989 r. szybko okazało się, że znany na Zachodzie, propagowany przez warszawskich i krakowskich intelektualistów „katolicyzm otwarty” to mniejszość, a główny nurt Kościoła ma narodowe i klerykalne oblicze. Już w 1994 r. amerykański socjolog José Casanova postawił ważne pytanie: ponieważ polskie społeczeństwo obdarzyło uznaniem państwo, to czy Kościół katolicki zrezygnuje z rywalizacji z nim o miano symbolicznej reprezentacji narodu? Opowie się za autonomicznym społeczeństwem obywatelskim czy za jednorodną, narodowo-katolicką wspólnotą? Większość episkopatu skłania się ku drugiemu wariantowi, który promuje postawy zbudowane na tożsamościach formowanych przez system partyjny.

Polska stała się integralną częścią zinstytucjonalizowanego Zachodu. Niemcy są dziś jej głównym gospodarczo-politycznym partnerem, a między oboma społeczeństwami doszło do pojednania. W relacjach ze Stanami Zjednoczonymi Polska, jak uważa Cornelia Frank, ewoluowała przez ostatnie dziesięć lat od pozycji „instynktownie atlantyckich” ku „atlantyckości zeuropeizowanej”. Poparcie dla członkostwa w Unii Europejskiej nieco spadło w ostatnich latach, ale nadal plasuje się na najwyższym europejskim poziomie. W oczach wschodnich sąsiadów z Ukrainy, Białorusi, Rosji i innych krajów, których setki tysięcy pracują w Polsce legalnie i nielegalnie, jest ona oknem wystawowym Zachodu, dowodem na to, że demokratyczna i rynkowa transformacja jest możliwa.

Są oczywiście istotne problemy, jak utrzymujące się zróżnicowanie regionalnego rozwoju i poziomu dochodów. Polska cierpi na te same bolączki co kraje Europy Zachodniej (służba zdrowia, problemy demograficzne itp.). Ogólny bilans polskiej transformacji jest jednak imponujący.

## JERZY HOLZER

historyk i politolog, w latach 1954–2000 pracownik naukowy, od 1989 r. prof. w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego, od 1990 r. również w Instytucie Studiów Politycznych PAN, 1990–2006 kierownik Zakładu Studiów nad Niemcami, 2000–2004 dyrektor Instytutu. Od 2005 r. prof. w Collegium Civitas. Czynny w opozycji demokratycznej od 1977 r. W 1989/1990 r. doradca Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego do spraw międzynarodowych, 1989–1993 przewodniczący Forum Polsko-Niemieckiego, od 1989 r. członek prezydium Polsko-Niemieckiej Komisji Podręcznikowej. Autor wielu książek, m.in. *Mozaika polityczna Drugiej Rzeczypospolitej* (1974), *„Solidarność” 1980-1981*. *Geneza i historia* (w obiegu niezależnym, 1983), *Komunizm w Europie* (1998), *II wojna światowa. Europejska tragedia XX wieku* (2004), *Polska i Europa* (2007), *Europa Wojen 1914-1945* (2008), *Europa zimnej wojny* (2013).

1. Siły sprawcze miały zarówno charakter wewnętrzny, jak międzynarodowy. W zakresie wewnętrznym można z kolei wymienić względy ekonomiczne, ideologiczne i polityczne. W gospodarce wystąpiło ostre załamanie stabilizacji i rozczarowanie po próbie modernizacji w pierwszym pięcioleciu rządów ekipy Gierka. Pojawiło się przekonanie o trwałej niezdolności gospodarki komunistycznej do osiągnięcia równowagi i zmniejszenia dystansu do krajów zachodnioeuropejskich.

W parze z problemami gospodarczymi, choć nie tylko w związku z nimi, szło załamanie podstaw ideologii komunistycznej. Komunizm nie był już drogą do wspaniałej przyszłości, a rezygnację z zapowiedzi podkreślała formuła „realnego socjalizmu”. Ewidentne stało się podważenie dogmatu o przodującej roli klasy robotniczej w systemie, bo w dobie wielosetmilionowej Solidarności przodującą rolę w proteście odgrywali robotnicy. Załamał się równocześnie inny dogmat, o narodzie skupionym wokół partii. Już przed powstaniem Solidarności dogmat ten został naruszony masowym udziałem ludności w pielgrzymce papieskiej do Polski.

Wreszcie wyraźny stał się polityczny kryzys systemu, wewnętrzna słabość partii jako instrumentu sterowania społeczeństwem. Wynikało to zarówno z masowości partii, poddawanej emocjom środowisk opozycyjnych (struktury poziome itp.), jak szerokich w partii zjawisk konformizmu, korupcji i bierności. Zmuszało to komunistyczne władze do wysunięcia wojska i aparatu bezpieczeństwa na główne miejsce w systemie.

Polski kryzys ujawnił zarazem słabość w międzynarodowym centrum europejskich systemów komunistycznych – w Związku Radzieckim. Oznaki tej słabości występowały już wcześniej, a przywódcy radzieccy świadomi byli porażki gospodarczej i technologicznej w zimnej wojnie. Było to ważnym powodem ich dążeń do zahamowania wyścigu zbrojeń. Wydarzenia w Polsce stały się jednak bezprecedensową defensywą sowiecką. Inaczej niż w poprzednich kryzysach (NRD 1953, Węgry 1956, Czechosłowacja 1968) w Moskwie nie



zdecydowano się na szybką i brutalną interwencję. Głównym powodem była obawa przed zerwaniem pokojowej stabilizacji bloków i wznowieniem wyścigu zbrojeń.

Trzeba jednak dodać, że kwestia Polski była tylko jednym z elementów stymulujących politykę Gorbaczowa od 1985 r. i nie najważniejszym. Decydujące znaczenie miała dla polityki radzieckiej porażka w zimnej wojnie, w tym przegrana w walce o wpływy w Trzecim Świecie. Pierestrojka była końcówką i w sumie najważniejszą siłą sprawczą przemian w całym bloku komunistycznym, a więc i w Polsce.

**2.** Największym sukcesem przemian w Polsce był ich pokojowy przebieg, który stanowił zresztą wzorzec dla przemian w innych krajach komunistycznych, z wyjątkiem Rumunii i Jugosławii.

Wielkim sukcesem był proces transformacji gospodarczej. Mimo ciężarów, jakie doraźnie spadły na znaczną część ludności, był on w warunkach uprzedniej skrajnej destabilizacji ekonomicznej optymalnym rozwiązaniem. Sukcesem było zapoczątkowanie dla Polski (i doprowadzenie później do końca) procesu integracji północnoatlantyckiej i europejskiej.

Za największą porażkę uważam brak dostatecznej pracy wyjaśniającej sytuację i możliwości Polski, w rezultacie czego znaczna część ludzi jest przekonana o silnych negatywnych konsekwencjach transformacji. Porażką jest też stopniowe narastanie wewnętrznej wrogości politycznej, przekraczającej normy demokratycznego współzawodnictwa i w znacznej mierze karmionej lustracją, słabo kontrolowaną i uzasadnioną bardziej bieżącymi interesami niż potrzebami merytorycznymi.

## ANDRZEJ PACZKOWSKI

**1.** Upadek komunizmu jako systemu państwowego nie był fenomenem lokalnym, tzn. polskim, ani nawet regionalnym, choć nastąpił we wszystkich komunistycznych państwach Europy Środkowo-Wschodniej. Był zjawiskiem globalnym: objął Związek Sowiecki i jego pozaeuropejskie państwa satelitarne, a także Jugosławię, w której system komunistyczny cechował się wprawdzie znacznymi odmiennościami od sowieckiego pierwowzoru, ale należał do tej samej rodziny ideologicznej. Wymagałoby osobnej analizy, której oczywiście nie potrafię dokonać, ale uderzające jest to, że komunizm przetrwał – z mniej (Kuba) lub bardziej (Chiny) znaczącymi zmianami – w zasadzie tylko poza Europą, w krajach na ogół (z wyjątkiem Kuby) dłużej lub krócej znajdujących się poza sowiecką strefą wpływów i zależności. Można by z tego wyciągnąć wniosek, że europejskie podłoże cywilizacyjne, na którym przecież powstały i ideologia komunistyczna (marksizm), i pierwsze państwo na niej zbudowane (Rosja bolszewicka), okazało się odporne i ostatecznie odrzuciło jeśli nie ideologię jako taką – bo są wciąż na Starym Kontynencie komuniści – to opierające się na niej struktury ustrojowe.

Fakt, iż upadek systemu komunistycznego przybrał tak znaczne rozmiary geograficzne, w oczywisty sposób utrudnia wskazanie szczególnych powodów, dla których upadł on

prof., historyk, pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN. Zajmuje się w szczególności historią polityczną Polski po drugiej wojnie światowej. Autor wielu książek, m.in. *Pół wieku dziejów Polski 1939-1989* (wydana również po węgiersku, czesku, chorwacku i angielsku), *Stanisław Mikołajczyk czyli kłeska realisty. Zarys biografii politycznej* (1991), *Od sfalszowanego zwycięstwa do prawdziwej kłeski. Szkice do portretu PRL* (1999), *Wojna polsko-jaruzelska. Stan wojenny w Polsce 13 XII 1981 – 22 VII 1983* (2006); współautor dzieła *Czarna księga komunizmu. Zbrodnie, terror, prześladowania* (1999). Członek rad naukowych kilku instytucji, m.in. Rady Europejskiego Centrum Solidarności oraz Rady Instytutu Pamięci Narodowej.

w Polsce. Można przecież powiedzieć, że skoro nie ma go dziś ani w Rosji, ani w Rumunii, ani w Mongolii, to widać musiał upaść, a jeśli tak się stało, to zapewne były jakieś przyczyny generalne, wykraczające poza polskie doświadczenie z komunizmem. Nie powinniśmy się zatem ograniczać do upatrywania w tym zjawisku jedynie cech polskiego zaplecza kulturowego czy wyróżnika w postaci szczególnie wrogiej postawy Polaków wobec ideologii komunistycznej i komunistycznego państwa.

Przywoływałem już kilkakrotnie w różnych miejscach wypowiedź Jamesa B. Conanta, prezydenta Uniwersytetu Harvarda, który w 1950 r. – w trakcie jednej z amerykańskich debat nad strategią wobec Związku Sowieckiego – stwierdził, że jeśli nie wybuchnie wojna światowa, to „współzawodnictwo między naszym [tj. amerykańskim], dynamicznym, wolnym społeczeństwem a ich [tj. sowieckim], statycznym i zniewolonym, powinno zakończyć się na naszą korzyść”. Uznał jednocześnie, że do 1980 r. Związek Sowiecki ulegnie bałkanizacji, czyli rozpadowi. Jakkolwiek zdecydowana większość sowietologów umacniała się z czasem w przekonaniu, że komunistyczne supermocarstwo jest czynnikiem trwałym („wiecznym”), to jednak co najmniej od końca lat siedemdziesiątych zdawano sobie sprawę z tego, że znalazło się ono w fazie głębokiego kryzysu ekonomicznego, który tym samym obejmuje (lub obejmie) cały system jego państw satelickich. Wydaje mi się zatem, że poszukiwanie przyczyn upadku komunizmu w Polsce należy umieścić w szerszej, globalnej perspektywie, aczkolwiek byłoby nieostrożnością traktowanie prognozy prof. Conanta w sposób deterministyczny. Bardziej poprawne jest chyba twierdzenie, że system komunistyczny w wydaniu sowieckim powinien upaść z przyczyn (nazwijmy je roboczo) cywilizacyjnych, ale nie znaczy to, że upaść musiał. Nie musiał, gdyż mimo wszystko wykazywał pewną elastyczność i miał potencjał autoregulacyjny, który ujawniał się kilkakrotnie (np. w 1956 r. lub w trakcie praskiej wiosny). Potencjał ten nie osiągał fazy faktycznej implementacji nowych projektów systemowych, jednak Związek Sowiecki lat siedemdziesiątych czy osiemdziesiątych różnił się od tego z lat trzydziestych nie tylko tym, że pojawiły się telewizory i broń jądrowa.

Trawestując znane stwierdzenie Lenina o Rosji jako „najstałym ogniwie w łańcuchu państw imperialistycznych”, można powiedzieć, że Polska była (okazała się) najstałym ogniwem wśród państw komunistycznych. Dowody na to są aż nadto oczywiste, co nie znaczy, że równie oczywiste są tego przyczyny, a więc czynniki endogenne, nadające wydarzeniom w Polsce osobliwą na tle innych państw dynamikę wewnętrzną. W poszukiwaniu ich sięga się niekiedy po konfederację barską, insurekcję kościuszkowską bądź XIX-wieczne powstania narodowe. Nie jest to całkowicie pozbawione sensu, jednak nie mieści się w obrębie mojej refleksji nad przeszłością.

Było zapewne wiele wyróżników (odmienności) polskiej wersji komunizmu, importowanego – jak gdzie indziej w tej części Europy – ze Związku Sowieckiego. Dwa z nich wydają się mieć szczególne znaczenie. Jednym była skłonność Polaków do zbiorowych i spontanicznych protestów na tle ekonomicznym (strajki), generacyjnym (wystąpienia młodzieży) oraz wyznaniowym (obrona obiektów i symboli wiary). Stąd wzięty się owe słynne „polskie miesiące”, a także – choć to z trochę innej sfery – masowe uczestnictwo w obrzędach religijnych o otwartym charakterze (pielgrzymki, procesje). Drugim wyróżnikiem, występującym po 1956 r., było odstąpienie od realizowania – niektórych tylko, ale

ważnych – założeń ustrojowych, a przede wszystkim względnie liberalny (przyzwalający) stosunek do instytucji wyznaniowych (Kościoła katolickiego) oraz mniejszy niż wynikałoby to z sowieckiego wzoru nacisk na uniformizację kultury (w szerokim tego terminu znaczeniu). Można do tego dodać zaprzestanie forsowania kolektywizacji wsi.

Czynniki te zapewne wzajemnie na siebie oddziaływały. Pochopność Polaków do zbiorowych protestów mogła skłaniać władze do uznania autonomii Kościoła, który bywał przydatny jako moderator, a także do respektowania większego niż gdzie indziej zakresu swobód intelektualnych i artystycznych. Z kolei względny liberalizm władz obniżał barierę strachu, a więc sprzyjał wzbudzaniu protestów i niezależnym postawom. Oba te czynniki wpływały też na zaistnienie dodatkowych elementów składających się na słabość polskiego ognia, przede wszystkim charyzmatycznego przywódcy Kościoła w osobie prymasa Stefana Wyszyńskiego; zwielokrotnieniem efektu było pojawienie się w 1978 r. „słowiańskiego papieża”, wieszczonego prawie półtora wieku wcześniej przez Juliusza Słowackiego.

W 1980 r. w warunkach lęku władzy przed zbiorowym buntem, który skłaniał ją do pomiarkowania i odstąpienia od interwencji z użyciem przemocy, doszło do swoistej kumulacji motywów sprzeciwu wobec systemu i do niekontrolowanego rozprzestrzeniania się protestu. Po doświadczeniach z lat 1956, 1970 i 1976 przybrał on nową formę: strajku okupacyjnego. Stan ten został zwieńczony powstaniem Solidarności, a więc instytucjonalizacją buntu, która była możliwa dzięki przyjęciu przez rządzących strategii „mniejszego zła”, zaproponowanej przez Edwarda Gierka 29 sierpnia na posiedzeniu Biura Politycznego. „Aczkolwiek przesadne byłoby stwierdzenie – pisałem swego czasu – że [władza] uważała się i dyktat za jedyne remedia, można bez obawy o popełnienie błędu stwierdzić, że gdy tylko zawodziły inne środki [...] aplikowała siłowe rozwiązania”, czyniła zaś to „nie bez wahań, ale z pełnym przekonaniem, które wspierało się o resztki ideologicznych przesądów, interes grupowy i swoiście rozumiany, defensywny patriotyzm polegający na obronie »ojczyzny takiej jaka jest«, tzn. państwa socjalistycznego i zależnego”. Ten konglomerat przekonań wiódł PZPR od jednego „mniejszego zła” do kolejnych, którymi były zarówno wprowadzenie stanu wojennego, jak i podpisanie umów Okrągłego Stołu. Innymi słowy: nie tylko Polska Gierka, ale także Polska Jaruzelskiego pozostała najstabszym ogniwem, a w rezultacie w połowie lat osiemdziesiątych władza wciąż obawiała się odruchów społecznych i realizowała (by sparafrazować słynne określenie upowszechnione przez Jadwigę Staniszkis) samoograniczającą się kontrewolucję.

W pierwszych latach po wprowadzeniu stanu wojennego miarkowanie się władzy wynikało w dużej mierze z tego, że nie zdołała ona wyjść z ekonomicznego dołka (choć wyplątała kraj z zapaści lat 1981–1983) i trwale ograniczyć poziomu społecznego niezadowolonia, które stanowiło paliwo dla opozycji. Ta zaś, wykorzystując samoograniczenie się ekipy Jaruzelskiego, utrwaliła swój byt na poziomie nieporównanie wyższym niż istniejący przed pojawieniem się Solidarności. Bez sięgnięcia do instrumentarium z czasów stalinowskich – łącznie z wypowiedzeniem wojny Kościołowi, a więc i Watykanowi – zniszczenie opozycji było praktycznie niemożliwe. Jakkolwiek sama Solidarność została bardziej niż zdziesiątkowana, gdyż z dawnych 9 mln zostało zapewne „tylko” parędziesiąt tysięcy bardziej aktywnych osób, to jednak opozycja pozostała stałym elementem życia publicznego i miała możliwości wzrostu. Znaczną rolę w tym wszystkim odgrywało stanowisko

Zachodu, a przede wszystkim Stanów Zjednoczonych, które ochoczo wykorzystywały sytuację zaistniałą po 13 grudnia, aczkolwiek nikomu w Waszyngtonie (nie mówiąc o Paryżu, Bonn czy Londynie) nie przychodziła do głowy ewentualność jakiegokolwiek bezpośredniej ingerencji w Polsce. Moskwa zaś, sama znajdująca się w stanie daleko idącego rozchwiania – w czym swoją rolę odgrywała biologia, wysyłając pod mur kremlowski kolejnych genseków – zadowolala się Jaruzelskim, była też usatysfakcjonowana tym, że „polska zaraza” się nie rozprzestrzeniła. Przynajmniej w widoczny sposób, bo to, co ludzie w Lipsku czy Bratysławie myśleli, nie było ważne, dopóki nie zaczęli działać.

Można więc chyba powiedzieć, że mimo wprowadzenia stanu wojennego i osiągnięcia przez władze minimalnego poziomu „normalizacji” istniało w Polsce bardzo mocne podglebie dla zasadniczych zmian ustrojowych w postaci opozycji i nastrojów znacznej (może nawet większej) części społeczeństwa. W PZPR zaś tkwił pewien potencjał reformatorski, którego aktywacja byłaby możliwa, gdyby zmieniły się np. zewnętrzne okoliczności, a działania podejmowane zgodnie ze sprawdzonymi (negatywnie) metodami „dalszego doskonalenia” nie przynosiły efektów. I tak też się stało, gdy w Związku Sowieckim po objęciu władzy przez Michaiła Gorbaczowa (wiosna 1985) podjęto nie tylko – zrazu nader nieśmiało – próby reform, ale także (co było pewnie ważniejsze) próbę dokonania zmian w polityce globalnej, w tym uznano, że w stosunkach z krajami satelickimi „poprzednie metody już nie uchodzą” – jak 3 lipca 1986 r. stwierdzono na posiedzeniu Biura Politycznego KPZR. Biorąc pod uwagę sytuację w Polsce i pragmatyczno-cyniczną politykę Jaruzelskiego, nie dziwi, że jako pierwszy zgłosił się on do Gorbaczowa z propozycją współpracy na polu reform.

Niezależnie od tego, jak określimy stanowisko zajmowane przez Jaruzelskiego i kogo uznamy za prawdziwego inicjatora podjęcia w Polsce reform idących dalej i głębiej niż wszystkie dotychczasowe, nastąpił moment (a raczej okres), w którym polska specyfika – przede wszystkim istnienie silnej opozycji i niezależnego Kościoła – wpisała się w czynnik globalny, wskazany tak ogólnikowo przez prof. Conanta w 1950 r. W dodatku wpisała się jako faktor aktywny i w dużym stopniu samodzielny, tzn. nie czekający na sugestie i wskazówki, ale od pewnego momentu – co najmniej od lata 1988 r. – torujący drogę innym.

Bez zinstytucjonalizowanego nacisku i bez trwałego lęku przed odruchami społecznymi zapewne nawet najstabsze ogniwo by nie pękło. Godzi się jednak do tej analizy włączyć przejawy korozji, która ujawniła się także w innych ogniwach, takie chociażby jak strajki w Rumunii (listopad 1987), powstawanie niezależnych ugrupowań w Bułgarii (od stycznia 1988), demonstracje uliczne w Pradze (sierpień 1988), protesty przeciwko sfalszowaniu wyborów w Lipsku (maj 1989), powstawanie opozycyjnych partii politycznych na Węgrzech (od jesieni 1987). Wszystko to odbywało się zasadniczo pod wpływem pierestrojki i wydarzeń w Związku Sowieckim, a nie tego, co działo się w Polsce, ale do uruchomienia jesienią 1989 r. efektu domina przyczyniło się niewątpliwie i bezpośrednio rozwarcie się najstabszego ogniwa: pozytywne zakończenie obrad Okrągłego Stołu, uznanie przez PZPR (i przez Moskwę) wyników wyborów 4 czerwca oraz stworzenie koalicyjnego rządu Tadeusza Mazowieckiego. W styczniu 1990 r. podobne rządy koalicyjne istniały już od Rodopów po Rugię. Moskwa utraciła najważniejszą część swego imperium zewnętrznego, które zdobyła w latach 1941–1945, ponosząc ogromne koszty. Potem poszło już z górki:

po zjednoczeniu Niemiec baza legitymizacyjna Związku Sowieckiego została rozchwiana, a następnie doszło do rozpadu samego imperialnego trzonu.

Można by więc postawić następującą tezę, nieco przewrotną i opartą na (kulawym, to przyznam) paradoksie: komunizm upadł w Polsce, gdyż w całym europejskim kręgu cywilizacyjnym był na to skazany, a upadek ten dokonał się w Europie ostatecznie dlatego, że komunizm skończył się w Polsce.

2. Jakie największe sukcesy... Z uwagi na brak kompetencji nie odpowiem na to pytanie.

## DAVID OST

1. Do spektakularnego załamania się w Polsce dawnego ustroju doprowadziły trzy kluczowe czynniki: pojawienie się nowego typu opozycji, stopniowe zbliżenie między nią a elitą rządzącą w kwestii reform rynkowych, wreszcie nowe przywództwo i pierestrojka w Związku Radzieckim. Co do pierwszego czynnika, zarówno polityka negacjonizmu realizowana przez opozycję po 1945 r., jak i rewizjonistyczna presja w epoce Gomułki okazały się taktyką nieskuteczną, niezdolną do mobilizowania poparcia szerszych kręgów społecznych. Dopiero ruch, który wykroczył poza perspektywę elit, odniósł się do potrzeb szerszych warstw i uwierzył w ich potencjał samoorganizacji, był w stanie oddziaływać na tyle szeroko, by rzucić wyzwanie rządowi partii. Pierwszym i niezbędnym warunkiem zbudowania masowego ruchu było nowe rozumienie polityki jako obszaru raczej działań społecznych niż ograniczonego do spraw państwa i władzy.

Do oddania władzy przekonała rządzących nie tyle liczebność opozycji, ile narastające poczucie łączącej ich z przywódcami Solidarności pewnej wspólnoty celów. Z kolei opozycji chodziło mniej o upokorzenie ludzi władzy, a bardziej o zmianę reguł gry. To pozwoliło przedstawicielom władzy dostrzec szansę na porozumienie, które jednocześnie oddałoby gospodarczą katastrofę i umożliwiłoby zachowanie dotychczasowego elitarnego statusu – opartego nie na monopolu władzy politycznej, ale na możliwości ubiegania się na równych prawach o władzę ekonomiczną. Opozycji, która opowiedziała się za rynkiem jako sposobem na zniesienie nomenklatury (rynek to wedle niej kompetencje zamiast lojalności), wtórowali przywódcy mało popularnej już wówczas PZPR, widząc w urynkowaniu sposób na utrzymanie części władzy, a zarazem uniknięcie odpowiedzialności za kryzys gospodarczy. Pojawiła się więc realna szansa na kompromis.

Realizację kompromisowego rozwiązania umożliwiły przemiany na szczytach władzy lokalnego hegemonia – Związku Radzieckiego.

Wszystkie trzy czynniki miały wspólne źródło w przemianach struktury klasowej polskiego społeczeństwa i w naturze globalnego kapitalizmu. Opozycja, oparta na niezależnej działalności niezależnych obywateli, mogła odnieść sukces tylko dlatego, że zdobyli oni kapitał umiejętności zawodowych i wykształcenia dający im poczucie autonomii. W latach osiemdziesiątych polscy pracownicy nie byli już chłopami z awansu ani niewykwalifikowaną siłą roboczą, nie potrzebowali już kierującej dłoni ani sprawnej organizacji

prof. politologii w Hobart i William Smith Colleges w stanie Nowy Jork. Wykłada również w Polsce. Członek redakcji czasopism naukowych „Politics and Society”, „East European Politics and Societies”, „Studia Socjologiczne”, „Polish Sociological Review”. Autor artykułów i książek o przemianach w Europie Wschodniej, m.in. *Kłęska Solidarności. Gniew i polityka w postkomunistycznej Europie* (2007). Polskie wydanie jego pierwszej książki o Solidarności, z 1990 r., *Solidarność i polityka antypolityki*, jest przygotowane przez Europejskie Centrum Solidarności.



partii dominującej. Dlatego niezależna działalność opozycyjna pociągała więcej ludzi niż poprzednio.

Z tychże powodów partyjne elity były bardziej niż ich poprzednicy skłonne do rezygnacji z monopolu władzy politycznej. W odróżnieniu od poprzedniego pokolenia komunistycznych przywódców partyjna „góra” lat osiemdziesiątych, lepiej wykształcona i dysponująca lepszym przygotowaniem zawodowym, nie musiała się obawiać, że utrata władzy będzie równoznaczna z utratą wszelkich przywilejów. Wskutek tych nowych klasowych uwarunkowań elity partyjne okazywały więcej zrozumienia dla reform gospodarczych, a co za tym idzie – także politycznych.

Urodzony w 1931 r. nowy radziecki przywódca Michaił Gorbaczow reprezentował pokolenie inteligentnych technokratów. Poprzednie, poststalinowskie kierownictwo składało się z ludzi z awansu, którzy wspinali się po drabinie społecznej w dobie stalinowskiej forsownej industrializacji. Gorbaczow był jednym z tych, którzy dorastali w kraju i środowisku ludzi dobrze wykształconych, stawiających na technologiczne zaawansowanie; ludzi, którzy zrozumieli, że dalszy rozwój wymaga mobilizacji „czynnika ludzkiego”, przez dziesięciolecia tłamszonego przez wszechobecną biurokrację.

Zmiany struktury klasowej stanowiły więc fundament politycznej reorientacji najważniejszych aktorów społecznych. Jak to zwykle bywa w przypadku szeroko zakrojonej transformacji, upadek reżimu w Polsce stał się możliwy dzięki połączeniu walki o podmiotowość z czynnikiem strukturalnym.

**2. Mimo wewnętrznych konfliktów i napięć transformacja polityczna przebiegała w Polsce w sposób bardzo stabilny, bez zatargów granicznych i groźby rozpadu państwa, a wspierały ją silne i zróżnicowane niezależne media oraz rzesze aktywnych obywateli.**

Niepowodzenia widoczne były nie tyle na tle innych krajów, ile w porównaniu z nadziejami i obietnicami opozycji lat osiemdziesiątych. Największe niepowodzenie wiąże się z tym, co nazwałem klęską solidarności, tym razem przez małe s. Mam na myśli rozpad mocnych więzi spajających różne grupy społeczne walczące z systemem państwowego socjalizmu. W jakiejś mierze było to rzecz jasna nieuchronne, a nawet pożądane, bo pod koniec lat osiemdziesiątych społeczeństwo było w swych zmaganiach z ustrojem nazbyt zjednoczone – w tym sensie, że nie mogło się w nim ujawnić zróżnicowanie występujące w naturalny sposób w złożonych społecznościach. Jednak zdumiewa łatwość, z jaką narastały w Polsce nierówności społeczne; mierzący je współczynnik Giniego sięga 32,8 i poza krajami byłej Jugosławii jest najwyższy w regionie.

Wszystkie partie prowadziły politykę promującą elity kosztem swej dawnej bazy społecznej. Przewagę zdobyła zrazu liberalna lewica, która forsowała kapitalizm w skrajnie rynkowym wydaniu, wywołując zamieszanie w szeregach swych najgorętszych zwolenników. Prawicowa opozycja, skupiona ostatecznie wokół Jarosława Kaczyńskiego, cynicznie organizowała społeczne niezadowolenie wokół programu, który podważał liberalne i partycypacyjne ideały polityczne opozycji. Z kolei lewica SLD-owska skoncentrowała się na budowaniu swej legitymizacji przez polityczne meandrowanie – forsowała neoliberalne urynkwowanie, by następnie wezwać do ograniczenia rynku, promowała równość kobiet i mężczyzn, a zaraz potem wychwalała tradycyjne wartości.

Największym chyba politycznym niepowodzeniem czy rozczarowaniem są powtarzające się próby delegitymizowania państwa, podejmowane przez jedną z dominujących partii politycznych, ilekroć władza trafia w ręce partii konkurencyjnej. Odkąd w 2007 r. Prawo i Sprawiedliwość przeszło do opozycji, powtarza raz po raz, że Platforma Obywatelska nie jest po prostu politycznym rywalem, lecz partią antypolską. W ten sposób PiS osłabia polskie państwo jako takie. Co zdumiewające, tendencja ta dała o sobie znać z taką siłą nie w połowie lat dziewięćdziesiątych, kiedy do władzy doszedł postkomunistyczny Sojusz Lewicy Demokratycznej, tylko dekadę później, kiedy władzę zdobyła konkurencyjna formacja postsolidarnościowa. Delegitymizowanie przeciwnika, nieuznawanie własnego państwa, kiedy rządzi nim inna partia, zaważyły mocno na relacjach zagranicznych Polski, uważanej powszechnie za kraj nieprzewidywalny. Wiele jej gospodarczych problemów wynika zarówno z obecnego stanu globalnego kapitalizmu, jak i z politycznych wyborów polskich elit, jednak znaczną część międzynarodowego kapitału życzliwości wypracowanego w 1989 r. elity te roztrwoniły samodzielnie.

## ANTONI DUDEK

1. Uważam, że najistotniejszą rolę w procesie destrukcji dyktatury komunistycznej w Polsce odegrały cztery podstawowe czynniki:

1) Korzystna sytuacja międzynarodowa, będąca przede wszystkim rezultatem proklamowania w ZSRR przez Michaiła Gorbaczowa pierestrojki. Z ekspertyz opracowanych na początku 1989 r. przez radzieckie Ministerstwo Spraw Zagranicznych oraz Wydział Zagraniczny Komitetu Centralnego KPZR wynika, że Kreml godził się wówczas na daleko idące zmiany w Polsce i innych krajach bloku, a priorytet stanowiło dlań utrzymanie w tych państwach spokoju wewnętrznego oraz współpracy politycznej i gospodarczej z ZSRR. Moskwa nie zamierzała oczywiście zrezygnować z utrzymania Europy Środkowej w strefie swoich wpływów, ale – wobec rosnących trudności wewnętrznych – uznała, że nie musi to być równoznaczne z podtrzymywaniem reżimów komunistycznych, które nie potrafią skutecznie kontrolować sytuacji społeczno-politycznej, a równocześnie przejść na nowe zasady wymiany gospodarczej. Zakładano, że kraje Europy Środkowej pozostaną członkami Układu Warszawskiego, a partie komunistyczne, ograniczając swój monopol władzy, nie doprowadzą do jej całkowitej utraty. Zarazem jednak nawet w przypadku „gwałtownego zaostrenia się sytuacji” wykluczano na Kremlu możliwość radzieckiej interwencji zbrojnej, która – jak głosiło opracowanie Wydziału Zagranicznego KC KPZR – „byłaby usprawiedliwiona tylko w jednym wypadku – bezpośredniego i oczywistego zbrojnego wmieszania się obcych sił w wewnętrzne sprawy socjalistycznego państwa”. W procesie wpływania na bieg wydarzeń w krajach bloku dopuszczano natomiast wykorzystywanie „powiązań politycznych i gospodarczych” i w związku z tym zalecano „czynnie szukać kontaktu ze wszystkimi siłami w krajach socjalistycznych, które pretendują do udziału we władzy”.

Mniejsze, co nie znaczy, że małe, znaczenie miała też konsekwentna polityka administracji prezydenta Ronalda Reagana, obliczona na zmiękczenie ekipy gen. Wojciecha Jaruzelskiego i nakłanianie jej do wznowienia dialogu z opozycją skupioną wokół

prof., kierownik Katedry Współczesnej Polityki Polskiej w Instytucie Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Jagiellońskiego. Od 2011 r. członek Rady Instytutu Pamięci Narodowej. Najważniejsze prace w jego dorobku dotyczą dziejów PRL: *Państwo i Kościół w Polsce 1945–1970* (1995), *PRL bez majajazu* (2008), transformacji ustrojowej: *Reglamentowana rewolucja. Rozkład dyktatury komunistycznej w Polsce 1988–1990* (2004) oraz przemian systemu politycznego współczesnej Polski: *Historia polityczna Polski 1989–2012* (2013), *Instytut. Osobista historia IPN* (2011).

Solidarności i jej lidera. Podobny nacisk był wywierany na Warszawę także przez Wielką Brytanię i Francję.

2) Postępujący kryzys gospodarczy, powodujący pogarszanie się nastrojów społecznych w Polsce od przełomu 1985 i 1986 r. Wedle badań opinii publicznej, prowadzonych przez CBOS, w grudniu 1985 r. sytuację gospodarczą jako złą określało 46 proc. badanych. W następnych miesiącach wskaźnik ten rósł dość systematycznie: 55 proc. w kwietniu, 58,5 proc. w grudniu 1986 r. i aż 69,1 proc. w kwietniu 1987 r. W 1988 r. wskaźniki te pogarszały się jeszcze szybciej. Wpływ na to miało zarówno narastające rozczarowanie fiaskiem reform gospodarczych zapowiadanych przez władze PRL po wprowadzeniu stanu wojennego, jak i wchodzenie w dorosłe życie tych Polaków, dla których solidarnościowa rewolucja lat 1980–1981 i jej klęska nie stanowiły osobistego doświadczenia. Powodowało to radykalizację nastrojów, widoczną w latach 1988–1989 wśród młodzieży z wielkich miast, i wpływało stymulująco nie tylko na władze, ale i na kierownicze kręgi opozycji.

3) Przetrvanie przez całą dekadę lat osiemdziesiątych stosunkowo rozbudowanych struktur opozycyjnych, które wzmocniły się w rezultacie dwóch fal strajków w 1988 r. (wiosennej i jesiennej). Ich najsilniejsza część, skupiona wokół Lecha Wałęsy i jego doradców, okazała się zdolna do podjęcia z władzami komunistycznymi partnerskich rozmów przy Okrągłym Stole i wynegocjowania m.in. wolnych wyborów do Senatu, przeprowadzenia zwycięskiej kampanii przed wyborami czerwcowymi 1989 r., a następnie stworzenia koalicyjnego rządu Tadeusza Mazowieckiego. Istotna była też rola duchowieństwa Kościoła katolickiego, które najpierw wspierało proces negocjacji, a następnie wydatnie pomogło opozycji w odniesieniu wyborczego sukcesu.

4) Proces dezintegracji aparatu państwowego PRL, zapoczątkowany ograniczeniem roli PZPR po wprowadzeniu stanu wojennego, a następnie wzmocniony stopniową autonomizacją różnych jego elementów, z których najbardziej znaczącym stało się w końcu lat osiemdziesiątych Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych. Podjęta przez gen. Jaruzelskiego po wprowadzeniu stanu wojennego próba zastępowania osłabionego aparatu PZPR przez wojsko oraz służby specjalne doprowadziła do stopniowego rozregulowania całego aparatu władzy, który podzielił się na rywalizujące ze sobą grupy biurokratyczne. Towarzyszył temu, zwłaszcza w drugiej połowie lat osiemdziesiątych, proces patologicznej prywatyzacji majątku państwowego. Możliwość konwersji kurczącego się kapitału politycznego na kapitał ekonomiczny, nazwana później uwłaszczeniem nomenklatury, przyczyniła się do znaczącego zmniejszenia oporów przeciwko zmianie systemu politycznego we wpływowym środowiskach aparatu partyjnego, gospodarczego i służb specjalnych.

**2.** Na przestrzeni dwudziestu pięciu lat od upadku rządów komunistycznych Polska dokonała znaczącego skoku cywilizacyjnego. W 2012 r. jej gospodarka zajmowała pod względem wielkości PKB dwudzieste pierwsze miejsce w skali świata i szóste wśród krajów Unii Europejskiej, a Polsce udawało się – poczynając od 1993 r., przez dwadzieścia lat – odnotowywać nieprzerwanie wzrost ekonomiczny. Znacząco, bo o blisko dziesięć lat, wydłużyła się też średnia długość życia, a liczba Polaków deklarujących ogólne zadowolenie ze swej egzystencji wzrosła z poziomu 58 proc. w 1991 r. do 78 proc. w 2011 r. Odsetek studiującej młodzieży wzrósł w tym czasie czterokrotnie, zwiększyła się też wielokrotnie liczba Pola-



ków spędzających urlop za granicą. Jednak mimo kilkukrotnego wzrostu PKB *per capita* w tym okresie (według oceny Międzynarodowego Funduszu Walutowego do 20,5 tys. USD w 2012 r.) liczony w ten sposób poziom zamożności Polski dawał jej dopiero 47 miejsce na świecie. Poziom rozwarstwienia majątkowego wciąż jest w Polsce wyższy od średniej w krajach Unii, a w różnych częściach kraju (zwłaszcza na wschodzie) zlokalizowane są duże obszary dotknięte wysokim bezrobociem i biedą.

Poważnym problemem ograniczającym rozwój Polski pozostaje też niski poziom infrastruktury komunikacyjnej i energetycznej, a także pogrążona w chronicznym kryzysie służba zdrowia, niewydolne sądownictwo oraz szybko rosnący dług publiczny, który w 2013 r. przekroczył poziom 900 mld złotych. Podstawową słabością systemu politycznego jest niski poziom kultury politycznej, który wpływa m.in. na niezadowalający poziom partycypacji obywatelskiej (co wyraża się chociażby niską frekwencją wyborczą), oraz wadliwa konstrukcja władzy wykonawczej, prowadząca do konfliktów kolejnych prezydentów z premierami. Jednak najpoważniejszym problemem stojącym przed naszym krajem wydaje się w dłuższej perspektywie zapaść demograficzna. Wedle prognoz po 2015 r. Polsce zacznie co roku ubywać po blisko 200 tys. obywateli. W rezultacie, jeśli kolejne polskie rządy będą kontynuowały dotychczasową, *de facto* antynatalistyczną politykę, w 2035 r. liczba Polaków zmniejszy się do 35 mln. Towarzyszyć temu będą niekorzystne zmiany w strukturze wiekowej społeczeństwa. Do 2035 r. liczba Polaków w tzw. wieku produkcyjnym (18–65 lat) skurczy się z obecnych 24 mln do 20 mln, podczas gdy populacja najstarszych (powyżej 65 lat) wzrośnie z 6 mln do blisko 10 mln.

## MAREK CICHOCKI

1. Żyjemy w kraju o silnych tradycjach konfederackich w politycznej kulturze. Dlatego wszelkie społeczne i polityczne zmiany chętnie widzimy jako skutek oddolnych ruchów, masowej mobilizacji, obywatelskiego wzmoczenia. Nie inaczej jest w sprawie upadku komunizmu. Ruch pierwszej Solidarności, europejska wiosna ludów, duchowe przebudzenie narodów zniewolonych przez narzucony komunistyczny system – te obrazy wypełniają naszą polską wyobraźnię, kiedy mówimy o przełomie 1989 r. Jest w tym wiele prawdy. Wielkie społeczne i polityczne zwroty nie są możliwe bez determinacji, mobilizacji, odwagi znaczącej grupy zaangażowanych ludzi, którzy postanowili wytrwać. Takie publiczne świadectwo jest bowiem wyrazem głębszego przełomu, który dokonuje się w obszarze zbiorowej świadomości oraz w obszarze ducha. Wyrasta on poza doraźne interesy i jest fundamentem gotowości poświęcenia się – nadaje zmianom heroiczny i metafizyczny sens. W polskich warunkach wyartykułować ten głębszy sens przemian pozwolił Jan Paweł II, ale również ks. Jerzy Popiełuszko i ks. Józef Tischner.

Wielkie wydarzenia, masowe ruchy w ostatnim czasie, takie jak arabska wiosna czy kolejne rewolucje na Ukrainie, pokazują jednak, że powszechna mobilizacja nie gwarantuje dokonania trwałej zmiany. Zasadnicza kwestia sprowadza się do możliwości i gotowości

---

dr hab., pracownik Uniwersytetu Warszawskiego, dyrektor programowy Centrum Europejskiego Natolin, redaktor naczelny pism „Nowa Europa. Przegląd Natoliński” oraz „Teologia Polityczna”. W latach 2006–2010 doradca prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego do spraw europejskich.

przeprowadzenia rzeczywistej zmiany systemowej, a więc wymiany lub przekształcenia dotychczasowych struktur kontroli i władzy. Takie systemowe przesunięcie stało się możliwe na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych w Europie, gdyż nikt nie chciał już bronić struktur władzy i kontroli bloku sowieckiego (z wyjątkiem nielicznych, jak Erich Honecker czy Nicolae Ceaușescu), podczas gdy struktury Zachodu wykazały siłę, wolę oraz zasoby pozwalające przesunąć się znacząco na wschód. Nie bez znaczenia było także zachowanie się wewnętrznego systemu władzy w Polsce wobec tych wielkich, geostrategicznych zmian. Bez niepotrzebnego moralizowania postaw niektórych osób (mówmy raczej o roztropnej zapobiegliwości niż moralnym heroizmie) trzeba zauważyć, że system ten wybrał drogę adaptacji i wykorzystania nowych warunków zamiast konfrontacji, co nadało zmianom w Polsce dodatkową, wewnętrzną dynamikę.

W polskiej debacie o upadku komunizmu w naszym kraju te dwa podstawowe czynniki zmiany są zwykle przeciwstawiane. Moim zdaniem niesłusznie. O głębokości i trwałości zmiany decydowała bowiem siła sprawcza zawarta w społecznej mobilizacji, jak i realność zmiany, która w latach osiemdziesiątych zaszła w istniejących strukturach kontroli i władzy w Europie.

**2.** Wciąż nie dysponujemy przekonującą próbą całościowej oceny transformacji w Polsce. Kwestia ta jest za to przedmiotem ostrej polemiki. Od całkowitego zanegowania po bezkrytyczną afirmację. Być może jednoznaczna ocena całego procesu transformacji w ogóle nie będzie możliwa – przynajmniej na razie, dopóki żyją jej główni aktorzy.

Z obecnego punktu widzenia bezsprzecznym sukcesem transformacji pozostaje ponowne zakotwiczenie Polski w szeroko rozumianym świecie Zachodu. Wydaje się ono na razie trwałe, przynajmniej patrząc przez pryzmat doświadczeń dwóch ostatnich pokoleń. Ale nie musi być wcale przesądzone ostatecznie. Spójrzmy na tę kwestię z głębszego dystansu historii. Umiejscowienie Polski w stosunku do nowoczesnego Zachodu, tak jak kształtuje się on w Europie od XVI w., nigdy nie było jednoznaczne, a wraz z utratą przez Polskę podmiotowości w XVIII w. staliśmy się domeną Wschodu. Ten stan trwał – z krótką przerwą na II Rzeczpospolitą – nieprzerwanie do przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XX w. Przełamanie tego fatalnego uzależnienia od Wschodu to najważniejsze historyczne osiągnięcie, historyczno-cywilizacyjny zwrot. Obrona naszego zachodniego zakotwiczenia powinna być przedmiotem stałej troski każdego następnego politycznego układu rządzenia, bez względu na różnice stanowisk w innych sprawach.

Najbliższym elementem polskiej transformacji pozostaje natomiast państwo. Proces transformacji pomija ten problem, koncentrując się na zmianach własnościowych, strukturze gospodarki, reformach społecznych czy prawnoustrojowych. Ten brak nie może być moim zdaniem przypadkowy, lecz wynika z zasadniczego poznawczego błędu, który legł u podstaw całej konstrukcji przemian. Jest nim niezrozumienie sensu polityki. W ten sposób proces transformacji został w Polsce pozbawiony swego podstawowego zwornika, jakim jest państwo. Stworzenie państwa to zdolność zobiektywizowania samego siebie jako celowej całości, do czego nigdy po 1989 r. nie doszło. Szansa na to, jaką zawsze daje konstytucja – prace nad nią, później jej uchwalenie – została w Polsce zmarnowana. Pogrążeni w sporach o to, „czyja Polska”, nie stworzyliśmy odpowiedzi na pytanie, „jaka

Polska". Nie wiemy, jaki ma być polski model dobrego społeczeństwa, w czym chcemy być najlepsi w Europie, jaki model gospodarki byłby dla nas najlepszym wsparciem i podstawą; nie wiemy, gdzie i jacy chcielibyśmy być jako Polska za dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści lat. Sądzę, że ten stan właśnie, a nie w pierwszym rządzie warunki materialne, sprawiają, że tak wielu ludzi po 24 latach transformacji nie widzi w Polsce dobrego miejsca do życia i decyduje się wyjechać.

O ile więc transformacja przełamała historyczny fatalizm polskiego położenia między Wschodem i Zachodem, o tyle dalece niewystarczająco przygotowała Polskę na wyzwania i niebezpieczeństwa, które już na nas czekają za bliskim horyzontem przyszłości.

## ANDRZEJ FRISZKE

1. Warunkiem zmiany ustrojowej w Polsce, a w konsekwencji w innych krajach bloku sowieckiego, była pierestrojka w ZSRR. Ta z kolei była skutkiem załamania możliwości rozwojowych sowieckiego systemu, wyraźnego przegrywania wyścigu technologicznego z Zachodem, w tym wyścigu zbrojeń, zadłużenia bloku wobec świata zachodniego i niezdolności kontrolowania sowieckiej dominacji, w tym subwencjonowania gospodarek, na tak rozległym terytorium. Pomysł Gorbaczowa polegał na próbie wyzwolenia energii społecznej i mechanizmów kontroli wewnątrz ZSRR, a także prawdziwego odprężenia i nawiązania współpracy z Zachodem. Po raz pierwszy Moskwa nie domagała się od satelitów zaostrzenia kontroli nad społeczeństwem i rezygnacji z prób reform, ale odwrotnie – zachęcała do racjonalności i liberalizacji. Ponadto Gorbaczow wyraźnie oświadczył przywódcom krajów bloku, że za sytuację w swoich państwach sami ponoszą odpowiedzialność, nie mogą liczyć na pomoc Moskwy w utrzymywaniu władzy. W konsekwencji postępów pierestrojki i *glasnosti* w ZSRR poszerzały się możliwości działania opozycji w Polsce.

Polska była krajem pogrążonym w najgłębszym kryzysie, trwającym od końca lat siedemdziesiątych. Jego najbardziej wyraźnym znakiem był utrzymujący się od 1981 r. system kartkowy, ale makroekonomiczne wskaźniki ukazywały gigantyczny kryzys całego systemu. Zadłużenie wobec strefy dolarowej wynosiło w 1986 r. 31,3 mld USD i stale rości. Była to pięciokrotna wartość całego polskiego eksportu. To znaczy w celu spłaty zadłużenia Polska przez pięć lat powinna wyłącznie eksportować, niczego nie kupować. Polska eksportowała głównie surowce (węgiel), w części żywność, w niewielkim tylko stopniu produkty przemysłu. Jej udział w handlu światowym spadł w latach 1975–1985 o połowę i wynosił mniej niż wskaźnik z 1929 r. W 1986 r. Polska wykorzystywała zaledwie 73,5 proc. mocy produkcyjnej przemysłu. Bariery było przede wszystkim zużycie majątku trwałego (maszyny, urządzenia, budynki). W przemyśle stopień zużycia majątku trwałego wynosił 45 proc. Wymagał on zatem gigantycznej modernizacji, która musiałaby pociągnąć za sobą wielomiliardowe inwestycje. Ponadto polska gospodarka była niezwykle energochłonna i całkowicie niekonkurencyjna – zużywała 2,5–3 razy więcej energii niż gospodarka zachodnioeuropejska.

prof. dr hab., historyk, pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN, wykładowca Collegium Civitas, członek redakcji „Więzi”, przewodniczący Stowarzyszenia Archiwum Solidarności, członek Rady Programowej publikacji *Opozycja w PRL. Słownik biograficzny 1956–89*. W 1981 r. redaktor działu historycznego „Tygodnika Solidarność”, w latach 1999–2006 członek Kolegium Instytutu Pamięi Narodowej, od 2011 r. Rady IPN. Autor wielu prac z najnowszej historii Polski, m.in.: *Opozycja polityczna w PRL 1945–1980* (1994), *Oaza na Kopernika. Klub Inteligencji Katolickiej 1956–1989* (1997), *Polska. Losy państwa i narodu 1939–1989* (2003), *Niepokorni. Rozmowy o Komitecie Obrony Robotników* (wspólnie z Andrzejem Paczkowskim, 2008), *Anatomia buntu. Kuroń, Modzelewski i komandosi* (2010), *Czas KOR-u. Jacek Kuroń a geneza Solidarności* (2011), *Rewolucja Solidarności 1980–1981* (2014); redaktor pracy zbiorowej (i autor artykułu w niej) *Solidarność podziemna 1981–1989* (2006).

Rozkład gospodarki i zacofanie przemysłu skutkowało rosnącym zatruciem środowiska. Prawie połowa zakładów oraz 45 proc. miast nie miało oczyszczalni ścieków. Zwiększało się skażenie wód, także wód gruntowych.

Do tych twardych danych ukazujących strukturalny kryzys gospodarki trzeba dodać następne. Stopa inflacji, która w 1985 r. wynosiła 15 proc., w 1987 r. osiągnęła 25 proc., a w 1988 r. 61 proc. Polska znalazła się u progu hiperinflacji. W reakcji na ten stan rzeczy obywatele uciekali od oszczędzania w złotówkach, a to z kolei prowadziło do wzrostu czarnorynkowego kursu dolara. W 1986 r. za 1 dolara płacono 750 zł, w 1987 r. 1020, w 1988 r. 2400 zł.

Te dane były znane przywódcom państwa, ale próby walki z kryzysem podejmowane w latach 1982–1983 i 1987 nie dawały efektu. Bez potężnych nakładów nie sposób było modernizować gospodarki, nie można też było wprowadzić reform naruszających interesy rządzącej nomenklatury. Kraj staczał się więc w dół bez widoków na poprawę. W przyszłości możliwa była wielka eksplozja niezadowolenia społecznego, która jednak nie mogłaby przyczynić się do poprawy materialnej. „Polska w 1987 r. potrzebowała pilnie radykalnej modernizacji gospodarki, wielomiliardowych kapitałów w walutach wymiennalnych i dodatkowo umorzenia długów, aby osiągnąć stabilizację” – pisze Dariusz Grała, wnikliwy badacz polskiej gospodarki tego okresu<sup>1</sup>.

Elita władzy poruszała się więc między przyzwoleniem na staczanie się kraju i groźbę niekontrolowanych wybuchów niezadowolenia a podjęciem wielkiej reformy polityczno-ekonomicznej. Otwarcie polityczne stało się niezbędne, by zabiegać o efektywną pomoc ekonomiczną Zachodu.

W debatach o 1989 r. dane dotyczące kryzysu są zwykle pomijane, co prowadzi do ahistoryzmu i całkowicie błędnych wniosków. Dlatego należało je przypomnieć. Pomijane są też zwykle dane dotyczące postaw i podziałów w społeczeństwie polskim, które bynajmniej nie było zintegrowane w opozycji, a raczej bierne, wyczekujące i pogrążone w poczuciu beznadziei. Wybitni socjologowie, badacze opinii publicznej (sympatyzujący zresztą z opozycją) obliczali przeciwników systemu na 20 proc., zwolenników także na 20 proc., „centrum” niezdecydowanych na 35 proc., milczącą mniejszość na 25 proc. Według innych badań, Andrzeja Rycharda, w 1988 r. popierało PZPR 34 proc., zwolenników zmiany władzy PZPR było 33 proc., a pozostała część społeczeństwa nie była zainteresowana lub nie miała zdania<sup>2</sup>. Ten rozkład nastrojów społecznych wskazywał na potrzebę rozwiązań nieskrajnych.

Wolna od tendencji skrajnych była linia polityczna kierownictwa zdelegalizowanej Solidarności. Od lat konsekwentnie głosiło ono potrzebę odejścia od logiki zimnej wojny wewnętrznej, podjęcia dialogu i osiągnięcia porozumienia, które musi oznaczać przywrócenie Solidarności do legalnego istnienia, poszerzenie praw obywatelskich oraz reformę gospodarczą i systemu politycznego przez uwzględnienie udziału autentycznych reprezentacji obywateli w decydowaniu o sprawach kraju. W kierownictwie Solidarności skupionym

<sup>1</sup> D. Grała, *Reformy gospodarcze w PRL (1982–1989). Próba uratowania socjalizmu*, Warszawa 2005, s. 293.

<sup>2</sup> *Polska 1986–89: koniec systemu*, t. 1, red. P. Machcewicz, Warszawa 2002.

wokół Lecha Wałęsy reprezentowanych było wielu liderów związku znanych z 1981 r. oraz najważniejsi przywódcy solidarnościowego podziemia z okresu po 13 grudnia. Dawało to wystarczającą reprezentatywność oraz oznaczało marginalizację osób i grup, które nie uznawały przywództwa Wałęsy. Wokół Wałęsy skupili się też najważniejsi od strajku sierpniowego 1980 r. doradcy związku – Tadeusz Mazowiecki, Bronisław Geremek, także Jacek Kuroń, Adam Michnik i inni. Mimo różnych sporów z 1980 r., które jednak nigdy ich trwale nie podzieliły, tworzyli oni zespół o bardzo wysokich walorach w ustalaniu strategii politycznej i jej przeprowadzaniu. Legenda Wałęsy i jego ścisłe związki z innymi przywódcami robotniczymi (jak Zbigniew Bujak, Władysław Frasyniuk, Bogdan Lis) oraz wspomnianymi doradcami, będącymi też liderami opozycyjnej inteligencji, dawały temu ośrodkowi kierowniczemu ogromną siłę. Dodatkowo wzmacniała ją sympatia i poparcie kierownictwa Kościoła, w tym Jana Pawła II, oraz wysokie uznanie w świecie zachodnim.

Dla rządzących PRL szukanie drogi do uzyskania pomocy ekonomicznej było niemożliwe przy ominięciu i zignorowaniu problemu Solidarności. Przekonał się o tym Jaruzelski w latach 1986–1988, kiedy próbował ograniczonej liberalizacji bez rozwiązania problemu Solidarności. Strajki majowe i sierpniowe 1988 r. pokazały z kolei, że alternatywą dialogu i porozumienia może być wybuch społeczny o niewiadomych konsekwencjach, anarchizujących jednak sytuację w Polsce. W tych okolicznościach zrodziła się koncepcja Okrągłego Stołu, od początku wspierana przez kierownictwo Episkopatu Polski. Dla rządzących oznaczała ona nie gotowość oddania władzy – co ostatecznie nastąpiło w wyniku wyborów czerwcowych – ale takiego się nią podzielenia, by zachować pakiet kontrolny, wciągając Solidarność do współodpowiedzialności za bardzo trudne reformy i zmniejszyć poziom napięć społecznych.

Po stronie PZPR manewr ten był możliwy wobec dużej swobody otrzymanej od Moskwy (co radykalnie kontrastowało z sytuacją 1981 r.) oraz niezwyklej centralizacji władzy w rękach gen. Jaruzelskiego (kontrola nad partią, wojskiem, administracją, a także za pośrednictwem gen. Kiszczaka nad siłami MSW). Niechęć większości aparatu partyjnego do pomysłów reformatorskich Jaruzelski mógł zignorować także dzięki temu, że w minionych latach usunął z kierownictwa możliwych konkurentów. W kierownictwie PZPR mógł liczyć na całkowitą lojalność zwolenników i wykonawców manewru – Czesława Kiszczaka, Stanisława Cioska, Mieczysława Rakowskiego, Józefa Czyrka i innych.

Siłą sprawczą przemian prowadzących do upadku komunizmu był zatem przede wszystkim kryzys gospodarczy wymuszający zmianę systemową, niezwykła dojrzałość i zdolność do wspólnego działania kierownictwa Solidarności, a także zdolność Jaruzelskiego i jego otoczenia do uznania za nadrzędny interes państwa, a nie interes własny czy komunizmu. Widać to wyraźnie, jeśli porówna się zachowanie innych dyktatorów komunistycznych (jak Erich Honecker, Nicolae Ceaușescu, Fidel Castro) lub postkomunistycznych (jak Wiktor Janukowycz).

Teza, że Jaruzelski „nie miał wyjścia”, jest naiwna. Dziesiątki przykładów z epok dawnych i współczesności uczą, że dyktatorzy rzadko oddają władzę, jeśli nie są do tego przymuszeni masowymi wystąpieniami i buntem części wojska i policji. Do tego w Polsce nie doszło. Teza o nadzwyczajnej roli manipulacyjnej służb specjalnych w przemianach 1989 r.

nie ma żadnych podstaw w materiałach tych służb, które są już przebadane w stopniu wystarczającym, by uznać tę tezę za całkowicie fałszywą.

2. Największym sukcesem III Rzeczypospolitej jest utrzymanie stabilności państwa, ograniczenie wewnętrznego konfliktu politycznego (tak silnego w latach 1981–1989), zbudowanie stabilnej demokracji parlamentarnej, przewyciężenie wielkiego kryzysu ekonomicznego i osiągnięcie stałego wzrostu gospodarczego oraz stworzenie niezłe działającego systemu samorządowego. Polska stała się stabilnym uczestnikiem wspólnoty międzynarodowej. Potrafiła pomyślnie uregulować stosunki ze wszystkimi sąsiadami, co potocznie uważa się za oczywiste, ale w kontekście trudnej przeszłości i dokonanej po drugiej wojnie światowej radykalnej zmiany granic wcale oczywiste nie było. Polska zdołała wyjść z orbity wpływów Rosji, przestawić się na integrację polityczną i ekonomiczną z Zachodem, co daje podstawę do utrwalenia niepodległości i sukcesywnej modernizacji kraju. Sposób przeprowadzenia transformacji rozbroił i zneutralizował te siły polityczne wywodzące się z establishmentu PRL, które mogłyby ciążyć ku Rosji; byłoby to skrajnie groźne dla państwa, zwłaszcza wobec ambicji imperialnych i autorytarnych reżimu Władimira Putina.

Najważniejszym źródłem niepowodzeń, czyli silnego w Polsce konfliktu społecznego i politycznego, który wyrósł na podziatach w obozie Solidarności, są skutki wielkiej transformacji ekonomicznej. Była ona głęboka i radykalna, gdyż głęboki był rozkład ekonomiczny kraju. Czy można było zmniejszyć wielkie koszty – bankructwo ogromnej części przemysłu, wysoką stopę bezrobocia, radykalne zaburzenie poczucia bezpieczeństwa socjalnego, narosłe nierówności? Ekonomiści i socjologowie rzadko próbują odpowiadać na to pytanie, a ekonomiści nader często prezentują postawę afirmacji i lekceważenia kosztów.

Koszty te wytworzyły liczny elektorat, który stał się bazą dla różnych demagogów atakujących stabilizację polityczną państwa. Takie samo jest źródło podatności pewnej części społeczeństwa na teorie spiskowe, pomysły radykalnych rozliczeń za dawne grzechy, ataków na elity, niszczenia autorytetów, w tym twórców III RP, słowem – różnych form demoralizującego populizmu. Są to zjawiska bardzo groźne, w pewnych okresach narastające, wynikające też z niskiej kultury demokratycznej oraz z nowych zjawisk, takich jak prymitywizacja debaty publicznej w warunkach narzucanych przez internet.

Do dokonania porównań z warunkami w innych krajach postkomunistycznych nie czuje się uprawniony wobec braku dostatecznie wiarygodnych danych.



# MIĘDZY DYKTATURĄ A DEMOKRACJĄ

## BIRMA NA ZAKRĘCIE. ZMIANY W KRAJU TYSIĄCA PAGÓD 2007–2014

„Złoty Budda Mahamuni siedzi w głębi głównej nawy. Na wysokości jego pępka widać rusztowanie, a na nim trzech uwijających się mężczyzn, którzy nieustannymi ruchami rąk jak gdyby poprawiają coś w posągu. [...] Zachęceni przez przewodnika, wdrapujemy się na rusztowanie, ale jedna z belek przywiera tak ściśle do posągu, że aby przejść do przodu i stanąć oko w oko z Buddą, trzeba na zakręcie oprzeć się rękami o jego ramię. Czuję obiema dłońmi gorącą lepkość jakiejś mazi i prześlizgnąwszy się szybko na przedni pomost rusztowania, odrywam z instynktownym uczuciem wstępu ręce od posągu: są ubabrane złotem” – zanotował w maju 1952 r. Gustaw Herling-Grudziński w dzienniku z podróży do Birmy<sup>1</sup>. Od czasu jego wizyty w Mandalaj minęło ponad sześćdziesiąt lat<sup>2</sup>. Przez ten długi czas posąg Buddy znacznie się rozrósł dzięki płatkom złota przylepianym codziennie przez setki pielgrzymów. Przywiązania do religii nie podminowały ani rządy parlamentarne, ani pół wieku krwawej wojskowej dyktatury. Buddyzm wciąż stanowi najważniejszą wartość i punkt odniesienia dla większości Birmańczyków.

Jaka jest Birma dzisiaj? Czy po wielu latach autorytarnych rządów generałów wejście na drogę ku demokracji? Czy wydarzenia z ostatnich lat są autentycznym krokiem w stronę reformy systemu? Nie na wszystkie pytania znajdzie się jednoznaczna odpowiedź, ale warto pochylić się nad tym najmniej znanym krajem Azji Południowo-Wschodniej.

Birma położona jest nad Zatoką Bengalską i Morzem Andamańskim. Na zachodzie graniczy z Bangladeszem i Indiami, a na wschodzie z Chinami, Laosem i Tajlandią. Państwo jest dwa razy większe niż Polska i liczy 676 tys. km kw., zamieszkuje je około 60 mln ludzi. Ludność Birmy jest mieszaniną różnych grup narodowościowych, etnicznych i plemiennych. Według danych z 1983 r. do najważniejszych z nich należą Birmańczycy (Bamarowie) – około 68 proc., Szanowie<sup>3</sup> – 8,5 proc., Karenowie – 6,2 proc., Arakanowie (Rakhinowie) – 4,5 proc., Monowie – 2,4 proc., Chinowie – 2,2 proc., Kaczinowie – 1,4 proc.,

<sup>1</sup> G. Herling-Grudziński, *Podróż do Burmy. Dziennik*, Londyn 1983, s. 36.

<sup>2</sup> Artykuł powstał na podstawie badań wspieranych finansowo przez Fundację na rzecz Nauki Polskiej (program Start 2013).

<sup>3</sup> Por. C. Tzang Yawngwe, *The Shan of Burma. Memoirs of a Shan Exile*, Singapore 2010.

### PRZEMYSŁAW GASZTOLD-SEŃ

pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN, doktorant na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego. Autor książki *Koncesjonowany nacjonalizm. Zjednoczenie Patriotyczne „Grunwald” 1980–1990* (2012, Nagroda Historyczna „Polityki” za debiut, nominacja do Nagrody im. Kazimierza Moczarskiego), współautor tomu *Syria During the Cold War. The East European Connection* (razem z Janem Adamcem i Massilianem Trentinem, 2014). We wrześniu 2007 r. i w listopadzie 2013 r. podróżował po Birmie.

Kayahowie – 0,4 proc. Podziały etniczne nie są równoważne z podziałami religijnymi, czego dobrym przykładem są Karenowie. Około 30 proc. z nich wyznaje buddyzm, około 20 proc. chrześcijaństwo, a reszta animizm<sup>4</sup>.

Zmiany w Birmie<sup>5</sup> zachodzą na naszych oczach. Mogłem je obserwować, podróżując po tym kraju we wrześniu 2007 r. oraz w listopadzie 2013 r. W różnych częściach Birmy przyglądałem się życiu jej mieszkańców, byłem naocznym świadkiem protestów mnichów w czasie „szafranowej rewolucji”. Dlatego też obok krótkiego rysu historycznego oraz analizy sytuacji politycznej i ekonomicznej zawarłem w artykule również swoje wrażenia na temat przemian, jakie zaszły w tym państwie w ciągu sześciu lat.

Pewne elementy demokracji wprowadzane są w Birmie bardzo powoli, ostrożnie, tak by cały proces nie wymknął się generałom spod kontroli. Rządzący od 1962 r. wojskowi po prawie pięćdziesięciu latach przekazali władzę cywilom. W 2011 r. lider junty gen. Than Shwe oddał władzę swojemu protegowanemu – premierowi Thein Seinowi, który rok wcześniej odszedł z wojska. W tych przetasowaniach na szczeblach elity wojskowego kierownictwa nie byłoby nic niezwykłego, gdyż wewnętrzne tarcia i spiski wśród członków junty nieraz doprowadzały do zmian personalnych, ale tym razem na czele państwa stanął cywil<sup>6</sup>. Wprawdzie jest to emerytowany generał, ale już sam fakt, że występuje bez munduru, stanowi dużą zmianę praktyki politycznej.

Spółczesność birmańska jest bardzo przywiązana do tradycji buddyjskiej<sup>7</sup>. Religia odgrywa w historii kraju bardzo ważną rolę. Prawie 89 proc. mieszkańców wyznaje buddyzm theravada. Jest to chyba

najbardziej buddyjski kraj świata – liczba mnichów w stosunku do liczby mieszkańców ma tu najwyższy odsetek. Cieszą się oni ogromnym poważaniem, klasztory działają w prawie każdym większym mieście, a w małych i biednych wioskach, poza trasami turystycznymi, honorowe miejsce zajmuje zawsze lśniąca, zadbana stupa i posąg Buddy. Przywiązanie do tradycji łączy się z rytuałami i wiarą w magiczną moc astrologów, cyfr, symboli i 37 duchów *nat*<sup>8</sup>. Ani brytyjska kolonizacja, ani cywilne czy wojskowe rządy nie podważyły tej szczególnej pozycji magii w birmańskim społeczeństwie. Junta na równi z opozycją przywiązuje ogromne znaczenie do czynników pozanaturalnych, bardzo uważnie dobierając terminy różnych wydarzeń, aby zapewnić pomyślność swoim decyzjom. Birma to najmniej zeuropieizowany kraj Azji Południowo-Wschodniej, życie codzienne na wsi i w miasteczkach wciąż regulowane jest przez wschody i zachody słońca. Mężczyźni nałogowo żują betel, palą mocne cygara *cheroot*, a kobiety nakładają na twarz *tanakę*, czyli makijaż wytworzony ze zmielonej kory drzewnej.

### Długa historia wojskowej dyktatury

Birma odzyskała niepodległość w styczniu 1948 r. Ale sześć miesięcy wcześniej zastrzelony został główny architekt tego wydarzenia, twórca nowoczesnej armii birmańskiej (*Tatmadaw*) – Aung San, ojciec liderki Narodowej Ligi na rzecz Demokracji i zdobywczyni Pokojowej Nagrody Nobla – Aung San Suu Kyi. Pierwsze lata niepodległości były niezwykle trudne dla nowego państwa. Aung San, jak nikt inny, cieszył się powszechnym szacunkiem Birmańczyków i grup

<sup>4</sup> J. Falla, *True Love and Bartholomew. Rebels on the Burmese Border*, Cambridge 2006, s. 46–47.

<sup>5</sup> W lipcu 1989 r. wojskowa junta zmieniła nazwę kraju z Birma na Myanmar, argumentując, że nowa nazwa odnosi się do tradycyjnego nazewnictwa kraju i pozbawiona jest naleciałości kolonialnych. Rząd zmienił również około 600 innych nazw, np. Rangun na Yangon. Zmiany zostały zaakceptowane m.in. przez ONZ. W potocznej rozmowie Birmańczycy, w tym Aung San Suu Kyi, na określenie własnego kraju używają jednak często słowa Birma.

<sup>6</sup> Według konstytucji z 2008 r. prezydent stoi na czele rządu.

<sup>7</sup> E. Sarkisyanz, *Buddhist Background of the Burmese Revolution*, Springer Science and Business Media 1965, s. 2–9.

<sup>8</sup> S. Gil, Ven. U Therinda, *Birmański kult natów [w:] W cieniu przodków. Obrzędy społeczności Indonezji i Birmy*, red. A. Miancki, Toruń 2013, s. 365–413.



etnicznych. Jego nagła śmierć oznaczała fiasko rozmów pokojowych między rządem a rebeliantami<sup>9</sup>. Po odzyskaniu niepodległości władzę objął premier U Nu – jeden z liderów Antyfaszystowskiej Ligi Wolności Ludu (ALWL), który z kilkoma przerwami sprawował swój urząd w latach 1948–1962.

W marcu 1962 r. grupa wojskowych przeprowadziła pucz i przejęła władzę. Na czele państwa stanęła siedemnastoosobowa Rada Rewolucyjna, której przewodził gen. Ne Win. Najważniejsi działacze polityczni z okresu rządów cywilnych zostali aresztowani, a wkrótce w ogóle zakazano działalności partii politycznych. Rozpoczął się okres „birmańskiej drogi do socjalizmu”, który charakteryzował się autorytarnym stylem rządzenia oraz mieszanką socjalizmu i birmańskiego buddyzmu. W praktyce ta doktryna oznaczała totalną izolację kraju połączoną z polityką nacjonalistyczną i ksenofobiczną, której jednym z najważniejszych wyznaczników była wiara w astrologiczne przesady<sup>10</sup>.

Problemy ekonomiczne i brutalne represje wobec przeciwników politycznych doprowadziły do masowych wystąpień studenckich w marcu i czerwcu 1988 r., które swój szczyt osiągnęły 8 sierpnia 1988 r. (8.8.1988). Opozycja również zwracała dużą uwagę na symbolikę poszczególnych cyfr. Cztery ósemki w dacie miały się okazać pomyślnie dla przeciwników dyktatury i właśnie w tym dniu protesty rozlały się na cały kraj. Wcześniej z kierowania rządzącą Birmańską Partią Programu Socjalistycznego zrezygnował Ne Win, obiecując wprowadzenie systemu wielopartyjnego. Razem z nim odszedł prezydent San Yu, którego zastąpił gen. Sein Lwin, znany jako „rzeźnik Rangu-nu”, gdyż rozpędzał protesty studenckie, rozkazując żołnierzom strzelanie do cywilów. Przetasowania na szczeblach władzy ani wprowadzenie stanu wyjątko-

wego nie uspokoiły rewolucyjnych nastrojów. Przeciwnie – protesty i demonstracje odbywały się prawie codziennie, masowo uczestniczyli w nich studenci, robotnicy, rolnicy, prawnicy, urzędnicy i mnisi. Administracja cywilna przestała funkcjonować, a w kraju zapanował chaos<sup>11</sup>.

Wreszcie 18 września 1988 r. (1+8=9, wrzesień – dziewiąty miesiąc) gen. Saw Maung przeprowadził zamach stanu, rozwiązując BPPS i krwawo tłumiąc wszelkie protesty<sup>12</sup>. Władzę przejęła Państwowa Rada Przywrócenia Prawa i Porządku<sup>13</sup>, w której skład weszli wysocy rangą oficerowie *Tatmadaw*. Wojsko brutalnie stłumiło „powstanie 8888”, więzienia zapełniły się demonstrantami. W czasie rewolucji zginęło kilka tysięcy Birmańczyków, kilkanaście tysięcy uciekło z kraju lub schroniło się na terenach kontrolowanych przez wrogie juncie oddziały partyzanckie.

Wówczas na scenie politycznej pojawiła się córka Aung Sana, Aung San Suu Kyi, która przyjechała do umierającej matki. Wcześniej nie angażowała się w działalność polityczną. Studiowała w Wielkiej Brytanii, poznała tam naukowca – tybetologa Michaela Arisa. Para wzięła ślub w 1972 r. i doczekała się dwóch synów – Aleksandra i Kima. Pani Aung wróciła do Birmy w 1988 r.<sup>14</sup> Szybko stała się symbolem sprzeciwu wobec wojskowej dyktatury. Gdy krótko po zamachu powstała Narodowa Liga na rzecz Demokracji (NLD), stanęła na czele tej opozycyjnej organizacji.

Nowa junta z gen. Saw Maungiem na czele zapowiedziała przeprowadzenie w niedługim czasie wolnych wyborów, które wyłoniłyby zgromadzenie konstytucyjne. W 1989 r. ponownie otwarto uniwersytety, a władze wojskowe wprowadziły pewne reformy gospodarcze. Wybory odbyły się nieprzypadkowo 27 maja 1990 r.; wierząc w magiczną dziewiątkę (2+7), wojskowi chcieli w ten sposób dopomóc wspieranej

<sup>9</sup> K. Gawlikowski, *Generał Aung San – twórca niepodległości Birmy*, „Azja – Pacyfik” 2010, nr 13, s. 44–63.

<sup>10</sup> R. Egretreau, *Histoire de la Birmanie contemporaine: le pays des prétoriens*, Paris 2010, s. 140–144.

<sup>11</sup> D.I. Steinberg, *Burma/Myanmar. What everyone needs to know*, Oxford – New York 2013, s. 77–80.

<sup>12</sup> A. Maung Thawngmung, *Behind the Teak Curtain. Authoritarianism, Agricultural Policies and Political Legitimacy in Rural Burma/Myanmar*, Kegan Paul Limited 2004, s. 198.

<sup>13</sup> W 1997 r. zmieniono nazwę na Państwowa Rada Pokoju i Rozwoju.

<sup>14</sup> K. Mroziewicz, *33 Ewy (i trzech Adamów). Rzecz o piekłach i rajach*, Poznań 2012, s. 167.

przez nich Narodowej Partii Jedności. Astrologiczne sztuczki na nic się jednak nie zdały, gdyż mimo represji NLD zdobyła 392 z 492 miejsc w parlamencie. Popierana przez juntę partia osiągnęła jedynie 10 miejsc. Druzgocąca porażka spowodowała, że oficerowie z Państwowej Rady Przywrócenia Prawa i Porządku nie uznali tych wyników i uwięzili opozycjonistów<sup>15</sup>. W 1992 r. gen. Saw Maung w wyniku pałacowego puczu został usunięty ze stanowiska przewodniczącego Rady, a na czele państwa stanął gen. Than Shwe. Reżim nie był gotowy, aby dzielić się władzą ze społeczeństwem.

Aung San Suu Kyi, nazywana w Birmie po prostu „The Lady”, została aresztowana w lipcu 1989 r. i piętnaście z kolejnych dwudziestu lat spędziła w areszcie domowym. Wyszła ostatecznie na wolność w 2010 r. W 1991 r. otrzymała Pokojową Nagrodę Nobla. Kilka razy znalazła się w bezpośrednim niebezpieczeństwie, np. w 1996 r., kiedy prorządowe bojówki zaatakowały jej samochód<sup>16</sup>. Władze zdawały sobie jednak sprawę, że nagła śmierć córki Aung Sana może doprowadzić do wybuchu kolejnej rewolucji, dlatego tyle lat trzymano ją w zupełnej izolacji.

### **Tatmadaw – ojciec i matka birmańskiego społeczeństwa**

„Birmańska junta zawsze była nieprzenikniona. Nie lubi dopuszczać do siebie nikogo z zewnątrz. Jej archiwa są niedostępne, biografie członków niemal nieznanne. Pozostających od lat w izolacji generałów kryje dymna zasłona propagandy, matactw i plotek” – pisze Emma Larkin<sup>17</sup>. Aby zrozumieć najnowszą historię polityczną Birmy, trzeba dokładnie przyjrzeć się znaczeniu tamtejszych sił zbrojnych. Od wielu lat

grają one rolę państwa w państwie, są hermetyczną grupą uprzywilejowanych, która zmonopolizowała życie polityczne i gospodarcze kraju. Renaud Egretau pisze, że dzisiaj Birma jest krajem pretorianów, w którym państwo to armia. Administracja, handel, edukacja i kultura, dyplomacja – wojskowi są wszędzie<sup>18</sup>. Swoją szczególną pozycję argumentują względami historycznymi i politycznymi. Wśród rządzącej od wielu lat kadry wojskowej ugruntował się pogląd, że tylko armia może zapewnić bezpieczeństwo i jedność kraju niszczonego konfliktami etnicznymi<sup>19</sup>.

Hasła wykorzystywane w propagandzie generałów przypominają nieco działalność Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego w okresie stanu wojennego w PRL. Armia przedstawiana jest jako jedyna siła zdolna do utrzymania porządku i do przeciwstawienia się chaosowi. To żołnierze są uosobieniem troski o pomyślny rozwój kraju, a ich patriotyzm nie podlega dyskusji<sup>20</sup>. *Tatmadaw* na ogromną skalę rozwinął propagandę nacjonalistyczną z silnym odcieniem ksenofobicznym, która źródeł wszelkich plag i nieszczęść spadających na Birmę upatrywała za granicą. Celom propagandowym służyło także pobudzanie strachu wśród Birmańczyków wobec „obcych” – cudzoziemców, zdrajców narodu, neokolonialistów<sup>21</sup>. Reżimowe media podsycały niepokój, rozsiewały plotki i trzymały w niepewności. Gazety informowały o niestabilnej sytuacji politycznej, ciągle dochodziło do walk z rebeliantami. Państwo znajdowało się w stanie obłędu, wymagało więc wojskowej kurateli. Stan permanentnej gotowości bojowej umożliwił skuteczniejszą kontrolę nad opozycją i jednocześnie spełniał funkcję samolegitymizującą dla reżimu.

W latach dziewięćdziesiątych armia znacznie powiększyła swoje szeregi<sup>22</sup>. Duża popularność sił

<sup>15</sup> D.I. Steinberg, *Burma/Myanmar...*, s. 90–93.

<sup>16</sup> M. Gravers, *Nationalism as Political Paranoia in Burma. An Essay on the Historical Practice of Power*, Taylor & Francis e-Library 2005, s. 87.

<sup>17</sup> E. Larkin, *Spustoszenie. Nieopowiedziana historia o katastrofie i dyktaturze wojskowej w Birmie*, Wołowiec 2013, s. 89.

<sup>18</sup> R. Egretau, *Histoire de la Birmanie...*, s. 104.

<sup>19</sup> M. Aung Myoe, *Building the Tatmadaw. Myanmar Armed Forces Since 1948*, Singapore 2009, s. 42.

<sup>20</sup> Por. Ł. Polniak, *Patriotyzm wojskowy w PRL w latach 1956–1970*, Warszawa 2011.

<sup>21</sup> M. Skidmore, *Karaoke Fascism. Burma and Politics of Fear*, Philadelphia 2004, s. 37.

<sup>22</sup> Pin-kwan Pratishtananda, *Contesting US hegemony: a case study on Myanmar*, „Asian Review” 2003, nr 16, s. 159.

zbrojnych jako pracodawcy wynikała z katastrofalnego stanu gospodarki. Pobory wojskowe, mimo że skromne, wypłacane były regularnie i zapewniały minimalny poziom egzystencji. Poza tym mnóstwo pieniędzy szło na zbrojenia<sup>23</sup>. Z powodu międzynarodowych sankcji broń kupowano m.in. w Związku Sowieckim (później w Rosji), Chinach i Pakistanie. Na początku lat dziewięćdziesiątych polski rząd – wywodzący się z Solidarności – sprzedał juncie helikoptery: dwadzieścia sztuk Mi-2 i trzynaście PZL W-3 Sokół. Birmańczycy zakupili m.in. salamandrę, czyli uzbrojoną wersję sokoła. Piloci *Tatmadaw* przeszli nawet specjalne szkolenie bojowe prowadzone przez Polaków, ale ostatecznie maszyna miała zostać przebudowana do wariantu transportowego<sup>24</sup>. Polskie śmigłowce posłużyły później armii do zwalczania grup rebelianckich<sup>25</sup>.

Trudno wyliczyć wszystkie zbrodnie popełnione przez wojsko na mniejszościach etnicznych. Walki z rebeliantami toczą się głównie w niedostępnych górzystych i dżunglowych terenach, z dala od większych miast. Informacje o bombardowaniach wiosek, torturach<sup>26</sup>, gwałtach, mordowaniu dzieci i strzelaniu do bezbronnych cywilów bardzo rzadko przedostają się do zagranicznych mediów. O ile w czasie protestów w 2007 r. świat w pewnym stopniu był zainteresowany rozwojem sytuacji w Birmie, o tyle permanentne walki z oddziałami Karenów i Kaczinów nikną w zalewie innych „newsów”. Odrębnym problemem są operacje przymusowych przesiedleń, czyli „czyszczenia przedpola”, prowadzone przez regularne jednostki *Tatmadaw*. Mieszkańcy wiosek pod groźbą użycia broni zmuszani są do opuszczenia swoich domów, zamieszkiwanych niekiedy od pokoleń, i szukania

nowego schronienia. Wysiedleniom najczęściej towarzyszy rabunek mienia<sup>27</sup>.

Birmańskie siły zbrojne liczące około 400 tys. żołnierzy stanowią społeczność samowystarczalną, zdolną do przetrwania bez pomocy instytucji cywilnych. Jeśli dodamy do tego oddziały paramilitarne, rodziny i krewnych, okaże się, że z aparatem wojskowym silnie związane są prawie 2 mln obywateli (4 proc. społeczeństwa)<sup>28</sup>. Ta odrębna grupa żyje własnym życiem, różnym od egzystencji przeciętnego Birmańczyka. Wojskowi mają swoje szkoły kształcące przyszłych oficerów i kadry administracji cywilnej, a gdy chorują, nie korzystają z niewydolnej publicznej służby zdrowia, lecz trafiają do bardzo dobrze wyposażonych szpitali. Powstało wiele przedsiębiorstw wspieranych lub zarządzanych przez wojskowych. W 1990 r. generałowie założyli The Union of Myanmar Economic Holding Ltd. (UMEHL) – jeden z dwóch (obok Myanmar Economic Corporation) największych holdingów zarządzanych bezpośrednio przez armię. Celem UMEHL miało być wspieranie organizacji kombatanckich i weteranów *Tatmadaw*, ale przedsiębiorstwo przejęło całkowitą kontrolę m.in. nad handlem kamieniami szlachetnymi i szybko stało się dla wojskowych i ich rodzin maszynką do zarabiania pieniędzy<sup>29</sup>.

Każdy ważniejszy inwestor zainteresowany ulokowaniem kapitału w Birmie musiał najpierw uzyskać zgodę wojskowych, zatrudnić część pracowników powiązanych z juntą i uiszczać pod stołem odpowiednie opłaty, aby biznes mógł się pomyślnie rozwijać. Dzięki temu mechanizmowi grupa pretorianów skutecznie opanowała strategiczne i dochodowe dziedziny gospodarki. *Tatmadaw* traktuje Birmę jako swoją własność. Dobrym przykładem jest jadeit, którego wydobyciem

<sup>23</sup> Szerzej: M. Aung Myoe, *Building the Tatmadaw...*, s. 105–130.

<sup>24</sup> *Problemy rozwoju śmigłowca W-3 Sokół*, „Polska Technika Lotnicza” 2006, nr 27, s. 10.

<sup>25</sup> M. Aung Myoe, *Building the Tatmadaw...*, s. 127–128.

<sup>26</sup> Por. *The Darkness We See: Torture in Burma's Interrogation Centers and Prisons*, Assistance Association for Political Prisoners (Burma), Thailand, XII 2005.

<sup>27</sup> Por. *Crimes in Northern Burma. Results from a Fact-Finding Mission to Kachin State*, Partners Relief & Development, XI 2011.

<sup>28</sup> D.I. Steinberg, *Burma/Myanmar...*, s. 101.

<sup>29</sup> M. Aung Myoe, *Building the Tatmadaw...*, s. 176–184.

w stanie Kaczin zajmują się chińskie przedsiębiorstwa współpracujące z juntą. Sprzedaż tych drogocennych kamieni przyniosła Birmie w 2011 r. około 8 mld dolarów dochodu, czyli ponad dwukrotnie więcej niż sprzedaż gazu ziemnego. Jedynie ułamek tej kwoty oficjalną drogą trafił do rządu, podczas gdy ogromne pieniądze wylądowały w kieszeniach chińskich oficjeli i birmańskich generałów<sup>30</sup>.

Junta na każdym kroku pokazuje swoje przywiązanie do buddyzmu. Według tradycji buddyzm powinien być religią państwową, monarcha odgrywa rolę jego patrona, opiekuna i strażnika<sup>31</sup>, gwarantuje mu uprzywilejowaną pozycję<sup>32</sup>. Mnisi otoczeni są w Birmie czcią. Generałowie dają do zrozumienia, że w sprawach religijnych kroczą tą samą drogą co zwykli mieszkańcy. Aby zjednać sobie *sanghę*, czyli wspólnotę buddyjskich mnichów, reprezentanci junty w obecności telewizji odwiedzają pagody, ofiarowują klasztorom datki pieniężne i materialne. Sami finansują budowę nowych świątyń. Najlepszym tego przykładem jest pagoda Uppatasanti w nowej stolicy Naypyidaw, zbudowana na polecenie szefa junty gen. Thana Shwe w 2009 r., tylko o 30 cm niższa od najświętszej dla Birmańczyków pagody Szwedagon w Rangunie. „Swoją” pagodę posiada również poprzedni szef junty – gen. Ne Win. W 1980 r. na jego polecenie u podnóża klasztoru Szwedagon powstała Maha Wizaya Pagoda. Wizyty oficerów w klasztorach są uwieczniane na fotografiach, które stanowią część stałej ekspozycji wewnątrz świątyń. Armia dotuje pewną liczbę klasztorów, dzięki czemu zamieszkujący w nich mnisi pozostają pod wpływem *Tatmadaw*, choć jak pokazały protesty z 2007 r., tego rodzaju finansowa inspiracja ma swoje granice.

Autorytarny system sprawowania władzy z nadrzędną rolą *Tatmadaw* wykluczał w Birmie parla-

mentarną walkę polityczną. Zmiany na szczytach władzy były wynikiem zakulisowych spisków oraz intryg. W sierpniu 2003 r. premierem został gen. Khin Nyunt, szef wojskowych służb wywiadowczych i bliski zaufany gen. Ne Wina. Jeszcze w tym samym miesiącu ogłosił projekt dochodzenia Birmy do demokracji, który przewidywał przygotowanie nowej konstytucji, zatwierdzenie jej i przeprowadzenie wyborów. Pomysł spotkał się ze sceptyczną reakcją opozycji i społeczności międzynarodowej, gdyż nie zawierał żadnych cezur czasowych – mógł być rozłożony na dziesięciolecia.

Rządy Nyunta po roku skończyły się obaleniem go w wyniku wewnętrznych rozgrywek<sup>33</sup>. Wraz ze współpracownikami z wywiadu został oskarżony o korupcję, choć prawdopodobnie odsunięto go z innych przyczyn<sup>34</sup>. Jako szef służb wywiadowczych utrzymywał dobrze rozwiniętą siatkę informatorów ulokowanych w różnych strukturach *Tatmadaw*. Dzięki temu wiele wiedział na temat nielegalnych biznesów prowadzonych przez członków junty, co mogło zagrażać innym oficerom z najwyższych szczebli. Został skazany na 44 lata więzienia, ale wylądował w areszcie domowym. Jego współpracowników z wywiadu wtrącono do więzień, a kadry Military Intelligence Service zostały zdziesiątkowane.

### Szafranowa rewolucja

Zachodnie środki masowego przekazu nazwały protesty z września 2007 r. szafranową rewolucją, bezrefleksyjnie nawiązując do zrywów społecznych w innych krajach. Mówiło się wtedy o pomarańczowej rewolucji na Ukrainie, rewolucji róż w Gruzji, cedrowej rewolucji w Libanie. W rzeczywistości protesty w Birmie nie były żadną rewolucją. Zdaniem Renauda

<sup>30</sup> A. Marshall, M. Zayar Oo, *Special Report: Myanmar old guard clings to \$8 billion jade empire*, [www.reuters.com/article/2013/09/29/us-myanmar-jade-specialreport-idUSBRE98S00H20130929](http://www.reuters.com/article/2013/09/29/us-myanmar-jade-specialreport-idUSBRE98S00H20130929) (dostęp 11 II 2014).

<sup>31</sup> Maung Win Shein, *Economic, Social and Political Changes in Burma (1886–1940). Its Effects on the Political and National Consciousness*, Wrocław 1987, s. 26.

<sup>32</sup> Maung Than Htun Aung, *Rozwój buddyzmu i medytacji vipassana w nowoczesnej Birmie*, „Azja – Pacyfik” 2010, nr 13, s. 91.

<sup>33</sup> D.I. Steinberg, *Burma/Myanmar...*, s. 130–132.

<sup>34</sup> R.H. Taylor, *The State in Myanmar*, Honolulu 2009, s. 484.



Egreteau terminami właściwie określającymi tamtejsze wydarzenia są rewolta bądź fronda *sanghi*. Rewolucja w języku birmańskim to *taw-hlan-yei*; słowo to oznacza zakłócenie porządku rzeczy i władzy<sup>35</sup>. Zatem nie była to ani rewolucja, ani nie miała koloru szafranowego, bo mnisi noszą w Birmie szaty ciemnoczerwone i kasztanowe.

Podłożem antyrządowych demonstracji były względy ekonomiczne; władze zlikwidowały dopłaty do paliw, co spowodowało znaczny (o około 60 proc.) wzrost cen benzyny, oleju napędowego (o prawie 100 proc.) i pięciokrotny wzrost cen gazu ziemnego<sup>36</sup>. W dużych miastach od razu utworzyły się długie kolejki przed stacjami benzynowymi, gdyż nikt nie wiedział, czy wojskowi nie ogłoszą kolejnych podwyżek. Niezapowiedziana decyzja o podniesieniu cen paliwa uderzała w najuboższych Birmańczyków, bo przyczyniła się do podwyżek cen biletów autobusowych i kolejowych, a tym samym żywności. Ludność wyszła na ulicę, by zmanifestować swój sprzeciw.

Na początku września 2007 r. protesty rozprzestrzeniły się na cały kraj. Prym w pokojowych marszach wiodli tym razem mnisi, którzy zbiorowo opuścili klasztory i w towarzystwie niezadowolonych z władz Birmańczyków maszerowali w Rangunie, Mandalaju i innych większych miastach. Bezpośrednią przyczyną zaangażowania się buddyjskich duchownych w antyrządowe demonstracje były wydarzenia 5 września 2007 r. w Pakkoku, mieście położonym w środkowej Birmie. Wojsko brutalnie rozbiło tam pokojową demonstrację mnichów, poważanie raniąc trzech z nich. Jak pisze Emma Larkin, dwóch zakonników przywiązano do latarni, następnie okładano kijami bambusowymi oraz kolbami karabinów. Podniesienie ręki na mnichów wywołało zgrozę, wzburzeni mieszkańcy wyszli na ulicę. Junta wysłała rządową delegację, która miała wyciszyć bunt, ale znalazła się w potrzasku,

gdy mnisi razem z mieszkańcami Pakkoku otoczyli ją w klasztorze. Dopiero po kilku godzinach udało się jej uciec tylnym wyjściem. Podziemny Sojusz Wszystkich Mnichów Birmy zażądał od władz przeprosin za skandaliczne zachowanie żołnierzy, grożąc zastosowaniem sankcji duchowych w razie odmowy okazania skruchy. I rzeczywiście je wprowadzono. Publiczna artykulacja nieposłuszeństwa wobec junty miała głęboko religijny wymiar, gdyż mnisi zastosowali specjalną karę zwaną potocznie *thabeik hmauk*. Polegała ona na odwróceniu misy na jałmużnę, co było najdotkliwszą karą duchową, jaką może wymierzyć zakonnik. Decyzja wymagała wielu spotkań i dyskusji najbardziej czcigodnych mnichów<sup>37</sup>.

Manifestacje miały spokojny przebieg, a antyrządowe hasła zdobywały coraz większe grono sympatyków. Mnisi bez pośpiechu podążali środkiem ulicy, a po obu stronach kroczyli razem z nimi mieszkańcy, tworząc kordon ochronny. 24 września w byłej stolicy odbyła się największa demonstracja od prawie dwudziestu lat, uczestniczyło w niej kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Można było zauważyć flagi z pawiem – symbolem Birmy, ale też znakiem rozpoznawczym Narodowej Ligi na rzecz Demokracji. Część protestujących podchodziła pod bramę przebiegającej w areszcie domowym Aung San Suu Kyi, która kilkakrotnie pozdrowiła zebranych.

26 września 2007 r. junta rozpoczęła krwawe tłumienie protestów. Demonstracje były rozbijane przez policję i prorządowe bojówki. Wielu ludzi zginęło od broni palnej, setki mnichów brutalnie pobito i aresztowano. W następnych dniach policjanci i żołnierze najeżdżali klasztory, których duchowni zaangażowali się w antyrządowe protesty, i wywozili ich do aresztów<sup>38</sup>. Przeciwnicy junty doświadczały nocnych wizyt funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa. Niektórzy trafili do okrytego złą stawą więzienia Insein.

<sup>35</sup> R. Egreteau, *Histoire de la Birmanie...*, s. 24.

<sup>36</sup> R. Horsey, *The Dramatic Events of 2007 in Myanmar: Domestic and International Implications [w:] Dictatorship, Disorder and Decline in Myanmar*, red. M. Skidmore, T. Wilson, The Australian National University E-Press 2008, s. 13–17.

<sup>37</sup> E. Larkin, *Spustoszenie...*, s. 114–115.

<sup>38</sup> R. Horsey, *The Dramatic Events...*, s. 18–20.

Na ulicy panował strach. Mieszkańcy Rangunu nie chcieli rozmawiać z cudzoziemcami o sytuacji politycznej, obawiając się donosów i policyjnych informatorów. Poznany przypadkiem mnich, który znał dobrze język angielski i oprowadzał mnie po mieście, przyznał, że jego współbracia z klasztoru chodzą na konspiracyjne spotkania ze studentami w prywatnych mieszkaniach.

Przemarszom mnichów w Rangunie towarzyszyły niekiedy religijne śpiewy i szybko powiększający się tłum gapiów, którzy dołączali do manifestacji. Jeden z takich pochodów miałem okazję bezpośrednio obserwować. 20 września 2007 r. znalazłem się w okolicy pagody Sule, w samym centrum Rangunu. W pewnym momencie na ulicy zrobiło się duże poruszenie, a po chwili można było usłyszeć gromkie i powtarzające się brawa. Gdy wybiegłem zobaczyć, co się dzieje, ukazała się setka mnichów, którzy w mocnym deszczu kroczyli środkiem jezdni. Obok nich chodnikiem podążali Birmańczycy, co chwilę dołączali nowi. Większość mnichów była bardzo młoda, ale ich obecność wywoływała wśród obserwujących widoczne uczucie dumy i radości. Zacząłem fotografować i w poszukiwaniu lepszego ujęcia wbiegłem na kładkę nad jezdnią. Niektórzy mnisi uśmiechali się do mnie i machali, ale inni pokazywali, żebym ich nie fotografował. Jak się później okazało, junta konfiskowała aparaty fotograficzne, kamery, a także analizowała zdjęcia ukazujące się w zagranicznych mediach i na tej podstawie wyszukiwała uczestników demonstracji<sup>39</sup>.

Mimo ulewnego deszczu, który przez kilka dni bez przerwy padał w Rangunie, na ulicach wciąż było niespokojnie. Reżim blokowaniem stron internetowych próbował limitować dostęp do informacji, ale nie spacyfikowało to masowych protestów. Cudzoziemcy i dyplomaci mieszkający w hotelach w Rangunie mogli – do czasu – na bieżąco śledzić, co się dzieje

kilka przecznic dalej, oglądając zagraniczne stacje telewizyjne, które pokazywały filmy i zdjęcia z demonstracji.

Z ukazującego się w języku birmańskim i angielskim dziennika „The New Light of Myanmar” („Nowe Światło Myanmar”) niczego nie można się było dowiedzieć. Pełni on funkcję propagandowej tuby reżimu, przypominając peerelowską „Trybunę Ludu”. Kilka lat temu większość informacji podawanych w gazecie dotyczyła zagranicznych wizyt i gospodarskich odwiedzin wysokich rangą członków junty, nie informowano natomiast o demonstracjach mnichów. Władze uruchomiły za to propagandową maszynę szermującą hasłami o stabilności państwa i patriotyzmie. Obszerny artykuł z 29 sierpnia 2007 r. dowodził, że Birmańczycy, którzy zgadzają się z krytyką reżimu prowadzoną przez zagraniczne środki przekazu, pozbawieni są patriotyzmu i razem z neokolonistami szkodzą krajowi<sup>40</sup>. Niemal w każdym numerze publikowano listę działaczy Narodowej Ligi na rzecz Demokracji, którzy zdecydowali się opuścić swoją partię<sup>41</sup>, twierdząc, że na ich decyzję wpłynął brak zaufania do Ligi<sup>42</sup>, brak politycznego programu oraz skłócenie liderów, „dążących tylko do przejęcia władzy w kraju”<sup>43</sup>. Gazeta za każdym razem podkreślała, że wszystkie deklaracje odejścia z Ligi podjęte zostały samodzielnie „i z własnej woli”. Wypisz – wymaluj reżimowa prasa PRL w okresie stanu wojennego. W propagandzie junty można było zauważyć ten sam schemat propagandowy, jaki zastosowała ekipa gen. Jaruzelskiego, publikująca po 13 grudnia 1981 r. listy działaczy Solidarności występujących ze związku i odzegnujących się od jego „ekstremy”.

Jeśli gdzieś w świecie poza Birmą eksplodowała bomba, rozbił się samolot, wybuchły walki zbrojne, nadeszła epidemia bądź trzęsienie ziemi – „The New Light of Myanmar” od razu o tym informowało. Tylko

<sup>39</sup> E. Larkin, *Spustoszenie...*, s. 124.

<sup>40</sup> Tekkatho Myat Thu, *Power of genuine patriotism safeguards the Union*, „The New Light of Myanmar”, 29 VIII 2007.

<sup>41</sup> 18 members quit Sagaing Township NLD, „The New Light of Myanmar”, 17 IX 2007.

<sup>42</sup> 16 resign from Mawlamyinegyun Township NLD, „The New Light of Myanmar”, 29 VIII 2007.

<sup>43</sup> NLD (HQ) has no specific programme. 17 members quit Sagaing Township NLD, „The New Light of Myanmar”, 20 IX 2007.

Kraj Tysiąca Pagód był wolny od wszelkich kataklizmów i pod jedynie słusznym kierownictwem wojska dążył spokojnie do dobrobytu<sup>44</sup>. Jak celnie zauważyła Emma Larkin, gazeta nie przedstawiała zjawisk takimi, jakie są, ale naświetlała je tak, jak chcieli tego generałowie<sup>45</sup>. W okresie narastania protestów pisano o wizytach generałów w buddyjskich świątyniach. Na pierwszej stronie numeru z 17 września 2007 r. zamieszczono długi artykuł wraz ze zdjęciami informujący o przedstawicielach junty, którzy dzień wcześniej wraz z rodzinami przekazali datki finansowe i materialne dla niektórych klasztorów<sup>46</sup>. Artykuł nie pojawił się przypadkowo; właśnie 17 września kończyło się postawione przez mnichów ultimatum w sprawie przeprosin władz za krwawe stłumienie demonstracji w Pakkoku. Reżim próbował w różny sposób przekupić starszyzną buddyjskich klasztorów, aby tylko nie włączała się do nasilających się protestów.

Podczas miażdżenia antyrządowych manifestacji zabito około setki cywilów, tysiące aresztowano. Skutkiem represji wobec przeciwników junty była także kompromitacja propagandy na rzecz kultywowania i pielęgnacji buddyzmu, jaką prowadzili wcześniej wojskowi. Strzelając do mnichów, zdarli z siebie maski obrońców tradycji i kultury birmańskiej. Zantagonizowali nawet ostrożną grupę duchownych.

## Cyklon i referendum

Pół roku po zdławieniu protestów mnichów Birnę nawiedziło kolejne nieszczęście: cyklon Nargis, który w maju 2008 r. uderzył w deltę Irawadi, powodując śmierć około 140 tys. ludzi. Tropikalny huragan, wiążący w porywach nawet 240 km na godzinę, wywołał największą klęskę żywiołową w historii Birmy. Ofiar byłoby jednak znacznie mniej, gdyby nie polityka junty. Wojskowi odmówili zagranicznym rządom oraz

międzynarodowym organizacjom zgody na prowadzenie akcji ratunkowej i udzielanie pomocy charytatywnej. Zginęły tysiące ludzi potrzebujących lekarstw i natychmiastowej pomocy. Wystane dary zostały zarekwirowane na lotnisku w Rangunie, a ci, którym udało się uzyskać wizę i wjechać do Birmy, i tak utknęli w byłej stolicy, gdyż armia nie pozwalała zapuszczać się na tereny ogarnięte katastrofą. „The New Light of Myanmar” nie informowało o zniszczeniach. Jeśli ten temat się pojawiał, to jedynie w krótkich artykułach ze zdjęciami „zapracowanych” generałów, którzy odwiedzali rannych w polowych szpitalach. Jak się później okazało, nawet te fotografie zostały sfingowane, a obóz dla uchodźców z terenów objętych kataklizmem został naprędce skonstruowany na potrzeby propagandy, stając się XXI-wiecznym przykładem wiosek potiomkinowskich. Junta represjonowała Birmańczyków, którzy nie czekając na administracyjne decyzje, z własnej woli i dzięki prywatnym funduszom organizowali pomoc.

Armia była w stanie poświęcić życie tysięcy własnych obywateli pod pretekstem obaw przed potencjalną agresją amerykańską. Dodajmy, że również w 1988 r. junta obawiała się amerykańskich *marines* i decyzja o przeniesieniu stolicy z Ranguny miała właśnie służyć lepszej organizacji obrony kraju przed inwazją Stanów Zjednoczonych. Fakt, że cyklon oszczędził Naypyidaw, został zinterpretowany przez wojskowych jako dowód ich przenikliwości i słusznej wiary w astrologiczne wyliczenia<sup>47</sup>.

Emma Larkin nie bez powodu nadała swojej znakomitej książce tytuł *Spustoszenie*. Niszczycielska siła żywiołu odsłoniła niekompetencję i brak profesjonalizmu rządowej administracji. Skorumpowani i niefachowi urzędnicy nie byli w stanie szybko reagować i zorganizować skutecznej akcji pomocowej. Scentralizowana struktura władzy okazała się

<sup>44</sup> R. Egreteau, *Histoire de la Birmanie...*, s. 178–179.

<sup>45</sup> E. Larkin, *Spustoszenie...*, s. 29.

<sup>46</sup> *Families of Defense Services and wellwishers donate cash, provisions to monasteries and nunnery in Sangyong, Thakayta and Dawbon Townships*, „The New Light of Myanmar”, 17 IX 2007.

<sup>47</sup> R. Egreteau, *Histoire de la Birmanie...*, s. 45–59.



kompletnie niewydolna. Setki ton darów zostały przechwycone przez siły zbrojne – nie wiadomo, czy trafiły do potrzebujących, czy też zasilły wojskowe magazyny. Mimo ogromnych strat ludzkich i materialnych, liczonych w miliardach dolarów, reżim gen. Thana Shwe nie przełożył referendum konstytucyjnego zaplanowanego na 10 maja 2008 r.; jedynie na zniszczonych terenach głosowanie odbyło się dwa tygodnie później. Generałowie nie wpuścili przedstawicieli organizacji charytatywnych, gdyż chcieli uniknąć niezależnych obserwatorów, którzy mogliby zaświadczyć o licznych cudach nad urną. Zmiana daty referendum nie wchodziła w grę również z powodów astrologicznych – wybrany termin miał zaowocować pomyslnością dla władzy.

Wyniki głosowania były zgodne z oczekiwaniami obserwatorów. Charakteryzowała je frekwencja wynosząca ponad 98 proc., a prawie 92,5 proc. głosujących poparło projekt nowej konstytucji. Nowa ustawa zasadnicza nie prowadziła do demokratyzacji systemu. Zapewniała *Tatnada*w władzę we wszelkich sferach, łącznie z gwarancją dla oficerów jednej czwartej miejsc w parlamentarnym Zgromadzeniu Unii (Pyidaungsu Hluttaw). Według do dzisiaj obowiązujących zapisów sprawy armii pozostają w wyłącznej kompetencji Ministerstwa Obrony Narodowej, a budżet wojskowy nie może podlegać kontroli i nadzorowi cywilnemu. Prezydent państwa wybierany jest na pięcioletnią kadencję, ale z kandydowania wyłączono osoby, których małżonek lub dzieci posiadają obce obywatelstwo. Zapis ten wymierzony był personalnie w Aung San Suu Kyi. Dwóch synów laureatki Pokojowej Nagrody Nobla miało paszporty Wielkiej Brytanii, co uniemożliwia prezydencką kandydaturę opozycjonistki. W artykule XIV, paragraf 445 junta zagwarantowała sobie również prawną nietykalność wobec jakichkolwiek prób osądzenia zbrodni popełnionych przez wojskowy reżim<sup>48</sup>.

Zgodnie z planem z 2003 r. kolejnym etapem zmian instytucjonalnych w Birmie było przeprowa-

dzenie wyborów według nowo przyjętej konstytucji. Narodowa Liga na rzecz Demokracji zadeklarowała udział w wyborach po wypełnieniu przez rząd pewnych warunków. Partia domagała się wprowadzenia zmian w ustawie zasadniczej, które zmniejszałyby rolę wojska w systemie politycznym, postulowała międzynarodowy nadzór nad procesem głosowania i dopominała się o wypuszczenie wszystkich więźniów politycznych, w tym Aung San Suu Kyi, skazanej w 2009 r. na trzy lata więzienia. Jej wyrok został zamieniony przez władze na areszt domowy, trwający osiemnaście miesięcy. W związku z brakiem chęci władz do liberalizacji prawa NLD odmówiła udziału w głosowaniu. Wyniki wyborów z 7 listopada 2010 r. nie były niespodzianką. Zdecydowaną większość głosów zdobył prorządowa Partia Solidarności i Rozwoju Związku (USDP). Junta ogłosiła zwycięstwo, ale przebieg głosowania urągał standardom demokratycznym.

## Odwilż

Pierwsze poważne reformy polityczne junta przeprowadziła w listopadzie 2010 r. Symbolicznym gestem było zwolnienie Aung San Suu Kyi z aresztu domowego i umożliwienie jej swobodnego podróżowania po kraju. Liderka opozycja kilkakrotnie spotkała się z prezydentem Theinem Seinem. Jednym z omawianych problemów był zapis w ordynacji wyborczej uniemożliwiający kandydowanie osobom skazanym. Do NLD należało wielu byłych więźniów politycznych, którzy przez to nie mieli szans na wejście do parlamentu. Gdy rząd w końcu zmienił kontrowersyjne przepisy, NLD zdecydowała się wziąć udział w wyborach uzupełniających w 2012 r. – i zdobyła 43 mandaty spośród 44, o które się ubiegała. Aung San Suu Kyi dostała się do parlamentu i stanęła na czele opozycji<sup>49</sup>.

Rząd prezydenta Theina Seina znacznie zliberalizował cenzurę w prasie i internecie. W wyniku

<sup>48</sup> D.I. Steinberg, *Burma/Myanmar...*, s. 143–146.

<sup>49</sup> Por. T. Maung Maung Than, *Myanmar's 2012 By-Elections. The Return of NLD* [w:] *Southeast Asian Affairs 2013*, red. D. Singh, Singapore 2013, s. 204–213.

amnestii ogłaszanych w latach 2011–2013 z więzień zwolniono tysiące ludzi. W październiku 2011 r. wprowadzono prawo zezwalające związkom zawodowym na organizowanie strajków. Junta wprowadziła również wiele reform ekonomicznych dotyczących spraw podatkowych, walutowych i antykorupcyjnych. Znacznie zliberalizowano prawo dotyczące zagranicznych inwestycji w Birmie; firmy zainteresowane ulokowaniem kapitału nie musiały już szukać lokalnego partnera, aby uruchomić działalność.

Reformy Theina Seina były nową jakością w porównaniu z wcześniejszymi dekadami rządów junty. Nowy kurs władz Birmy spotkał się z umiarkowanym optymizmem krajów zachodnich. Na przelocie listopada i grudnia 2011 r. do Birmy przyjechała amerykańska sekretarz stanu Hillary Clinton, która spotkała się zarówno z reprezentantami władz, jak i Aung San Suu Kyi. Rok później do Rangunu przybył sam Barack Obama jako pierwszy w historii prezydent Stanów Zjednoczonych składający oficjalną wizytę w Birmie<sup>50</sup>. „Nowe otwarcie” zostało nagrodzone przez Amerykanów, którzy zniesli większość sankcji ekonomicznych uniemożliwiających firmom ze Stanów prowadzenie biznesu w Birmie.

W ciągu kilku lat kraj mocno zmienił swoje oblicze. Mimo że wojskowi wciąż sprawują niepodzielnie rządy, to jednak reformy zmieniły codzienne życie Birmańczyków. Międzynarodowy kapitał dostrzegł w Birmie interesujące miejsce do inwestycji. Jak grzyby po deszczu powyrastały biurowce, banki i siedziby światowych korporacji. Zmalał strach, który przez wiele lat paraliżował Birmańczyków przed kontaktami

z cudzoziemcami i dyskusjami o charakterze politycznym. Krytyka reżimu w prywatnej rozmowie nie musi kończyć się aresztowaniem. W domach i restauracjach można zauważyć portrety Aung San Suu Kyi, a na ulicach kupić kalendarze i koszulki z emblematami Narodowej Ligi na rzecz Demokracji.

Liberalizację ekonomiczną wprowadzono ostrożnie, tak aby nie nadwyrężyć pozycji holdingów powiązanych z juntą<sup>51</sup>. Ogromne majątki takich firm jak Max Myanmar<sup>52</sup>, Kanbawza Bank Limited, Asia Wealth Bank czy Shwe Taung Group powstały na przestrzeni wielu lat dzięki dobrym koneksjom z rządzącymi oficerami. Wieloma z nich zarządzają rodziny bądź krewni wysokich rangą wojskowych z *Tatmadaw*, którzy wykorzystali reformy gospodarcze z lat dziewięćdziesiątych, wprowadzające częściowo wolny rynek<sup>53</sup>. Rozpoczęto wówczas prywatyzację pierwszych państwowych przedsiębiorstw<sup>54</sup>. Potentaci zmonopolizowali różne dziedziny gospodarki, jak przemysł wydobywczy, elektroniczny, telekomunikacyjny i budowlany. Konglomeraty powiązane z generałami zarobiły i wciąż zarabiają miliony dolarów na intratnych kontraktach z rządem<sup>55</sup>.

Po trwającej prawie pół wieku izolacji od świata zewnętrznego Birma stała się bardzo atrakcyjnym miejscem dla spragnionych nowych wrażeń turystów, którym znudziła się skomercjalizowana Tajlandia<sup>56</sup>. W 2012 r. Kraj Tysiąca Pagód odwiedziło ponad 2 mln ludzi, którzy zostawili tu setki tysięcy dolarów. Jeszcze w poprzedniej dekadzie część opozycji zniechęcała turystów do przyjazdu do Birmy, aby w ten sposób protestować przeciwko brutalnym rządowi junty. Takie

<sup>50</sup> *Remarks by President Obama at the University of Yangon*, 19 XI 2012, [www.whitehouse.gov/the-press-office/2012/11/19/remarks-president-obama-university-yangon](http://www.whitehouse.gov/the-press-office/2012/11/19/remarks-president-obama-university-yangon) (dostęp 10 II 2014).

<sup>51</sup> R. Egreteau, *Histoire de la Birmanie...*, s. 186–189.

<sup>52</sup> Por. E. Kinetz, *How a Myanmar tycoon is profiting from change*, <http://bigstory.ap.org/article/how-myanmar-tycoon-profiting-change-0> (dostęp 10 II 2014).

<sup>53</sup> *Ready, Aim, Sanction! Altsean Burma. Special Report*, Bangkok, XI 2003, s. 79–94.

<sup>54</sup> I. Brown, *Burma's Economy in the Twentieth Century*, Cambridge University Press 2013, s. 177.

<sup>55</sup> *Partial List of Cronies Who Provide Political and Financial Support for Burma's Ruling Regime. Prepared by Aung Din*, U.S. Campaign for Burma, VI 2011.

<sup>56</sup> M. Jarnecki, *W poszukiwaniu mistycznego autentyzmu, czyli Birma/Myanmar jako destynacja turystyki kulturowej*, „Turystyka Kulturowa” 2010, nr 2, s. 21–42.

podejście jest jednak coraz rzadsze. Według Aung San Suu Kyi indywidualni turyści mogą przynieść Birmie korzyść, jeśli będą postępować w odpowiedni sposób, czyli unikać infrastruktury rządowej, a wspierać restauracje, hotele i biura podróży prowadzone przez zwykłych Birmańczyków<sup>57</sup>. Mimo wielkiego boomu w ostatnich kilku latach sieć hotelowa wciąż jest bardzo słabo rozwinięta. Ogromny popyt i ograniczona podaż spowodowały znaczną podwyżkę cen za noclegi. Wciąż dochodzi do wyłączeń prądu, ale większość hoteli ma własne generatory. Najpopularniejsze turystyczne destynacje, takie jak Rangun, jezioro Inle, pagody w Baganie i plaże w Ngapali nad Zatoką Bengalską, są wielkimi placami budowy. Duża część bazy noclegowej należy do spółek powiązanych z reżimem, a w Ngapali część ziemi została skonfiskowana lokalnym rybakom przez wojsko w celu budowy nowoczesnych hoteli. Aby uniknąć finansowego wspomagania junty, należy więc w Birmie zachowywać się zgodnie z zasadami „odpowiedzialnej turystyki” i wspierać niezależne przedsięwzięcia lokalne<sup>58</sup>.

### Prognozy na przyszłość

Według Renauda Egreteau przekazanie władzy przez wojskowych na rzecz quasi-cywilnego rządu można traktować jako „transformację pretorianów”. Przez pewien okres generałowie – niczym starożytni pretorianie decydujący o wyborze cezara – mogą zwiększać bądź zmniejszać zakres własnego wpływu na decyzje polityczne, zza kulis mianować i odwoływać reprezentantów władz cywilnych, a także kształtować politykę gospodarczą. Pierwszym elementem redukcji ich roli w polityce było rozwiązanie w marcu 2011 r. Państwowej Rady Rozwoju i Pokoju. Ale w konstytucji z 2008 r. siły zbrojne zagwarantowały sobie stałe instrumenty oddziaływania na proces legislacyjny oraz niezmienną

liczbę członków zgromadzeń parlamentarnych na szczeblu krajowym i lokalnym. Dzięki temu bez zgody *Tatmadaw* nie można wprowadzić żadnych poprawek do konstytucji<sup>59</sup>. Zmiana ustawy zasadniczej jest zaś niezbędna, aby Aung San Suu Kyi mogła starać się o urząd prezydenta. Czasu zostało niewiele; wybory odbędą się w 2015 r. Prezydent w Birmie jest wyłaniany nie w wyborach powszechnych, lecz przez specjalne kolegium elektorckie, złożone z parlamentarzystów i wojskowych.

Jonathan Fisher zauważa, że na zewnątrz reformy z ostatnich lat wyglądają bardzo obiecująco. Wojsko zwolniło więźniów politycznych, a zmiana prawa, w tym liberalizacja cenzury, wpłynęła na status środków masowego przekazu. Zezwolono na zakładanie partii politycznych i związków zawodowych, opozycja uzyskała nieskrępowane prawo głosu w sprawach politycznych. Co więcej, organizacje pozarządowe skupiające byłych więźniów politycznych rozpoczęły dokumentowanie wszystkich więźniów politycznych z lat 1962–2013<sup>60</sup>. Liderce opozycji umożliwiono podróżowanie po Birmie oraz wyjazdy zagraniczne – dzięki temu zawiązała ona do Polski we wrześniu 2013 r. Symbolem odwilży i otwarcia kraju na świat były 27. Igrzyska Azji Południowo-Wschodniej, które odbyły się w grudniu 2013 r. w kilku birmańskich miastach. Ponadto w 2014 r. Birma przewodzi Stowarzyszeniu Narodów Azji Południowo-Wschodniej (ASEAN), co m.in. oznacza, że quasi-cywilny rząd będzie gospodarzem dwóch azjatyckich szczytów tej organizacji.

Ale gdy spojrzymy uważniej na sferę polityczną, zmiana w stosunku do wcześniejszych lat nie okaże się rewolucyjna. Armia utrzymała swe polityczne wpływy. Decyzja, czy Birma będzie kontynuować kurs prodemokratyczny, zależy tylko od generałów. Mogą oni przyspieszać lub hamować ten proces zależnie od

<sup>57</sup> *Lonely Planet Myanmar (Burma). Country Travel Guide*, 2011 (wyd. 11), s. 354.

<sup>58</sup> Por. K.K. Thett, *Responsible Tourism in Myanmar. Current Situation and Challenges*, Burma Center Prague 2012.

<sup>59</sup> R. Egreteau, *Patterns of Military Behavior in Myanmar's New Legislature*, „Asia Pacific Bulletin” 2013, nr 233.

<sup>60</sup> S. Yamin Aung, *Data Project Seeks to Record Stories of All Political Prisoners From 1962–2013*, 21 I 2014, [www.irrawaddy.org/burma/data-project-seeks-record-stories-political-prisoners-1962-2013.html](http://www.irrawaddy.org/burma/data-project-seeks-record-stories-political-prisoners-1962-2013.html) (dostęp 13 II 2014).

własnych interesów. Czy Aung San Suu Kyi nie wpadła zatem w pułapkę? Uczestnicząc w wyborach uzupełniających w 2012 r., uwiarygodniła ograniczoną transformację przeprowadzaną rękami wojskowych. Być może w zamian za obecność w parlamencie miała otrzymać zgodę na zmianę konstytucji i możliwość startu w wyborach prezydenckich. Minęły dwa lata i wciąż nie wiadomo, czy reżim dopuści do zmiany ustawy zasadniczej<sup>61</sup>. Specjalny komitet parlamentarny analizuje zgłaszane poprawki do konstytucji, ma wydać własne rekomendacje w zakresie proponowanych zmian. Większość mają w nim przedstawiciele rządzącej Partii Solidarności i Rozwoju Związku oraz wojskowi. Znamienne, że o ile Aung San Suu Kyi nawiązała dobre relacje z prezydentem Theinem Seinem oraz marszałkiem parlamentu Shwe Mannem, o tyle wciąż nie jest dopuszczana do gen. Mina Aung Hlaigna – naczelnego dowódcy birmańskich sił zbrojnych<sup>62</sup>, który być może również zechce kandydować w wyborach prezydenckich<sup>63</sup>.

Od czasu ponownego zarejestrowania Narodowej Ligi na rzecz Demokracji jako partii politycznej w 2012 r. w jej szeregach wstąpiły tysiące Birmańczyków; liczy ona dzisiaj ponad milion członków. Gdy NLD powstała w 1988 r., jej kierownictwo stanowiło mieszaną zróżnicowanych indywidualności, byłych więźniów politycznych i oficerów wywodzących się z *Tatmadaw*, których łączył jedynie sprzeciw wobec dalszych rządów junty. Za wspólnym sztandarem walki o demokrację kryły się często rozbieżne interesy poszczególnych grup<sup>64</sup>. Partia targana była wewnętrznymi sporami. Aung San Suu Kyi została sekretarzem gene-

ralnym, ale stanowisko przewodniczącego objął Aung Gyi, a jego zastępcą został Tin Oo – byli generałowie skłóceni z reżimem. Pierwszy z nich zrezygnował po kilku miesiącach, oskarżając NLD o odchylenie komunistyczne, i założył własną partię. Między 1990 a 2010 r. duża część liderów Ligi trafiła do więzień i aresztów domowych bądź wyemigrowała za granicę. W marcu 2013 r. w Rangunie odbył się pierwszy kongres partii, który potwierdził przywództwo Aung San Suu Kyi. Przyznała ona jednak, że w kuluarach toczyły się ciche spory frakcyjne. Działacze młodszy stażem domagali się dopływu świeżej krwi do kierownictwa Ligi; dużą część istotnych stanowisk partyjnych zajmują „wujkowie NLD” – 80- i 90-letni weterani opozycji, którzy nie chcą ustąpić miejsca młodszemu pokoleniu. Przykładem może być 87-letni Tin Oo, który wciąż pełni funkcję wiceprzewodniczącego NLD. Inny z liderów, 83-letni Win Tin, zwrócił uwagę na brak następców Aung San Suu Kyi, a także na mało rozpoznawalny drugi szereg polityków z partyjnego kierownictwa<sup>65</sup>.

W czasie kongresu NLD ogłosiła swój program polityczny. Będzie promowała pokojową transformację i przestrzeganie prawa, dążyła do budowy nowoczesnego państwa demokratycznego, opartego na sprawnej administracji oraz systemie sądowym wolnym od korupcji i nepotyzmu. Będzie brała pod uwagę postulaty mniejszości etnicznych i starała się je rozwiązywać w sposób polityczny. Liga opowiada się za gospodarką wolnorynkową, zwalczaniem ubóstwa, wzrostem wydatków na edukację i ochronę zdrowia, a także za wspieraniem rozwoju rolnictwa.

<sup>61</sup> J. Fisher, *Will Aung San Suu Kyi ever become president of Burma?*, 5 II 2014, [www.bbc.co.uk/news/world-asia-26043931](http://www.bbc.co.uk/news/world-asia-26043931) (dostęp 13 II 2014).

<sup>62</sup> M. Sitt Paing, *Suu Kyi Still Wants to Meet Burma Army Chief*, 16 I 2014, [www.irrawaddy.org/burma/suu-kyi-still-wants-meet-burma-army-chief.html](http://www.irrawaddy.org/burma/suu-kyi-still-wants-meet-burma-army-chief.html) (dostęp 14 II 2014).

<sup>63</sup> S. Mon Thazin Aung, *Is Burma's top general maneuvering for a run at the presidency?*, 15 I 2014, [www.foreignpolicy.com/articles/2014/01/15/the\\_man\\_to\\_watch](http://www.foreignpolicy.com/articles/2014/01/15/the_man_to_watch) (dostęp 14 II 2014).

<sup>64</sup> D.I. Steinberg, *Burma/Myanmar...*, s. 87.

<sup>65</sup> C.S. Kuppaswamy, *Myanmar: National league for Democracy Party Congress*, „Paper” nr 5424, 14 III 2013, [www.southasiaanalysis.org/node/1200](http://www.southasiaanalysis.org/node/1200) (dostęp 14 III 2014); K. Hsu Mon, *Suu Kyi urges party unity at first national congress*, 9 III 2013, [www.mmmtimes.com/index.php/national-news/4574-suu-kyi-urges-party-unity-at-first-national-congress.html](http://www.mmmtimes.com/index.php/national-news/4574-suu-kyi-urges-party-unity-at-first-national-congress.html) (dostęp 14 III 2014); *Burma's opposition NLD holds first congress*, [www.bbc.com/news/world-asia-21710640](http://www.bbc.com/news/world-asia-21710640) (dostęp 14 III 2013).



Jako istotną wartość uznaje rozwój biznesu, który przyniesie korzyści zarówno państwu, jak i zwykłym mieszkańcom<sup>66</sup>.

Najważniejszym celem NLD są obecnie wybory parlamentarne w 2015 r. W razie braku zmian w konstytucji kierownictwo partii będzie musiało podjąć bardzo trudne decyzje dotyczące udziału w wyborach<sup>67</sup>. Już jednak teraz pojawiają się głosy rozczarowania wobec Aung San Suu Kyi. Wciąż cieszy się ona wielką popularnością wśród Birmańczyków, lecz zwłaszcza przedstawiciele mniejszości etnicznych i religijnych spoglądają na jej działania sceptycznie. Często zarzucają jej brak zainteresowania represjami władzy w stosunku do lokalnych społeczności<sup>68</sup>. Na terenach kontrolowanych przez zbrojne oddziały rebeliantów NLD ma o wiele mniejsze poparcie niż partie grupujące mniejszości etniczne.

Mimo pewnej demokratyzacji aparat państwowy wciąż jest bezkarny. Organizacje pozarządowe zarzucają prezydentowi Theinowi Seinowi, że nie dotrzymał słowa i nie wypuścił wszystkich więźniów politycznych. Wedle danych Assistance Association for Political Prisoners (Burma) w styczniu 2014 r. w więzieniach przebywało 33 więźniów sumienia, a 148 oczekiwało na wyrok<sup>69</sup>. Do tej liczby należy dodać 22 więźniów należących do zbrojnych oddziałów rebelianckich, również traktowanych jako więźniowie polityczni<sup>70</sup>.

Wolność słowa w Birmie wciąż ma swoje granice. Wojskowi wykorzystują przepisy prawa karnego do wymuszania milczenia środków masowego przekazu, np. w sprawie represji wobec muzułmańskiej ludności Rohingya. Z kolei dziennikarz pisma „Unity” z Rangun, który pod koniec stycznia 2014 r. napisał o domniemanej fabryce broni chemicznej kontrolowanej przez *Tatmadaw*, został wraz z redakcyjnymi kolegami aresztowany i poddany przesłuchaniom<sup>71</sup>.

Dużym wyzwaniem jest kwestia mniejszości etnicznych posiadających własne oddziały zbrojne. Optują one za systemem federacyjnym z wieloetniczną armią. Obecnie *Tatmadaw* składa się głównie z Birmańczyków, piastują oni najważniejsze stanowiska w dowództwie i terenowych komendanturach. Z dużą częścią armii rebelianckich generałowie podpisali zawieszenie broni, ale na spornych terenach cały czas jest niespokojnie, co chwila wybuchają krwawe walki. W Birmie operuje co najmniej siedemnaście odrębnych oddziałów zbrojnych należących do grup etnicznych, które łącznie liczą około 100 tys. bojowników<sup>72</sup>. Oddzielnymi problemami pozostają reforma wymiaru sprawiedliwości, w tym wzmocnienie niezależności sędziowskiej, a także uporanie się przez władze z produkcją i przemytem narkotyków. Birma – położona w tzw. Złotym Trójkącie<sup>73</sup> – jest za Afganistanem drugim co do wielkości światowym producentem opium.

<sup>66</sup> National League for Democracy presents its policy, stance, and work programmes, „The New Light of Myanmar”, 15 III 2012; Myanmar opposition party to pursue policy of practicing democracy, 10 III 2013, [http://news.xinhuanet.com/english/world/2013-03/10/c\\_132223191.htm](http://news.xinhuanet.com/english/world/2013-03/10/c_132223191.htm) (dostęp 14 III 2014).

<sup>67</sup> D.I. Steinberg, Myanmar: election boycotts and democracy, 7 III 2014, [www.atimes.com/atimes/Southeast\\_Asia/SEA-03-070314.html](http://www.atimes.com/atimes/Southeast_Asia/SEA-03-070314.html) (dostęp 14 III 2014).

<sup>68</sup> P. Winn, Fate or fairytale: Can Aung San Suu Kyi become Myanmar's next president?, 24 II 2014, [www.globalpost.com/dispatch/news/regions/asia-pacific/myanmar/140217/myanmar-president-aung-san-suu-kyi-election-2015?page=0,0](http://www.globalpost.com/dispatch/news/regions/asia-pacific/myanmar/140217/myanmar-president-aung-san-suu-kyi-election-2015?page=0,0) (dostęp 14 III 2014).

<sup>69</sup> Monthly Chronology of Burma's Political Prisoners for January 2014, Association for Political Prisoners (Burma).

<sup>70</sup> S. Yamin Aung, 55 Political Prisoners Remain Behind Bars: Advocacy Groups, 5 II 2014, [www.irrawaddy.org/burma/55-political-prisoners-remain-behind-bars-advocacy-groups.html](http://www.irrawaddy.org/burma/55-political-prisoners-remain-behind-bars-advocacy-groups.html) (dostęp 14 II 2014).

<sup>71</sup> Y. Snaing, Sixth Unity Journal Staffer Detained for Questioning, 5 II 2014, [www.irrawaddy.org/burma/sixth-unity-journal-staffer-detained-questioning.html](http://www.irrawaddy.org/burma/sixth-unity-journal-staffer-detained-questioning.html) (dostęp 13 II 2014).

<sup>72</sup> S. Yan Naing, A Word Could Delay Burma's Peace Process: Ethnic Leaders, 21 I 2014, [www.irrawaddy.org/burma/word-delay-burmas-peace-process-ethnic-leaders.html](http://www.irrawaddy.org/burma/word-delay-burmas-peace-process-ethnic-leaders.html) (dostęp 14 II 2014).

<sup>73</sup> Górzysty obszar nachodzący na granice Birmy, Tajlandii i Laosu.

Reformy nie mogą zatrzymać się w pół drogi, gdyż kraj nękany jest także problemami ekonomicznymi. Powszechnie pleni się korupcja. Wśród młodzieży panuje duże bezrobocie. W protestach z 1988 r. wzięła udział duża część ludzi, którzy dorastali w okresie rządów gen. Ne Wina i nie pamiętali czasów demokratycznych. Z kolei uczestnikami marszów z 2007 r. byli często młodzi, którzy urodzili się już po 1988 r. Czy w razie wyhamowania reform następne lata przyniosą znowu prodemokratyczny bunt pokolenia młodych Birmańczyków?

Najbliższym sprawdzianem dobrej woli rządu będzie jego podejście do zmian konstytucyjnych proponowanych przez opozycję, które umożliwią Aung San Suu Kyi ubieganie się o urząd prezydenta. Pani Aung ostatnio przyznała, że bojkot wyborów jest jedną z możliwych opcji<sup>74</sup>. Na razie prezydent Thein Sein wydał rządowi ściśle tajną dyrektywę nakazującą przygotowanie się na masowe protesty i demonstracje, jakie mogą nastąpić w 2014 r. w związku z batalią o poprawki do konstytucji<sup>75</sup>. Birma wciąż znajduje się na rozwidleniu drogi demokratycznej i autorytarnej. Liberalizacja przesunęła kraj ku tej pierwszej ścieżce, ale wyłącznie od generałów zależy, czy proces ten będzie kontynuowany.

\* \* \*

We wrześniu 2007 r. Rangun przywitał mnie wszzechobecnym zapachem samochodowych spalin. Zapach ten pochodził od tysięcy starych, dwudzie-

sto-, trzydziestoletnich japońskich samochodów, które już w fabrycznych wersjach nie miały katalizatorów. Były one mocne wyeksploatowane, ale po licznych remontach wciąż służyły swoim właścicielom. Funkcję środków komunikacji miejskiej pełniły kanadyjskie chevrolety C-15 z drewnianą podłogą, pamiętające czasy drugiej wojny światowej. Pozostawione przez aliantów po kampanii birmańskiej ciężarówki na polecenie władz wojskowych zostały przerobione na autobusy, stając się po latach jeżdżącymi zabytkami.

Gdy sześć lat później przyjechałem do byłej stolicy Birmy, tego zapachu już nie było, a stare autobusy zostały oddane na złom<sup>76</sup>. Ulice zapęłniały nowsze i lepiej wyposażone auta sprowadzane głównie z Japonii i Korei Południowej. Był to kolejny rezultat zmian zapoczątkowanych przez nowy birmański rząd. Wcześniej własny samochód był synonimem luksusu i poza uprzywilejowaną grupą wojskowych mało kto mógł sobie na niego pozwolić. Większość mieszkańców korzystała z rowerów lub motorowerów. Poza tym Birma jest chyba jedynym krajem na świecie, w którym obowiązuje ruch prawostronny, a przeważająca większość samochodów ma kierownicę po prawej stronie. Z tego powodu często się zdarza, że obok kierowcy siedzi tzw. obserwator, który pomaga przy wyprzedzaniu. W tej byłej kolonii brytyjskiej do 1970 r. obowiązywał ruch lewostronny, ale niespodziewanie gen. Ne Win nakazał zmianę kierunku jazdy. Podano, że wpływ na tę decyzję miał osobisty astrolog żony dyktatora.

<sup>74</sup> L. Weng, *Shwe Mann: Article 59 Not Our Only Priority*, 23 I 2014, [www.irrawaddy.org/burma/shwe-mann-article-59-priority.html](http://www.irrawaddy.org/burma/shwe-mann-article-59-priority.html) (dostęp 14 II 2014).

<sup>75</sup> L. Thant, *Secret Order by Burma President Tells Ministries to Prepare for Riots*, 6 II 2014, [www.irrawaddy.org/burma/secret-order-burma-president-tells-ministries-prepare-riots.html](http://www.irrawaddy.org/burma/secret-order-burma-president-tells-ministries-prepare-riots.html) (dostęp 13 II 2014).

<sup>76</sup> *End of an era: Myanmar's 'big belly' Chevy buses from WWII face scrap*, [http://worldnews.nbcnews.com/\\_news/2012/11/26/15447661-end-of-an-era-myanmars-big-belly-chevy-buses-from-wwii-face-scrap?lite](http://worldnews.nbcnews.com/_news/2012/11/26/15447661-end-of-an-era-myanmars-big-belly-chevy-buses-from-wwii-face-scrap?lite) (dostęp 3 II 2014).



## STUDIA

# SPRAWA NIE TYLKO „TATERNIKÓW”

**BARTOSZ KALISKI**

dr, adiunkt w Instytucie Historii PAN  
w Warszawie, sekretarz redakcji  
„Kwartalnika Historycznego”,  
współpracownik Ośrodka KARTA.

Ruch protestu i niezadowolenia, jaki objął wiosną 1968 r. młode pokolenie Polaków (nie tylko studentów szkół wyższych), został w ciągu kilku tygodni zlikwidowany przez władze za pomocą represji policyjnych i różnego rodzaju szykan administracyjnych, jak relegowanie ze studiów. Doświadczenie aresztu i uwięzienia stało się udziałem setek młodych ludzi, ale to nie ono było najpowszechniejsze. W pamięć pokolenia, nazwanego odtąd pokoleniem marcowym, szczególnie głęboko zapadły kłamstwa komunistycznych mediów oraz brutalne metody propagandy wymierzonej zrazu przeciwko inteligencji (studentom i pisarzom), a potem – przeciwko sąsiedniej Czechosłowacji.

Spółeczeństwo tego kraju przeprowadzało wtedy wielki eksperyment – próbę nadania socjalizmowi nowej, sympatyczniejszej, ludzkiej twarzy. Przeszczep zdawał się przyjmować, co obserwujących to Polaków (zwłaszcza słuchaczy Radia Wolna Europa lub czytelników prasy emigracyjnej) napętniało nadzieją. Niestety eksperyment czesko-słowackiej wiosny został rychło – w sierpniu 1968 r. – przerwany przez armie Układu Warszawskiego (w tym wojsko PRL).

Maciej Kozłowski, główny bohater opisywanej tu historii (tatarnik, dziennikarz, z wykształcenia archeolog śródziemnomorski), pisał w tymże miesiącu z dalekiego Spitsbergenu do adresatki w Polsce: „jest tu z nami Czech, któremu zazdroścę, że jest Czechem, i przed którym mi wstyd, że jestem z tego kraju. Sytuacja jest chyba nie tyle ciekawa, co smutna i bardzo smutna”<sup>1</sup>. Jan Krzysztof Kelus, kolejny z bohaterów tej opowieści, stan swojego ducha w owym czasie ujął w prostych słowach piosenki: „może marzec lub sierpień, kto wie / nie pozwolił ci już dłużej / na godzenie się ze złem”<sup>2</sup>. Co prawda wiosną 1968 r. spokój zapanował w Warszawie, latem w Pradze i Bratysławie, a w listopadzie tego roku mógł się odbyć bez przeszkód V Zjazd PZPR, więc zdawało się, że system polityczny Polski Ludowej wrócił do równowagi, ale miał wielu całkiem nowych przeciwników. Jedynie metaforycznie można ich nazwać „pokoleniem czapki studenckiej”<sup>3</sup>, gdyż ogromna więk-

<sup>1</sup> Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej (AIPN), 591/1, t. 17, List M. Kozłowskiego do adresatki w Polsce, 1 IX 1968, k. 63. Artykuł powstał w ramach projektu NCN 2011/03/B/HS3/04768.

<sup>2</sup> Dalsza część strofy brzmiała: „zamiast świata twój adres zmienił się / Rakowiecka 37 M” (J.K. Kelus, *Piosenka o morzu* [w:] *Folklor marca '68*, oprac. G. Jaworska, H. Głowacki, Warszawa 1981, s. 23).

<sup>3</sup> M. Wolski, J. Kleyff, *Pokolenie czapki studenckiej* [w:] *ibidem*, s. 22.

zość z nich – opisywanych w tym artykule – miała już za sobą studia wyższe, a niektórzy wstąpili na ścieżkę znakomicie zapowiadającej się kariery naukowej na Uniwersytecie Warszawskim. Mniej lub bardziej przypadkowo stali się uczestnikami tego, co potem dzięki prasie krajowej i emigracyjnej znano jako sprawę taterników<sup>4</sup>.

Kozłowski, wspominając motywy swych działań w 1968 r., napisał: „potrzeba jakiejś formy protestu stawała się nakazem sumienia”<sup>5</sup>. Latem tego roku wyjechał z Polski – nie tylko po to, by wspiąć się w górach innych niż Tatry i pożyć trochę w kapitalistycznym świecie, który – choć pełen zauważalnych wad – jednak miał podstawową zaletę: był światem wolnym. W grudniu tego roku przybył do Instytutu Literackiego w podparyskim Maisons-Laffitte. Wiodła go nie tylko chęć bliższego poznania Jerzego Giedroycia (zetknął się z nim już wcześniej), ale przede wszystkim pragnienie zrealizowania z jego pomocą planu, kiełkującego od paru miesięcy. Planu zrazu lekko szalonego i improwizowanego, ale rokującego powodzenie: dostarczania przez góry do kraju w dużej liczbie publikacji emigracyjnych ukazujących się pod auspicjami „Kultury”. Publikacje te Kozłowski znał i czytał od kilku lat, próbował je – jak wielu przedstawicieli inteligencji humanistycznej w tym czasie – przywozić do Polski ze swych sportowych podróży zagranicznych. Niekiedy to się nawet udawało, częściej jednak książki i egzemplarze „Kultury” trafiały do magazynów urzędu celnego, skąd żadna siła nie była w stanie ich wydobyć.

Czytający Polacy mogli się z tymi publikacjami zapoznać zwłaszcza w okresie 1956–1957, gdy granica między PRL i światem Zachodu stała się bardziej przepuszczalna, a książki i czasopisma nie wydawały się

już tak groźne dla ustroju jak w okresie stalinowskim. Docierały więc do kraju szeroko, a Giedroyc za pośrednictwem pośta Koła Znak Jerzego Zawieyskiego podjął starania o uzyskanie oficjalnego debitu dla „Kultury” na obszar PRL. Starania nie przyniosły rezultatu, ale sam fakt, że je podjęto, oznaczał radykalną zmianę. U Giedroycia mógł publikować teksty publicystyczne nawet poseł komunistycznego sejmu z tego samego koła co Zawieyski – Stefan Kisielewski (demaskatorskie powieści jednak wydawał ostrożnie – pod pseudonimem). Rychło jednak – wraz ze wzrostem krytycyzmu „Kultury” wobec polityki Władysława Gomułki – krajowi autorzy zniknęli z jej łamów lub pojawiali się wyłącznie pod pseudonimami. „Kultura” stawała się pismem zakazanym ze wszystkimi tego konsekwencjami, także karnymi, dla tych, którzy chcieliby do niej pisywać lub przysyłać informacje<sup>6</sup>.

Być może przeceniamy wartość tego, co zakazane i niedostępne, ale „Kultura” w połowie 1968 r. stała się dla krajowego czytelnika pismem o niezwykłej wadze. Nawet jeśli nie miał jej nigdy w rękę, mógł o niej usłyszeć w Radiu Wolna Europa. Mógł nawet wysłuchać w tym radiu omówień i fragmentów artykułów, znaleźć tam krytyczne sądy na temat polityki PZPR (kampanii antysyjonistycznej, interwencji wojskowej w CSRS), jakie i jemu samemu przychodziły do głowy. Giedroyc przykładął dużą wagę do pozyskiwania materiałów do druku z Polski, zależało mu także oczywiście na dostarczaniu do kraju jak największej liczby egzemplarzy miesięcznika. Wysyłanie ich pocztą nie zawsze było skuteczne, przywożenie w bagażu osobistym – ryzykowne. Pomysł dostarczenia „Kultury” przez Tatry nie mógł się mu nie spodobać, a perspektywa otrzymywania z kraju gotowych, aktualnych tekstów dodatkowo go cieszyła. Publicy-

<sup>4</sup> Ten rozdział z historii demokratycznej opozycji w Polsce Ludowej nie doczekał się całościowego omówienia, wartość zachowują natomiast uwagi na ten temat Andrzeja Friszke, *Opozycja polityczna w PRL 1945–1980*, Londyn 1994, s. 251–254. Postawy wszystkich oskarżonych i przesłuchiowanych świadków w publikacji o charakterze raczej źródłowym niż analitycznym przedstawił Bartosz Kaliski, *Przerzut od Giedroycia*, „Karta” 2004, nr 40, s. 99–131. Proces skrótowo omówił Stanisław Milewski, *Proces Giedroycia per procura*, „Palestra” 2008, nr 5/6.

<sup>5</sup> M.K. [M. Kozłowski], *Sprawa taterników*, „Arka” 1988, nr 24, s. 96.

<sup>6</sup> „Przeciwko kilku myślom... co nie nowe!”. *Procesy krajowców za kontakty z paryską „Kulturą”*, red. M. Ptasieńska-Wójcik, Warszawa – Gdańsk 2006.

styczny komentarz na tematy polityczne oraz aktualne dowcipy umieszczane w dziale „Humor krajowy” podnosiły atrakcyjność czasopisma, zwiększały zasięg jego oddziaływania.

Niezadowolone środowisko literatów i bunt młodego pokolenia w 1968 r. kierownictwo PZPR interpretowało jednoznacznie jako wpływ antykomunistycznych środków masowego przekazu, głównie Radia Wolna Europa, ale także „Kultury”, szczególnie nie lubianej z powodu jej politycznej taktyki nagłaśniania wszelkich przejawów ideologicznego rozkładu komunizmu. Nic więc dziwnego, że po Marcu granica PRL stała się bardziej szczelna, a możliwości docierania miesięcznika się skurczyły. Nie bez znaczenia było także doświadczenie czesko-słowackiej wiosny, oceniane przez promoskiewskie partie komunistyczne jako skutek wpływów rewizjonistycznych, czyli braku ideologicznej czujności. Nie można zapomnieć także tego, że środowiska odbierające „Kulturę” w Polsce zostały zastraszone i zniechęcone, a częściowo znajdowały się już na emigracji.

Czy Maciej Kozłowski wiedział o tych narastających trudnościach z kolportażem? Przypuszczalnie nie; mimo paru wizyt w siedzibie „Kultury” raczej nie został wprowadzony w tajemnice wydawania czasopisma, acz nawiązał z członkami jego zespołu serdeczne więzi. Przede wszystkim zyskał zaufanie Giedroycia, który znał zresztą już od paru lat siostrę Macieja – Barbarę Kozłowską. Barbara była italianistką, pracowała na jednym z uniwersytetów włoskich (została wysłana tam jako stypendystka i lektorka przez Uniwersytet Jagielloński, odmówiła powrotu do kraju). Giedroyc próbował namówić ją do intensywniejszej współpracy z „Kulturą”, lecz Barbara miała ograniczony kontakt z przybywającymi do Włoch Polakami, nie mogła dostarczać relacji z kraju. Przetłumaczyła tylko jakiś krótki tekst na potrzeby miesięcznika (z języka rosyjskiego).

Maciej natomiast okazał się doskonałym współpracownikiem – ze swoją pasją dziennikarską i umiejęt-

nością nawiązywania kontaktów międzynarodowych, skłonnością do ryzyka. Nim zadebiutował w roli kuryera książek, zabrał głos jako komentator polityczny (dla dziennikarstwa porzucił wszak wyuczony zawód archeologa). Pod naprędce wymyślonym pseudonimem opublikował napisany na Spitsbergenie artykuł *Krajowiec wśród emigrantów* („Kultura” 1969, nr 1/2), w którym zawarł swoje doświadczenia w kręgach emigracji, głównie na Wyspach Brytyjskich, gdzie parę lat wcześniej spędził prawie rok. Skrytykował odejście emigracji londyńskiej od spraw krajowych i potępienie wszystkiego, co wiąże się z PRL. Nie deklarował lojalności wobec reżimu, ale domagał się zrozumienia panującej w kraju komplikacji postaw i motywacji – dialektyki niezadowolenia, zniechęcenia i zwykłego konformizmu. Społeczeństwo polskie nie jest już tak dychotomicznie podzielone na władzę i społeczeństwo jak dwadzieścia lat wcześniej – wywodził. Pesymistycznie ocenił też możliwości wpływu emigracyjnej opinii publicznej (zarówno sekcji polskiej Radia Wolna Europa, której poświęcił najwięcej miejsca, środowisk londyńskich, jak i „Kultury” paryskiej) na Polaków żyjących w kraju, stwierdzając, że między „ogółem emigracji a krajem powstała bardzo głęboka przepaść”<sup>7</sup>. Czytaniu wydawnictw Instytutu Literackiego w Polsce towarzyszy „atmosfera ciężkiego przestępstwa i mimo że nie oparta na żadnych realnych faktach, zapadła głęboko w świadomość podróżujących z Polski rodaków”. Nawiązując zapewne do własnych doświadczeń, nadmieniał: „wielu takich, którym kilkakrotnie »bibułę« skonfiskowano, podróżuje swobodnie” (czyli nie spotykają ich restrykcje paszportowe)<sup>8</sup>. Krótko mówiąc, zachęcał czytelników do ryzyka wiążącego się z przemycaaniem wydawnictw. Sam już wówczas planował ich przewożenie na większą skalę. Artykuł wywołał pewien odgłos, np. omawiano go na falach RWE.

W styczniu 1969 r. Kozłowski wraz z przyjacielem Andrzejem Mrozem przeszedł nielegalnie przez Tatry z Czechosłowacji do Polski (jego towarzyszy, socjolog

<sup>7</sup> J. Matis [M. Kozłowski], *Krajowiec wśród emigrantów*, „Kultura” 1969, nr 1/2, s. 167–174.

<sup>8</sup> *Ibidem*, s. 168.

i wybitny taternik, dzielił czas między PRL i Francję, gdzie miał narzeczoną). Oficjalne przekroczenie granicy państwa nakładało na powracającego z zagranicy obywatela PRL obowiązek oddania paszportu milicji w ciągu siedmiu dni. W zamian za to wydawano mu zdeponowany przed podróżą dowód osobisty. Ponowne otrzymanie paszportu nigdy pewnie nie było.

Podczas kilkudniowego pobytu w rodzinnym Krakowie Kozłowski namówił do współpracy przy przenoszeniu „Kultury” innego taternika i uczestnika protestów marcowych na Uniwersytecie Warszawskim – studenta geologii Macieja Włodka. Mróz zaś udał się do Warszawy, gdzie odszukał Krzysztofa Szymborskiego, pracownika naukowego katedry biofizyki UW, a przy tym swego dobrego znajomego z gór. Krzysztof przekazał mu wkrótce materiały ruchu studenckiego z 1968 r. – była to pierwsza porcja przesłana w ten sposób do Francji. Dostał je od Jakuba Karpińskiego, który z pomocą Małgorzaty Szpakowskiej archiwizował marcowe druki ulotne i rezolucje studenckie. Włodek ze swej strony wciągnął do pomocy Jana Krzysztofa Kelusa, doktoranta socjologii, będącego zresztą znajomym Karpińskiego. Kelusowi z kolei pomagała narieczona Urszula Sikorska.

Opracowany przez Kozłowskiego system w największym skrócie wyglądał tak: publikacje „Kultury” będą przywożone z Zachodu do Czechosłowacji i deponowane u podnóża Tatr u znajomych Słowaków, w tym także współpracowników Giedroycia, np. nauczyciela i byłego polityka Republiki Słowackiej (1939–1945) Pavola Čarnogurskiego. Stamtąd będą je odbierać kurierzy z Polski, znający drogę przez góry, którzy w skrytkach po słowackiej stronie granicy będą zostawiać materiały z kraju (korespondencję, artykuły, fotokopie itp.). Wymienione w akapicie powyżej osoby – z wyjątkiem Mroza przebywającego za granicą – stały się bohaterami sprawy taterników jako

podsaźni lub świadkowie na procesie odbywającym się w lutym 1970 r.

Czechosłowacja nawet kilka miesięcy po inwazji wojsk Układu Warszawskiego i zduszeniu praskiej wiosny wydawała się Kozłowskiemu dobrą skrzynką kontaktową, niemalże wolnym krajem<sup>9</sup>. Upewnił się co do tego podczas swych podróży, zwłaszcza na przełomie stycznia i lutego 1969 r. Przybył wówczas na pogrzeb Jana Palacha, który 16 stycznia 1969 r. podpalił się w proteście przeciwko rezygnacji i bez nadziei opanowującej społeczeństwo, a w istocie przeciw odwrotowi od postycyzniowej polityki rządzącej partii komunistycznej<sup>10</sup>. Samobójcza śmierć studenta wywołała ogromny oddźwięk wśród Czechów i Słowaków, spowodowała wielkie manifestacje solidarności, powrót nadziei. Kozłowski opisał te nastroje w dwu kolejnych artykułach dla „Kultury”: „A jednak to, co dzieje się nad Wełtawą, napawa optymizmem. [...] Po raz pierwszy od dwudziestu lat chore socjalistyczne społeczeństwo zeszło z barłogu. Ludzie podnieśli głowę. Zniknęły tabu zabraniające mówić wprost. I to nie tylko w łamów prasy czy z oficjalnych trybun. Ludzie, zwykli, szarzy obywatele, podnieśli głowy. Nie wstydzą się spojrzeć sobie w oczy. Są zdrowi. Wiele mówiono o opancerzonych transporterach przyjaciół jako o czynniku jednoczącym społeczeństwo czechosłowackiej republiki. Jednak wydaje mi się, że lekarstwem, które społeczeństwo uzdrowiło, było wolne słowo. Jednoznaczne, mówione wprost, ludzkie. To dzięki tej pół roku trwającej kuracji, gdy wreszcie owe transportery się pokazały, nie znalazł się nikt, by paktować z okupantem”<sup>11</sup>.

Na trumnie Palacha złożył wieniec z szarfą od polskich studentów i pisarzy (jeszcze w Paryżu rozmawiał o tym z emigrantem Sławomirem Mroźkiem), udzielił także wywiadu dziennikarzowi RWE, który relacjonował pogrzeb dla swego radia (granice Czechosłowacji były wówczas jeszcze względnie otwarte,

<sup>9</sup> Jerzy Giedroyc także doceniał rolę przemian politycznych w Czechosłowacji, w jednym z listów przyrównał ją do Piemontu (J. Giedroyc, C. Miłosz, *Listy 1964–1972*, oprac. M. Kornat, Warszawa 2011, s. 220, list z 2 IV 1969).

<sup>10</sup> Postycyzniowa polityka to określenie nowego kursu Komunistycznej Partii Czechosłowacji, zapoczątkowanego w styczniu 1968 r. odejściem ze stanowiska I sekretarza KC Antonína Novotného. Na jego miejsce przyszedł Alexander Dubček.

<sup>11</sup> J. Matis [M. Kozłowski], *Dżuma*, „Kultura” 1969, nr 3, s. 61.

a pogrzeb miał charakter oficjalny i masowy). Niektórzy znajomi w kraju rozpoznali głos Kozłowskiego.

Swoj drugi tekst o Czechosłowacji napisany na kanwie tej podróży kończył pełnymi nadziei słowami: „złamanie narodu, nawet niewielkiego, ale zjednoczonego, reprezentowanego przez przywódców obdarzonych zaufaniem, nie jest łatwe. O ile w ogóle możliwe”<sup>12</sup>. Gdy to pisał, przywódcą partii rządzącej w Czechosłowacji był nadal Dubček, ale następował już szybki odwrót od polityki postyczeniowej, choć w kręgach, z jakimi się stykał wtedy Kozłowski (głównie studenckich), nastroje nadal były bojowe, wręcz rewolucyjne. W kwietniu 1969 r. na miejsce symbolizującego socjalizm z ludzką twarzą Dubčeka przyszedł Gustáv Husák, który przyspieszył tzw. normalizację. Jednym z jej elementów miało być odcięcie Czechosłowacji od szkodliwych ideologicznie wpływów z Zachodu, usunięcie zwolenników odnowy z mediów i partii, na końcu zaś – represje administracyjne i karne<sup>13</sup>. Kolejne etapy akcji przetrzymywania książek odbywały się więc już w coraz mniej korzystnej sytuacji.

Na początku 1969 r. Kozłowski, przebywając w Paryżu, zetknął się z gronem polskich emigrantów – należeli do niego m.in. znajomy z gór Jacek Winkler, lektorka języka francuskiego Maria Tworkowska, pracujący na uniwersytecie w Kopenhadze taternik Marek Głogoczowski, architekt Aleksandra (Olga) Henner. W toku dyskusji narodził się pomysł stworzenia emigracyjnego ośrodka młodej inteligencji. Okazało się, że grupa myśli mniej więcej podobnie, a jej rzecznikiem i *spiritus movens* został właśnie Kozłowski. Tym samym akcja przenoszenia książek do kraju przestała być sprawą jednego entuzjasty i Redaktora, a stawała się aktem zbiorowego działania.

O grupie tej Kozłowski mówił na swym procesie rok później: „wszyscy byliśmy wychowani w Polsce

Ludowej i wszyscy byliśmy zgodni, że nie odpowiadają nam zarówno formy działania, jak i poglądy istniejących na Zachodzie organizacji czy ośrodków emigracji starej, przedwojennej. Myśmy natomiast byli żywo zainteresowani sprawami politycznymi Polski Ludowej i dlatego uznaliśmy wśród form działania, aby na pierwszym miejscu postawić oddziaływanie ideologiczne”<sup>14</sup>. Młodzi chcieli podtrzymać kontakt z krajem, oddziaływać na to, co się tam dzieje, wspierać przejawy liberalizacji politycznej i opozycyjnie nastawionych Polaków. Ich punktem wyjścia było skonstruowanie – oczywiście w świetle Marca ‘68 – braku jawności życia publicznego i ograniczenia swobód demokratycznych. Chcieli współdziałać z „Kulturą”. Wiosną 1969 r. złożyli w Maisons-Laffitte gremialną wizytę Giedroycowi. Ten w liście do Czesława Miłosza tak ich opisał: „Jest to pokolenie nastolatków bardziej doświadczonych (nauczyli się na marcu), w przeciwieństwie do marca to właściwie nie są komuniści i subtelności rewizjonistyczne ich nie interesują. Jeśli można tę mgławicę jakoś określać, to są oni hum[anistycznymi] socjalistami, pod dużym wrażeniem wypadków czeskich. Co mnie u nich pociąga, że pomalutku i po raz pierwszy zaczynają rozumieć konieczność akcji międzynarodowej, tj. szukania kontaktu z Czechami, Rosjanami, Ukraińcami etc., zaczynają doceniać problematykę społeczną i gospodarczą (robotnicy). [...] Chodzą przez granicę nielegalnie, nosząc książki. Jest to atmosfera, której nie znałem dotąd, jedynie z literatury. [...] Teraz opracowują mi w kraju numer „K[ultury]”, który będzie całkowicie przez nich opracowany”<sup>15</sup>.

Redaktor doceniał zapał tych młodych ludzi, lecz – jak się wydaje – największe nadzieje wiązał z Kozłowskim. Relatywnie niedawno opuścił on kraj, poza tym Giedroyc znał go najdłużej. Inni członkowie grupy, w tym Barbara Kozłowska, nie mieli tak żywego kon-

<sup>12</sup> J. Makowski [M. Kozłowski], *Praga 1969*, „Kultura” 1969, nr 3, s. 80–84.

<sup>13</sup> Z. Doskočil, *Duben 1969 (anatomie jednoho mocenského zvratu)*, Brno 2006, *passim*, zob. szczególnie rozdział *Iluze se rozplývají*, s. 231–271.

<sup>14</sup> AIPN, 0204/23, t. 10, Protokół przesłuchania podejrzanego M. Kozłowskiego, 3 VII 1969, k. 109–111.

<sup>15</sup> J. Giedroyc, C. Miłosz, *Listy...*, s. 239 (list z 20 V 1969).



taktu z Polską; mieszkali za granicą na ogół już od paru lat, skazani na dole i niedole emigrantów. Zresztą i sam Kozłowski – najbardziej dyspozycyjny i rzutki – myślał o studiach w Stanach Zjednoczonych, więc jego zaangażowanie w przemysł przez Czechosłowację miało być ograniczone w czasie (Giedroyc za pośrednictwem Zbigniewa Brzezińskiego poczynił nawet starania o przyznanie mu stypendium na uniwersytecie Harvarda).

Wspólnym głosem grupy, nazwanej później przez Służbę Bezpieczeństwa chwytliwym propagandowo mianem grupy paryskiej<sup>16</sup>, stał się opracowany we Francji i powielony w maju w Pradze – podczas ostatniej, pechowej podróży Kozłowskiego do Czechosłowacji – „Biuletyn Niecenzurowany”. Ów tamizdatowy (jak powiedzieliby Rosjanie) kilkunastostronicowy druk miał być przeniesiony do Polski wraz z innymi wydawnictwami „Kultury”, ale kolportowany osobno, innymi niż książki kanałami. Zamieszczono w nim kilka tekstów, napisanych w istocie przez dwóch autorów – Kozłowskiego i Mroza<sup>17</sup>. Nie doszło do jego kolportażu ani w Czechosłowacji, ani w Polsce.

Niełatwo odtworzyć program polityczny, jaki przyświecał twórcom „Biuletynu Niecenzurowanego”. Należałoby rzec, że dyskusja nad treścią i układem czasopisma była dopiero etapem drogi wiodącej do sformułowania takiego programu, drogi nigdy niezakończonej. W artykule wstępnym Kozłowski pisał: „Oddając pierwszy numer Biuletynu do rąk czytelnika, jesteśmy w pełni świadomi konsekwencji, jakie tego rodzaju publikacja może pociągnąć za sobą. [...] Swobodna konfrontacja idei i poglądów jest niezbędnym warunkiem prawidłowego rozwoju życia społecznego. Wydarzenia ostatniego roku spowodowały, że konfrontacja taka nawet w tych skromnych warunkach, do jakich ograniczono ją od czasów października

[1956 r.], stała się niemożliwa. Społeczeństwo pozbawione tej możliwości zaczyna chorować, a skutki tej choroby: cwaniactwo, cynizm, oportunistyczny publicznego. Zbyt leży nam na sercu los naszego kraju, byśmy mogli patrzeć na taki stan rzeczy z założonymi rękami”<sup>18</sup>.

Pierwszy przerzut książek w lutym 1969 r. udał się znakomicie. Publikacje ze Słowacji przyniósł Włodek (kilkadziesiąt egzemplarzy). W marcu Kelus i Włodek udali się na słowacką stronę Tatr po kolejną kontrabandę, lecz zawiodła komunikacja między Kozłowskim i jego kolegami w Warszawie – książek nie było. Obaj taternicy zostawili materiały dla Kozłowskiego u znajomego Słowaka i rozczarowani wrócili do Warszawy (nie bez znaczenia był także fakt, że przechodząc przez Tatry Wysokie, omal nie stracili życia w lawinie pod Rysami). W następnym miesiącu doszło do – utrwalonego nawet na zdjęciach<sup>19</sup> – spotkania na szczycie Rysów Kozłowskiego i Mroza z jednej strony oraz Włodka i jego narzeczonej Mirosławy Szatoplech z drugiej. Włodek przekazał przybyszom z Zachodu kolejną porcję maszynopisów, otrzymując od nich worek wypchany książkami „Kultury” (reszta transportu czekała u podnóża gór, u jednego z wtajemniczonych Słowaków). Paczkę prawie stu książek Włodek zniósł tylko do Czarnego Stawu pod Rysami. Innego dnia przenieśli je stamtąd niżej i zawieźli do Warszawy Kelus z Sikorską. Nieostrożność Kozłowskiego, który w obecności Włodka spotkał się w tych dniach ze swoją matką na oczach celników na Łysej Polanie, spowodowała, że Kelus postanowił odsunąć Włodka od pracy konspiracyjnej i przejął kierowanie akcją z ramienia grupy nazwanej później przez SB warszawską. Do pomocy namówił swego kolegę i studenta matematyki Jacka Staszela.

<sup>16</sup> Jedną z dyspozycyjnych w okresie Marca '68 dziennikarek pisała o nich: „gromadka młodych kosmopolitów, którzy wyemigrowali z Polski, powiązana z europejskimi ośrodkami trockistowskimi” (A. Reutt, *Za drobną monetę*, „Walka Młodych”, 22 III 1970).

<sup>17</sup> Jego zawartość omawiam dokładnie w: B. Kaliski, *Maciej Kozłowski i „Biuletyn Niecenzurowany”. Nieznany rozdział z dziejów drugiego obiegu w Polsce (1969 r.)* [w:] *W świecie nie tylko niezłomnych i kolaborantów... Postawy dziennikarzy w kraju i na emigracji 1945–1989*, red. T. Wolsza, P. Wójtowicz, Warszawa 2014 (w druku).

<sup>18</sup> *Ibidem*.

<sup>19</sup> B. Kaliski, *Przerzut od Giedroycia...*, s. 99; A.S. Kowalczyk, *Giedroyc i „Kultura”*, Wrocław 2000, s. 236.



Na początku maja 1969 r. przez ponad tydzień przebywała w Polsce Maria Tworkowska, oficjalnie w odwiedzinach u rodziny w Warszawie (jako osoba mieszkająca od dziesięciu lat we Francji posługiwała się paszportem konsularnym). Jej zadaniem było namówić do współpracy przy przenoszeniu książek Michała Jagiełłę, polonistę i etatowego pracownika Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego, mieszkającego w Zakopanem (dysponował on szerokimi znajomościami po słowackiej stronie gór, miał także prawo jako ratownik do przekraczania granicy). Tworkowska spotkała się z Kelusem, ustalając datę kolejnego transportu, który planowano pod koniec tego miesiąca. Ponadto przywiozła do Warszawy ukrytą w papierosie ulotkę *Rządźcie sami - wybierajcie się sami*. Ulotka po powieleniu w Polsce miała być kolportowana przed wyborami do sejmu, które przypadają na 1 czerwca 1969 r. Innych wyznaczonych przez grupę z Paryża zadań nie udało się jej zrealizować.

21 maja Kozłowski przyjechał do Czechosłowacji samochodem dosłownie wypełnionym wydawnictwami „Kultury”. Towarzyszyła mu Tworkowska, która zdecydowała się na tę podróż w ostatniej chwili, jako osoba najmniej związana obowiązkami w Paryżu (swe kilkuletnie dziecko zostawiła pod opieką Winklera). Część książek zabrano im już na granicy czechosłowacko-zachodnoniemieckiej, co dowodziło zwiększonej czujności służb celnych CSRS i powinno wzbudzić u dwojga kurierów obawy, czy ich wyprawa ma sens. Postanowili jednak jechać dalej. Droga prowadziła przez Pragę (gdzie z pomocą studentów czeskich powielili w kilkuset egzemplarzach „Biuletyn Niecenzurowany”) do Starego Smokowca. Tam oboje zostali zatrzymani i na granicy w Łysej Polanie przekazani w ręce Służby Bezpieczeństwa.

Niełatwo odpowiedzieć na pytanie, dlaczego eskapada Kozłowskiego i Tworkowskiej stała się znana SB. Wiemy, że od końca kwietnia 1969 r. funkcjonariusze śledzili Włodka, ale ten na mocy podyktowanej ostrożnością decyzji Kelusa był w tym czasie już

odsunięty od całego przedsięwzięcia. W maju koleldy Kozłowskiego w kraju nie podejmowali niemal żadnych działań, oczekiwali jedynie dostawy książek (aczkolwiek nie było jeszcze przesądzone, kto je przez granicę przeniesie; o przygotowywaniu „Biuletynu Niecenzurowanego” nie mieli pojęcia). Na temat tego, co SB mogła wiedzieć o działaniach Giedroycia i grupy paryskiej, możemy jedynie snuć przypuszczenia, gdyż akta wywiadu PRL, który zajmował się inwigilacją emigracji politycznej, w tym „Kultury”, zostały w większości zniszczone.

Kilka dni po aresztowaniu Kozłowskiego i Tworkowskiej SB aresztowała Karpińskiego i Szymborskiego. Szpakowska siedziała już w areszcie od 1 marca 1969 r., zatrzymana w tzw. sprawie chemików (grupy pracowników naukowych skupionych wokół Jacka Bukowskiego, szczególnie aktywnych wiosną 1968 r.; zostali ujęci, gdy próbowali robić fotokopie książek „Kultury”). W czerwcu aresztowania i przesłuchania dotknęły kilku niemających bezpośredniego związku ze sprawą członków Klubu Wysokogórskiego z Krakowa i Warszawy. W lipcu SB, opierając się na zebranych zeznaniach, aresztowała Włodka, Sikorską i Kelusa, grono związanych w Marcu z Szymborskim młodych ludzi i jego samego (niektórzy z nich, np. Aleksander Mackiewicz, utrzymywali kontakt z „komandosami”<sup>20</sup>, co dla organów ścigania stanowiło dodatkowy argument za użyciem środka zapobiegawczego w postaci aresztu).

Można było odnieść wrażenie, że SB chce wyrównać rachunki z tymi, o których działalności politycznej w poprzednim roku nie wiedziała, lub z tymi, którzy nie dali się jej złamać. Do tych ostatnich zaliczał się Karpiński, współautor sformułowanej niekomunistycznym językiem opozycyjnej platformy *Deklaracja ruchu studenckiego*; przebywając od maja do września 1968 r. w areszcie, konsekwentnie odmawiał zeznań w toczących się śledztwach przeciwko organizatorom wiecu 8 marca 1968 r. na UW, a w oczach SB uchodził za jednego z „komandosów”. Mróz, Głogoczow-

<sup>20</sup> O środowiskach „komandosów” zob. A. Friszke, *Anatomia buntu. Kuroń, Modzelewski i komandosi*, Kraków 2010, s. 355–596.

ski i Kozłowska pozostawali poza zasięgiem aparatu ścigania PRL, ale pomocy polskiej stronie udzieliła czechosłowacka Státni Bezpečnost, przesłuchując mieszkających w Pradze i na Śląsku Cieszyńskim Polaków, a także obywateli CSRS, z którymi widywał się Kozłowski, np. Agnieszkę Holland, studiującą wtedy reżyserię w Pradze (zszywała wydrukowany biuletyn), lub dziennikarza Jiříego Lederera, polonofila, zwolennika Dubčeka<sup>21</sup>. Powiązania między tymi wszystkimi osobami, luźne, epizodyczne albo dawno nieaktualne, wystarczyły do skonstruowania opowieści o międzynarodowym antysocjalistycznym spisku – oraz jego krajowych wykonawcach i zagranicznych mocodawcach spod znaku CIA. Głównym oskarżonym (*per procura*) stał się Jerzy Giedroyc, a w serii publikacji prasowych przygotowujących proces działalność wydawnicza „Kultury” została przedstawiona w zniekształconej propagandowo perspektywie. Z Instytutu Literackiego w Paryżu zrobiono agendę amerykańskich służb wywiadowczych, nastawioną nie na publikowanie książek i czasopism, lecz na pozyskiwanie tajnych wiadomości z krajów socjalistycznych, czyli działalność *stricte* szpiegowską.

Jesienią 1969 r. w areszcie przy ul. Rakowieckiej w Warszawie przebywało około dwudziestu osób, wszyscy mieli status oskarżonych (zeczając równocześnie w sprawach innych jako świadkowie), ale do rozprawy sądowej procesu wyznaczonej na luty 1970 r. wytypowano ostatecznie tylko pięcioro z nich. Kelus w swych wspomnieniach trafnie ujął intencje Biura Śledczego MSW. Bohaterami procesu pokazowego mieli być: „Sprzedajny Dywersant, Towarzyszka Sprzedajnego Dywersanta, Niezłomny Ideolog, Towarzyszka Niezłomnego Ideologa oraz Skruszony i Załamany. Albo krócej: dwójka obcych z Zachodu i zwerbowana przez nią trójka tubylców. Reszcie przypisano rolę statystów”<sup>22</sup>. Akt oskarże-

nia – rozwlekły, niekonkretny, pełen propagandowych sloganów i podbudowany opinią „eksperta” MSW na temat szkodliwej działalności „Kultury” – nosił datę 24 grudnia 1969 r. Postawieni przed sądem Kozłowski i Tworkowska zostali oskarżeni z art. 5 tzw. małego kodeksu karnego (tj. dekretu z 1946 r.) o wejście w porozumienie z osobą działającą w interesie obcego rządu lub obcej organizacji w celu działania na szkodę Państwa Polskiego (artykuł przewidywał karę od 5 lat więzienia wzwyż). Ten sam zarzut otrzymał Niezłomny Ideolog, czyli Karpiński, również teraz odmawiający zeznań. Szpakowska zaś jako osoba z nim współdziałająca w przepisywaniu ulotek i druków – zarzut z art. 23 mkk (rozpowszechnianie lub sporządzanie opracowań zawierających fałszywe wiadomości mogące wyrządzić istotną szkodę interesom Państwa Polskiego bądź obniżyć powagę jego naczelnych organów, zagrożone karą nie mniejszą niż 3 lata pozbawienia wolności). Ostatni w powyższym wyliczeniu Kelusa, czyli Szymborski, dostał także zarzut z art. 5 mkk. 1 stycznia 1970 r. wszedł w życie nowy kodeks karny, więc wyrok zapadł już z odwołaniem do odpowiednich artykułów ujmujących te same „przestępstwa” (przewidywały one kary niewiele mniej surowe niż mkk).

Karpiński w swej autobiografii słusznie opisywał proces jako kontynuację tradycji procesów politycznych z lat pięćdziesiątych: „Taki proces nie zawsze jest skupiony wokół określonego czynu, bo czyn bywa nieuchwytny; przepis prawny i zarzut opisują przestępstwo w sposób rozwodniony, luźno, niejasno. Niezbyt wiadomo, po czym miałyby się poznać, że czyn popełniono. Mówi się o zmierzaniu do czegoś, o przygotowaniach, działaniach wyróżnianych przez ów domniemany cel, a nie przez przebieg i skutki. Sąd rozpatruje zagadnienia znacznie mniej określone niż w przypadku zwykłych czynów kryminalnych: opisuje zamysły, plany, chęci, o których mają świadczyć

<sup>21</sup> Na przetomie 1971 i 1972 r. w Czechosłowacji w dwóch procesach karnych na bezwzględne lub warunkowe kary pozbawienia wolności za pomoc użyzoną Kozłowskiemu lub za współpracę z samym Giedroyciem skazano w sumie cztery osoby – Polkę Agnieszkę Holland i troje obywateli CSRS.

<sup>22</sup> J.K. Kelus, W. Staszewski, *Był raz dobry świat*, Warszawa 1999, s. 41.

zeznania składane w więzieniu, zasłyszane rozmowy, przejęte listy, znalezione notatki”<sup>23</sup>. Ważna dla sądu była wina obiektywna, a nie subiektywne poczucie popełnienia lub niepopętnienia czynu karalnego<sup>24</sup>. Oskarżyciele nie starali się więc dowodzić, że oskarżeni mieli świadomość „wchodzenia w porozumienie z obcą organizacją”, i ignorowali ich rzeczowe wyjaśnienia. Posađni zresztą generalnie nie spełnili oczekiwań i przełamywali scenariusz rozprawy, np. Kozłowski i Szymborski deklarowali pewne przywiązanie do ideałów socjalistycznych, nie próbując bynajmniej występować z pozycji ideologicznych przeciwników ustroju, raczej przedstawiając się jako naprawiacze jego (skądinąd rozlicznych i poważnych) usterek, a Szpakowska przedstawiała się jako intelektualistka broniąca zagrożonej przez politykę kultury. Wspaniałe przemówienie wygłosił Karpiński, odmówił jednocześnie odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania sądu i stron.

Przewód sądowy trwać miał pierwotnie czternaście dni, skrócono go do dwunastu, rezygnując z wzywania niektórych z 36 ujętych w aktach sprawy świadków. Przed sądem stanęło w sumie jedenastu świadków (w tym Kelus, Włodek, Sikorska, Jagiełto). Prokurator zażądał dla Kozłowskiego wyroku 5 lat pozbawienia wolności, dla Szymborskiego 4,5 roku, dla Tworkowskiej i Karpińskiego po 4 lata, dla Szpakowskiej 3 lat. 24 lutego 1970 r. warszawski Sąd Wojewódzki skazał Kozłowskiego na 4,5 roku, Szymborskiego i Tworkowską na 3,5, Karpińskiego na 4, Szpakowską na 3 lata, z tym że jeszcze na rozprawie głównej na mocy ustawy amnestyjnej (ogłoszonej z okazji dwudziestopięciolecia PRL 21 lipca 1969 r.) wyroki obniżono. Dzięki temu jako pierwsza wiośna 1970 r. opuściła więzienie Tworkowska, latem 1970 r.

wyszła z niego Szpakowska. Karpiński, Szymborski i Kozłowski skończyli odbywanie kary w 1971 r., przy czym główny oskarżony – jako ostatni, bo dopiero we wrześniu 1971 r., po ponad dwu latach pozbawienia wolności.

Krótkotrwała, choć intensywna działalność wyżej opisanych młodych ludzi miała na celu otwarcie kanałów łączności kraju z emigracją polityczną, pobudzenie środowisk inteligencji w Polsce do krytycznej refleksji o sprawach państwa i narodu, wreszcie pokazanie, że obywatele PRL bynajmniej nie zgadzają się z rządzącymi – nie zapomnieli podłej kampanii propagandowej Marca i brzydzą się udziałem Wojska Polskiego w odbieraniu wolności Czechom i Słowakom. Wskutek nieraz pełnych poświęceń i niebezpiecznych akcji udało się przesać do Paryża cenne materiały źródłowe z okresu Marca i praskiej wiosny (złożyły się na dwa tomy dokumentów wydane przez Giedroycia jeszcze w 1969 r. – *Dokumenty marcowe i Polskie przedwiośnie*). Na łamy „Kultury” tą samą drogą trafiło kilka tekstów publicystycznych autorów krajowych i znakomite literacko opowiadanie „Koraba” (tj. Józefa Hena) *Western*, czerpiące z doświadczeń antysyjonistycznej kampanii Marca. Czytająca publiczność w Polsce otrzymała mniej niż 200 egzemplarzy publikacji Instytutu Literackiego. Czy było warto zapłacić za to kilkuletnim więzieniem? Odpowiedział na to pytanie Maciej Kozłowski w cytowanym już na wstępie wspomnieniu. To, co zrobił wraz ze swymi znajomymi i przyjaciółmi, było jedną z największych do czasu powstania obiegu literatury niezależnej próbą zorganizowania szerszego kolportażu wolnego słowa w Polsce. Dziś te „poczynania wydają się skromne i amatorskie. Początki jednak zwykle bywają takie” – pisał<sup>25</sup>.

<sup>23</sup> J. Karpiński, *Taternictwo nizinne*, Paryż 1988, s. 102.

<sup>24</sup> Sąd orzekł m.in.: „Ich cele i wola działania pokrywały się z działalnością paryskiej »Kultury« i jej redaktora J. Giedroycia. Dlatego też ich współdziałanie w szkodzeniu interesom politycznym PRL było łatwe w sensie stosunku psychologicznego, a jeśli nie było owocne zgodnie z założeniami inspiratorów, to w każdym razie nie ich w tym zasługa, a więc wina wszystkich oskarżonych nie budzi żadnych wątpliwości” (AIPN, 591/1/6, Wyrok Warszawskiego Sądu Wojewódzkiego w sprawie M. Kozłowskiego i innych, 24 II 1970, k. 68).

<sup>25</sup> M.K. [M. Kozłowski], *Sprawa taterników...*, s. 99.

# HISTORIA JEDNEGO PRZYPADKU

Istnieje mądra zasada, że zwierzętom nie wypada wypowiadać się w kwestii zoologii, a uczestnicy wydarzeń historycznych powinni pozostawić ich opisywanie historykom. Tym bardziej tak kompetentnym jak Bartosz Kaliski. Zabieram jednak głos, by opisać historię jednego przypadku, a właściwie wypadku, który znacząco wpłynął na moje życie, a także na życie kilkudziesięciu co najmniej osób.

Bartosz Kaliski rozpoczyna swój szkic od opisanego nastrojów, jakie panowały wśród części młodej inteligencji po stłumieniu przez władze protestów marcowych. Opisuje je bardzo trafnie. Ja w wydarzeniach samego Marca udziału nie brałem. W dniu wiecu na Uniwersytecie Warszawskim, który zakończył się pałowaniem studentów, i nie tylko studentów, byłem w schronisku w Alpach, na Col de la Fourche, gdzie z maleńkiego radia usłyszałem wiadomość: „Varsovie en colère”. Następnego dnia mieliśmy atakować Filar Narożny Mont Blanc. Z ataku nic nie wyszło, ale nie ze względu na wydarzenia w Warszawie, lecz na pogodę.

Gdy po kilkunastu dniach znalazłem się z powrotem w Polsce, dowiedziałem się, że zostałem usunięty ze studiów. Nie potrafiłem zrozumieć dlaczego i dopiero moja ówczesna koleżanka ze studiów dziennikarskich Janka Paradowska mi wyjaśniła, że pytano ją – jako krakowiankę – „jak ten Kozłowski się wcześniej nazywał”. Był to czas, gdy wielu moich przyjaciół odjeżdżało z Dworca Gdańskiego z dokumentami podróży w jedną stronę. Nie mogłem się z tym pogodzić, jak również z tym, że w moim kraju dzieli się ludzi ze względu na pochodzenie rasowe. Dużo o tym dyskutowaliśmy, oczywiście w wąskich gronach. Rzucano różne pomysły: wydawania podziemnego pisma, akcji ulotkowych. Wszystko jednak rozbijało się o brak środków, zniechęcenie, niedostatek możliwości organizacyjnych i technicznych. Konkluzja była jednoznaczna. Jeżeli coś można robić, to tylko z zagranicy.

Ponieważ zostałem mianowany zaocznie honorowym Żydem, doszedłem do wniosku, że trzeba też emigrować, tym bardziej że czułem na plecach oddech Służby Bezpieczeństwa. Sposobem na wyjazd była wyprawa Klubu Wysokogórskiego do Norwegii; specjalnie zadbałem o to, by wyrobić sobie paszport prywatny, a nie służbowy, gdyż nie chciałem, aby koledy z klubu mieli po moim „wyborze wolności” jakieś przykrości w kraju.

Potem była kopalnia węgla na Spitsbergenie (z czegoś na emigracji trzeba żyć...), zakup małego samochodu i pomysł, aby przed emigracją za ocean, która trwać mogła bardzo

## MACIEJ KOZŁOWSKI

dr, absolwent archeologii śródziemnomorskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim i dziennikarstwa na Uniwersytecie Warszawskim. Współpracownik paryskiej „Kultury”, organizator przemytu książek do Polski; w 1969 r. aresztowany, skazany na 3,5 roku więzienia. W latach 1980–1981 redaktor naczelny „Wiadomości Krakowskich”, pisma Regionu NSZZ Solidarność Małopolska, 1982–1990 w redakcji „Tygodnika Powszechnego”. Od 1990 r. dyplomata, kolejno zastępca ambasadora RP w Waszyngtonie, wiceminister spraw zagranicznych, ambasador RP w Izraelu. Autor książek: *Krajobraz przed bitwą* (1986), *Między Sanem a Zbruczem* (1990), *Sprawa Leona Kozłowskiego* (2005).

długo, pożegnać się z matką. Z uwagi na pełną konspirację, w obawie o wstrzymanie paszportu, nie mówiłem jej o planach stałej emigracji. Wymyśliliśmy, że zobaczymy się w Pradze. Z Paryża – gdzie spotkałem się z Jerzym Giedroyciem, z którym w istocie mówiliśmy o tym, co można by zrobić, ale jeszcze bardzo mgliście i niekonkretnie – pojechaliśmy z Andrzejem Mrozem do Bolonii, do mojej siostry Barbary. Po kilku dniach ruszyliśmy do Czechosłowacji; tuż przed świętami mieliśmy spotkać się z naszą mamą w Smokowcu i stamtąd pojechać na Wigilię do Pragi.

Umówiliśmy się, że najpierw ja będę prowadził samochód, potem Andrzej. Moja siostra cały czas spała z tyłu na siedzeniu. Pogoda była wyjątkowo paskudna. Padał marznący deszcz, było ślisko. Droga na granicę między Węgrami a Słowacją zajęła nam kilkanaście godzin. Austrię musieliśmy omijać, bo nie mieliśmy wiz. Gdy wreszcie znaleźliśmy się na punkcie granicznym, byłem tak zmęczony, że marzyłem wyłącznie o śnie. I chyba pod wpływem tego zmęczenia, a także jakiejś dziwnej intuicji postanowiłem się rozstać z Andrzejem i Bašką. Niech sami jadą do Smokowca, ja i tak prowadzić nie będę, pojedę pociągiem do Pragi i przygotuję Wigilię. Po niedługiej dyskusji plan został zaakceptowany i nad ranem się rozstaliśmy. Do dziś zastanawiam się, dlaczego to zrobiłem. Ta zupełnie podświadomie podjęta decyzja zapewne uratowała mi życie.

Gdy ja jechałem pociągiem do Pragi, Andrzej Mróz – prowadząc na wąskiej szosie, w padającym śniegu i mgłę – czołowo zderzył się z ciężarówką. Wiadomość o tym skomplikowaną i długą drogą (w tamtych czasach nie było telefonów komórkowych) dotarła w końcu do mnie do Pragi. Musiałem podjąć skomplikowane zabiegi logistyczne – była wszak Wigilia – ale jeszcze przed pierwszą gwiazdką udało mi się dotrzeć do nemocnicy, czyli szpitala, w Bańskiej Bystrzycy, dokąd zawieziono ofiary wypadku i przybyła też ze Smokowca moja matka.

Gdybym przypadkowo najpierw zobaczył wrak samochodu, a nie ofiary wypadku, szukałbym ich zupełnie gdzie indziej niż w szpitalu. Cała górna część „garbusa” od maski po silnik została całkowicie

zniszczona. To, że oboje – prowadzący i pasażerka – przeżyli, wynikało z niezwykle szczęśliwego zbiegu okoliczności. Barbara leżała zwinięta na tylnym siedzeniu. Jedyne obrażenia, jakie odniosła, to uraz kręgosłupa, niezbyt – jak się potem okazało – groźny. Gorzej było z Andrzejem Mrozem. Przeżycie zawdzięczał temu, że nikt nie siedział na prawym siedzeniu. W momencie zderzenia intuicyjnie położył się na prawym, pustym siedzeniu – i tak ocalał. Nie zabrał jednak lewej ręki z kierownicy. Dłoń została zmiażdżona. Wydawało się, że nigdy nie odzyska w niej sprawności. Ale znów w sukurs przyszedł przypadek. Okazało się, że jeden z chirurgów w Bańskiej Bystrzycy jest specjalistą od chirurgii dłoni. Po serii skomplikowanych operacji istniała nadzieja, że sprawność w ręce powróci. Konieczna była jednak długa, skomplikowana i kosztowna rehabilitacja. Z oczywistych względów nie była ona możliwa w Czechosłowacji, tym bardziej w Paryżu. Pozostawała Polska.

Zarówno Andrzej, jak i ja byliśmy zdecydowani na emigrację. W ten sposób narodził się pomysł nielegalnego przejścia przez góry do Polski, a potem podobnego powrotu do Czechosłowacji i dalej do Paryża.

Po dziesięciu dniach od operacji Andrzej czuł się w miarę dobrze, jednak rękę miał wciąż na temblaku. Było oczywiste, że muszę mu towarzyszyć w przejściu do Polski. Pożegnaliśmy zatem Barbarę, która wracała do Włoch, i ruszyliśmy z Andrzejem w Tatry. Długo zastanawialiśmy się nad trasą. Najłatwiejsza, czyli okolice Łysej Polany, wydawała się zbyt ryzykowna. Za dużo kręciło się tam pograniczników po jednej i drugiej stronie. Przejście przez wysokie góry przy stanie Andrzeja, wciąż mocno poobijanego po wypadku, było trudne i ryzykowne z innych powodów. Kompromisem okazały się Tatry Zachodnie i niewielki szczyt o nazwie Grześ. Od ostatniego przystanku autobusowego po stronie słowackiej mieliśmy tylko trzy godziny marszu. Zejście po stronie polskiej do schroniska na Polanie Chochołowskiej zajmowało półtorej godziny. Ze względów bezpieczeństwa postanowiliśmy przejść granicę nocą i pojawić się w schronisku wraz z pierwszymi turystami.



Mieliśmy dodatkowe szczęście. Pogoda była piękna, śnieg zmrożony, pełnia księżyca. Andrzej, gdy tylko poczuł zmrożony śnieg pod wibrami, od razu poczuł się lepiej. Wieczorem byliśmy w Krakowie. I to właśnie w Krakowie, na powitalnym party u mnie w domu, gdzie spotkałem się z Maćkiem Włodkiem, narodził się pomysł przerzutu przez Tatry materiałów z kraju i książek wydanych na Zachodzie.

Gdyby nie wypadek na szosie do Smokowca, nie byłoby zapewne następnych wypraw do Czechosłowacji. Wszak kolejny wyjazd – tym razem samochodem narzeczonej Mroza, wyładowanym książkami – był konieczny, aby odebrać Andrzeja po rehabilitacji.

Jeszcze jedna glossa do tekstu Bartosza Kaliskiego. Oczywiście nie mogę tego stwierdzić z całą pewnością, ale wydaje mi się, że wpadka majowa była też dziełem zupełnego przypadku. Wyjazd – tym razem pożyczonym citroenem DS – przygotowaliśmy dość starannie. Książki schowaliśmy pod podłogą bagażnika, w miejscu na zapasowe koło (to był element ryzyka – zakładaliśmy, że nie złapiemy gumi). Przed wyruszeniem wpadłem na pomysł, aby troszkę nadłożyć drogi i pojechać przez Maisons-Laffitte. Gdy już żegnaliśmy się z Księżciem i panią Zofią Hertz, zajechał samochód jej męża Zygmunta. Właśnie wracał z drukarni ze świeżym nakładem książki Witolda Jedlickie-

go *Chamy i Żydy*, wyciągnął z bagażnika jedną paczkę – 10 egzemplarzy – i wrzucił do naszego bagażnika.

Tą właśnie paczką zainteresowali się celnicy na czechosłowackim przejściu granicznym. Zaczęli wypytywać, co to za książki, gdzie je wieziemy itd. Zapewne w tym czasie porozumieli się ze swoimi służbami. Było to akurat w dzień po zmianie władzy w Czechosłowacji: Alexandra Dubčeka zastąpił Gustáv Husák. Może na skutek tej zmiany doszło do poinformowania o naszym wjeździe polskiej Służby Bezpieczeństwa... O tym, że na granicy nic o nas nie wiedzieli, świadczy fakt, że poza tą jedną paczką dorzuconą w ostatniej chwili przez Zygmunta Hertza pozostałych dobrze schowanych książek celnicy nie znaleźli.

W pamięci utkwiała mi rozmowa z Asią (Marią) Tworowską. Co robić? Jechać dalej czy zawracać (oczywiście przez inne przejście graniczne)? Postanowiliśmy dotrzeć do Pragi i tam zapytać dobrze zorientowanych przyjaciół, czy wpadka na granicy może mieć dalsze konsekwencje. Nastrój w Pradze po przewrocie panował marny, lecz do dziś pamiętam słowa Jiříego Lederera: „Sytuacja nie jest dobra, ale do tego, żeby u nas zaczęto aresztować, to przecież nie dojdzie”. Po kilku tygodniach Jiří tak jak i my znalazł się w więzieniu.

# Z ZIEMI WŁOSKIEJ DO POLSKI

## PAWEŁ SOWIŃSKI

dr hab., absolwent historii na Uniwersytecie Warszawskim, pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN. Publikował na temat obchodów 1 Maja, historii turystyki w PRL oraz opozycji demokratycznej. Wraz z Mateuszem Fatkowskim prowadzi seminarium „Solidarność – nowe podejście do ruchu społecznego”. W 2011 r. opublikował pracę *Zakazana książka. Uczestnicy drugiego obiegu 1977–1989*.

Czasami uważa się emigrację polityczną za czynnik mało istotny w odzyskiwaniu duchowej suwerenności – mówi Witold Zahorski junior. – Nic bardziej mylnego. Rozmawiamy w Rzymie, pijąc kawę na stojąco. Zajadamy pyszne wypieki w kawiarni Clementi prowadzonej przez Kalabryjczyków przy Via Gallia 152. Tu zachodzili jego rodzice Elżbieta i Witold, omawiali z rodakami sprawy krajowe, pracowali i mieszkali nieopodal. Mocną, aromatyczną kawę fachowo serwuje nam jeden z ubranych na czarno południowców. Wokół typowo rzymski gwar, stali bywalcy grają w karty, skreślają numery totolotka, staruszkowie wyśiadują na swoich krzeselkach, po ulicy biegną dzieci.

### Dziennikarz, żołnierz, kolporter

Droga życiowa Witolda Zahorskiego, polskiego uchodźcy w Rzymie, to fragment barwnej mozaiki naszych losów w XX wieku. Urodził się w Wilnie 11 października 1912 r. Ukończył Seminarium Nauczycielskie w Wilnie (1933) oraz Wyższy Kurs Nauczycielski z historii (1938). Uczył w szkołach powszechnych na Wileńszczyźnie. W ostatnich dwóch latach międzywojnia kontynuował studia na Wolnej Wszechnicy Polskiej w Warszawie. Równolegle obrał karierę dziennikarza, m.in. jako redaktor wileńskiego oddziału „Kuźni Młodych”, korespondent „Kuriera Wileńskiego”, Agencji Iskra i referent prasowy Głównej Dyrekcji Funduszu Pracy w Warszawie. Po latach te medialne doświadczenia przydały mu się w pracy publicznej na emigracji<sup>1</sup>.

Po wybuchu wojny wrócił do rodzinnego Wilna, gdzie włączył się w działalność Związku Walki Zbrojnej. Kierował nielegalną szkołą dla dzieci, udzielał się jako wykładowca na tajnych kompletach. W grudniu 1940 r. został aresztowany przez NKWD, po pewnym czasie trafił do więzienia w Gorkim. W listopadzie 1941 r., po „amnestii”, dotarł do armii polskiej formowanej w ZSRR przez gen. Władysława Andersa, gdzie służył w pionie propagandowym. Przeszedł cały szlak bojowy II Korpusu – przez bezdroża Azji aż po ostatnie walki kampanii włoskiej. Od 1944 r. redagował miesięcznik „Na Szlaku Kresowej”. Służbę zakończył w stopniu oficera Public Relation<sup>2</sup>.

<sup>1</sup> List Witolda Zahorskiego jr. do autora, październik 2013.

<sup>2</sup> *Ibidem*. Tego rodzaju emigracja – w wyniku wojny – określana jest w literaturze mianem wymuszonej, w prze-

Po wojnie osiadł w Italii wraz z grupą około dwustu żołnierzy Andersa. Nie ewakuował się, jak wielu jego towarzyszy broni, z Półwyspu Apenińskiego, gdyż tu poznał swoją pierwszą żonę, Włoszkę Raffaellę Lettieri. Mundur aliancki otwierał tuż po wojnie wszystkie drzwi we Włoszech – pisał w jednym z opowiadań Gustaw Herling-Grudziński<sup>3</sup>, kolega Zahorskiego z wojska. Włosi traktowali Polaków jak wyzwolicieli, wytwarzała się naturalna wśród młodych ludzi atmosfera bliskości. Jednak po pewnym czasie ten polsko-włoski związek się rozpadł. Zahorski poślubił później Elżbietę Kufirską, architektkę z kraju, która w 1957 r. wybrała wolność i nie powróciła z pierwszej autokarowej wycieczki architektów na Zachód. Urodził im się syn Witold. Razem angażowali się w sprawy polskie na emigracji<sup>4</sup>.

Demobilizacja bywała dla polskich żołnierzy trudna – opromienieni chwałą pól bitewnych, w praktyce niewiele mieli i niedużo mogli w realiach powojennego Zachodu. Niektórzy chcieli coś zrobić na niwie politycznej lub kulturalnej, zaświadczyć o swojej postawie niezgody na sytuację w Polsce i zarazem przyczynić się do zmiany politycznego układu sił w przyszłości. W Europie – wracającej do stabilizacji po traumie wojennej – nie pojawiały się już szanse na bardziej bojową aktywność. Amerykańska kampania medialna wobec państw za żelazną kurtyną padła więc na bardzo podatny grunt w tych środowiskach polskich na Zachodzie, które wciąż żyły sprawami kraju.

Ten nowy front tajnej wojny przebiegał przede wszystkim na falach eteru – w mającym siedzibę w Monachium Radiu Wolna Europa – i się szybko roz-

raszał. Jeszcze w latach pięćdziesiątych ruszył bliźniaczy program wydawniczy, słynna akcja balonowa, wkrótce zamieniona na akcję walizkową. W 1959 r. Andrzej Stypułkowski, żołnierz powstania warszawskiego, syn znanego działacza emigracyjnego Zbigniewa, powołał w Londynie Polonia Book Fund – wydawnictwo ściśle związane z amerykańskim zamysłem krzewienia zakazanej literatury w Europie Wschodniej i finansowane z budżetu Stanów Zjednoczonych. Stał się przemytnikiem idei<sup>5</sup>. W Londynie, gdzie mieszkał, łatwiej było kierować siatką dystrybucji europejskiej, a ta już pod koniec lat pięćdziesiątych obejmowała ważne kraje Europy Zachodniej – Wielką Brytanię, Francję, Niemcy Zachodnie i Włochy<sup>6</sup>.

We Włoszech symboliczny początek tej książkowej odysei dała Olimpiada w Rzymie w 1960 r. Niezapomniany Kazimierz Paździor ze szkoły Feliksa Sztama wywalczył dla nas złoty medal w boksie, pokonując w wadze lekkiej Włocha Sandra Lopopolo. Zdobyliśmy jeszcze kilka medali, ale także, o czym wiedzieli już nieliczni, sporo ciekawych książek. Andrzej Stypułkowski przyjechał bowiem z mocną ekipą emigracyjnej młodzieży, by dopingować naszych sportowców i kibiców do zabierania do kraju zakazanych publikacji<sup>7</sup>. W Wiecznym Mieście oparł akcję na dwóch środowiskach: polskich kombatantach z Witoldem Zahorskim na czele oraz na działaczach katolickich, reprezentowanych na gruncie rzymskim m.in. przez Stanisława Morawskiego, późniejszego prezesa Fundacji Rzymskiej Margrabiny Umiastowskiej.

Tak dochodziło do przywracania naderwanej więzi z krajem, ale również do konsolidacji środowisk

ciwieństwie do emigracji ekonomicznej, która zazwyczaj ma bardziej dobrowolny charakter. Więcej na temat typologii migracji: *The Routledge International Handbook of Migration Studies*, red. S.J. Gold, S.J. Nawyn, Routledge 2013.

<sup>3</sup> G. Herling-Grudziński, *Wieża* [w:] *idem, Skrzydła ołtarza. Opowiadania*, Warszawa 1995, s. 31.

<sup>4</sup> Życiorys Witolda Zahorskiego, mps w zbiorach rodzinnych Witolda Zahorskiego jr.

<sup>5</sup> J. Nowak-Jeziorański, *Zapomniany działacz*, „Tydzień Polski”, 24 XI 2001, s. 11; biogram Andrzeja Stypułkowskiego napisany przez Andrzeja Suchcitzę [w:] *Polski słownik biograficzny*, t. 45, z. 2, Warszawa – Kraków 2008.

<sup>6</sup> Więcej na temat Polonia Book Fund: *Samizdat, Tamizdat and Beyond. Transnational Media during and after Socialism*, red. F. Kind-Kovács, J. Labov, New York 2012, s. 70–91; A.A. Reisch, *Hot Books in the Cold War. The CIA-Funded Secret Western Book Distribution Program Behind the Iron Curtain*, Budapest 2013, s. 233–254.

<sup>7</sup> Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej, Oddział w Krakowie (AIPN Kr), 009/5288, Raporty tajnego współpracownika SB „Lachowicz”, 14 i 17 IX 1960, s. 254–258, 260–262, 266, wersja cyfrowa. „Lachowicz”, czyli Olgierd Terlecki, kilka słów poświęcił początkom akcji książkowej w Rzymie i Londynie.

niepodległościowych, podtrzymywania niezależnej kultury, a nawet tworzenia instytucji emigracyjnych. Stypułkowski i Zahorski poznali się w 1959 r. i zaczęli ściśle współpracować właśnie dzięki darmowej dystrybucji uruchomionej przez dysponujących odpowiednimi środkami Amerykanów. Działali teraz na granicy dwóch światów – stanowili pomost między Wschodem a Zachodem<sup>8</sup>. Dla dawnych żołnierzy miało to cechy przejścia do nowych, pokojowych metod walki. Dawniej karabiny, teraz książki. Ewolowali w stronę ruchu społecznego, miękkiego oddziaływania, pracy umysłowej, choć wojna, obozy i polski szlak bojowy wyryły na nich niezatarte piętno, pozostały najważniejszym znakiem tożsamości<sup>9</sup>.

Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, którego prezesurę Zahorski objął jeszcze w latach czterdziestych, był wówczas największą organizacją polskiej diaspory we Włoszech. Pod koniec lat pięćdziesiątych Zahorski zdawał się idealnym kandydatem na tego, kto rozkręci tryby akcji książkowej – miał już doświadczenia pracy społecznej, dysponował kontaktami na miejscu i za oceanem<sup>10</sup>. Ale szybko się okazało, że za plecami Stypułkowskiego działa drugi, potężniejszy pion rozdawniczy – od lat siedemdziesiątych pod nazwą International Literary Centre – w Nowym Jorku. Ta amerykańska instytucja, jak wiemy, kojarzona była z George'em Mindenem i Adamem Rudzkiem. Zahorski współdziałał z obydwoma mechanizmami równocześnie – metody pracy były identyczne, a szlaki dystrybucji nachodziły na siebie.

Na ich wybory można spojrzeć z szerokiej perspektywy. Emigracje – jak pokazują przykłady innych narodów – starają się wpływać na sytuację w swoich dawnych ojczyznach. Gdy diaspora ulokowana jest w krajach demokratycznych i zamożnych, a w kraju pochodzenia panuje bieda, zacofanie i deficyt wolności, emigranci potrafią wygenerować zasoby tam niedostępne i przekazywać je pobratymcom<sup>11</sup>. Najczęściej jest to pomoc materialna. Ale przecież zawsze chodzi też o wpływ kulturowy, promieniowanie wzorów zachowań czy stylów życia. Nowe liberalne otoczenie, w jakim przyszło żyć uciekinierom, może wręcz sprawić, że łatwiej stają się oni rzecznikami rozwiązań demokratycznych i za takimi lobbują na rzecz kraju<sup>12</sup>.

Nie inaczej było w polskim przypadku. Tacy ludzie jak Zahorski należeli właśnie do podobnego kręgu emigracyjnych aktywistów. Stany Zjednoczone pomogły im zaistnieć w roli działaczy społecznych, ale i oni sami opanowali dobrze mechanizm demokracji – pozyskali w nowych ojczyznach politycznych sojuszników, których komunizm nie mógł łatwo zignorować. Dzięki krążeniu książek pozostawali w ciągłym kontakcie z przybyszami z kraju i – jak rzadko kto z emigrantów – mieli informacje z bardzo różnych stron i środowisk. Jednocześnie byli zdolni objaśnić polski świat swoim zachodnim partnerom i pomóc im w stworzeniu pozaoficjalnych kanałów komunikacji przez żelazną kurtynę<sup>13</sup>. Opisywana tu historia rozgrywała się więc w przestrzeni transnarodowej<sup>14</sup>.

<sup>8</sup> F. Kind-Kovács, *Voices, Letters, and Literature through Iron Curtain: Exiles and the (Trans)mission of Radio in the Cold War*, „Cold War History” 2013, nr 2, s. 193–219. Więcej na temat pomostowej roli emigrantów: I. Goldin, G. Cameron, M. Balarajan, *Exceptional People: How Migration Shaped Our World and will Defined our Future*, Princeton 2011, s. 183–184.

<sup>9</sup> G. Sheffer, *The Historical, Cultural, Social and Political Background of Ethno-National Diasporas* [w:] *The Routledge International Handbook...*, s. 435–448.

<sup>10</sup> Od 1947 r. sprawował funkcję włoskiego przedstawiciela Polsko-Amerykańskiego Komitetu Emigracyjnego z siedzibą w Nowym Jorku.

<sup>11</sup> R. Waldinger, *Beyond Transnationalism: an Alternative Perspective on Immigrants' Homeland Connections* [w:] *The Oxford Handbook of the Politics of International Migration*, red. M.R. Rosenblum, D.J. Tichenor, Oxford 2012, s. 88–89.

<sup>12</sup> B. Mullan, C. Dona-Reveco, *Emigration and the sending states* [w:] *The Routledge International Handbook...*, s. 409–419.

<sup>13</sup> F. Kind-Kovács, *Voices, Letters...*, s. 193–219.

<sup>14</sup> L. Basch, N. Glick Schiller, C. Blanc Szanton, *Nations Unbound. Transnational Projects, Postcolonial Predicaments, and Deteritorialized Nation-States*, Gordon and Breach Publishers 1994; T. Faist, *Transnationalism* [w:] *The Routledge International Handbook...*, s. 449–459.

## Lista Zahorskiego

Od początków lat sześćdziesiątych punkt Zahorskiego przy Via Licia – zarazem główna kwatery polskich kombatantów – przekazywał książki prymasowi Stefanowi Wyszyńskiemu w czasie jego postojów w Rzymie oraz towarzyszącym mu kurialistom, sekretarzom i członkom zgromadzeń zakonnych, uczestnikom spotkań opłatkowych. W niektórych okresach książki dostawał niemal cały episkopat, a także kard. Józef Slipyj, metropolita lwowski, zwierzchnik Kościoła greckokatolickiego na emigracji, który osiemnaście lat spędził w sowieckich obozach (od 1963 r. przebywał w Rzymie). Zakazana literatura wzbudzała duże zainteresowanie przedstawicieli prasy katolickiej w Polsce – dziennikarzy „Tygodnika Powszechnego”, „Więzi”, „Znaku”, pism Stowarzyszenia Pax – akredytowanych przy różnych imprezach kościelnych w Rzymie<sup>15</sup>.

Struktury Kościoła stanowiły wówczas w Polsce jedyne niezależne medium – z kościelnej ambony co niedziela księża komunikowali się z szeroką rzeszą wiernych, uczestniczyli w formacji młodego pokolenia. Wkroczenie akcji książkowej na ten teren było sprawą zasadniczej wagi. Opiniotwórcze możliwości kleru wysoko ceniono w Nowym Jorku. To są obok nauczycieli nasze najlepsze adresy – stwierdzał Rudzki<sup>16</sup>. Wspomina Stanisław A. Morawski z Fundacji Umiasztowskiej, inny rzymski dystrybutor książki zakazanej: – Na Sobór Watykański II delegacja Kościoła polskiego podróżowała specjalnym, osobnym wagonem. Wraz z jezuitą ks. Kazimierzem Przydatkiem ładowaliśmy do tego wagonu większe partie naszych książek, raz się nawet coś zarwało w tym pociągu pod ciężarem publikacji<sup>17</sup>.

W styczniu 1968 r. kard. Karol Wojtyła otrzymał ze składu Zahorskiego pierwszą większą paczkę książek emigracyjnych i od tego momentu zaopatrywany był regularnie. Z okresu kardynalskiego późniejszego papieża pochodzi dziesięć osobistych podziękowań, które otrzymał Zahorski<sup>18</sup>. Po wyborze Jana Pawła II bardzo szybko nawiązał on łączność z jego sekretarzem ks. Stanisławem Dziwiszem. Zachowały się szczegółowe wykazy dostarczanych książek. „Wiem, że papież dużo z tego czyta, a wszystko przegląda i przerzuca” – raportował w 1979 r. Amerykanom<sup>19</sup>. Za spiżową bramą otrzymywali książki również o. Flawian Słomiński, spowiednik wielu watykańskich osobistości, dawniej jeden z kapelanów II Korpusu, oraz ks. Adam Boniecki z polskiego wydania „*Ossevatore Romano*”.

ILC raczej nie rozprowadzało książek religijnych. Tym bardziej zainteresowanie papieża zrobiło wrażenie na opiekunach operacji za oceanem, miało wielką wymowę symboliczną, motywowało do dalszej pracy, a być może otwierało niektóre drzwi w kościele hierarchicznym – na ogół zamknięte dla takich świeckich inicjatyw. „Biskupi zabierają chętnie, bo nie są kontrolowani [na granicy]” – Zahorski pisał w 1983 r. do Rudzkiego<sup>20</sup>. W tych latach nadal regularnie zaopatrywał hierarchów odwiedzających Rzym, w tym prymasa Józefa Glempa, kard. Franciszka Macharskiego i abp. Henryka Gulbinowicza; z tym ostatnim szczególnie łatwo znajdował wspólny język. Ponadto cały czas zabierali książki księża, siostry, klerycy, zakonnicy, misjonarze, wycieczki parafialne, oazy, duszpasterstwa.

Sutanny w służbie kultury niezależnej – to jeden z najbardziej fascynujących i tajemniczych wątków naszej historii przenikania. Konferencje, synody, kanonizacje, duszpasterskie wizyty *ad limina*

<sup>15</sup> Archiwum rodzinne Elżbiety i Witolda Zahorskich w Rzymie, Zestawienia książek wydanych w punkcie Witolda Zahorskiego, lata sześćdziesiąte. Dziękuję Witoldowi Zahorskiemu jr. za udostępnienie zbiorów rodzinnych.

<sup>16</sup> List Adama Rudzkiego do Jerzego Kulczyckiego, 26 XII 1984, w zbiorach autora.

<sup>17</sup> Relacja Stanisława A. Morawskiego, 10 IX 2013, w zbiorach autora.

<sup>18</sup> Archiwum Zahorskich, List Witolda Zahorskiego do Andrzeja Stypułkowskiego, 9 XI 1978.

<sup>19</sup> *Ibidem*, List Witolda Zahorskiego do Ireny Fliegerowej z Polonia Book Fund, 31 IV 1979.

<sup>20</sup> *Ibidem*, List Witolda Zahorskiego do Adama Rudzkiego, 8 IV 1983.



wyznaczały rytm współpracy z purpuratami. Strumień duchownych bardzo wezbrał po wyborze Jana Pawła II. „W związku z przyjazdem i powrotem papieża z Polski obecnie niemal stale są tu ci czy inni biskupi polscy” – donosił Zahorski w czerwcu 1983 r. A Watykan promieniował na nich niespotykaną wcześniej atmosferą wolności. „Zatelefonował arcybiskup wrocławski [Henryk Gulbinowicz], mówiąc, że otrzymane książki pożera”<sup>21</sup>.

Już w pierwszych miesiącach pontyfikatu papieża Polaka wzrosła rola rzymskiego centrum dystrybucji. Pojawił się – ostatecznie niezrealizowany – plan uruchomienia polskiej księgarni w Rzymie<sup>22</sup>. Adam Rudzki z ramienia ILC prowadził osobiście rozmowy za spizową bramą – wspomina jego syn Marek. Próbował nakłonić koła watykańskie do głębszego zaangażowania się w akcję książkową. Systematyczne wykorzystanie kościelnych kanałów do przemytu podniosłoby skuteczność programu<sup>23</sup>. Te zabiegi prawdopodobnie nie przyniosły spodziewanych rezultatów. Nie odnotował ich w swoich zapiskach z włoskich podróży George Minden.

Ze sprawozdań Zahorskiego wyłania się świecki portret odbiorców. Po książki sięgali przedstawiciele polskiej humanistyki, aktorzy, malarze, dziennikarze, literaci, bibliotekarze, muzycy, filmowcy, architekci, teatry, zespoły baletowe i taneczne, chórzyci, stypendyści, italiانىści, studenci i profesorowie. Wśród nich ludzie tej miary co Antoni Słonimski, Jarosław Iwaszkiewicz, Witold Kula, Aleksander Gieysztor, Stanisław Lorentz, Władysław Tatarkiewicz, Jerzy

Turowicz, Stefan Kisielewski, Czesław Bobrowski. Mój przyjaciel, pan Nowiński, stypendysta z Poznania, dosłownie nie mógł się oderwać, czytał nawet nocami w łóżku na stacji i zjadał się pomarańczami – wspomina Stanisław A. Morawski<sup>24</sup>.

Praktyki życia codziennego zazwyczaj nieco różnią się z nakazami władzy<sup>25</sup>. Na dodatek rygorystyczne rewizje na granicach nie zawsze musiały być dla władz wygodne – tych akurat podróźnych bronił trochę ich wysoki status społeczny. Rząd chciał trzymać fason wobec środowisk twórczych. Być może zakładano, że te białe kruki posłużą tylko zaspokojeniu aspiracji zawodowych wąskiego środowiska intelektualnego i nie rozejdą się w lud. W tym elitarnym nurcie zdarzały się czasem niezłe okazje przemysłowe. Wiosną 1960 r. w Rzymie gościli filharmonicy warszawscy, razem ponad sto osób<sup>26</sup>. Zapakowali do swoich futerałów książki m.in. Borysa Pasternaka i Władysława Andersa. To samo uczyniła 300-osobowa orkiestra i chór Polskiego Radia z Katowic i Krakowa.

Książki przenikały do Polski w garderobie zespołu warszawskiego Teatru Żydowskiego oraz w przepastnych bagażach archeologów wracających z wykopalisk w Egipcie i Iranie. Innym razem w kontrabandę zostały wciągnięte anonimowe sopranistki, chór Stulgrosza z Poznania i zespół ludowy Kujawy w trasie koncertowej. „Nuty i instrumenty muzyczne są w naszej akcji bardzo pożyteczne” – oceniał Zahorski w liście do Jana Chodakowskiego<sup>27</sup>. W 1983 r. krakowscy muzealnicy (m.in. niejaki Kiliński) we współpracy z Włochami zorganizowali w Rzymie wystawę poświę-

<sup>21</sup> *Ibidem*, List Witolda Zahorskiego do Adama Rudzkiego, 30 VI 1983.

<sup>22</sup> Sprawę sondował Jan Chodakowski, który w 1982 r. objął szefostwo Polonia Book Fund po zmarłym Stypułkowskim. Zahorski opracował wstępny kosztorys (Archiwum Zahorskich, Korespondencja między Chodakowskim i Zahorskim, 23 i 26 VII 1983).

<sup>23</sup> M. Rudzki, *Akcja masowych przekazów książek do Polski w latach 1956–1994*, „Zeszyty Historyczne” 2000, nr 134, s. 221.

<sup>24</sup> Relacja Stanisława A. Morawskiego, 10 IX 2013, w zbiorach autora. Więcej na temat polskiej akcji stypendialnej w Rzymie: S.A. Morawski, *Centro Esperienze Internazionali i inne inicjatywy stypendialne w Rzymie [w:] Świadectwa. Testimonianze*, t. 4: *Pro publico bono. Polityczna, społeczna i kulturalna działalność Polaków w Rzymie w XX wieku*, Rzym 2006, s. 337–356.

<sup>25</sup> J.C. Scott, *Domination and the Art of Resistance. Hidden transcripts*, Yale 1990.

<sup>26</sup> Archiwum Zahorskich, Wykaz książek wydanych w maju 1960. Parę lat później zespół występował w Londynie i założył na miano „pierwszej karawany” – chwalił się Andrzej Stypułkowski (AIPN Kr, 009/5288, Raport „Lachowicza (Olgierda Terleckiego)”, 20 V 1964, s. 331, wersja cyfrowa).

<sup>27</sup> Archiwum Zahorskich, List Witolda Zahorskiego do Jana Chodakowskiego, 9 X 1983.

coną kultowi Matki Boskiej Częstochowskiej, a po jej zakończeniu zgodzili się włożyć między eksponaty większą partię publikacji zakazanych, które z Bożą pomocą dotarły do Krakowa.

Nie sprawiali zawodu lekarze – uczestnicy medycznych kongresów. Swój udział mieli technicy i inżynierowie na praktyce we Włoszech bądź jedynie przejazdem z Afryki czy Bliskiego Wschodu, a więc ludzie (jak to się wówczas mówiło) na kontraktach, latający via Rzym do Trypolisu, Algieru, Tunisu, Bagdadu, Dakaru. W 1983 r. Zahorski wykorzystał tranzytową podróż państwa Czabańskich do Nigerii. Zabrane przez nich książki pojechały najpierw do Czarnej Afryki i tam zostały rozdane polskim pracownikom kontraktowym. Po paru miesiącach i tysiącach kilometrów doleciały do Polski w bezpośrednim samolocie czarterowym, którego pasażerowie nie byli już zbyt kontrolowani pod kątem literatury zakazanej<sup>28</sup>. Taka trasa! Taka sztuczka! Ale zaraz będzie jeszcze lepsza.

Sprawę wzięli bowiem na swoje barki kierowcy, kolejarze, personel LOT, marynarze, a także nieocenieni sportowcy – szermierze, lekkoatleci, judocy, bokserzy, „wioślarze na treningu przedolimpijskim” w Castel Gandolfo. W maju 1959 r., u samego zarania operacji książkowej, polska reprezentacja na zawody hipiczne we Włoszech wywozła 75 publikacji ukrytych w sianie w wagonie dla koni<sup>29</sup>. W kręgach sportowych tworzyły się sieci nieformalnych powiązań łączących trenerów, zawodników i personel techniczny, a wszelaki przemysł zdawał się naturalnym uzupełnieniem uposażeń. Władzom PRL niełatwo było walczyć z tego rodzaju układami; poza wszystkim groziłoby to zdekompilowaniem naszych kadr sportowych.

Na kartach tej inteligentkiej akcji zapisali się również robotnicy – murarze, ślusarze, spawacze. Częściowo należeli oni do wspomnianego kontyngentu naszej eksportowej siły roboczej w Afryce i Azji, gdzie polskie firmy świadczyły dolarowe usługi budowlane. Częściowo reprezentowali natomiast drobne rzemio-

stwo, tzw. prywaciarzy. Miniprzedsiębiorcy – kuźnierze, tapicerzy, krawcy – czasem poszukiwali niedostępnych w Polsce materiałów do produkcji, czasami sprzedawali swoje wyroby i tak jak sportowcy tworzyli łańcuch transgranicznego handlu. Ostrze programu skierowane było jednak na pracowników umysłowych i w okresach oszczędności kolporterzy dostawali od Amerykanów wytyczne, by „nie ładować książek byle komu i byle więcej”<sup>30</sup>.

Kobiety określone w korespondencji Zahorskiego jako „matki Polek zamężnych z Włochami” lub „żony w drodze do męża” kursowały między starym i nowym domem rodzinnym. Niepodejrzewane o taką działalność, czasami z małymi dziećmi u boku, radziły sobie nie gorzej od mężczyzn. Kobieta – możemy sobie wyobrazić – występuje tu jako mistrzyni gry z władzą, potrafi umiejętnie się przebrać, odwrócić uwagę, jest zdolna do uniku, subtelnych posunięć, stworzenia nastroju niewinności. Cała ta gra skojarzeń damsko-męskich, pewien spryt genderowy są stare jak świat. Uciekali się do takiego kamuflażu entuzjaści potajemnych lektur w XIX wieku; możemy przywołać postaci ówczesnych dromaderek, którym konspiratorzy powierzali książki i swoje największe sekrety.

Rodzina Zahorskich prowadziła ostrzał z morza, ładu i powietrza. Na stynących z okazji handlowych rejsach po Morzu Śródziemnym Transylwanią lub bułgarskim Nesebarem zawsze znajdowali się ludzie chętni i doświadczeni. Wycieczki autokarowe i samolotowe Orbisu również poprawiały statystykę. Śmiałowie musieli się co prawda liczyć ze szpiclami umieszczonymi przez władze wewnątrz grupy, zdarzali się jednak ludzie dobrze obeznani w arkanach pelerelowskiej turystyki, zahartowani w przemysłniczych eskapadach, mający głowę na karku, których niełatwo było podejść. Przekazałem strawę duchową sześcioro osobnikom „przybyłym do mojego domu celem sprzedaży wódki i szynki” – relacjonował w 1968 r. Zahorski<sup>31</sup>.

<sup>28</sup> Archiwum Zahorskich, List Witolda Zahorskiego do Adama Rudzkiego, 6 II 1983.

<sup>29</sup> A.A. Reisch, *Hot Books in the Cold War...*, s. 240.

<sup>30</sup> Archiwum Zahorskich, List Andrzeja Stypułkowskiego do Witolda Zahorskiego, 6 X 1975.

<sup>31</sup> *Ibidem*, Wykaz osób, którym wydano książki w marcu 1968.

Nie możemy wreszcie pominąć ludzi władzy. Nie tak znów mało ich przychodziło po zakazane lektury. Sytuowali się po przeciwnej stronie barykady, ale przerzucenie wyrotowych treści na tyły wroga miało w sobie coś z rozmiękczenia komunizmu, nabierało posmaku udanej akcji dywersyjnej. W październiku 1960 r., rzecz bez precedensu, książki przyjął premier PRL Józef Cyrankiewicz, który wraz z żoną i dworem przebywał we Włoszech z oficjalną wizytą. Razem zabrali do kraju 42 pozycje, w tym najbardziej przemilczane, jak *Inny świat* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. W marcu 1963 r. premier dobrał jeszcze kilka nowych tytułów. W jakimś sensie popadał w – może miłą dla siebie – sprzeczność myślenia, wziął bowiem książki, których jego rząd zabraniał brać<sup>32</sup>.

Lista Zahorskiego – te kilkaset stron – jest szczególną miarą naszej ówczesnej wolności. Mylnie byłoby jednak sądzić, jakoby niemal cały kraj łapczywie chłonał emigracyjną literaturę. Zapewne wielu podróżnych ze strachu omijało takie okazje z daleka, a w głowie zdecydowanych na ten krok powstawały różne ministategie dotyczące polityczności danego tytułu i sytuacji na granicach. Zadawano sobie pytanie, czy akurat ten tytuł jest warty ryzyka. Głowiono się, jak skompletować zawartość walizki, by osłabić czujność celników. Niektórzy mieszały książki o mocnej wymowie z zupełnie niewinnymi. Inni kalkulowali, jaki środek transportu będzie najbezpieczniejszy. Jeszcze inni martwili się, czy jeszcze tu wrócić.

### Katakumby kultury niezależnej

Bywało, że książka zakazana trafiała do serc i umysłów dosłownie z konfesjonału. Franciszkanin Flawian Słomiński – penitencjariusz apostolski w Bazylice św. Piotra i mistrz świętej teologii – prowadził przez 30 lat spowiedź dla naszych rodaków. Przyjmował w kon-

fesjonale z tabliczką „Po polsku” – i zawsze miał tam pod ręką wybór tytułów, które dostawał od Zahorskiego. Gdy przychodził wierny z Polski, otrzymywał egzemplarz jako pokutę<sup>33</sup>. Książka przekazana w czasie spowiedzi – to tworzyło szczególny nastrój zobowiązania. Z dokumentacji wynika, że wydawnictwa pobierały regularnie również inny polski spowiednik, ks. prof. Feliks Bednarski, przyjmujący w Santa Maria Maggiore<sup>34</sup>.

Rzym nawet przybyszów z katolickiej Polski musiał zadziwiać niezliczoną wprost liczbą kościołów i obiektów kultu. W tym rozgałęzionym labiryncie, w miejscu niespodziewanym, a nawet podziemnym, sprawnie działali dwaj salezjanie ze Śląska – Hieronim Pixa i Hilary Szkróbka. Orowadzali turystów po katakumbach św. Kaliksta przy Via Appia Antica, słynnej drodze ucieczki z Rzymu św. Piotra. Witold Zahorski junior wspomina, że w niedzielę rozstawiali się tam całą rodziną ze stolikiem, do którego odwiedzenia księży Ślązacy namawiali pielgrzymów wychodzących z grobów pierwszych chrześcijan i papieży<sup>35</sup>.

W pobliskim kościele Quo Vadis Domine (polscy księża michaelici) funkcjonował podpunkt, do którego nasze wycieczki przyciąga pomnik Henryka Sienkiewicza i legenda jego pięknej książki. Jedno miejsce od drugiego dzieli kilometr. Idzie się z katakumb aleją wysadzaną starymi cyprysami i drzewami oliwnymi. Cicho, jakby już za miastem. Z dała mającą Wzgórza Albańskie, gdzieniegdzie z ziemi wyrastają czubki starożytnych grobowców. W takim pejzażu duchowy prowiant od Zahorskiego trafiał do polskich autokarów, by niedługo później przekroczyć granice dwóch światów.

Latający stragan z książkami Witolda i Elżbiety Zahorskich ustawiał się regularnie w salce obok kościoła polskiego pod wezwaniem św. Stanisława przy Via Botteghe Oscure – miejscu może mniej under-

<sup>32</sup> *Ibidem*, Wykazy książek rozdanych we Włoszech w październiku 1960 i marcu 1963.

<sup>33</sup> *Ibidem*, List Witolda Zahorskiego do Adama Rudzkiego, 20 V 1982; *Pożegnanie ojca Słomińskiego*, „Gazeta Wyborcza” Trójmiasto, 30 X 2001, s. 9.

<sup>34</sup> Archiwum Zahorskich, Wykazy książek wydanych we Włoszech w czwartym kwartale 1981 i w drugim kwartale 1987 r.

<sup>35</sup> Rozmowa z Witoldem Zahorskim jr., 24 VIII 2013.

groundowym, za to położonym wzdłuż głównych szlaków turystycznych Rzymu. Po niedzielnej mszy świętej gromadzili się tam Polacy, by porozmawiać przy kawie, a w dni szczególnie uroczyste, jak Wielkanoc i Boże Narodzenie, przy jajeczku lub na wigilijnej kolacji. W latach osiemdziesiątych ciasny kościół przyciągał tłumy, odgrywał wielką rolę duchową, stał się również giełdą informacji. Krzyżowały się tu drogi starej i nowej diaspory, a także podróżnicze szlaki przybyszów z Polski. W tych kontaktach pomagał proboszcz ks. Marian Burniak, chrystusowiec.

Paręset metrów dalej, na Piazza Caiaroli w XVI-wiecznym *palazzo* usadowił się Papieski Instytut Studiów Kościelnych – instytucja badawcza powołana pod koniec lat pięćdziesiątych XX wieku do gromadzenia i rejestrowania poloników w zbiorach kościelnych. Ośrodek obsługuje głównie badaczy zainteresowanych historią religii. Świadczył więc świeckie usługi książkowe niejako przy okazji, ale z coraz większym rozmachem<sup>36</sup>. Od 1975 r. – na prośbę prymasa – zaczął być zaopatrywany przez Zahorskich<sup>37</sup>. Ale w 1983 r. jego dyrektor ks. Hieronim Fokciński wyrósł na samodzielnego dystrybutora i awansował do rangi osoby kontaktującej się bezpośrednio z Nowym Jorkiem<sup>38</sup>.

W archiwach operacji Zahorskiego wzmiankowane jest również Papieskie Kolegium Polskie przy Piazza Remuria (ks. rektor Jan Michalik), w którym przebywali księża z Polski oddelegowani na dalsze studia do Rzymu, kontaktujący się jednak z krajem. Zatrzymywali się tam również polscy biskupi – dopowiada Stanisław A. Morawski, znajomy wcześniejszego rektora ks. Bolesława Wyszyńskiego. Morawski dostarczał publikacje nie tylko do Kolegium. Podrzucał także ciekawe lektury do domów zakonnych jezuitów i ma-

rianów w Rzymie<sup>39</sup>. Ci ostatni magazynowali, a może i drukowali, książki paryskiego wydawnictwa Editions Spotkania<sup>40</sup>.

Zupełnie centralnie – przy placu św. Piotra – dyżuowała s. Benedykta (Maria Franciszka Leśniak) z przywatykańskiego ośrodka pielgrzymkowego Peregrinatio ad Petri Sedem. Lepiej położone były chyba tylko konfesjonały ks. Słomińskiego. Siostra Benedykta przeszła obozy sowieckie i szlak bojowy armii Andersa. W pokoju sekcji polskiej pomagała w zakwaterowaniu wycieczek z kraju, wystarała się też o kilka tytułów na rozdawnictwo z oferty Mindena.

Polska inwazja na Rzym, jaka odbywała się w latach osiemdziesiątych, wymagała odważnych i energicznych posunięć właśnie w stylu niez mordowanej s. Benedykty<sup>41</sup>. Jej biuro odsyłało na nocleg do polskiego domu pielgrzymkowego Corda Cordi, wydawałoby się wymarzonego miejsca na książkową propagandę, ale tamtejsi księża nie zawsze chętnie patrzyli na wydawnictwa w Polsce zakazane. Wręcz odmawiali podania adresu Zahorskiego, bo uważali, że to naraża ludzi z Polski na niebezpieczne kontakty. Dopiero zbliżający się upadek komunizmu ośmielił o. Konrada Hejmo, kierownika tej placówki. Wielu księży w Rzymie – powtarzał Mindenowi Zahorski – jest pełnych obaw przed nadmiernym „upolitycznianiem” Kościoła<sup>42</sup>.

Jednym z głównych filarów operacji książkowej pozostawała przez trzy dekady grupka polskich chadeków w Rzymie – wspomina Stanisław A. Morawski. Działali od 1962 r. pod egidą Centro Esperienze Internazionali, usytuowanym początkowo przy Piazza Margana, uroczym placu, do którego prowadzą wąskie, kręte uliczki rzymskiego Starego Miasta. Misję tę kontynuowano – w gronie poszerzonym o Wandę

<sup>36</sup> Rozmowa z ks.rektorem Hieronimem Fokcińskim, 26 VIII 2013. Więcej na temat tej placówki: ks. H. Fokciński SI, *W progach Papieskiego Instytutu Studiów Kościelnych* [w:] *Świadectwa. Testimonianze*, t. 5: *Czas wojny. Czas pokoju w „polskim Rzymie”*, Rzym 2009, s. 521–550.

<sup>37</sup> Archiwum Zahorskich, Wykaz osób i instytucji, którym wydano książki w czwartym kwartale 1975 r., 31 XII 1975.

<sup>38</sup> Archiwum Hoovera, Kolekcja Mindena, box 2, *European trips reports*, październik – listopad 1983.

<sup>39</sup> Relacja Stanisława A. Morawskiego, 10 IX 2013, w zbiorach autora.

<sup>40</sup> Archiwum Zahorskich, List Witolda Zahorskiego do Jana Chodakowskiego, 30 VI 1983.

<sup>41</sup> Jej sylwetkę naszkicował o. Hieronim Fokciński: *Biuro Duszpasterskie na Piazza Pio w Rzymie* [w:] *„Polonia Włoska”. Wybór artykułów z biuletynu informacyjnego „Polonia Włoska” z lat 1995–2009*, Rzym 2010, s. 94–97.

<sup>42</sup> Archiwum Hoovera, Kolekcja Mindena, box 2, *Report from Rome*, 22 VI 1985.



Gawrońską – w Centro Incontri e Studi Europei, w miejscu również wyjątkowym, przy Via Anicia na Zatybrzu. XV-wieczne *chiostro* z arkadowym dziedzińcem pełnym drzewek pomarańczowych musiało olśniewać ludzi wrażliwych na piękno starej architektury, lecz niewielkie obroty tego punktu nieco mąciły te walory estetyczne w oczach Mindena<sup>43</sup>.

Zresztą trudności z ogrzewaniem zmuszały do zamykania lokalu zimą. W listopadzie 1979 r. akcja książkowa zdobyła jednak kolejny przyczółek – w czteropokojowym lokalu przy Via Piemonte, w Fundacji Umiastowskiej, której prezesurę objął Stanisław A. Morawski. Czas naglił. Wybór papieża Polaka stworzył niepowtarzalną okazję. We wszystkich tych miejscach od 1964 r. skrupulatnie administrowała rozdawnictwem Julita Hempel-Scaringi. Grupa polskich chadeków rozwinęła także program stypendialny, ułatwiała kontakty przybyszów z kołami emigracyjnymi, pomagała w badaniach i poszukiwaniu dalszych subwencji<sup>44</sup>. Mało kto z niewtajemniczonych przypuszczał, że ta opieka jest rozgałęziona i prowadzona systematycznie.

Wszystkie te zabiegi – niekiedy w sposób trudno dostrzegalny – otwierały umysły przyjezdnych z kraju na problemy w Polsce przemilczane. Posyłano nawet książki do Stacji PAN w Rzymie (do dzisiaj tam służą nauce). Placówka raczej nie propagowała emigracyjnej literatury, ale przyciągała naukowców z Polski i w ten pośredni sposób przyczyniała się do przepływu wiedzy<sup>45</sup>. Zdarzało się również, że do punktów kolporterskich zaglądali pracownicy ambasady PRL lub ich żony. W styczniu 1966 r. podrzucono paczkę

z książkami w sekretariacie kongresu Włoskiej Partii Komunistycznej dla m.in. Zenona Kliszki, drugiej osoby w PZPR po Władysławie Gomułce, choć trudno powiedzieć, czy miało to jakkolwiek rezonans<sup>46</sup>.

W sezonie letnim Zahorski wrzucał książki do swojego samochodu i pruł pod Ostię na nadmorskie campingi, gdzie Polacy chętnie się zatrzymywali. Podwoził także książki do rzymskiego jubilera Kazimierza Jabłowskiego, u którego w latach sześćdziesiątych zaradni obywatele PRL kupowali złoto (najtańsze wówczas w Europie Zachodniej)<sup>47</sup>. Turystyka podlegała nie tylko politycznym koniunktynom, ale również odwiecznemu wahaniu cykli ekonomicznych. Gdy w początku lat siedemdziesiątych na skutek światowego kryzysu naftowego doszło do zmiany kursu walut i wzrostu cen złota, zainteresowanie kierunkiem włoskim nieco zmalało – oceniał Zahorski<sup>48</sup>.

Książkowy szlak „z ziemi włoskiej do Polski” prowadził wśród polskich cmentarzy wojennych, w szczególności przez Monte Cassino, gdzie Zahorski doglądał grobów i niekiedy rozdawał literaturę przygodnie spotkanym wycieczkom. W różnych okresach półki Zahorskiego opróżniały również podpunkty rozdawnicze prowadzone przez kombatanatów rozsianych po Italii. W Neapolu za taki składzik służył „hotelik polski” Fiore Józefa Kowalczyka – ważne miejsce na szlaku handlowym polskich turystów – oraz dom pisarza Gustawa Herlinga-Grudzińskiego<sup>49</sup>. Funkcjonowały podpunkty w Rawennie, Loreto, Belarii (hotel My Home Adama Iwanejki). Aktywni byli Jan Jaworski w Turynie, Jerzy Skrodzki w Mediolanie, Jerzy Jasiński we Florencji.

<sup>43</sup> List Stanisława A. Morawskiego i Julity Scaringi do Adama Rudzkiego, 18 X 1979, w zbiorach autora.

<sup>44</sup> S.A. Morawski, *Centro Esperienze Internazionali...*, s. 337–356.

<sup>45</sup> A.A. Reisch, *Hot Books in the Cold War...*, s. 239.

<sup>46</sup> Archiwum Zahorskich, Wykaz książek wydanych w styczniu 1966.

<sup>47</sup> *Ibidem*, Wykaz książek wydanych w lutym 1967.

<sup>48</sup> *Ibidem*, List Witolda Zahorskiego do Andrzeja Stypułkowskiego, 3 IV 1973. Dane z kontroli ruchu granicznego nie potwierdzają tych obserwacji. Od początku lat siedemdziesiątych liczba turystów rosta z roku na rok: w 1971 r. Włochy odwiedziło ponad 6 tys. Polaków, w 1979 r. 43 tys. Skokowy wzrost nastąpił w 1977 r., kiedy do Italii udało się prawie dwa razy więcej przybyszów z Polski niż wcześniej (D. Stola, *Kraj bez wyjścia?*, Warszawa 2010, s. 488–489).

<sup>49</sup> Rozmowa z Martą Herling-Croce, 4 IX 2013; AIPN Kr, 009/5288, Teczka personalna tajnego współpracownika „Lechowicza”, Charakterystyka hotelu Józefa Kowalczyka, s. 238–239, wersja cyfrowa.



Korzystano niekiedy z włoskiej poczty dyplomatycznej, tutejszych amantów i zaprzyjaźnionych z nimi Polek (tzw. małżeństwa paszportowe). Trzeba było wciąż szukać nowych dróg, wczuwać się w puls przyjazdów z Polski, ośmielać lekko stremowanych gości, by rozdawnictwo nabrało rumieńców. Zahorski – jak widać – był w ciągłym ruchu, nie zamykał się w swojej kwaterze na Via Licia. Musiał jednak uważać, by zbyt duża część książek nie trafiała pokątnie w ręce emigracji, która też miała swoje potrzeby kulturalne, a nie zawsze dużo gotówki. Rozdawnictwo po mszy w kościele św. Stanisława mogło łatwo skrócić w tę stronę, czego Amerykanie sobie nie życzyli<sup>50</sup>.

### Nowa emigracja

Tylko jak przesądzić w tej masie, kto już jest uchodźcą, a kto się jeszcze zastanawia? Nie wszyscy przybywali do Włoch od razu z myślą o pozostaniu na stałe. Ich pobyty jednak przechodziły niepostrzeżenie w emigrację – tak było np. z ludźmi, których zaskoczył na włoskim gruncie stan wojenny. Nie można wykluczyć, że lektury bez cenzury odegrały pośrednią rolę w ich uwalnianiu się spod komunizmu<sup>51</sup>. Początkowo część pragnęła wrócić, dostali nawet książki na drogę do Polski, ale jednocześnie – jakby rozdarci wewnętrznie – szukali szans na nowe życie na Zachodzie. Tym bardziej że stan wojenny nie zatrzymał fali przyjazdów. Przypływ Polaków miał coraz bardziej ekonomiczne podłoże. Narastał rozkład PRL, coraz słabsze władze komunistyczne wydawały szczerze paszporty, by w ten sposób rozładować niezadowolone w kraju<sup>52</sup>.

Ludzie nagminnie uciekali – nawet podczas zaprogramowanych przez PRL wycieczek, a więc niemal tak jak stali, bez większego bagażu. Autokary wracały do

kraju mocno przerzedzone. „Turyści w jedną stronę” – puentował Zahorski<sup>53</sup>. Zdarzało się, że pobyt przedłużali pielgrzymi z grup zorganizowanych przez polski Kościół. Podejmowali starania o wizę amerykańską czy australijską i status azylanta. Część uciekinierów czekała beczynn timer na wieści z ambasad, grała w karty, opalała się na plaży, część pracowała na czarno, najmowała się gdzie popadnie, łamała niekiedy lokalne zwyczaje lub się demoralizowała. Liczba uchodźców sięgnęła we wrześniu 1986 r. 3,5 tys., w grudniu 4 tys., w kwietniu 1987 r. 4,5 tys., w sierpniu 6 tys., w 1988 r. już 12 tys. „Zaczyna się polskie piekielko” – przewidywał Zahorski<sup>54</sup>.

Polityczna emigracja miała więc na głowie tych „ludzi w drodze”, nierzadko musiała pewnie tłumaczyć ich przed włoską policją. Na ogół jednak włoski rząd podchodził do polskich przesiedleńców życzliwie. Włosi potrafili się wczuć w nielekki los emigrantów może lepiej niż społeczeństwa innych krajów europejskich ze względu na swoją długą tradycję wyjazdów zarobkowych do Stanów Zjednoczonych. Polaków nie deportowano do kraju, mimo że tylko mały procent z nich kwalifikował się do azylu politycznego. Włoskie władze, parafie i organizacje społeczne objęły tych ludzi doraźną pomocą humanitarną. Gotowano dla nich makaron, zaopatrywano w odzież, otoczono opieką rodziny z małymi dziećmi, ale wzbierająca nadal fala ludzi desperacko szukających we Włoszech przystani szybko przekroczyła granice zwyczajowej gościnności<sup>55</sup>.

Sfrustrowani przeciągającymi się procedurami wizowymi Polacy stanowili żywioł trudny do okiełznania. Za dnia np. myli szyby samochodów na ruchliwych skrzyżowaniach Rzymu, nocą koczowali w obozach uchodźczych i hostelach lub pod namiotami

<sup>50</sup> Archiwum Zahorskich, List Adama Rudzkiego do Witolda Zahorskiego, 17 IV 1982.

<sup>51</sup> F. Kind-Kovács, *Voices, Letters...*, s. 193–219.

<sup>52</sup> Zakładano zapewne również, że emigranci będą przysyłać do rodzin w kraju towary i pieniądze, co osłabi tendencje kryzysowe, a może i przyczyni się do rozwoju. Szerzej na temat takich strategii: R. Waldinger, *Beyond Transnationalism...*, s. 74–102.

<sup>53</sup> Archiwum Zahorskich, List Witolda Zahorskiego do Adama Rudzkiego, 31 XII 1986.

<sup>54</sup> *Ibidem*, List Witolda Zahorskiego do Adama Rudzkiego, 31 X 1986.

<sup>55</sup> Archiwum RWE, OSA HU 300-50-1, box 1783, BG, *Polish Refugees Posing Problems for Italy*, 19 VIII 1987, PTO, *Agencies on Poles in Italy*, 25 VIII 1987; *Problem polskich uchodźców we Włoszech*, „Dziennik Polski” (Londyn), 24 VIII 1987; *Polacy nie chcą wracać*, *ibidem*, 7 I 1988.

tami. Obozowiska pękały w szwach<sup>56</sup>. Groziło to zamknięciem granicy lub restrykcjami dla podróżnych z Polski, co źle wróżyło dalszemu rozdawnictwu książek. W tej sytuacji mniejszy niepokój wywoływali turyści, którzy jednak postanowili wrócić do domu, ale pełni obaw przed powrotem porzucali sprezentowane im wydawnictwa w hotelach lub na stacjach. Książk Fokciński musiał uruchomić „serwis ratunkowy” – notował Minden<sup>57</sup>. Z hoteli dzwonili do mnie, bym odebrał książki, które rodacy zostawili w koszu – dopowiada ks. rektor Fokciński. Wracaly one do niego niczym do wypożyczalni<sup>58</sup>.

Zagorzali miłośnicy kultury wysokiej stanowili mniejszość i to poniekąd był ich atut, jako że w tłumie łatwiej się precyzyjnie przez ucho kontroli granicznej. Ruch turystyczny do Włoch w tamtych czasach to przede wszystkim okazje handlowe, drobny import-export, targowiska, ludzie w gorączce zakupów. „Tak zwani pielgrzymi” – pisał o nich z lekką ironią Zahorski<sup>59</sup>. Potrzeby materialne mieszają się jednak z duchowymi, a szlaki handlowe sprzyjają rozprzestrzenianiu nowych wartości i innowacji<sup>60</sup>. Nawet porzucone książki nie były raczej świadectwem braku ich wartości, ale jedynie strachu przed pokonaniem trudnej przeszkody. Niektórzy czytali je na miejscu i przewozili do kraju „w sobie” – niczym dawni Rzymianie wino, które było tańsze w tawernach *extra muros*, a droższe po przekroczeniu granicy miejskich rogatek celnych. Opowiadał o tym Zahorskiemu stary kard. Domenico Tardini<sup>61</sup>.

## Za waszą wolność i naszą

Dostrzegamy w tej anegdocie pewną głębszą prawdę. Nasze polskie zmagania celne nie są wyjątkowym przypadkiem w dziejach. Należałoby je wpisać w szerszy repertuar zachowań ogólnoludzkich, w długą tradycję i wiele różnych wcieleń przemytu. Choćby tajny szlak książki rewolucyjnej w XIX wieku – mazzinistów, karbonariuszy, uczestników nieudanej wyprawy sabaudzkiej, szukających „okazji” – przez Brukselę do Szwajcarii, a stamtąd do Lombardii, Wenecji, Piemontu, w bagażach kupców, księgarzy, marynarzy<sup>62</sup>. I tak książka – nie po raz pierwszy – ożywia umysły, przygotowała atmosferę politycznego przełomu, w tym przypadku włoskie *Risorgimento*.

Nowy Jork próbował wytyczać wciąż nowe trasy do ZSRR, dla administracji Cartera i Reagana kierunek sowiecki stał się bardziej priorytetowy niż kiedykolwiek. Płynęły więc do Rzymu prośby o wynajdywanie kontaktów rosyjskich. „Rozdawnictwo sowieckie zawsze było ważne i trudne, teraz jeszcze nabiera na znaczeniu” – pisał Rudzki w latach osiemdziesiątych. Zahorski rozumiał amerykański punkt widzenia i – mimo skromnych sił – oferował u siebie na Via Licia niektóre publikacje po rosyjsku. Przyjmował również na ten adres paczki z książkami. Pomagało to rozwiązać kłopoty logistyczne Associazione Letteraria Italiana, rosyjskiego przedstawicielstwa ILC w Rzymie, na które władze włoskie patrzyły z pewną podejrzliwością.

<sup>56</sup> „KOS”, 13 IX 1987; Archiwum RWE, OSA HU 300-50-1, box 1783, TW, *Polish Asylum Seekers Find Italian Refugee Camp Closed*, 11 VIII 1987; J. Wyles, *Poles Find Haven at Italian Church*, „Financial Times”, 15 VIII 1987. Zob. też *Kościół przeciwko wyjazdowi*, „Dziennik Polski” (Londyn), 27 VIII 1987. Kościół był coraz bardziej zaniepokojony masowym odpływem Polaków za granicę; w sprawie tej wypowiedział się również papież.

<sup>57</sup> Archiwum Hoovera, Kolekcja Mindena, box 2, *European trips reports*, maj – czerwiec 1984.

<sup>58</sup> Rozmowa z ks. rektorem Hieronimem Fokcińskim, 26 VIII 2013.

<sup>59</sup> Archiwum Zahorskich, List Witolda Zahorskiego do Adama Rudzkiego, 5 X 1985. Zob. też AIPN Kr, 009/5288, Raport „Lachowicza”, 13 X 1967, s. 365, wersja cyfrowa.

<sup>60</sup> I. Goldin, G. Cameron, M. Balarajan, *Exceptional People...*

<sup>61</sup> Archiwum Zahorskich, List Witolda Zahorskiego do Stanisława Dziwisza, 8 XI 1982.

<sup>62</sup> Z. Szelaq, *Literatura zabroniona 1832–1862. Zjawisko – rynek – rozpowszechnianie*, Kielce 1989.

Owa współpraca „za waszą wolność i naszą” była odwołaniem do najlepszych polskich tradycji, a trzeba zaraz dodać, że to nastawienie nie zawsze łatwo przychodziło w kręgach kombatanckich. Zahorski wychodził swoim postępowaniem poza schematy myślenia narodowego. Mówimy bowiem o ludziach kresów, którzy mieli w czasie wojny bardzo ciężkie doświadczenia na Wschodzie, a potem znaleźli się na emigracji w wyniku polityki Stalina. Rzutowało to na stosunek do Rosjan w ogóle. Na dodatek system Minda coraz więcej środków i sił przeznaczał na ZSRR, a zatem coraz mniej na Polskę, co nie wywoływało entuzjazmu nawet u Jerzego Giedroycia, skądinąd przyjaźnie usposobionego do Rosjan i innych narodów ujarzmionych<sup>63</sup>.

Ze składu Zahorskiego wydawano publikacje po rosyjsku m.in. chórzystom Armii Radzieckiej, Teatrowi Bolszoi, orkiestrze Filharmonii Moskiewskiej, kolarzom i koszykarzom, sowieckim inżynierom, oficjalnym delegacjom i misjom handlowym. Zwyczajowo nie gardzili takimi podarunkami marynarze. W rzymskim klubie prasy zagranicznej podrzucano książki dziennikarzom agencji TASS, Izwestii i dziennika „Prawda”. To byli zapewne ludzie bliscy radzieckich służb specjalnych, ale mogła ich kusić wizja zarobku. Na bazarach w Moskwie tamizdatowe publikacje rosyjskich dysydentów osiągały ceny astronomiczne. Dobre okazje nadarzały się latem, kiedy – jak to określał Zahorski – dużo „sowieciarzy” zjeżdżało się na coroczny festyn „L’Unità” – głównej gazety włoskich komunistów.

Starano się podejść przeciwnika nawet u lekarza. W latach osiemdziesiątych rosyjskie publikacje wstawiono do gabinetu dermatologa Wojciecha Leszczyńskiego, u którego leczyli się pracownicy ambasady radzieckiej. Taka zagrywka mogła mieć sens, gdyż, jak wiemy, niektórzy prominenci przejawiali autentyczne potrzeby czytania i po kryjomu przywozili druki do kraju, a mieli czasem dobre kanały, nie budzili na gra-

nicach podejrzeń. Potrzebowali wszakże atmosfery dyskrecji, jak u lekarza, by się zdecydować. W spisach widnieje również rzymska klinika San Raffaele. Kurowały się tam osobistości polskiego Kościoła, a także dyplomaci i zagraniczni delegaci państw Europy Wschodniej – dopowiada Witold Zahorski junior. „Rozdawkę” licznych publikacji umożliwił doktor Mieczysław Markiewicz, dyrektor sanitarny szpitala i zarazem znajomy rodziny Zahorskich.

Raz któryś z hiszpańskich dystrybutorów został uznany za prowokatora i pobity w porcie na Teneryfie przez marynarza sowieckiego (dwa złamane żebra), jednak operacja rosyjska na ogół przebiegała bez zakłóceń i po cichu rozrosła się do naprawdę imponujących rozmiarów. Mało kto zdaje sobie sprawę, że w ostatnich latach działalności cały amerykański program dystrybuował około 300 tys. egzemplarzy rocznie; 55 proc. przydziału kierował do ZSRR, a resztę do pozostałych krajów Europy Wschodniej (na drugim miejscu była Polska)<sup>64</sup>. Dopiero takie spojrzenie pokaże nam złożoność transnarodowej przestrzeni, jaką wówczas udało się stworzyć.

### Warunki funkcjonowania

Poziom sformalizowania działań w ramach tej przestrzeni był dość zróżnicowany. Na jednym końcu mamy International Literary Centre, nowojorskie biuro zatrudniające urzędników, dysponujące perspektywą programową, a na drugim zupełnie indywidualne praktyki, często jednorazowe okazje anonimowych podróżnych, trudne do zidentyfikowania i opisania. Między tymi dwoma biegunami sytuowali się terepowi dystrybutorzy, jak Zahorski, pracujący częściowo społecznie, częściowo wynagradzani. Na skali wyznaczonej przez metodologów transnarodowości nasz program można by przyporządkować sieciom zadaniowym (*issue network*). Do tego obszaru zaliczane są ruchy działające na rzecz celów ogólniejszych,

<sup>63</sup> A.A. Reisch, *Hot Books in the Cold War...*, s. 209.

<sup>64</sup> *Ibidem*, s. 510, 515.

np. obrony praw człowieka lub wymiany myśli naukowej<sup>65</sup>.

Za oceanem oczekiwano dosyć szczegółowych sprawozdań kwartalnych i miesięcznych. Trzeba było więc podzielić koszty, książki i ludzi na różne grupy, zbierać rachunki, odgłosy z kraju, czyli zaszyfrowane potwierdzenia, odbierać paczki i czekać, przeliczać liry na dolary oraz zmagać się z drożyzną i inflacją włoskiej waluty. Czym więcej szczegółów, tym lepiej – dawał do zrozumienia Nowy Jork, a sprawy nieraz się komplikowały choćby ze względu na duże oddalenie od amerykańskiej centrali. Buchalteria zabierała więc sporo czasu, a pulsujące wokół życie nie sprzyjało spokojnej pracy. Przez główny punkt przy Via Licia przewinęło się tysiące ludzi, spraw i emocji.

Zahorski i jemu podobni działali na styku dwóch, a nawet trzech światów i we wszystkich musieli się nauczyć poruszać. Z jednej strony przyjaciele amerykańscy – dbający o obraz statystyczny swoich operacji, podlegający rozbudowanym procedurom prawnym i podatkowym, kontrolowani przez audytorów, żądający identyfikacji odbiorców w obawie przed wyłudzeniami. A z drugiej – rzeczywistość włoska z charakterystyczną ociężałością (włoski żółt pocztowy i bankowy), kulturą omijania podatków (niechęć wydawania rachunków nawet w kawiarni) i napiwkami oraz prezentami na każdym kroku, torującymi drogę do celu. W czerwcu 1978 r. amerykańskie pieniądze stały się łupem rzymskich *borseggiatori*, motocyklistów wyrrywających torebki<sup>66</sup>.

Wreszcie przybysze z kraju, z radością oczekiwani i serdecznie witani, ale też niesforni, niechętni do ujawniania swoich personaliów, czasami oczekujący załatwienia pracy i mieszkania, targani to entuzjazmem, to strachem (dla tych ostatnich otworzono

wypożyczalnię). Często zresztą ludzie zagubieni, nieznający języka, przychodzący o najdziwniejszych porach. Zdarzali się turyści, którzy przywozili ze sobą ziemniaki z Polski – wspomina Witold Zahorski junior – bynajmniej nie dlatego, że nie odpowiadała im tutejsza kuchnia. Nierzadko siedziba kombatantów przy Via Licia służyła rodakom za darmowy pensjonat<sup>67</sup> i stawała się w ogóle źródłem wszelkiego pocieszenia, dystrybucją nie tylko wiedzy, ale też nadziei na lepszy los.

Taką rolę książka emigracyjna spełniła niewątpliwie wobec emigracji 1968 r. Pod koniec lat sześćdziesiątych przez Rzym przewinęły się setki rodzin. Wyrzuceni z Polski, niepewni jutra, pozostawali jakby w zawieszeniu między dawnym a nowym światem. W czasie załatwiania formalności wizowych szukali polskiej lektury, w ogóle jakiegoś punktu oparcia w obcym mieście. W 1969 r. Zahorski informował: „naraż przychodzi po kilkanaście osób”<sup>68</sup>. Zrażeni do komunizmu, uznani w PRL za „syjonistów”, stawali się teraz naturalnymi sojusznikami świata zachodniego. Niektórzy – trochę po cichu przed Amerykanami – dostawali książkę na dalszą drogę, inni musieli zadowolić się jedynie wypożyczeniem.

„Nikt nie odchodzi od nas z pustymi rękami” – podkreślał Zahorski w 1985 r.<sup>69</sup> Adres można było znaleźć w napisanym przez niego przewodniku *Polak we Włoszech*, który był zarazem reklamą emigracyjnych dokonań, pomijanych skrętnie w krajowych publikacjach. O rozdawnictwie tam jednak wprost nie wspomniano, obowiązywała dyskrekcja<sup>70</sup>. Zahorski wydawał od lat ten informator własnym sumptem, co oczywiście było drogą imprezą, a dość małe skupisko polskie w Rzymie nie stanowiło w zasadzie rynku wydawniczego. Wystarczy powiedzieć, że w Rzymie nie

<sup>65</sup> T. Faist, *Transnationalism [w:] The Routledge International Handbook...*, s. 449–459.

<sup>66</sup> Archiwum Zahorskich, List Witolda Zahorskiego do Ireny Fliegerowej z Polonia Book Fund, 1 VII 1978.

<sup>67</sup> Wzmianki na temat pokoi gościnnych przy Via Licia w raportach z włoskich podróży „Lachowicza” (Olgierda Terleckiego), AIPN Kr, 009/5288.

<sup>68</sup> Archiwum Zahorskich, List Witolda Zahorskiego do Andrzeja Stypułkowskiego, 30 IV 1969.

<sup>69</sup> *Ibidem*, List Witolda Zahorskiego do Adama Rudzkiego, 5 X 1985.

<sup>70</sup> Mimo to Zahorski parę razy znalazł się na celowniku instancji wywiadowczych PRL (AIPN, 01940/60/CD, Sprawa kryptonim „Witz”).



funkcjonowała żadna polska księgarnia porównywalna z tymi w Paryżu czy Londynie.

Po latach pracy posterunek Zahorskiego wyrobił sobie renomę. Na Via Licia nie trzeba było już specjalnie zapraszać. Turyści odwiedzali Wieczne Miasto coraz tłumniej (w 1985 r. niekiedy po 1500 pielgrzymów z Polski tygodniowo), ale cały ich majątek składał się co najwyżej ze 100–200 dolarów. Istna kwadratura koła – są czytelnicy, mają chęci, ale nie mają możliwości. Jednak dzięki pomocy ILC można było poważnie się na piątą wydanie *Polaka we Włoszech* (1983 r., nakład 2 tys. egzemplarzy). W tym wypadku dzięki zakupieniu na rozdawnictwo 600 egzemplarzy z 20-procentową marżą księgarską rzecz nie okazała się ciosem dla emigracyjnego wydawcy<sup>71</sup>.

Takie problemy nie są czymś wyjątkowym. Literatura ukuła nawet termin *incipient diaspora* – początkowa emigracja. Studia nad wieloma przypadkami pierwszego pokolenia przesiedleńców z różnych stron świata dowodzą, że w tej fazie występują największe trudności ekonomiczne<sup>72</sup>. Amerykańska pomoc zdynamizowała i zmodernizowała ruch wydawniczy i księgarski na emigracji. Stany płaciły za różne ułatwienia, zresztą nie tylko w Rzymie, ale też w głównym magazynie akcji – w londyńskim Polskim Ośrodku Społeczno-Kulturalnym. Amerykanie pomogli w zakupie regałów, materiałów do prowadzenia ewidencji, papieru pakowego i – co może najważniejsze – dokładali się do czynszu, telefonów, regulowali opłaty za transport oraz wnoszenie ciężkich paczek z książkami na pierwsze piętro. Dzięki temu szybciej rósł potencjał kulturowy i polityczny emigracji.

Wszystko w życiu jest jednak kwestią miary. Polskie punkty dystrybucji korzystały na tym raz mniej,

raz więcej, ale nie były własnością Amerykanów. Nie pozostawały na ich wyłącznym utrzymaniu. Był to raczej dyskretny patronat. Rozdawcy byli aktorami w rozumieniu teorii emigracji<sup>73</sup>: sami proponowali różne tytuły wedle swojego doświadczenia i wycucia, stworzyli gęstą sieć więzi międzyludzkich, pracowali po godzinach, wciągnęli swoje rodziny. Był to kapitał ludzki nie do przecenienia. W latach osiemdziesiątych George Minden tłumaczył ludziom z ambasady amerykańskiej w Rzymie, że koszt założenia własnej, tj. amerykańskiej, księgarni od podstaw byłby nieporównywalnie wyższy. I że na współpracy z Polakami cały program sporo oszczędza<sup>74</sup>.

Wysokie wymagania amerykańskiej biurokracji, które wówczas wydawały się zapracowanym dystrybutorom maostkowe, na coś się jednak przydały. Dzięki nim szczęśliwie dysponujemy pewnym oglądem statystycznym akcji Zahorskiego. Zestawienia, co zrodziła, dotyczą liczby książek wydanych, a nie przewiezionych do Polski. Późniejsze życie tych publikacji pozostaje poza dokładnymi pomiarami, choć prawdopodobnie ILC próbowało orientacyjnie ustalić procent publikacji przemycanych na podstawie potwierżeń i podziękowań, jakie nadchodziły czasem z kraju. Takie fakty, jeżeli są możliwe do ustalenia, przybliżyłyby do odpowiedzi na pytanie o osiągnięcia i porażki programu w wojnie celnej z PRL.

W latach osiemdziesiątych w punkcie Zahorskiego wydawano od 300 do 1200 publikacji kwartalnie<sup>75</sup>. Tak duże wahania spowodowane były głównie sezonowością przyjazdów turystycznych. W miesiącach letnich zapotrzebowanie zaczęło wyraźnie górować nad zasobami magazynów ILC. „Całe szczęście, że niektórych pielgrzymów książka nie interesuje” – pisał

<sup>71</sup> Archiwum Zahorskich, List Adama Rudzkiego do Witolda Zahorskiego, 31 I 1983.

<sup>72</sup> Aktywność polityczna takich nieugruntowanych emigrantów jest zazwyczaj znikomą (G. Sheffer, *The Historical, Cultural, Social and Political Background...*, s. 435–448).

<sup>73</sup> W teorii tacy ludzie określane są mianem aktorów średniego szczebla. Ich zachowania nie mają raczej charakteru podporządkowania czy zależności. Są wydzieloną, autonomiczną rolą, która ma wpływ na kształt całego procesu (Ch. Watters, *Forced Migrants. From the Politics of Displacement to a Moral Economy of Reception* [w:] *The Routledge International Handbook...*, s. 102).

<sup>74</sup> Archiwum Hoovera, Kolekcja Mindena, box 2, *European trips reports*, 6 V – 3 VI 1983.

<sup>75</sup> Obliczenia na podstawie analizy wykazów i listów Witolda Zahorskiego.



Zahorski w lipcu 1980 r.<sup>76</sup> Czytelnicy stali się coraz lepiej zorientowani w ofercie emigracyjnych wydawnictw. Pojawiali się z tytułami książek wypisanymi na kartce, poszukiwali konkretnych rzeczy, których jeszcze nie przeczytali, domagali się nowości. Wokół akcji książkowej wyrosła wierna i odczytana publiczność. Jednocześnie z upływem lat rynek wewnętrzny powoli nasyczał się książką zakazaną, a klienci stawali się coraz bardziej wybredni.

Trudno jest statystycznie ująć cały okres operacji pod kątem tego, które konkretnie tytuły należały do najbardziej rozchwytywanych. Zestawienia bowiem nie zawierają aż tak systematycznych i zagregowanych informacji. Niestabnącą popularnością cieszyły się gratisy o Katyniu, dzieła Herlinga-Grudzińskiego, Sołżenicyna, *Folwark zwierzęcy* Orwella – relacjonuje po latach Witold Zahorski junior. Hitem musiały być też wszelkie książki na temat papieża Polaka<sup>77</sup>. Momentami duże zapotrzebowanie pojawiało się na wspomnienia Jana Nowaka-Jeziorańskiego i książkę Teresy Torańskiej *Oni*. Chwilową sensację wywołał zbiór dokumentów *Gomułka i inni. Z tajnych archiwum KC*. „Niektórzy chcą znaleźć tam swoje nazwiska” – pisała Elżbieta Zahorska w 1989 r.<sup>78</sup> Takich wzmianek znajdziemy więcej, ale chyba nie stanowią one wystarczającej podstawy do badania długotrwałych trendów.

Można natomiast bez większego ryzyka powiedzieć, że w ofercie dominowała tematyka historyczna i literacka, dużo było również współczesnej publicystyki politycznej. Wśród wydawców prymat wiodła paryska „Kultura”. Oferta skonstruowana była w taki sposób, by uzupełniać wiedzę czytelnika o interpretacje i tematy przemilczane w kraju. Stąd np. książki historyczne dotyczyły zazwyczaj XX wieku, oświetlały problematykę drugiej wojny światowej oraz rządów komunistycznych w Polsce i Europie Wschodniej.

Szczególnie w początkach akcji oferowano jednak również specjalistyczne książki obcojęzyczne, bez politycznego znaczenia, po prostu trudno dostępne dla polskiego uczonego ze względu na odcięcie Polski od nauki światowej, trudności ekonomiczne i inne przyczyny.

### **Nowa platforma komunikacji**

Jak wypadła rzymska operacja przemysłowa na tle innych miast europejskich? To pytanie pozostaje na razie bez odpowiedzi. Lista odbiorców na przestrzeni lat obejmuje tysiące nazwisk. Tworzą oni krajową arenę książkowej kontestacji. Społeczne zróżnicowanie użytkowników książki zakazanej – od robotników po profesorów – jest bodajże największym zaskoczeniem dla badacza. Dotychczasowa literatura przedmiotu łączyła obieg takiej książki głównie z inteligencją humanistyczną, światem literatury lub kontrkultury młodzieżowej. Postaciami najczęściej przywoływanymi w kontekście naszych lektur są kręgi opozycji. Tymczasem już w latach sześćdziesiątych z punktów takich jak w Rzymie napływały do Polski tysiące wydawnictw rocznie. Operacja Zahorskiego otwiera nam oczy na ludzi nieznanych ze swoich literackich zainteresowań ani władzy, ani społeczeństwu.

Przepustowość systemu książkowego zależała w znacznej mierze od sieci społecznych. Grupowe działanie, np. kilku czy kilkunastu uczestników pielgrzymki połączonych nie zawsze widzialnymi więziami, poszerzało pas transmisji, choćby dlatego, że w grupie łatwiej podejmuje się ryzyko<sup>79</sup>. Sieci te mogły mieć charakter tylko rodzinny. Często wiązywały się jednak w obrębie oficjalnych instytucji PRL, wykorzystując je do realizowania swoich celów. Pod państwowym protektoratem toczyło się drugie życie, dochodziło do ukrytych interakcji,

<sup>76</sup> Archiwum Zahorskich, List Witolda Zahorskiego do Andrzeja Stypułowskiego, 2 VII 1980.

<sup>77</sup> To spostrzeżenie odnosi się do punktu Stanisława A. Morawskiego, ale można z tego wnioskować *per analogiam* o całym rzymskim rozdawnictwie (List Stanisława A. Morawskiego do Adama Rudzkiego, 1 V 1980, w zbiorach autora).

<sup>78</sup> Archiwum Zahorskich, List Elżbiety Zahorskiej do Jana Chodakowskiego, 15 I 1989.

<sup>79</sup> I. Goldin, G. Cameron, M. Balarajan, *Exceptional People...*

niebędących częścią oficjalnego programu orkiestry symfonicznej czy rejsu statkiem handlowym. Instytucje PRL – urząd paszportowy, urząd celny itp. – także kanalizowały ruch wyjazdowy, czyli stwarzały ogólne ramy systemowe dla krążenia niesystemowych idei.

Trzeba rzecz jasna uważać, by nie przecenić wpływu książki na umysł ani w ogóle siły więzi transnarodowych. Wiemy jednak, że początki w historii bywają skromne i słabo widoczne. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych system książkowy cierpliwie inwestował w zasadzie jeszcze nie w ruch społeczny, ale w pojedyncze osoby i w dość luźne sieci powiązań. Niewidzialnie tworzył się jednak jego zaczyn, nowe wyobrażenie świata, nowa platforma komunikacji. Akcja książkowa zwiększała samodzielność Polaków, rozbudzała krytyczne nastroje, zmniejszała dystans od świata zachodniego. Aż w pewnym momencie ktoś poszedł krok dalej i wpadł na pomysł, by teksty po-

mnąć już w kraju, samodzielnie drukować i dystrybuować. Pasja czytania zamieniła się w zorganizowany ruch społeczny. Grunt pod tę decyzję był już przygotowany.

\* \* \*

W gościnnym mieszkaniu państwa Zahorskich spędziłem dwa dni. Byłem w ich ulubionej trattorii Romolo e Remo, w pobliżu murów cesarza Aureliana opasujących miasto. Może właśnie tu Witold Zahorski spotykał się z George'em Mindenem, Adamem Rudzkiem, Andrzejem Stypułkowskim w czasie ich rzymskich wizyt... Na koniec jedziemy z jego synem na cmentarz Verano, dużą rzymską nekropolię, odwiedzamy kwaterę polską. Wśród rozłożystych piniowców szara marmurowa płyta, na niej wyryta data śmierci – 5 stycznia 1989 r. Polski wolnej Zahorski nie zdążył doczekać.

# NIEPOLITYCZNI POLITYCY. ETYCZNE ASPEKTY WSPÓŁPRACY ŚRODOWISK OPOZYCYJNYCH NRD I PRL

**EWA ŁEPKOWSKA**

dr, kulturoznawca, ekonomistka.  
Doktorat poświęcony życiu i myśli  
Dietricha Bonhoeffera w dyskursie  
opozycjonistów PRL obroniła na  
Wydziale Lingwistyki Stosowanej  
Uniwersytetu Warszawskiego.  
Najważniejsze publikacje: *Chrześcijanin  
wobec doświadczenia totalitaryzmu.  
Czego opozycja PRL-u nauczyła się  
od Dietricha Bonhoeffera?* (w zbiorze  
*W poszukiwaniu prawdy. Chrześcijańska  
Europa między wiarą a polityką,*  
t. 2, red. Anna Szyndler, 2010),  
*Na Zachód od Wschodu. Literackie  
i popkulturowe obrazy NRD, PRL i RFN*  
(wraz z Katarzyną Górską, 2009).

W okresie powojennym w obu państwach niemieckich – inaczej niż w Polsce – powszechnie znane były najważniejsze fakty z życia oraz podstawowe hasła dotyczące dorobku intelektualnego Dietricha Bonhoeffera – protestanckiego teologa i uczestnika spisku na życie Hitlera. Zarówno w RFN, jak i w NRD jego biografia legitymizowała nowe (choć zupełnie różne) porządki polityczne i społeczne, a także pomagała w konstruowaniu wizerunku innych, nienazistowskich Niemiec. W RFN – mimo nieodosobnionych przypadków godzenia w jego dobre imię – Bonhoeffer stał się ostatecznie jedną z ikon *Widerstand*. Władzom NRD pasował zaś do antyfaszystowskiego mitu, który legł u podstaw nowego, robotniczo-chłopskiego państwa. Socjalistyczna Partia Jedności Niemiec (Sozialistische Einheitspartei Deutschlands, SED) chętnie posługiwała się Bonhoefferem, czyniąc z niego – z pomocą chętnych do współpracy teologów – proroka komunizmu, albo przynajmniej demokratycznego socjalizmu<sup>1</sup>.

Erhard Neubert za Lutzem Motikatem twierdzi, że w NRD nie było jednak „szczegółowej teologiczno-kościelnej recepcji Bonhoeffera, a jedynie nawiązania do jego nauk”, w związku z czym powinno się raczej mówić o instrumentalizacji dorobku teologa niż o szczegółowych, wschodnioniemieckich interpretacjach<sup>2</sup>. Najczęściej przytaczanym przykładem wypaczenia myśli teologa-spiskowca jest koncepcja „Kościoła w socjalizmie” (a dokładniej: „Kościoła w socjalistycznym społeczeństwie”<sup>3</sup>), ogłoszona w 1971 r. przez byłego studenta Bonhoeffera bp. Albrechta Schönherra, oraz rozwijająca ją formuła „Kościoła dla innych” pastora Heino Falckego, w której do bonhoefferowskich „innych”, tj. słabych i cierpiących, dołączyli kolejni – komuniści. Twórcom tych koncepcji należy jednak oddać sprawiedliwość, powołując się na słowa Janusza Ruskowskiego, który twierdził, że ta „teologiczna ekwilibrystyka” pozwoliła protestanckim Kościołom w NRD

<sup>1</sup> E. Neubert, *Zur Rezeption Bonhoeffer in der DDR [w:] Menschen im Widerstand. Dietrich Bonhoeffers Wirkungen in Polen und Deutschland. Dokumentation der Tagung vom 18.-20. Oktober 1999 in Kreisau und Breslau*, Berlin 1996, s. 35.

<sup>2</sup> *Ibidem*, s. 32.

<sup>3</sup> J. Ruskowski, *Kościół ewangelicki w NRD*, Poznań 1995, s. 76.

w subtelny sposób zaznaczyć ich miejsce „między »dopasowaniem« a opozycją”<sup>4</sup>.

Polscy intelektualiści mogli szerzej zapoznać się z myślą Bonhoeffera dopiero w 1970 r., kiedy to ukazał się opracowany przez publicystkę „Więzi” i „Znaku” Annę Morawską wybór pism teologa (zawierający m.in. *Etykę* oraz *Listy i notatki z więzienia*), a także najważniejsza dotychczas poświęcona mu polskojęzyczna praca biograficzna – *Chrześcijanin w Trzeciej Rzeszy*. Właśnie w tej książce Morawska określiła go mianem najmniej politycznego polityka w kręgu niemieckich przeciwników Hitlera, a jednocześnie nazwała go prawdziwym mężem stanu, którego zdolność przewidywania przerosła nawet wizje członków Kręgu z Krzyżowej<sup>5</sup>. Do „niepolitycznej polityki” Bonhoeffera nawiązał także Tadeusz Mazowiecki w eseju *Nauczył się wierzyć wśród tęgich razów*, tłumacząc ją jako zaangażowanie w obronę imponderabiliów i próby tworzenia własnych reguł gry zamiast godzenia się na zasady narzucone i nieakceptowane<sup>6</sup>.

O dalekowzroczności Dietricha Bonhoeffera świadczyło zdaniem polskich publicystów przede wszystkim jego przekonanie o tym, że Niemcy muszą przyjąć najcięższe nawet konsekwencje przegranej – wywołanej przez nich – wojny, m.in. po to, by mieć prawo do ubiegania się o wejście do planowanej już wówczas federacji europejskiej. Warunkiem początkowym starań o powrót do cywilizowanego świata miała być ekspiacja i zadośćuczynienie za wyrządzone krzywdy.

Teolog nie mógł przewidzieć, że jego słowa – i te o pokucie, i te o solidarności oraz „byciu dla innych” – nie tylko Niemcom, ale też Polakom pomogą przeciwstawiać się kolejnym wcieleniom tyranii.

Przykładem oddolnych, „niepolitycznych” inicjatyw dążących do rozliczenia z nazistowską przeszłością, mających jednocześnie związek z Polską, była Akcja Znak Pokuty oraz działalność Güntera Särche-

na, organizatora Seminariów o Polsce, prowadzonych później we współpracy z Ludwigiem Mehlhornem, które przekształciły się w Seminarium im. Anny Morawskiej, a następnie (już po zjednoczeniu Niemiec) w Towarzystwo im. Anny Morawskiej. Po stronie polskiej odpowiedzialność za rozwijanie tego dzieła początkowo wzięły na siebie środowiska świeckich intelektualistów katolickich (współpracownicy „Tygodnika Powszechnego”, „Znaku”, „Więzi”, klubów inteligencji katolickiej) wspierane przez hierarchów (głównie bp. Bolesława Kominka i kard. Karola Wojtyłę), natomiast tzw. lewica laicka zainteresowała się kwestią niemiecką później – dzięki impulsom ze wspomnianych kręgów.

W przypadku Akcji Znak Pokuty bonhoefferowskich inspiracji szukać należy w samych początkach, jej założyciel Lothar Kreyssig był bowiem od 1934 r. członkiem Kościoła Wyznającego. Jako prawnik w lipcu 1940 r. wystąpił pisemnie do ministra sprawiedliwości Trzeciej Rzeszy Franza Gürtnera, protestując przeciwko mordowaniu osób niepełnosprawnych w tzw. zakładach opiekuńczych<sup>7</sup>. Za otwartą krytykę eutanazyjnej akcji T4 został przeniesiony w stan spoczynku. Po zakończeniu wojny pozostał w rodzimej Saksonii, ale nie mając złudzeń odnośnie do charakteru nowej władzy, nie wrócił do zawodu prawnika i zdecydował się na pracę w strukturach kościelnych. Miał nadzieję, że będzie mógł się tam zmierzyć z nurtującym go problemem niemieckiej winy, który w oficjalnej propagandzie NRD nie istniał.

Ostatecznym impulsem do działania stała się dla Lothara Kreyssiga eskalacja zimnej wojny i zbrojeń atomowych. W kwietniu 1958 r., podczas odbywającego się w Berlinie synodu Kościołów ewangelickich, po debacie na temat stosunku Kościoła do broni masowego rażenia wystąpił z mową *Wir bitten um Frieden* (Prosimy o pokój), w której przekonywał o koniecz-

<sup>4</sup> *Ibidem*, s. 85.

<sup>5</sup> A. Morawska, *Chrześcijanin w Trzeciej Rzeszy*, Warszawa 1970, s. 185.

<sup>6</sup> T. Mazowiecki, *Nauczył się wierzyć wśród tęgich razów* [w:] *idem*, *Druga twarz Europy*, Warszawa 1990, s. 22.

<sup>7</sup> L. Kreyssig, *Brief des Vormundschaftsrichters Dr. Lothar Kreyssig an Reichsjustizminister Gürtner vom 8. Juli 1940* [w:] *NS-„Euthanasie“ vor Gericht: Fritz Bauer und die Grenzen juristischer Bewältigung*, red. H. Loewy, B. Winter, Frankfurt am Main 1996, s. 183–185.

ności odpokutowania przez Niemców za winy Trzeciej Rzeszy. Pod jego apelem podpisało się 79 osób<sup>8</sup>. Dla swoich działań Kreyszig wybrał początkowo nazwę Aktion Versöhnungszeichen (Akcja Znak Pojednania), ale później zmienił ją na bardziej poprawną pod względem teologicznym Aktion Sühnezeichen (ASZ, Akcja Znak Pokuty); chodziło o kolejność – bez pokuty nie może dojść do prawdziwego pojednania. Warto wspomnieć, że nazwa ta wielu osobom się nie podobała i często próbowano ją zmieniać. W RFN jeszcze za życia Lothara Kreysziga dodano do niej słowo Friedensdienste (Służba dla Pokoju), by – jak twierdzi Konrad Weiß – osłabić wymowę słowa pokuta<sup>9</sup>. W maju tego samego 1958 r. rządy ZSRR, Polski, Izraela i obu państw niemieckich poinformowano o powstaniu i planach ASZ, ale propozycje współpracy spotkały się z odmową.

Po powstaniu muru berlińskiego Lothar Kreyszig nie mógł już jako prezes koordynować międzynarodowych działań Akcji, skupił się więc na stworzeniu jej struktur w NRD. Jednak nie spodobało się to SED, której zdaniem obywatele NRD – jako spadkobiercy „antyfaszystowsko” nastawionej części społeczeństwa – nie musieli pokutować za zbrodnie nazizmu.

Problemy organizacyjne udało się Kreyszigowi pokonać, gdy poznał człowieka równie jak on przejętego ideą pojednania. Był nim – wówczas 32-letni – Serbołużyczanin z Wittichenau (Kulow), świecki współpracownik biskupstwa katolickiego w Magdeburgu Günter Särchen. Ich wieloletni przyjaciel Tadeusz Mazowiecki spotkanie to opisuje w następujący sposób: „Odtąd byli parą nierozłączną: Kreyszig

o duszy i mentalności profetycznej, dla którego nic nie było niemożliwe nawet w NRD-owskiej rzeczywistości, i Särchen, chodzący po ziemi [...]. Organizator i apostoł”<sup>10</sup>.

Günter Särchen od końca lat pięćdziesiątych rozwijał sieć swoich znajomości w Polsce. Miał też możliwość współpracy z ludźmi, którzy jeszcze przed 1939 r. należeli do ugrupowań pacyfistycznych szukających porozumienia z partnerami po stronie polskiej<sup>11</sup>, głównie z lipskimi oratorianami – księżmi Theodorem von Vietinghof-Schellem, Josefem Guldenem oraz młodszym od nich Wolfgangiem Trillingiem<sup>12</sup>. Jego dzieło pojednania mogło więc się opierać na wzorcach wypracowanych już w dwudziestoleciu międzywojennym. Pytany o powody, dla których zainteresował się Polską i ideą pojednania, odpowiadał, że jako Łużyżczaninowi, a więc przedstawicielowi mniejszości słowiańskiej w Niemczech, łatwiej było mu zrozumieć innych prześladowanych.

Dzięki katolikowi Günterowi Särchenowi wschodnioniemiecka ASZ mogła łatwiej nawiązać kontakty z kręgami polskich intelektualistów krytycznie nastawionych do władzy komunistycznej<sup>13</sup> – redaktorami „Tygodnika Powszechnego” i „Więzi”: Anną Morawską, Tadeuszem Mazowieckim, Stanisławem Stomą, Mieczysławem Pszonem, Jerzym Turowiczem, a także z członkami KIK-ów i współpracownikami Zakładu dla Niewidomych w Laskach<sup>14</sup>. Spotkania te okazały się ważne również dla strony polskiej; Stomma i Mazowiecki byli zaskoczeni zbieżnością ich poglądów na najnowszą historię Niemiec i stosunku do nacjonalizmu z opiniami Särchena i Kreysziga.

<sup>8</sup> K. Weiß, *Lothar Kreyszig. Prophet der Versöhnung*, Gerlingen 1998, s. 334.

<sup>9</sup> *Ibidem*, s. 337.

<sup>10</sup> T. Mazowiecki, *Przyjaciel. Günter Särchen (1927-2004)*, „Tygodnik Powszechny” 2004, nr 32, s. 9.

<sup>11</sup> Inicjatorami polsko-niemieckich dyskusji poświęconych koncepcjom wspólnoty europejskiej byli ks. Carl-Oskar von Soden oraz ks. Władysław Kornitowicz, który przed drugą wojną światową prowadził Zakład dla Niewidomych w Laskach. Tam właśnie w 1939 r. powstało *Postanie pokoju do ludzi dobrej woli w Niemczech*, emitowane następnie drogą radiową z Londynu (K. Weiß, *Lothar Kreyszig...*, s. 375).

<sup>12</sup> B. Olschowsky, *Günter Särchen - Versöhner gegenüber Polen* [w:] *Grenzüberschreitende Biographien zwischen Ost- und Mitteleuropa*, red. T. Weger, Frankfurt am Main 2009, s. 465.

<sup>13</sup> W przeciwieństwie do zachodnioniemieckiej Akcji Znak Pokuty – Służba dla Pokoju, która nie unikała współpracy z reżimowym Stowarzyszeniem PAX, a nawet Związkiem Bojowników o Wolność i Demokrację.

<sup>14</sup> R. Urban, *Der Patron. Günter Särchens Leben und Arbeit für die deutsch-polnische Versöhnung*, Dresden 2007, s. 126.



Na 1 sierpnia 1964 r. zaplanowana była pierwsza rowerowa pielgrzymka do Oświęcimia i Chełmna, a jej uczestnicy spotkali się na przejściach granicznych w Zgorzelcu i Frankfurcie nad Odrą. Polscy gospodarze (m.in. ordynariusz katowicki bp Herbert Bednorz) byli przygotowani na przyjęcie niemieckich gości i cieszyli się z powodu tej wizyty. Zadowolenie wyrażał także bp Friedrich Maria Rintelen z Magdeburga, który w liście skierowanym do pielgrzymów napisał: „Nikt z nas nie może ludzkimi środkami naprawić czy zadośćuczynić za niewyobrażalne bezprawie, jakiego dopuszczali się narodowi socjaliści, a o którym my pamiętamy z bólem i wstydem. Tylko sam Bóg może zlitować się nad naszym narodem”<sup>15</sup>.

Ze względu na oficjalny charakter wyjazdu organizatorzy uznali, że zamiast indywidualnych zaproszeń dla poszczególnych uczestników należy wystąpić do władz NRD o jedno wspólne zezwolenie. Okazało się to jednak pomyłką, zezwolenie nie zostało wydane, a w odmowie napisano: „pojednanie polsko-niemieckie dokonano się na drodze wspólnego oporu przeciwko faszyzmowi i solidarności z wtrąconymi do więzień komunistami po obu stronach”<sup>16</sup>.

Żał z powodu niepowodzenia, ale także podziękowanie za samą inicjatywę wyraził w liście do Güntera Särchena prymas Polski kard. Stefan Wyszyński<sup>17</sup>.

W kolejnych latach pątnicy – głównie młodzi ludzie – przekraczali granicę pojedynczo, a grupy formowali dopiero w Polsce i w taki sposób docierali do Oświęcimia, Majdanka, Rogoźnicy, Sztutowa, gdzie modlili się za pomordowanych i sprawców oraz zajmowali się pracami porządkowymi. Odwiedzali także Łaski, Niepokalanów, Świętą Lipkę, spotykali się z ludźmi z „Tygodnika Powszechnego” i „Więzi”. Tadeusz Mazowiecki swoje pierwsze spotkania z pielgrzymami

wspomina krótko: „to był szok – dobry szok”<sup>18</sup>. Polscy intelektualiści zapragnęli poznawać inne oblicza Niemiec i chętnie odpowiadali na próby nawiązania współpracy. Ostatnia oficjalna pielgrzymka wschodniemieckiej młodzieży w ramach ASZ odbyła się w 1966 r. Jesienią tego roku SED zabroniła organizowania kolejnych wyjazdów, również zwierzchnicy kościelni odmawiali duchownym zgody na udział w tego typu podróżach.

Nawiązane w Polsce kontakty służyły jednak dalej organizowaniu – niejako w konspiracji – kolejnych spotkań i obozów. Ich uczestnicy wjeżdżali do Polski pojedynczo – początkowo z indywidualnymi zaproszeniami, a po wprowadzeniu bezwizowego ruchu między PRL i NRD w styczniu 1972 r. jako zwykli turyści. Sama Akcja Znak Pokuty dodatkowo korzystała z pewnego ocieplenia relacji między państwem i Kościołem, które nastąpiło w drugiej połowie lat siedemdziesiątych i było wynikiem wypracowania formuły „Kościoła w socjalizmie”. Nie oznaczało to końca problemów, a raczej ich początek. Coraz bardziej widoczny był rozdział między oficjalnymi deklaracjami kierownictwa Kościoła ewangelickiego a odczuciami wiernych i zwykłych opiekunów parafii, czego najbardziej drastycznym przykładem było samospalenie pastora Oskara Brüsewitza. Niemniej SED uznała, że znalazła dla grup wyznaniowych niszę, w której mogą one wypełniać przewidzianą dla nich rolę w „nowoczesnym socjalistycznym społeczeństwie”<sup>19</sup>.

Od początku lat osiemdziesiątych w związku z jednostronnym czasowym zamknięciem przez władze NRD ruchu bezwizowego z Polską organizowanie obozów letnich stało się niemal niewykonalne. Akcji pozostała jedynie możliwość wysyłania grup ohotników do pomocy w szpitalu dziecięcym w war-

<sup>15</sup> List bp. Friedricha Marii Rintelena do Güntera Särchena, 31 VII 1964, cyt. za: R. Urban, *Der Patron...*, s. 142.

<sup>16</sup> T. Mechtenberg, *Chrześcijańskie zaangażowanie. Opozycja oraz inicjatywy na rzecz Polaków w obrębie magdeburgskiego Kościoła katolickiego*, tłum. Z. Choderny-Loew [w:] *Przyjaźń nakazana? Stosunki między NRD i Polską w latach 1949–1990*, red. B. Kerski i in., Szczecin 2003, s. 247–256.

<sup>17</sup> W. Kalicki, *Ostatni jeniec wielkiej wojny. Polacy i Niemcy po 1945 roku*, Warszawa 2002, s. 232.

<sup>18</sup> *Leise gegen den Strom – Cicho pod prąd*, reż. T. Kycia, R. Żurek, Preuss Filmproduktion, Berlin 2009 (DVD).

<sup>19</sup> C. Schneider, *Konkurrenz der Konzepte? Die „Aktion Sühnezeichen in der DDR“ zwischen christlichem Schuldverständnis und offiziellem Antifaschismus*, Wrocław 2007, s. 44.

szawskim Międzylesiu, ponieważ było to działanie oficjalne. Odbywało się we współpracy z zarządem Związku Kościołów Ewangelickich w NRD, który dodatkowo przekazywał na rzecz Instytutu Pomnika – Centrum Zdrowia Dziecka dary pieniężne i rzeczowe (władze państwowe NRD również uznały za stosowne włączyć się z pomocą, dlatego zaangażowanie Kościoła niemieckiego miało nieoficjalne poparcie SED)<sup>20</sup>.

Dekada ta – oprócz ograniczeń działalności – przyniosła ASZ wewnętrzne spory. Ówczesnemu kierownictwu zależało na tym, by jego działania były przez władzę nie tylko tolerowane, ale też akceptowane, natomiast wielu – głównie młodszych – członków Akcji, wśród nich Ludwig Mehlhorn i Stephen Bickhard, rozwijało aktywność opozycyjną, a więc często już *stricte* polityczną<sup>21</sup>. Działania te starano się prowadzić w taki sposób, by nie były łączone z samą Akcją, ale uległość kierownictwa ASZ wobec reżimu musiała prowadzić do osłabienia jej etycznego potencjału. W 1991 r., po upadku muru berlińskiego, wschodnia i zachodnia ASZ połączyły się ponownie w jeden organizm i działają obecnie jako Aktion Sühnezeichen Friedensdienste. Do głównych zadań organizacji nadal należy wysyłanie grup wolontariuszy do krajów, których obywatele zostali najbardziej doświadczeni przez nazistowski terror. Tam ci w większości młodzi ludzie pomagają osobom starszym, niepełnosprawnym, wykluczonym społecznie i uchodźcom, pracują na rzecz miejsc pamięci o ofiarach zbrodni hitlerowskich oraz włączają się we współpracę z organizacjami partnerskimi<sup>22</sup>.

Zakaz oficjalnych pielgrzymek nie oznaczał zamknięcia się na kontakty z Polakami. Zapoczątkowane zostały nowe działania, których głównym pomysłodawcą był Günter Särchen, a oficjalnym pa-

tronem – katolicki biskup Magdeburga. Utworzono tam m.in. duszpasterstwo dla licznych w NRD w latach sześćdziesiątych polskich robotników, a wcześniej, już w 1963 r., bp Friedrich Maria Rintelen poparł pomysł podarowania jednej z poznańskich parafii, której kościół został zniszczony przez Niemców, trzech dzwonów mających stać się symbolem „braterstwa i miłości”<sup>23</sup>. Za najważniejszą inicjatywę uważane są jednak *Polenseminare* – rozpoczęte w 1966 r., a od 1968 r. odbywające się regularnie wiosną i jesienią cykle odczytów poświęconych kulturze, historii i współczesności Polski, prowadzone przez polskich świeckich i duchownych wykładawców. Celem tych seminariów było przedstawienie wschodnioniemieckim słuchaczom, głównie studentom, niezafałszowanej przez propagandę wiedzy na temat kraju sąsiadów oraz propagowanie idei pojednania między oboma narodami. Wśród pierwszych prelegentów znaleźli się: Anna Morawska, ks. Franciszek Blachnicki, Tadeusz Mazowiecki, Józefa Hannelowa, Stanisław Stomma, Mieczysław Pszon. Poza tematami związanymi z polityką i sytuacją osób wierzących starano się pokazać słuchaczom pozytywne aspekty relacji polsko-niemieckich – choćby dzieje związanych z magdeburskim biskupstwem świętych misjonarzy: Brunona z Kwerfurtu oraz Wojciecha, miejsc Wita Stwosza w polskiej kulturze. Analizowano również znaczenie wymiany listów biskupów polskich z biskupami niemieckimi z 1965 r., zastanawiano się nad wymową memorandum Rady Kościoła Ewangelickiego w Niemczech (EKD) *O sytuacji wypędzonych i stosunku narodu niemieckiego do swoich wschodnich sąsiadów*, czyli tzw. memorandum wschodniego (*Ostdenkschrift der EKD*) oraz *Memorandum Bensberger Kreis* jako reakcji zachodnioniemieckich elit

<sup>20</sup> *Ibidem*, s. 46.

<sup>21</sup> *Zeichen der Versöhnung. Vor 50 Jahren wurde die Aktion Sühnezeichen ins Leben gerufen*, EKD, 13 III 2008, [www.ekd.de/aktuell/57969.html](http://www.ekd.de/aktuell/57969.html) (dostęp 29 VIII 2011).

<sup>22</sup> *Langfristige Freiwilligendienste. Allgemeines Freiwilligen-Programm, Aktion Sühnezeichen Friedensdienste*, [www.asf-ev.de/de/ueberuns/arbeitsfelder/freiwilligendienste-langfristig.html](http://www.asf-ev.de/de/ueberuns/arbeitsfelder/freiwilligendienste-langfristig.html) (dostęp 21 IX 2011).

<sup>23</sup> Ostatecznie wotywnie dzwony trafiły do Gdańska (*sic!*) do kościoła św. Barbary, a przekazane zostały dopiero w lipcu 1968. Na wcześniejsze ich przewiezienie do Polski nie chciały się zgodzić władze PRL ze względu na uroczystości Tysiąclecia Państwa Polskiego, które konkurowały (nieskutecznie) z obchodami Millenium chrztu Polski (T. Mechtenberg, *Engagement gegen Widerstände...*, s. 52–53).

katolickich niezadowolonych z odpowiedzi niemieckich biskupów na orędzie bp. Bolesława Kominka<sup>24</sup>. Szczególne znaczenie miał referat Mieczysława Pszona, który w 1981 r. mówił o ówczesnej sytuacji w Polsce, przekazując informacje całkowicie odmienne od propagandy SED, podsycającej antypolskie stereotypy.

Popularność Seminariów o Polsce wzrastała z roku na rok – początkowo brało w nich udział około 20 osób, w połowie lat siedemdziesiątych było ich już ponad 60, a od 1978 r. ze względu na ograniczoną liczbę miejsc zebrania musiały się odbywać jednocześnie w Magdeburgu i Roßbach. Po powstaniu, a następnie stłumieniu Solidarności, w 1983 r. słuchaczy było według Güntera Särchena 120, a według Thea Mechtenberga nawet 224<sup>25</sup>.

Ostatnie spotkanie *Polenseminare* – w dotychczasowej formule – odbyło się w 1984 r. Wtedy ich pomysłodawcy i głównemu organizatorowi zakazano działalności duszpasterskiej i publicystycznej. Jako jeden z powodów źródła podają narastający konflikt z nowym biskupem Magdeburga Johannesem Braunem, który – jak wynika z listu Güntera Särchena do ks. Wolfganga Globischa, a także z relacji Thea Mechtenberga – pogardliwie wyrażał się o Polsce i zasadności działań na rzecz pojednania<sup>26</sup>.

Drugą równie istotną przyczyną było rosnące zainteresowanie Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego (Stasi), które zaczęło ściślej kontrolować wszelkie aktywności związane w jakikolwiek sposób z Polską. Wynikało to z zaniepokojenia SED wydarzeniami 1980 r. Samego Güntera Särchena służba bezpieczeństwa obserwowała już w latach sześćdziesiątych, natomiast *Polenseminare* od 1980 r. Po pierw-

szych kontrolach nie dopatrzono się wprawdzie niczego nielegalnego, ale już dwa lata później Särchen zaczął podlegać „operacyjnej kontroli osobowej” i występował w aktach Stasi pod pseudonimem „Patron”, tym razem bowiem uznano, że to, czym się zajmuje, nosi znamiona „podziemnej działalności politycznej” i ma na celu zorganizowanie „wewnętrznej opozycji w NRD”, istnieje więc podejrzenie zdrady kraju, a nawet działalności agenturalnej<sup>27</sup>. Günter Särchen po latach stwierdził, że Stasi znacznie przeceniła jego możliwości oraz zagrożenie, jakie stwarzał, z jego akt wynika jednak, że brano pod uwagę nawet możliwość „eliminacji”.

Działaniem, które szczególnie zaostrzyło reakcje władz NRD, a także spotkało się z niezadowolaniem hierarchów, było wydanie tzw. *Handreichung Solidarność*. Była to broszura powstała w ramach rozpoczętego w 1960 (lub 1961) r. cyklu publikacji *Handreichung*<sup>28</sup> – „Materiały o Polsce” (niekiedy spotyka się także tłumaczenie: „Pisma ulotne o Polsce”), który uzupełniał *Polenseminare*. Broszury oprócz referatów zawierały aktualne informacje o Polsce. Mogły one powstać dzięki udzielonemu przez władze wspólnotom wyznaniowym pozwoleniu na powielanie niewielkiej liczby materiałów informacyjnych do użytku wewnętrznego. W taki sposób przez dwadzieścia lat wydrukowano ponad 50 numerów broszury liczącej od 10 do 110 stron, a jej nakład wzrastał według różnych źródeł od 50 (lub 100) do 1200 (lub 1000) egzemplarzy<sup>29</sup>. Poruszano tematy związane z życiem Kościoła i pojednaniem polsko-niemieckim, pojawiały się też przedruki z polskich czasopism katolickich oraz kazania.

<sup>24</sup> T. Mechtenberg, *Engagement gegen Widerstände...*, s. 103–104.

<sup>25</sup> R. Urban, *Der Patron...*, s. 163. Zob. też T. Mechtenberg, *Engagement gegen Widerstände...*, s. 105.

<sup>26</sup> Biskup Braun miał powiedzieć kiedyś do Thea Mechtenberga: „Jak można jeździć do Polski? Oni nie mają żadnej kultury” (cyt. za: R. Urban, *Der Patron...*, s. 163).

<sup>27</sup> BStU, OPK „Patron”, VII 918/82, Bl. 6, *Übersichtsbogen zur operativen Personenkontrolle „Patron” (Günter Särchen)*; R. Urban, *Der Patron...*, s. 200.

<sup>28</sup> Tytuł *Handreichung* wykorzystuje dwuznaczność tego niemieckiego słowa, które tłumaczyć można zarówno jako ulotka, jak i podanie ręki czy pomocna dłoń.

<sup>29</sup> T. Mechtenberg, *Chrześcijańskie zaangażowanie...*, s. 254–255.

Wspomniana 104-stronicowa broszura *Handreichung Solidarność* ukazała się w październiku 1982 r. pod tytułem *Pojednanie – zadanie Kościoła* i zawierała tłumaczenia artykułów poświęconych powstaniu NSZZ Solidarność. Były to m.in. teksty z „Tygodnika Powszechnego”, 21 postulatów Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w Gdańsku, komunikat Episkopatu Polski, przemówienia kard. Wyszyńskiego. Wszystkie te materiały ukazały się w oficjalnej prasie PRL, jednak przez Stasi uznane zostały za „kontrrewolucyjne”, a powielanie i rozpowszechnianie broszury zakwalifikowano jako działalność wrogą państwu. Również berlińska Konferencja Biskupów uznała, że nie chce z tego powodu wchodzić w konflikt z władzą, oceniła treści zawarte w broszurze jako polityczne i zakazała jej kolportażu, a bp. Braunowi zarzuciła niedostateczne nadzorowanie współpracowników.

Po zakazie pracy duszpasterskiej wydanym przez biskupa Günter Särchen nie chciał zrezygnować z organizowania *Polenseminare*, konieczne jednak było pozyskanie nowego opiekuna. Patron znalazł się szybko – została nim Akcja Znak Pokuty, która dwa razy do roku zlecała Särchenowi przygotowanie seminariów, przemianowanych w 1985 r. na Anna-Morawska-Seminar. Długoletni organizator tych spotkań był wprawdzie zadowolony z możliwości ich kontynuowania, ale wyrażał też żal, że włączone teraz zostały w poczet zasług Kościoła ewangelickiego, a nie katolickiego, do którego sam należał: „Dzieło, którego protektorem przez dziesiątki lat był obecny papież [...], musiało zmienić swoją ostoję”<sup>30</sup>.

Wznowione spotkania nadal cieszyły się zainteresowaniem, o czym świadczy utworzenie dodatkowej, berlińskiej filii kierowanej przez Ludwiga Mehlhorna, współpracownika m.in. ASZ, oraz Michaela Bartoszka. Spotkania te różniły się od magdeburskich tematyką i wiekiem słuchaczy. Podczas gdy te pierwsze nadal poświęcone były pojednaniu, kwestiom historycznym i kulturowym, a skład ich uczestników w dużej mierze

nie zmienił się od lat siedemdziesiątych, seminaria w Berlinie przyciągały raczej osoby młodsze, zainteresowane głównie kwestiami politycznymi, krytyczne wobec ustroju NRD. Rzetelne informacje o wydarzeniach w Polsce pomagały w przełamywaniu powszechnych wśród Niemców – zwłaszcza tych ze wschodu – antypolskich stereotypów, podsycanych umiejętnie przez propagandę SED. Wielu uczestników tych spotkań intensywnie angażowało się później w proces przemian demokratycznych w NRD, a ze środowiska tego wywodzili się liczni działacze polityczni okresu przełomu: Bärbel Bohley, Stephan Hilsberg, Jens Reich, Wolfgang Ullman, Wolfgang Templin, Konrad Weiß. Niektórzy z nich po pierwszych demokratycznych wyborach już jako deputowani Izby Ludowej mieli wpływ na decyzje polityczne, czego efektem była podpisana 12 kwietnia 1990 r. deklaracja frakcji parlamentarnych o nienaruszalności wschodniej granicy NRD i odrzuceniu w przyszłości jakichkolwiek żądań terytorialnych wobec Polski. Jak zaznacza Basil Kerski, znaczenie tej inicjatywy jest ważne przede wszystkim dlatego, że rząd RFN w tym czasie stosował taktykę uników i nie chciał się jednoznacznie na ten temat wypowiedzieć<sup>31</sup>.

Po zjednoczeniu Niemiec, 14 marca 1992 r. dzięki staraniom Ludwiga Mehlhorna Anna-Morawska-Seminar otrzymało własny status i zostało zarejestrowane jako Towarzystwo im. Anny Morawskiej. Dzieło Dialogu Ekumenicznego na rzecz Pojednania Polsko-Niemieckiego (Anna-Morawska-Gesellschaft. Ökumenischer Dialog für Deutsch-Polnische Verständigung e.V.). Günter Särchen od tego momentu sprawował funkcję honorowego przewodniczącego, popierał też ideę wrocławskiego KIK stworzenia Fundacji Krzyżowa dla Porozumienia Europejskiego z siedzibą w opuszczonym majątku rodziny von Moltke i był jednym z pierwszych członków rady fundacji<sup>32</sup>.

Ciężar obowiązków związanych z pracami Towarzystwa im. Anny Morawskiej wziął na siebie Ludwig

<sup>30</sup> List Güntera Särchena do bp. Huhna, 1 X 1985, cyt. za: R. Urban, *Der Patron...*, s. 223.

<sup>31</sup> B. Kerski, *Stosunki między NRD i Polską. Próba bilansu* [w:] *Przyjaźń nakazana?...*, s. 26–25.

<sup>32</sup> *Ibidem*, s. 232.



Mehlhorn. Po upływie pierwszej kadencji postanowił jednak skoncentrować się na pracy akademickiej i działaniach na rzecz założonego jeszcze w 1989 r. stowarzyszenia Projekt Krzyżowa (Kreisau Initiative), ściśle współpracującego obecnie z Fundacją Krzyżowa. Po nim na czele zarządu Towarzystwa stali kolejno: dr Jürgen Hubbe, dr Gerhard Nachtwei, Michael Schwarzkopf oraz Hans-Ludger Löbbert<sup>33</sup>. Organizacja ta nadal służy ekumenicznemu dialogowi polsko-niemieckiemu, wydaje materiały informacyjne (zarówno poświęcone działaniom samego Towarzystwa, jak i zawierające komentarze aktualnych wydarzeń w Polsce), przygotowuje konferencje, na które zaprasza znawców dialogu polsko-niemieckiego z obu krajów (m.in. Adama Krzemińskiego, Tadeusza Mazowieckiego, Thea Mechtenberga, Marka Prawdę, Leszka Szarugę, Rudolfa Urbana, Konrada Weißa, Wojciecha Wieczorka). W 2004 r. wyszło też z inicjatywą dorocznych pielgrzymek łączących dwa najstarsze biskupstwa po dwóch stronach Odry: Magdeburg i Gniezno. Celem pielgrzymek jest wspomnienie misji św. Wojciecha oraz pielgrzymki Ottona III do grobu świętego męczennika, symbolizować mają też wspólczesne – przebiegające ponad granicami i różnicami wyznaniowymi – porozumienie między Polakami i Niemcami, katolikami i ewangelikami<sup>34</sup>.

Po przełomie demokratycznym wieloletnie starania i wiążące się z nimi wyrzeczenia, które ze względu na represyjność NRD dotyczyły całej rodziny Güntera Särchena, zostały wreszcie docenione. W 1990 r. Särchena odznaczono w berlińskiej ambasadzie Polski Krzyżem Komandorskim Orderu Zasługi RP, ale i w tym przypadku los zakpił sobie z jego wysiłków, ponieważ na okładce legitymacji orderu jest orzeł bez korony (choć w środku już z koroną), nazwa państwa – RP, ale

nazwa krzyża – Krzyż Komandorski PRL, a legitymację podpisał ówczesny prezydent Wojciech Jaruzelski.

Wprawdzie w 1993 r. Särchen otrzymał Krzyż Zasługi Republiki Federalnej Niemiec ze Wstęgą Orderu Zasługi, ale należy zwrócić uwagę, że jest to – w przeciwieństwie do odznaczenia polskiego – jedno z najniższych odznaczeń niemieckich. Sam działacz był świadom, że politycy zachodni Niemcy nie doceniają – okupionych często niezwykle wysokimi kosztami osobistymi – politycznych i społecznych osiągnięć swoich rodaków ze wschodu, wręcz je lekceważą. W wywiadzie przeprowadzonym przez Adama Krzemińskiego mówił: „Dla opiniującego urzędu w Magdeburgu, który był obsadzony przez Niemców z zachodu, było nie do pomyślenia, by jedna osoba, a tym bardziej cały krąg osób skutecznie pracował w NRD na rzecz pozytywnego porozumienia między narodami”<sup>35</sup>.

Cztery lata później biskupstwo Magdeburga postanowiło uhonorować swojego wieloletniego współpracownika orderem Gratiae et Honoris Causa<sup>36</sup>, a w 1998 r. Günter Särchen wraz z Jerzym Turowiczem odebrali nagrodę Der Deutsch-Polnische Preis – za szczególne zasługi dla rozwoju stosunków polsko-niemieckich – dla Seminarium im. Anny Morawskiej i redakcji „Tygodnika Powszechnego”<sup>37</sup>.

W laudacji wygłoszonej podczas uroczystości wręczenia nagrody Bronisław Geremek przypomniał: „Uczestnictwo w społecznym i chrześcijańskim dialogu z Polakami wymagało w byłej NRD poświęcenia i odwagi. Członków tego dialogu władze uważały za przeciwników politycznych. Byli śledzeni i szykanowani przez służbę bezpieczeństwa, pozbawiani podstawowych praw i swobód obywatelskich; ignorowani lub potępiani przez poważną [...] część społeczeństwa.

<sup>33</sup> List Hansa-Ludgera Löbbera do autorki, 29 VIII 2011.

<sup>34</sup> *Der Ökumenische Pilgerweg Magdeburg – Gnesen* [w:] *Anna-Morawska-Gesellschaft. Ökumenischer Dialog für deutsch-polnische Verständigung e.V.*, „Rundbrief”, czerwiec 2008, s. 9.

<sup>35</sup> G. Särchen, *Nadwornym błaznem bytem do końca*, rozmawiał A. Krzemiński, „Dialog. Magazyn polsko-niemiecki” 1997, nr 2, s. 50.

<sup>36</sup> W. Zachhuber, *Biographien der Preisträger*, Evangelische Kirche in Mitteldeutschland, 3 XI 2003, [www.ekmd.de/attachment/aa234c91bdabf36adbf227d333e5305b/19aeedca4419bd729feca06d1c2b8473/biografien\\_preistraeger\\_kreysig2003.pdf](http://www.ekmd.de/attachment/aa234c91bdabf36adbf227d333e5305b/19aeedca4419bd729feca06d1c2b8473/biografien_preistraeger_kreysig2003.pdf) (dostęp 29 VIII 2011).

<sup>37</sup> *Der Deutsch-Polnische Preis*, Deutsch-polnische Website Auswärtiges Amt, 15 IX 2011, [www.deutschland-polen.diplo.de/Vertretung/deutschland-polen/de/\\_01\\_Politik/Deutsch-polnischerPreis.html](http://www.deutschland-polen.diplo.de/Vertretung/deutschland-polen/de/_01_Politik/Deutsch-polnischerPreis.html) (dostęp 28 IX 2011).



W realnym socjalizmie Ulbrichta, Honeckera i Stasi nie było miejsca dla »znaków pokuty«, a termin »pojednanie« nie istniał w oficjalnym słowniku »bratnich krajów«<sup>38</sup>.

Dodał, że stosunki między Polską i Niemcami, które w latach dziewięćdziesiątych XX wieku układały się bardzo pomyślnie, nie byłyby możliwe bez „małych kroków albo – jak je nazywał Günter Särchen – »małych chlebków«, które Mieczysław Pszon i jemu podobni »piekli z niezmordowaną wytrwałością, choć często dysponowali jedynie nikłym, oszczędnym płomykiem«<sup>39</sup>.

Ostatnim z wyróżnień przyznanych do tej pory twórcom *Polenseminare* była Nagroda Pokojowa im. Lothara Kreysiga, którą otrzymał w 2003 r. razem z działaczami ASZ Hansem Richardem Nevermannem i Franzem von Hammersteinem. Günter Särchen zmarł 19 lipca 2004 r. w wieku 77 lat.

Drugi z wymienionych „niepolitycznych polityków“, Ludwig Mehlhorn, zainteresował się Polską w 1970 r., kiedy z grupą młodzieży z ASZ przyjechał na letni obóz do Świętej Lipki. Podczas tego pobytu poznał przemilczane przez szkołę i propagandę SED najgorsze strony historii Niemiec. Zaczął odczuwać osobistą potrzebę rozliczenia się z dziejami własnego narodu. Lata siedemdziesiąte były dla niego okresem częstych wizyt w Polsce, podczas których uczył się języka i poznawał ludzi ze środowiska „Tygodnika Powszechnego“ i „Znaku“, a później także Komitetu Obrony Robotników<sup>40</sup>, dzięki czemu coraz bardziej interesował się także kwestiami politycznymi. Tym, co imponowało mu szczególnie, była odwaga i samodzielność Polaków w myśleniu o kształtowaniu losów własnego kraju. Podobały mu się ciągłe próby wyrwania spod kontroli państwa – czy to przez wydawanie podziemnych czasopism, czy tworzenie niezależnych

organizacji – a także brak złudzeń co do zasadności zawierania kompromisów z władzą i naprawy wypażeń socjalizmu<sup>41</sup>.

Od połowy lat siedemdziesiątych Ludwig Mehlhorn zaczął kontakty z krytycznymi wobec ustroju środowiskami w NRD i – poza współpracą z ASZ – rozwijał swoją działalność opozycyjną, włączając się przede wszystkim w inicjatywy na rzecz pokoju i ochrony praw człowieka, wspierane przez Kościół ewangelicki. Wśród jego głośniejszych akcji politycznych wymienia się często podpisanie w lipcu 1985 r. listu otwartego do uczestników XII Światowego Festiwalu Młodzieży w Moskwie, w którym domagano się zagwarantowania obywatelom NRD: „Prawa do swobodnego wyrażania myśli, prawa do informacji, prawa do swobodnego wyboru miejsca pobytu, nieograniczonej swobody podróżowania, wolności zgromadzeń i zrzeszania się, równego dostępu do edukacji, wolności wyznania i światopoglądu“<sup>42</sup>.

Często przywoływany jest też list Mehlhorna z maja 1986 r. do biskupa Berlina Wschodniego Gottfrieda Forcka, w którym skrytykował jego wymianę listów z biskupem zachodniej części Berlina Martinem Kruse, dotyczącą nadchodzącej w sierpniu 25. rocznicy powstania muru. Oburzenie wywołało stwierdzenie, że mur jest konsekwencją czy też karą za wywołanie przez Niemcy wojny. W pełni świadom ciężaru niemieckiej winy i przekonany o konieczności jej odkupienia Mehlhorn uznał te wypowiedzi za konformistyczne w stosunku do władzy, przemilczające cierpienia i niesprawiedliwość wywoływane obecnością muru oraz ignorujące pamięć jego ofiar. Akceptacja muru oznaczała dla niego *de facto* aprobatę prowadzonej przez SED polityki samoizolacji NRD, dlatego wzywał Kościół do „realnego uznania swojej odpowiedzialności za to, co się dzieje w kraju, i do publicznego, jednoznaczne-

<sup>38</sup> B. Geremek, *Rzetelność i wrażliwość. Wystąpienie podczas uroczystości wręczenia nagrody za szczególne zasługi dla rozwoju stosunków polsko-niemieckich*, Opoka – Laboratorium Wiary i Kultury, [www.opoka.org.pl/biblioteka/P/PS/rzetelnosc.html](http://www.opoka.org.pl/biblioteka/P/PS/rzetelnosc.html) (dostęp 21 IV 2010).

<sup>39</sup> *Ibidem*.

<sup>40</sup> L. Mehlhorn, *Szara eminencja [w:] Polacy i Niemcy pół wieku później. Księga pamiątkowa dla Mieczysława Pszona*, Kraków 1996, s. 51–55.

<sup>41</sup> *Ibidem*, s. 57.

<sup>42</sup> *Offener Brief nach die Teilnehmer der Weltfestspiele in Moskau*, lipiec 1985 [w:] *DDR-Geschichte in Dokumenten. Beschlüsse, Berichte, interne Materialien und Alltagszeugnisse*, red. M. Judt, Berlin 1998, s. 222.

go i wyraźnego wypowiedzenia się przeciwko logice i duchowi samoizolacji<sup>43</sup>.

Wystąpienie Mehlhorna zbiegło się w czasie z aresztowaniem wikariusza Reinharda Lampego, który 13 sierpnia 1986 r. protestował przeciwko istnieniu muru. Gdy został uwolniony, wspólnie z Mehlhornem i Stephanem Bickhardtem przygotował wniosek, który został przedstawiony w kwietniu 1987 r. podczas obrad synodu Związku Kościołów Ewangelickich NRD. W dokumencie zatytułowanym *Antrag auf Absage gegen Praxis und Prinzip der Abgrenzung* (Wniosek o sprzeciw wobec zasad i praktyki samoizolacji) była m.in. mowa o duchowych, psychicznych i ideologicznych deformacjach społeczeństwa spowodowanych 26 latami istnienia muru i sześciolatnim odseparowaniem od Polski oraz wezwaniu skierowane do Kościoła, by otwarcie przeciwstawił się polityce samoizolacji i domagał przywrócenia podstawowych praw człowieka. Autorzy podkreślali, że tylko tam, gdzie nie stosuje się przymusu, może być mowa o dojrzałym (*mündig*) społeczeństwie obywatelskim.

Co najważniejsze – apel ten miał charakter nie tylko polityczny, ale (jak większość inicjatyw, w które angażował się Ludwig Mehlhorn) także etyczny, podkreślał bowiem wyzwalające czy uzdrawiające znaczenie sprzeciwu Kościoła wobec polityki zaszczepienia i izolacji, które stałoby się potwierdzeniem jego dojrzałości, a więc umiejętności właściwego odegrania swojej roli w „dorosłym świecie”, o którym pisał Bonhoeffer: „Kto cel i motywy wniosku uznaje za swoje, rozumie, że same poufne rozmowy z państwowymi organami nie mogą wystarczyć. Odpowiedzialny dialog jest niezbędny, ale jasna deklaracja ze strony synodu może działać wyzwalająco – albo, jeśli ktoś woli, terapeutycznie – na proces stawania się chrześcijaninem dojrzałym”<sup>44</sup>.

Wniosek skierowany do synodu wywołał duże poruszenie w kręgach opozycyjnych i przyczynił się do powstania w 1986 r. grupy Initiative Absage gegen

Praxis und Prinzip der Abgrenzung (Inicjatywa – Sprzeciw wobec Zasad i Praktyki Samoizolacji), w której oprócz Stephana Bickhardta, Reinharda Lampego i Ludwiga Mehlhorna znaleźli się Wolfgang Ullman, Ulrike Poppe, Konrad Weiß, Martin König, Hans-Jürgen Fischbeck i Gerhard Weigt, czyli przyszły trzon ugrupowania Demokratie Jetzt (Demokracja Teraz)<sup>45</sup>.

W tym samym czasie Mehlhorn włączył się również w działania Arbeitskreis Solidarische Kirche (Grupa Robocza Solidarny Kościół), tworzonego w głównej mierze przez teologów i współpracowników kościelnych. Mehlhorn był więc jednym z niewielu świeckich w tej blisko trzyosobowej grupie. Powody utworzenia się kręgu były dwa: po pierwsze zwiększający się dystans między wysokimi urzędnikami i hierarchiami kościelnymi a szeregowymi współpracownikami i zwykłymi wiernymi, po drugie pogłębiający się od 1983 r. rozdźwięk między Kościołem w ogóle a środowiskami opozycyjnymi, które do tego czasu cieszyły się jego opieką i korzystały z odrobiny – czy raczej namiastki – wolności zagwarantowanej przez państwo. Celem Grupy Roboczej była odnowa Kościoła rozumiana jako powrót do bonhoefferowskiej idei Kościoła solidarnego, ale nie z władzą i ze sobą samym, lecz ze słabymi i prześladowanymi, a także z niewierzącymi. Koncepcja, z której wyrosła Grupa Robocza Solidarny Kościół, odwołuje się do programu przyjętego przez VI Zgromadzenie Ogólne Światowej Rady Kościołów w Vancouver w 1983 r. *Sprawiedliwość, pokój i integralność stworzenia* (*Justice, Peace and the Integrity of Creation*), który zakładał przeciwstawianie się gwałceniu praw człowieka i zbrojeniom oraz podkreślał znaczenie wspólnego działania Kościołów na rzecz sprawiedliwości społecznej, pokoju, ochrony środowiska. Co ważne, postanowienia Rady były bezpośrednio inspirowane wcześniejszym o pięćdziesiąt lat słynnym kazaniem Dietricha Bonhoeffera, wygłoszonym 28 sierpnia 1934 r. na wyspie Fanø podczas młodzieżowej konferencji Światowego Związku

<sup>43</sup> E. Neubert, *Geschichte der Opposition in der DDR 1949–1989*, Berlin 1998, s. 570.

<sup>44</sup> S. Bickhardt, *Recht ströme wie Wasser. Christen in der DDR für Absage an Praxis und Prinzip der Abgrenzung*, Berlin 1988, s. 17.

<sup>45</sup> E. Neubert, *Geschichte der Opposition...*, s. 837–838.

Krzewienia Przyjaźni za Pośrednictwem Kościołów, w którym teolog podkreślał znaczenie roli Kościołów w ogólnoświatowym procesie pokojowym<sup>46</sup>.

Arbeitskreis Solidarische Kirche nie był ruchem o charakterze wyłącznie religijnym, ale szerzej – etycznym, a jego uczestnicy musieli mieć świadomość, że konsekwencje ich aktywności rozszerzają się także na sferę polityczną. W przypadku Ludwiga Mehlhorna było to więc kolejne z jego wielu „niepolityczno-politycznych” działań. Do innych jego inicjatyw, które nie miały *stricte* politycznego charakteru, należały wspomniane już wcześniej, organizowane w prywatnych mieszkaniach berlińskiej dzielnicy Prenzlauer Berg wykłady, odczyty i dyskusje poświęcone tekstom literackim i publicystycznym oficjalnie zabronionym w NRD. W latach 1987–1989 odbyło się ponad trzydzieści takich spotkań.

Szczególnie ważne dla relacji polsko-niemieckich stało się zaangażowanie Mehlhorna we wschodnio-niemiecki podziemny ruch wydawniczy, powstający w latach osiemdziesiątych. Razem ze Stephanem Bickhardtem stworzyli – jak twierdzi Helmut Müller-Enbergs – najinteligentniejszą enerdowską serię publikacji samizdatowych o charakterze polityczno-kulturalnym: „radix-blätter”<sup>47</sup>. Celem tego cyklu, którego nazwę tłumaczyć można z łaciny jako źródło, podstawa lub korzenie, było – wzorem wielu polskich pism bezdebitowych – kształtowanie alternatywnych dla oficjalnych struktur społecznych, które mogłyby przyczynić się w przyszłości do zmiany ustroju<sup>48</sup>. Istotnym zadaniem stało się też budowanie porozumienia między różnymi środowiskami opozycyjnymi<sup>49</sup>. Tematyka poszczególnych numerów była bardzo różnorodna – od kwestii związanych z podziałem Europy,

Holokaustem, władzą i przemocą, krytyką samoizolacji NRD (numer zatytułowany *Aufrisse*), obrony praw obywatelskich i ruchów wolnościowych (*Spuren*) aż po relacje polsko-niemieckie<sup>50</sup>.

Wydany w 1987 r. czwarty numer „radix-blätter” jest niewątpliwie najobszerniejszą i najważniejszą tego typu niezależną publikacją poświęconą Polsce. Redagujący wraz z Mehlhornem tę 111-stronicową broszurę Michael Bartoszek i Joachim Zeller zawarli w niej zarówno teksty polskich autorów, które nie mogły się ukazać w oficjalnych wydawnictwach NRD, jak i artykuły autorów rodzimych koncentrujące się wokół relacji polsko-niemieckich. Wyjątkowy jest już tytuł tego zbioru: *ODER. Literarische Texte*. Słowo *ODER* – zapisano solidarycą, tj. czcionką nawiązującą kształtem do znaku NSZZ Solidarność, z białą-czarną flagą (ze względu na czarno-biały druk) wyrastającą z litery R i powiewającą nad D i E. Nie tylko typografia jest tu jednak istotna. Wieloznaczny jest sam wyraz *ODER*, może się on bowiem odnosić do rzeki Odry, a więc granicy między NRD i Polską, można go też tłumaczyć jako pytanie – „nieprawdaż?” lub „czyż nie?” – stawiane na końcu zdania w oczekiwaniu na potwierdzenie przedstawionych w zbiorze tez, można wreszcie dostrzec w nim spójnik „albo” – wtedy mamy do czynienia z wyborem między czymś a czymś, ze swego rodzaju alternatywą dla języka propagandy, posługującego się frazesami i niepozwalającego wyjść poza schematy.

We wstępie publikacji redaktorzy tłumaczyli, że ich celem jest przybliżenie Polski, która – mimo że bliska pod względem geograficznym – jest Niemcom słabo znana, bo swoje spojrzenia wciąż kierują na Zachód: „Przekraczając Odrę [*ODER*] (a trochę bardziej

<sup>46</sup> K. Clements, *Ecumenical witness for Peace* [w:] *The Cambridge Companion to Dietrich Bonhoeffer*, red. J.W. de Gruchy, Cambridge 1999, s. 167.

<sup>47</sup> H. Müller-Enbergs, *Ludwig Mehlhorn*, Robert Havemann Gesellschaft e.V., [www.havemann-gesellschaft.de/fileadmin/Redaktion/Aktuelles\\_und\\_Diskussion/Maerz-Dezember\\_2011/Ludwig\\_Mehlhorn\\_Biographie\\_pdf](http://www.havemann-gesellschaft.de/fileadmin/Redaktion/Aktuelles_und_Diskussion/Maerz-Dezember_2011/Ludwig_Mehlhorn_Biographie_pdf) (dostęp 29 VIII 2011).

<sup>48</sup> I.S. Kowalczyk, *Freiheit Und Öffentlichkeit. Politischer Samisdat in der DDR 1985–1989*, Berlin 2000, s. 11.

<sup>49</sup> H. Müller-Enbergs, *Ludwig Mehlhorn...*

<sup>50</sup> K. Michael, *Samisdat – Literatur – Modernität. Osteuropäischer Samisdat und die selbstverlegte Literatur Ostdeutschlands* [w:] *Heimliche Leser in der DDR*, red. S. Lokatis, I. Sonntag, Berlin 2008, s. 349–350.

na południe – Nysę), wjeżdżamy do kraju, który wielu Niemcom wydaje się obcy. Zbyt różne są historyczne doświadczenia i tradycje religijne Polski i Niemiec, które odcisnęły piętno na kulturze naszego dnia codziennego. Reszty dopełnia bariera językowa<sup>51</sup>.

W antologii znalazły się m.in. fragmenty przemówienia Czesława Miłosza podczas ceremonii wręczenia literackiej Nagrody Nobla oraz kilka jego wierszy w tłumaczeniu Karla Dedeciusa, poezja Adama Zagajewskiego, Józefa Barana, Stanisława Barańczaka, Julii Hartwig i Ewy Lipskiej. Połowę zawartości tomu stanowiły teksty autorów niemieckich – poświęcone głównie dialogowi polsko-niemieckiemu lub będące prywatnym świadectwem doświadczania Polski i polskości, jak wiersz Konrada Weißa *Sturm und Stille* (Wicher i cisza) poświęcony pamięci ks. Jerzego Popiełuszki.

To szczególne wydanie „radix-blätter” zostało dostrzeżone i docenione przez polskich publicystów emigracyjnych: Andrzeja Chileckiego oraz Leszka Szarugę, który w materiale przygotowanym dla Radia Wolna Europa (opublikowanym następnie w „Poglądzie”) stwierdza: „Kompozycja zeszytu jest świetnie przemyślana – nie ogranicza się jedynie do prezentacji »drugiego obiegu«, lecz ma w zamierzeniu dać wgląd czytelnikowi niemieckiemu w całość dorobku współczesnej literatury polskiej. [...] »Oder« nie tylko wyraża pragnienie dialogu, lecz po prostu w praktyce – i w niebanalnej formie – dialog ten realizuje”. „»Oder« jest świadectwem istnienia w NRD niezależnie myślących środowisk dążących do dialogu z Polakami. [...] Ze środowiskami, w których narodziła się ta inicjatywa, nie tylko warto, ale trzeba nawiązać jak najszybszy kontakt”<sup>52</sup>. Do kontaktu doszło dość szybko, ponieważ Michael Bartoszek zaprosił autora recenzji do Berlina Wschodniego z wykładem poświęconym drugiemu obiegowi w Polsce<sup>53</sup>.

W jednym z kolejnych numerów „radix-blätter”, zatytułowanym *Über das Nein hinaus. Aufrisse zwei* (Więcej niż „nie”. Szkice 2) opublikowany został list uczestników Seminarium im. Anny Morawskiej skierowany do Zgromadzenia Ekumenicznego. Ludwig Mehlhorn i Günther Särchen opisywali w nim, jak przebiegał proces pojednania z Polską, i wzywali uczestników Zgromadzenia do przypominania wiernym o konieczności większego otwarcia na sąsiadów z Europy Środkowo-Wschodniej. Bez znajomości kulturowego i duchowego dziedzictwa tych krajów – zdaniem autorów listu – nie może być mowy o odrzuceniu narodowych egoizmów, a co za tym idzie, o zapewnieniu Europie długotrwałego pokoju i budowaniu „wspólnego domu europejskiego”. W tym celu poza działaniami lokalnymi (głównie o charakterze edukacyjnym) w parafiach za szczególnie ważne uznano nawiązanie przez Związek Kościołów Ewangelickich NRD oficjalnych stosunków z polskim Kościołem katolickim (a nie jak dotychczas – wyłącznie z Polską Radą Ekumeniczną) oraz domaganie się od władz państwowych zniesienia ograniczeń w podróżach zagranicznych<sup>54</sup>. W numerze dziewiątym pisma „Raster” Ludwig Mehlhorn zamieścił natomiast swój artykuł *Der Geschändete Mythos. Zur Reflexion von Macht und Gewalt im Werk von Czesław Miłosz* (Zhańbiony mit. Refleksje na temat władzy i przemocy w dorobku Czesława Miłosza).

Poza antologią *ODER* wyłącznie polskiej tematyce poświęcony był jedenasty numer „radix-blätter” z 1989 r., w którym ukazało się niemieckie tłumaczenie *Prób świadectwa* Jana Strzeleckiego. Publikacja ta ukazała się po tragicznej śmierci socjologa, więc oprócz wstępu z 1970 r. autorstwa Anny Morawskiej zawierała wspomnieniowe teksty Tadeusza Mazowieckiego, Leszka Kołakowskiego i Adama Michnika<sup>55</sup>.

<sup>51</sup> M. Bartoszek, L. Mehlhorn, J. Zeller, *Vorbemerkung*, „radix-blätter” 1987, nr 4: *ODER. Literarische Texte*, s. 3.

<sup>52</sup> L. Szaruga, *Oder*, „Pogląd” 1988, nr 9, s. 70–71.

<sup>53</sup> L. Szaruga, *Węzły polsko-niemieckie (2)*, Częstochowa 2003, s. 136.

<sup>54</sup> L. Mehlhorn, G. Särchen, *Polen, Deutsche und das „Haus Europa“*. Brief des „Anna-Morawska-Seminars“ der Aktion Sühnezeichen an die Ökumenische Versammlung, „radix-blätter” 1988, nr 6: *Über das Nein hinaus. Aufrisse zwei*, s. 36–37.

<sup>55</sup> J. Strzelecki, *Erproben im Zeugnis im Zeugnis*, tłum. L. Mehlhorn, „radix-blätter” 1989, nr 11.



Koncentrując się na etycznym kontekście aktywności Ludwiga Mehlhorna, nie można pominąć jego zaangażowania politycznego – był bowiem współzałożycielem ruchu obywatelskiego Demokratie Jetzt. Po zjednoczeniu Niemiec zdecydował się jednak na kontynuowanie działalności społecznej oraz naukowej; jako kierownik studium poświęconego Europie Wschodniej Akademii Ewangelickiej w Berlinie mógł nadal oswajać Niemców z dziedzictwem kulturowym ich mało znanych sąsiadów, przeprowadził też (jak to już wcześniej zostało wspomniane) proces rejestracji Towarzystwa im. Anny Morawskiej, działał w Radzie Programowej Heinrich-Böll-Stiftung, był inicjatorem oraz długoletnim współpracownikiem Fundacji Krzyżowa.

W 2009 r. wraz z innym opozycjonistą z NRD Wolfgangiem Templinem otrzymał od Federalnego Związku Towarzystw Niemiecko-Polskich Nagrodę Dialogu<sup>56</sup>, a we wrześniu 2010 r. Europejskie Centrum Solidarności przyznało mu – a wraz z nim dziesięciorgu innym Niemcom z NRD i RFN – Medal Wdzięczności za wspieranie w latach osiemdziesiątych polskiej opozycji. Niestety już pośmiertnie, 17 czerwca 2011 r. prezydent RP uhonorował Ludwiga Mehlhorna Krzyżem Komandorskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej, takim samym, jaki w 1990 r. otrzymał Günther Särchen. W przemówieniu Bronisław Komorowski powiedział, że odznaczenie to jest „okazaniem polskiej wdzięczności Niemcowi, który miał wielkie zasługi dla wspólnej walki o demokrację, dla likwidacji złego systemu komunistycznego, a także zasługi w pojednaniu naszych narodów”<sup>57</sup>.

\* \* \*

Kontakty opozycyjnych czy krytycznie nastawionych do socjalistycznego ustroju „grup sprzeciwu”

z NRD i PRL nie ograniczały się do opisanych wyżej aktywności; w niniejszym artykule pominięte zostały tak znaczące osoby jak Wolfgang Templin, Roland Jahn, Gerd Poppe, a także ruch Inicjatywa na rzecz Pokoju i Praw Człowieka, a po polskiej stronie Ruch Wolność i Pokój. Wybór padł na środowisko związane z Akcją Znak Pokuty i Seminarium im. Anny Morawskiej ze względu na początkowo wyłącznie etyczne motywy ich działań, które dopiero wraz z upływem czasu przerosły oczekiwania ich pomyślnodawców i zaczęły wpływać także na sferę życia politycznego.

Okazało się, że wszystkie te nawet najbardziej podstawowe i skromne inicjatywy miały olbrzymie znaczenie dla rozwoju pozytywnych relacji między Polakami z PRL i Niemcami z NRD, którzy mimo „graniczy przyjaźni” i „przyjaźni nakazanej” w rzeczywistości w ogóle się nie znali, a elementarną wiedzę o sobie nawzajem zastępowali bardzo często negatywnymi stereotypami, dodatkowo chętnie w latach osiemdziesiątych wykorzystywanymi przez SED do obrony własnych interesów przed polskim „solidarnościowym bakcylem”.

Dzięki takim ludziom jak z jednej strony Günther Särchen, Lothar Kreyssig, Konrad Weiß czy Ludwig Mehlhorn, z drugiej zaś Anna Morawska, Tadeusz Mazowiecki, Mieczysław Pszon, Jan Józef Lipski wizerunek Niemiec w Polsce i Polski w Niemczech mógł się zmieniać, prowadząc powoli – przez zrozumienie – w stronę pojednania. Opozycja wschodnioniemiecka znalazła w Polsce źródło inspiracji, począwszy od zbliżenia środowisk katolickich (w Niemczech – ewangelickich) z krytycznymi środowiskami o rodowodzie lewicowym, przez niezależny ruch wydawniczy aż po wszelkie działania polityczne, kulturalne i artystyczne podejmowane w ramach społeczeństwa alternatywnego. Wolfgang Templin powiedział w jednym

<sup>56</sup> *Verleihung des DIALOG-Preises am 22. Oktober 2011 in Frankfurt (Oder)*, Deutsch-Polnische Gesellschaft Bundesverband e.V., [www.dpg-bundesverband.de/dialog\\_preis/index.html](http://www.dpg-bundesverband.de/dialog_preis/index.html) (dostęp 10 IX 2011).

<sup>57</sup> *Prezydent pośmiertnie odznaczył niemieckiego opozycjonistę*, 17 VI 2011, [www.prezydent.pl/aktualnosci/ordery-i-odznaczenia/art-968,prezydent-posmiertnie-odznaczył-niemieckiego-opozycjoniste.html](http://www.prezydent.pl/aktualnosci/ordery-i-odznaczenia/art-968,prezydent-posmiertnie-odznaczył-niemieckiego-opozycjoniste.html) (dostęp 10 IX 2011).



z wywiadów: „bez głębokiej, wewnętrznej potrzeby zrywu i protestu, potrzeby samoorganizacji społecznej, wydarzenia w 1989 roku nie miałyby pokojowego przebiegu. Ten pokojowy charakter masowego protestu zawdzięczamy w dużym stopniu Solidarności”<sup>58</sup>.

Z kolei Ludwig Mehlhorn tak wspominał wpływ Polski i Polaków na kształtowanie postaw wschodniemieckiej opozycji: „My, Niemcy z NRD, którzy przyjeżdżaliśmy wówczas do Polski, aby poddychać trochę swobodniejszym powietrzem, widzieliśmy, jak skuteczne mogą być niewielkie nawet grupy opozycyjne. Zauważaliśmy, że poczucie wyzwolenia zaczyna się bardzo prosto: już w chwili, gdy przestaniemy używać języka, jaki narzucały władze. Dostrzegaliśmy, jak kwestia praw człowieka może jednoczyć ludzi i czynić nieistotnymi rozmaite podziały ideowe czy światopoglądowe”<sup>59</sup>.

I dalej: „Przejęliśmy (niech wolno mi wyrazić taki pogląd: z sukcesem) model opozycji, polegający na budowaniu wolnych struktur społecznej komunikacji. Nawet jeśli u nas, inaczej niż w Polsce, opozycja nie stała się zjawiskiem masowym, robiliśmy rzeczy podobne: budowaliśmy równoległą opinię publiczną, wydawaliśmy niezależne czasopisma, organizowaliśmy w kościołach i mieszkaniach prywatnych wykłady, dyskusje, wystawy i koncerty, budowaliśmy sieć powiązań między lokalnymi inicjatywami, staraliśmy

się być obecni w zachodnich mediach. I byliśmy solidarni z tymi, których dotyczyły represje”<sup>60</sup>.

Jednocześnie Mehlhorn wiedział, że nie tylko Niemcy mają dług wdzięczności wobec Polaków. W eseju *Na marginesie recepcji Bonhoeffera* zaznaczył, że silnym bodźcem, któremu polska lewica laicka zawdzięcza spotkanie z kręgami inteligencji katolickiej, była wspólna lektura *Wyboru pism oraz Chrześcijanina w Trzeciej Rzeszy*. „W latach 70. lektura przetłumaczonych i opatrzonych komentarzem pism Bonhoeffera odegrała istotną rolę w ukształtowaniu się duchowości polskiej demokratycznej opozycji, szczególnie w momencie, kiedy – mówiąc w pewnym uproszczeniu – oba skrzydła tej opozycji, katolickie i laickie, wznosząc się ponad światopoglądowe i konfesyjne różnice, podjęły wysiłek zbudowania wspólnej, duchowej podstawy dla swego sprzeciwu wobec antywolnościowego systemu, który nie był już wtedy oparty wyłącznie na obcej, zewnętrznej sile. W egzystencjalnej walce Bonhoeffera o znalezienie właściwej odpowiedzi na wyzwania jego czasu odnajdywano w Polsce paradygmat dla własnej egzystencjalnej sytuacji. Lektura tekstów niemieckiego teologa nasuwa wręcz oczywiste analogie dla własnego doświadczenia PRL-u”<sup>61</sup>.

Kolejny raz potwierdziło się banalne stwierdzenie, że dobro do nas powraca. Koło się zamknęło. To, co Polacy zyskali, czytając Bonhoeffera, po kilku zaledwie latach podarowali jego rodakom.

<sup>58</sup> B. Cöllen, *Patrzyliśmy na Polaków. Opozycja NRD a Solidarność*, „Deutsche Welle”, 6 XI 2009, [www.dw-world.de/dw/article/0,,4845465,00.html](http://www.dw-world.de/dw/article/0,,4845465,00.html) (dostęp 10 IX 2011).

<sup>59</sup> L. Mehlhorn, *Jak uczyłem się od Polaków*, „Tygodnik Powszechny” 2004, nr 48, <http://tygodnik2003-2007.onet.pl/1547,1204458,0,342025,dzial.html> (dostęp 10 IX 2011).

<sup>60</sup> *Ibidem*.

<sup>61</sup> L. Mehlhorn, *Na marginesie recepcji Bonhoeffera w Polsce*, „Teologia Polityczna” 2003/2004, nr 1, s. 248.

# TADEUSZ MAZOWIECKI IN MEMORIAM

## SPOTKANIA Z TADEUSZEM MAZOWIECKIM

JERZY JEDLICKI

prof., historyk i socjolog związany z Instytutem Historii PAN. Wykładowca Uniwersytetu Łatającego, współtwórca Towarzystwa Kursów Naukowych (1978), publicysta prasy niezależnej. Autor wielu prac naukowych z dziejów kultury i społeczeństwa polskiego XIX i XX wieku, wydał m.in. *Jakiej cywilizacji Polacy potrzebują. Studia z dziejów idei i wyobraźni XIX wieku* (1988, 2002), *Żle urodzeni, czyli o doświadczeniu historycznym. Scripta i postscripta* (1993), *Świat zwyrodniały. Lęki i wyroki krytyków współczesności* (2000). Redaktor *Dziejów inteligencji polskiej do roku 1918* i autor drugiego tomu tej serii: *Błędne koło 1832–1864* (2008).

To musiało być pod koniec 1969 r. Nie pamiętam, przez kogo doszła wiadomość, że Tadeusz Mazowiecki chciałby się ze mną widzieć. Nie zwlekałem. To była, zdaje się, moja pierwsza wizyta na Kopernika, gdzie redakcja „Więzi” zajmowała dwa małe pokoiki w Klubie Inteligencji Katolickiej. Redaktor przeszedł z miejsca do rzeczy: chciał, ni mniej, ni więcej, zaproponować mi współpracę z miesięcznikiem. Byłem zaskoczony i wybąkałem coś w tym sensie, że moja sytuacja od ubiegłego roku jest tego rodzaju, iż pojawienie się na łamach „Więzi” może tylko przysporzyć jej kłopotów. Redaktor odpowiedział spokojnie, że pismo ma w tym interes, żeby przyciągnąć trochę dobrych piór.

I rzeczywiście: to jakoś w tym czasie zaczęły się pojawiać w „Więzi” regularnie felietony Wiktora Woroszyńskiego, a w „Tygodniku Powszechnym” Antoniego Słonimskiego i innych. Nikt nie pytał o stosunek do religii i Kościoła, nikt nie narzucał tematów. Ze mną nie było mowy o stałych dostawach, miałem wiedzieć, że będę miło widzianym autorem. Jakoż od tego czasu zacząłem bywać na Kopernika – w redakcji i czasem na zebraniach w Klubie.

\* \* \*

Z większą niż przedtem uwagą przeglądałem teraz „Więź”, a w nim artykuły Mazowieckiego, zwłaszcza odkąd wybrane wyszły w 1970 r. w książce *Rozdroża i wartości*. Gdy tom ten zdejmuję dzisiaj z półki, widzę po moich zakresleniach, że mniej mnie zajmowały sprawy wewnętrznej posoborowej reformy Kościoła, bardziej postulaty dotyczące stosunku chrześcijaństwa do świata współczesnego. Oczywiście te dwie sprawy były ściśle ze sobą związane, ośrodkowymi słowami były otwartość i dialog. Dialog przede wszystkim z niewierzącymi; zrazu utożsamiani byli oni głównie z „marksistami”, to zaś znaczyło: z otoczeniem, względem którego Kościół owych lat musiał siłą rzeczy formować swoją postawę. Niemniej w rozprawie *Kontury dialogu* Mazowiecki sprzeciwił się takiemu zrównaniu, gdyż – jak pisał, powołując się na kardynała Franza Königa – „Marksizm stanowi tylko jedno ze współczesnych stanowisk odrzucających wiarę religijną. Utożsamienie to nie jest zatem ani prawdziwe, ani słuszne”. Dokonują go zaś – dodawał – i katolicy, i sami marksiści, którzy czasem „sprawiają wrażenie, jakby uważali, że każdy niewierzący jest marksistą”<sup>1</sup>.

<sup>1</sup> T. Mazowiecki, *Rozdroża i wartości*, Warszawa 1970, s. 77.

Z tą chwilą odczułem, że autor mówi do takich jak ja, i dialog zaczął mnie osobiście obchodzić. W artykule *Cień kontrreformacji*, pomimo spokojnego i miarowego, jak zwykle, stylu Mazowieckiego, czuło się dramatyczne napięcie chrześcijanina, który nie godził się na fundamentalny pesymizm historyczny swojego Kościoła, uznającego (w głównym swoim nurcie) współczesną cywilizację za duchowe spustoszenie i nieszczęście.

Z początkiem lat siedemdziesiątych zabrałem się do zamierzonej pracy o stosunku polskiej inteligencji do nowoczesnej cywilizacji Zachodu i rozważania Mazowieckiego o ambiwalencji tej cywilizacji trafiały dokładnie w moje zainteresowania. „Powracamy w tym punkcie – czytałem – do zasadniczego pytania o istotę zagrożeń tkwiących w nowoczesnych warunkach cywilizacyjnych. Prawdziwy konflikt – widać to coraz bardziej wyraźnie – nie przebiega bynajmniej wzdłuż linii dzielącej kulturę humanistyczną i kulturę przyrodniczo-techniczną. [...] Istotny konflikt dostrzec można gdzie indziej; tkwi on w mechanizmach redukujących pełne, ludzkie wymiary aspiracji, dążeń i perspektyw człowieka”<sup>2</sup>.

Ten sposób myślenia, rozwinięty zwłaszcza w artykule *Między XIX i XXI wiekiem*, był mi bardzo bliski, tyle że ja na długie lata utknąłem w wieku XIX, a Mazowiecki – jak choćby powyższy tytuł wskazuje – interesował się głównie współczesnością. Do dzisiaj żał mi, że nie podjąłem dyskusji z tak ważną, a niedocenioną książką, jaką były *Rozdroża i wartości*.

\* \* \*

Udało się jednak podjąć rozmowę na temat nie bardzo od tamtego odległy. W listopadzie 1977 r. Mazowiecki zorganizował w warszawskim KIK konferencję na temat praw człowieka. Temat w tym właśnie czasie stał się popularny, w znacznej mierze dzięki prezydentowi Jimmy’emu Carterowi, który uczynił z niego swoje hasło rozpoznawcze. Sesja KIK była

zdarzeniem wyjątkowym przez swój poziom i gorącą aktualność. Jej tytuł brzmiał „Chrześcijanie wobec praw człowieka”, ale Mazowiecki rozplanował ją w ten sposób, żeby spotkały się z sobą referaty o różnych aspektach tych praw: legislacyjnym (Jakub Karpiński), administracyjno-prawnym (Jolanta Strzelecka), gospodarczym (Stefan Kurowski), kulturalnym (Jacek Woźniakowski), kościelnym (o. Władysław Skrzydlewski) i o różnych tradycjach ideowych: liberalnych (Jedlicki), socjalistycznych (Jan Strzelecki), biblijnych (Stanisława Grabska). Wprowadzenie do tematu było oczywiście Mazowieckiego, a w końcowej dyskusji „okrągłego stołu” (a tak!) wypowiadali się Jerzy Turowicz, Andrzej Grzegorzcyk, Bohdan Cywiński, Adam Stanowski i ponownie Tadeusz Mazowiecki. Przez pięć wieczorów, przy pełnej sali, rozmawiali więc ze sobą ludzie o bardzo różnym profilu intelektualnym, a przecież dobrze się rozumiejący i umiejący się spierać z szacunkiem. Mówiliśmy pełnym głosem, bez cenzuralnego skrępowania, ale też bez agitacyjnego tonu.

Jednym z problemów, które poruszyłem w swoim odczycie o antynomiach liberalnej koncepcji wolności, była kwestia kompromisu, którą uważałem (i nadal uważam) za główną metodę dochodzenia do wzajemnego zrozumienia. „Nic bowiem groźniejszego – mówiłem – jak totalny triumf jakiegokolwiek jednej zasady. Metoda kompromisu nie z tchórzostwa więc wyływa ani z braku wiary własnej, lecz z poszanowania drugiego człowieka, klasy, narodu czy Kościoła; natomiast ideologiczny monopolizm wiąże się nieuchronnie z pogardą dla tych wszystkich, co mają inne marzenia i inny ideał życia”<sup>3</sup>.

Nawiązał do tych słów Mazowiecki w swoim znakomitym słowie końcowym, ale pojęcie ideowego czy politycznego kompromisu wyraźnie obwarował. „Kompromis między rządzonymi a rządzącymi – mówił – nie jest poza granicą naszych rozważań o prawach człowieka i obywatela i o procesie rewindykacji tych praw. Ale chodzi o kompromis, a nie o poddaństwo

<sup>2</sup> *Ibidem*, s. 251.

<sup>3</sup> *Chrześcijanie wobec praw człowieka*, Paris 1980, s. 83.

myśli i postaw ludzkich. Wiemy jednak, że taki kompromis, który nie jest poddaństwem, musi być wywalczany. Tylko społeczeństwo, które okazuje swą zdolność do samoobrony w proteście [...] i które w sobie zachowuje zdolność bycia podmiotem, może w ogóle coś ocalać i coś wywalczyć<sup>4</sup>.

To wraz z końcowym zapożyczeniem z wiersza Zbigniewa Herberta było mocnym, dobitnym akordem tej sesji, która powinna się była odbić szerokim echem w polskiej opinii publicznej. Był to wszak czas, kiedy KOR przekształcił się właśnie w Komitet Samoobrony Społecznej KOR, rodziły się studenckie komitety solidarności, pokazały się pierwsze wydawnictwa podziemne. Ale też cenzura czuwała i tak pocięła w „Więzi” niektóre referaty z sesji (w tym mój) tudzież wypowiedzi z dyskusji, że trzeba je było wycofać z drukarni. Sesja ukazała się ciężko okaleczona, a w całości po dwóch latach w paryskim wydawnictwie oo. pallotyńów, w kraju zaś dopiero... w czasie stanu wojennego (i to w cenzurowanym „Znaku”), kiedy ich inicjator siedział w obozie dla internowanych.

\* \* \*

Wykłady – otwarte, ogłaszane za pomocą ulotek rozrzucanych po warszawskich uczelniach – zaczęliśmy prowadzić w prywatnych mieszkaniach w październiku czy listopadzie 1977 r. Było nas najpierw kilku, potem kilkunastu, słuchacze siedzieli w skupieniu na podłodze, dyskusje były żywe. W styczniu 1978 r. powstało Towarzystwo Kursów Naukowych, złożone ze znanych uczonych i pisarzy, a miało ono w założeniu chronić naszą działalność przed jej rozbiciem przez aparat partyjno-policyjny. Póki mogłem, sprzeciwiałem się tworzeniu TKN – a to w przekonaniu, że nie osłoni ono bynajmniej pracy edukacyjnej, lecz przeciwnie, narazi ją na jeszcze silniejsze przeciwuderzenie władz. Rozwój wypadków dowiódł, że miałem rację, ale z tą swoją marną racją zostałem wybrany do komisji programowej i działałem w niej

z dobrą wolą, choć zachowując sceptycyzm, z którym pozostałem samotny. Wszyscy moi przyjaciele, koledzy i koleżanki byli z reguły o krok do przodu, i Mazowiecki wśród nich, chociaż zawsze z rozważą.

O ile mnie pamięć nie zawodzi, wszedł tylko do pierwszego składu komisji, ale był jednym z najbardziej wpływowych autorytetów tego środowiska. Ze względu na retorsje władz, ale także nasze wewnętrzne różnice zdań w sprawach taktyki działania, zapamiętałem czas TKN jako dość nerwowy. Jednak te dwa, niecałe trzy lata zaowocowały mocnymi, później wypróbowanymi więzami przyjaźni. Zbliżyłem się wówczas i do Tadeusza, choć on nie dopuszczał zbyt bliskiej poufałości, co przejawiało się choćby w tym, że nigdy nie rozmawialiśmy na tematy osobiste ani na tematy wiary i niewiary. Rozmowy toczyły się wokół spraw aktualnych, głównie działań opozycyjnych.

Jedną ze spraw, która go zawsze niepokoiła, był polski brak kultury politycznej. Pisał już o tym w „Więzi” w latach sześćdziesiątych, zatroskany dość powszechną niechęcią albo nawet pogardą Polaków do sfery politycznej i wszystkiego, co się z nią wiąże. Genezę takiej postawy nie było trudno wytłumaczyć, ale Mazowiecki obawiał się, że to skutkować będzie trwałą utratą myślenia państwowego. O poziomie kultury politycznej narodu stanowi po pierwsze – pisać – „umiejętność wyciągania wniosków z historii”, po drugie „zdolność przetwarzania własnego doświadczenia dziejowego” i po trzecie nasycenie polityki państwowej świadomością moralną. Ta zaś nie ma być egoizmem narodowym ani wyznaniowym, lecz uznaniem pluralizmu społeczeństwa i pluralizmu wartości. Artykuł kończył się oczekiwaniem dopuszczenia rzeczowej krytyki tego naszego socjalizmu<sup>5</sup>. To nie były wówczas małe postulaty – zwłaszcza że nie wiemy, co tam wykreśliła cenzura.

Do tematu kultury politycznej Mazowiecki powrócił po dwudziestu latach, kiedy czuło się już w powietrzu świeży powiew. W 1988 r. w imieniu redakcji „Więzi” rozesłał do kilkunastu wybranych autorów

<sup>4</sup> *Ibidem*, s. 166.

<sup>5</sup> T. Mazowiecki, *Rozdroża i wartości...*, s. 257–279.

ankietę. Możemy się spodziewać – pisał – że wybijemy się w końcu na demokrację: „Czy jesteśmy do tego przygotowani? Co Pan/Pani uważa dziś za najważniejsze w rozwoju kultury politycznej Polaków?”<sup>6</sup>. Zaimponowała mi ta wyprzedzająca troska o styl działań Polaków, gdy już dostaniemy tę wymarzoną wolność i demokrację. W swojej odpowiedzi rozróżniłem cztery przymioty obywatelskie, składające się – w moim rozumieniu – na kulturę polityczną: 1) chęć i wola uczestniczenia w życiu publicznym, 2) umiejętność korzystania z praw i instytucji, 3) rozeznanie w materiach politycznych, 4) obyczaje i etyka walki.

Odpowiedzi ukazały się w ostatnim numerze „Więzi” z 1988 r., tuż przed otwarciem obrad Okrągłego Stołu. Niewiele ponad rok później wybuchła tzw. wojna na górze i od tej pory wciąż przybywa dowodów na to, jak proroczy był niepokój Mazowieckiego.

\* \* \*

Któregoś dnia rano, w połowie sierpnia 1980 r., zostałem wezwany przez Tadeusza Kowalika, żeby natychmiast do niego przyjechać. Gdy przybyłem, po podwórku domu przy al. Niepodległości spacerował Kowalik z Bronisławem Geremkiem. Dowiedziałem się, że musimy napisać list do obydwu stron konfliktu gdańskiego, żeby za wszelką cenę zapobiec rozlewowi krwi. Nazajutrz spotkaliśmy się w zakładzie edycji pism Oskara Langego i Michała Kaleckiego, gdzie właśnie Kowalik pracował i gdzie czarująca pani Felicja Lange cierpliwie przepisywała nam kolejne warianty i kopie listu. Pisałem ten list i zdawało się, że był niezły, ale dołączył do nas Tadeusz Mazowiecki, który miał świeższe z Gdańska wieści i wiedział, że trzeba pisać nie do samych tylko stoczniowców, lecz do Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego. A co ważniejsze, mój projekt był adresowany jakby równo do obu stron, żeby się zachowywały odpowiedzialnie i jedna drugiej nie prowokowała. Mazowiecki uchylił tę symetrię; pod jego piórem list stał się jedno-

znacznie poparciem strajkujących robotników. Byłem więc znowu o krok z tyłu i bez sporu uznałem rację Tadeusza.

Tegoż dnia sztab akcji przeniósł się do mieszkania Geremków na Pivnej, dokąd jeden po drugim przybiegali młodzi ludzie zbierający podpisy. Nigdy przedtem nie szło to równie łatwo. Do wieczora zebrano tych podpisów 64, i to przeważnie znanych nazwisk. Dzień później, jeśli dobrze pamiętam, Geremek pismo to z podpisanymi złożył na dziennik podawczy w Komitecie Centralnym PZPR i zdążył z tym, zanim do jego mieszkania weszła spóźniona milicja z przeszukaniem.

Nie pytałem, kto i jak ma doręczyć ten list drugiej stronie. Byłem zaskoczony, gdy mi Kowalik powiedział następnego dnia, że Geremek i Mazowiecki o świcie wyjechali do Gdańska. Dalszy ciąg tej wyprawy jest dość dobrze znany. Warto może przypomnieć jeden przykry zgrzyt. Kiedy zbieraliśmy podpisy pod listem, postanowiliśmy, że nie będziemy o nie prosić członków KSS KOR. Chodziło o to, żeby ten apel nie wyglądał na jeszcze jedną akcję tego samego co zwykle środowiska i żeby władzy, do której zwracaliśmy się z przestroga, nie straszyć nazwiskami, które wydawały się jej najgroźniejsze. Może był to błąd; w każdym razie z chwilą, gdy w trakcie akcji dowiedzieliśmy się o aresztowaniach korowców, należało pewnie pójść do „starszych państwa”, którzy pozostali na wolności, tj. do prof. Jana Kielanowskiego, prof. Edwarda Lipińskiego i innych. Ale wszystko działało się bardzo prędko i nie było już czasu na zmianę decyzji. Sprawa ta przez środowisko KOR została uznana – niesłusznie – za chęć wykluczenia i pozostawiła osad nieufności. Ten osad nasilił się, gdy pod sam koniec negocjacji z ministrem Jagielskim w Stoczni Gdańskiej pojawiła się pogłoska, że skoro uwolnienie uwięzionych nie znalazło się na liście 21 postulatów, to znaczy, że Wałęsa i jego doradcy poświęcili korowców.

Wiedziałem, że jest to nieprawda. Geremek telefonował do mnie z Gdańska każdego wieczoru, znałem w ogólnym zarysie stan tej sprawy, którą doradcy

<sup>6</sup> J. Jedlicki, *Żle urodzeni, czyli o doświadczeniu historycznym. Scripta i postscripta*, Londyn – Warszawa 1993, s. 156.



odłożyli na koniec, ale bynajmniej nie zamierzali odpuścić<sup>7</sup>. Plotka poszła jednak w Polskę. 1 września od rana uwięzieni wychodzili jeden po drugim i zbierali się w dawnym moim mieszkaniu na Żoliborzu, gdzie mieszkała moja pasierbica Magda z mężem Mirkiem Chojeckim. Pojechałem tam, żeby powitać uwolnionych i wraz z nimi uczcić upajający moment zwycięstwa. Spodziewałem się uznania i pochwały, że gdy korowcy siedzieli za kratami, zastąpili ich i ster objęli „eksperci” (jak ich nazwano) ze środowiska TKN. Tymczasem zastałem gęsty tłum, przez który przepychał się do mnie Jacek Kuroń i powitał mnie bluzgiem złości, krzycząc, że jak się ktoś nie zna na polityce, to nie powinien się pchać. Poczułem w tym nie tylko nieufność, ale i coś więcej: zazdrość, że moi przyjaciele pojawili się tam, gdzie powinien być KOR. Była to krzycząca niesprawiedliwość pod adresem Mazowieckiego, Geremka i reszty doradców Wałęsy, którzy z ogromną zręcznością i kompetencją wykonali w Gdańsku robotę uwieńczoną niebywałym sukcesem. Nie miałem ochoty słuchać tych pretensji; obróciłem się na pięcie i wyszedłem.

Przez następne gorączkowe dni kto żyw nagabywał mnie, o co właściwie chodzi w konflikcie KOR – eksperci. To zdawało się najbardziej interesować ludzi. Szczęśliwie Kuroń przybywszy do Gdańska dogadał się bez trudu z Geremkiem i sprawa szybko ucichła, ale Mazowiecki w wywiadach musiał się jeszcze tłumaczyć.

\* \* \*

Kiedy Tadeusz Mazowiecki objął redakcję wywalczonego „Tygodnika Solidarność” i zaczął kompletować zespół autorski, zaproponował mi współpracę. Chciałem pisać krótkie felietony, cięte komentarze do bieżącej sytuacji, o objętości najwyżej jednej strony maszynopisu. Rubryka nazywała się „Wolne wnioski”. Szło mi to nieźle, ale współpraca nie najlepiej się

układała. Nie udało mi się wyprosić stałego miejsca dla mojego kącika, który był przerzucany ze strony na stronę, a czasem bez uprzedzenia wypadał. Cięta to też cenzura, która w tym 1981 r. była wprawdzie dość nieśmiała, ale jednak czuwała, zwłaszcza gdy rzecz dotykała interesów wschodniego sąsiada.

Raz jednak w roli cenzury znalazła się redakcja „Tygodnika”. Nie o felieton wtedy poszło. Zjazd Solidarności w Oliwie w pierwszej swojej turze uchwalił pamiętne *Postanie do ludzi pracy Europy Wschodniej*. Dzisiaj akt ten uważa się przeważnie za tytuł do chluby i dowód dalekowzroczności. Ja wówczas uznałem tę uchwałę za dowód zbiorowej głupoty i nieodpowiedzialności (i zdania tego nigdy nie zmieniłem). Prerażony i wściekły napisałem w godzinę czy dwie, w przerwie między dwiema turami zjazdu (w którym nie brałem udziału), bardzo ostry list otwarty do delegatów, którzy owładnięci zbiorową pychą narażają siebie, związek i kraj na śmiertelne niebezpieczeństwo, gdyż lepszego pretekstu do interwencji wojsk Układu Warszawskiego darmo by szukać.

List ten zaniósłem oczywiście do redakcji, a tu spotkała mnie niespodzianka. Mazowiecki, wspierany przez Waldka Kuczyńskiego i Bohdana Cywińskiego, odmówił publikacji tekstu tak otwarcie krytycznego względem uchwały zjazdu. Rozmowa nie dotyczyła w ogóle tego, czy ja mam rację, czy nie mam, tylko tego, że „Tygodnik” jest pismem Solidarności. Nie był to, o ile wiem, jedyny przypadek, kiedy Mazowiecki był o wiele bardziej skrupowany poczuciem lojalności względem swoich związkowych mocodawców, niż był kiedykolwiek spętany jako redaktor cenzurowanej „Więzi”.

Co było robić? Pokazałem ten list Geremkowi, który powiedział mi, że nie miałby zastrzeżeń do jego ogłoszenia. Tym wzmocniony poszedłem do Blumsztajna, który redagował biuletyn zjazdu. Sewek odpowiedział, że może publikować, ale pod warunkiem, że zamówi drugą wypowiedź, polemizującą z moim

<sup>7</sup> Andrzej Friszke pisze, że Jedlicki dzwonił „z Gdańska” do dyżurującej w mieszkaniu Kuroniów Ewy Kulik z informacją, „że do południa 1 września mają być zwolnieni wszyscy aresztowani” (A. Friszke, *Czas KOR-u. Jacek Kuroń a geneza Solidarności*, Kraków 2011, s. 574). Jest to omyłka: dzwoniłem ze swojego warszawskiego mieszkania.

stanowiskiem. Przeciw temu nic mieć nie mogłem i sprawa zdawała się załatwiona. W tym jednak momencie ukazał się w prasie list Biura Politycznego KPZR do kierownictwa polskiej partii i rządu, a w nim zdanie: „Oczekujemy, że kierownictwo PZPR i rząd PRL bezzwłocznie podejmą zdecydowane i radykalne kroki w celu przecięcia złośliwej antyradzieckiej propagandy i wrogich wobec Związku Radzieckiego akcji”<sup>8</sup>.

W tym stanie rzeczy zadzwonił ponownie Geremek, aby mi powiedzieć, że moja krytyka zjazdu w takim kontekście została opacznie zrozumiana. Postąpiłem go i list do delegatów w ostatniej chwili wycofałem. Nigdy się nie ukazał. Wedle Jerzego Holzera zarówno Wąteśa, jak eksperci, „od bliskiego prymasowi Kukułowicza, przez Mazowieckiego i Geremka, prawdopodobnie aż do Kuronia, uważali uchwalenie *Postania* za błąd”<sup>9</sup>. Niemniej lęk przed publicznym konfliktem z radykalizującym się związkiem paraliżował ich odwagę. Ja zaś od żadnych władz związkowych nie zależałem.

\* \* \*

Byłem w pierwszej, kilkunastoosobowej grupie internowanych, którzy w trzy dni po ogłoszeniu stanu wojennego zostali przetransportowani z Białołęki do domu wczasowego służb lotniczych w Jaworzu, w Puszczy Drawskiej. W skromnych, lecz przyzwoitych pokojach stały tanie radioodbiorniki, w których zostały pospiesznie wymontowane zakresy fal rozgłośni zachodnich. Z tym jednak łatwo się uporali nasi koledzy technicy i już na drugi dzień słuchaliśmy polskich audycji radia France Inter, które były najlepiej słyszalne. I poraziła nas wiadomość, że Tadeusz Mazowiecki został zabity. Do dziś nie wiem, skąd wzięła się ta brednia, której wiarygodności dodawać miała wiadomość, że kard. Jean-Marie Lustiger, arcybiskup

Paryża, odprawił nabożeństwo za duszę naszego przyjaciela.

Na szczęście zachowaliśmy zdrowy sceptycyzm. Gdy zaś pojawił się nasz służbowy opiekun z ramienia gen. Kiszczaka, płk Romanowski, zapytaliśmy go natychmiast o to, co z Mazowieckim. Jak to co? – zdziwił się pułkownik. – Właśnie go tu przywiozłem, jest w drugim budynku. Był już wieczór, drzwi wyjściowe zamknięte.

Rano przed śniadaniem czekałem na dziedzicu. Tadeusz wyszedł po chwili, blady, ale niezłe wyglądający. Ode mnie pierwszego dowiedział się o swojej śmierci. „O Boże – przeraził się. – Chłopczy!” Ale rychło okazało się, że jego synowie nie uwierzyli w stugębną plotkę. Tadeusz był zrazu internowany w Strzebielinie koło Gdańska, skąd go wieziono, jego jednego, do Jaworza, ale cały czas nie mówiąc, dokąd ani w jakim kierunku. Mając w pamięci Węgry i Czechosłowację, lękał się, czy nie jedzie aby na wschód.

Po tej przygodzie odezwały się bóle krzyża, które na czas jakiś zmusiły go do leżenia. Był już przeniesiony do naszego budynku. Co wieczór zbieraliśmy się w kilka osób wokół jego łóżka i rozpamiętywaliśmy minione miesiące. Brał w tym udział, jeśli się nie mylę, Kuczyński, Stefan Amsterdamski, nie pomnę, kto jeszcze. Te rozmowy ochrzczono w Jaworzu nieco złośliwie mianem „biura politycznego”.

Więcej o „internatach” w Jaworzu i – od maja 1982 r. – w Darłóweku można poczytać w dzienniczkach, które bujnie w tych warunkach obrodziły, pomagając rozproszyć nudę pobytu w zamknięciu (choć we względnie dobrych warunkach). O terminach zwalniania decydowała łaska generalska. Ja wyszedłem w lipcu 1982 r., Mazowiecki w ostatniej grupie, w wigilię Bożego Narodzenia, odsiedział więc przeszło rok. Na niego, na Geremka i kilku innych ciżba ludzi czekała, żeby ich powitać, na peronie Dworca Centralnego.

<sup>8</sup> Cyt. za: J. Holzer, „Solidarność” 1980–1981. *Geneza i historia*, Warszawa 1983, s. 182.

<sup>9</sup> *Ibidem*, s. 180.

\* \* \*

Na początku października 1989 r. wyleciałem wraz z żoną do Waszyngtonu. Mazowiecki był już wtedy premierem i najbliższy rok zapowiadał się fascynująco. Bardzo się nie chciało w takiej chwili opuszczać kraju, ale niepodobna było wzgardzić stypendium, które było wielką wygraną, marzeniem każdego naukowca. Jednak dziesięciomiesięczny pobyt w Stanach miał także parę polskich momentów, wartych wspomnienia.

Pierwszym była mowa Lecha Wałęsy w połączonych izbach Kongresu 15 listopada 1989 r. Pisano o tym nieraz, ale chciałbym dorzucić parę spostrzeżeń naoczego świadka. Udało się nam bowiem dostać karty wstępu na galerię dla publiczności. Powitanie Wałęsy przez kongresmenów było entuzjastyczne, a kiedy rozpoczął mowę i za nim Jacek Kalabiński ryknął swoim basem: „We, the People”, Kongres oszalał. Przerzywano oklaskami co parę zdań, a na koniec zgotowano Wałęsie niekończącą się owację. Był to niezwykły triumf, oboje z żoną pęcznieliśmy z narodowej dumy. Kalabiński, korespondent Radia Wolna Europa w Waszyngtonie, był jako tłumacz współtwórcą tego sukcesu dzięki swej znakomitej angielszczyźnie i niezapomnianemu tembrowi głosu. Nieco później dowiedzieliśmy się o jeszcze jednym autorze sukcesu Wałęsy, mianowicie o tym, że jego mowę, ze znakomicie rozmieszczonymi akcentami, napisał Kazimierz Dziewanowski, który wkrótce miał zostać ambasadorem w Waszyngtonie. Takich rzeczy się na ogół dyplomatycznie nie ujawnia, ale po upływie ćwierci wieku można, a nawet należy. Tym razem nie spełniło się bowiem powiedzenie, że klęska jest sierotą, zwycięstwo zaś ma wielu ojców. Wałęsa nie miał w zwyczaju dziękować – przynajmniej publicznie – tym, którzy na niego pracowali. Całą chwałę zwykł zagarniać dla siebie.

Tuż przed świętami 1989 r. dostałem telefon z Warszawy. Dzwonił, jeśli dobrze pamiętam, Jacek Ambroziak. Chodziło o to, że premier otrzymać ma w wieczór sylwestrowy honorową nagrodę przyznawaną Człowiekowi Roku przez kościół św. Jana Chrzcici-

ciela, olbrzymią nowojorską świątynię na Górnym Manhattanie. Przyjechać jednak po jej odbiór nie może w obecnym gorącym czasie i chce mnie prosić, żebym go w tym zastąpił. Propozycja była dość ekscentryczna, ale wkrótce miałem na linii samego Mazowieckiego, który dał do zrozumienia, że nie chce, by w jego imieniu wystąpił, jak by wypadało, ambasador z PRL-owskiej jeszcze nominacji.

Nagrodą okazał się ciężki kamień z polerowanego marmuru, z wrytym stosownym napisem. Kościół był wypetniony po brzegi. Po mszy zabrała głos przewodnicząca fundacji przyznającej nagrodę i wygłosiła krótkie przemówienie o zmianach w Polsce, po czym ja musiałem wejść – a jakże! – na ambonę, podziękować w imieniu premiera i podnieść w górę ten kilkukilogramowy kamień. Bardzo się bałem, żeby się nie potknąć.

Po uroczystości nagrodę wziął ode mnie urzędnik ambasady, która miała ją przestać do Warszawy. Ale zagadnięty przeze mnie po jakimś czasie Mazowiecki żadnego kamienia sobie nie przypominał i co się z nagrodą stało, nie wiem.

\* \* \*

W marcu 1990 r. sam premier przybył do Waszyngtonu na zaproszenie prezydenta George'a Busha. Dostaliśmy zaproszenie na śniadanie w Blair House, rezydencjalnym budynku opodal Białego Domu, gdzie ulokowano polską delegację. Był Mazowiecki, Kuczyński, przebywający w Waszyngtonie o. Maciej Ziemia, dominikanin, przyjaciel Tadeusza, nie pamiętam, kto jeszcze. Tadeusz opowiadał o sytuacji w kraju, o ogromnych trudnościach, jakie rząd musiał pokonywać, i o Wałęsie, który prowadził własną politykę, coraz częściej utrudniając pracę rządu.

Było już jasne, że Wałęsa zmierza do prezydentury. Co do mnie, już przed tym spotkaniem byłem przekonany, że będzie to dla kraju zgubne, ponieważ krok po kroku ujawniały się nieprzyjemne, a nawet niebezpieczne cechy przewodniczącego Solidarności: pycha, skłonność do intryg i lekceważenie demokratycznych reguł działania. Celnie to ujął Andrzej Szczypiorski

w nieznanym mi wtedy jeszcze liście do Wałęsy, gdzie pisał m.in.: „ma Pan pogardliwy stosunek do wiedzy i kompetencji innych ludzi, ulega Pan złudzeniu, że wie lepiej, rozstrzyga szybciej, decyduje mądrzej”<sup>10</sup>.

Mazowiecki był też wyraźnie zaniepokojony rozwijającą się wojną na górze. Powiedziałem wtedy przy stole: „Musisz kandydować na prezydenta. Ty jedyny jesteś w stanie go zatrzymać”. „No tak – odpowiedział – ale w takim razie musielibyśmy Wałęsę obwołać królem”. Zdawał sobie doskonale sprawę, jak

trudny ma przed sobą dylemat. Jak się rzeczy potoczyły, wiadomo.

\* \* \*

Spotkań było oczywiście więcej. Opisałem te, które najżywiej zachowały się w pamięci. Czy dokładnie i wiernie? Nie mogę zaręczyć. Pamięć ludzka jest zawodna. Autor przyjmie z wdzięcznością wszelkie sprostowania, uzupełnienia i poprawki.

<sup>10</sup> Cyt. za: J. Kurski, *Wódz*, Warszawa 1991, s. 118.

## TESTAMENT MAZOWIECKIEGO

### RYSZARD BUGAJ

dr hab., ekonomista, doradca NSZZ Solidarność, publicysta prasy niezależnej, uczestnik rozmów Okrągłego Stołu, w latach 1989–1997 poseł na Sejm. Pracuje w Instytucie Nauk Ekonomicznych PAN. Autor prac naukowych o funkcjonowaniu gospodarki i finansach publicznych.

Nie pamiętam, kiedy dokładnie poznałem Tadeusza Mazowieckiego, ale to było gdzieś w połowie lat siedemdziesiątych w siedzibie warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej na ul. Kopernika (mieściła się tam również redakcja „Więzi”). Nie byłem działaczem KIK, ale dysydentem związanym ze środowiskiem „laickiej lewicy”. Jak inni z tego środowiska postrzegałem KIK i „Więź” jako wyspy względnej wolności w autorytarnym systemie.

Bliżej poznałem Tadeusza po powstaniu Solidarności. Formalnie w związku należałem – tak jak Mazowiecki – do grona „ekspertów”, ale moja rola była nieporównanie skromniejsza. Znaczny wpływ Tadeusza na politykę Solidarności był pochodną jego osobistego autorytetu zbudowanego na podstawie jego wcześniejszej aktywności. Nie znaczy to jednak, że Mazowiecki do swoich racji zawsze mógł przekonać działaczy. Z reguły zalecał kroki umiarkowane, a wielu związkowców było bardzo rozgorączkowanych. Także z dzisiejszej perspektywy orientacja Mazowieckiego i całej naszej grupy (Bronisław Geremek, Andrzej Celiński, Andrzej Wielowieyski i kilka innych osób) jawi mi się jako tyleż rozsądna, ile niedająca wówczas nadziei na sukces: w tamtej rundzie musieliśmy przegrać. Wiedzieliśmy, że szansa na trwałe pozostanie Solidarności w systemie PRL jest nikła lub żadna, ale nie bez znaczenia było, jak długo związek będzie funkcjonował.

Po 13 grudnia trafiłem do tego samego „miejsca odosobnienia”, w którym znalazł się Tadeusz, ale byłem tam krótko i właściwie nie mam wspólnych z nim doświadczeń internowania. W późniejszym okresie miałem okazje bliskiej współpracy. Przygotowaliśmy publikację *Polska 5 lat po sierpniu* (1985). Wspominam to wydawnictwo, do którego wstęp sygnował Lech Wałęsa, ale napisali go Geremek i Mazowiecki. Chyba po raz pierwszy nadany został do władz sygnał: kompromis jest możliwy. Potem wydawaliśmy wspólnie (uczestniczył w tym Geremek, Wielowieyski, Celiński, a także Kazimierz Dziwianowski) czasopismo drugoobiegowe „21”. Był to *tolstyj żurnal*, w którym publikowano przede wszystkim teksty analityczne.

Tadeusz aktywnie uczestniczył w Komitecie Obywatelskim przy Lechu Wałęsie. Potem odegrał jedną z kluczowych ról przy Okrągłym Stole. Ale nie bardzo odpowiadała mu formuła wyborów i zasada, że stronę Solidarności miała reprezentować „drużyna Wałęsy” – odmówił kandydowania w wyborach 1989 r. (podobnie jak Jan Olszewski i Wiesław Chrza-



nowski). Nie mam pewności, ale sądziłem wówczas, że niepokoił się, iż „drużyna” będzie dyspocyjna.

Mazowiecki nie był zwolennikiem utworzenia w 1989 r. „naszego” rządu. Podzielałem jego sceptycyzm, ale podobało mi się, że zmienił zdanie i przyjął propozycję Wałęsy. Nie wiem, jakie racje nim kierowały, ale – moim zdaniem – dobrze się stało. Było przesądzone, że premierem będzie „nasz” przedstawiciel. Mógł nim zostać albo on, albo Geremek. Ceniąc bardzo inteligencję i dokonania Geremka, nie miałem wątpliwości, że Mazowiecki był bardziej reprezentatywny dla opozycji i tych, którzy poparli Solidarność w wyborach.

Rząd Mazowieckiego był totalnie koalicyjny (wszystkie sejmowe kluby i koła miały w tym rządzie swoich przedstawicieli), ale to nie znaczy, że parlament wszystko automatycznie uchwalał. Jest jednak faktem, że uchwalił plan Balcerowicza, co oznaczało odrzucenie porozumienia Okrągłego Stołu. Mazowiecki – jeśli dobrze wiem – entuzjastą tego planu nie był, ale uznał, że taka jest historyczna konieczność. Wtedy sądziłem, że nie miał racji. Teraz widzę to trochę inaczej. Nadal jestem przekonany, że istniała korzystniejsza alternatywa polityki ekonomicznej (kierunkowo opisana została w porozumieniu Okrągłego Stołu), ale czasy były rewolucyjne, a nasi zachodni alianci usilnie nam podpowiadali wariant radykalnej polityki. Dla takiej polityki dała też przyzwolenie reprezentacja ugrupowań PRL-owskich.

Myślę, że na bardziej krytyczną ocenę zasługuje ospałość rządu na takich polach jak telewizja (i cenzura) czy służby specjalne (niszczenie dokumentów!). Nie wydaje mi się jednak, by był to wyraz „polityki grubej kreski”. Chyba raczej Mazowiecki nie zauważył, że układ sił zmienia się szybciej, niż można było zakładać. Jest inna jeszcze okoliczność: zmiany w gospodarce okazały się znacznie trudniejsze, niż obiecywał Balcerowicz. Była też bardzo trudna kwestia niemiecka. Wszystko to miało priorytet przed wspomnianymi sprawami służb i mediów. Ale te zaniechania przyczyniły się do spadku poparcia dla rządu Mazowieckiego, przynajmniej w nowych elitach politycznych.

W wyborach prezydenckich Mazowiecki wystartował (byłem jednym z tych, którzy go do tego namawiali), mając ograniczone poparcie. Kampania była fatalna. Klęska całkowita, choć już niedługo po wyborach wielu żałowało, że... Mazowiecki przegrał.

Przebrane wybory nie zmiotły go ze sceny politycznej. Został szefem Unii Demokratycznej. To miała być partia umiarkowanie liberalna i umiarkowanie konserwatywna. Tak ją modelował Mazowiecki, ale bardzo szybko większość działaczy zapragnęła przesunąć partię na pozycje jednoznacznie liberalne – i w kwestiach społeczno-gospodarczych, i obyczajowych. Mazowiecki został *de facto* odsunięty od jej kierowania. Symboliczna była zarówno zmiana nazwy (z Unii Demokratycznej na Unię Wolności), jak i lidera, którym został Leszek Balcerowicz. Lewicującego działacza katolickiego zastąpił liberał, który w przeszłości nosił czerwoną legitymację. Myślę, że Tadeusz swoją porażkę odebrał nie tylko osobiście, ale też jako symbol marginalizacji opcji politycznej, która była mu zawsze bliska. Odsunął się od wpływu na nową partię.

W sejmie kadencji 1993–1997 był jednak aktywny – szczególnie w pracy nad konstytucją. Jeżeli kogoś można uznać za ojca konstytucji, uchwalonej w końcu (po trwających blisko siedem lat wysiłkach) w 1997 r., to raczej jego niż Aleksandra Kwaśniewskiego. To Mazowiecki przyczynił się walenie zarówno do przełamania impasu w sprawie preambuły, jak i uzyskania kompromisu w kwestiach praw socjalnych. Potem z partyjnej polityki właściwie się wypisał. Niestety, z pewnymi wyjątkami; jeżeli kiedykolwiek z dezaprobatą patrzyłem na jego polityczne zaangażowanie, to zdarzyło się to właściwie tylko raz, gdy wystąpił jako promotor Henryki Bochniarz kandydującej w wyborach prezydenckich.

Po zejściu Unii Wolności ze sceny politycznej Mazowiecki w ograniczonym zakresie funkcjonował w życiu publicznym. Był jednak ustawicznie atakowany za „grubą kreskę”. Źle znosił te ataki. Słusznie uważał je za niesprawiedliwe. Oddalało go to od ugrupowań prawicowych i zbliżało do obozu liberalnego,

w którym swoje miejsce znalazły też środowiska postkomunistyczne. Obserwowałem to ze zrozumieniem, ale bez satysfakcji.

Z satysfakcją natomiast postrzegałem jego aktywność w charakterze doradcy prezydenta Bronisława Komorowskiego. Seria debat w kancelarii prezydenta na temat obecności Polski w Unii Europejskiej była bardzo interesująca, a jego wystąpienia bardzo ciekawe. Był w złym stanie fizycznym, ale w świetnej kondycji intelektualnej.

\* \* \*

Wszystko, co napisałem powyżej, służy tylko temu, by uwiarygodnić moje końcowe stwierdzenie: Tadeusz Mazowiecki był postacią wybitną. Trzeba go wpisać na listę tych, którym Polska wiele zawdzięcza. No i był człowiekiem przyzwoitym, skromnym, sympatycznym. Przygotowana przez niego preambuła do Konstytucji RP głosi m.in.:

*My, Naród Polski – wszyscy obywatele Rzeczypospolitej,  
zarówno wierzący w Boga  
będącego źródłem prawdy, sprawiedliwości,  
dobra i piękna,  
jak i nie podzielający tej wiary,  
a te uniwersalne wartości wywodzący z innych źródeł  
[...]  
ustanawiamy Konstytucję Rzeczypospolitej Polskiej  
[...]  
Wszystkich, którzy dla dobra Trzeciej  
Rzeczypospolitej tę Konstytucję będą stosowali,  
wzywamy, aby czynili to, dbając o zachowanie  
przyrodzonej godności człowieka,  
jego prawa do wolności i obowiązku  
solidarności z innymi,  
a poszanowanie tych zasad mieli za niewzruszoną  
podstawę Rzeczypospolitej Polskiej.*

Ten tekst można uznać za testament Tadeusza Mazowieckiego.

# POLITYK DIALOGU

Tadeusz Mazowiecki był uczestnikiem polskiego życia publicznego przez ponad sześćdziesiąt lat. Od nadziei wiązanych z socjalizmem w latach czterdziestych przez tworzenie środowiska Klubu Inteligencji Katolickiej i „Więzi” w Październiku ’56, czynny udział w ruchu Solidarność, począwszy od sierpniowego strajku, aż do budowy demokratycznego i niepodległego państwa – jego biografia polityczna łączy główne wątki zaangażowania polskiej inteligencji w sprawy kraju.

Jakie były cechy szczególne tego zaangażowania w środowisku katolickich intelektualistów związanych z KIK i ruchem Znak, które stanowiło najważniejszy punkt odniesienia dla Tadeusza Mazowieckiego? Po pierwsze – imperatyw samego zaangażowania społecznego, widzianego jako obywatelski obowiązek troski o dobro wspólne, z którego nie zwalniają trudne okoliczności. Po drugie – połączenie realizmu celów politycznych z idealizmem zasad. Po trzecie – aprobatą dla obecności religii w życiu publicznym, ale odmowa jej politycznej instrumentalizacji; prowadzenie działalności politycznej na własny rachunek, niezależnie od Kościoła hierarchicznego. Po czwarte – uznanie dialogu za lepszą drogę realizacji celów niż konfrontacja. Po piąte – patriotyzm zakorzeniony w Europie, wedle którego polskim interesom narodowym najlepiej służy ścisły związek ze światem zachodnim i instytucjami europejskimi.

Od poglądów na określone kwestie polityczne, społeczne czy religijne ważniejsza była, jak sądzę, postawa Tadeusza Mazowieckiego wobec spraw publicznych i spotykanych na swej drodze ludzi. Tę postawę charakteryzuje najlepiej rozdział jego politycznej biografii związany z Solidarnością. Gdy stoczniowcy zapytali Mazowieckiego po jego przyjeździe 22 sierpnia 1980 r. do strajkującej Stoczni Gdańskiej im. Lenina, jak długo z nimi zostanie, odpowiedział, że do końca. W istocie do końca pozostał człowiekiem Sierpnia, cierpliwie szukającym porozumienia, i człowiekiem Solidarności, gdy po 13 grudnia nie było już miejsca na kompromis, pozostawało tylko dawanie świadectwa. Gdy stocznia znów podjęła walkę o Solidarność w maju 1988 r., Mazowiecki znowu się w niej stawił, choć strajki i barykady nie były jego żywiołem. Wobec odmowy dialogu przez władze za najlepsze wyjście uznał samodzielne zakończenie protestu przez stoczniowców. To suwerenne rozwiązanie, jak je określił, pozwoliło robotnikom zachować poczucie godności i uniknąć goryczy kapitulacji. W sierpniu tegoż roku raz jeszcze wrócił do

## JAN SKÓRZYŃSKI

dr hab., pracuje w Europejskim Centrum Solidarności, jest profesorem w Collegium Civitas. W latach 1989–1990 kierownik działu historycznego „Tygodnika Solidarność”, 2000–2006 zastępca redaktora naczelnego „Rzeczpospolitej” i szef dodatku „Plus-Minus”. Redaktor naczelny wydawnictwa *Opozycja w PRL. Słownik biograficzny 1956–89*, t. 1–3 (2000, 2002, 2006). Autor m.in. *Kalendarium Solidarności 1980–89* (wraz z Markiem Pernalem, 1990), *Od Solidarności do wolności* (2005), *Rewolucja Okrągłego Stołu* (2009, nominowana do Nagrody im. Kazimierza Moczarskiego), *Zadra. Biografia Lecha Wałęsy* (2010), *Siła bezsilnych. Historia Komitetu Obrony Robotników* (2012, nominowana do Nagrody im. Kazimierza Moczarskiego).

stoczni, by wesprzeć gdańskich związkowców i Lecha Wałęsę.

Spotkanie odrębnych przedtem światów inteligencji i robotników, jakie nastąpiło w wyniku Sierpnia, traktował bardzo poważnie. On, przedstawiciel elity umysłowej kraju, miał głęboki szacunek dla zwykłych ludzi, których spotkał w Solidarności. Ten szacunek można było dostrzec w jego stosunku do Lecha Wałęsy, także – mimo sporów politycznych – po 1989 r. Charakterystyczna była niechęć Mazowieckiego do lepszych warunków podczas internowania w Jaworzu i obawa, aby nie zostało przez to nadwątlone poczucie solidarnego losu z innymi działaczami Solidarności. Zwolniono go z obozu internowania jako jednego z ostatnich.

Był politycznym realistą, który nie mierzył sił na zamiary, ale miał silne poczucie zobowiązania wobec ruchu Solidarność i jego uczestników. Uważał, że nie można tej sprawy i tych ludzi porzucić, odejść, zrezygnować; trzeba przy niej trwać, nawet jeśli pozornie jest przegrana. Nie łudził siebie ani innych mirażem rychłego zwycięstwa, ale nie czuł się zwolniony z obowiązku politycznego myślenia, szukania wyjścia z sytuacji bez wyjścia. Toteż uparcie poszukiwał jakiegoś modelu kohabitacji niezależnej reprezentacji społecznej i partii – choć nie za cenę rezygnacji z zasady podmiotowości społeczeństwa.

Chyba najważniejsze w jego stylu uprawiania polityki było połączenie umiarkowania i determinacji, uporu w kwestiach zasadniczych i gotowości do porozumienia. Była to postawa wierności wyznawanym wartościom, ale pozbawiona rewolucyjnego maksymalizmu. Tadeusz Mazowiecki nigdy nie przekreślał możliwości dialogu z przeciwnikiem (w którym nie wi-

dział wroga), nie odrzucał rozmowy, po mistrzowsku praktykował to, co w I Rzeczypospolitej nazywało się ucieraniem porozumienia. Ta umiejętność odegrała bardzo istotną rolę w trzech kluczowych momentach najnowszej historii Polski: w Sierpniu '80, w latach 1988–1989 podczas rozmów przygotowawczych i w czasie negocjacji Okrągłego Stołu oraz przy pracy nad projektem Konstytucji III Rzeczypospolitej. Istotne było wszakże i to, że Mazowiecki starał się unikać kompromisów fałszywych i rozwiązań pozornych. Gdy opozycja szykowała się do negocjacji z komunistami, podkreślał, że do stołu należy usiąść, ale trzeba też umieć od niego wstać, gdy dalsza rozmowa okaże się niemożliwa, a stanowiska nie dadzą się pogodzić.

Jakie elementy składały się na polityczną metodę Mazowieckiego? W latach PRL praktykował opozycję umiarkowaną i obliczalną, nastawioną na zmiany ewolucyjne, stopniowo poszerzającą zasięg demokratycznych postulatów. Uparte trwanie przy swoim wyborze ideowym i etycznym łączył z budowaniem mostów między różnymi środowiskami. Politykę postrzegał jako sztukę kompromisu, szukania punktów stykowych, wspólnych pól między odmiennymi poglądami i wrażliwościami. Starał się zrozumieć racje strony przeciwnej, unikał jej obrażania i diabolizowania. Cenił powściągliwość w słowach i gestach, wierzył, że nie trzeba głośno krzyczeć, aby zostać wysłuchanym.

W dzisiejszej Polsce – rozdartej coraz ostrzejszymi konfliktami, które wylały się daleko poza sferę gry politycznej, obejmując życie społeczne, religijne, degradując media, a nawet angażując świat nauki – takie podejście jest potrzebne może nawet bardziej niż w czasach Solidarności i pierwszych latach III RP.

# ARCHIWUM WOLNEJ MYŚLI

---

## CHRZEŚCIJAŃSTWO A PRAWA CZŁOWIEKA

---

Prawa człowieka są własnością powszechną\*. Ich uniwersalizm rozpatrywać można w podwójnym znaczeniu. Pierwsze, oczywiste – choć co prawda oczywiste bardziej w sferze zasad niż ich urzeczywistniania – zawiera się w tym, że chodzi tu o prawa podmiotowe każdego człowieka; prawa, które przysługują każdemu bez względu na jakiegokolwiek różnicę i pod każdą szerokością geograficzną – we wszelkich warunkach politycznych. Pakty Praw Człowieka mówią o tym, zobowiązując państwa do stosowania postanowień o prawach człowieka i zagwarantowania ich wszystkim „bez żadnych różnic, takich jak rasa, kolor skóry, płeć, język, religia, poglądy polityczne i wszelkie inne poglądy, pochodzenie narodowe lub społeczne, majątek, urodzenie, lub wynikających z jakichkolwiek innych przyczyn”. Drugi aspekt uniwersalizmu praw człowieka, którego przyświadczenie u samego początku tych rozważań jest konieczne – to świadomość, że opierają się one o pewien *consensus*; *consensus* nie tyle ideologiczny, co ponadideologiczny, albo mówiąc prościej, iż ugruntowane są na wartościach najbardziej podstawowych i wspólnych, które należą do powszechnego dorobku ludzkości. Znamienne są sformułowania wstępu Paktu praw obywatelskich i politycznych, także Paktu praw gospodarczych, społecznych i kulturalnych z 16 grudnia 1966. Mówią one, że prawa te wynikają z „przyrodzonej godności człowieka”. A także o tym, że „uznanie przyrodzonej godności oraz równych i niezbywalnych praw wszystkich członków wspólnoty ludzkiej stanowi podstawę wolności, sprawiedliwości i pokoju na świecie”<sup>1</sup>. Nie chciałbym wszakże poprzestać na samych sformułowaniach noszących charakter proklamacji, które z natury rzeczy odwołują się do pojęć powszechnie uznawanych i dla wszystkich możliwych do przyjęcia. Za tymi i podobnymi sformułowaniami, a przede wszystkim za powszechnym odczuciem znaczenia problematyki praw człowieka kryje się pewien ciąg doświadczeń, walk i cierpień ludzkich, aktualnych i żywych, a także pewien ciąg oczekiwań, nadziei, poszukiwania perspektyw.

**TADEUSZ MAZOWIECKI**

\* Tekst przedrukujemy za tomem: *Chrześcijaństwo wobec praw człowieka. Sesja odbyta w KIK w Warszawie w dniach 8–16 listopada 1977 roku*, Paryż 1980 (red.).

<sup>1</sup> Identyczne sformułowania wstępne obu paktów: Międzynarodowego paktu praw obywatelskich i politycznych i Międzynarodowego paktu praw gospodarczych, społecznych i kulturalnych; cyt. według tekstu opublikowanego w „Zbiorze Dokumentów” Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych nr 3 (271), Warszawa 1968.



To wszystko, bardziej niż same sformułowania deklaracji określających te prawa, zawiera w sobie złożoną, uniwersalną treść ludzkiego doświadczenia i sprawia, że prawa człowieka odczuwane są jako własność i wartość powszechna.

Nie może więc nikt rościć sobie prawa do wyłączności ideologicznej w tej dziedzinie, nie może jej nikt zawłaszczyc, może tylko dawać świadectwo swego rozumienia praw człowieka i swego zaangażowania na rzecz ich urzeczywistnienia.

Nie ma też powodu sądzić, że jest to zagadnienie chwilowej mody i tak patrzeć na zainteresowanie prawami człowieka. Na dobrą sprawę, cała historia ludzka mogłaby być rozpatrywana jako historia walki o prawa człowieka. We współczesnym, dzisiejszym ich rozumieniu problematyka praw człowieka nie jest bynajmniej efemerydą, sezonowym zainteresowaniem. I choć z pewnością zmienne są i będą koleje jej występowania, wyraża ona głęboko ugruntowane dążenia; dążenia, które przestają wegetować na peryferiach ludzkich marzeń o bezkonfliktowym świecie, a wskazują kierunek osiągnięcia pewnego ogólnoludzkiego minimum, określają próg urzeczywistnienia poczucia wolności, bezpieczeństwa i współuczestnictwa. Siłą ludzkiej świadomości dążenia te stają się więc i będą się stawać nieuchronnym procesem rewindykacyjnym tego rzędu, jak inne wielkie procesy rewindykacyjne, jakie ludzkość ma za sobą.

Personalizm, którego źródłem jest chrześcijaństwo, spotyka się niejako spontanicznie z tym procesem. I można mieć w tym spotkaniu dwojakie uczucie. Jedno, że jest to ta sama sprawa, która ożywia dążenia personalistyczne, że więc nie przychodzi się do niej z pustymi rękami; w spotkaniu z tym procesem, w potrzebach, które wyraża, w aspiracjach i dążeniach, których jest wykładnikiem, potwierdza się sama podstawa personalistycznego stosunku do życia społecznego. I uczucie drugie, niepozbowione niepokoju: czy z owych drogich nam wartości osobowych – które mają być jak sól i jak drożdże – coś w nas nie zwietrzało i nie przetworzyło się w pasywną koncepcję życia, nienadążającą swą wrażliwością za potrzebami i wymaganiami tego procesu? W każ-

dym razie dobrze będzie, jeśli to pytanie pozostanie otwarte.

Użyłem przedtem określenia, iż prawa człowieka są własnością i wartością powszechną. Równocześnie sądzę, że podejmując problemy praw człowieka, stajemy na odwiecznym, własnym terenie chrześcijaństwa. Nie należy się w tym stwierdzeniu dopatrywać ukrytego zamiaru anektowania sprawy praw człowieka, sprawy, która – z tej perspektywy, z jakiej na nią patrzymy – jest równie ludzka, co chrześcijańska i równie chrześcijańska, co ludzka. Nie ma też w tym stwierdzeniu – a przynajmniej nie chciałbym, aby tak je rozumieć – bezkrytycznego stosunku do tego, jak wypadły w czasach nowożytnych wzajemne relacje Kościoła i prądów, z których bierze początek formuła praw człowieka i obywatela. Jeżeli podkreślam tę szczególną rodzimość sprawy dla chrześcijaństwa, to kierują tym inne powody i inny wzgląd. Potrzebne i uprawnione wydaje się odkrywanie własnej, chrześcijańskiej perspektywy spojrzenia na prawa człowieka. Ale jeszcze bardziej potrzebne wydaje mi się zastanowienie nad tym, na ile ta sprawa, sprawa praw człowieka, jest znacząca w samym chrześcijaństwie, jakie jest w nim jej miejsce. Sądzę, że jest to pytanie istotne – i jedno z najbardziej centralnych – dla współczesnej samoświadomości chrześcijańskiej.

Odwiecznym własnym terenem chrześcijaństwa nazywam obszar pytań podstawowych: kim jest człowiek i jaka jest jego relacja do Boga, a jaka do innych ludzi i co znaczy wiara, nadzieja i miłość. Czym się każe kierować i wobec czego wymaga respektu. Nie są to pytania obce tematowi. U samych bowiem korzeni sprawy, którą określamy dziś jako problemy praw człowieka, leży kwestia zasadnicza, czy człowiekowi przysługują pewne niezbywalne i nienaruszalne prawa, które nie zostały mu nadane przez władzę i zbiorowość, lecz które posiada z samej tej racji najprostszej, że jest człowiekiem.

Od razu trzeba wszakże w rozpatrywaniu problemu przekroczyć pewną pozorną linię demarkacyjną – wprowadzić zaznaczającą rzeczy najzupełniej podstawowe, lecz zbyt wąsko zakreślającą pojmowanie praw człowieka – jaką stanowiłoby rozumienie ich

jedynie jako narzędzia ochrony jednostki. W pojęciu praw człowieka zawiera się także pewien kanon ładu społecznego, ładu, w którym w imię dobra wszystkich i na rzecz rozwoju społecznego prawa człowieka będą szanowane. Człowiek jest egzystencją wcieloną i jest to zależność zarówno biologiczna, jak i społeczna. Ochrona jednostki, która nie byłaby jednocześnie konstytutywnym elementem ładu społecznego, jest właściwie nie do pomyślenia, a próba oparcia się wyłącznie na prawnym zagwarantowaniu uprawnień jednostkowych stanowiłaby rękojmię zawodną, tracąc ponadto ze swego pola – istotne również z punktu widzenia praw człowieka – wymagania sprawiedliwości społecznej. W porządku życia społecznego rzecz sprowadza się zwykle do tego, w którym punkcie, a także w jakim stopniu, przeważa się szala w stronę uprawnień jednostkowych lub obowiązków zbiorowych; z personalistycznego zaś punktu widzenia przede wszystkim do tego, w jakim sensie i w jakiej mierze porządek społeczny respektuje i zarazem wyzwała osobowe możliwości człowieka – człowieka uczestniczącego, żyjącego w społeczeństwie.

Określenie „możliwości osobowe” wprowadza do rozumienia praw człowieka trzeci jeszcze element. Można wyliczyć na papierze uprawnienia człowieka i będą one pozostawać martwą literą nie tylko w społeczeństwie, w którym są wprost zakazane, lecz i w społeczeństwie uformowanym przedmiotowo, w którym wzrost tego wszystkiego, co człowiek nosi w sobie potencjalnie jako osoba, ale co musi zdobywać i rozwijać przez uczestniczące i odpowiedzialne życie, zastąpiony zostaje bezbarwną, zniścizną kulturą i wdrożonym poprzez wychowanie i społeczną tresurę samoograniczeniem człowieka, sprowadzonego do roli jednostki, ale jednostki – trybu społecznej maszyny, w zbiorowości, w której istnieją masy, ale nie istnieje społeczeństwo. Prawa człowieka w ich rzeczywistym wymiarze są zapisem uprawnień, który wymaga pola możliwości zostawionego świadomej odpowiedzi człowieka, odpowiedzi realizującej jego własny rozwój osobowy i podmiotowość społeczeństwa.

Na pytanie, co leży u samych podstaw praw człowieka i co je uzasadnia – teoria umowy społecznej i oświeceniowa filozofia prawa natury, z której wyrosła później Deklaracja praw człowieka i obywatela, szukała odpowiedzi w przyrodzonych prawach gatunku ludzkiego. Odrzucając skrupowania stanowe, dawała w ten sposób rzecz ważną – uzasadnienie wolności obywatelskiej i równości wobec prawa, nie troszcząc się jednak o więcej; rozumowi poznającemu przyrodę przyznawała moc ogarnięcia również do końca praw rządzących losem ludzkim i pokierowania nim. Pozytywizm prawny traktuje prawa człowieka jako zapis prawa stanowiącego, będący odpowiednikiem poziomu cywilizacyjnego i prawnego. Marksizm, jako teoria, przesuwając całą sprawę na grunt historycznego rozwoju sił wytwórczych i stosunków społecznych, a prawa podporządkowuje zasadzie rewolucyjnego przeobrażenia społeczeństwa. Można by doszukiwać się prób odpowiedzi w każdym z kierunków myśli – dawnej i także najbardziej współczesnej, tej, która podejmowała ten problem wprost, i tej, która zajmuje się nim tylko pośrednio, albo go wręcz odrzuca; wszystko to jednak prowadziłyby do rozważań innego rzędu, do roztrząsania samej koncepcji człowieka. Chrześcijaństwo, ujmując człowieka jako osobę, osobę stworzoną przez Boga na Jego obraz, wolną i odpowiedzialną, wywodzi godność i prawa człowieka z tego źródła; z wyjątkowej pozycji człowieka w naturze, której jest on częścią i którą równocześnie przekracza. Niezbywalność i nienaruszalność zasadniczych praw człowieka zawarta jest więc według chrześcijaństwa w najgłębszej tajemnicy jego bytu.

Chrześcijaństwo nie jest jednakże jedną z możliwych teorii. „Sednem religii jest przeżycie wartości [...]. Duchowy i etyczny składnik ludzkiej osobowości, dążenie człowieka do absolutu – najpełniejszy wyraz znajduje w religii. Jeśli ludzkość usunie z pamięci doświadczenie religijne, które trwa od tysięcy lat, to nie zdoła odkryć nowych wartości, które pozwoliłyby zbudować świat na miarę człowieka, świat, w którym chciałoby się żyć”<sup>2</sup>. Doświadczenie

<sup>2</sup> Kard. Franz Koenig w odczycie pt. „Społeczeństwo godne człowieka” wygłoszonym na Tygodniu Filozoficznym w Salzburgu w 1976 r.

religijne, to doświadczenie, z którego wywodzi się chrześcijaństwo, i to, którym samo chrześcijaństwo jest, wpisało w rzeczywistość losu ludzkiego pewien nieodwracalny rys: miarę godności człowieka. Można nie podzielać koncepcji chrześcijańskich, ale nie można zaprzeczyć, że właśnie doświadczenie religijne wniosło i utrwaliło w powszechnej ludzkiej świadomości wartość, która jest jak kośćcion, o jaki prawa człowieka mogły się oprzeć; nie można zaprzeczyć, że swym stanowczym obstawaniem przy tym, iż jest coś ponad mną i powyżej mnie, a także coś we mnie, co jest niezniszczalne, co nie może być zagarnięte i przymusem poddane podporządkowaniu – doświadczenie religijne stworzyło podstawy wolności wewnętrznej, która stanowi rdzeń kultury.

Mało kto z nas potrafi mówić o znaczeniu tego religijnego doświadczenia językiem świeżym. Najlepiej sięgnąć do źródła. Na kartach Starego Testamentu, ksiąg przepięknych, choć trudnych i zawiłych, znajdujemy mądrość objawiającą człowiekowi przy całym jego oporze tajemnicę Boga Jedyne, która ma być przechowana i przekazana. I ciągle natykamy się na coś, co jest jak głos powstrzymujący rękę Abrahama nad głową Izaaka, a co jest zatrzymywaniem się nawet Boga przed tym, co w człowieku najgłębsze, intymne, niezniszczalne. Coś, co wraz z tajemnicą Boga przekazuje dziedzictwu religijnemu tajemnicę człowieka, respektując w człowieku raz dane mu prawo wewnętrznej wolności. Ewangelie, jak żadna inna przed nimi księga, związały miłość Boga z miłością człowieka. Miarą ostateczną jest sam Chrystus. Jego nauka i ofiara. Ukrzyżowanie to również braterstwo – pisał Malraux. Wierzmy, że odkupienie jest czymś więcej niż aktem braterstwa; chrześcijaństwo nie jest tylko jednym z humanizmów, a poczucie równości wobec Boga, choć zarodkowo służyło równości w ogóle, jest czymś innym niż równość w porządku życia publicznego. Ale to, co dokonywane jest w perspektywie Boga, nie traci znaczenia w perspektywie człowieka, tak jak chrześcijanie pierwszych wieków dali świadectwo

nie tylko swej wierze. Dali też świadectwo sprzeciwu, płynącego z wolności wewnętrznej, przysługującej każdemu człowiekowi, gdy gotowi wszystko wypętnać, odmawiali jednego: oddawania cesarzowi tego, co Boskie. Wreszcie niemałe znaczenie ma także i to, o czym chrześcijaństwo nie zapominało, a co J.B. Metz starał się niedawno w jednym ze swych szkiców ukazać jako pamięć cierpienia, będącą częścią historii ludzkiej wolności; pamięć cierpienia, która należy do „historii zbawienia będącej historią świata, w której przyznaje się miejsce nadziejom i cierpieniom, słabym i zepchniętym” i „gdzie zwyciężonym i zapomnianym możliwościom ludzkiej egzystencji nadaje się sens, którego nie odwoła i nie zniesie bieg przyszłej historii”<sup>3</sup>.

To wszystko tylko zarysowuje wymiary, w jakich chrześcijaństwo ujmuje sprawę człowieka, jego godności i praw. Trzeba ostrożnie podejmować ryzyko wypowiedzania się o tym, co jest, a co nie jest chrześcijańskie w ludzkich postawach i działaniu. Jednakże przeprowadzenie ostrej linii granicznej wobec pewnych zjawisk jest koniecznym elementem samoświadomości chrześcijańskiej. Dotyczy to sprzeczności pomiędzy chrześcijaństwem, samą jego istotą, a wszelkim totalitarnym dążeniem do omnipotencji, które w ostatecznym sensie zwraca się przeciw samej zasadzie wewnętrznej wolności ludzkiej. Prawa człowieka zakreślają tę granicę. Chrześcijanin może walczyć o nie lub służyć ich realizacji w różny sposób. Nie może tylko jednego: tam, gdzie istnieje przygniecenie wolności i godności ludzkiej i gdzie człowiek przeciw temu się prostuje – pozwalać sobie na gest Piłata.

Obowiązkiem wobec prawdy jest przyznać, że wszystko, co mówiliśmy o samej istocie chrześcijaństwa, w różny sposób przejawiało się w jego historycznym istnieniu w ciągu wieków. Nie można rzutować wstecz naszego pojmowania wolności w życiu publicznym i naszych pojęć o prawach człowieka, ponieważ to pojmowanie jest wynikiem całego procesu

<sup>3</sup> J.B. Metz, *Zukunft aus dem Gedächtnis des Leidens* (Pamięć cierpienia), „Concilium” 1972, z. 6/7.

historycznego. Nie można jednakże pomijać faktu, że historia wolności ludzkiej kształtowała się również w pewnych okresach przeciw chrześcijaństwu. „Pierwsi chrześcijanie – pisze Leclercq – dobrze czuli, że przyjmując chrześcijaństwo, zrywają z konformizmem społecznym. Nawet dzieci urodzone w rodzinach chrześcijańskich musiały zdawać sobie sprawę, że będąc chrześcijanami, różnią się od otoczenia. Tak było przynajmniej do czasu ustania prześladowań. Dzień, w którym to, że się jest chrześcijaninem, zaczęło dawać jakieś ludzkie korzyści, np. ułatwiało zdobycie stanowiska, musiał stać się punktem zwrotnym w świadomości wierzących. Niewątpliwie nikt tego wówczas nie zauważył. Ale jedno lub dwa pokolenia później wspólnota chrześcijańska zmieniła swój styl życia” [...] „Przyszedł dzień, gdy cesarze stali się chrześcijanami [...]. Władza państwowa występuje w służbie Kościoła i dla wszystkich jest oczywiste, że chrześcijański władca winien w miarę możliwości pomagać Kościołowi. Uchodzi zaś uwadze współczesnych prawie zupełnie, że państwo, oddając się w służbę Kościołowi, w nieunikniony sposób opanowuje go, choćby tylko przez fakt przypisania sobie prawa do decydowania o tym, gdzie jest prawdziwy Kościół”<sup>4</sup>. Nie będę nawet próbował analizować tych obszarów historii – historii Kościoła pokonstantyńskiego, jak się to dziś określa, rozciągając to pojęcie dość daleko – zwrócę tylko uwagę na współwystępowanie i splatanie się w niej i tego, co było kształtowaniem – w ówczesnym tego pojęcia rozumieniu – dobra wspólnego, a także łagodzeniem obyczajów, wprowadzaniem *Treuga Dei*, świadczeniem azylu, oświecaniem i podnoszeniem człowieka; i tego, co przez identyfikację prawdy z prawem do samego istnienia w życiu publicznym prowadziło do stosów, prześlado-

wań innowierców i formułowało urągającą swobodzie sumienia zasadę *cuius regio, eius religio*. Notabene przeniesieniem w nasze czasy tej zasady usiłują być próby wyciągania podobnych konsekwencji z ideologicznego podziału świata.

Z punktu widzenia historii praw człowieka w nowożytnym ich rozumieniu, jako praw wolnościowych i obywatelskich, praw człowieka i obywatela, decydujące jest rozszczępienie między prądami, pod których wpływem to pojęcie się kształtuje, a tym, co reprezentuje ówczesny Kościół. Przestanki tego konfliktu są dwojakie: polityczne, jako sprzeczność między sojuszem ołtarza i tronu z jednej strony a tymi przemianami społecznymi, które niosła rewolucja francuska – z drugiej, oraz doktrynalne: pomiędzy katolicyzmem nastawionym zachowawczo a oświeceniowym wybuchem wiary w nieograniczone możliwości rozumu i liberalną koncepcją człowieka. Z innych, lecz także i z podobnych względów, konflikt ten rozszerzy się później na stosunek do rodzących się ruchów socjalistycznych. W konsekwencji tego konfliktu, który stał u początków nowożytnej koncepcji praw człowieka i obywatela, konfliktu sięgającego głęboko, Kościół potraktuje ówczesne prądy wolnościowe jako działalność wywrotową, skierowaną przede wszystkim przeciw religii, Bogu i Kościołowi. A z kolei reprezentantom tych prądów i całej późniejszej tradycji laickiej chrześcijaństwo przedstawiać się będzie jako doktryna obskurancka i antywolnościowa. Trzeba było długiej drogi, znaczonej niejednym dramatem myśli i postaw chrześcijańskich, aby ta przepaść mogła zostać z obu stron przekroczona. Ważne do odnotowania jest i to, że nie są to sprawy dziś ukrywane i przemilczane<sup>5</sup>. Droga od potępień i negacji do sformułowania, które mówi, iż „rozwoj

<sup>4</sup> J. Leclercq, *Katolicy i wolność myśli* (La liberté d'opinion et les catholiques), wyd. polskie Znak, Kraków 1964.

<sup>5</sup> „Nie we wszystkich okresach historii Kościoła myśl i działanie z dostateczną jasnością i energią broniły praw człowieka i popierały ich rozwój. Dziś Magisterium i działanie Kościoła w dziedzinie praw człowieka są ważnym czynnikiem. We wspólnym dążeniu do pełnego potwierdzenia podstawowych praw każdej istoty ludzkiej religijny i ludzki wkład Kościoła jest doceniany i pożądany przez społeczność świecką. Uczciwość jednak wymaga przyznania, że w ciągu wieków sytuacja nie zawsze tak się przedstawiała. Historyczny proces potwierdzania praw człowieka w społeczności świeckiej, a także kościelnej był w pewnych wiekach hamowany przez postawy i struktury instytucjonalne, które powodowały trudności. W postawie Kościoła wobec praw człowieka na przestrzeni ostatnich dwóch stuleci są dobrze znane trudności, zastrzeżenia, a nieraz opór strony katolickiej wobec potwierdzania i rozpowszechniania deklaracji praw człowieka proklamowanych



praw człowieka jest nakazem Ewangelii i musi przeto zajmować centralne miejsce w działalności Kościoła<sup>6</sup>, jest zaskakująca, jeśli patrzeć na nią jakby z lotu ptaka, ponad tym, co się dokonywało stopniowo; staje się bardziej zrozumiała i naturalna, jeśli przejdzie się – choćby myślowo – przez czasy, w których ta droga się dokonywała, przez dręczące problemy ludzkości, na jakie Kościół starał się odpowiadać, przez dojrzejące w nim zrozumienie współczesnych kwestii społecznych, przez sprzeciw wobec totalizmów, przez grozę wojen światowych i poprzez własne odkrycie potrzeb świata pokolonialnego. Jest też owa droga bardziej zrozumiała, jeśli się pamięta, że proces ten nie był tylko jednostronny. Zbyt łatwy optymizm wiary w rozum i postęp w świetle tych wszystkich doświadczeń także musiał podlegać korekturze, musiał docenić mądrość spojrzenia dostrzegającego w człowieku to, co kruche; oto pojawiły się sytuacje, w których religia nie była „opium dla ludu”, lecz ostoja jego wolności, gdy wszystko inne zawodziło.

Trudno jednak nie uznać, że w naszych czasach dokonał się w stanowisku Kościoła zwrot i przełom. *Magna Charta* chrześcijańskiego ujęcia praw człowieka – to encyklika Jana XXIII *Pacem in terris*. A potem Sobór, zwłaszcza dwa jego dokumenty w istotny sposób sprawy tej dotyczące: Deklaracja o wolności religijnej i Konstytucja duszpasterska o Kościele w świecie współczesnym. Dokumenty te oraz późniejsze elementy wypowiedzi odnoszących się do praw człowieka, zawarte w wystąpieniach i encyklikach Pawła VI (*Populorum progressio*), a także w wystąpieniach Synodów Biskupów – jakby rekapitułuje opracowanie pt. *Kościół i prawa człowieka* dokonane w 1975 r. na zlecenie Pawła VI przez Papieską Komisję *Iustitia et Pax*. „Aktualna sytuacja w świecie

– mówi ono – stawia poważne problemy i skłania do poważnego zastanowienia. Nawet powierzchowne i pobieżne badania pokażą nam, że systematyczne gwałcenie praw osoby ludzkiej dokonuje się w coraz liczniejszych krajach i wspólnotach. Dyskryminacja rasowa i narodowa, poddanie przemocą większości pod władzę mniejszości, prześladowania intelektualistów-dysydentów, torturowanie cielesne i umysłowe, brutalność i terroryzm skierowane przeciw bezbronnym populacjom; pozbawianie – również gwałtem – wolności religijnej, upowszechnianie i legalizacja przerywania ciąży, wyzysk cudzoziemskich robotników, skrajne ubóstwo, głód i analfabetyzm, których ofiarami są wielkie wspólnoty ludzkie – stanowią (a są to tylko niektóre z nich) dowody, że prawa człowieka są łamane w wielu miejscach świata ze szkodą jednostek i grup”. Toteż dokument stwierdza dalej: „Jeżeli my, chrześcijanie, chcemy być twórcami pokoju i harmonii między ludami, nie możemy być niewrażliwi na tak poważne, a często systematyczne gwałcenie praw człowieka, i musimy przejąć się trwaniem i pogłębieniem się takich sytuacji”<sup>7</sup>.

Duch, w jakim mówi się w tych dokumentach o prawach człowieka – i w jakim wzywa się Kościoły lokalne i chrześcijan jako obywateli do refleksji i działania – jest dziś inny niż dawniej, choć opiera się o te same zasady. Na czym polega ta trwałość i ta zmiana?

Perspektywa patrzenia na wolność i prawa człowieka była i pozostaje zawsze w chrześcijaństwie związana z pewną wizją ładu moralnego, w jakiej ujmuje ono człowieka. Gdy rozpatruje się rzecz w kategoriach powinności moralnych, chodzi nie tylko o wolność „od”, lecz przede wszystkim o wolność „do”. Tę trwałą i starą zasadę występującą w chrześcijaństwie trafnie zinterpretował Mounier, mówiąc o wolności

przez liberalizm i laicyzm. Wielkie przemiany spowodowane przez nowe ideały wolności, postępu i obrony praw człowieka i obywatela, głoszone przez oświecenie i rewolucję francuską; laicyzacja społeczeństwa będąca reakcją na klerykałizm; pilna potrzeba stawiania oporu obojętności religijnej, naturalizmowi, a przede wszystkim totalitarizmowi i antyklerykalnemu laicyzmowi, liberalnemu w założeniach, lecz agresywnemu wobec Kościoła i wszystkich form religii, skłaniały papieży do zajmowania postawy ostrożnej, negatywnej, nieraz zaś wrogiej i potępiającej” (*Kościół i prawa człowieka*, dokument Komisji *Iustitia et Pax*, 1975, tłum. z oryginału włoskiego S. Bakinowski).

<sup>6</sup> Orędzie Synodu Biskupów z 1974 r.

<sup>7</sup> *Kościół i prawa człowieka*, dokument Papieskiej Komisji *Iustitia et Pax*, 1975.



zobowiązania, o tym, że osoba ludzka realizuje się nie w powstrzymaniu, lecz w zobowiązaniu, w dawaniu, w wolnym i świadomym zaangażowaniu.

Otóż we wszystkich przytoczonych tu wypowiedziach Kościoła na temat praw człowieka akcent kładzie się równolegle i na obowiązki człowieka, które tym prawom odpowiadają. Nie ma to wprawdzie nic wspólnego z tym, co straszło nas w nie tak dawnym okresie (myślę o dyskusji o konstytucji), z próbą uzależniania praw zasadniczych w życiu publicznym od dowolnej interpretacji wypełniania przez obywatela jego obowiązków. Tym niemniej jest to akcent znamienity i istotny. Wynika on zarówno z funkcji wychowawczej i moralnej Kościoła, jak i z samej zasady, że prawa każdego człowieka są ograniczone takimi samymi prawami innych i że ład zbiorowy musi opierać się o poszanowanie tego faktu. Mówi więc też Kościół wyraźnie i poucza o obowiązkach wobec państwa.

Dopóki mówimy o zasadach, wszystko jest jasne i proste. Wiadomo jednak, że w społeczeństwach, gdzie występują nierówności praw i konflikty społeczne, pojęciem dobra wspólnego można petryfikować niesprawiedliwą strukturę społeczną albo potwierdzać sytuację, w której państwo nie wypełnia swych obowiązków wobec obywateli. W sytuacji, w której *sacerdotium* nie jest złączone z *imperium*, nadużycie tej funkcji Kościoła raczej nie zachodzi. Czy jednak Kościół jest dostatecznie uwrażliwiony na to niebezpieczeństwo? Pytanie w pewnych sytuacjach nader istotne dla sumienia chrześcijańskiego. Pomyślmy o chrześcijanach w Ameryce Łacińskiej, z jej problemami społecznymi, czy np. w Czechosłowacji lub na Węgrzech, gdzie Kościół jest słaby. Nie da się na to pytanie odpowiedzieć raz na zawsze. Odpowiedź na nie zależy bowiem od tego, w jakim stopniu Kościół wypełnia równocześnie swą funkcję krytyczną, funkcję uwrażliwiania sumień i piętnowania niesprawiedliwości. Jeśli zaś chodzi o zależność praw

i obowiązków – w płaszczyźnie prawa i życia publicznego – to przypomnę w tym miejscu dwie wypowiedzi interpretujące tę zależność. We wstępie do polskiego wydania encykliki *Pacem in terris* pisał kard. Wyszyński o pokoju, „który umacnia się przez uszanowanie praw osoby ludzkiej, która o tyle może wykonać swoje obowiązki osobiste i społeczne, o tyle może działać na rzecz pokoju, o ile otrzyma możliwość korzystania ze swoich praw”<sup>8</sup>. Zaś Jan XXIII mówi w samej encyklice: „Jeżeli jakiś człowiek zaczyna uświadamiać sobie swoje prawa, to powinien również uświadomić sobie i swe obowiązki. Kto bowiem posiada jakieś prawa, powinien również mieć wpojony obowiązek domagania się poszanowania ich jako oznak swej godności. Na innych zaś spoczywa obowiązek uznania i poszanowania tych praw”<sup>9</sup>.

Pytanie inne, bardziej jeszcze doniosłe, sprowadza się do tego, czy Kościół upomina się o poszanowanie praw i wolności dlatego, że ich potrzebuje, czy ze względu na nie same. Nie trzeba – zwłaszcza w naszych warunkach – tłumaczyć, jak bardzo Kościół musi bronić swej wolności i jak dalece ta jego postawa jest obroną wolności w ogóle. Chodzi o wolność religijną, o prawa rodziny do wychowania, prawa wierzących do zrzeszania się, rozwijania kultury i wyrażania przekonań, a także o równość wszystkich obywateli oraz ich dostęp do funkcji w życiu publicznym. Obrona ta jest wszędzie obowiązkiem Kościoła. Jednakże pytanie jest istotne nie tylko ze względu na dziedzictwo teokratyzmu i klerykalizmu. Pytanie to należy także stawiać, patrząc w przyszłość, mając na uwadze solidarność chrześcijaństwa z prawdziwymi wartościami ludzkimi, a także patrząc wewnątrz wspólnoty Kościoła, mając na uwadze poszanowanie w niej ducha praw człowieka.

Jest zaś to pytanie tym bardziej zrozumiałe, że Kościół – przypominając o współzależności praw i obowiązków człowieka – tym mocniej współzależność tę zawsze podkreśla, rozpatrując stosunek człowieka

<sup>8</sup> Przedmowa do encykliki *Pacem in terris*, wydanie „Tygodnika Powszechnego” 1963.

<sup>9</sup> Encyklika *Pacem in terris*, pkt 44.

do religii. Wszystko wszakże zależy od sposobów rozumienia i realizowania tej współzależności. „Prawda nie inaczej się narzuca, jak tylko siłą samej prawdy” – mówi wspomniana tu soborowa Deklaracja o wolności religijnej, która obrazuje ewolucję stanowiska Kościoła w sprawie wolności przekonań. Podkreślając, że wszyscy ludzie „nagleni są swą własną naturą, a także zobowiązani moralnie do szukania prawdy przede wszystkim w dziedzinie religii”, stwierdza wyraźnie, że to zobowiązanie wypełniać mogą tylko „korzystając zarówno z wolności psychologicznej, jak i wolności od zewnętrznego przymusu”<sup>10</sup> – i tej wolności żąda dla wszystkich.

Sądzę, że właśnie w tym punkcie dokonuje się najistotniejsza zmiana. Można ją scharakteryzować jako przejście od obrony religii i Kościoła do obrony praw człowieka. Nie umniejsza to wagi przywiązywanej do wolności religii i do wolności działania Kościoła, ale sprawę tę inkorporuje się w obronę praw człowieka w ogóle. Potwierdza taki sąd dokument Papieskiej Komisji Iustitia et Pax o Kościele i prawach człowieka. Czytamy w nim: „Wśród tych wszystkich tragedii (mowa o wydarzeniach, przez które przeszła ludzkość, zwłaszcza w ciągu ostatnich dwóch stuleci) Kościół uznał nie tylko prawa człowieka, lecz również to, że

sama wolność ludzka jest związana z respektowaniem nienaruszalnych praw osoby ludzkiej. W *Gaudium et spes* Kościół świadomy tego, co sam dał światu, uznał korzyść i pomoc, jakiej doznał od historii i rozwoju rodzaju ludzkiego, oraz przyznał, że on sam musi stale nabywać dojrzałości w realizowaniu swoich stosunków ze światem, korzystając z doświadczenia wieków. Na koniec zaś, Kościół rozszerzył swoje działanie w obronie chrześcijaństwa – w obronie swych własnych praw i praw swoich członków – na obronę całej społeczności ludzkiej, broniąc praw wszystkich ludzi, opartych o wspólną wszystkim naturę ludzką i prawo naturalne”<sup>11</sup>.

Myślę, że motywy obrony praw człowieka, uniwersalna i solidarna z innymi ludźmi perspektywa patrzenia i angażowania się w tę obronę, pozostawać muszą podstawowym składnikiem wrażliwości chrześcijańskiej. Chodzi o dawanie świadectwa temu, o czym mówiły pierwsze zdania wielkiego wezwania i wyznania Soboru: „Radość i nadzieja, smutek i trwoga ludzi współczesnych, zwłaszcza ubogich i wszystkich cierpiących, są też radością i nadzieją, smutkiem i trwogą uczniów Chrystusowych; i nie ma nic prawdziwie ludzkiego, co nie miałyby oddźwięku w ich sercu”<sup>12</sup>.

## GŁOS W DYSKUSJI

Będę się zajmował nie tyle stosunkiem chrześcijan czy chrześcijaństwa do samych praw człowieka, bo o tym mówiłem w referacie otwierającym sesję, co stosunkiem do rewindykacji tych praw\*. I to nie w ogóle, lecz w odniesieniu do warunków naszych, polskich. Stosunkiem do tego procesu, który uważam za tak ważny i nieuchronny. Punktem wyjścia jest dla mnie to stwierdzenie mego referatu, że chrześcijanin może

w różny sposób walczyć i służyć prawom człowieka, nie może natomiast jednego: tam, gdzie wolność i godność ludzka jest uciskana i gdzie toczy się walka o prawa człowieka, pozwalać sobie na gest Piłata.

Nie zamierzam więc nikomu niczego narzucać jako wyłącznie właściwego podejścia, chcę natomiast zwrócić uwagę na kilka spraw, które i z chrześcijańskiego, i z ludzkiego punktu widzenia uważam za

<sup>10</sup> Deklaracja o wolności religijnej *Dignitatis humanae*, wyd. w zbiorze *Sobór Watykański Drugi – Konstytucje, dekryty, deklaracje*, Paryż 1967.

<sup>11</sup> *Kościół i prawa człowieka*, dokument papieskiej Komisji Iustitia et Pax, 1975.

<sup>12</sup> *Gaudium et spes. Konstytucja duszpasterska o Kościele w świecie współczesnym*.

\* Tekst przedrukujemy za tomem: *Chrześcijaństwo wobec praw człowieka. Sesja odbyta w KIK w Warszawie w dniach 8-16 listopada 1977 roku*, Paryż 1980 (red.).

istotne, tyżące się stosunku do tego procesu rewin-dykacji praw obywatelskich i ludzkich.

I. Sprawa pierwsza: przewyżczenie – w stosun-ku chrześcijan do tego procesu rewin-dykacyjnego – czegoś, co bym nazwał myśleniem zastonowym czy postawą zastonową.

Wyjaśniam, o co mi chodzi: podczas tej sesji była mowa, że tak jak Chrystus nie był Mesjaszem poli-tycznym, tak i Kościół nie jest – nie powinien być – Kościołem politycznym, a więc albo Kościołem władzy, albo Kościołem opozycji politycznej. Jest to słuszne. Kościół idzie i musi iść swoją drogą. Stanowiska, po-stulaty, akty w określonych sprawach wychodzące od Kościoła i od różnych grup ludzi walczących o prawa człowieka mogą okazywać się zbieżne, ale identyfi-kacja jest niemożliwa, bo Kościół – z istoty swej – ma własne, odmienne, ponadpolityczne cele. Tu nie może być ani nieporozumień, ani złudzeń.

Ale... czy znaczy to, że od Kościoła – jako instytucji – nie można czegoś oczekiwać? I że nie można cze-goś oczekiwać od chrześcijan nie tylko jako członków pewnej wspólnoty, lecz jako obywateli społeczności?

Co zatem nazywam „myśleniem zastonowym”? Po-dam najpierw za przykład pewien tekst. Tekst, który ukazał się w jednym z naszych pism, autorstwa kogoś, kogo cenię, ale tekst ten posłuży mi za egzemplifika-cję tego, co nazywam „myśleniem zastonowym”. Tekst ów brzmi następująco: „Człowieczeństwo pojmo-wane jako znak sprzeciwu zmienia świat. Ale nie należy sprowadzać tego znaku do bycia działaczem, usiłu-jącym zmieniać społeczno-polityczne struktury. Cele działacza są bliskie, niejako pod ręką, i nie domagają się łaski, lecz siły. Dokonywane przez niego zmiany nie sięgają zbyt głęboko. Chrystus nie zmieniał struk-tur politycznych, uczył patrzeć dalej, w nieskończo-ność łaski. Chrystus nie jest znakiem politycznego sprzeciwu; Jego sprzeciw jest głębszy, stale mówił On o Królestwie Bożym, które w żadnym wypadku nie jest strukturą polityczną. Jezus przeciwstawił się światu na innej płaszczyźnie, nie broniąc swojego Królestwa, lecz je proponując. Gdyby był przeciwsta-wiał się strukturom świata defensywnie, stworzyłby był z Kościoła opozycję strukturalną, na miarę poli-

tycznych struktur świata. Bardzo często mylimy tę właśnie strukturalną opozycję ze »znakiem sprzeci-wu«, podczas gdy być tym znakiem, wydaje się, znaczy tak być, aby całe nasze jestestwo było komunią z cierpiącymi”.

Rozumowanie takie budzi we mnie zarówno afir-mację, jak i sprzeciw. Afirmację – bo istotnie i absolut-nie Chrystus jest znakiem innego sprzeciwu, Kościół musi być znakiem innego sprzeciwu i chrześcijanin – także chrześcijanin w polityczne życie wchodzący, w nie uwikłany – musi nosić w sobie znak tego inne-go, głębszego sprzeciwu, bez tego bowiem nie jest chrześcijaninem.

I to afirmuję. Ale jak powiedziałem, rozumowanie to budzi również mój sprzeciw. Bo co zrobić, jeśli tak pięknie sformułowany postulat, że „aby być tym zna-kiem, wydaje się, znaczy tak być, aby całe nasze jeste-stwo było komunią z cierpiącymi” – jeśli – to piękne i zasadnicze zadanie – nie da się podjąć inaczej – jeśli w ogóle ma coś znaczyć – niż przez zanurzenie się w rzeczywistość tego świata, niż przez świadectwo, które oceniane być musi jako świadectwo polityczne i które w istocie swej będzie świadectwem i zaangażowaniem się także politycznym. Politycznym – nie w zna-czeniu gry, lecz w znaczeniu moralno-politycznym.

Sprzeciw mój kieruje się więc nie wobec tego, co zostało tu napisane, lecz wobec tego, czego w tym rozumowaniu nie ma, co nie jest weń wmontowane, a co w praktyce staje się unikiem moralnym i właśnie „rozumowaniem zastonowym”.

Była na niniejszej sesji mowa o tym, że Kościół, nie będąc Kościołem politycznym, musi wypełniać swą funkcję krytyczną i uwrażliwiającą. Mówią o tym nowe poszukiwania teologiczne. Zgoda, gdy chodzi o Kościół – ale gdy chodzi o chrześcijan w ich działaniu obywatelskim, o katolickie środowiska, o poszczególnych ludzi? Otóż „rozumowaniem za-stonowym” nazywam zastanianie się Kościołem w od-powiedzi na to pytanie, które jest także pytaniem moralnym.

Myślę, że jest to problem szczególnie ważny, szcze-gólnie istotny dla chrześcijan żyjących w sytuacji Ko-sciół silnego, w takiej jak nasza.

Możemy jako katolicy w naszym kraju być dumni z tego, że w ciągu ostatnich 30 lat Kościół w Polsce stawał się praktycznie w niektórych okresach jedynym obrońcą wolności i godności ludzkiej. Że dawał tej wolności i godności azyl.

Możemy się cieszyć, że od pewnego czasu coraz wyraźniej w jego wystąpieniach na plan pierwszy wybija się nie tyle ton obrony Kościoła i jego instytucjonalnych spraw, ile ton obrony praw człowieka w ogóle. I wiemy, że ta siła Kościoła wynika po pierwsze z tego, co jest wewnątrznie w nim najistotniejsze, co jest w nim z Chrystusa. Po drugie, w aspekcie ludzkim, ze stanowiska Episkopatu. Po trzecie – z masowości Kościoła w Polsce, wraz z jego ludowością. Po czwarte – z jego żywotności, także intelektualnej, jaką potwierdził w ciągu tych 30 lat. A więc z czegoś, w czym mamy pewien udział wszyscy. Ale czy nie bywa tak, że owa siła to zasłona dla naszej własnej odpowiedzialności indywidualnej i środowiskowej? Nie zwolni nas od tej odpowiedzialności i nie załatwi za nas tego problemu kardynał Prymas i jego wypowiedzi, kardynał Wojtyła, biskup Tokarczuk i cały Episkopat. A ponadto zastanówmy się, czy nie jest to także nasze katolickie widzenie Mesjasza politycznego i Kościoła politycznego, jeśli w tym, co ma być naszą odpowiedzialnością, naszym wyborem i naszym zaangażowaniem, zasłaniaamy się, że za nas już mówi Kościół? Odnoszę wrażenie, że jest to problem, którego całą ostrość trzeba sobie uświadomić.

Gdy chodzi o płaszczyznę wewnętrzną Kościoła, to czasem myślę, że choć jesteśmy Kościołem silnym, bardzo by się nam przydało nieco więcej poczucia także własnej, indywidualnej odpowiedzialności, jaką mają chrześcijanie Kościołów żyjących w diasporze. W płaszczyźnie zaś obywatelskiej – im chrześcijanie jako obywatele są bardziej świadomi i bardziej zaangażowani w obronę podstawowych praw człowieka i praw w ogóle, tym Kościół jest mniej polityczny. Nie sądzę więc, żeby można było poprzestać na rozumowaniu w typie: tak, ale chrześcijanie u nas nie mogą się angażować, nie mają form obywatelskiego działania; wobec tego wypowiada się za nas

także i politycznie Kościół, a jednocześnie przy tym rozumowaniu powtarzać, że Kościół to przecież znak innego sprzeciwu i tym rozumowaniem załatwiać ową „komunię z cierpiącymi”.

Wiem, że jest to problem trudny, bardzo trudny i złożony, ale stawiam go po prostu jako problem naszej świadomości i postawy, ponieważ sądzę, że „myślenie zasłonowe” i „postawa zasłonowa” prowadzą do uników i mogą stanowić właśnie ów gest Piłata.

II. Sprawa druga – której przemysłenie adresuję nie tylko do katolików, ale do wszystkich, którzy walczą u nas o prawa człowieka – to sprawa, jaki zakres ma ta rewindykacyjna walka, co nią jest?

Myślę, że – podobnie jak dwie strony tego samego medalu – ten proces rewindykacji ludzkich i obywatelskich tworzą dwa zakresy działań:

– po pierwsze protest, demaskowanie nadużyć i deptania tych praw, domaganie się ich przywrócenia;

– po drugie – tworzenie czegoś, co bym nazwał społeczną infrastrukturą tych praw, a co można nazwać także tworzeniem ethosu społecznego.

Odnoszę wrażenie – może mylne, ale takie wrażenie mam, więc się nim dzielę – że tak jak dawniej, przed kilku jeszcze laty, wyobraźnia nasza nie dostrzegała możliwości protestu, tak teraz, kiedy od dwóch lat zjawiska protestu nabrały szerszego zasięgu – mówię o proteście, a nie o wybuchu, bo to inna sprawa i inne prawa społeczne nim rządzą – może nie zawsze docenia się pracę nad tworzeniem owej społecznej infrastruktury, będącej też rewindykacyjnym działaniem na rzecz praw obywatelskich i ludzkich, na rzecz tożsamości i kultury narodu, siły społeczeństwa.

W języku niemieckim i w pojęciach w nim używanych istnieje pewne rozróżnienie, którego chciałbym tu użyć: *Grundrechte* i *Grundwerte*. Otóż każde demokratyczne społeczeństwo musi dbać o jedno i o drugie. A każde demokratyczne państwo musi pierwsze (tzn. *Grundrechte*) zapewniać, a drugie (*Grundwerte*) szanować. To znaczy umożliwić różnym strukturom społecznym, Kościołom, partiom politycznym, uczelniom, pisarzom i ludziom kultury, związkom zawodowym, związkom młodzieży, wszelkim stowarzysze-



niom, rodzinom i wspólnotom, wreszcie każdemu indywidualnemu człowiekowi – swobodę dobrowolnego uczestniczenia w procesie, który owe wartości zasadnicze wytwarza i podtrzymuje w społeczeństwie.

Czym natomiast jest tworzenie owych wartości zasadniczych w sytuacji, w której prawa zasadnicze nie są szanowane, szanowane częściowo lub tylko na papierze? Jest tworzeniem – pomimo wszystko, pomimo niesprzyjających warunków – tej społecznej infrastruktury, bez której istnienia społeczeństwo staje się – lub może się stać – zmierzwione, zniżone, bez której w rezultacie nie ma społeczeństwa, choć jest masa. I bez której także wszystko inne, od najwyższych wartości duchowych po wartości materialne, ekonomiczne, po same procesy wytwarzania załamuje się, kuleje, chroma.

Użyłem pojęcia infrastruktura. Cytuję: „To, co duchowe, jest także infrastrukturą [...]. Najbardziej nawet racjonalna struktura ekonomiczna, jeżeli oparta jest na pogardzie dla zasadniczych wymagań osoby, nosi w sobie swoją własną ruinę” (Mounier).

Tworzeniem tej infrastruktury zajmowaliśmy się przez lata. Tworzy ją Kościół w sobie właściwy sposób i to jest działanie w zasięgu swym najszerze. Tworzą ją od lat pisma i środowiska takie jak nasze. Tworzą ją środowiska i indywidualni ludzie w nauce, w kulturze, tam wszędzie, gdzie jest to działanie autentyczne, prawdziwe, jeśli nawet cenzurowane i nie całkiem wolne zewnętrznie, to poczęte z wewnętrznej wolności i pozostające jej wyrazem. Takie działanie tworzy infrastrukturę.

Sumarycznie biorąc, oceniłbym ten dorobek polskiej kultury i polskiego społeczeństwa nie tylko jako coś niezmiernie cennego, lecz jako coś, czego bilans – mimo wszystko – jest dodatni; jako coś, co stanowi jednak o naszej odmienności sytuacyjnej w stosunku do innych krajów tego obozu, co jest podstawą ocalenia naszej tożsamości.

Ale – nie muszę przekonywać – i zagrożenia są wielkie i niepokojące. Chodzi dzisiaj nie tyle o inkulturację ideologiczną społeczeństwa, co o depolityzację, o bierność, o to, co nazywam zniżaniem. Po wtóre – jak już mówiono, a co wymagałoby osob-

nej analizy – skład, charakter, ethos społeczeństwa wskutek różnych czynników: i tych, które wynikają z przyczyn politycznych, i tych, które wynikają z przyczyn cywilizacyjnych, uległ i ulega zmianie. W tej sytuacji tworzenie owej społecznej infrastruktury, budzącej i podtrzymującej wartości, kształtującej ethos oraz podtrzymującej i rozwijającej naszą tożsamość jest sprawą zasadniczą.

Pan Szulczyński postawił tu w jednej z dyskusji na naszej sesji pytanie, co mamy robić na rzecz praw człowieka. Mówił o tym, że pojawiły się nowe formy walki o te prawa, że nie wszystkim one odpowiadają, ale że każdy musi sam sobie odpowiedzieć na to pytanie.

Nie zamierzam sugerować recept ani dzielić ról, ponieważ zresztą uważam, że są one podzielne i niepodzielne. Chcę tylko przy szukaniu tych odpowiedzi zwrócić uwagę na fakt, że np. infrastrukturą jest także to, co się dzieje wychowawczo, np. w życiu rodziny. Ale nie wtedy, kiedy jest to wychowanie z założenia wycofujące się ku prywatyzacji życia. Myślę, że jest tu coś do zrobienia, ażeby ten trend ku prywatyzacji odwracać, odnawiać ethos obywatelski w wychowaniu. Wiem, że nie są to sprawy łatwe, że każdy z nas staje przed bardzo trudnymi decyzjami, ale są to sprawy do przemyślenia. Mówiono też w dyskusji, że niedobrze jest, kiedy człowiekowi w działaniu, zwłaszcza w kulturze, pozostaje albo konformizm, albo heroizm. Rzeczywiście, nie jest dobrze. Czasem wszakże tego wyboru nie da się uniknąć. Rzecz polega jednak na tym, aby przy tworzeniu ethosu społecznego oraz w procesie rewindykacji poprzeczka wymagań, stawianych człowiekowi żyjącemu normalnym, zwykłym życiem, ustawiana była właściwie. Nie za nisko i nie za wysoko.

Stąd także wynika w moim przeświadczeniu waga widzenia w tym działaniu wzajemnego związku tego, co jest protestem i tego, co jest tworzeniem owej infrastruktury społecznej. Nastawienie na protest bez kontynuacji tworzenia tej infrastruktury społecznej – to jeden ekstrem, ekstrem – że tak powiem – izolacjonistyczny. Nastawienie na tworzenie infrastruktury społecznej bez widzenia zjawisk nowych i bez



uznawania konieczności także i protestu – to drugi ekstrem, ekstrem polegający na statycznym widzeniu zjawisk, ekstrem niezauważający, że pociąg już pojechał dalej.

III. Sprawa trzecia i ostatnia, którą chcę porużyć. Mówiliśmy i mówimy tu o prawach człowieka. Obywatelskich prawach człowieka, ale prawach człowieka. Chcę położyć akcent na oba te słowa: prawa i człowiek.

W wielu referatach i dyskusjach mówiono o tym, z różnych stron ten problem naświetlając, do czego prowadzi relatywizacja człowieka. Relatywizacja wartości. Stanisława Grabska mówiła wczoraj, że człowiek jest *sacrum*; Jedlicki mówił o owej małej, mojej własnej niepodległości, którą muszę zachować; Strzelecki pokazywał, jak to się działo, że ruch, który u samych zasad podniósł tak bardzo walkę o społeczne prawa człowieka, przez pewną filozofię życia publicznego prawom człowieka wolnego i uczestniczącego społecznie zaprzeczył. Nie będę tego wątku dalej rozwijał. Myślę, że zgadzamy się, iż gdzieś u dna leży problem niesłuchanie istotny, problem, o którym tu dzisiaj mówił Jerzy Turowicz, podkreślając wspólną, personalistyczną w najszerszym znaczeniu tego słowa, podstawę szanowania człowieka. I przeciwieństwo tego stanowiska – problem relatywizacji człowieka.

Istnieje też problem relatywizacji prawa. Wspominał o tym Jakub Karpiński i Jolanta Strzelecka. Znów zagadnienia nie rozwijam, tylko z punktu widzenia tej rewindykacyjnej walki – bo tego pragnę się trzymać – chcę powiedzieć, że przeciwdziałanie relatywizacji prawa jest czymś podstawowym. Istnieje problem prawa słusznego. Przeciw prawu niesłusznemu trzeba walczyć, trzeba je zmieniać. Ale istnieje także problem, o którym przed chwilą mówił Adam Stanowski, czy prawo jest prawem, czy przywilejem udzielanym lub nieudzielanym obywatelowi. Wychowanie społeczne, kultura polityczna jest odzyskiwaniem poczucia praw. I wymaganiem od władzy szanowania praw oraz traktowania ich jako praw, a nie jako przywilejów. Dotyczy to tego, co wynika z Paktów, które Polska ratyfikowała.

Wszystko to, co tutaj mówimy, mówimy wszakże nie na księżycu ani w sferze idealnych pragnień, ale pamiętając o twardych realiach warunków politycznych i geopolitycznych, w jakich żyjemy. I wiemy, że rewindykacja tych praw nie dokona się prosto, bezkonfliktowo i łatwo. Jan Strzelecki wypowiadał swoje *ceterum censeo*; Jedlicki zachwalał zasadę mądrych kompromisów. Więc pozwólcie, że ja także na koniec tej wypowiedzi dodam coś jeszcze o *ceterum censeo* i o kompromisie.

„Jest taka partia!” – wykrzyknął Lenin, kiedy pytano, kto ma program realizacji rewolucji w Rosji. I od tego czasu rządzące partie komunistyczne powołują się na to zdanie, z którego wywiodły zasadę, że istnieje tylko jeden program, jedna oficjalna myśl, ba – jedna oficjalna wersja troski o to, co jest dobre dla społeczeństwa, narodu, państwa.

Otóż chciałoby się powiedzieć – bez żadnej złośliwości ani ironii – jest taki naród, który nie oczekuje i nie żąda rzeczy niemożliwych, który – posądzany o niepoohamowany romantyzm – w ciągu tych 30 lat dowodził w ciężkich i dramatycznych chwilach, że wie, gdzie w istniejących warunkach jest granica możliwego i niemożliwego. A posądzany o skłonność do jałowego anarchizmu, zwierzał się i zawierzał – wbrew zawodom – każdej lepszej szansie. Naród, w którym istnieje myśl i wola działania ku lepszemu, nie jedna myśl, lecz wiele myśli kompetentnych i żarliwych, i napętnionych troską, które przez ich wymianę mogłyby popchnąć sprawy naprzód. Wola działania – nie ta z papierowych deklaracji, lecz ta, która bierze się z nadziei i poczucia odpowiedzialności. Jest ten naród; temu narodowi potrzeba nowego otwarcia, potrzeba oddechu, potrzeba rzeczowego traktowania go jako podmiotu praw, jako podmiotu współodpowiedzialności za jego losy, za wspólne losy kraju.

Stowem – by przejść do słowa kompromis – kompromis między rządzonymi a rządzącymi nie jest poza granicą naszych rozważań o prawach człowieka i obywatela i o procesie rewindykacji tych praw. Ale chodzi o kompromis, a nie o poddaństwo myśli i postaw ludzkich. Wiemy jednak, że taki kompromis, który

nie jest poddaństwem, musi być wywalczany. Tylko społeczeństwo, które okazuje swą zdolność do samoobrony w proteście i w budowie owej społecznej infrastruktury, o której mówiłem, tylko społeczeństwo, które w sobie zachowuje zdolność bycia podmiotem, może w ogóle coś ocalać i coś wywalczać.

Dlatego właśnie o tym wszystkim mówiliśmy przez te pięć dni. Dobrze, że jest Belgrad, dobrze że w świe-

cie mówi się o prawach człowieka. Ale liczyć musimy przede wszystkim na siebie. To znaczy, że decydujące jest to, czym jest i jakie będzie społeczeństwo polskie.

A realizacja – ciągła, nieustanna realizacja – odpowiedzi na to pytanie zaczyna się u każdego od tej najprostszej zasady, którą Zbigniew Herbert wyraził w *Panu Cogito*: „Wstań i idź prosto. Czuj się wolny!”.

# EUROPA DYSYDENTÓW

## RUCH OBRONY PRAW CZŁOWIEKA W ZSRR (II)

LUDMIŁA ALEKSIEJEWĄ

### V. PRZEZWYCIĘŻENIE KRYZYSU (1974–1975)

Atak władz ZSRR na ruch obrony praw człowieka w latach 1972–1973 miał na celu zniszczenie wymykającego się spod kontroli mechanizmu rozpowszechniania idei i informacji\*. Widzialną część tego mechanizmu zdołano zburzyć prawie w całości: usunięto większość czołowych działaczy ruchu obrony, przerwano pracę organizacji zajmujących się prawami człowieka, przestała się ukazywać „Kronika Bieżących Wydarzeń”.

Uwięzienie większości obrońców praw człowieka odbiło się na atmosferze w obozach dla więźniów politycznych. Osadzeni zaczęli się domagać przestrzegania prawa, protestowali przeciwko samowoli i okrucieństwu administracji. Wspólnie z nimi występowali uczestnicy ruchów narodowych oraz inni więźniowie polityczni. Doszło do paradoksalnej sytuacji: kiedy na wolności ruch obrony przeżywał kryzys, w obozach politycznych przeciwnie – gwałtownie się rozwijał. Do różnych instytucji służyła tamta lawina skarg dotyczących warunków życia, opieki medycznej, brutalności i bezprawia ze strony administracji itd. Te skargi trafiały też do samizdatu, a potem na Zachód. Według słów Władimira Bukowskiego, który odbywał wówczas karę, zagranicznego radia słuchali również strażnicy więzienni i ich naczelnicy. Dla nich było jasne: skoro na Zachodzie już wiedzą, co się wyprawia w ich obozie, trzeba się spodziewać kontroli „z góry” i będą nieprzyjemności. Niekiedy więźniowie właśnie od strażników lub obsługi więziennej dowiadywali się o kolejnej audycji poświęconej ich losowi<sup>1</sup>. To dodawało im sił.

Powszechne stały się – rzadkie ongiś – wystąpienia więźniów politycznych w sprawach nie tylko obozowych, ale również ogólnopolitycznych. Szczególną uwagę zwracam na te, które dotyczyły problemów narodowych w Związku Radzieckim – w takich wystąpieniach uczestniczyli razem aktywiści ruchów narodowych i Rosjanie<sup>2</sup>. W 1975 r. w obozach

\* Pierwszą część opowieści Ludmiły Aleksiejewej o ruchu obrony praw człowieka w ZSRR wraz z biograficznym wprowadzeniem zamieściliśmy w poprzednim numerze „Wolności i Solidarności” (red.).

<sup>1</sup> W. Bukowski, *I wozwraszczajetsia wietier...*, New York 1978, s. 28.

<sup>2</sup> Zob. np. „Chronika tiekuszczych sobytij”, nr 30, s. 97; nr 39, s. 30, 34–35; nr 41, s. 39–40. [W Nowym Jorku w latach 1974–1983 wydawano pojedyncze numery „Kroniki” – od 28 do 64 (red.).]

ur. 1927 r., historyk, uczestniczka ruchu obrony praw człowieka w ZSRR. Mieszkała w Moskwie; od 1968 r. przepisywała na maszynie „Kronikę Bieżących Wydarzeń”, sygnowała apele w obronie praw człowieka. W 1976 r. wstąpiła do Moskiewskiej Grupy Helsińskiej. W lutym 1977 r. została zmuszona do emigracji, wraz z rodziną wyjechała do Stanów Zjednoczonych. Była przedstawicielką MGH oraz konsultantką amerykańskich organizacji obrony praw człowieka, przygotowała do druku dokumenty MGH. Prowadziła audycje w Radiu Swoboda i Głosie Ameryki, publikowała m.in. w emigracyjnej prasie rosyjskiej. W 1984 r. wydała w USA monografię *Istoria inakomyslija w SSSR. Nowiejszyj pieriod* – pierwsze opracowanie na temat ruchów niezależnych w ZSRR. W 1993 r. wróciła do Rosji. Od 1996 r. kieruje MGH, w latach 1998–2004 przewodniczyła Międzynarodowej Federacji Helsińskiej, 2002–2012 wchodziła w skład rady do spraw praw człowieka przy prezydencie Rosji. Od 2009 r. bierze udział w ruchu obywatelskim „Strategia-31”, organizuje mityngi na placu Tryumfalnym w Moskwie w obronie swobody zgromadzeń. Otrzymała francuską Legię Honorową, a w 2009 r. Nagrodę Sacharowa.

mordwińskich opracowano status więźnia politycznego. Zawierał on następujące żądania:

- oddzielenie więźniów politycznych od przestępców wojennych i kryminalnych,
- zniesienie pracy przymusowej i obowiązkowej normy dziennej,
- zniesienie ograniczeń korespondencji, w tym z zagranicą,
- lepsza opieka medyczna,
- umożliwienie więźniom politycznym pracy twórczej – literatom, malarzom, naukowcom,
- zgoda na posługiwanie się językiem ojczystym w obozie oraz podczas widzeń z rodziną itd.<sup>3</sup>

Od 1969 r. w obozach politycznych co roku organizowano strajki głodowe 10 grudnia – w Dniu Praw Człowieka. Z roku na rok w strajkach uczestniczyło coraz więcej więźniów politycznych o różnych przekonaniach<sup>4</sup>. Później zaczęto obchodzić 5 września jako Dzień Pamięci Ofiar Czerwonego Terroru; 5 września 1918 r. został podpisany dekret o czerwonym terrarze, dający podstawę m.in. do zakładania obozów, w których w sumie zginęły miliony ludzi<sup>5</sup>. W tym dniu w obozach zapala się świece ku ich pamięci.

30 października 1974 r. z inicjatywy więźniów politycznych obozów mordwińskich i permskich został Dniem Radzieckiego Więźnia Politycznego<sup>6</sup>. Od tej pory każdego 30 października podejmowane są strajki głodowe.

Pozostający na wolności obrońcy praw człowieka robili wszystko co mogli, by pomóc więźniom politycznym, wśród których znalazło się wielu ich przyjaciół. W ciągu kryzysowych lat 1972–1973 system pomocy dla więźniów politycznych nadal funkcjonował, a nawet był doskonały, włączało się do niego coraz więcej nowych ludzi. Z inicjatywy Andrieja Twierdo-

chlebowa poinformowano o założeniu Grupy-73<sup>7</sup> – organizacji charytatywnej pomagającej dzieciom więźniów politycznych, ale był to raczej gest symboliczny, podkreślający całkowitą legalność tego typu działań. W praktyce to nie Grupa-73 udzielała pomocy. Świadczącą ją ludzie nie byli zorganizowani formalnie i nie podawali swoich nazwisk do wiadomości publicznej.

Rozgłosu unikali również ofiarodawcy środków dla więźniów politycznych. Do rzadkich wyjątków należało otwarte przekazanie pieniędzy dla dzieci więźniów politycznych przez żonę Sacharowa Jelenę Bonner, która stworzyła odpowiedni fundusz i oddała nań otrzymaną przez Sacharowa nagrodę Cino Del Duca<sup>8</sup>.

Nie ustawała wzmożona praca również w innej „niewidzialnej” sferze – w samizdacie. Liczne konfiskaty podczas rewizji w latach 1972–1974 nie wpłynęły znacząco na wielkość literatury krążącej poza kontrolą władz. Zlikwidowanie samizdatu okazało się niewykonalne. To, co zostało skonfiskowane – z wyjątkiem starych i małowartościowych materiałów – odtworzono na podstawie zachowanych kopii i od nowa rozpowszechniano.

Książka, która stała się największą sensacją w całej historii samizdatu, *Archipelag GULag* Aleksandra Sołżenicyna, ukazała się w szczytowym momencie ofensywy KGB przeciwko samizdatowi i jej wydanie miało bezpośredni związek z tą ofensywą.

KGB wytropiło istnienie *Archipelagu* i postanowiło upolować rękopis. W sierpniu 1973 r. kagebiści z Leningradu przez pięć dni przesłuchiwali na tę okoliczność siedemdziesięcioletnią Jelizawietę Woronianską. Nieszczęsna kobieta nie wytrzymała nacisku – zdradziła, gdzie jest przechowywany *Archipelag*, a po powrocie do domu popełniła samobójstwo<sup>9</sup>. Lecz egzemplarz, który wskazała, nie był jedyny. Jego

<sup>3</sup> „Chronika tiekuszczych sobytij”, nr 38, s. 43; „Chronika zaszczyty praw w SSSR”, nr 38, s. 59–68; status więźniów politycznych zob. E. Kuzniecowa, *Mordowskij marafon*, [Tel Aviv] 1979, s. 242–250.

<sup>4</sup> „Chronika tiekuszczych sobytij”, nr 38, s. 50–51, 53; nr 43, s. 14–15; nr 48, s. 57; nr 51, s. 64; nr 55, s. 26; nr 60, s. 81; nr 63, s. 170, 183, 190.

<sup>5</sup> „Chronika tiekuszczych sobytij”, nr 42, s. 59.

<sup>6</sup> „Chronika tiekuszczych sobytij”, nr 33, s. 3–8.

<sup>7</sup> „Chronika tiekuszczych sobytij”, nr 30, s. 102; „Chronika zaszczyty praw w SSSR”, nr 7, s. 9; nr 3, s. 20–22.

<sup>8</sup> „Chronika tiekuszczych sobytij”, nr 33, s. 61–62.

<sup>9</sup> „Chronika tiekuszczych sobytij”, nr 32, s. 3.

kopia została już przekazana na Zachód, gdzie oczekiwała na decyzję autora. Ponieważ istnienie rękopisu przestało być dla KGB tajemnicą, Sołżenicyn postanowił nie zwlekać dłużej z publikacją. W grudniu 1973 r. *Archipelag GUŁag* ukazał się w Paryżu nakładem wydawnictwa YMCA-Press. Rozdziały książki były emitowane przez zagraniczne rozgłośnie radiowe nadające do Związku Radzieckiego. Audycje były zagłuszane, niemniej miliony osób w krótkim czasie zapoznały się z tą książką; nie tylko dysydenci, ale też robotnicy w kilkusobowych grupkach zbierali się wokół odbiorników i słuchali okrutnej prawdy o niedawnej przeszłości swojego kraju, otwierającej oczy również na jego teraźniejszość.

Oceniając wpływ *Archipelagu*, radziecki historyk Roj Miedwiediew napisał: „Myślę, że mało kto, przeczytawszy tę książkę, odejdzie od stołu taki sam jak w chwili, kiedy zaczął czytać pierwszą stronę. Pod tym względem po prostu nie mam do czego porównać książki Sołżenicyna ani w rosyjskiej, ani w światowej literaturze”<sup>10</sup>.

Dzięki *Archipelagowi GUŁag* społeczność międzynarodowa zwróciła uwagę na jeden z kardynalnych problemów podjętych przez obrońców praw człowieka – na prześladowania w ZSRR za poglądy polityczne i na warunki, w których przetrzymywani są więźniowie polityczni.

Do nagonki prasowej na Sacharowa dodano w tym momencie wściekłą napaść propagandową na Sołżenicyna. Jednak tym razem nie ograniczono się do niej. Sołżenicyn został aresztowany, pozbawiony radzieckiego obywatelstwa i 13 lutego 1974 r. wysłany na Zachód.

Piętnaście lat przed tymi wydarzeniami Borys Pasternak jako pierwszy dostał literacką Nagrodę Nobla dzięki samizdatowi i tamizdatowi – kanałom komunikowania się, które nie były poddane partyjno-państwowej kontroli. Prasa radziecka, która nazywa-

ła autora *Doktora Żywago* zdrajcą ojczyzny i narodu, teraz z podobną zajadłością rzuciła się na kolejnego samizdatowego laureata Nobla (Sołżenicyn dostał nagrodę w 1970 r.). A jednak ani jeden, ani drugi za opublikowanie swoich dzieł nie trafili do obozu, jak to się stało z Andriejem Siniawskim i Julijem Danielem. Da się to wytłumaczyć nie tylko mocą ochronną Nobla.

Nagonce na Sołżenicyna z powodu *Archipelagu GUŁag* towarzyszyły prześladowania szeregu pisarzy, którzy drukowali w samizdacie i tamizdacie, lecz i oni pozostali na wolności; większość z nich została ukarana jedynie wyrzuceniem ze Związku Pisarzy. W latach 1973–1974 spotkało to Władimira Maksimowa, Lwa Kopielewa, Aleksandra Galicza, Lidię Czukowską i Władimira Wojnowicza<sup>11</sup>.

Rzecz jasna, w latach siedemdziesiątych ci wszyscy, którzy publikowali swoje utwory w obiegu niezależnym, nie mieli gwarancji, że nie trafią do obozu. Andriej Amalrik został aresztowany w maju 1969 r. i w 1970 r. skazany za listy otwarte i esej *Czy Związek Radziecki przetrwa do 1984 roku?*, a pod koniec odsiadania wyroku w łagrze dostał jeszcze trzy lata zestania „ot, tak” – najwidoczniej trzy lata obozu wydały się zbyt łagodną karą za jego publicystykę<sup>12</sup>. Leningradzki pisarz Michaił Chejfec w kwietniu 1974 r. został aresztowany za napisanie przedmowy do samizdatowego zbiorku wierszy Josifa Brodskiego, która nawet nie została opublikowana (podczas rewizji skonfiskowano brudnopis), i dostał cztery lata obozu<sup>13</sup>. Jednak w latach siedemdziesiątych podobne postępowanie było już wyjątkiem. Skandal polityczny wywołany procesem Siniawskiego i Daniela zmusił władze do poszukiwania innych sposobów walki z autorami samizdatu i tamizdatu. Wykluczenie ze Związku Pisarzy okazało się równie nieskuteczne jak aresztowanie. Oznaczało zakaz publikowania w ojczyźnie. Ale w latach siedemdziesiątych nie groził on już rozpaczliwym milczeniem, nie równał

<sup>10</sup> „New York Times”, 7 II 1974, cyt. za: „Chronika zaszczyty praw w SSSR”, nr 3, s. 20–22.

<sup>11</sup> „Chronika tiekuschczich sobytij”, nr 32, s. 63–70; „Chronika zaszczyty praw w SSSR”, nr 7, s. 14–19.

<sup>12</sup> „Chronika tiekuschczich sobytij”, nr 29, s. 48–49; A. Amalrik, *Zapiski dissidenta*, Ann Arbor 1982, s. 254–279.

<sup>13</sup> „Chronika tiekuschczich sobytij”, nr 32, s. 21–23; nr 34, s. 6–9.



się końcowi kariery literackiej, a jedynie w sposób definitywny przenosił autora na łono samizdatu. „Co będą robić wyrzuceni? – w liście do sekretariatu Związku Pisarzy Radzieckich pytała Lidia Czukowska. – Pisać książki. Przecież nawet więźniowie pisali i piszą książki... Mimo wszystkich przeszkód, które stawiacie... literatura rosyjska żyje i żyć będzie”<sup>14</sup>.

Przemianie samizdatu w tamizdat miał zapobiec akces ZSRR do światowej konwencji praw autorskich, ale ten pomysł również się nie sprawdził. Żeby tego dokonać, wprowadzono zmiany w prawie autorskim (1973), stworzono też wszechzwiązkową agencję do spraw prawa autorskiego, która działała rzekomo w imieniu radzieckich twórców i w obronie ich interesów<sup>15</sup>. Chodziło o to, by wszystkie publikacje zagraniczne przechodziły wyłącznie przez tę agencję. W radzieckim kontekście oznaczało to wprowadzenie partyjno-państwowej kontroli tego typu publikacji. Ponadto wydano rozporządzenie o tym, że monopol państwowy w dziedzinie handlu zagranicznego obejmowałby również rękopisy utworów literackich. Lecz biurokratyczne bariery nie poskutkowały. Zagraniczne publikacje stanowią coraz większą część współczesnej literatury rosyjskiej, co więcej – jej lepszą część.

Jeszcze jedną metodą pozbywania się autorów samizdatu jest zmuszanie ich do emigracji. W 1972 r. do tej decyzji nakłoniono Josifa Brodskiego i Andrieja Siniawskiego, w 1973 r. z ZSRR wyjechał Władimir Maksimow, w 1974 r. wydalono Sołżenicyna.

Na KGB spadło zadanie czuwania, by do kraju nie przenikały z zagranicy utwory wydanych z ZSRR pisarzy i publicystów – zarówno w postaci książek i artykułów, jak i audycji radiowych. Kiedy w sierpniu 1973 r., jeszcze przed ukazaniem się *Archipelagu GUŁag*, rozgłośnia Deutsche Welle ogłosiła, że będzie emitować rozdziały tej książki, rozpoczęto jej zagłuszanie. Lecz we wrześniu zagłuszanie przerwa-

no – najwidoczniej na podstawie uzgodnień z odpowiednimi rządami, ponieważ równocześnie zostały ograniczone audycje o tematyce, której nie życzyły sobie władze radzieckie. Samoograniczenie to trwało przez kilka lat „odprężenia” – aż ponownie zaczęto zagłuszać.

W tym samym okresie 1973–1974 nasiliły się starania KGB o wyeliminowanie kanałów, którymi przekazywano rękopisy za granicę. Kiedy władze się przekonały, że prześladowanie autorów jest skomplikowane, próbowały nie dopuścić do przekształcania się samizdatu w tamizdat: zaczęły prześladować ludzi, którzy pełnili funkcję kurierów. Latem 1973 r. wysiłki te skupiły się na sprawie przekazania na Zachód dzienników Eduarda Kuzniecowa – więźnia obozu o zaostrowym rygorze („przecież nawet więźniowie pisali i piszą książki”...)<sup>16</sup>. W związku z tą sprawą aresztowano Gabriela Superfina i Wiktora Chaustowa<sup>17</sup>. Przeprowadzono także rewizję w mieszkaniu moskiewskiego historyka sztuki Jewgienija Barabanowa, który nie zdradził się żadnym otwartym działaniem niezależnym. Znalaziono u niego dużo książek o tematyce religijnej wydanych za granicą. Działo się to nocą z 24 na 25 sierpnia 1973 r., to jest wtedy, kiedy w Leningradzie przesłuchiowano Woronianską w sprawie *Archipelagu GUŁag*. 27 sierpnia zaczęły się przesłuchania Barabanowa, trwające około trzech tygodni. W ciągu kilku miesięcy mieszkanie Barabanowa było na podsłuchu, prowadzący śledztwo dysponowali więc dowodami na to, że systematycznie przekazywał on rękopisy do paryskiego czasopisma „Więstnik RChD” (biuletyn Rosyjskiego Ruchu Chrześcijańskiego): niepublikowane utwory Anny Achmatowej, Mariny Cwietajewej, Osipa Mandelsztama, Borysa Pasternaka, Nikołaja Bierdiajewa, Pawła Fłorińskiego, Lwa Krasawina, a także „Kronikę Bieżących Wydarzeń”, wiersze więźniów politycznych

<sup>14</sup> Cyt. za: „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 32, s. 64.

<sup>15</sup> „Wiedomosti Wierchownoego Sowjeta SSSR” 1973, nr 9, cyt. za: „Chronika zaszczyty praw w SSSR”, nr 1, s. 56–57; zob. też *ibidem*, nr 7, s. 23–24.

<sup>16</sup> E. Kuzniecowa, *Dniewniki*, Paris 1973; „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 30, s. 108–109.

<sup>17</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 29, s. 44, 50, 78–79.

D. Andriejewa, A. Radygina – i dzienniki Kuzniecowa; otrzymywał również książki wydane za granicą. Śledczy nie omieszkali pochwalić się Barabanowowi swoją wiedzą – powtórzył rozmowy z różnymi ludźmi, które ten prowadził w cztery oczy w swoim mieszkaniu. Żonie Barabanowa powiedział: – Winę pani męża udowodniono. Szczere przyznanie się do winy złagodzi wyrok.

Zamiast tego Barabanow przekazał zagranicznym korespondentom list otwarty: „Radzieckie ustawodawstwo... nie zakazuje tych czynów, które usiłują mi zarzucić... Uważam i nadal będę uważał, że przekazane przeze mnie materiały są istotnym wkładem w skarbnicę rosyjskiej kultury, myśli i tożsamości... Uważam, że moje aresztowanie jest aktem brutalnego bezprawia. Chodzi jednak nie tylko o mnie, ale też o to, czy rosyjska kultura powinna istnieć niezależnie od tego, czy jest akceptowana przez oficjalną ideologię i cenzurę... Świat nie poznałby całej prawdy o naszym kraju, o tym, jak skomplikowane jest życie w nim, o problemach jego ducha, o jego tragicznych doświadczeniach historycznych. Gdyby nasze stulecie nie zmierzyło się z tym doświadczeniem, zostałyby pozbawione części swojego sensu i głębi”<sup>18</sup>. Po opublikowaniu tego listu i przemyceniu go na Zachód przesłuchania Barabanowa się zakończyły. Do aresztowania nie doszło.

Przekazanie dzienników Kuzniecowa na Zachód udowodniono również moskiewskiemu ekonomiście Władimirowi Dołgojowi. On również odpowiedział listem otwartym „Do przyjaciół”: „Wierzę, że gdy nikt z nas nie krzewiony jest strach i zdrada, człowiek powinien położyć na szali ludzką godność”<sup>19</sup>. Jego również zostawiono w spokoju.

We wrześniu 1973 r. żona Sacharowa Jelena Bonner ogłosiła oświadczenie. Twierdziła, że to ona przekazała dzienniki Kuzniecowa<sup>20</sup>. Wyszło na to, że ledwo się znający lub wcale nieznani sobie nawzajem ludzie, zaprzeczając udziałowi innych, brali na sie-

bie odpowiedzialność wraz z grożącym za ten czyn wieloletnim uwięzieniem. Wśród potencjalnych ofiar KGB postanowiło się ograniczyć do aresztowanych już Superfina i Chaustowa, żeby skandal polityczny związany z zapiskami Kuzniecowa nie urósł do rozmiarów sprawy Siniawskiego i Daniela i nie ściągnął na *Dzienniki*, i tak zresztą opublikowane na Zachodzie, uwagi masy czytelników *Archipelagu*.

## Polaryzacja

Samizdat przyczynił się nie tylko do zachowania literatury rosyjskiej dla kultury rosyjskiej i światowej, lecz także do uświadomienia radzieckiego społeczeństwa i ukształtowania jego wyobrażeń dotyczących własnej teraźniejszości i przyszłości. Wieloletnia wymiana opinii w samizdacie pomogła jego autorom i czytelnikom (a za ich pośrednictwem również szerszym warstwom społeczeństwa radzieckiego) określić ich stosunek do problemów współczesności oraz wizje możliwego i pożądanego kierunku zmian w ZSRR.

W latach pięćdziesiątych i na początku sześćdziesiątych poszukiwano alternatywy prawie wyłącznie według schematu marksistowskiego, ponieważ przez pół wieku była to jedyna dla wszystkich szkoła myślenia. Ponieważ marksizm oficjalny wyjął i wypaczył myśl Marksa i Lenina, krytycy radzieckiej ideologii widzieli swoje zadanie w odtworzeniu „prawdziwego marksizmu” i „prawdziwego leninizmu”. Zajęli się więc badaniem pomijanych milczeniem prac założycieli marksizmu.

Sz szczególnie popularne stały się wypowiedzi Marksa i Lenina świadczące o tym, że społeczeństwo zbudowane na gruzach kapitalizmu widzieli oni jako „królestwo wolności”. Na tej podstawie społeczeństwo radzieckie określano jako nie do końca socjalistyczne lub nawet w ogóle odmawiano mu tego miana. Większość ówczesnych krytyków systemu radziec-

<sup>18</sup> „Chronika zaszczytu praw w SSSR”, nr 4, s. 15–17.

<sup>19</sup> „Chronika zaszczytu praw w SSSR”, nr 5/6, s. 17.

<sup>20</sup> „Chronika tiekuszczych sobytij”, nr 29, s. 79–80.

kiego to byli zwolennicy „prawdziwego socjalizmu”, który w odróżnieniu od narzuconego przez państwo radzieckie był według nich socjalizmem demokratycznym (stopień demokratyzacji, konieczny do tego, żeby uznać socjalizm za „prawdziwy”, każdy z tych krytyków określał po swojemu), od tego też zależały proponowane reformy. Były to wersje „socjalizmu z ludzką twarzą” na wzór czeski. Praską wiosnę powitano z gorącą sympatią, z sukcesem czechosłowackiego eksperymentu wiązano nadzieje na uzdrowienie systemu radzieckiego. Przedstawicielem tego kierunku reform był Roj Miedwiediew. I Sacharow, i Sołżenicyn w latach sześćdziesiątych kontaktowali się z nim i znajdowali się pod jego wpływem ideowym. Dopiero w latach siedemdziesiątych dysydenci – jednakowo potępiający wady systemu radzieckiego – zaczęli mieć różne zapatrywania na naturę tego systemu, a zwłaszcza na metody uzdrowienia kraju.

Mocny cios w moralną atrakcyjność socjalizmu zadała radziecka inwazja na Czechosłowację. Zniweczyła nadzieje na to, że radzieckie kierownictwo jest w stanie obrać kurs na demokratyzację. Równocześnie z inwazją na Czechosłowację mocniej się zaznaczyła tendencja do restalinizacji, przywódcy ZSRR ostatecznie odrzucili planowaną reformę ekonomiczną, gdyż biurokracja nie godziła się nawet na częściową rezygnację dla dobra kraju ze swojej wszechwładzy. Krach nadziei na demokratyzację wielu osobom odebrał wiarę w samą możliwość „uczłowieczenia” socjalizmu. Spojrzenia zwrócono ku innym systemom społecznym, przede wszystkim ku zachodniemu wolnemu światu. Jednak początkowo zaledwie pozbyto się uprzedzeń do „kapitalizmu” jako etapu, który nasz kraj ma już za sobą. Za żelazną kurtyną przesiedziały dwa pokolenia ludzi radzieckich. Po śmierci Stalina izolacja od świata zewnętrznego przestała być szczelna, niemniej mało kto miał dostęp do zachodniej literatury i prasy, a jeszcze mniejsza liczba osób mogła zobaczyć ten obcy świat na własne oczy, trudno więc było wyrobić sobie na jego temat adekwatne pojęcie.

Pierwszym „zapadnikiem” w samizdacie został Andriej Sacharow. W czerwcu 1968 r. ukazały się jego *Razmyslenija o prograssie, mirnom sosuszczenstwowanii i intiellektualnoj swobodie* (Rozmyślenia o postępie, pokojowym współistnieniu i wolności intelektualnej)<sup>21</sup>.

Andriej Sacharow to wybitny fizyk, który brał udział w tworzeniu radzieckiej bomby wodorowej, członek Akademii Nauk, laureat nagród państwowych, trzy razy wyróżniony najbardziej zaszczytnym w ZSRR tytułem bohatera pracy socjalistycznej. Należał do ścisłej radzieckiej elity naukowej, miał bezpośredni kontakt z kołami rządowymi i wojskowymi. Działalność humanitarną zaczął od protestów przeciwko testom broni jądrowej, które powodowały skażenie środowiska i były szkodliwe dla ludzkiego zdrowia. Apele Sacharowa do przywódców państwa radzieckiego i wysokich wojskowych okazały się skuteczne: w 1962 r. ZSRR i Stany Zjednoczone zawarły porozumienie o przeniesieniu wszystkich testów broni jądrowej pod ziemię – dzięki czemu nie powstaje promieniowanie niebezpieczne dla wszystkiego co żyje.

Pierwsze publiczne wystąpienia Sacharowa datują się na 1966 r., kiedy podpisał zbiorowy protest przeciwko odradzaniu się stalinizmu i dołączył do milczącej demonstracji solidarności z ofiarami bezprawia (5 grudnia na placu Puszkina). Jednak większość czytelników dowiedziała się o Sacharowie w związku z jego *Rozmyślaniami*.

Autor wychodził poza tematy zazwyczaj poruszane przez dysydentów; rozumował nie w skali kraju, jak oni, ale w skali światowej. „Postęp” i „pokojowe współistnienie” widniejące w tytule to problemy globalne, „wolność intelektualną” również rozpatrywał nie tylko w odniesieniu do ZSRR, ale jako „obywatel świata”.

*Rozmyślenia* były przesiąknięte przekonaniem, że w XX stuleciu żadne państwo nie może rozwiązać własnych problemów w oderwaniu od problemów ogólnoludzkich, a jednocześnie ogólne problemy – zachowanie pokoju i rozkwit ludzkości na naszej

<sup>21</sup> A. Sacharow, *O stronie i mirie*, New York 1976, s. 141–180.

planecie – mogą być rozwiązane wyłącznie wspólnym wysiłkiem wszystkich krajów. Warunkiem koniecznym korzystnego rozwoju wydaje się wolność intelektualna – również niezbędna w skali ogólnoswiatowej.

Sacharow ukończył *Rozmyślenia* przed czerwcem 1968 r. Pisał je w atmosferze praskiej wiosny, dzieląc nadzieje swoich rodaków na demokratyczne przeobrażenia w ZSRR w najbliższych latach; swoje poglądy określał jako „głęboko socjalistyczne”. Jednak pożądanym przez niego kierunkiem rozwoju światowego nie było „zwycięstwo komunizmu na całym globie”, jak głosiły oficjalne hasła. Sacharow opowiedział się za konwergencją, tj. pokojowym zbliżeniem socjalizmu i kapitalizmu, połączeniem ich we wspólne, otwarte, pluralistyczne społeczeństwo z gospodarką mieszaną.

Teoria konwergencji zrodziła się na Zachodzie w latach powojennych i szerzyła się w kręgach liberalnych. Radziecka elita naukowa, do której należał Sacharow, miała dostęp do literatury i prasy zachodniej, znała ideę konwergencji i ją popierała. Tymczasem główna masa demokratycznie nastawionych rodaków Sacharowa zaznałomiła się z tą teorią dopiero dzięki jego *Rozmyśleniom*. Powszechne zwątpienie w zdolność socjalizmu do demokratyzacji tworzyło korzystny grunt dla masowego przyswojenia teorii konwergencji. Ale stało się to nie od razu. Dał się we znaki brak wiedzy o świecie zachodnim i nieumiejętność myślenia w skali światowej, znaczenie miało też nowatorstwo tego podejścia. Uznając rozwój świata w drodze postępu, pokojowego współistnienia i wolności intelektualnej za kierunek pożądaný, czytelnicy *Rozmyślań* w większości odebrali globalne podejście autora jako zbyt ogólne, abstrakcyjne, niemające praktycznego przełożenia, ponieważ nie widzieli dla siebie najmniejszej możliwości włączenia się do tego światowego procesu i udzielenia mu wsparcia. W dyskusjach koncentrowano się na problemach wolności

intelektualnej, lecz nie „w skali światowej”, a znowuż – we własnym kraju.

Później poglądy Sacharowa nieco się zmieniły, głównie w zakresie oceny radzieckiego systemu. W 1973 r. w wywiadzie udzielonym szwedzkiemu korespondentowi Stenholmowi Sacharow nazwał system radziecki „państwowym kapitalizmem”, a w następnych latach charakteryzował go jako „totalitarny socjalizm” oraz „totalitaryzm partyjno-państwowy”<sup>22</sup>. Jednakowoż podstawowe cechy światopoglądu Sacharowa, opisane w *Rozmyśleniach*, pozostały bez zmian; precyzował je on i rozwijał w swoich następnych pracach. Przemówienie z okazji wręczenia mu Pokojowej Nagrody Nobla (1975) zatytułował podobnie jak pierwsze opracowanie wydane w samizdacie: *Mir, progress, prawa człowieka* (Pokój, postęp, prawa człowieka). Pisał: „Pokój, postęp, prawa człowieka – te trzy cele są nierozzerwalnie związane, nie da się osiągnąć jednego z nich, pomijając pozostałe... międzynarodowe zaufanie, zrozumienie wzajemne, rozbrojenie i międzynarodowe bezpieczeństwo nie są możliwe bez otwartości społeczeństwa, wolności informacji, wolności przekonań, jawności, wolności podróży oraz wyboru kraju zamieszkania... wolność przekonań wraz z innymi prawami obywatelskimi jest fundamentem postępu naukowo-technicznego i ochroną przed wykorzystywaniem jego osiągnięć na szkodę ludzkości, jest tym samym fundamentem postępu gospodarczego i społecznego, a także polityczną gwarancją możliwości skutecznej obrony praw społecznych”<sup>23</sup>. Do tego czasu – do 1975 r. – przekonanie o zgodności praw jednostki, praw narodów i prawa ludzkości do pokoju i wolności zakorzeniło się wśród obrońców praw człowieka, stało się fundamentem ideologii tego ruchu.

Na początku lat siedemdziesiątych wykrystalizował się kolejny nurt myśli społecznej, zwany neostowianofilskim lub poczwinniczeskim\*.

<sup>22</sup> *Ibidem*, s. XIX; A. Sacharow, *Triewoga i nadzieźda*, New York 1978, s. 7–8; A. Sacharow, *Dwiżenije za prawa czelowieka w SSSR i Wostocznoj Jewropie – celi, znaczenije, trudnosti*, „Kontinent” (red. W. Maksimow) 1979, nr 19, s. 173.

<sup>23</sup> A. Sacharow, *O stranie...*, s. 3.

\* Od ros. *poczwa* – gleba (tłum.).



We wrześniu 1973 r. Aleksandr Sołżenicyn napisał *List do przywódców Związku Radzieckiego* i wysłał go do adresatów. Nie doczekał się odpowiedzi. List ten ukazał się w samizdacie w marcu 1974 r., zgodnie z życzeniem autora, tuż po wydaleniu go z ZSRR. Okazało się, że idee *Listu do przywódców* mają zwolenników. Szybko stał się on dokumentem programowym tworzącego się wówczas rosyjskiego nurtu narodowo-religijnego. W wyniku dyskusji, którą wywołał (*List* zawierał ukrytą polemikę z Sacharowskimi *Rozmyślaniami*), doszło do wyodrębnienia się stronników tego nurtu oraz zwolenników przekształcenia społeczeństwa radzieckiego w demokratyczne i praworządne. Większość aktywistów ruchu obrony praw człowieka znalazła się wśród tych drugich. Podstawowe rozbieżności sformułował Sacharow w swojej odpowiedzi na *List do przywódców Związku Radzieckiego*: „Sołżenicyn pisze, że być może nasz kraj nie dojrzał do ustroju demokratycznego i że ustrój autorytarny w warunkach praworządności i prawostawia nie był taki znowu zły, przecież Rosja zachowała w tym ustroju zdrowie narodowe aż do XX wieku. Poglądy Sołżenicyna są mi obce. Uważam, że jedyną korzystną dla każdego kraju jest demokratyczna droga rozwoju”.

Na wezwanie Sołżenicyna do izolacjonizmu Sacharow opowiedział apelem o wzmocnienie współpracy międzynarodowej: „Jestem przeciwny dążeniom do odgrożenia naszego kraju od rzekomo zgubnego wpływu Zachodu... Jestem głęboko przekonany, ...że nie istnieje żaden kluczowy problem, którego rozwiązanie jest możliwe w skali narodowej... tylko w skali globalnej jest możliwe opracowanie i realizacja strategii rozwoju społeczeństwa ludzi na Ziemi, połączone z kontynuacją istnienia ludzkości. Nasz kraj nie może żyć w gospodarczej i naukowo-technicznej izolacji”. Sacharow uważał, że „nacjonalistyczne i izolacjonistyczne ukierunkowanie myśli Sołżenicyna, właściwy mu religijno-patriarchalny romantyzm prowadzą go do bardzo istotnych błędów... Znaczna część narodu rosyjskiego oraz część

przywódców kraju hołduje nastrojom wielkoruskiego nacjonalizmu, łączącym się z obawą przed uzależnieniem się od Zachodu oraz zmianami demokratycznymi. Jeżeli trafią na równie podatny grunt, błędy Sołżenicyna mogą się stać bardzo niebezpieczne”<sup>24</sup>.

Teoretyczne rozważania dotyczące pożądanej dla ZSRR przyszłości nie doprowadziły do rezygnacji zwolenników nurtu narodowego z działalności w obronie praw człowieka, ponieważ sam w sobie wybór czynnika narodowego lub religijnego jako priorytetowego nie jest sprzeczny z koncepcją obrony prawa; jest ona neutralna w stosunku do tych problemów. Ze współpracy z obrońcami prawa Sołżenicyn i jego zwolennicy zrezygnowali później, po 1978 r., z czysto politycznych powodów – gdy zdecydowali, że rosyjskie państwo w przyszłości powinno być nie państwem praworządnym, lecz autorytarnym.

\* \* \*

Na początku lat siedemdziesiątych najbardziej popularne w samizdacie – poza wspomnianymi wcześniej książkami Pasternaka, Amalrika, Marczenki i Sołżenicyna – były utwory Władimira Wojnowicza i Georgija Władimowa, a także publicystyka: studia historyczne Roja Miedwiediewa *Pieried sudom istorii* (Przed sądem historii) – o masowych represjach epoki stalinowskiej, Żoresa Miedwiediewa *O położenii w biologicznej nauk, Tajna pieriepiski ochraniajettisia zakonom* (Tajemnica korespondencji jest prawnie chroniona) i in., *Iniercyja stracha* Walentina Turczina, wspomnienia Jewgienii Ginzburg, Jekatieriny Olickiej, Nadieždy Mandelsztam, esej filozoficzny Grigorija Pomieranca, artykuły Borisa Szragina (pod pseudonimami Wiencow, Jasnij i in.), Aleksiejewa, Komarowa (oba nazwiska to pseudonimy)\*, numery „Obszczestwiennych problem” (Problemów Społecznych), wydawanych przez Walerija Czalidze w latach 1969–1972. Po stenogramie procesu Josifa Brodskiego, spisany przez Fridę Wigdorową, oraz po

<sup>24</sup> A. Sacharow, *O stranie...*, s. 116–119.

\* Giennadij Aleksiejew to pseudonim Giennadija Gawriłowa (ur. 1939), Walentin Komarow – Leonarda Tiernowskiego (1933–2006) (red.).



*Białej księdze* procesu Siniawskiego i Daniela stało się zwyczajem publikowanie stenogramów procesów politycznych i związanych z nimi dokumentów. Wydano zbiory dokumentów dotyczących sprawy demonstrantów w 1967 r. (*Prawosudije ili rasprawa*) i „procesu czworga”, a także *Połdień* (Południe) Natalii Gorbaniewskiej o demonstracji na placu Czerwonym 25 sierpnia 1968 r. Julius Tieleśin wydał w samizdacie tom *14 poslednich słow* (14 ostatnich słów), w którym zostały zestawione najbardziej dobitne wystąpienia oskarżonych podczas procesów politycznych<sup>25</sup>. A co najważniejsze – znów zaczęła się regularnie ukazywać „Kronika Bieżących Wydarzeń”.

Jak pokazały wydarzenia, redakcja „Kroniki” nie zaprzestała pracy po wydaniu 27 numeru (listopad 1972 r.)\*. W odnowionym składzie kontynuowała zbieranie materiałów do kolejnych numerów, lecz ich nie publikowała. Na początku maja 1974 r., po półtorarocznej przerwie, ukazały się równocześnie numery 28, 29 i 30, a po kilku dniach (17 maja) 31 numer „Kroniki Bieżących Wydarzeń”.

W związku ze wznowieniem „Kroniki” członkowie Grupy Inicjatywnej Obrony Praw Człowieka w ZSRR Tatiana Wielikanowa, Tatiana Chodorowicz i Siergiej Kowalow po przekazaniu nowych numerów zachodnim korespondentom oświadczyli, że nadal będą starać się o rozpowszechnianie „Kroniki”. Zazaczyli, że redakcja „Kroniki” działa w warunkach utrudniają-

cych zbieranie i weryfikowanie informacji, niemniej jednak w ciągu minionych sześciu lat biuletyn zyskał reputację rzetelnego źródła informacji o łamaniu praw człowieka w ZSRR oraz o ruchu obrony praw człowieka<sup>26</sup>.

Można tylko dodać, że w trakcie śledztwa dotyczącego „Kroniki Bieżących Wydarzeń” KGB mimowolnie potwierdziło jej nieskazitelnosc: w 27 numerach zdołało znaleźć zaledwie jedną błędną informację – dotyczącą śmierci Baranowa.

Baranow, więzień jednego z obozów dla więźniów pospolitych w Mordowii, został umieszczony na oddziale psychiatrycznym szpitala, który graniczył ze strefą roboczą dla więźniów politycznych. Wybiegł w ubraniu szpitalnym do strefy zakazanej i rzucił się na ogrodzenie z drutu kolczastego. Zaczęto do niego strzelać, świadkowie widzieli, że upadł, więc uznali, że został zabity. Lecz rany nie były śmiertelne – Baranow przeżył. Podczas przesłuchań w sprawie Piotra Jakira i Wiktora Krasina śledczy KGB wykorzystali ten mimowolny błąd „Kroniki” do oskarżenia jej współpracowników o „oszczerstwo”.

W maju 1973 r. redakcja „Kroniki” opublikowała erratę do tej wiadomości. Została ona zamieszczona w „Kronice Obrony Praw w ZSRR” („Chronika zaszczyty praw w SSSR”)<sup>27</sup>. To pismo informacyjne w języku rosyjskim i angielskim zaczęło wychodzić w marcu 1973 r. w Nowym Jorku w wydawnictwie Khronika Press.

<sup>25</sup> W. Wojnowicz, *Żyżń i nieobykniewniyje prikluczenija soldata Iwana Czonkina*, Paris 1981; G. Władimow, *Wiernyj Rustan*, Frankfurt am Main 1975; R. Miedwiediew, *Ksudu istorii*, New York 1974; Ż. Miedwiediew, *Biologiczeskaja nauka i kult licznosti* (Archiwum samizdatu Radia Swoboda, Monachium (dalej: AS), 456 [zbiory obecnie przechowywane są w Open Society Archives w Budapeszcie – red.]); Ż. Miedwiediew, *Tajna pieriepiski ochraniajetsia zakonom*, London 1972; W. Turczin, *Iniercyja stracha. Socyjalizm i totalitarizm*, New York 1977; J. Olickaja, *Moi wospominanija*, t. 1–2, Frankfurt am Main 1971; J. Ginzburg, *Krutoj marszrut*, Frankfurt am Main 1967; N. Mandelsztam, *Wospominanija*, New York 1970 (wyd. 3 – 1976); G. Pomieranc, *Nieopublikowannoje*, [b.m.d.w.]; L. Wiencow [B. Szragin], *Dumat’!* (AS, 497, t. 7); G. Aleksiejew, *Obraszczenije k grażdanam Sowietского Sojuza o wozrozdienii stalinizma i mierach bor’by s nim*, 1968 (AS, 80, t. 1); W. Komarow, *Otkrytoje pis’mo o sowietской okkupacji Czechosłowakii* (AS, 69, t. 1); „Obszczestwiennyje problemy”, nr 5–15 (AS, t. 16); *Prawosudije ili rasprawa? Dielo o diemonstracyi na Puszkinskoj ploszczadi 22 janwaria 1967 goda. Sbornik dokumentow*, red. P. Litwinow, London 1968; *Process czetyrioch. Sbornik matieriałow po diełu Gałanskowa, Ginzburga, Dobrowolskogo i Łaszkowoj*, red. P. Litwinow, Amsterdam 1971; N. Gorbaniewskaja, *Połdień*, Frankfurt am Main 1970; *Moje poslednieje słowo*, „Wolnoje słowo” 1974, nr 14/15.

\* KGB aresztowało wówczas wybitnych działaczy ruchu obrony Piotra Jakira i Wiktora Krasina oraz represjami i szantażem zmusiło redakcję „Kroniki” do zamknięcia pisma (red.).

<sup>26</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 32, s. 96.

<sup>27</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, t. 1 [nr 1–15], Amsterdam 1979, nr 14, s. 446, 488 [wydanie zbiorowe]; „Chronika zaszczyty praw w SSSR”, nr 2, s. 5–6.

Strona tytułowa „Kroniki Obrony Praw” została celowo zaprojektowana podobnie do wydawanej na maszynie do pisania „Kroniki Bieżących Wydarzeń” – miała taki sam podtytuł: „Ruch w obronie praw człowieka w ZSRR nadal istnieje” i takie samo motto: artykuł 19 Powszechnej deklaracji praw człowieka. Redaktorem naczelnym został Walerij Czalidze, który po pozbawieniu go obywatelstwa zamieszkał w Nowym Jorku, funkcje redaktorów pełnili znani działacze Amnesty International: Anglik Peter Reddaway oraz Amerykanin Edward Kline. W 1974 r. do redakcji dołączył Paweł Litwinow, który również wyemigrował z ZSRR. Khronika Press stała się wydawnictwem ruchu obrony praw człowieka na Zachodzie. Po wznowieniu „Kroniki Bieżących Wydarzeń” Khronika Press drukowała jej kolejne numery i przesyłała z powrotem do Związku Radzieckiego.

28 numer „Kroniki Bieżących Wydarzeń”, który wyszedł po półtorarocznej przerwie, zaczynał się od następujących słów: „Powodem zawieszenia wydawania »Kroniki« stały się liczne i niedwuznaczne groźby organów KGB, że na każdy nowy numer »Kroniki« odpowiedzą nowymi aresztowaniami – aresztowaniami ludzi podejrzewanych przez KGB o wydawanie albo kolportaż nowych lub dawnych numerów. Sytuacja moralna, w jakiej znaleźli się ludzie postawieni przed trudną koniecznością podejmowania decyzji nie tylko za siebie, nie wymaga wyjaśnień. Lecz dalsze milczenie mogłoby oznaczać poparcie – choćby nawet pośrednie i bierne – dla taktyki brania zakładników, sprzecznej z prawem, moralnością i godnością człowieka. Dlatego »Kronika« wznowia publikację materiałów, dążąc do zachowania kierunku i stylu poprzednich numerów”.

Wznowienie „Kroniki” oznaczało, że zostały uruchomione kanały informacyjne obrońców praw człowieka, odżyły kontakty między poszczególnymi

ich grupami oraz między obrońcami praw człowieka i innymi działaczami niezależnymi. Oznaczało, że masa czytelników samizdatu i miliony radzieckich słuchaczy zagranicznych rozgłośni radiowych przekonały się o tym, o czym bez „Kroniki” wiedzieli tylko obrońcy prawa: walka o prawa człowieka w ZSRR trwa. Oznaczało również, że ruch obrony znów wyszedł na powierzchnię. Na koniec – miało to psychologiczne znaczenie: podtrzymywało na duchu, dawało nadzieję. Wznowienie „Kroniki” można więc uznać za próbiez przezwyciężenia kryzysu w ruchu obrony, który nastąpił w 1972 r.

Były też inne dowody wychodzenia z kryzysu. Jeszcze przed oświadczeniem o wznowieniu „Kroniki”, 13 lutego 1974 r., następnego dnia po aresztowaniu Sołżenicyna, w jego obronie wystąpili członkowie obrońcy prawa z tzw. apelem moskiewskim<sup>28</sup>. Żądali uwolnienia pisarza i wszczęcia dochodzenia w sprawie zbrodni systemu na podstawie materiałów *Archipelagu GULag*. To wystąpienie było jednym z pierwszych przejawów odradzania się aktywności ruchu obrony.

Grupa Inicjatywna Obrony Praw Człowieka w ZSRR również odżyła po dwóch latach prawie całkowitego milczenia. Od stycznia 1974 r. wydała kilka oświadczeń<sup>29</sup>. 30 października 1974 r. jej członkowie zorganizowali konferencję prasową, której przewodniczył Andriej Sacharow<sup>30</sup>. Była to nowa forma działalności Grupy Inicjatywnej i w ogóle pierwsza w ZSRR konferencja prasowa niezależnej grupy społecznej; dotychczas miały one charakter prywatny, ale i tak należały do rzadkości (pierwsza tego typu konferencja prasowa odbyła się w 1969 r., uczestniczyli w niej Amalrik, Bukowski i Jakir; kilka razy konferencje zorganizowali Sacharow i Sołżenicyn). A więc konferencja prasowa Grupy Inicjatywnej była nowością sama w sobie. Na ten dzień „Kronika” przygotowała swój specjalny numer (33), w całości poświęcony więźniom

<sup>28</sup> „Chronika tiekuszczych sobytij”, nr 32, s. 6; pełny tekst zob. „Chronika zaszczyty praw w SSSR”, nr 7, s. 6–7.

<sup>29</sup> „Chronika tiekuszczych sobytij”, nr 32, s. 90–91; *Inicjatiwnaja grupa po zaszczytie praw czelowieka w SSSR. Sbornik dokumentow*, New York 1976, s. 38–50.

<sup>30</sup> „Chronika tiekuszczych sobytij”, nr 33, s. 3–8.

politycznym. 30 października został na konferencji ogłoszony Dniem Radzieckich Więźniów Politycznych. Stało się tak z inicjatywy mordwińskich i permskich obozów politycznych. Sacharow i członkowie Grupy oświadczyli, że konferencja prasowa jest wyrazem ich solidarności z więźniami tych obozów. Poinformowali, że w obozach w tym właśnie dniu prowadzone są głodówki (jedno- i dwudniowe) na rzecz przyznania statusu więźnia politycznego, przekazali następnie korespondentom tekst statusu.

Poza tym wręczono korespondentom odezwy i listy otwarte więźniów napisane specjalnie z okazji Dnia Więźnia Politycznego. Wśród nich znajdował się zbiorowy list do Międzynarodowej Demokratycznej Federacji Kobiet dotyczący sytuacji więźniarek politycznych, list do Światowego Związku Pocztowego o systematycznym łamaniu jego przepisów w miejscach pozbawienia wolności itd. Oprócz listów korespondenci otrzymali wywiad z jedenastoma więźniami politycznymi permskiego obozu nr 35 poświęcony ich sytuacji prawnej, reżimowi w obozie, relacjom z administracją, a także wystąpieniom więźniów politycznych w obronie własnych praw.

W oświadczeniu Grupy Inicjatywnej szczególnie podkreślano, że więźniowie polityczni „zostali skazani za czyny, przekonania i zamiary, za które w państwie demokratycznym człowiek nie może być prześladowany”; pisano, że więźniowie świadomie podejmują ryzyko, zwracając się do ludzi na wolności: „Publikowanie apeli i listów jest ich wolą, natomiast próba uchronienia ich przed surową karą jest powinnością tych, którzy są na wolności, jest naszym i waszym zobowiązaniem”<sup>31</sup>.

W 1974 r. jako dopełnienie Grupy Inicjatywnej powstało kolejne niezależne stowarzyszenie – radziecki oddział Amnesty International. Na jego czele stanął doktor nauk fizyczno-matematycznych Walentin Turczin, a sekretarzem został Andriej Twierdochle-

bow<sup>32</sup>. W skład grupy weszli głównie moskwianie, ale należeli do niej również mieszkańcy innych miast. Zgodnie ze statutem Amnesty International jej członkowie powinni się zajmować więźniami politycznymi niebędącymi obywatelami tego państwa, w którym dany oddział organizacji się znajduje, tak więc grupa radziecka dostała od centralnego biura Amnesty International podopiecznych z Jugosławii, Urugwaju i Sri Lanki. A zatem działalność radzieckiego oddziału Amnesty nie miała bezpośredniej styczności z działalnością ruchu praw człowieka w ZSRR. Utworzenie oddziału Amnesty International w ZSRR wzmocniło międzynarodowe kontakty radzieckich obrońców, służyło zaznajomieniu ich z prawami człowieka w innych państwach. Poza tym doświadczenie kolejnego niezależnego stowarzyszenia społecznego, które mieściło się w ścisłych ramach radzieckich przepisów prawa, było cenne samo w sobie. Zarówno inicjatorzy tej grupy, jak i większość jej członków byli aktywnymi uczestnikami ruchu obrony. Twierdochlebow należał do grona założycieli Komitetu Praw Człowieka w ZSRR (1970) i był inicjatorem utworzenia Grupy-73. Walentin Turczin w 1970 r. razem z Sacharowem i Miedwiediewem napisał list otwarty do przywódców państwa radzieckiego – o konieczności demokratyzacji systemu sowieckiego. Był on również autorem wydanej w samizdacie *Iniercyi stracha* oraz kilku odez w obronie praw człowieka<sup>33</sup>. 30 października 1974 r. Turczin jako obserwator Amnesty International był obecny na konferencji prasowej z okazji Dnia Radzieckich Więźniów Politycznych. Andriej Twierdochlebow zaczął wydawać w samizdacie biuletyn „Mieždunarodnaja Amnistija”, który przybliżał radzieckiemu społeczeństwu dokumenty i normy prawa międzynarodowego określające status więźniów politycznych i warunki ich osadzenia<sup>34</sup>.

Wznowienie działalności przez wydawałoby się ostatecznie stłumione stowarzyszenia społeczne

<sup>31</sup> *Ibidem*, s. 8.

<sup>32</sup> „Chronika zaszczyty praw w SSSR”, nr 11, s. 28.

<sup>33</sup> AS, 360, t. 5; „Chronika tiekuszczich sobytij”..., t. 1, nr 12, s. 391–393.

<sup>34</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 30, s. 103–104.

i przez redakcję „Kroniki” wywołało zwykłą reakcję władz – aresztowania. W grudniu 1974 r. został aresztowany Siergiej Kowalow, członek Grupy Inicjatywnej, a w kwietniu 1975 r. Andriej Twierdochlebow<sup>35</sup>.

Kowalowowi zarzucano udział w Grupie Inicjatywnej, podpisanie kilku jej dokumentów, przekazanie zachodnim korespondentom materiałów dotyczących więźniów politycznych, które ujrzały światło dzienne na konferencji prasowej 30 października, oświadczenie w sprawie wznowienia „Kroniki”, udział w wydaniu jej siedmiu numerów, począwszy od 28, oraz przechowywanie trzech numerów „Kroniki Kościoła Katolickiego na Litwie” i zamieszczanie materiałów z niej w „Kronice Bieżących Wydarzeń”. W związku z ostatnim punktem oskarżenia rozprawa sądowa odbyła się w Wilnie (9–12 grudnia 1975 r.) – najwidoczniej po to, żeby maksymalnie zmniejszyć liczbę świadków tego procesu.

Kilkoro spośród najbliższych przyjaciół Kowalowa, którzy zamierzali jechać do Wilna, milicja zatrzymała do odejścia pociągu, a następnie ich śledziła i nie dopuściła do przyjazdu na rozprawę. A jednak do Wilna dotarli ludzie nie tylko z Moskwy (wśród nich Sacharow), ale również z Leningradu, przyszli też Litwini, którzy dowiedzieli się o procesie z zagranicznych rozgłośni, wstrząśnięci tym, że oskarżony – Rosjanin – rozpowszechniał materiały dotyczące prześladowań Kościoła katolickiego na Litwie.

Kowalowa oskarżono przede wszystkim o udział w redagowaniu „Kroniki Bieżących Wydarzeń”. W numerach, które stanowiły przedmiot oskarżenia, były 694 notatki. Śledczy zbadali 172 z nich. 89 uznali za dokładne, natomiast w 83 dopatrzili się „oszczerstw”. Kowalow obstawał przy dokładności 72 notatek z tych 83, choć nie wykluczał ewentualnych błędów w pozostałych. W sądzie operowano siedmioma epizodami z tych jedenastu, które oskarżenie uznało za najbar-

ziej charakterystyczne pod względem „oszczerstwa”, ale tylko na podstawie dwóch mało istotnych szczegółów można było podważyć wiarygodność „Kroniki”. W ten sposób weryfikacja „Kroniki” przeprowadzona podczas śledztwa przeciwko Kowalowowi po raz kolejny potwierdziła jej wysoką jakość informacyjną. Kowalowowi to nie pomogło; został skazany na siedem lat obozu o surowym rygorze i trzy lata zesłania<sup>36</sup>.

Proces Kowalowa zbiegł się w czasie z ceremonią wręczenia Sacharowowi Pokojowej Nagrody Nobla. Sacharow nie mógł przyjechać do Oslo – nie dostał zezwolenia na wyjazd. Gdy tylko ogłoszono, że dostał nagrodę, prasa radziecka rozpętała nagonkę przeciwko nowemu laureatowi, która trwała przeszło dwa miesiące. Jej kulminacją stał się list 72 akademików i członków korespondentów Akademii Nauk<sup>37</sup>. W samizdacie pojawiły się liczne gratulacje dla Sacharowa kierowane z różnych miejsc ZSRR oraz z obozów politycznych<sup>38</sup>. Dzięki kampanii prasowej czytelnicy radzieckich gazet dowiedzieli się o przyznaniu mu Nobla. Reakcją na to wydarzenie w ZSRR można ocenić na podstawie następującej informacji z „Kroniki Bieżących Wydarzeń: „Szwedzki korespondent przeszedł się moskiewską ulicą Krasnaja Priesnia i zapytał pierwszych dwunastu przechodniów, co myślą na temat przyznania Andriejowi Sacharowowi Pokojowej Nagrody Nobla. Dziesięć osób wyraziło satysfakcję, dwie osoby – oburzenie”<sup>39</sup>. Sam Sacharow zareagował na to wydarzenie w swoim stylu: „Mam nadzieję, że będzie to dobre dla więźniów politycznych w naszym kraju. Mam nadzieję, że podtrzyma to walkę o prawa człowieka, w której biorę udział. Uważam, że nagroda jest dowodem uznania nie tyle dla moich zasług, ile zasług tych wszystkich, którzy walczą o prawa człowieka”<sup>40</sup>.

Sacharow nigdy nie był liderem ruchu obrony praw człowieka, jak go niekiedy nazywają na Zachodzie

<sup>35</sup> „Chronika tiekuszczych sobytij”, nr 34, s. 3–5; nr 36, s. 3–9.

<sup>36</sup> „Chronika tiekuszczych sobytij”, nr 38, s. 14–25.

<sup>37</sup> „Izwestija”, 25 X 1975, cyt. za: „Chronika tiekuszczych sobytij”, nr 38, s. 5.

<sup>38</sup> „Chronika tiekuszczych sobytij”, nr 38, s. 3–4.

<sup>39</sup> *Ibidem*, s. 4.

<sup>40</sup> *Ibidem*, s. 3.



(obrońcy prawa nie mają liderów), lecz został uznany za kogoś, kto reprezentuje idee tego ruchu. Da się to wytłumaczyć nie tyle jego popularnością jako naukowca oraz aktywnością w obronie praw człowieka, ile tym, że dzięki swoim cechom charakteru jest uosobieniem ruchu obrony. Ofiarność, gotowość udzielania pomocy ludziom bezprawnie prześladowanym, nawet jeśli nie są mu bliscy z racji przekonań; ideologiczna tolerancja i równocześnie nieugiętość w walce o prawa człowieka i jego godność; wstręt do kłamstwa i jakiegokolwiek przemocy – są to cechy i samego Sacharowa, i całego ruchu obrony praw człowieka. [...]

Stosunek uczestników ruchów narodowych i religijnych do ruchu obrony uwidocznili się podczas zbierania podpisów pod listem w obronie Siergieja Kowalowa po jego skazaniu. „Żądamy, żeby wymiana idei i informacji przestała być karana. Żądamy, by nie prześladowano tych, którzy stają w obronie ofiar represji politycznych” – ogłaszano. List podpisało 179 osób, co samo w sobie jest znaczące: taka liczba podpisów na dokumencie dotyczącym obrony praw człowieka nie zdarzyła się od 1968 r. Szczególnie interesujące jest to, że prawie połowa sygnatariuszy pochodziła spoza Moskwy, list podpisało wielu nowicjuszy, a w znacznej części to byli nie obrońcy prawa, ale aktywiści innych ruchów: Tatarów krymskich, litewskiego, gruzińskiego, ukraińskiego, ormiańskiego i żydowskiego<sup>41</sup>. Był to pierwszy przypadek takiego wspólnego wystąpienia. Należy zaznaczyć, że było to wystąpienie w obronie członka Grupy Inicjatywnej i współpracownika „Kroniki”, tj. środowisk będących uosobieniem ruchu obrony praw człowieka.

Szybkie rozszerzanie się kontaktów tego ruchu z innymi da się w tym czasie prześledzić również w „Kronice Bieżących Wydarzeń”. W pierwszym po przerwie numerze – 28, który się ukazał w maju 1974 r., lecz był poświęcony wydarzeniom z końca 1972 r., zebrano informacje z 28 miejscowości, natomiast w 34 numerze, który się ukazał w grudniu 1974 r. – już z 71 miejscowości.

Proces Andrieja Twierdochlebowa pokazał, że również w Moskwie poszerzył się krąg jawnych sympatyków obrońców prawa: pod budynkiem sądu zebrał się tłum, przyszło wielu nowych ludzi. Nowością było też pojawienie się tam – wraz z korespondentami zagranicznymi – przedstawicielei Ambasady Stanów Zjednoczonych w Moskwie. Być może właśnie zainteresowanie Zachodu losom inicjatora radzieckiego oddziału Amnesty International przesądziło o tym, że skazano go na łagodny jak na realia radzieckie wyrok (5 lat zesłania)<sup>42</sup>. W każdym razie tej łagodności nie sposób wytłumaczyć wyłącznie wejściem w życie Aktu końcowego KBWE (1 sierpnia 1975 r.), ponieważ również proces Kowalowa odbył się po tej dacie.

W tym samym czasie, tj. w latach 1974–1975, odnotowano pierwsze sukcesy organizacyjne malarzy nonkonformistów. [...]

Próby organizowania wystaw artyści nonkonformiści podejmowali kilkakrotnie, ale bez powodzenia – odmawiano im sali. We wrześniu 1974 r. postanowili zorganizować wystawę pod gołym niebem. Wybrali pustkowie na południowym zachodzie Moskwy, na skrzyżowaniu ulic Profsojuznej i Ostrowitianowa. Zwrócili się do rady miasta z odpowiednim wnioskiem, ale zezwolenia im nie wydano. Nie wydano też zakazu; władze pominęły sprawę milczeniem. Na „pierwszy jesienny pokaz obrazów” organizatorzy rozesłali masę zaproszeń: do instytucji kultury, gazet oraz korespondentów zagranicznych.

15 września 1974 r. 24 malarzy zaczęło pokaz obrazów na pustkowiu, ale wkrótce wystawa została rozpedzona pod pretekstem, że w tym dniu wyznaczono tam prace zazieleniające. Pojawiły się buldożery i polewaczki, przyszli milicjanci i jakieś typy ubrane po cywilnemu – „przedstawiciele społeczności”. Rzucili się na artystów i publiczność, zaczęli ich bić, wykręcać ręce. Obrazy zabrano i wdeptano w błoto, rozjechano je buldożerami, które następnie ruszyły na publiczność. Wśród poturbowanych znaleźli się

<sup>41</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 39, s. 65–69.

<sup>42</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 40, s. 8–28.



dziennikarze zagraniczni: jednemu wybito ząb, inny dostał po głowie własnym aparatem fotograficznym. Pięcioro pobitych malarzy zostało aresztowanych przez milicję „za chuligaństwo”<sup>43</sup>. W prasie międzynarodowej rozpętała się burza. Oto tytuły artykułów: *Sztuka otoczona przez zbirów* („Los Angeles Times”, 17 września 1974 r.); *Sztuka pod buldożerem* („Christian Science Monitor”, 17 września); *Rosjanie rozgromili buldożerami wystawę sztuki współczesnej* („New York Times”, 16 września).

Widocznie dlatego artyści postanowili zorganizować za dwa tygodnie „drugi pokaz” obrazów pod gołym niebem. Wystawa odbyła się w Izmańowie, na polu za parkiem. Uczestniczyło w niej 65 malarzy nie tylko z Moskwy, ale też z Leningradu, Władimira, Swierdłowska oraz innych miast, w tym członkowie Związku Malarzy; w większości byli to nonkonformiści. Odwiedziło wystawę około 15 tys. osób. Tym razem władze tylko w milczeniu obserwowały wszystko z boku.

Po tym sukcesie artyści nieoficjalni zaczęli się domagać pomieszczenia na wystawę – i udało się im. Dostali zezwolenie na ekspozycję w Centralnym Domu Artysty. Jesienią 1975 r. odbyły się dziesięciodniowe pokazy w Leningradzie oraz w Moskwie na Wystawie Osiągnięć Gospodarki Narodowej. Organizowano je również w następnych latach, chociaż za każdym razem trzeba było walczyć o poszczególne obrazy, które nie podobały się urzędnikom z resortu kultury, i nie zawsze ta walka kończyła się zwycięstwem. Oprócz tego utworzono sekcję malarską przy miejskim Komitecie grafików, do której przyjęto wszystkich malarzy nonkonformistów. Dawało im to oficjalny status i zwalniało z konieczności tłumaczenia się przed milicją, że nie są „pasożytami”.

Pod koniec lat siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych od czasu do czasu zezwalano na ekspozycje. Lecz kiedy mieszkańcy Moskwy i Leningradu wpadli na pomysł zorganizowania międzynaro-

dowego festiwalu „Paryż – Moskwa” z równoczesnymi wystawami w obu tych miastach, przed rozpoczęciem festiwalu jego uczestnicy zostali aresztowani przez milicję na podstawie decyzji administracyjnej. W pokoju kolekcjonerki Ludmiły Kuzniecovej, gdzie znajdowały się przeznaczone do wystawienia obrazy, „zorganizowano” pożar, ją samą zaś pod groźbą aresztowania wyrzucono na emigrację. Festiwal się nie odbył<sup>44</sup>.

## VI. OKRES HELSIŃSKI (1976–1981)

12 maja 1976 r. na zwołanej przez Andrieja Sacharowa konferencji prasowej prof. Jurij Orłow poinformował o utworzeniu Grupy Współdziałania przy Wykonywaniu Porozumień Helsińskich w ZSRR (lub – jak zaczęto ją nazywać – Moskiewskiej Grupy Helsińskiej<sup>45</sup>). Powołanie MGH i fala wsparcia dla niej w ZSRR i na Zachodzie wprowadziły ruch obrony w nowy okres, który można nazwać helsińskim. To osiągnięcie stało się możliwe dzięki dziesięcioletniej ofiarnej pracy obrońców praw człowieka, nieustającej nawet w najtrudniejszych czasach. Ale dla osób postronnych była to niespodzianka. Z powodu represji otwarte wystąpienia obrońców prawa w poprzednim okresie należały do rzadkości i przyciągały mniejszą uwagę. Patrząc wstecz, opisane powyżej wydarzenia lat 1974–1976 można z całą pewnością scharakteryzować jako oznaki ożywienia ruchu obrony, lecz wówczas było ono zauważalne tylko dla jego uczestników.

Najwidoczniej kierownictwo KGB liczyło na to, że ruch obrony praw człowieka został zlikwidowany na dobre i więcej się nie pojawi. W każdym razie tak zapewne zameldowano szefom radzieckiej polityki międzynarodowej. Inaczej nie sposób wyjaśnić, dlaczego w sierpniu 1975 r. zdecydowali się oni na niezwykle zgoła krok – opublikowali w gazetach Akt końcowy KBWE w pełnym brzmieniu, włącznie z artykułami humanitarnymi. Pewnie uważali, że nie ma już

<sup>43</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 34, s. 61–62; A. Glezer, *Iskusstwo pod buldozierom*, London.

<sup>44</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 53, s. 163–165.

<sup>45</sup> *Ibidem*, s. 117–119; L. Aleksiejewa, *Jurij Orłow – rukowoditelj Moskowskoj Helsińskiej grupy*, „Kontinent” 1979, nr 21, s. 186–192.

nikogo, kto mógłby wystąpić z zarzutem nieprzestrzegania tych artykułów. Dotychczas zobowiązania ZSRR w zakresie praw człowieka pomijano w kraju ścisłym milczeniem. Odpowiednie dokumenty publikowano wyłącznie w specjalistycznych wydawnictwach o bardzo ograniczonym obiegu. Możliwe, że w tym wypadku radzieccy przywódcy chcieli się pochwalić przed narodem swoim sukcesem politycznym z Helsinek. Przez wiele lat domagali się takiego spotkania i byli zachwyceni jego wynikami. W związku z Aktem końcowym Związek Radziecki otrzymał istotne korzyści, przede wszystkim uznanie powojennych granic w Europie – li tylko za obietnicę przestrzegania praw człowieka. Zachodni partnerzy ZSRR nie spodziewali się żadnych istotnych zmian w wewnętrznej polityce radzieckiej. Tym bardziej nie myśleli o tym radzieccy przywódcy. Kalkulowali tak: przedstawiają Zachodowi istniejącą sytuację jako dobrą i tylko wypuszczą trochę pary w najbardziej drażliwych dla Zachodu kwestiach (emigracja Żydów i Niemców, rozszerzenie turystyki itd.). Na Zachodzie powszechnie uważano, że artykuły humanitarne Aktu końcowego są nic nieznaczącym wspólnym ukłonem rządów, które go podpisały, w stronę opinii publicznej krajów demokratycznych.

Ale obywatele radzieccy, którzy przeczytali Akt końcowy w gazetach, byli wstrząśnięci właśnie z powodu artykułów humanitarnych, ponieważ po raz pierwszy dowiedzieli się o tego typu zobowiązaniach międzynarodowych swojego rządu. Zaczęli się powoływać na porozumienia helsińskie podczas wystąpień do czynników oficjalnych, jeśli odmawiały one petentowi przyznania jakiegokolwiek prawa potwierdzonego w Akcie końcowym.

Większość obrońców prawa była w ocenie Aktu końcowego bliższa komentatorom zachodnim niż swoim rodakom, niemającym doświadczenia w dziedzinie praw człowieka. W Akcie końcowym widzieli oni krok wstecz w porównaniu z Powszechną deklaracją praw człowieka, międzynarodowymi paktami

i konwencjami. Lecz wśród nich znaleźli się ludzie, którzy dostrzegli w tym dokumencie nowatorski sens. Przede wszystkim odnosi się to do prof. Jurija Orłowa.

Przez wiele lat Orłow poszukiwał dróg dialogu między władzami i społeczeństwem na temat kardynalnych problemów kraju. W takim dialogu widział jedyną drogę do liberalizacji reżimu, bez której nie będzie wyjścia z gospodarczego, politycznego i moralnego kryzysu systemu radzieckiego. Próbę bezpośredniego zwrócenia się do władz Orłow podejmował dwa razy – w 1956 r. oraz w 1973 r., kiedy po powrocie do Moskwy po piętnastu latach przepracowanych w Armenii (gdzie został członkiem korespondentem Akademii Nauk) wysłał list do Breżniewa<sup>46</sup>. List pozostał bez odpowiedzi, a Orłow znowu stał się bezrobotnym. To doświadczenie osobiste, jak również znane Orłowowi bezskuteczne apele Sacharowa, Turczina i Miedwiediewa, Sołżenicyna i innych w latach siedemdziesiątych kazały mu szukać pośredników, którzy potrafiliby zmusić radzieckich przywódców do wystuchania opinii obywateli. [...]

Próba bezpośredniego apelowania do opinii publicznej Zachodu została podjęta w 1968 r. przez Łarise Bogoraz i Pawła Litwinowa w związku z „procesem czworga”. Pierwsze społeczne stowarzyszenie utworzone przez obrońców prawa – Grupa Inicjatywna Obrony Praw Człowieka w ZSRR – już w swoim pierwszym dokumencie zwróciło się do Zachodu, do ONZ. Członkowie Grupy tłumaczyli ten krok brakiem odpowiedzi na wcześniejsze wystąpienia do instytucji radzieckich i oczywistym zamiarem władz karania za tego typu odezwy. Po doświadczeniu Grupy stale pisano indywidualne i zbiorowe listy do różnorodnych organizacji oraz działaczy społecznych na Zachodzie. Wszystkie one zawierały informacje o prześladowaniach radzieckich obywateli za niezależną postawę społeczną i apele o pomoc dla represjonowanych. Zachód nie pozostał obojętny na losy działaczy niezależnych w ZSRR. Zaczynając od procesu Siniawskiego i Daniela, a może nawet wcześniej (sprawy

<sup>46</sup> Pełny tekst w zbiorze dokumentów: *Dieta Orłowa*, red. L. Aleksiejewa, New York 1980, s. 201–205.

Pasternaka i Brodskiego), radzieccy przywódcy czuli nacisk zachodniej społeczności i niekiedy nawet szli na ustępstwa, ponieważ starali się utrzymać na Zachodzie wrażenie, że ZSRR jest państwem demokratycznym. Czasami władze ewidentnie się wycofywały – np. przedterminowo uwalniając Brodskiego i Siniawskiego czy zmieniając wyroki śmierci skazanych w „sprawie samolotowej”\*. Mniej zauważalnym, lecz jeszcze bardziej istotnym skutkiem nacisku była pewna powściągliwość w prześladowaniu dysydentów. Myślę, że bez oglądania się na opinię publiczną Zachodu prześladowania zarówno obrońców praw człowieka, jak i uczestników innych ruchów byłyby znacznie bardziej skuteczne, zatoczyłyby szersze koło i prawdopodobnie okazałyby się bardziej surowe.

Pomoc Zachodu od samego początku opierała się głównie na zasadach korporacyjnych: pisarze pomagali pisarzom, naukowcy naukowcom, zagraniczne organizacje narodowe osobom tej samej narodowości, organizacje religijne swoim współwyznawcom; tylko Amnesty International zajmowała się wszystkimi więźniami sumienia. Lecz nawet to wsparcie ograniczało się do troski o losy ludzi poszkodowanych wskutek prześladowań. Nikt z Zachodu nie zwracał się do radzieckich przywódców z żądaniem przestrzegania praw obywatelskich i praworządności. Tymczasem Zachód powinien być tym żywo zainteresowany – ze względu na własne bezpieczeństwo. Stabilnej gwarancji takiego bezpieczeństwa można oczekiwać jedynie od społeczeństwa otwartego, w kraju, w którym władze znajdują się pod stałą i rzeczywistą kontrolą społeczną. Jest to możliwe tylko pod warunkiem rzeczywistego przestrzegania praw obywateli. Lecz rządy państw demokratycznych nie wykazywały zainteresowania stanem praw człowieka w ZSRR. Związek Radziecki ratyfikował Powszechną

deklarację praw człowieka ONZ, międzynarodowe paktory praw politycznych i ekonomicznych. A jednak ani razu odpowiednie organizacje międzynarodowe nie próbowały sprawdzić, czy dotrzymuje swoich zobowiązań, i żądać ich wypełnienia. Zwłaszcza Grupa Inicjatywna, która niejednokrotnie zwracała się do ONZ, nigdy nie otrzymała odpowiedzi.

W Akcie końcowym – za jego gromkimi sformułowaniami i celowo skomplikowanym językiem – Orłow wypatrywał możliwość popchnięcia Zachodu do tego typu współdziałania. Akt końcowy wskazywał państwu stronom prawomocność funkcji pośrednika w sferze praw człowieka, ponieważ bezpośrednio wychodził od nierozzerwalnego związku z głównym celem porozumień helsińskich – zachowaniem pokoju. Przy tak postawionej kwestii stopień wolności obywateli oraz informacyjna otwartość każdego państwa zyskiwały międzynarodową wagę i ze sprawy wewnętrznej zmieniały się we wspólną troskę. W razie naruszenia humanitarnych artykułów Aktu końcowego – podobnie jak każdego innego – naturalny był odpowiedni nacisk ze strony państw stron. W myśl Orłowa prawa obywateli wymienione w humanitarnych artykułach Aktu końcowego należało postrzegać jako międzynarodowy standard, podstawową normę traktowania obywateli przez rządy państw, które podpisały porozumienia helsińskie.

Żywiotową reakcją współobywateli Orłow odebrał jako impuls do działania, tym bardziej że w Akcie końcowym zawarte jest wezwanie do obywateli państw stron porozumienia z Helsinek, by współpracowali ze swoimi rządami przy jego realizacji; wychodzono z założenia, że wysiłki samych rządów mogą się okazać niewystarczające do zachowania pokoju. W oświadczeniu założycielskim MGH zapisano, że ogranicza ona swoją działalność do humanitarnych artykułów

\* W 1970 r. grupa dwunastu osób – w większości Żydzi walczący o prawo do emigracji z ZSRR (ros. *otkazniki*) – podjęła próbę porwania samolotu. Wykupili wszystkie bilety na lot lokalnej linii lotniczej i zamierzali uciec do Szwecji. 15 VI 1970 zostali aresztowani przed wejściem na pokład. W grudniu 1970 sądzono ich m.in. za zdradę ojczyzny i planowanie „szczególnie niebezpiecznego przestępstwa przeciwko państwu”; Eduard Kuzniecowa i Mark Dymyszyc otrzymali karę śmierci, pozostali – długoletnie wyroki pozbawienia wolności. Wskutek protestów za granicą wyroki Kuzniecowa i Dymyszyc zmieniono na 15 lat łagru, złagodzone także zakaz wyjazdów z ZSRR (*Słownik dysydentów. Czołowe postacie ruchów opozycyjnych w krajach komunistycznych w latach 1956–1989*, t. 2, Warszawa 2007, s. 72, 466) (red.).

Aktu końcowego. Grupa oznajmiła, że będzie zbierać od obywateli informacje o naruszaniu tych artykułów, na ich podstawie sporządzać dokumenty i przekazywać je do wiadomości społeczeństw i rządów państw, które podpisały Akt końcowy<sup>47</sup>.

Dokument założycielski MGH podpisało jedenaście osób (Ludmiła Aleksiejewa, Michaił Bernsztam, Jelena Bonner, Aleksandr Ginzburg, Piotr Grigorienko, Aleksandr Korczak, Malwa Łanda, Anatolij Marczenko, Jurij Orłow, Witalij Rubin i Anatolij Szczaranski). Większość założycieli grupy to dawni uczestnicy ruchu obrony praw. Rubin i Szczaranski – aktywiści żydowskiego ruchu na rzecz wyjazdu do Izraela. (Do MGH jako do pierwszej grupy obrońców praw człowieka weszli Żydzi, którym odmówiono prawa do wyjazdu).

MGH apelowała do społeczeństw innych krajów, by tworzyły podobne grupy. Ale pierwsza odpowiedź nadeszła nie z zagranicy, ale od obywateli republik nierosyjskich. 9 listopada 1976 r. proklamowano Ukraińską Grupę Helsińską, 25 listopada – Litewską, 14 stycznia 1977 r. – Gruzińską, 1 kwietnia – Ormiańską. Wszystkie składały się głównie z uczestników ruchów narodowych. Na Ukrainie, Litwie i w Armenii grupy helsińskie były pierwszymi jawnymi stowarzyszeniami społecznymi.

Podobne grupy powstały poza granicami Związku Radzieckiego. We wrześniu 1976 r. w Polsce utworzono Komitet Obrony Robotników (latem 1977 r. przekształcony w Komitet Samoobrony Społecznej KOR), a 1 stycznia 1977 r. – Kartę 77 w Czechosłowacji. Stowarzyszenia te nie nazywały siebie helsińskimi, ale podobnie jak grupy helsińskie w ZSRR stały na stanowisku obrony praw człowieka, opierały się na konstytucjach swoich państw i Paktach Praw Człowieka, przyjętych przez ich rządy. Na Węgrzech, w Rumunii oraz NRD zgłaszano podobne żądania. W Stanach Zjednoczonych powołano komisję do spraw

bezpieczeństwa i współpracy w Europie (tzw. Komisję Helsińską): sześciu kongresmenów, sześciu senatorów i po jednym przedstawicielu (z głosem doradczym) Departamentu Stanu, Departamentu Obrony oraz Departamentu Handlu<sup>48</sup>. (Po konferencji w Helsinkach, na której podpisano Akt końcowy, delegacja amerykańskich kongresmenów odwiedziła Moskwę. Członkini Kongresu Millicent Fenwick spotkała się z Jurijem Orłowem, Walentinem Turczinem i Wieniaminem Lewinem, któremu odmówiono zgody na wyjazd z kraju. Interesowała ją zdanie obrońców praw człowieka i aktywistów ruchu żydowskiego na temat Aktu końcowego. „Doktryna Orłowa” wywarła duże wrażenie na pani Fenwick. Właśnie ona zgłosiła do Kongresu projekt utworzenia Komisji Helsińskiej, bezpośrednio powołując się na opinię moskwiaków. Zgodnie z projektem Komisja miała wspomagać wypełnianie zobowiązań przez wszystkie państwa, które podpisały Akt końcowy<sup>49</sup>. W latach późniejszych utworzono społeczne grupy helsińskie w Stanach i krajach Europy Zachodniej).

Moskiewska Grupa Helsińska stała się ziarenkiem, z którego wyrósł międzynarodowy ruch helsiński. Jego istotą jest podciąganie poziomu przestrzegania praw człowieka do standardu ustalonego w Akcie końcowym w krajach, gdzie jest on niższy. Wśród państw stron porozumienia z Helsinek najbardziej dotyczy to ZSRR oraz krajów o takim jak on systemie społeczno-ekonomicznym.

MGH nie tylko rozpoczęła epokę tworzenia analogicznych stowarzyszeń, lecz również dała impuls do powołania kilku – można by rzec – specjalistycznych stowarzyszeń obrony praw człowieka w Związku Radzieckim. 5 stycznia 1977 r. przy MGH proklamowano Komisję Roboczą do Badania Wykorzystywania Psychiatrii do Celów Politycznych<sup>50</sup>. 27 grudnia 1976 r. pierwszy swój dokument wydał [prawostawny] Chrześcijański Komitet Obrony Praw Wierzących w ZSRR.

<sup>47</sup> „Sbornik dokumentow Obszczestwiennoj grupy sodiejstwija wypoťnieniju Helsinskich sogłaszenij w SSSR” (New York) 1977, nr 1, s. 5–7.

<sup>48</sup> Cyt. za: A. Frenkli jr, „Helsinskaja komissija” Kongriessa SSZA, „Chronika zaszczyty praw w SSSR”, nr 23/24, s. 17–20.

<sup>49</sup> *Ibidem*, s. 17–18.

<sup>50</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 44, s. 28.



Stał się on zresztą pierwowzorem [litewskiego] Katolickiego Komitetu Obrony Praw Wierzących.

Pojawienie się tych grup zbiegło się w czasie z początkiem funkcjonowania rosyjskiego Funduszu Pomocy Więźniom Politycznym i Ich Rodzinom, założonego przez Aleksandra Sołżenicyna w Szwajcarii w 1974 r. W związku z tym zmieniły się formy organizacyjne pomocy dla więźniów politycznych. Źródło finansowania znalazło się za granicą. Na terytorium ZSRR środkami finansowymi Funduszu zarządzał Aleksandr Ginzburg. Pomagali mu ci, którzy dotychczas zbierali środki (ich nazwiska w dalszym ciągu nie były ujawniane), lecz teraz zmieniły się ich funkcje: dostawali środki od zarządzającego i musieli się z nich rozliczyć. Część dawnych źródeł finansowania przestała istnieć, część poszła na inne cele, m.in. na pomoc dla wyrzuconych z pracy.

W ten sposób ruch obrony praw człowieka w krótkim czasie został otoczony siecią jawnych stowarzyszeń. Oczywiście, w tym czasie nie było ich zbyt dużo, nie miały też wielu członków – zaledwie kilkadziesiąt osób, lecz dzięki nim ruch obrony stał się widoczny dla postronnych, napłynęli nowi ludzie, gwałtownie zwiększyło się grono zaangażowanych w pracę organizacyjną i wielokrotnie wzrosło jego oddziaływanie. Ruch obrony praw człowieka stał się bardziej widoczny także dla Zachodu. Prasa zachodnia znacznie częściej pisała o prawach człowieka w ZSRR, zagraniczne rozgłośnie radiowe nadające do Związku Radzieckiego również zaczęły dużo o tym mówić i krzewić wiedzę wśród radzieckich obywateli na temat ruchu obrony, co znowu przyciągało do niego nowych ludzi. Kontakty moskiewskich obrońców prawa znacznie się poszerzyły. Do dawnych relacji z Ukraińcami i Tata-rami krymskimi (wiadomości na temat tych ruchów są zamieszczane w „Kronice Bieżących Wydarzeń” od jej pierwszych numerów) oraz z Litwą (skąd regularne informacje napływały od 1971 r.) w 1974 r. doszły relacje z Gruzją, Armenią i niemieckim ruchem na rzecz wyjazdu do RFN (informacje na temat tych ruchów w „Kronice” zaczęły być stałe właśnie od 1974 r.). W tym samym czasie w „Kronice” pojawiła się rubryka „Prześladowania wierzących” – z do-

niesieniami na temat prawostawnych, katolików, baptystów, pięćdziesiątników oraz adwentystów; z ruchami religijnymi również nawiązano godne zaufania kontakty. Wszystkie te kontakty odziedziczyła Moskiewska Grupa Helsińska, dzięki niej się umocniły.

Grupy helsińskie w nierosyjskich republikach w żadnym wypadku nie były filiami MGH. Były one całkowicie samodzielne, lecz występowały pod wspólnym hasłem: przestrzegania humanitarnych artykułów Aktu końcowego KBWE. Zbliżyło to ideowo i organizacyjnie ruchy narodowe do obrońców praw człowieka. [...]

Wziąwszy na siebie gromadzenie i opracowanie informacji na temat łamania praw człowieka, docierających z różnorodnych źródeł – i dawnych, i całkiem nowych – MGH stała się tubą obywatelskich żądań wszystkich warstw radzieckiego społeczeństwa, ludzi różnych narodowości i wyznań, stała się ogniwem łączącym ruchy niezależne, które wcześniej w żaden sposób nie były ze sobą związane. Przyjęły one taktykę MGH – popychania Zachodu do pośredniczenia między radzieckimi władzami i obywatelami. Uczestnicy ruchów narodowych i religijnych również zaczęli kierować swoje odezwy na Zachód – najczęściej do konferencji przeglądowej KBWE w Belgradzie, Kongresu Stanów Zjednoczonych i prezydenta, „społeczności światowej” oraz „ludzi dobrej woli”.

Wzrost życzliwego zainteresowania ruchem obrony praw człowieka pokazała demonstracja na placu Puszkina w Moskwie. Odbывała się ona od 1965 r. corocznie w Dniu Konstytucji, 5 grudnia, ale ani razu nie była tak liczna jak w 1976 r. Dotychczas gromadziło się nie więcej niż kilkudziesięciu uczestników, z reguły ci sami ludzie z roku na rok. [...] W 1976 r. tłum wypełnił cały skwer na placu Puszkina. Komsomolcy usiłovali utrudnić Sacharowowi i jego towarzyszom przedostanie się do pomnika poety. Otoczyli ich i odepchnęli daleko w bok. Około piętnastu stałych manifestantów jednak dostało się pod pomnik (byłam wśród nich). O godzinie osiemnastej, kiedy zdjęli czapki [na znak żałoby po wolnościach konstytucyjnych i solidarności z ofiarami bezprawia], wraz



z nimi to samo zrobili ludzie zgromadzeni wokół, przyłączając się w ten sposób do demonstracji. Było ich wielu – bez porównania więcej niż tych, którzy zostali w czapkach. Po raz pierwszy w ciągu tych wszystkich lat demonstracja nie odbywała się w milczeniu. Piotr Grigorienko miał krótkie przemówienie, kilka zdań. Wspominał o tym, że w przygotowaniach do pierwszej demonstracji na placu Puszkina brał udział Władimir Bukowski, który obecnie męczy się w więzieniu we Władimirze, i na koniec powiedział: „Dziękuję wszystkim, którzy tutaj przyszli, by uczcić pamięć milionów zmarnowanych istnień ludzkich! Dziękuję za współczucie dla więźniów sumienia!”. W odpowiedzi z tłumu rozległy się głosy: „To my dziękujemy!”.

(Dwa tygodnie później Bukowski został uwolniony – wymieniono go na sekretarza komunistycznej partii Chile Luisa Corvalána i prosto z więzienia wysłano za granicę)<sup>51</sup>.

W 1976 r. podobne demonstracje w tym samym czasie odbyły się w Leningradzie i Odessie – również pod pomnikami Puszkina.

W warunkach radzieckich wydarzenia te – mimo ich skromnej skali – dodawały otuchy. Świadczyły o tym, że w społeczeństwie nagromadziły się siły, które potrafią razem występować we wspólnej sprawie.

Władze natychmiast zareagowały na utworzenie MGH. Trzy dni po proklamowaniu Grupy jej przywódca Jurij Orłow został poinformowany, że jeżeli MGH zacznie działać, on i „osoby z nim związane” zostaną potraktowane z całą surowością prawa<sup>52</sup>. Do lutego 1977 r. nikogo jednak nie aresztowano. Prawdopodobnie nie od razu podjęto decyzję, jak postępować z MGH. Niewątpliwie radzieccy przywódcy zdawali sobie sprawę z tego, że prześladowanie takiej grupy byłoby poważnym naruszeniem Aktu końcowego KBWE, w którym oni pokładali wielkie nadzieje, toteż nie od

razu zdecydowali się na narażenie na szwank swoich stosunków z Zachodem.

Być może lęk przed pogorszeniem stosunków z Zachodem w razie otwartej rozprawy z grupami helsińskimi i równocześnie panika z powodu rozrastania się ruchu obrony praw człowieka pod flagą helsińską podsunęły KGB straszliwy pomysł.

8 stycznia 1977 r. doszło do wybuchu w metrze moskiewskim, były ofiary w ludziach. To niezwykle dla ZSRR wydarzenie wywołało nietypową reakcję władz. Radzieckie źródła informacji z reguły pomięły milczeniem nawet klęski żywiołowe i katastrofy lotnicze, lecz o wybuchu w metrze natychmiast powiadomiono zagranicznych korespondentów. Natychmiast także zaczęto poszukiwać terrorystów – wśród moskiewskich obrońców prawa. Na zebraniach, które organizowano w instytucjach i fabrykach, a także na Zachodzie przy pomocy podstawionych osób ogłoszono, że wybuch jest dziełem „dysydentów”.

MGH zwołała konferencję prasową i przekazała korespondentom oświadczenie „W sprawie wybuchu w moskiewskim metrze”: „Określenie »dysydenci« w Związku Radzieckim utarło się w odniesieniu do uczestników ruchu obrony praw człowieka. Dysydenci mają różne poglądy polityczne, religijne i filozoficzne, łączy zaś ich to, że walcząc o wcielenie w życie podstawowych praw człowieka, całkowicie odrzucają przemoc lub wezwania do użycia przemocy jako środki do osiągnięcia ich celów. Dysydenci odnoszą się do terroru z oburzeniem i wstrętem”<sup>53</sup>.

Oświadczenie to podpisały grupy helsińskie moskiewska i ukraińska, Komisja Robocza do Badania Wykorzystywania Psychiatrii do Celów Politycznych, Chrześcijański Komitet Obrony Praw Wierzących w ZSRR, Grupa Inicjatywna Obrony Praw Człowieka w ZSRR, Gruzińska Grupa Helsińska oraz aktywiści ruchu żydowskiego (to wspólne wystąpienie jest

<sup>51</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 43, s. 5–14; W. Bukowski, *I wozwraszczajetsia wietier...*, s. 3–8, 69–72, 378–384.

<sup>52</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 40, s. 119–121.

<sup>53</sup> „Sbornik dokumentow Obszczestwiennoj grupy sodiejstwija wypotnieniju Helsińskich sogłaszenij w SSSR”, nr 4, s. 42–43; zob. też „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 44, s. 39–40; L. Aleksiejewa, *Jurij Orłow...*, s. 189–193.

również świadectwem lepszej współpracy różnych sił społecznych).

Sacharow napisał oświadczenie, w którym wymienił znane mu mafijne czyny KGB. „Nie mogę uwolnić się od przeczucia – pisał – że wybuch w metrze moskiewskim i tragiczna śmierć ludzi jest nową i najbardziej niebezpieczną w ostatnich latach prowokacją organów represji, które może popełniły to przestępstwo, by mieć pretekst do masowego prześladowania dysydentów i zmiany wewnętrznego klimatu w kraju”<sup>54</sup>. 25 stycznia zastępca prokuratora generalnego ZSRR Gusiew oficjalnie uprzedził Sacharowa, że jego oświadczenie w sprawie wybuchu jest oceniane jako oszczerstwo, a ponawianie tego typu oświadczeń doprowadzi do aresztowania.

27 stycznia w reakcji na to Departament Stanu USA zapewnił o podziwie dla Sacharowa i całkowitym zaufaniu do niego<sup>55</sup>. Oświadczenie to wywołało radosne poruszenie w grupach helsińskich: czy nie jest pierwszym krokiem ku tak mocno pożądanemu pośrednictwu? Wprawdzie prezydent Jimmy Carter prawie natychmiast wyjaśnił, że Departament Stanu nie uzgadniał z nim oświadczenia, ale najwyraźniej ten krok wywarł wrażenie również na radzieckich przywódcach – porzucili oni próby wykorzystania wybuchu w metrze do prześladowania obrońców praw człowieka.

A jednak otwarte poparcie Zachodu nie zapobiegło represjom przeciwko grupom helsińskim. W lutym 1977 r. zostali aresztowani przywódcy grupy moskiewskiej i ukraińskiej – Jurij Orłow i Mykoła Rudenko oraz członkowie grup – Aleksandr Ginzburg i Ołeksij Tychy<sup>56</sup>. W Moskwie wiele osób tłumaczyło te aresztowania niewystarczającą twardością Cartera, na Zachodzie natomiast zaczęto mówić, że otwarte poparcie jest niebezpieczne dla obrońców praw człowieka. W sumie jednak przeważały inne nastroje. W tym

czasie jak nigdy dotąd Zachód mocno wspierał ruch obrony. Można powiedzieć, że stało się to modne. Prasa natychmiast z większą uwagą zaczęła traktować problemy praw człowieka w ZSRR.

Prezydent Carter zrekompensował swój brak konsekwencji ze stycznia, pisząc osobisty list do Sacharowa. List ten wręczono 14 lutego – niedługo po aresztowaniach Orłowa i innych<sup>57</sup>. W kwietniu Carter wykonał nie mniej sensacyjny gest – udzielił audiencji bohaterowi ruchu obrony praw człowieka Władimirowi Bukowskiemu.

Wsparcie Zachodu zmusiło do przełożenia na bardziej dogodny termin przygotowanej już wówczas rozprawy z Sacharowem i do zawężenia skali planowanych represji przeciwko jego zwolennikom. Co to były za zamierzenia, można ocenić na podstawie informacji opublikowanych w 44 numerze „Kroniki” (marzec 1977 r.). Zawiadamiała ona, że w wydawnictwie Agencji Prasowej Nowosti specjalna grupa pracuje nad broszurą *W sprawie wydalenia Sacharowa*. Większość nakładu planowano wydać w językach obcych. W marcu 1977 r. wykonano pierwszą korektę.

Poza tym „Kronika” informowała, że w lutym-marcu 1977 r. na naradzie redaktorów gazet i czasopism w wydziale agitacji i propagandy KC niewymieniony z nazwiska prelegent (nie z KC) oświadczył, że „postanowiono użyć siły i nie zwracać uwagi na Zachód”, dlatego planuje się aresztowanie pięćdziesięciu najbardziej aktywnych dysydentów oraz zastosowanie surowych środków wobec tych, którzy się do nich „wkręcili”<sup>58</sup>. Plan ten jednak czekał na swój czas – aż do 1980 r., kiedy to rzeczywiście zesłano Sacharowa, a wyrывkowe aresztowania aktywnych dysydentów zmieniły się w nagminne. W 1977 r. na to się jeszcze nie zdecydowano. Wówczas represje skoncentrowano na grupach helsińskich.

<sup>54</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 44, s. 39.

<sup>55</sup> „Chronika zaszczyty praw w SSSR”, nr 25, s. 11.

<sup>56</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 44, s. 6–27; L. Aleksiejewa, *Jurij Orłow...*, „Kontinent” nr 21, s. 195–214.

<sup>57</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 44, s. 103–105.

<sup>58</sup> *Ibidem*, s. 97.

4 października 1977 r. w Belgradzie rozpoczęła się konferencja poświęcona kontroli wykonywania porozumień helsińskich; to do niej najczęściej zwracały się grupy helsińskie. Państwa demokratyczne nie miały twardego stanowiska. Kraje europejskie nie zdecydowały się na poparcie delegacji amerykańskiej, która oskarżała ZSRR o łamanie artykułów humanitarnych, i osłabiały jej wysiłki. Jednak było to pierwsze międzynarodowe spotkanie na szczeblu rządowym, podczas którego postawiono Związkowi Radzieckiemu zarzuty w zakresie praw człowieka. Bezprecedensowe było również podejście: na konferencji belgradzkiej wykorzystano materiały niezależnych organizacji społecznych – grup helsińskich, tj. pretensje obywateli radzieckich wobec własnego rządu.

Było to ogromne zwycięstwo obrońców praw człowieka. Rządy demokratycznych państw zachodnich wykonały pierwszy krok w kierunku sił zabiegających o liberalizację w ZSRR. Lecz w Związku Radzieckim konferencja belgradzka musiała wywołać rozczarowanie.

Mogło się wydawać, że cel, który postawiły przed sobą grupy helsińskie, został osiągnięty: wolny świat dowiedział się o żądaniach obywateli radzieckich stawianych ich przywódcom i otwarcie je poparł. Lecz nie było oczekiwanego rezultatu – osłabienia represji w ZSRR. Naocznym potwierdzeniem tego gorzkiego losu stały się aresztowania członków grup helsińskich. Prowadzono je równocześnie z posiedzeniami w Belgradzie i kontynuowano po zakończeniu konferencji<sup>59</sup>. Władze porzuciły beznadziejne poszukiwania sposobu na wyjście z twarzą i członkom grup wytoczy-

no procesy za ich działalność społeczną; wyroki były ostentacyjnie surowe.

Już przed konferencją belgradzką stało się zupełnie jasne, że stanąwszy przed wyborem: utrata prestiżu na Zachodzie czy zmniejszenie kontroli nad obywatelami, radzieccy przywódcy wolą poświęcić prestiż. Można byłoby kontynuację represji położyć na karb zbyt słabych sił sprzeciwu w ZSRR i niedostatecznego ich wsparcia ze strony Zachodu, ale jak wiadomo polski eksperyment lat 1980–1981 przy masowości ruchu i znacznie bardziej stanowczej postawie Zachodu zakończył się podobnie.

Istnienie grup helsińskich nie przyniosło (przynajmniej dotychczas) rezultatu, dla którego zostały utworzone – zmniejszenia represyjności władz dzięki pośrednictwu Zachodu. Profesor Orłow – za to, że się przeliczył – został skazany na 7 lat obozu o surowym rygorze i 5 lat zesłania<sup>60</sup>. Jego los podzieliła większość współtowarzyszy z grup helsińskich.

Lecz jakby mimowolnie został osiągnięty rezultat, o którym nikt specjalnie nie myślał. Prawie równoczesne powstanie grup helsińskich w czterech nierosyjskich republikach i ich współpraca z moskiewskimi obrońcami prawa pokazały, że dzięki temu są widoki na rozwiązanie bolesnego problemu – wzajemnych stosunków między Rosjanami i innymi narodami. Alians z Chrześcijańskim Komitetem Obrony Praw Wierzących w ZSRR, Katolickim Komitetem Obrony Praw Wierzących i protestanckimi ruchami religijnymi przekonywał o tym, że wierzącym bliska jest postawa obrońców prawa, ich skupienie się na ludzkich cierpieniach i dążenie do ich łagodzenia; przekonywał

<sup>59</sup> „Chronika tiekuschczich sobytij”, nr 50, s. 5–21; *Dielo Orłowa...*, s. 123–251; „Chronika tiekuschczich sobytij”, nr 45, s. 23 (M. Marinowicz i M. Matusiewicz); s. 5–9 (M. Łanda); nr 46, s. 26–28 (Z. Gamsachurdia i M. Kostawa); nr 47, s. 20–27 (Ł. Łukianenko i G. Wins); s. 31–32 (R. Nazarian i S. Arutunian); nr 49, s. 7–9 (G. Goldsztejn).

<sup>60</sup> „Chronika tiekuschczich sobytij”, nr 46, s. 16–22 (sądzeni M. Rudenko i A. Tichij); nr 50, s. 22–78 (Z. Gamsachurdia, M. Kostawa, A. Ginzburg, A. Szczaranski, W. Piatkus, Ł. Łukianenko); s. 97–99 (W. Slepak); „Chronika tiekuschczich sobytij”, nr 51, s. 5–14 (R. Nazarian); „Chronika tiekuschczich sobytij”, nr 55, s. 5–7 (W. Strielcow, P. i W. Siczko, J. Łytwyn, O. Bierdnik); „Chronika tiekuschczich sobytij”, nr 56, s. 25–27 (M. Łanda – drugi proces); s. 64–65 (P. Rozumny, M. Gorbal); s. 70–72 (E. Arutunian); „Chronika tiekuschczich sobytij”, nr 57, s. 15–22 (W. Niekipietow); s. 57 (W. Kalinniczenko); „Chronika tiekuschczich sobytij”, nr 58, s. 67 (A. Statkevičius); s. 74 (O. Hejko); „Chronika tiekuschczich sobytij”, nr 60, s. 24–27 (L. Tiernowski); „Chronika tiekuschczich sobytij”, nr 61, s. 33–34 (O. Meszko); „Chronika tiekuschczich sobytij”, nr 62, s. 14–27 (T. Osipowa); s. 70 (I. Kandyba); s. 78–80 (V. Vaičunas, M. Juravičius); „Wiesti iz SSSR” 1982, nr 7, s. 1 (I. Kowalow).

o tym, że ideologia ruchu obrony jest zrozumiała dla niższych warstw radzieckiego społeczeństwa (baptyści, pięćdziesiątnicy, adwentyści – niebieskie kołnierzyki z niewielkim dodatkiem białych). Połączenie ruchów obrony praw człowieka, narodowych i religijnych odbyło się pod hasłem zaproponowanym przez Moskiewską Grupę Helsińską: praw obywatelskich, wymienionych w humanitarnych artykułach Aktu końcowego. Powstawało coś na kształt narodowego frontu pod flagą helsińska. Okazało się, że ideologia obrońców praw człowieka może się stać fundamentem ruchu, który ogarnie wszystkie warstwy radzieckiego społeczeństwa.

Aresztowania w Moskiewskiej Grupie Helsińskiej, rozpoczęte w 1977 r. i trwające w 1978, wywołały protesty, które pod względem skali można porównać do kampanii petycyjnej 1968 r.<sup>61</sup> Różnice między tymi kampaniami odzwierciedlają zmiany, które w ciągu dziesięciu lat zaszły w radzieckim społeczeństwie i ruchu obrony praw człowieka.

W 1968 r. przeważająca większość „podpisowaczy” (70 proc.) to byli Moskiewianie. Przeważała liberalnie nastawiona inteligencja, dla której złożony podpis był pierwszym w ich życiu niezależnym przejawem świadomości obywatelskiej. Nic dziwnego, że do przerwania ich wysiłków wystarczyła jednoznacznie sformułowana przez władze groźba utraty statusu społecznego. Tylko niewielka część „podpisowaczy” z 1968 r. nie zrezygnowała – zapoczątkowali oni ruch obrony praw człowieka.

W latach 1977–1978 zaledwie 27 proc. podpisów przeciwko aresztowaniom członków MGH złożyli Moskiewianie. W przeważającej części byli to obrońcy ze stażem, zahartowani w otwartej walce o stanowisko obywatelskie. Wśród „podpisowaczy” w tamtych czasach pojawili się ludzie nowi, którzy po raz pierwszy wystąpili otwarcie – takich było sporo. Lecz prawie wszyscy nowicjusze z „poboru” lat 1977–1978 zdawali

sobie sprawę, na co się porywają. Moskiewianie, którzy się przyłączyli do obrońców praw człowieka w latach 1977–1978, sami zostali obrońcami prawa – ich podpisy na dokumentach ruchu od tamtej pory pojawiały się niejednokrotnie. Ale najważniejsza różnica dotycząca sygnatariuszy protestów z lat 1977–1978 przeciwko prześladowaniom grup helsińskich polegała na tym, że większość podpisów (73 proc.) złożyły osoby spoza Moskwy<sup>62</sup>.

Poza Moskwą otwarte wystąpienia są bardziej niebezpieczne. Mało kto z tego grona śmiazków należał do ludzi przypadkowych. W większości byli to dawni obrońcy prawa oraz uczestnicy ruchów narodowych i religijnych. [...]

W latach 1976–1978 ostatecznie ukształtowała się struktura sił sprzeciwu, które w latach poprzednich powstały żywiołowo. Jawne stowarzyszenia społeczne stały się wspólnym szkieletem ruchu obrony praw człowieka i współpracujących z nim ruchów narodowych i religijnych. Taki schemat działał dopóty, dopóki w latach 1980–1982 nie aresztowano praktycznie wszystkich uczestników tych stowarzyszeń.

W ciągu 1977 i 1978 r. aresztowania w grupach helsińskich wyglądały w sposób następujący: w MGH – trzy osoby (w marcu do Orłowa i Ginzburga dołączył Szczaranski), na Ukrainie – sześć osób, na Litwie – jedna, w Gruzji – trzy osoby, w Armenii – dwie. Do tego dwie osoby z MGH wyrzucono na emigrację, a jedna z Litewskiej Grupy Helsińskiej wyjechała z własnej woli. Wobec niewielkiej liczebności grup te straty były bardzo odczuwalne, niemniej działalności nie paraliżowały. Tylko grupa gruzińska po aresztowaniu jej czołowych uczestników praktycznie przestała istnieć. Pozostałe grupy kooptowały nowych członków i kontynuowały pracę. Do MGH dołączyli: w 1976 r. Władimir Slepak (w miejsce Rubina, który dostał zezwolenie na wyjazd), w 1977 r. Naum Mejman, Jurij Mniuch, Sofia Kallistratowa, Tatiana Osipowa,

<sup>61</sup> Zob. *Process czetyrioch...*

<sup>62</sup> Biuletyny informacyjne dotyczące sprawy Orłowa i Ginzburga, nr 1–4 (AS, 3051, nr 29/77; 3266, nr 23/78; 3399, nr 41/78; 4568, nr 6/82); *Dieło Orłowa...*, s. 53–74; „Chronika tiekuszczych sobytij”, nr 44, s. 114–119; nr 46, s. 90, 97; nr 47, s. 142–167; nr 49, s. 103; nr 51, s. 189–193; nr 62, s. 171.



Wiktor Niekipietow, w 1978 r. Leonard Tiernowski, Feliks Sieriebrow, Jurij Jarym-Agajew, w 1979 r. Iwan Kowalow.

MGH przygotowała 26 dokumentów na konferencję w Belgradzie i 138 na konferencję w Madrycie (listopad 1980 r.)<sup>63</sup>. Pod względem tematycznym dokumenty MGH można podzielić na kilka grup, odpowiadających humanitarnym artykułom Aktu końcowego KBWE:

- 1) równouprawnienie i prawo narodów do decydowania o własnym losie;
- 2) wolność wyboru miejsca zamieszkania;
- 3) wolność wyjazdu z kraju i prawo do powrotu do niego;
- 4) wolność sumienia;
- 5) prawo do wiedzy o własnych prawach i do działania zgodnie z nimi;
- 6) więźniowie polityczni;
- 7) kontakty między ludźmi;
- 8) prawo do sprawiedliwego sądu;
- 9) prawa społeczno-ekonomiczne potwierdzone w Powszechnej deklaracji praw człowieka i Międzynarodowym pakcie praw obywatelskich i politycznych, przyjętych przez Związek Radziecki;
- 10) propozycje MGH dotyczące usprawnienia kontroli nad przestrzeganiem artykułów humanitarnych Aktu końcowego, przygotowane na konferencję belgradzką i madrycką.

W latach 1977–1978 w Moskwie oprócz MGH działały Chrześcijański Komitet Obrony Praw Wierzących w ZSRR oraz Komisja **Robocza do Badania Wykorzystywania Psychiatrii do Celów Politycznych**. Jej założyciele to Aleksandr Podrabinek, Wiaczesław Bachmin, Irina Kapłun, Feliks Sieriebrow i Dżemma Kwaczewska. Z ramienia MGH w skład komisji wszedł Piotr Grigorienko, konsultantem do spraw prawa została adwokat Sofia Kallistratowa, do spraw psy-

chiatrii – lekarz moskiewskiego obwodowego szpitala psychiatrycznego Aleksandr Wołoszanowicz (jego nazwisko przez jakiś czas trzymano w tajemnicy). Komisja Robocza funkcjonowała do lutego 1981 r., kiedy aresztowano ostatniego jej uczestnika, tj. przez cztery lata. W tym czasie ta maleńka grupka przygotowała 24 grube biuletyny informacyjne (ukazywały się nie rzadziej niż co dwa miesiące)<sup>64</sup>. Przeglądając te biuletyny, trudno zrozumieć, jakim cudem kilka zaledwie osób, do tego pracujących zawodowo, mogło tyle zdziałać. Nie mając żadnego dostępu do oficjalnych źródeł informacji, zestawili oni kartotekę więźniów politycznych przetrzymywanych w szpitalach psychiatrycznych, zebrali informacje na temat dziesiątków nieznanych nikomu ofiar represji psychiatrycznych i sprecyzowali dane ofiar już znanych. Sprawowali stały nadzór nad wszystkimi znanymi sobie więźniami szpitali psychiatrycznych: kto na co choruje, czego potrzebuje, dokąd został przeniesiony itd. – o tym wszystkim informowali w biuletynie. Komisja Robocza zorganizowała pomoc materialną dla swoich podopiecznych i ich rodzin będących w potrzebie. Członkowie Komisji sporządzili wykazy lekarzy psychiatrów i kierowników specjalnych szpitali psychiatrycznych oraz zwykłych, w których znajdowali się więźniowie polityczni. Napisali setki listów do tych lekarzy i administratorów, domagając się zaniechania szkodliwych metod leczenia i brutalnego traktowania. Dziesiątki razy zwracali się do radzieckich instytucji z żądaniem uwolnienia ludzi zdrowych, a także do społeczności zachodniej, skłaniając ją do podobnych zabiegów. Wykorzystując urlopy w pracy, jeździli w odwiedziny do szczególnie potrzebujących pomocy więźniów szpitali psychiatrycznych w najbardziej oddalonych zakątkach kraju.

Członkowie Komisji Roboczej do spraw psychiatrii niejednokrotnie mieli szczęście – rzadko dostępne

<sup>63</sup> „Sbornik dokumentow Obszczestwiennoj grupy sodiejstwija wypotnieniju Helsinskih sogtaszenij w SSSR”, nr nr 1–7.

<sup>64</sup> „Informacyonnyj biulletien Raboczej komissii po rassledowaniju ispolzowanija psichiatrii w politiczeskich celach”, nr nr 1–24 (AS, 3045, nr 28/77; 3088, nr 1/78; 3225, nr 18/78; 3270, nr 24/78; 3299, nr 27/78; 3119–3320, nr 30/78–31/78; 3328, nr 33/78; 3350, nr 35/78; 3448, nr 2/79; 3487, nr 7/79; 3537, nr 12/79; 3631, nr 22/79; 3737, nr 36/79; 3738, nr 36/79; 3833, nr 3/80; 3946, nr 15/80; 3961, nr 15/80); „Wolnoje słowo” 1981, nr 41/42; zob. też przyp. 84.



obrońcom prawa – uściśnić tych, których udało się uwolnić. Utworzenie Komisji było bezpośrednią reakcją na nasilenie represji psychiatrycznych pod koniec 1976 r. Wtedy prawie w tym samym czasie umieszczono w szpitalach psychiatrycznych ponownie tych więźniów, którzy po wyjściu ze szpitala kontynuowali swoją dotychczasową działalność; byli to Władimir Borisow z Leningradu, Piotr Starczik z Moskwy, Eduard Fiedotow i Aleksandr Argientow z okolic Moskwy. Nowo utworzona Komisja Robocza zajęła się tymi przypadkami – i wszyscy ci ludzie w krótkim czasie zostali uwolnieni<sup>65</sup>. Komisja uwolniła ze szpitala psychiatrycznego dziennikarza Michaiła Kopysova, mieszkańca niewielkiego miasteczka Bobrow w obwodzie woroneskim. Nadużycia psychiatrii w tak oddalonych miejscach przed utworzeniem Komisji z reguły umykały uwadze. Komisja dowiedziała się o losie Kopysova, nagłośniła sprawę – i Kopysov odzyskał wolność<sup>66</sup>. O Jurija Biełowa, który w szpitalach psychiatrycznych spędził lat siedem, Komisja Robocza walczyła przez dwa lata – i doprowadziła do jego uwolnienia<sup>67</sup>.

Niezwykłą w warunkach radzieckich skuteczność Komisji Roboczej da się wytłumaczyć przede wszystkim tym, że kontynuowała ona dwudziestoletnie wysiłki wielu ludzi – najpierw działających w pojedynkę, jak Siergiej Pisarijew, a następnie całego ruchu obrony praw człowieka. Wyczyn Bukowskiego, który przekazał na Zachód historię choroby sześciu działaczy niezależnych zamkniętych w szpitalach psychiatrycznych, nie poszedł na marne. Mimo że międzynarodowy zjazd psychiatrów w Meksyku odmówił rozpatrzenia tych dokumentów, na Zachodzie znalazły się

osoby, które je przestudiowały i przekonały się, że psychiatria w ZSRR rzeczywiście jest wykorzystywana w celach politycznych. Dodatkowe dowody pojawiły się wtedy, kiedy wyemigrowało kilku dysydentów – byłych więźniów szpitali psychiatrycznych. Zostali zbadani przez specjalistów i uznani za zdrowych. Tym sposobem w 1977 r., gdy Komisja Robocza zaczynała swoją działalność, na Zachodzie funkcjonowało już kilka organizacji społecznych, które dążyły do przerwania represji psychiatrycznych w ZSRR<sup>68</sup>. Międzynarodowy zjazd psychiatrów, który w 1977 r. odbywał się w Honolulu, z pełnym zaufaniem zbadał przysłane przez Komisję świadectwa i przyjął rezolucję potępiającą Związek Radziecki<sup>69</sup>. Stałe i aktywne wsparcie ze strony społeczności zachodniej mocno przyczyniło się do sukcesu Komisji.

[...] Represje przeciwko Komisji Roboczej zaczęły się w 1978 r. W maju został aresztowany Aleksandr Podrabinek. Sądzone go za jego książkę *Karatielnaja medicina* (Medycyna karna) – o nadużyciach w radzieckiej psychiatrii<sup>70</sup>. Po aresztowaniu Podrabinka do Komisji dołączyli Leonard Tiernowski i Irina Griwnina<sup>71</sup>.

W sierpniu 1978 r. na konferencji prasowej dla korespondentów zagranicznych ujawniono nazwisko psychiatry, który był konsultantem Komisji Roboczej. Aleksandr Wołoszanowicz poinformował, że zbadał przypadki 27 osób, które wcześniej z politycznych powodów zostały zamknięte w szpitalach psychiatrycznych, i w żadnym z nich nie znalazł medycznego uzasadnienia hospitalizacji i leczenia<sup>72</sup>.

Zapewne w obawie przed międzynarodowym skandalem zarząd Wszechzwiązkowego Towarzystwa

<sup>65</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 41, s. 13–14; nr 42, s. 5–6; nr 43, s. 53–54, 56–62.

<sup>66</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 43, s. 56–57; S. Bloch, P. Reddaway, *Diagnoz: inakomyslije*, London 1981, s. 325–326.

<sup>67</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 45, s. 62–64; nr 46, s. 77–78; nr 47, s. 135; nr 48, s. 92–93.

<sup>68</sup> S. Bloch, P. Reddaway, *Diagnoz...*, s. 255–320.

<sup>69</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 47, s. 154–155; S. Bloch, P. Reddaway, *Diagnoz...*, s. 328–333.

<sup>70</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 50, s. 79–87; „Informacyonnyj biulletien Raboczej komissii po rassledowaniju ispolzowanija psichiatrii w politiceskich celach”, nr 9.

<sup>71</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 50, s. 79; nr 56, s. 31.

<sup>72</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 50, s. 86.

Neuropatologów i Psychiatrów na zebraniu w październiku 1978 r. powołał komisję do zbadania przypadków wymienionych przez Wołoszanowicza na konferencji prasowej. Kilka osób wypuszczono ze szpitali, lecz zaczęto prześladować samego Wołoszanowicza, musiał więc emigrować z ZSRR<sup>73</sup>. Od tego momentu (lutym 1980 r.) konsultantem Komisji Roboczej został psychiatra z Charkowa Anatolij Koriagin.

W lutym 1980 r. aresztowano Bachmina, w kwietniu Tiernowskiego, we wrześniu Griwniną, w styczniu 1981 r. Sieriebrowa<sup>74</sup>. Wszyscy byli sądzeni za „oszczerstwa”, tylko Sieriebrow za antyradziecką agitację i propagandę<sup>75</sup>.

W lutym 1981 r. aresztowano Anatolija Koriagina – gdy po wykonaniu ekspertyzy Aleksieja Nikitina, walczącego o prawa dla robotników, uznał go za zdrowego i przekazał swoją opinię zagranicznym korespondentom. Koriagin został skazany na 7 lat obozu o surowym rygorze i 5 lat zesłania<sup>76</sup>. Był ostatnim znajdującym się na wolności członkiem Komisji Roboczej.

### **Niezależne stowarzyszenia społeczne utworzone w latach 1978–1979**

W latach 1978–1979 w Moskwie pojawiło się kilka nowych niezależnych stowarzyszeń. W odróżnieniu od MGH, która zajmowała się całokształtem zagadnień praw człowieka, można je nazwać organizacjami specjalistycznymi w takim samym sensie jak Chrześcijański Komitet Obrony Praw Wierzących w ZSRR i Komisja Robocza: miały za zadanie obronę określonej grupy obywateli bądź konkretnych praw obywatelskich (jednego lub kilku). Były to: Grupa Inicjatywna

Obrony Praw Inwalidów w ZSRR (utworzona w marcu 1978 r.), Wolne Związki Zawodowe (lutym 1978 r.) oraz – po ich prawie natychmiastowym rozbitciu – Wolne Międzybranżowe Zrzeszenie Pracownicze – SMOT [28 października 1978 r.].

W połowie 1979 r. utworzono grupę Prawo do Emigracji. Po kilku rozsadach zaczęli w niej działać: Ludmiła Agapowa, Iwan Łupaczow, Mark Nowikow, Wiaczesław Riepnikow, Władimir Szepielew; później dołączył do nich Wasilij Barac i stanął na czele grupy<sup>77</sup>. Grupa wyznaczyła sobie następujące cele: uporządkowanie polityki emigracyjnej, sprowadzenie jej do norm ogólnodemokratycznych, przyjęcie ustawy o emigracji; gromadzenie i ujawnianie przypadków łamania prawa obywateli do wyjazdu z ZSRR; wspieranie tych, którzy chcą skorzystać z prawa do wyjazdu z powodów społecznych, religijnych, ekonomicznych bądź innych. W czerwcu 1979 r. grupa skierowała do Prezydium Rady Najwyższej ZSRR projekt „Przepisów o trybie wyjazdu obywateli z ZSRR”. W dołączonym liście stwierdzano, że w ustawie o obywatelstwie, która zaczyna obowiązywać 1 lipca 1979 r., brakuje rozdziału o trybie wyjazdu z kraju – projekt grupy może się więc przyczynić do uzupełnienia tej luki.

Domagając się przyjęcia prawodawstwa dotyczącego emigracji, grupa udzielała praktycznej pomocy w uzyskaniu zezwolenia na wyjazd. W 1979 r. zajmowała się dwoma przypadkami: pięćdziesiętników z miasta Nachodka oraz wspólnoty irańskiej (200 osób), która w 1949 r. przedostała się z Iranu do ZSRR i została pozbawiona możliwości powrotu. Z ramienia tej wspólnoty do grupy dołączył Bebut Saman (Duszanbe)<sup>78</sup>. Grupa wydawała biuletyn informacyjny<sup>79</sup>.

<sup>73</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 56, s. 32–37; nr 60, s. 22; nr 61, s. 16–18.

<sup>74</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 58, s. 15–20 (W. Bachmin); „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 60, s. 24–27 (L. Tiernowski); „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 61, s. 12–15 (A. Podrabinek); „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 63, s. 7–14 (I. Griwnina); *ibidem*, s. 14–17 (F. Sieriebrow).

<sup>75</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 51, s. 166; nr 52, s. 78–79; nr 53, s. 133; nr 54, s. 33–34; nr 56, s. 104.

<sup>76</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 61, s. 18–20; nr 62, s. 27–34.

<sup>77</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 54, s. 110.

<sup>78</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 53, s. 139.

<sup>79</sup> „Listy” (biuletyn informacyjny grupy Prawo do Emigracji) 1980 (AS, 4274, nr 15/81).

Grupa Wybory-79, powstała w lutym 1979 r., ściśle rzecz ujmując, nie była grupą obrony praw człowieka. Jej członkowie zamierzali samodzielnie wcielić w życie zapisane w konstytucji, lecz zabrane obywatelom radzieckim przez władze prawo do wyłaniania kandydatów w wyborach do Rady Najwyższej ZSRR. Formalnie kandydaci są wyłanianiani na zebraniach pracowniczych w zakładach znajdujących się na terenie danego okręgu wyborczego, lecz *de facto* są typowani i przydzielani do okręgów odgórnie, na zebraniach zaś jedynie wymienia się wyznaczone przez „góre” osoby.

Najbliższe wybory miały się odbyć 4 marca 1979 r. Czterdzieści osób (spośród nich znane są następujące nazwiska: W. Syczow, W. Baranow, L. Agapowa, W. Sołowow), które tworzyły grupę Wybory-79, zwróciło się do Sacharowa z propozycją, by został ich kandydatem do Rady Najwyższej, ale on odmówił. Zgłoszono dwie kandydatury: do Rady Związku – historyka Roja Miedwiediewa, ze swierdłowskiego okręgu wyborczego Moskwy oraz do Rady Narodowości – inżyniera Ludmiły Agapowej, żony uciekiniera Agapowa, która starała się o zgodę na wyjazd do męża, z jednego z okręgów podmoskiewskich. Grupa złożyła dokumenty wymagane do rejestracji swoich kandydatów, lecz nie uzyskała odpowiedzi w terminie wyznaczonym przez ordynację wyborczą na wyłanianie kandydatów. Na tej podstawie odpowiednie komisje wyborcze odmówiły zarejestrowania ich<sup>80</sup>.

Grupę **Inicjatywną Obrony Praw Inwalidów** proklamowano w sposób tradycyjny – na konferencji prasowej MGH. Pozostałe niezależne stowarzyszenia społeczne utworzone w latach 1978–1979 powstały i działały poza kręgiem moskiewskich obrońców praw człowieka i – poza nielicznymi wyjątkami – bez jego wsparcia.

Przedsięwzięcia te były podejmowane przez ludzi całkiem nowych. Pojawili się oni na arenie społecznej w wyniku otwartej działalności obrońców prawa

w poprzednich latach, która zaktywizowała środowiska dotychczas odległe od niezależnej działalności społecznej. Ogromną w tym rolę odegrały zagraniczne rozgłośnie radiowe, które w 1976 r. mocno zwiększyły liczbę audycji na temat praw człowieka i ich obrońców.

Bohaterski sprzeciw obrońców praw człowieka stał się przykładem nie tylko dla podobnie myślących współobywateli, ale również dla ludzi powierzchownie przyjmujących ich idee oraz tych, którzy mentalnie byli obcy ruchowi obrony – z jego zasadą niezgody na wszelką przemoc, tolerancją i kulturą umysłową. Do czołowych obrońców prawa, których nazwiska powtarzano w audycjach zagranicznych rozgłośni radiowych, ciągnęli ludzie o najróżniejszych intencjach: od całkowicie się z nimi identyfikujących po tych, którzy żądali oddania środków Funduszu Pomocy Więźniom Politycznym i Ich Rodzinom (lub części mitycznego „złotego deszczu” z Zachodu, o którym stale pisała prasa radziecka, coraz bardziej zainteresowana obrońcami prawa) na urządzenie podziemnej radiostacji, a nawet na broń potrzebną do obalenia reżimu. (Pominę milczeniem tych, którzy po prostu chcieli coś wyłudzić dla siebie). Wśród fantastów byli też tacy, którzy zgłaszali się na szefów tych zamierzeń albo proponowali przywództwo Sacharowowi bądź któremuś z jego stronników. Tacy interesanci odchodzili z kwitkiem: już po krótkiej chwili było jasne, że czołowi obrońcy praw człowieka nie nadają się na Robin Hoodów i nie mają zamiaru tej roli odgrywać. Niektórzy się obrazili, ponieważ odmówiono im spotkania; odmawiano niekiedy dlatego, że większość działaczy ruchu obrony była niestęchanie zajęta. Ruch wyrósł poza swoje dotychczasowe ramy, natomiast grono jego aktywnych uczestników rozszerzyło się w dużo mniejszym stopniu, nie zmieniły się też metody ich pracy.

Ruch obrony praw człowieka ogarniał nowe warstwy i wyszedł na arenę międzynarodową, ale jego trzonem, grupą najaktywniejszych, pozostał przyja-

<sup>80</sup> Relacja Wadima Baranowa z grupy Wybory-79.

cielski krąg jego założycieli, którzy pracowali tak jak kiedyś – opierając się przede wszystkim na więziach koleżeńskich; nie potrafili i nie chcieli inaczej. Tylko ludzie bliscy duchowo znajdowali w tym kręgu uznanie i włączali się w jego działalność. Pozostali się nie przyjmowali, niczym obce ciała, ponieważ nie potrafili robić tego, co obrońcy prawa i w ten sam sposób co oni. Skutkiem odrzucenia było z jednej strony obrażanie się na członków tego zamkniętego zakonu oraz oskarżanie ich o zarozumiałość i pychę, z drugiej ich potworne zawalenie robotą. Jeżeli przedtem każda rzecz znajdowała wykonawcę, teraz wiele spraw czekało na swoją chwilę – i nie wszystkie się doczekały.

Nie otrzymując pomocy, aktywni nowicjusze samodzielnie zaczęli robić akcje podobne do tych, o których zastyszeli z radia. Wśród tych działaczy trafiali się ludzie próżni, marzący o „sławie radiowej”, ale wielu też było ludzi z ciekawymi, a nawet nowatorskimi w warunkach radzieckich pomysłami, mieszczącymi się w nurcie ideologii obrony praw człowieka, np. Wolne Związki Zawodowe, Prawo do Emigracji lub Wybory-79. Ale postępowanie i wypowiedzi tych nowicjuszy bardzo często wykraczały poza granice ideologii i norm etycznych panujących w środowisku obrońców prawa, co również powodowało niemożność porozumienia się (np. usilne próby Wołodymyra Klebanowa [twórcy Wolnego Związku Zawodowego], by „dogadać się” z KGB w sprawie bezpieczeństwa jego związku zawodowego) lub roszady w grupie Prawo do Emigracji (z powodu wzajemnych oskarżeń o współpracę z KGB). Żeby ta nowa warstwa aktywnych osób, ciągnąca w kierunku obrony praw człowieka, zmieniła się w prawdziwych obrońców, do nowicjuszy należało przez długi czas odnosić się z wyrozumiałością i cierpliwie z nimi pracować, tak jak polska inteligencja ze swoimi robotnikami.

Okazało się, że większość moskiewskich obrońców praw człowieka nie nadaje się do tej roli. Ich pluralizm i wyobrażenia o wolności nie pozwalały im na propagowanie własnych idei; mogli je wyłącznie rozpowszechniać [we własnym kręgu]. Co więcej, w latach 1977–1978 trzon moskiewskich obrońców prawa składał się z założycieli tego ruchu, którzy postrzegali go przeważnie jako sprzeciw czysto moralny, pozbawiony jakichkolwiek celów politycznych, z pozyskiwaniem zwolenników wyłącznie. Nie było też ich zamiarem poszerzenie tego ruchu, objęcie nim innych warstw społecznych, jak to się działo w Polsce, a kiedy stało się to samo z siebie, bez ich udziału, nie potrafili tego docenić i odsunęli się od obcych. Historia wzajemnych relacji między weteranami ruchu obrony a tymi, którzy za nimi podążali, wprawieni w ruch ich energią, pokazała, że obie strony nie były gotowe na spotkanie, a tym bardziej na współpracę, nie znalazły wspólnego języka.

Samizdat ruchu obrony praw człowieka w ciągu tych lat został wzbogacony o ponad setkę dokumentów Moskiewskiej Grupy Helsińskiej poświęconych różnym zagadnieniom, zawierających obszerny materiał informacyjny i ustępujących liczbą tylko „Kronice Bieżących Wydarzeń”, lecz w odróżnieniu od „Kroniki” była tu analiza i ocena podawanych faktów. [...] MGH nie przygotowywała zbiorów swoich dokumentów, były one przekazywane na Zachód w miarę ich powstawania. Zostały opublikowane w tomach po rosyjsku nakładem Khronika Press (Nowy Jork), a po angielsku – Komisji do spraw Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (Waszyngton)<sup>81</sup>. Po aresztowaniach członków MGH w 1977 r. w samizdacie ukazały się cztery tomy dokumentów w ich obronie<sup>82</sup>. Pod koniec 1979 r., po aresztowaniu Tatiany Wielikanowej, przygotowano dwa tomy dokumentów *W zaszczytu Tatjany Wielikanowej (W obronie...)*<sup>83</sup>.

<sup>81</sup> „Sbornik dokumentow Obszczestwiennoj grupy sodiejstwija wypoťnieniju Helsińskich sogłaszenij w SSSR”, nr 1–7.

<sup>82</sup> Zob. przypis 62.

<sup>83</sup> Biuletyn informacyjny nr 1 Komitetu Obrony Tatjany Wielikanowej, Moskwa, 12 XII 1979 [w:] „Wolnoje słowo” (Frankfurt am Main) 1980, nr 38. Zob. też AS, 4170–4172, nr 5/82; 4555–4556, nr 5/82.



W latach 1977–1979 ukazywały się następujące biuletyny informacyjne: Komisji Roboczej do Badania Wykorzystywania Psychiatrii do Celów Politycznych<sup>84</sup>, Grupy Inicjatywnej Obrony Praw Inwalidów w ZSRR<sup>85</sup>, SMOT<sup>86</sup>, grupy Prawo do Emigracji<sup>87</sup>. Wszystkie te biuletyny ukazywały się regularnie, miały kilka numerów rocznie i znacząco rozszerzyły zakres wiedzy w dziedzinie praw człowieka. Poza biuletynem wydawanym przez SMOT na stronie tytułowej podawano w nich nazwiska i adresy członków redakcji.

W tym okresie Sacharow coraz częściej udzielał wywiadów korespondentom zagranicznym. Były odnotowywane w „Kronice Bieżących Wydarzeń”, krążyły w samizdacie, zostały też wydane (przed sierpniem 1977 r.) w zbiorze *Trwoga i nadzieja* przez Khronika Press. W samizdacie ukazały się również trzy tomy materiałów zawierających krytykę projektu nowej konstytucji ZSRR<sup>88</sup>.

Tendencja do wydawania zbiorów tekstów, do tego wychodzących regularnie, pojawiła się także w publicystyce politycznej. Pierwszym tego typu wydawnictwem był almanach historyczny „Pamięć” (Pamięć) z anonimową redakcją. Każdy jego numer zawiera około 600 stron maszynopisu. „Pamięć” ukazuje się od 1976 r. raz w roku (do 1982 r. wyszło pięć\* numerów)<sup>89</sup>. We wstępie od redakcji pisano: „Za swój pierwszorzędnny cel redakcja uważa gromadzenie świadectw historycznych oraz ich publikację, ...wprowadzenie do obiegu – naukowego i społecznego”<sup>90</sup>. [...]

Zgodnie z zamierzeniem redakcji „Pamięć” miała być wydawnictwem nie politycznym ani ideologicznym, lecz bezpartyjnym. Tak więc już w pierwszym numerze w dziale „Wspomnienia” opublikowano memuary: emigrantki monarchistki, nauczycielki z Petersburga aresztowanej „z powodów religijnych”, komunisty oraz socjalistki. Tę uniwersalność „Pamięć” zachowała w kolejnych numerach. Pismo wyróżnia się spośród innych wydawnictw samizdatowych profesjonalnym i obszernym aparatem krytycznym towarzyszącym każdemu publikowanemu dokumentowi.

W 1979 r. pojawiło się literacko-publicystyczne grube (200–300 stron w każdym numerze) czasopismo „Poiski” (Poszukiwania), z podtytułem „Wolne czasopismo moskiewskie” i nazwiskami członków kolegium redakcyjnego na stronie tytułowej: Walerij Abramkin, Piotr Abowin-Jegides, Raisa Lert, Paweł Pryżow (później się okazało, że to pseudonim Gleba Pawłowskiego). W następnych numerach dodatkowo zostali ogłoszeni jako członkowie kolegium redakcyjnego Władimir Gierszuni, Jurij Grimm, Wiktor Sokirko i Wiktor Sorokin<sup>91</sup>. [...] Również to grube czasopismo było zamierzone jako bezpartyjne, trybuna dla wszystkich punktów widzenia, wszystkich koncepcji. Kolegium redakcyjne planowało wydawać sześć numerów rocznie.

I jeszcze jedno wydawnictwo, które po raz pierwszy ukazało się w 1978 r. – numery „W zaszczytu ekonomicznych swobod” (W Obronie Wolności

<sup>84</sup> Zob. przypis 64; o biuletynie Komisji Roboczej nr 1, 9 i 24 zob. „Chronika tiekuszczych sobytij”, nr 46, s. 98; nr 51, s. 183–184; nr 60, s. 119.

<sup>85</sup> „Informacyonnyj biulletien Inicyatiwnoj grupy zaszczyty praw inwalidow w SSSR”, nr nr 1–16 (AS, 3511, nr 10/79; 3765, nr 40/79; 4577, nr 7/82); zob. też „Wolnoje słowo” 1981, nr 41/42 (o nr nr 8–10); nr nr 8–11 odnotowane w: „Chronika tiekuszczych sobytij”, nr 56, s. 141; nr 57, s. 110; nr 60, s. 119; nr 62, s. 177–178.

<sup>86</sup> „Informacyonnyj biulletien Swobodnogo mieżprofessionalnogo objedinenienija trudiaszczychsia (SMOT)”, nr nr 1–29 ( S, 3669, nr 27/79; 4293, nr 17/81; 4370, nr 27/81; 4527, nr 17/82; 4621–4622, nr 15/82; 4628, nr 17/82; 4692, nr 26/82; 4711, nr 30/82; 4806, nr 3/83; 4824, nr 15/83); o nr nr 11–13 zob. „Chronika tiekuszczych sobytij”, nr 61, s. 105; nr 62, s. 178.

<sup>87</sup> Zob. przypis 79.

<sup>88</sup> „Chronika tiekuszczych sobytij”, nr 46, s. 92–94; nr 47, s. 159–161.

\* Po aresztowaniu w sierpniu 1981 r. redaktora naczelnego Arsienija Roginskiego nr 6 już się nie ukazał (red.).

<sup>89</sup> „Pamięć” 1978, nr 1 (New York); 1979, nr 2, 1980, nr 3, 1981, nr 4, 1982, nr 5 (Paris); nr nr 1–3 odnotowane w: „Chronika tiekuszczych sobytij”, nr 42, s. 97–99; nr 51, s. 202–203; nr 52, s. 140–142.

<sup>90</sup> „Pamięć” 1978, nr 1, s. IX.

<sup>91</sup> „Poiski” 1979, nr 1 (New York); 1980, nr 2, 1981, nr 3, 1982, nr 4 (Paris); nr nr 1–6 odnotowane w: „Chronika tiekuszczych sobytij”, nr 51, s. 203–204; nr 52, s. 139–140; nr 56, s. 141–143.



Ekonomicznych), około 200 stron w każdym, wydawane przez K. Burżuadiemowa (pseudonim Wiktora Sokirki)<sup>92</sup>.

W 1979 r. zaczął wychodzić periodyk „Summa”, zawierający recenzje i notatki na temat publikacji samizdatu, czasopism, biuletynów informacyjnych oraz pewnych pozycji [oficjalnego obiegu]<sup>93</sup>.

Sensacją stało się pojawienie pod koniec 1978 r. w samizdacie literackiego almanachu „Metropol”, w którym podawano nazwiska jego twórców: Wasilija Aksionowa, Andrieja Bitowa, Wiktora Jerofiejewa, Fazila Iskandera, Jewgienija Popowa. „Metropol” liczył 600 stron maszynopisu, zawierał utwory przeszło trzydziestu autorów, wśród których byli zarówno literaci młodzi i mało znani, jak i bardzo znani, tacy jak Bella Achmadullina, Władimir Wysocki, Siemion Lipkin, Andriej Wozniesiński. Był to chyba pierwszy przypadek, kiedy pisarze profesjonaliści w tak liczonym gronie samodzielnie skorzystali z prawa do wolnej twórczości, pomijając cenzurę. Redaktorzy i autorzy almanachu natychmiast zostali wezwani na dywanik w Związku Pisarzy oraz poddani presji finansowej (anulowanie zawartych umów wydawniczych, rezygnacja z podpisywania kolejnych itd.) – żądano, żeby wykazali skruczę i się wycofali, lecz wszyscy trzymali się twardo<sup>94</sup>.

Jeżeli w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych wykaz pozycji samizdatu ograniczał się do Moskwy, w drugiej połowie dekady nie byłby on kompletny bez wydawnictw z Leningradu. W 1976 r. równocześnie ukazały się tu trzy periodyki. Jako pierwszy – almanach literacki „Czasy” (około 500 stron w każdym

numerze, wychodziło dwa razy do roku); redakcja to Julia Wozniesińska, Wiaczesław Dolinin i inni. W almanachu zamieszczano powieści, wspomnienia, utwory sceniczne, wiersze, przekłady, artykuły o sztuce – autorów z Leningradu<sup>95</sup>. Czasopismo literacko-religijne i filozoficzne „37” swój tytuł zawdzięcza numerowi mieszkania jego redaktora Wiktora Kriwulina. Oprócz niego do kolegium redakcyjnego należeli: Lew Rudkiewicz, Natalia Kononowa, Tatiana Goriczewa. Objętość około 250 stron maszynopisu, wychodziło co dwa miesiące<sup>96</sup>. Wydawcami pisma „Chudożestwiennyj archiw” (Archiwum Artystyczne) byli Wadim Nieczajew i Marina Niedrobowa; publikowano tu prozę, poezję, eseje, artykuły o sztuce, kronikę życia kulturalnego<sup>97</sup>.

Pod sam koniec 1979 r. w Leningradzie ukazało się jeszcze jedno czasopismo, pomyślane jako periodyk: „Żenszczina i Rossija” (Kobieta i Rosja). Zapowiadało pojawienia się w ZSRR niezależnego ruchu kobiet<sup>98</sup>.

## Leningrad

Od połowy lat siedemdziesiątych niezależne życie społeczne w Leningradzie wyszło na powierzchnię jako „druga (nieoficjalna) kultura”.

„Druga kultura” narodziła się w charakterystycznej dla Leningradu szerokiej warstwie wykształconych humanistów, którzy nie mieli ani pracy w zawodzie, ani żadnych na nią widoków. W mieście znajduje się co najmniej kilkanaście wyższych uczelni humanistycznych, wśród nich tak znakomite jak wydział filologiczny i historyczny uniwersytetu, akademia

<sup>92</sup> „W zaszczytu ekonomicznych swobod” – nr 1 i 8 odnotowane w: „Chronika tiekuszczych sobytij”, nr 49, s. 101–102; nr 54, s. 146–147; zob. też A. Kacenielińbojgen, *Cwietnyje rynki i sowietskaja ekonomika*, „SSSR: Wnutriennije protiworieczija”, nr 2, s. 54–132; K. Burżuadiemow, *Ja obwiniaju*, *ibidem*, s. 223–247.

<sup>93</sup> „Summa” 1979, nr 1, 2 zob. „Chronika tiekuszczych sobytij”, nr 53, s. 178–179; „Summa” nr 3, 4 zob. „Chronika tiekuszczych sobytij”, nr 55, s. 143–144; „Summa” 1980, nr 1, 2 zob. „Chronika tiekuszczych sobytij”, nr 61, s. 105.

<sup>94</sup> „Chronika tiekuszczych sobytij”, nr 52, s. 118–121; nr 54, s. 126–127.

<sup>95</sup> N. Kononowa, *Lico Pietierburga*, „Kowczeg” (Paris) 1978, nr 1, s. 76.

<sup>96</sup> „37”, nr nr 1–8 odnotowane w: „Chronika tiekuszczych sobytij”, nr 43, s. 105; nr 48, s. 173–174. Zob. też N. Kononowa, *Lico...*, s. 77–78.

<sup>97</sup> „Chudożestwiennyj archiw”, nr 1–2 odnotowane w: „Chronika tiekuszczych sobytij”, nr 43, s. 105–106. Zob. też N. Kononowa, *Lico...*, s. 76–77.

<sup>98</sup> „Żenszczina i Rossija”, nr 1 zob. „Wolnoje stowo” (Frankfurt am Main) 1980, nr 38; „Chronika tiekuszczych sobytij”, nr 55, s. 71.

sztuk pięknych, Instytut im. Hercena, instytut teatralny oraz filmowy. Natomiast instytucji potrzebujących humanistów było w Leningradzie znacznie mniej niż w stołecznej Moskwie. W latach pięćdziesiątych w opustoszałym wskutek blokady [podczas drugiej wojny światowej] mieście nadprodukcja humanistów nie była specjalnie zauważalna, natomiast od połowy lat sześćdziesiątych absolwenci uczelni humanistycznych nie mogli znaleźć nawet najskromniejszej pracy zgodnie z zainteresowaniami. Stopniowo utworzyła się cała warstwa dyplomowanych humanistów zarabiających na życie pracą niewykwalifikowaną. Specjaliści z zakresu nauk ścisłych również borykali się z podobnymi problemami, ale w mniejszym stopniu niż humaniści. Obecność tej warstwy „ludzi zbędnych” tłumaczy głęboki konformizm nawet porządnych osób spośród leningradzkiej inteligencji „urzędniczej”. Najmniejsze niezadowolenie kierownictwa, a tym bardziej KGB, groziło całkowitą utratą pozycji życiowej. Ta ścisła zależność zrodziła w środowisku liberalnej inteligencji dążenie do tego, by jak najmniej stykać się z „brutalnym życiem”, jak najmniej zagłębiać się w jego problemy, całkowicie oddać się sprawom zawodowym.

Pojawił się nawet kult profesjonalizmu, który jest nie tylko źródłem egzystencji, ale także sensem życia; wymyślono też jego uzasadnienie: „Zachowuję i rozwijam kulturę rosyjską – to usprawiedliwia każde ofiary”.

Między „inteligencją urzędniczą” i jej „zbędnymi” kolegami mało jest kontaktów – są to odrębne światy. „Zbędni” preferują stanowiska co prawda niskopłatne, ale pozostawiające dużo wolnego czasu: windziarzy, stróżów, palaczy. Wśród „zbędnych”, jak i wśród „urzędników”, przez długie lata panowało podobne zdystansowanie się do życia w imię „wysokich” zainteresowań. Styl ten krzewili już w latach studiów wybitni wykładowcy („urzędnicy”), jego zachowaniu sprzyjał brak niezależnego życia społecznego oraz wąski krąg znajomości (przeważnie tych nawiązanych w czasach studenckich). Pozostawało jedyne

źródło życia duchowego i intelektualnego – emanacja własnego ducha nad książkami oraz w niewielkim kręgu przyjaciół. To wymuszone osamotnienie duchowe połączone z dumą z kulturalnych tradycji rodzinnego miasta umocniło w środowisku „zbędnej” inteligencji leningradzkiej kult „czystej duchowości”, „czystej sztuki”, oddalenie się od problemów życiowych – i własnych, i społecznych. Takie nastroje oraz tradycyjna rywalizacja z Moskwą doprowadziły do wytworzenia się niechęci do niezależnych działaczy moskiewskich, miotających się „na powierzchni życia”, oraz do powstania w Leningradzie prawie powszechnie uznawanego hasła: „żadnej polityki!”. „Zbędna” inteligencja leningradzka wykorzystwała własną, uzyskaną w odosobnieniu wolność do poszukiwania nowych form w sztuce i nowych sfer życia duchowego, nowych wątków – zazwyczaj w dziedzinach zakazanych, zwłaszcza w filozofii religijnej i sztuce, już wtedy, kiedy w Moskwie prawie o tym jeszcze nie myślano.

Brak kontaktów z obrońcami praw człowieka da się wytłumaczyć nie tylko brakiem zainteresowania problemami, którymi oni się zajmowali, ale również względami taktycznymi: kontakty mogłyby przyciągnąć do tajemnego życia „zbędnych” niebezpieczną uwagę KGB bardziej niż ich własna niesubordynacja.

W miarę rozrastania się warstwy „zbędnych” zaczęła się jej konsolidacja. W latach sześćdziesiątych półoficjalnym miejscem spotkań stała się Kawiarnia Poetów przy ulicy Połtawskiej. KGB to tolerowało, żeby mieć kontrolę nad sytuacją, mimo to z czasem lokal przemianowano na Kawiarnię Komsomolskich Poetów, a następnie w ogóle zamknięto. Czasami organizowano w Domu Pisarzy specjalne wieczory czytania na głos, ale i one zostały zakazane, podobnie jak próby przeniesienia tych wieczorów na uniwersytet i politechnikę. Przez pewien czas udawało się urządzać turnieje poetyckie w Carskim Siole, zanim zostały rozgonione<sup>99</sup>. Niemniej te spotkania pomogły się rozpoznać ludziom bliskim duchowo i o podobnych zainteresowaniach. Utworzyły się duże grupy koleżeńskie, przypominające moskiewskie z lat

<sup>99</sup> J. Wozniesińska, *Kommentarij i pis'ma iz Leningrada*, „Posiew” (Frankfurt am Main) 1982, nr 5, s. 27–28.

pięćdziesiątych. Nawiązywanie nowych kontaktów z ludźmi o zbliżonych zainteresowaniach cieszyło i dodawało sił.

Na początku lat siedemdziesiątych już ukształtowała się duchowa wspólnota, nie od razu zauważalna dla postronnych, lecz oczywista dla tych, których łączyła. Nazwała się „drugą kulturą”. Podstawowe zasady artystyczne i moralne działaczy „drugiej kultury” to swoboda twórcza i, co za tym idzie, wolny wybór kierunków i stylów. Ale wszyscy uważają się za spadkobierców i kontynuatorów rosyjskiej kultury początku stulecia, jak gdyby pomijając lata wypaczającej ją ingerencji władz i następnie zadekretowaną „likwidację” wszystkich kierunków w sztuce w imię jednolitości realizmu socjalistycznego oraz wszystkich nurtów życia duchowego poza materializmem dialektycznym.

W połowie lat siedemdziesiątych „druga kultura” wydostała się z wieloletniego na wpół dobrowolnego podziemia na powierzchnię. Jako pierwsi zdobyli się na to malarze. Jak sami twierdzą, zaktywizowały ich wystawy w Moskwie: „buldożerowa” (15 września 1974 r.) oraz izmajłowska<sup>100</sup>. Uczestniczyli w nich – podobnie jak w ekspozycjach na Wystawie Osiągnięć Gospodarki Narodowej – malarze z Leningradu: m.in. Jurij Żarkich, Jewgienij Ruchin, Władimir Owczinnikow. Doświadczenie to pomogło wspólnie pokonać inercję i lęk przed publicznym wystąpieniem.

Pierwsza tego typu wystawa w Leningradzie odbyła się w grudniu 1974 r. w Domu Kultury im. Gaza. Za nią poszły kolejne w innych domach kultury. Zaczęto urządzać wystawy w mieszkaniach leningradzkich kolekcjonerów – Natalii Kazarinowej, Gieorgija Michajłowa i innych, a w 1977 r. małżonkowie Marina Niedrobowa (fizyk) i Wadim Nieczajew (pisarz) założyli w swoim mieszkaniu Muzeum Malarstwa Współczesnego, dostępne dla wszystkich. Urządzano tam wystawy, dyskusje, konferencje<sup>101</sup>.

W tymże 1974 r., kiedy leningradzcy malarze nonkonformiści walczyli o prawo do widzów, grupa literatów („urzędników”) postanowiła wydać (w samizdacie, rzecz jasna) dzieła zebrane Josifa Brodskiego w pięciu tomach (w tym czasie on sam już został wyrzucony za granicę). W przygotowaniu tego wydania udział wzięło wiele osób, przynoszono zachowane kopie wierszy, spisywano to, co dotychczas było przechowywane w pamięci. Napisania wstępu podjął się Michaił Chiejfiec – szkolny nauczyciel literatury i autor kilku prac z historii rosyjskiego ruchu rewolucyjnego. Wstęp ten przeczytał i opatrzył uwagami znany literaturoznawca Jefim Etkind, wykładowca Instytutu im. Hercena. Wkrótce za samowolną działalność wydawniczą zostali aresztowani Chiejfiec oraz jego przyjaciel Maramzin, pisarz, który uczestniczył w gromadzeniu materiałów. Maramzin okazał skruczę na sali rozpraw, został uwolniony i wyemigrował; musiał emigrować również Etkind. Chiejfiec dostał 4 lata obozu i 2 lata zesłania, po czym także opuścił ZSRR<sup>102</sup>.

Ta surowa rozprawa z kolegami „urzędnikami” nie powstrzymała literatów „drugiej kultury” przed próbą wyjścia z twórczego odosobnienia, które stało się nie do wytrzymania. Tak samo jak malarze postanowili oni walczyć o oficjalne uznanie.

Latem 1975 r. 32 leningradzkich poetów, których nie publikowano, w tomiku *Lepta* (Jałmużna) zebrali najlepsze swoje utwory z tego, co powstało w ciągu nawet dziesięciu lat podziemia. Zanieśli swoją *Leptę* do [oficjalnego wydawnictwa] Linizdat z propozycją wydania. Tam jednak tomik odrzucono, i to z obraźliwym komentarzem: z powodu nikłej wartości artystycznej. *Leptą* zainteresowało się leningradzkie KGB. Współpracownicy KGB wyrazili życzenie poznania autorów i tych, którzy tomik ułożyli. Zaproszono ich na rozmowę, mając obietnicą pomocy w publikacji. Niedoświadczeni w tych sprawach literaci postanowili spróbować szczęścia. Kilka razy chodziła na rozmowy

<sup>100</sup> W. Nieczajew, *Nrawstwiennoje znaczenije nieoficjalnoj kultury*, „Poiski”, nr 1, s. 305–313; A. Glezer, *Iskusstwo pod buldozierom...*, s. 9–43.

<sup>101</sup> *Ibidem*, s. 41; N. Konołowa, *Lico...*, s. 76–77.

<sup>102</sup> „Chronika tiekuszczych sobytij”, nr 32, s. 21–23 (areszt M. Chiejfieca), s. 67–70 (uwolnienie J. Etkinda); nr 34, s. 6–9 (proces Chiejfieca), s. 22 (areszt W. Maramzina); nr 35, s. 16–21 (proces Maramzina); zob. też J. Etkind, *Zapiski niezagoworszczyka*, London 1977.

z kagebistami „matka poetów” – młoda historyk sztuki Julia Wozniesienska, którą kolegium redakcyjne *Lepty* wytypowało na swoją przedstawicielkę. Gorąco przekonywała funkcjonariuszy, że autorzy tomiku to nie spiskowcy, nie rewolucjoniści, lecz poeci, marzący wyłącznie o spotkaniu z czytelnikiem<sup>103</sup>. Ale czas mijał, a sprawa stała w miejscu. Aktywiści „drugiej kultury” postanowili więc samodzielnie skorzystać ze swojego prawa do pozyskania audytorium, bez pytania o zgodę.

Grupa poetów i malarzy skierowała do zarządu ogrodów i parków Leningradu zawiadomienie, że 14 grudnia 1975 r. o godzinie jedenastej zamierzają uczcić pamięć dekabrystów deklamowaniem wierszy na placu Senackim, gdzie przed 150 laty wybuchło powstanie.

W tym dniu plac Senacki został otoczony i zapelniony przez milicjantów i komsomolców. Prowadzące do placu ulice zagrodzono samochodami. Sześć osób, które podpisały zawiadomienie o wiecu, zatrzymano po drodze. Malarze Siniawin i Filimonow przedostali się na plac, ale tam ich schwytano. Filimonow zdążył wrzucić do Newy plakat, który płynął rzeką napisem do góry: „Dekabryści – pierwsi dysydenci rosyjscy”<sup>104</sup>.

Po tych wystąpieniach w KGB nasiliły się rozmowy na temat ewentualnych publikacji poetów *Lepty*, lecz do tego nie doszło. Natomiast w 1976 r. w samizdacie ukazały się trzy grube periodyki – „Czasy”, „37” oraz „Archiwum Artystyczne”. Znaleźli w nich swoją przystań niepublikowani oficjalnie leningradzcy humaniści różnych specjalności, tworzący w różnych stylach. „Archiwum Artystyczne” przygarnęło artystów i malarzy. „37” wywodziło się z seminarium literacko-artystycznego oraz filozoficzno-teologicznego.

Rozpoczynając walkę o własne prawa, działacze „drugiej kultury” wykorzystywali metody obrońców

praw człowieka. Nie mogło się to nie odbić na stosunku do nich. 6 kwietnia 1976 r., gdy w Moskwie miał się zacząć proces Andrieja Twierdochlebowa, mieszkańcy Leningradu ujrzeni na tramwajach transparenty, napisane w nocy i wywieszane rano, będące wyrazem współczucia i solidarności: „Wolność dla więźniów politycznych!”, „Wolność dla Twierdochlebowa!”<sup>105</sup>.

W tym samym czasie, wiosną 1976 r., Julia Wozniesienska, poeta Giennadij Trifonow oraz malarze Igor Siniawin i Wadim Filimonow zabrali się do przygotowania ilustrowanego zbioru poetyckiego *Miera wriemieni* (Miara czasu). Uczestniczyli również w przygotowaniach do kolejnego przedsięwzięcia niezależnych malarzy – planowanej na 1 czerwca wystawy pod gołym niebem, tak jak w Moskwie. Miejsce wybrano na nabrzeżu Newy, obok Twierdzy Pietropawłowskiej. Wystawa została rozegnana przez milicję i kagebistów. 12 czerwca podjęto próbę jej powtórzenia – nieudaną. Malarze wyrazili swoje oburzenie anonimowo, lecz nie stroniąc od „polityki”. W nocy z 3 na 4 sierpnia 1976 r. na ścianie Twierdzy Pietropawłowskiej pojawił się ogromny napis: „Krępujcie wolność, lecz duszy człowieka nie da się uwięzić”. A także w innych miejscach w mieście: „Precz z partyjną burżuazją!”, „Partia – wróg narodu!”, „ZSRR – więzienie narodów!”, „Wolność dla więźniów politycznych!”, „Słuchajcie Głosu Ameryki!”<sup>106</sup>.

13 września zostali aresztowani malarze Julij Rybakow i Oleg Wołkow, a razem z nimi Natalia Lestniczenko i Julia Wozniesienska. Mężczyzn szantażowano losem ich towarzyszek. Aby kobiety uwolniono, Rybakow i Wołkow przyznali się do wykonania zarówno kwietniowych napisów na tramwajach, jak i tych sierpniowych<sup>107</sup>.

Okres od końca 1976 r. i początek 1977 r. obfituje w wydarzenia. 5 grudnia 1976 r. w Leningradzie po raz

<sup>103</sup> N. Kononowa, *Lico...*, s. 73–76.

<sup>104</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 38, s. 86–87.

<sup>105</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 42, s. 10.

<sup>106</sup> „Grani” (Frankfurt am Main) 1978, nr 108, s. 151–164.

<sup>107</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 42, s. 10–12.



pierwszy zwołano demonstrację w obronie praw człowieka. Odbyła się w tym samym czasie co tradycyjna demonstracja obrońców prawa w Moskwie, również pod pomnikiem Puszkina. Trzyście osób, tak jak w Moskwie, zdjęło nakrycia głowy na znak żałoby po wolnościach konstytucyjnych oraz w solidarności z ofiarami bezprawia. Demonstracja minęła spokojnie. Nic nie podejrzewający milicjanci nie zobaczyli nic zakazanego w tym niemym obrzędzie, który się odbył na ich oczach. Lecz do powtórki mitingu ku czci dekabrystów 13 grudnia władze się przygotowały. Tylko siedem spośród pięćdziesięciu osób chcących uczestniczyć w mitingu dostało się na plac, ale i je natychmiast zatrzymano<sup>108</sup>.

21 grudnia została aresztowana, a już 29 skazana na 5 lat zesłania Julia Wozniesińska za tomik *Miera wriemieni*, który nigdy się nie ukazał (uznano za oszczerstwo stwierdzenie z manifestu kolegium redakcyjnego, że w ZSRR nie ma wolności prasy ani wolności słowa)<sup>109</sup>. Pozostali członkowie kolegium redakcyjnego również zostali unieszkodliwieni: Trifonowa i Filimonowa skazano za przestępstwa kryminalne, Siniawinowi pozwolono wyjechać za granicę<sup>110</sup>.

W marcu 1977 r. odbył się proces Rybakowa i Wołkowa. Zgodzili się na scenariusz sądowy, który im zaproponowano: potraktuje się napisy jako „czyn chulikański” oraz „zniszczenie majątku państwowego”, bez wymieniania ich treści. Na salę rozpraw wpuszczono przyjaciół i nawet korespondentów zagranicznych, ponieważ oskarżeni posłusznie powtarzali to, co im kazano. (Rybakow dostał 6 lat obozu o zaostrożnym rygorze, Wołkow 7 lat o rygorze surowym)<sup>111</sup>.

Procesy nie przeszkodziły w zbliżeniu się „drugiej kultury” do ruchu obrony praw człowieka. Wśród leningradzkiej niezależnej inteligencji wiele osób zaczęło rozumieć, że dotychczasowe odizolowanie

się od problemów społecznych grozi duchowym kryzysem, wyjąłowieniem, zanikiem „drugiej kultury”. Demonstracje w obronie praw człowieka w Leningradzie, tak jak w Moskwie, stały się coroczne (od 1977 r. organizowano je tu również w Dniu Praw Człowieka, tj. 10 grudnia). Kiedy leningradzcy malarze nonkonformiści postanowili zorganizować wystawę z okazji weneckiego Biennale-77, jej otwarcie wyznaczili na początek tzw. przesłuchań sacharowskich w Rzymie. W wystawie udział wzięło siedemnastu malarzy z Leningradu i siedmiu z Moskwy<sup>112</sup>.

„Druga kultura” była najliczniejszym i najaktywniejszym niezależnym ruchem społecznym w Leningradzie. Mimo korzystniejszej zmiany stosunku do moskiewskich obrońców praw człowieka ruch obrony w jego moskiewskiej wersji w Leningradzie się nie przyjął. Jedynym konsekwentnym i przez wiele lat samodzielnie występującym obrońcą prawa w Leningradzie był Ernst Orłowski<sup>113</sup>.

Zazwyczaj leningradzcy zajmujący się obroną prawa współpracują z moskiewianami. W 1978 r. wśród założycieli powołanego w Moskwie Wolnego Międzybranżowego Zrzeszenia Pracowniczego (SMOT) byli leningradzcy Lew Wołochonski, Nikołaj Nikitin, Władimir Borisow, Aleksandr Iwanczenko i inni.

KGB podejrzewało leningradczyków również o współpracę z almanachem „Pamięć”, z pismem „Poiski” i z „Kroniką Bieżących Wydarzeń”. W każdym razie wiosną 1979 r. odbyło się kilka rewizji równocześnie w Moskwie i Leningradzie – u Arsienija Rogińskiego, Siergieja Diediulina, Walerija Sażyna – w związku ze sprawą pisma „Poiski”, a na temat pozostałych szczegółowo wypytywano w trakcie przesłuchań po tych rewizjach. W sierpniu 1981 r. Rogiński został aresztowany i skazany na podstawie sfabrykowanych zarzutów kryminalnych na 4 lata obozu

<sup>108</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 43, s. 23.

<sup>109</sup> *Ibidem*, s. 35–40; „Grani” 1978, nr 108, s. 151–164.

<sup>110</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 43, s. 36, 38, 101.

<sup>111</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 45, s. 12.

<sup>112</sup> W. Nieczajew, *Istorija Oskara Rabina...*, s. 336.

<sup>113</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 53, s. 176–177.



o rygorze zwykłym. Podczas procesu wspomniano o jego publikacjach w „Pamięci”<sup>114</sup>.

Znacznie słabszym od „drugiej kultury”, lecz działającym nieprzerwanie od połowy lat pięćdziesiątych, był nurt socjalistyczny, powiedzmy – spadkobiercy grupy „Kołokoł”\*. Byli to niezniszczalni w Leningradzie kolporterzy ulotek, najczęściej krytykujących system radziecki za odchylenia od „prawdziwego socjalizmu”. Nie zawsze wiadomo, czy w konkretnym przypadku działa jedna osoba, czy niewielka grupa. Nie zawsze da się ich znaleźć.

24 lutego 1976 r., w dniu otwarcia XXV Zjazdu KPZR, z galerii Wielkiego Domu Towarowego na Newskim Prospekcie czterech młodzieńców rzuciło około stu ulotek napisanych ręcznie drukowanymi literami: „Niech żyje nowa rewolucja! Niech żyje komunizm!”. Zatrzymano studentów pierwszego roku Adrieja Rieznikowa, Aleksandra Skobowa, Arkadija Curkowa oraz ucznia dziesiątej klasy Aleksandra Fomienkę. Wyrzucono ich z komsomołu i szkół<sup>115</sup>. W kwietniu 1976 r. grupa Szkoła Leningradzka, do której weszli ci młodzi ludzie, zatwierdziła tezy programowe; ogłaszano w nich o rozpoczęciu przez grupę działalności „skierowanej na przeobrażenie istniejącego społeczeństwa” na gruncie marksizmu i w imię osiągnięcia komunizmu. Ustrój radziecki nazwano państwowo-monopolistycznym kapitalizmem. Konkretnie opisane przekształcenia miałyby prowadzić do „odsunięcia od władzy klasy państwowej biurokracji” w wyniku walki klasowej pracowników z inteligencją na czele<sup>116</sup>. W tymże 1976 r. członkowie grupy zorganizowali młodzieżową komunę w połowie budynku na obrzeżach Leningradu. Prowadzono tu dyskusje, wymieniano się samizdatem, zatrzymywali się tu przyjaciele przyjeżdżający z innych miast.

Wiosną 1978 r. grupa, która teraz przyjęła nazwę Panna Opozycji, zaczęła wydawać czasopismo „Perspektywy” (wyszły dwa numery). W październiku 1978 r. zaplanowano konferencję, na którą zaproszono zwolenników z Moskwy, Gorkiego oraz innych miast<sup>117</sup>. Zaczęły się jednak rewizje i przesłuchania, które dotknęły czterdzieści osób. W październiku aresztowano Aleksandra Skobowa (studenta wydziału historycznego uniwersytetu w Leningradzie) oraz Arkadija Curkowa (studenta wydziału fizycznego), a nieco później Aleksieja Chawina (studenta medycyny)<sup>118</sup>. Curkow, który otrzymał wyrok 5 lat obozu o surowym rygorze i 2 lata zesłania, w słowie końcowym oświadczył, że po wyjściu na wolność będzie kontynuował walkę. Do przyjaciół zebranych pod gmachem sądu krzyknął: Niech żyje ruch demokratyczny!<sup>119</sup>

W grudniu 1979 r. odbył się proces członków grupy młodzieżowej Związek Komunardów Rewolucjonistów (robotnik Władimir Michajłow, malarz Aleksiej Stasiewicz i studentka Alewtina Koczniowa); oni również żyli w komunie w wynajętym mieszkaniu. Komunardzi pisali na ścianach budynków hasła typu „Demokracja to nie demagogia!” oraz „Precz z kapitalizmem państwowym!”, a także kolportowali ulotki, w których wyjaśniano, że całe zło na świecie wynika z istnienia państwa, prywatnej własności i rodziny, oraz wzywano do przyłączenia się do światowej organizacji mającej na celu wykorzenienie antyhumanizmu. Sądzono ich za „chuligaństwo”. Oznajmili, że solidaryzują się z francuskimi studentami, którzy wystąpili w 1968 r.<sup>120</sup>

I jeszcze dwa leningradzkie procesy: w maju 1978 r. fotograf Aleksandr Lapin spod Leningradu podjął próbę samospalenia na placu Czerwonym w Moskwie, protestując przeciwko skazaniu szefa Moskiewskiej

<sup>114</sup> B. Wajl, *Osobo opasnyj*, London 1980; „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 53, s. 63–65, 154–157; nr 63, s. 43–54.

\* Gazeta rewolucyjna wydawana przez Aleksandra Hercena na emigracji w latach 1857–1867 (red.).

<sup>115</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 40, s. 129–130.

<sup>116</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 51, s. 35.

<sup>117</sup> *Ibidem*, s. 34–37; nr 53, s. 35–39.

<sup>118</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 53, s. 160–161.

<sup>119</sup> *Ibidem*, s. 38.

<sup>120</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 55, s. 9–11.

Grupy Helsińskiej Jurija Orłowa. Lapin miał poparzone 25 proc. skóry. Był sądzony za „chuligaństwo”<sup>121</sup>. 6 stycznia 1979 r. bracia Wadim i Aleksiej Arenbergowie, żona Wadima Ludmiła Krytowa i jej koleżanka Listwina usiłowali porwać samolot, żeby żądać zwolnienia aresztowanych członków MGH<sup>122</sup>.

Te przypadki dobitnie pokazują, jak fascynacja obrońcami praw człowieka zmienia się w działania, których oni by nie zalecali.

## Odessa

W kampanii petycyjnej 1968 r., prawie w całości (w 70 proc.) moskiewskiej, były również podpisani uczestników ukraińskiego ruchu narodowego (139 osób) oraz mieszkańców miasteczka akademickiego w Nowosybirsku (46 osób). Wśród czterestu sygnatariuszy z całej reszty kraju były dwie osoby z Odessy – Ł. Tymczuk i W. Kriukow<sup>123</sup>. Jako marynarz i tokarz wyróżniali się oni spośród pozostałych „podpisowaczy” statusem społecznym (w 1968 r. robotnicy stanowili 6 proc. „podpisowaczy”)<sup>124</sup>.

Lecz to nie byli zwykli marynarz i tokarz: Tymczuk w swoich listach otwartych cytuje dzieło Marcusa Tulliusa Cicerona *O państwie* oraz książkę Johna Pierce’a *Symbole, sygnały i szумы. Wprowadzenie do teorii informacji*, Kriukow natomiast Grahama Greene’a i Johna Donne’a. Z ich listów wynika, że dyskutowali wspólnie o prawie i demokracji, może nawet z kimś jeszcze, zanim zdecydowali się na swój niezwykły wyczyn – otwarte wystąpienie w obronie tych wartości. W Odessie mieli grupę przyjaciół podzielających ich poglądy.

Odessa leży na Ukrainie, ale podobnie jak Charków jest to miasto zrusyfikowane. Odessy działacze niezależni, tak jak i charkowscy, skłaniali się bardziej ku Moskwie niż Kijowowi, mimo że przyjaźnili się także z mieszkającą w Odessie aktywistką ruchu narodowego Niną Strokata (kiedy została aresztowana w 1971 r., określiła Tymczuka jako osobę zaufaną)<sup>125</sup>.

Do 1974 r. w „Kronice Bieżących Wydarzeń” znalazło się zaledwie kilka krótkich wiadomości z Odessy, wszystkie dotyczyły samizdatu. W 1967 r. został aresztowany student zaoczny Dawid Najdis, autor nieznalesionej podczas rewizji pracy na temat prawdopodobieństwa odrodzenia się stalinizmu w ZSRR (ale sądzono go za ulotki dotyczące kwestii żydowskiej)<sup>126</sup>. W 1969 r. Jelenę Krupko wyrzucono z uniwersytetu odeskiego, gdzie przepracowała osiemnaście lat – za to, że udostępniła samizdat (Siniańskiego, Daniela, Sołżenicyna)<sup>127</sup>. W serii procesów żydowskich [chodzi o ruch na rzecz wyjazdu do Izraela] w latach 1970–1971 w Odessie odbył się proces bibliotekarki Rejzy Pałatnik. Została skazana na trzy lata, gdyż podczas rewizji znaleziono u niej kopie wierszy Achmatowej, Mandelsztama, Galicza, Okudźawy, listy otwarte Czukowskiej. Czukowska, Sacharow i Czalidze wystąpili w jej obronie. W 1974 r. podczas rewizji u Tymczuka znaleziono moskiewską odezwę w obronie Sołżenicyna. W obecności osób prowadzących rewizję Tymczuk złożył pod odezwą swój podpis<sup>128</sup>. Od tej chwili w „Kronice” pojawiały się wzmianki na temat innych osób z Odessy – kolegów Tymczuka i ludzi podzielających jego poglądy. Nauczycielka Anna Gołumbijewska została wykluczona z partii i zwolniona z pracy za

<sup>121</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 51, s. 162.

<sup>122</sup> L. Aleksiejewa, *Obzor ważniejszych sobytij*, „Chronika zaszczyty praw w SSSR” 1979, nr 36, s. 42; „Spisok politzakluczonych SSSR”, nr 4, stan na 1 V 1982.

<sup>123</sup> *Process czetyrioch...*, s. 484–489.

<sup>124</sup> A. Amalrik, *Prosuszczestwujet li Sowietskij Sojuz do 1984 goda?*, Amsterdam 1970, s. 12.

<sup>125</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 30, s. 84.

<sup>126</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”..., t. 1, nr 8, s. 196–197.

<sup>127</sup> *Ibidem*, nr 11, s. 315.

<sup>128</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 32, s. 6, 78–79.

słowa uznania pod adresem Sołżenicyna wypowiedziane na lekcji literatury<sup>129</sup>.

Latem 1974 r. fotokopię *Archipelagu GUŁag* skonfiskowano docentowi uniwersytetu odeskiego Aleksiejewowi-Popowi. Powiedział on, że dostał książkę od swojego kolegi z pracy Gleba Pawłowskiego, ten zaś wskazał na młodego elektrotechnika Wiaczesta-wa Igrunowa – o jego zainteresowaniach samizdatem KGB wiedziało od 1968 r. Podczas rewizji w jego domu znaleziono samizdat; w ten sposób zaczęła się „sprawa Igrunowa”<sup>130</sup>. Wkrótce został zatrzymany kolega Igrunowa fizyk Oleg Kurs, który przyjechał do niego z Kalinina. Przywiózł teczkę pełną fotokopii książek tamizdatowych (*Archipelag... Wszystko płynie... Grossmana*, dwutomowe wydanie Osipa Mandelsztama oraz kliszę fotograficzną z książką Abdurachmana Awtorchanowa *Tiechnologija włas-ti*). Na podstawie zeznań Pawłowskiego przesłuchano kilku wspólnych znajomych jego i Igrunowa, lecz nikt nic nie powiedział o samizdacie. Na szkoleniach politycznych przeprowadzanych w instytucjach w Odessie prelegenci wyjaśnili, że po aresztowaniu Pałatnik i Strokatej kierownikiem „grupy” odeskiej był Igrunow.

Aresztowano go 1 marca 1975 r., po tym, jak na Krymie w ustronnym punkcie pomiarów meteorologicznych skonfiskowano Walerijowi Riezakowi klisze fotograficzne z dziełami Awtorchanowa, Sołżenicyna i innych, a także sprzęt fotograficzny. Riezak zeznał, że filmy dostawał od Igrunowa, który przywoził je z Moskwy. Przyznał się, że już od kilku lat regularnie robił dla Igrunowa (w celach zarobkowych) kopie fotograficzne z klisz zawierających książki tamizdatowe. Igrunow odmówił jakiegokolwiek współpracy ze śledztwem, oznajmiwszy, że nie uważa swojej działalności ani za antyradziecką, ani nielegalną<sup>131</sup>.

Został uznany za niepoczytalnego i do końca 1976 r. przebywał w szpitalu psychiatrycznym.

W związku ze sprawą Igrunowa przesłuchano około trzydziestu osób w różnym stopniu zaangażowanych – w Odessie, Kalininie, Moskwie, Leningradzie i innych miastach. Z przesłuchań wynikało, że śledczy szukają „biblioteki samizdatu”, znajdującej się rzekomo w Odessie; szczególnie interesują ich moskiewskie kontakty Igrunowa. Żeby wykryć „bibliotekę” i jej moskiewskich „dostawców”, w mieszkaniu Tymczuka zamontowano urządzenie podsłuchowe. Tymczuk je znalazł, odłączył i schował w swoim pokoju. Natychmiast zjawili się kagebiści z rewizją i zabrali to, co do nich należało<sup>132</sup>. Tymczuk natomiast został poddany milicyjnej prowokacji. Funkcjonariusz zatrzymał go na ulicy i wsadził do milicyjnego autobusu, w którym siedziało już kilka osób, w tym dwie kobiety. Po przybyciu na posterunek kobiety zeznały, że Tymczuk im ubliżał, wszczął awanturę itd., a pozostali pasażerowie autobusu – „świadkowie zdarzenia” – potwierdzili zeznania kobiet. Tymczuk został aresztowany na piętnaście dób „za czyn chuligański”<sup>133</sup>.

Informację na temat „biblioteki” próbowano uzyskać od znajomego Igrunowa, Aleksieja Tichomołowa. Schwytano go na ulicy i przywieziono do pokoju hotelowego, gdzie dwaj funkcjonariusze KGB wypytywali go o Igrunowa, Tymczuka i innych jego znajomych, zaproponowali także, by został ich informatorem. Tichomołow zgodził się dostarczać informacje wyłącznie o działalności „syjonistów”, po czym wszyscy razem zjedli obiad. Nazajutrz jednak opowiedział o całym zajściu swoim kolegom – i do transakcji nie doszło<sup>134</sup>.

Aresztowanie Igrunowa i rozpoczęte wówczas prześladowania innych nie przerwały aktywności odeskich obrońców prawa. 5 grudnia 1976 r. w Odessie

<sup>129</sup> „Chronika tiekuszczych sobytij”, nr 34, s. 61.

<sup>130</sup> *Ibidem*, s. 24–26.

<sup>131</sup> „Chronika tiekuszczych sobytij”, nr 38, s. 34–39.

<sup>132</sup> „Chronika tiekuszczych sobytij”, nr 40, s. 54–70.

<sup>133</sup> „Chronika tiekuszczych sobytij”, nr 36, s. 60; nr 38, s. 30–31.

<sup>134</sup> „Chronika tiekuszczych sobytij”, nr 37, s. 27.

po raz pierwszy odbyła się demonstracja w obronie praw człowieka. Wzięło w niej udział trzynaście osób: zebrali się w tym samym czasie co ich towarzysze w Moskwie i Leningradzie, o osiemnastej, pod pomnikiem Puszkina. Stali w milczeniu z odkrytymi głowami. Podobnie jak w Leningradzie nieprzygotowani milicjanci nie zrozumieli, że jest to akcja, której należy zabronić, więc wszystko minęło spokojnie<sup>135</sup>.

Nie urwały się też kontakty z Moskwą. Przeciwnie, stały się mocniejsze. Po aresztowaniach w MGH w lutym 1977 r. obrońcy prawa z Odessy i Charkowa napisali list w obronie aresztowanych (10 podpisów)<sup>136</sup>. Widać, że działacze z tych miast się znali.

Samizdat w Odessie również się nie skończył. Świadczą o tym sprawy Wiktora Gonczarowa, aresztowanego latem 1976 r.<sup>137</sup>, i Wasyla Barladianu, aresztowanego w marcu 1977 r.<sup>138</sup> Gonczarow kolportował moskiewski samizdat, Barladianu – moskiewski i kijowski (dokumenty Ukraińskiej Grupy Helsińskiej). Ich przyjaciele byli prześladowani w dalszym ciągu – za listy w ich obronie oraz (jak i wcześniej) za rozpowszechnianie literatury dotyczącej praw człowieka, publicystycznej i religijnej, a także za chęć poszerzania własnej wiedzy na nieoficjalnych seminariach z historii sztuki, religii itd.<sup>139</sup> W maju 1978 r. podczas rewizji w mieszkaniu Igrunowa skonfiskowano materiały zebrane do almanachu literacko-publicystycznego, szykowanego do rychłego wydania przez niego i kolegów<sup>140</sup>. W 1980 r. aresztowano bibliotekarkę Annę Michajlenko – za kolportaż samizdatu i udział w seminariach poświęconych kulturze ukraińskiej<sup>141</sup>.

W 1982 r. aresztowano fizyka Piotra Butowa. Ale już od lata 1981 r. robiono rewizje u Butowa i jego znajomych. Skonfiskowano „Kronikę Bieżących Wydarzeń”, „Kronikę Kościoła Katolickiego na Litwie”, fotokopie wielu publikacji samizdatu i tamizdatu. Na przesłuchaniach okazało się, że funkcjonariusze dobrze znają treść rozmów prowadzonych w pokoju, w którym pracował Butow. Widocznie zamontowano tam podsłuch. Po aresztowaniu Butowa jego żonie powiedziano, że przyczyną aresztowania jest odmowa wydania „biblioteki i archiwum – klisz z antyradziecką literaturą” oraz wskazania osoby, która zrobiła fotokopie. Butow został skazany na 5 lat obozu o surowym rygorze i 2 lata zesłania<sup>142</sup>. Biblioteka prawdopodobnie działa nadal.

### Kujbyszew

W 1973 r. w polu widzenia KGB w Kujbyszewie znalazła się grupa „trudnej młodzieży” (według opinii tamtejszego zarządu KGB)<sup>143</sup>. Wątpliwe, by krążył tam samizdat. Wygląda na to, że podstawowym źródłem idei i informacji były zagraniczne rozgłoszenie. Ciekawe audycje nagrywano na taśmę magnetofonową, następnie tekst przepisywano ręcznie, po czym czytano na głos na spotkaniach i omawiano. W każdym razie w akcie oskarżenia Władysława Bebki, aresztowanego w 1978 r., figurowały tylko taśmy magnetofonowe z nagranyymi audycjami radiowymi oraz ręcznie napisane teksty, a także zapisy jego rozmów z osobami spoza jego kręgu (że w ZSRR nie ma wolności słowa itd.)<sup>144</sup>.

Władisław Bebko pochodzi z rodziny robotniczej i sam też jest robotnikiem. W momencie aresztowania

<sup>135</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 43, s. 23.

<sup>136</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 44, s. 116.

<sup>137</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 41, s. 29; nr 42, s. 28–30.

<sup>138</sup> *Ibidem*; „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 44, s. 32–33.

<sup>139</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 42, s. 28–30.

<sup>140</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 47, s. 140–141.

<sup>141</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 56, s. 66–67.

<sup>142</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 63, s. 95; nr 64, s. 35–36.

<sup>143</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 53, s. 53.

<sup>144</sup> *Ibidem*, s. 53–54.

miał 25 lat. Jego towarzysze to albo młodzi robotnicy, albo studenci uczelni technicznych. W 1976 r. postanowili po raz pierwszy wyjść na ulicę, tym razem – „bez żadnej polityki”. 1 kwietnia około 30–40 osób ruszyło z placu Samarskiego, skandując żartobliwe hasła. Pół godziny później drogę zagrodziła im milicja. Dwanaście osób zatrzymano, trzy z nich dostały po 10–15 dob aresztu za „zakłócenie porządku”. 1 kwietnia następnego roku Bebko i jego koledzy W. Sołomko i Anatolij Sarbajew (również robotnicy) wyszli na demonstrację pod hasłem wolności prasy. Tym razem obeszło się bez aresztowań – odebrano im transparent, ale puszczono ich wolno.

W 1977 r. Bebko wstąpił na politechnikę. Zimą 1978 r. jego i Sarbajewa ostrzeżono, że mają skończyć z „rozmowami antyradzieckimi, rozpowszechnianiem materiałów antyradzieckich i Karty 77, a także z działaniami w celu utworzenia grupy antyradzieckiej”<sup>145</sup>. W rocznicę rewolucji październikowej w 1978 r. Bebko zerwał okolicznościowy plakat i został aresztowany za chuligaństwo i „oszczerstwo” (wyrok – 3 lata obozu). Wstęp na salę rozpraw był wolny – wpuszczono jego kolegów. Bebko dał słowo, że w przyszłości nie będzie głośno mówić o niczym zakazanym. Po ogłoszeniu wyroku ze wszystkich stron sali poleciały w jego kierunku kwiaty, wniesione po cichu przez jego kolegów<sup>146</sup>.

Po koniec 1979 r. aresztowano towarzysza Bebki Wiktora Dawydowa, a w czerwcu 1980 r. Anatolija Sarbajewa<sup>147</sup>. Oskarżono ich o autorstwo publikacji samizdatowych (to kolejny etap rozwoju działalności grupy kujbyszewskiej). Tytuły prac Sarbajewa: *Sowietskoje obszczestwo po konstitucyi 1977 g.* (Społeczeństwo radzieckie według konstytucji z 1977 r.), *Konstitucyja obszczestwa za żelaznym zanawiesom* (Konstytucja społeczeństwa za żelazną kurtyną) i inne. Poza tym zarzucano mu współudział w two-

rzeniu w Kujbyszewie Środkowowółżańskiej Grupy Obrony Praw Człowieka (u Sarbajewa znaleziono ulotkę informacyjną dotyczącą tej nigdy niepowstałej grupy).

Dawydow (prawnik z wykształcenia) został oskarżony o autorstwo i powielanie samizdatowych prac *Fienomien totalitaryzma oraz Wtorogo prziszestwija nie budiet* (Drugiego przyjscia nie będzie) – o możliwości odrodzenia stalinizmu w ZSRR. Zamknięto go w szpitalu psychiatrycznym aż do 1983 r.<sup>148</sup>

Oprócz kręgu Bebki i Dawydowa również inne grupki w Kujbyszewie poruszały tematy zakazane. A co najmniej jedna tego typu grupka – kółko marksistowskie (widocznie na wzór kółek z Gorkiego i Saratowa z lat siedemdziesiątych) – została wymieniona w informacji o aresztowaniu dwóch „marksistów” w Kujbyszewie. Kontynuowana jest też działalność samizdatowa. Latem 1982 r. aresztowano inżyniera matematyka Trachtenberga, którego oskarżono o powielanie samizdatu. Na przełomie lat 1982 i 1983 aresztowano inżyniera naftowego Razgładnika; zbierał wypowiedzi zwolenników polskiej Solidarności. Były to pojedyncze aresztowania, nie pociągnęły za sobą następnych, a więc korzenie ocalały<sup>149</sup>.

### Inne miasta

Wiadomo o utworzeniu na początku 1978 r. dziewięcioosobowej grupy obrony praw człowieka w mieście Sowietsk w obwodzie kaliningradzkim, lecz o działalności tej grupy nie było żadnych danych – najwyraźniej wszystko się ograniczyło do faktu jej utworzenia. W sierpniu 1978 r. w Sowietsku został aresztowany lokalny fotograf i pracujący w parku kultury scenograf Romien Kostierin, nazwany (w pejoratywnym kontekście) założycielem tej grupy<sup>150</sup>.

<sup>145</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 51, s. 37–38.

<sup>146</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 53, s. 54–56.

<sup>147</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 55, s. 19–21; nr 57, s. 47–48.

<sup>148</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 58, s. 89–92; nr 62, s. 43–44.

<sup>149</sup> „Wiesti iz SSSR” 1982, nr 18, s. 12, 11; 1983, nr 17, s. 7.

<sup>150</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 51, s. 38–39, 23–27.



Podobną próbę, również nieudaną, podjęto pod koniec 1979 r. w Saratowie: fizyk Aleksandr Komarow usiłował powołać filię grupy helsińskiej, lecz został przymusowo umieszczony w szpitalu psychiatrycznym<sup>151</sup>.

W Piatigorsku, Żeleznowodzku oraz Kiszowodzku przed 10 grudnia 1978 r. naklejono ulotki: „Jeżeli zdajecie sobie sprawę z panującego w ZSRR bezprawia, przyjdźcie pod klomb miasta Piatigorska, obok sklepu Kristałł, 10 grudnia 1978 r. o godzinie 18 na spotkanie »mitingu milczenia«. Nie ma w tym nic niezgodnego z prawem. 10 grudnia 1948 r. Związek Radziecki podpisał Powszechną deklarację praw człowieka”.

9 lutego funkcjonariusze KGB stawili się u tego, kto naklejał ulotki – Olega Sołowjowa. Był to mieszkaniec Piatigorska, chemik, absolwent uniwersytetu w Tomsku, pracował jednak jako palacz, odkąd w latach 1969–1972 był przymusowo leczony w szpitalu psychiatrycznym – również za ulotki. Demonstracja się nie odbyła<sup>152</sup>.

Na głównej ulicy Kijowa – Kreszczatiku – 30 grudnia 1978 r. operator filmowy Wiktor Monbłanow demonstrował sam z plakatem „Wolność dla więźniów sumienia!”. Został skazany za „chuligaństwo” na 4 lata obozu. Tuż po wyjściu na wolność w lutym 1982 r. znowu przeprowadził jednoosobową demonstrację, tym razem żądając uwolnienia przewodniczącego Moskiewskiej Grupy Helsińskiej, i został skazany na 5 lat obozu o surowym rygorze – ponownie z oskarżenia o „chuligaństwo”<sup>153</sup>.

W drugiej połowie lat siedemdziesiątych mieszkańcy rosyjskiej prowincji zaczęli częściej się udzie-

lać w samizdacie w charakterze autorów. Oprócz wspomnianych wyżej Dawydowa i Sarbajewa znana jest wartościowa praca geofizyka Josifa Diad’kina (z miasta Kalinin) *Statisty* – o zmniejszeniu się liczby ludności w ZSRR związanym z eksperymentem budowy socjalizmu (kolektywizacja, terror na gruncie ideologicznym itd.)<sup>154</sup>.

We wrześniu 1975 r. w Piatigorsku odbył się proces sądowy pięćdziesięcioletniego inżyniera Michała Zwieriewa, który napisał około dwudziestu artykułów zawierających krytykę ustroju radzieckiego i rozsyłał je pocztą lub wrzucał do skrzynek na listy. Został uznany za niepo czytelnego. Podobny był los Popowa z miasta Oktiabrskij w Baszkirii: umieszczono go w szpitalu psychiatrycznym z powodu wierszy, które uznano za „antyradzieckie”<sup>155</sup>. Fizyk Wazif Mejtanow (Machaczkała) przekazał do samizdatu pracę *Zamietki na polach sowieckich gazet* (Notatki na marginesach radzieckich gazet)<sup>156</sup>. Mieszkaniec Soczi inżynier Michaił Żychariew w 1974 r. został umieszczony w szpitalu psychiatrycznym za napisanie „antyradzieckiej” powieści *Bolszaja afera* (Wielka afera); w 1983 r. nadal przebywał „na leczeniu”. Za próbę przekazania tej powieści zagranicznemu turyście aresztowano w październiku 1982 r. znajomego Żychariewa Aleksandra Tkalicza-Pietrowa – tłumacza z języka hiszpańskiego i angielskiego, który pracował jako stróż w jednym z sanatoriów w Soczi<sup>157</sup>.

W Togliatti w mieszkaniu malarza samouka Michała Zotowa skonfiskowano samizdat oraz prywatne archiwum literackie, w tym powieść *Dissidenty*. W Homlu za notatki na temat wydarzeń w Nowo-

<sup>151</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 56, s. 123; „Wiesti iz SSSR” 1980, nr 2, s. 11.

<sup>152</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 52, s. 124.

<sup>153</sup> *Ibidem*, s. 30; nr 64, s. 104.

<sup>154</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 45, s. 103–104.

<sup>155</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 40, s. 130–131.

<sup>156</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 60, s. 21.

<sup>157</sup> „Chronika tiekuszczich sobytij”, nr 47, s. 134–135; „Wiesti iz SSSR” 1982, nr 19, s. 82.

czerkasku\*, słuchanie zagranicznych audycji radiowych i dyskusje na ich temat sędzono robotnika Jewgienija Buzinnikowa; w Taganrogu za zbiorowe słuchanie tych audycji i rozpowszechnianie ich nagrań sędzono robotnika Eduarda Kuleszowa<sup>158</sup>. W lipcu 1979 r. w Bobrujsku Michaił Kukabaka, były więzień polityczny, został skazany na 3 lata obozu – zarzucono mu przekazanie na Zachód swoich artykułów *Mieżdunarodnaja razriadka i prawa czelowieka – niedielimy* (Odprężenie międzynarodowe i prawa człowieka są nierozłączne) oraz *Ukradionnaja rodina* (Skradziona ojczyzna), a także nagrywanie na taśmę magnetofonową audycji zagranicznych rozgłośni

radiowych i przekazywanie tych nagrań kolegom<sup>159</sup>. Najwidoczniej w tych latach zagraniczne audycje zyskały większą liczbę słuchaczy i mocniejszy stał się ich wpływ na umysły, zwłaszcza na prowincji. Również samizdat był na prowincji szerzej kolportowany. Numery „Kroniki Bieżących Wydarzeń” z drugiej połowy lat siedemdziesiątych pełne są doniesień o konfiskowaniu samizdatu, zwolnieniach z pracy oraz innych prześladowaniach za czytanie literatury niezależnej i dyskusje na jej temat, o aresztowaniach i wyrokach za autorstwo i kolportaż.

Tłum. *Olga Morańska, Małgorzata Strasz*

\* 1 i 2 VI 1962 – po ogłoszeniu przez władze wysokich podwyżek cen żywności – w fabryce lokomotyw w Nowoczerkasku na południu Rosji doszło do strajku i demonstracji ulicznych. Przeciwno tłumom wprowadzono wojsko; od kul zginęły 24 osoby, kilkadziesiąt zostało rannych. Zatrzymano paręset osób, ponad sto postawiono przed sądem, siedem skazano na karę śmierci i stracono (red.).

<sup>158</sup> „Chronika tiekuszczych sobytij”, nr 51, s. 15–21, 40–43.

<sup>159</sup> „Chronika tiekuszczych sobytij”, nr 53, s. 58–60.

# OPOZYCJA PRZECIW KOMUNIZMOWI NA SŁOWACJI

### ANDRZEJ KRAWCZYK

dr, historyk i dyplomata. W latach osiemdziesiątych współredaktor niezależnego czasopisma „ABC”, poświęconego Europie Środkowo-Wschodniej. Od jesieni 1989 r. urzędnik państwowy, m.in. dyrektor generalny w Kancelarii Sejmu (1991–1993), minister w Kancelarii Prezydenta RP (2005–2007). Ambasador w Pradze, Bratysławie i – obecnie – w Sarajewie. Autor m.in. książki *Praska wiosna 1968* (1998).

Przez większość XX wieku Słowacja pozostawała w cieniu Czech. Idea współpracy Czechów i Słowaków, rozumiana głównie jako koncepcja wsparcia Słowaków przez Czechy, legła u narodzin Czechosłowacji.

Problem nierównomiernych relacji między oboma narodami i praskiego centralizmu był obecny przez całą 74-letnią historię Czechosłowacji. Poczucie niezadowolenia Słowaków doprowadziło do powstania ruchu autonomiczno-separatystycznego uosobianego przez ks. Andreja Hlinkę, a w latach 1939–1945 Państwa Słowackiego z prezydentem ks. Jozefem Tiso. Rozbicie Czechosłowacji w 1939 r. i powstanie odrębnego państwa słowackiego było rezultatem działań III Rzeszy, która wykorzystwała postulaty słowackie, nadużywając ich. Podobnie – choć nie likwidując państwa – zachowały się władze sowieckie w 1969 r., kiedy przekształciły kraj w federację czesko-słowacką.

Przez cały okres istnienia Czechosłowacji po czeskiej stronie panowało oparte na kompleksie wyższości poczucie misyjności wobec wschodnich pobratymców i oczekiwanie wdzięczności za „ciągnięcie Słowaków w górę”. Oczywiście, nie wolno pomijać autentycznych uczuć sympatii i bliskości, także przecież obecnych. Jednak w 1992 r., kiedy zdecydowano o rozpadzie Czechosłowacji, wśród Czechów silne było poczucie rozczarowania wobec Słowaków za ich „niewdzięczność” i przekonanie, że musi dojść do zaniku wspólnego państwa, aby stało się jasne, ile Słowacy na tym stracą. Za jakiś czas sami mieli pokornie poprosić o restytucję wspólnego państwa.

Stosunek do likwidacji Czechosłowacji wśród jej byłych obywateli jest dziś zróżnicowany. Poglądy rozkładają się mniej więcej po jednej trzeciej: żal za upadkiem Czechosłowacji, satysfakcja z powstania państw narodowych i brak opinii. Generalnie istnienie dwu państw w miejsce Czechosłowacji uznane zostało za coś oczywistego, a wszelkie rozważania i oceny na ten temat mają znaczenie tylko jako refleksja historyczna. W publicystyce z okazji dwudziestolecia nowej rzeczywistości państwowo-geopolitycznej (styczeń 2013 r.) przeważały opinie, że Słowacja lepiej niż Czechy przeszła podwójną transformację: ustrojową i państwową (choć Czechy cały czas są państwem i społeczeństwem bogatszym).

\* \* \*

Według zgodnej oceny historyków opór antykomunistyczny w Czechosłowacji był elitarny i dość osamotniony wśród biernego społeczeństwa. Najbardziej znaną dysydencką

inicjatywą była Karta 77. Opozycja nie stała się masowa, a dysydentów na Słowacji dałoby się policzyć na palcach jednej ręki. To stereotypowy obraz. Rzeczywistość była bardziej skomplikowana.

Powyższy opis zarazem jest i nie jest prawdziwy. Na antykomunistyczny opór na Słowacji składały się bowiem trzy mocno różniące się elementy:

a) polityczni dysydenci – współpracownicy czeskiej w gruncie rzeczy Karty 77, rzeczywistość bardzo słabi;

b) katolicy słowaccy – pozostaliśmy na razie przy takim enigmatycznym określeniu. Była to siła społeczna trudna do określenia, mgławicowa, nieostra, ale nadspodziewanie silna (jej siła w ateistycznej i wrogiej Kościołowi Czechosłowacji była dla wszystkich zaskoczeniem);

c) ruch ekologiczny – początkowo bez żadnych konotacji politycznych, stopniowo coraz silniejszy i dla części aktywistów będący wygodnym kostiumem społecznego nieposłuszeństwa; ekolodzy stawali się wraz z upływem czasu coraz większym problemem dla władzy.

Dopiero te trzy zjawiska razem świadczą o skali oporu społeczeństwa słowackiego wobec komunizmu. Spojrzenie jedynie pod kątem świadomej aktywności politycznej byłoby niepełnym odczytaniem słowackiej rzeczywistości.

Pewne znaczenie dla klimatu politycznego na Słowacji miało istnienie zorganizowanej słowackiej emigracji politycznej, która była w większości katolicka i nawiązywała do oficjalnie potępianej tradycji Państwa Słowackiego z lat 1939–1945. Od czerwca 1970 r. funkcjonował w Toronto Światowy Kongres Słowaków. Istniały pewne, bardzo ograniczone kontakty tej tzw. ludackiej emigracji (Ludacy to potoczna nazwa partii założonej przez ks. Andreja Hlinkę,

rzządzającej w Państwie Słowackim) z krajem, ale miały one charakter konspiracyjny.

### Karta 77 po słowacku

Ruch dysydencki w Czechosłowacji – jak już pisaliśmy – postrzegany był głównie w kontekście ruchu Karta 77, którego powołanie ogłoszono 6 stycznia 1977 r. Jego uczestnicy podjęli próbę walki o liberalizację komunizmu, odwołując się do formalnie zapisanych, lecz nieprzestrzeganych norm i przepisów, wstawianych do systemu prawnego w krajach komunistycznych bądź w celach propagandowych, bądź rutynowo. Był to ruch intelektualny, cierpiący na nadreprezentację byłych funkcjonariuszy aparatu partyjnego sprzed 1968 r. i mający ograniczone wpływy wśród szerokich mas społeczeństwa, spacyfikowanego na początku lat siedemdziesiątych przez Husakowską „normalizację”.

Na Słowacji słabość ruchu dysydenckiego i bierność społeczeństwa były jeszcze większe niż w Czechach. Karta 77 miała w pierwszych latach działalności około 800 sygnatariuszy w całej Czechosłowacji. Na Słowacji podpisało ją zaledwie dwadzieścia osób (spośród nich aktywnie udzielało się około dzieściu), do 1989 r. środowisko to wzrosło do mniej więcej czterdziestu. Aczkolwiek Václav Havel kilkakrotnie wspominał, że dwa pierwsze podpisy pod Kartą, które zdobył, należały do Słowaków: Dominika Tatarki<sup>1</sup> i Jána Mlynárika<sup>2</sup>, to jednak dysproporcja była widoczna. W części wytłumaczyć to można dominacją Czechów w aparacie władzy, co przenosiło się także na dysydencką aktywność byłych funkcjonariuszy i urzędników. Nie wolno również zapominać, że w Czechach, gdzie komunizm mocniej zapuścił korzenie, stosowano po 1969 r. znacznie większe represje

<sup>1</sup> Dominik Tatarka – jeden z największych pisarzy słowackich XX w., publicysta, pod koniec lat czterdziestych autor ważnych tekstów rozliczeniowych z Państwem Słowackim Tisy, w latach sześćdziesiątych krytyk stalinizmu i partyjny ideolog, od 1970 r. publikujący jedynie w samizdacie i na emigracji. Jego teksty są traktowane jako jedna z najważniejszych refleksji nad realnym socjalizmem w Europie Środkowo-Wschodniej.

<sup>2</sup> Ján Mlynárik – historyk; pod pseudonimem „Danubius” stał się znany jako autor pamfletu politycznego z 1978 r., w którym dowodził, że polityczne zło i stalinowska niesprawiedliwość w Czechosłowacji rozpoczęły się od skrzywdzenia po wojnie Niemców Sudeckich, akceptowanego przez żadne społeczeństwo.

(które w sporej mierze polegały na rozliczeniach wewnątrz aparatu partyjnego) niż na Słowacji.

Typowe dla Karty 77 postacie: ekskomuniści i marksiści rewizjoniści, którzy głęboko zaangażowali się w przemiany kierowane przez partię w 1968 r., reprezentowani byli na Słowacji przede wszystkim przez Miroslava Kusę<sup>3</sup> i Milana Šimečkę<sup>4</sup>.

### Katolicy polityczni

W Czechosłowacji znaczenie i siła Kościoła katolickiego były silnie zróżnicowane w zależności od regionu. Czechy to kraj tradycyjnie ateistyczny; Morawy (zwłaszcza południowe) i Słowacja to kraje katolickie. Tymczasem Polacy patrzą często na swych południowych sąsiadów przez pryzmat Pragi i czeskich realiów. Coraz rzadziej można już, co prawda, usłyszeć o „czeskich Tatrach”, ale często zapomina się o kulturowo-politycznej odmienności Słowacji. Każdy w Polsce zna Havla i słyszał o Karcie 77, ale ilu Polaków słyszało o „demonstracji świeczkowej”? Fenomen słowackiego katolicyzmu i jego przetrwania wart jest większej uwagi.

Lata siedemdziesiąte w Czechosłowacji nie były okresem optymistycznym. Wiele osób żyło wciąż w szoku z powodu wkroczenia do kraju wojsk sowieckich, a poczucie beznadziejności powiększała poniżająca i degradująca „normalizacja”. Nie posyłano ludzi do więzień, ale codziennie zmuszano ich, aby zachowywali się niegodnie. Reżim z pełnym cynizmem żądał składania wiernopoddańczych deklaracji, potępiania znajomych i szefów, publicznych podziękowań za interwencję Układu Warszawskiego itp. Albo przygotowania plakatu z napisem „Ze Związkiem

Radzieckim na zawsze i już nigdy inaczej” i powieszenia go w pracy, na oczach kolegów. Alternatywą była zmiana posady na etat palacza, tramwajarza albo pomocnicy fryzjera (wariant dla kobiet) i zakaz studiowania dla dzieci. Toteż na niezgodę zdecydowali się bardzo, bardzo nieliczni. Kiedy w 1977 r. powstała Karta – skromny przecież apel do władz o przestrzeganie standardowych praw obywatelskich – na całej Słowacji zaledwie kilka osób zdecydowało się pod nią podpisać. Ale w tym samym czasie – pomimo zmąsowanej propagandy i działań ateistycznych – tysiące ludzi, zwłaszcza na prowincji, chodziło do kościoła, obcując co niedziela ze światem innych wartości i innym niż komunistyczny językiem. Kilkanaście tysięcy z nich uczestniczyło świadomie w życiu tzw. Tajnego Kościoła. Był to więc, być może, najbardziej masowy przejaw oporu wobec komunizmu w całej Czechosłowacji, a w każdym razie fakt, który przeczy stereotypowemu przeświadczeniu, że jedyną opozycję tworzyły intelektualne środowiska w Pradze, w dużej mierze wywodzące się od byłych komunistów – aktywistów praskiej wiosny.

Tradycja chrześcijańskiego oporu wobec komunizmu sięgała na Słowacji przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Ludzie, którzy dorastali w latach wojny i tuż po niej w otoczeniu i pod wpływem charmatycznego chorwackiego księdza Tomislava Kolakoviča, zaczęli budować nieformalną strukturę, którą nazwali Tajnym Kościołem. Ksiądz Kolakovič jeszcze w latach wojny nauczał, że katolicy muszą się przygotować na nadejście rządów wrogich religii i Kościołowi. Przygotowywał młodzież z kręgów duszpasterstwa akademickiego na życie wśród prześladowań. Przekonywał, że ważne są nie tylko wartości, ale

<sup>3</sup> Miroslav Kusý – wykładowca marksizmu i funkcjonariusz KC KPCz, profesor filozofii marksistowskiej, w 1968 r. kierownik wydziału ideologicznego KC KPCz, pozbawiony wszelkich funkcji i usunięty z partii po inwazji wojsk Układu Warszawskiego 21 VIII 1968 r. Miał zakaz wykładania, znalazł się pod stałym nadzorem służby bezpieczeństwa (która nadała mu kryptonim „Renegat”). Najwybitniejszy marksista rewizjonista słowacki. W latach osiemdziesiątych zwolennik eurokomunizmu. Podczas aksamitnej rewolucji wiceprzewodniczący Społeczeństwa przeciwko Przemocy, później poseł, rektor Uniwersytetu Komenského i szef filii Kancelarii Prezydenta Havla w Bratysławie. Po konflikcie z Vladimírem Mečiarem odszedł z życia politycznego. Niezależny publicysta.

<sup>4</sup> Milan Šimečka – w latach pięćdziesiątych komunista, wykładowca marksizmu na uczelniach artystycznych, następnie rewizjonista reformator. Po 1968 r. wyrzucony na margines, z zakazem działalności publicznej; czołowy dysydent i niezależny publicysta słowacki. Po aksamitnej rewolucji doradca prezydenta Havla do spraw stosunków czesko-słowackich.



też praktyczna umiejętność życia religijnego w skrajnie niekorzystnych warunkach. Namawiał, aby uczyć się na pamięć Pisma Świętego – na wypadek gdyby wszystkie egzemplarze Biblii zostały skonfiskowane – i nauczyć się liturgii, by można było konspiracyjnie odprawiać msze w domach, w małych grupkach przyjacielskich. Powtarzał, że obowiązkiem katolików jest „przeniesienie” Kościoła do lepszych czasów. Swoje nauczanie odnosił także do sfery teologicznej, głosząc, że w sytuacji skrajnej każdy może czuć się kapłanem.

Kiedy na początku lat pięćdziesiątych reżim komunistyczny w Czechosłowacji twardo zaatakował – w sposób nieporównywalny z polskimi realiami – Kościół katolicki, przeprowadzając w nocy z 13 na 14 kwietnia 1950 r. akcję jednoczesnego aresztowania i osadzenia w „obozach internowania” wszystkich zakonników i zakonnice w kraju, wychowankowie Kolakoviča przystąpili do pracy..

Na czele Tajnego Kościoła stali Silvester Krčméry i Vladimír Jukl. Krčméry, lekarz z wykształcenia, za „propagowanie katolicyzmu” spędził 14 lat w więzieniu. Poświęcił ten czas na medytację i przemyślenia, jak szerzyć wiarę katolicką w komunistycznej Czechosłowacji. W więzieniu przeżywał mistyczne uniesienia. Próbowano poddawać go psychologicznemu praniu mózgu, by stracił wiarę, ale jego przekonania okazały się silniejsze. Wyszedł z więzienia z poczuciem misji apostołskiej i razem ze swoim przyjacielem, matematykiem Juklem, zaczął budować organizację Tajnego Kościoła. Zaczęli działalność wśród ludzi z marginesu, trudnej młodzieży, alkoholików. Potem skoncentrowali się na pracy wśród studentów. Przekonywali, że nawet w trzy osoby można być razem, modlić się i studiować Pismo Święte. Po skończeniu studiów każdy miał wrócić do domu i założyć podobną

grupę. Każdy z tej grupy miał później stworzyć swoją własną – i tak dalej, i tak dalej. Systematyczną, codzienną pracą przez lata wybudowano paralelną społeczność, która nie miała formalnej struktury, budynków, biur itp.

Duchowni znajdowali się w niezwykle trudnej sytuacji. Wywierano na nich nacisk, zamykano kościoły. Wielu trafiło do więzień lub obozów pracy pod najrozmaitszymi zarzutami. Innych zmuszono do odejścia ze stanu duchownego. Część złamano, zmuszając do współpracy ze służbą bezpieczeństwa. Księża bali się czynić cokolwiek poza najbardziej wąsko rozumianą pracą duszpasterską. Tylko nieliczni, choć byli i tacy, zdecydowali się wspierać Tajny Kościół i konspiracyjnie prowadzić pracę społeczną wśród wierzących.

W 1974 r. Krčméry i Jukl założyli jawne stowarzyszenie katolickie Fatima, którego oficjalnym celem było rozpowszechnianie legalnej literatury religijnej i książeczek do nabożeństwa, niejawnym natomiast – próba przerzucania tej literatury także do Związku Sowieckiego.

Wielką barierą dla rozwoju Tajnego Kościoła był brak księży i możliwości odprawiania mszy. Felix Davídek, duchowny z Brna na Morawach (w latach 1950–1964 więziony; zmarł w 1988 r.), zaczął więc na własną rękę przygotowywać młodych ludzi do kapłaństwa i ich wyświęcać. Nie mieli oni w większości wykształcenia teologicznego, a czasem popadali w konflikt z miejscowymi oficjalnymi księżmi. Tajni księża normalnie pracowali, najczęściej jako robotnicy fizyczni, zdarzało się, że zakładali rodziny. W swoich poglądach często rozchodzili się z nauczaniem Kościoła katolickiego. Fascynował ich zwłaszcza Kościół prawosławny – ortodoksyjny i mistyczny, do tego słowiański i nastawiony antyzachodnio. Davídek wyświęcił około 160 osób, a piętnastu nadał tytuł biskupa<sup>5</sup>.

<sup>5</sup> Kiedy do Europy Środkowej przysłała na początku lat dziewięćdziesiątych wolność, Kościół katolicki starał się uporządkować dziedzictwo Tajnego Kościoła. Watykan – przy całym szacunku dla siły wiary i zasług – stał na stanowisku, że nieoficjalni księża muszą zostać ponownie wyświęceni, by uzyskać status kapłana, zgodnie z prawem kanonicznym. Zażądano też od nich, by zasady wiary korygowali według nauczania Kościoła. Około 120 księży zostało w 1992 r. ponownie wyświęconych. 22 żonatych księży dostało specjalną zgodę Jana Pawła II na formalne wyświęcenie w obrządku greckokatolickim i zostało w Kościele. Kilkunastu księży jednak nie podporządkowało się Kościołowi instytucjonalnemu. Zdaniem Watykanu popadli oni w herezję, zwłaszcza że część z nich głosi poglądy bliskie Ruchowi Świętego Graala (lefebrystów).

Wybór kard. Karola Wojtyły na papieża i powstanie Solidarności w sąsiedniej Polsce dodało słowackim katolikom otuchy. W czerwcu 1983 r. dwaj matematycy zaangażowani w działalność Tajnego Kościoła, František Mikloško (w wolnej Słowacji został przewodniczącym parlamentu) i Rudolf Fiby, przyjechali do Krakowa podczas wizyty Jana Pawła II i za pośrednictwem redakcji „Tygodnika Powszechnego” przekazali mu memoriał o sytuacji katolików na Słowacji.

Kiedy w połowie lat osiemdziesiątych Tajny Kościół rzucił hasło pielgrzymek do Lewoczy, zorganizowanych pod postacią wędrownych obozów turystycznych, potrafiło w nich wziąć udział prawie 100 tys. osób! Efekt cichej i niewidocznej wieloletniej pracy był widoczny.

W połowie lat siedemdziesiątych (w 1977 r.?) młody prawnik Ján Čarnogurský (późniejszy pierwszy premier Słowacji) próbował założyć – na wzór warszawskiego – Klub Inteligencji Katolickiej w Bratysławie, ale dopiero w połowie lat osiemdziesiątych zaczęto myśleć o ujawnieniu się. Katolicy słowaccy mieli swój słaby punkt – była nim pamięć o ścisłym związaniu się Kościoła z Państwem Słowackim, które było sojusznikiem III Rzeszy i wydało Niemcom na śmierć kilkadziesiąt tysięcy swoich żydowskich obywateli. Komuniści wykorzystywali ten fakt, oskarżając każdą inicjatywę publiczną katolików o „klerofaszizm”. W tym kontekście należy rozumieć starania bp. Jana Chryzostoma Korca, niekwestionowanego przywódcy duchowego słowackich katolików, aby powstrzymać wierzących od jakiegokolwiek innej działalności niż uczestnictwo w obrzędach religijnych. Jednak w latach 1988–1989 w Bratysławie Ján Čarnogurský wydawał w samizdacie „Bratislavské listy”, które działalności katolickiej nadawały także wymiar polityczny.

Siła katolicyzmu w Czechosłowacji ujawniła się dość nagle w 1985 r. – podczas pielgrzymek do Velehradu na Morawach (z udziałem blisko 200 tys. osób) – i w 1987 r., kiedy ogłoszono „Postulaty morawskich katolików”, które sprowadzały się do żądania wolności religijnej i obsadzenia wakujących funkcji biskupich. Władze były zaskoczone, że pod postulatami

zebrano aż pół miliona podpisów, z tego trzy czwarte na Słowacji (gdzie mieszkała jedna trzecia ludności Czechosłowacji). Historycy Kościoła twierdzą, że proklamowanie Roku Maryjnego w czerwcu 1987 r. przez Jana Pawła II i związane z nim setki wydarzeń w sanktuariach w Lewoczy, Šaštínie, Starych Horach i Mariankach doprowadziły do rewitalizacji życia kościelnego na Słowacji.

Jesienią 1987 r. środowiska katolickie zaktywizowały się politycznie pod wpływem Jána Čarnogurskiego i Františka Mikloški. W październiku zorganizowana przez nich grupa katolików wydała oświadczenie w sprawie deportacji Żydów ze Słowacji, zawierające słowa: „głęboko żałujemy i szczerze prosimy o wybaczenie tego wszystkiego, co się stało z naszymi żydowskimi współobywatelami, kiedy większość z nich w przestępczy sposób została wywieziona, a potem uśmiercona w nazistowskich obozach koncentracyjnych”. Za granicą, szczególnie w środowiskach żydowskich, ten dokument został przyjęty bardzo pozytywnie i wzbudził sympatię dla niewielkiego grona słowackich dysydentów.

Również w październiku 1987 r. ta sama grupa zorganizowała w wiosce Černová obchody osiemdziesiątej rocznicy tragedii, do której tam doszło, kiedy do tłumu mieszkańców protestujących przeciwko zakazowi odprawienia mszy przez młodego księdza Andreja Hlinkę (co miało szczególnie wymiar, bo Hlinka pochodził z tej wsi) pilnująca porządku kompania żandarmerii węgierskiej z niewyjaśnionych do końca przyczyn oddała salwę karabinową. Piętnaście osób zginęło, co najmniej siedemdziesiąt zostało rannych. Černová stała się początkiem ogólnonarodowej legendy ks. Hlinki i mitem założycielskim słowackiego patriotyzmu.

Należy również odnotować wsparcie, jakie katolicy dysydenci dostawali od polskich środowisk katolickich. Te kontakty były wielorakie i oczywiście w żaden sposób nieskoordynowane, trudno więc dokładnie ocenić wymiar tej pomocy. We wspomnieniach pojawiają się pojedynczy księża z Gdańska czy tak nietypowe instytucje jak Seminarium Duchowne w Nysie. 5 maja 2001 r. w Żylinie Vladimír Jukl zorganizował

zjazd osób zaangażowanych w przerzucanie literatury katolickiej i dysydenckiej na Słowację. Może warto, idąc tym tropem, odtworzyć tę aktywność. Na razie wymienimy chociaż nazwiska Polaków, którzy zostali skazani w komunistycznej Słowacji za dostarczanie literatury katolickiej. Edward Kalinowski został skazany 9 listopada 1981 r. przez sąd miejski w Bratysławie na 16 miesięcy więzienia. W marcu 1985 r. ukarano Alojzego Gabaja i Bronisława Borowskiego 14 miesiącami więzienia oraz Tomasza Konca<sup>6</sup> 12 miesiącami.

## Ekolodzy

To w łonie ruchu ekologicznego rodziły się, kształtowały i utwardzały postawy opozycyjne. Z tych kręgów wyszły pierwsze publiczne głosy niezadowolenia i kontestacji. W sferze ochrony środowiska, w której nie poruszano tematów politycznych i ideologicznych, łatwiej było zdecydować się na konflikt z władzami i pozyskać poparcie dla publicznego protestu. Nawet dla przekonanych komunistów i ludzi związanych z aparatem władzy poparcie dla aktywności ekologicznej nie brzmiało „dysydencko” i nie wymagało przełamywania bariery strachu. W ruchu ekologicznym istniała pewna grupa ludzi, którzy świadomie walczyli z rzeczywistością na tym polu, ale generalnie protest ekologów był zjawiskiem złożonym i dopiero stopniowo, także wskutek nieumiejętności komunistów reagowania na krytykę, nabierał mocniejszych akcentów opozycyjnych.

Wśród kilku inicjatyw ekologicznych, często niezależnych od siebie, wymienić trzeba ruch protestu przeciwko budowie zapory wodnej na Dunaju Gabčíkovo-Nagymaros, obronę kompleksu klasztornego w Mariankach oraz niezgodę na pochopne wyburzenia na Starym Mieście w Bratysławie i Bańskiej Bystrzycy. Ciekawą inicjatywą społeczną, wymyśloną i kierowaną przez lekarza Petera Tatára, był program Badanie 111. Miał on polegać na zdiagnozowaniu

istniejących na Słowacji problemów społecznych i opisanu form ich naprawy. Opracowana lista składała się z 111 pozycji.

Szczytowym osiągnięciem ruchu ekologicznego i jego wkładem w walkę z reżimem była niewielka książeczka z 1987 r. *Bratysława – na głos*. Publikacja została przedstawiona jako protokół posiedzenia Koła nr 6 i Koła nr 13 (z Bratysławy) Słowackiego Związku Ochrony Przyrody i Krajobrazu, które odbyło się 4 czerwca 1987 r. W siedemnastu artykułach 23 autorów dokonało krytycznego przeglądu warunków życia na Słowacji – od jakości powietrza po grupy „społecznie poszkodowane”. Z tekstu wynikało, iż komunizm oznacza dla Słowaków zacofanie cywilizacyjne, niszczenie środowiska naturalnego, rabunkową gospodarkę zasobów naturalnych i utratę materialnego dorobku cywilizacyjnego. Organizatorzy tego przedsięwzięcia, z inżynierem Jánem Budajem na czele, wezwali władze, aby we współpracy z obywatelami podjęły działania na rzecz uczynienia z Bratysławy miasta, „gdzie się zdrowo żyje”. Zaproponowano, aby prezydent miasta regularnie spotykał się z przedstawicielami społecznego ruchu ekologów, a w urzędzie miejskim działała stała „zielona linia” telefoniczna, do regulaminu prac rady miejskiej chciano wkomponować możliwość zgłaszania inicjatyw przez nieformalne grupy obywateli. Takie pomysły musiały budzić zaniepokojenie komunistycznych władz.

Pierwsze wydanie książki ukazało się w nakładzie zaledwie tysiąca egzemplarzy, ale następne – dwa razy większe – zostało opublikowane już trzy tygodnie później. Ocenia się, że razem z wszelkimi „dzikimi” reprintami i masowo produkowanymi kserokopiami (większość z nich powstała na sprzęcie poligraficznym w instytucjach komunistycznego aparatu władzy) w obieg społeczny weszło około 60 tys. egzemplarzy tekstu (to tak, jakby w Polsce prawie pół miliona nakładu). Jeżeli doda się do tego lekturę całego tekstu w Głosie Ameryki i Radiu

<sup>6</sup> Nazwisko w dopełniaczu wedle zasad słowackiej gramatyki zapisano jako „Konca”; w tych samych źródłach imię Borowskiego w oczywisty sposób błędnie zapisane jest jako Branisław.

Wolna Europa, to można powiedzieć o masowej recepcji książki w społeczeństwie słowackim. Trudno przecenić jej znaczenia dla procesu dystansowania się społeczeństwa słowackiego od realnego komunizmu. A od momentu, kiedy o działalności ekologów zaczęły regularnie i na bieżąco informować zachodnie rozgłośnie radiowe, stała się ona już jednoznacznie polityczną.

### W Bratysławie pomału zmienia się atmosfera...

W pierwszej połowie lat osiemdziesiątych na Słowacji pojawił się samizdat. Już na koniec lat siedemdziesiątych datuje się pierwsza inicjatywa wydawnicza społeczno-literacka, rodzaj almanachu nawiązującego do popularnej w Czechach i na Słowacji starej żydowskiej opowieści – „Trinásta komnata” (Trzynasta Komnata). Od 1981 r. wychodziło pismo „Kontakt”, ważne dla krystalizacji środowiska słowackich dysydentów. W 1987 r. zastąpiło je pismo „K”, rok później, po połączeniu z innym, przekształcone we „Fragment-K”, redagowany przez znanego dysydenta i działacza Karty 77 Milana Šimečkę. Pierwszym katolickim wydawnictwem niezależnym było założone w 1982 r. czasopismo „Náboženství a súčasnosť” (Nabożeństwo i Współczesność).

Na pamięć zasługuje działalność Ivana Polanskiego z miejscowości Dubnica nad Váhom (był to wielki ośrodek przemysłu zbrojeniowego pod szczególnym nadzorem władz, symbol pustki kulturowej reżimu komunistycznego), zupełnie odosobnionego, który zaczął wydawać i sam kolportował w swoim środowisku „Historický zápisník” (Notes Historyczny), poświęcony pamięci Jozefa Tiso. Taka niespodziewana aktywność na prowincji wzbudziła wielkie zaniepokojenie służby bezpieczeństwa. Polanský został aresztowany w październiku 1987 r.

W drugiej połowie lat osiemdziesiątych w przychodzącej ze Związku Sowieckiego atmosferze piestrojki i *głasnosti* – pomimo zachowawczości czechosłowackiego kierownictwa partyjno-państwowego,

sięgającej czasem nawet bojkotowania i blokowania impulsów nadchodzących z Moskwy – zaczęły się rodzić oddolne inicjatywy wyrwywające się z ram i ograniczeń komunizmu. Zaczęli pojawiać się ludzie, którzy nie byli już tak przestraszeni jak generacje z lat pięćdziesiątych czy epoki „normalizacji”. W Bratysławie kierownik domu kultury na ulicy Sybirskiej, fan jazzu i współczesnej plastyki Ladislav „Agnes” Snopko (później minister kultury Słowacji) realizował program „Dotyky a spojenia” (Dotyki i połączenia), promujący alternatywną kulturę. W Akademii Nauk młody literaturoznawca Peter Zajac organizował interdyscyplinarne seminaria, na których poruszano nowe tematy i posługiwano się nowym językiem. Socjolog Fedor Gál organizował seminaria z udziałem gości z Pragi.

Początkowo poszczególne odtamy aktywności obywatelskiej żyły własnym życiem, słabo się ze sobą kontaktowały i nie miały do siebie zaufania. Organizatorzy spotkań ekologów np. nie dopuścili do swoich przedsięwzięć prof. Miroslava Kusego, jednego z odważniejszych i interesujących intelektualnie dysydentów związanego z Kartą 77, gdyż obawiali się, że da to władzom powód do ataku; jednocześnie mieli uprzedzenia wobec Kusego, przed 1968 r. „najmłodszego profesora marksizmu w Czechosłowacji” i kierownika wydziału w Komitecie Centralnym.

W 1978 r. ujawniły się na Słowacji pierwsze niezależne inicjatywy społeczne mniejszości węgierskiej. W marcu tego roku powstał Komitet Ochrony Praw Mniejszości Węgierskiej. Zaczął od protestu przeciwko zwiększaniu liczby godzin nauki języka słowackiego w szkołach dla mniejszości węgierskiej. Przywódcami komitetu byli Miklós Duray i László Nagy. W maju 1979 r. komitet rozesłał list otwarty do przywódców państwa i partii, zwracając uwagę na nierespektowanie przez Czechosłowację zagwarantowanego w artykule 114 konstytucji prawa do „rozwoju społecznego, ekonomicznego i kulturalnego narodowości”<sup>7</sup>. W połowie lat osiemdziesiątych współpraca dysydentów słowackich z Węgrami zintensyfikowała się do tego

<sup>7</sup> W polskiej terminologii: mniejszości narodowych.



stopnia, że zaczęto myśleć o wydaniu wspólnego oświadczenia na temat warunków życia mniejszości słowackiej na Węgrzech i węgierskiej na Słowacji. Pomysł cieszył się wsparciem przywódców Karty 77 w Pradze, odbyło się kilka tur rozmów, ale ostatecznie do wydania deklaracji nie doszło ze względu na różnice między Słowakami i Węgrami w sprawie zamieszczenia zdania: „dzisiejsze granice państwowe uważamy za nienaruszalne”.

W 1987 r. grupa działaczy katolickich (František Mikloško, Ján Čarnogurský, Vladimír Jukl) postanowiła ujawnić swoje istnienie, poczynając od wydania deklaracji potępiającej Holocaust na Słowacji (o czym wyżej). Pomimo nagonki medialnej i oskarżeń o próbę wskrzeszenia „klerofaszyzmu” ci sami ludzie wezwali kilka miesięcy później do pierwszej od 1968 r. jawnej demonstracji antykomunistycznej nie tylko na Słowacji, ale i w całej Czechosłowacji.

### **Demonstracja świeczkowa**

Sformułowano trzy żądania: prawo Kościoła do mianowania biskupów bez ingerencji państwa (Watykan musiał dla Czechosłowacji ustanawiać tajnych biskupów, których nazwisk nie ogłaszano), prawo do nieskrępowanego uczestnictwa w obrzędach religijnych i żądanie przestrzegania praw obywatelskich w Czechosłowacji. Ten ostatni postulat został przyjęty po dłuższych wahaniach i rozterkach, czy nie spowoduje dodatkowych oskarżeń o polityzację ruchu religijnego. Organizatorzy zdecydowali się ostatecznie dołączyć go do swej listy jako wyraz solidarności z czeskim, laickim ruchem dysydenckim.

Mikloško, Čarnogurský i Jukl pod swoimi nazwiskami wezwali (częściowo w ulotkach, ale głównie w formie informacji przekazywanej z ust do ust podczas mszy) do przyjścia wieczorem 25 marca 1988 r. na plac Hviezdoslava w centrum Bratysławy i kilkunastominutowej pokojowej obecności z zapaloną świeczką. Demonstracja bratysławska miała być jednym z ogniw dnia protestu przeciwko sytuacji na Słowacji, organizowanego na całym świecie przez emigracyjny Światowy Kongres Słowaków.

25 marca wczesnym rankiem wszyscy trzej organizatorzy demonstracji zostali zabrani z domów przez policję – na przesłuchania, które trwały do późnego wieczora, do końca demonstracji. Ale na miejsce zbiórki przyszło około 10 tys. ludzi. Słowackie ZOMO zamknęło cały rejon zaplanowanej demonstracji, jednak co najmniej 2 tys. ludzi dostało się na plac. Kiedy zapalili świeczki i zaczęli śpiewać hymn narodowy, pojawiły się dziesiątki tajniaków. Zaczęli wrywać ludzom świeczki. Przygotowane wcześniej regularne zwarte oddziały policji, z armatkami wodnymi, zaatakowały tłum. Policja wkroczyła brutalnie, przewracano ludzi na ziemię, kopano i bito leżących. Na plac wjechały specjalne ciężarówki, do których wpychano zatrzymanych. Aresztowano 141 osób. Rozmiarami demonstracji zaskoczeni byli wszyscy: i władze, i organizatorzy, i dysydenci z Karty 77 (którzy zdystansowali się od demonstracji jako nie politycznej, a „jedynie” katolickiej).

Władze czechosłowackie do końca starały się prowadzić twardą politykę wobec Kościoła i ruchu dysydenckiego. Ostatni działacze, w tym Ján Čarnogurský, trafili do więzienia w sierpniu 1989 r., kiedy w Polsce Tadeusz Mazowiecki kompletował już swój niekomunistyczny rząd. Bezpośrednią przyczyną aresztowań był sukces – z punktu widzenia dysydentów – pielgrzymki do Nitry. Władze były zaniepokojone widocznym spadkiem poziomu strachu wśród ludzi. Zdenerwowanie wzbudzał również apel o demonstracje 21 sierpnia, w rocznicę inwazji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację. Dla „przywrócenia dyscypliny” zdecydowano się na areszt pięciu przywódców opozycji, którym miano wytoczyć wspólny proces o „rozbijanie republiki”. Na jednej ławie oskarżonych mieli zasiąść katolik Čarnogurský i eurokomunista Kusý.

Czasy już się jednak zmieniły. Na forum Zgromadzenia Ogólnego ONZ o los „bratysławskiej piątki” upomniał się w oficjalnym wystąpieniu sekretarz stanu USA James Baker. Ostatecznie do procesu doszło 14 listopada 1989 r. (trzy dni przed wybuchem aksamitnej rewolucji): Kusý dostał osiem miesięcy więzienia w zawieszeniu, trzy osoby uniewinniono,



a sprawę Čarnogurskiego skierowano do osobnego rozpatrzenia. Jedenaście dni później minister sprawiedliwości polecił zwolnić z więzienia Čarnogurskiego, który po następnych dwóch tygodniach został powołany na stanowisko wicepremiera Czechosłowacji, a za półtora roku objął funkcję premiera Słowacji...

### Nežná revolúcia

Reżim komunistyczny próbował przez całe lata osiemdziesiąte nie dopuścić do współpracy grup opozycyjnej katolickiej ze środowiskami dysydentów wywodzący się spośród byłych członków partii komunistycznej, usuniętych po 1968 r. Starano się również przeszkadzać w kontaktach między czeskimi i słowackimi przeciwnikami komunizmu.

Wiadomo, że aksamitna rewolucja w Czechosłowacji zaczęła się od demonstracji studenckiej 17 listopada 1989 r., w rocznicę śmierci studenta Jana Opletała podczas antyniemieckiej demonstracji z 1939 r. (Po wojnie komunistyczne władze wykorzystywały to wydarzenie, czyniąc rocznicę Świętem Studentów Demokratycznych; zachęciło to następną generację studentów do przechwycenia święta z rąk komunistów). Mało kto jednak wie, że pierwsza demonstracja odwołująca się do 1939 r. odbyła się w Bratysławie dzień wcześniej niż w Pradze – 16 listopada 1989 r. Zakończyła się ona spokojnie, siły policyjne nie zdecydowały się na frontalny atak.

Atmosfera społeczno-polityczna w Czechosłowacji była w tych dniach napięta. Ludzie, a szczególnie studenci, byli podekscytowani. Kraj był rozplotkowany, oczekiwano zmian i odejścia ekipy Husáka i Jakeša. Dodatkowo odczuwano swego rodzaju zawstydzenie, że w Polsce i na Węgrzech zaczęły się już rewolucyjne przemiany ustrojowe, z NRD w otwarty sposób uciekają tysiące osób, a Czechosłowacja trwa jak wyspa politycznego betonu. Narastała chęć do demonstracji i wykrzyczenia niezadowolenia.

W niedzielę 19 listopada w Bratysławie – w reakcji na praskie wydarzenia z piątku 17 listopada – doszło do spotkania w tzw. Biesiadzie Artystycznej (budyn-

ku z lat dwudziestych XX wieku przeznaczonym na spotkania ludzi kultury i sztuki) około pięciuset osób z bratysławskich elit – aktorów, plastyków, muzyków, a także studentów, dziennikarzy, pracowników wydawnictw i ludzi nauki.

Demonstracja w Pradze prawdopodobnie została sprowokowana przez część aparatu władzy próbującą przy aprobacie Moskwy doprowadzić do zmiany kierownictwa czechosłowackiej partii komunistycznej jako zbyt zachowawczego. Policja zaatakowała demonstrantów brutalnie, ale z opóźnieniem, jakby chcąc, aby widoczna była wielkość zgromadzonego tłumu. Po rozpędzeniu demonstracji po Pradze krążyła wieść, że podczas ataku policji został zabity student. Dzisiaj wiemy, że była to informacja nieprawdziwa, z premedytacją rozpuszczana przez służbę bezpieczeństwa dla podgrzania emocji społecznych. Agentka bezpieki miała za zadanie przekazać wiadomość o zabójstwie znanemu dysydentowi Petrowi Uhlowi, który – jak zakładano – poda to dalej, do mediów zachodnich. I tak się też stało.

W tym momencie jednak sytuacja wymknęła się z rąk komunistycznych graczy. Fala oburzenia w ciągu kilkunastu godzin rozlała się po całych Czechach. Wiadomość o śmierci młodego człowieka wskutek uderzenia pałką była takim szokiem, że nawet ludzie oddaleni od dysydentów, ba!, członkowie partii komunistycznej otwarcie wyrażali swoje oburzenie. W instytucjach i biurach odbywały się publiczne zebrania otwarte. Główną siłą stali się studenci i aktorzy, środowiska niezwykle opinotwórcze. Pojawiło się hasło strajku generalnego na znak protestu przeciwko brutalności policji. Niezwykle efektywnym środkiem komunikacji były teatry: każde przedstawienie rozpoczynało się od apelu aktorów o przystąpienie do strajku. Namawiano aktorów i studentów pochodzących spoza Pragi, by zawozili wezwanie do strajku do swoich rodzinnych miejscowości. Powstał ośrodek organizacyjny protestu – Forum Obywatelskie. Komunistyczny reżim znalazł się w stanie rozkładu. Rozpadał się z godziny na godzinę, a faktyczna władza przechodziła w ręce prezydium Forum Obywatelskiego.

Na spotkaniu 19 listopada w bratysławskiej Biedzie Artystycznej głównym mówcą był popularny aktor Milan Kňažko, który właśnie dojechał z Pragi, gdzie uczestniczył w spotkaniach tworzącego się Forum Obywatelskiego. Poinformował, że praskie teatry podejmą strajk. Sala – głównie głosami artystów – po emocjonalnej dyskusji przyjęła uchwałę o poparciu strajku praskiego i powołaniu do życia organizacji pod nazwą Spoločnosť Pratičnosť (Verejnost' proti násiliu – VPN). Zdecydowana większość osób opisywanych w niniejszym artykule była tego dnia na sali. Postulowano sformułowanie deklaracji programowej, stwierdzającej, że celem przemian ma być prawdziwa demokratyzacja. Następne zgromadzenie odbyło się nazajutrz. Przyjęto przygotowaną przez noc deklarację programową. VPN określił się jako słowacki partner czeskiego Forum Obywatelskiego.

Na całej Słowacji, analogicznie do Czech i Moraw, rozpoczęły się demokratyczne wiece i demonstracje. Zapanował rewolucyjny nastrój. Władze się ukryły. Prawdziwym rządzącym na ulicach Bratysławy stał się przywódca ekologów Ján Budaj. Największe zgromadzenie odbyło się 22 listopada na placu Hviezdoslava. Milan Kňažko odczytał wówczas deklarację programową VPN, za główny cel aksamitnej rewolucji (bo ta nazwa już się zdążyła pojawić) przyjęto przez aklamację doprowadzenie do demokratycznych wyborów.

10 grudnia 1989 r. powstał w Pradze federalny rząd tzw. porozumienia narodowego – z komunistą Mariánem Čalfą na czele, zaakceptowanym przez Forum Obywatelskie i VPN. Dwa dni później w Bratysławie powołano podobny, paralelny do praskiego, krajowy rząd słowacki<sup>8</sup> Milana Čiča, w większości już niekomunistyczny, choć sam premier był komunistycznym reformatorem. W ten sposób skończył się reżim komunistyczny w Czechach i na Słowacji.

## Porewolucyjne początki

Zaczął się następny rozdział historii narodu słowackiego. Pierwsze wolne wybory parlamentarne odbyły się 8 i 9 czerwca 1990 r. Społeczeństwo Pratičnosť Przemocy, które na swoich listach umieściło zgodnie z duchem czasu rozmaite osoby – od klasycznych liberałów przez ludzi zorientowanych narodowo po byłych komunistów (oczywiście w 1990 r. woleli się nazywać socjaldemokratami albo co najmniej reformistami) i legendę praskiej wiosny Alexandra Dubčeka – zwyciężyło. W wyborach do krajowego parlamentu Słowacji uzyskało 29,4 proc., a do federalnego parlamentu czeskosłowackiego 33 proc. głosów słowackich. VPN, podobnie jak Forum Obywatelskie w Czechach czy Obywatelski Klub Parlamentarny w Polsce, wydawało się przez pewien czas (dość krótko) hegemonem życia politycznego. Z ważnych sił politycznych jedynie katolicy z Jánem Čarnogurskim na czele dążyli do utworzenia własnej reprezentacji. Ich Ruch Chrześcijańsko-Demokratyczny był koalicjantem VPN. W wyborach chadecy uzyskali 19,2 proc. poparcia. Aczkolwiek wynik świadczył o sporych wpływach społecznych, w opinii działaczy chadeckich nie odzwierciedlał możliwości partii.

W konsekwencji wyborów i nowego układu politycznego VPN zaproponował nowego kandydata na premiera lokalnego rządu słowackiego. Była to osoba mało dotąd znana, ale atrakcyjna ze względu na ogłoszone radykalne hasła patriotyczno-narodowe i brak związków ze starym aparatem władzy. Nie był to jednak człowiek związany z ruchem dysydenckim, co niektórzy uważali za zaletę, bo nie prowokowało to do oporu ludzi starego reżimu. Vladimír Mečiar, bo o nim mowa, został słowackim premierem 27 czerwca 1990 r. Miał wówczas 48 lat. Jako dwudziestolatek wstąpił do partii komunistycznej i był w latach sześćdziesiątych prowincjonalnym aparatczykiem niższego

<sup>8</sup> Zgodnie ze stanem prawnym od czasu sfederalizowania Czechosłowacji w 1969 r. istniało takie ciało o kompetencjach pośrednich między samorządem a regionalną administracją centralną.

szczebla. W 1969 r. został jednak wyrzucony z partii i z pracy w Komitecie za publiczne potępienie inwazji wojsk Układu Warszawskiego. Został pracownikiem fizycznym w hucie szkła. Później ukończył zaocznie prawo, pozostając jednak robotnikiem. Ktoś o takiej postawie – i jeszcze z patriotycznymi (niektórzy określali je jako nacjonalistyczne) hasłami na ustach – wydawał się dobrym kandydatem na wysokie stanowisko administracyjne w sytuacji, gdy nowej władzy dramatycznie brakowało kadr.

Jednak drogi Mečiara i VPN rozeszły się już w październiku 1990 r. W 1992 r. rozdzieliły się także Słowacja i Czechy. 1 stycznia 1993 r. zaczęły swoją historię dwa nowe, demokratyczne państwa: Republika Czeska i Republika Słowacka. Rozpad Czechosłowacji przebiegł wzorowo pod względem prawnym i bez społecznych wstrząsów, co szczególnie było widoczne w porównaniu z nieodległą geograficznie była Jugosławią. Niewątpliwie świadczyło to o kulturze politycznej Czechów i Słowaków.

## SYLWETKI

# WALCZĄCY Z BEZPRAWIEM

PAWEŁ SOWIŃSKI

Zbigniew Romaszewski zapowiadał się na utalentowanego fizyka. Porwany przez wartki nurt wydarzeń – porzucił naukę dla obrony praw człowieka. Na świat przyszedł w styczniu 1940 r. w okupowanej Warszawie. Po powstaniu warszawskim wraz z matką został wywieziony do niemieckiego obozu pracy w Turynii. Ojciec – również zabrany przez Niemców – zginął w Sachsenhausen. W czasie wojny stracili wszystko. „Wróciliśmy w 1945 roku. [...] Mieszkanie spalone. Saneczkami, na których była pierzyna i trzy talerze, dotarliśmy na Szmulki [dzielnica Warszawy – P.S.] do wuja i tam zamieszkaliśmy” – opowiadał w maju 1988 r. w podziemnym wywiadzie dla Krystyny Jagiełło.

W 1955 r. w swojej szkole średniej należał do koła komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej, które rozwiązał w okresie Października '56. Niedługo potem uczestniczył w ogólnopolskiej naradzie pod auspicjami „Po Prostu”, pisma skupiającego rzeczników destalinizacji. „Wydarzenie miało dla mnie przełomowe znaczenie, ponieważ na tym zjeździe poznałem swoją żonę Zosię” – wspominał w 1986 r. rozmowie z dziennikarką Janiną Jankowską. Odtąd z żoną szli krok w krok, angażowali się razem w działania na rzecz poszerzenia wolności. Na ich dalsze losy wpływ wywarła bogata historia rodziny Zofii – z domu Płoskiej, naznaczona działalnością patriotyczną w powstaniu styczniowym, w Polskiej Partii Socjalistycznej, w II Rzeczypospolitej, w czasie okupacji.

Pierwszą policyjną wizytę w swoim mieszkaniu przeżyli w połowie lat sześćdziesiątych. Matka Zofii Romaszewskiej przez pewien czas ukrywała Januarego Grzędzińskiego – niepokornego literata, którego władze chciały postawić przed sądem. W 1967 r. Romaszewscy zbierali podpisy pod petycją pracowników naukowych w obronie Adama Michnika zawieszono go w prawach studenta Uniwersytetu Warszawskiego. Po Marcu '68 w ich mieszkaniu w gronie kilkunastu znajomych odbywały się spotkania dyskusyjne, na które zapraszano osoby ze starszego pokolenia znane z postawy sprzeciwu wobec PRL – Ludwika Cohna i Edwarda Lipińskiego, Jana Nepomucena Millera, Marię Ossowską. Ten domowy, kameralny klimat kontestacji utrzymał się do 1989 r.

### Nowe oblicze sprawiedliwości

W 1976 r. dzięki znajomości z Henrykiem Wujcem, kolegą ze studiów, Romaszewski zaangażował się w zbiórkę pieniędzy dla robotników represjonowanych w Radomiu i Ursusie.

Wkrótce wszedł w skład tzw. grupy radomskiej, kierowanej przez Mirosława Chojeckiego. Od września 1976 do stycznia 1977 r. 43 razy przyjeżdżał do Radomiu z pomocą dla represjonowanych. W październiku 1976 r. – po zatrzymaniu Chojeckiego przez Służbę Bezpieczeństwa – przejął kierowanie wyjazdami do Radomia. Stał się jednym z najaktywniejszych działaczy środowiska Komitetu Obrony Robotników.

Po raz pierwszy zobaczył wówczas na własne oczy ludzi upokorzonych, torturowanych, pozbawionych jakiegokolwiek nadziei na lepsze życie. Aparat bezpieczeństwa dopuszczał się gigantycznych nadużyć, urządzał w Radomiu łapanki na robotników. Przepuszczano ich przez szpaler milicjantów uzbrojonych w 70-centymetrowe pałki. Relacje pobitych musiały być szokiem dla inteligenta z Warszawy. Sto kilometrów od stolicy rozciągał się inny świat. Część robotników nawet nie zdawała sobie sprawy, że są nieludzko traktowani, przywykli już bowiem do brutalności na komendach, do tego, że milicja jest ponad prawem – wspominał Romaszewski wydarzenia radomskie w lutym 1981 r. podczas spotkania z działaczami Solidarności na Podkarpaciu.

Radom dobitnie ukazał sprzeczność oficjalnych deklaracji z ponurymi realiami. Dyktatura proletariatu nieuchronnie przemieniała się w dyktaturę urzędników – tak jak kiedyś diagnozowali rewizjoniści. KOR, organizacja o charakterze ruchu społecznego, był wspaniałym osiągnięciem niezależnego myślenia, zrzeszeniem niezwykle w społeczno-politycznym pejzażu ówczesnej Polski – prawie całkowicie zdominowanym przez PZPR. Lokalność działania, skupienie się na problemach ludzi, atmosfera przyjaźni i odwagi mocno odróżniała opozycję od zbiurokratyzowanej polityki PRL, kojarzonej z korupcją, brakiem wrażliwości społecznej i ambicjami rządzenia. Represje władz sprawiały jednak, że akces do Komitetu oznaczał przekreślenie życiowej kariery.

„W mojej psychice istnieje bardzo silny protest przeciwko bezprawiu” – Zbigniew Romaszewski tłumaczył ten ryzykowny krok Krystynie Jagiełło pod koniec lat osiemdziesiątych. Jesienią 1977 r. wraz z żoną stanął na czele Biura Interwencyjnego Komitetu

tetu Samoobrony Społecznej KOR, zajmującego się dokumentowaniem przypadków łapania przez władzę praworządności oraz udzielaniem opieki prawnej i finansowej ludziom poszkodowanym przez państwo. W ciągu czterech lat działalności do Biura wpływało po kilkaset skarg rocznie, w tym sprawy osób ciężko pobitych lub zamordowanych. O pracach Biura na bieżąco informował „Biuletyn Informacyjny” KSS KOR w rubryce „Praworządność” – redagowanej przez Romaszewskich.

W ten sposób wraz ze współpracownikami znaleźli się na pierwszej linii starcia z partyjnym hegemonem, podejmowali najbardziej drażliwe dla władz tematy, ujawniali bestialstwo milicji. Bohaterami ich interwencji stawali się przedstawiciele Polski prowincjonalnej, anonimowi, izolowani, o niskim statusie społecznym i materialnym, niekiedy z marginesu społecznego. Ludzie zupełnie bezradni wobec przemocy lokalnej władzy. Pozbawieni silniejszej więzi grupowej, która łączyła warstwy wykształcone, byli skazani przez los na milczenie i ciągły strach. KOR docierał do nich jako pierwszy, próbował wyciągać ich z tarapatów, dawał znać, że nie są osamotnieni.

Kontakty z działaczami niezależnymi narażały represjonowanych na nowe represje. Mimo wielu hamulców Komitet powoli przełamywał swój inteligentki elitaryzm i rekrutował nowych aktywistów, często zresztą – ocenia Jan Skórzyński w swojej historii KOR – spośród poszkodowanych przez władzę. Udzielona im pomoc wywoływała odruch solidarności z innymi ofiarami bezkarności władz. Tak tworzył się społeczny łańcuch wsparcia i wdzięczności. Przypadki zagadkowych zgonów w łódzkiej komendzie na Bałutach zmobilizowały tamtejsze środowisko opozycyjne, a zdesperowana matka jednego z zamordowanych chłopców, Zenobia Łukasiewicz, stała się bardzo oddaną współpracowniczką Romaszewskich. Przepisywała na maszynie dokumentację Biura, jeździła na procesy sądowe.

Na początku 1979 r. Romaszewski jako reprezentant KSS KOR pojechał do Moskwy, gdzie miał dwa spotkania z Andriejem Sacharowem i innymi przedstawicielami rosyjskiego ruchu obrony praw człowieka.



Wyprawę opisał w tekście *Moja podróż do Moskwy* w „Biuletynie Informacyjnym” (1979). Choć notowany w policyjnych kartotekach, przez nieuwagę państwowej biurokracji otrzymał jednak voucher turystyczny uprawniający wówczas do przekroczenia granicy. Spotkanie z rosyjskimi dysydentami – w kuchni w mieszkaniu Sacharowa, przy herbacie – miało symboliczną wymowę. Romaszewski był jedyną osobą, której udało się – chociaż na moment – połączyć oddalone od siebie wyspy sprzeciwu w Polsce i ZSRR.

W tym okresie już jasno rysowały się poważne kontrowersje wewnątrz KOR. Bieżąca działalność, ambicje przywódcze, odmienne biografie antagonizowały większościową grupę skupioną wokół Jacka Kuronia oraz dawnych harcerzy Czarnej Jedyńki pod przywództwem Antoniego Macierewicza. Logika rywalizacji coraz silniej rozsadzała pierwotną jedność Komitetu. W listopadzie 1979 r. Romaszewscy zdecydowali się na ostrą krytykę Macierewicza, a nawet posunęli się do propozycji usunięcia go z KOR – pisze Andrzej Friszke w biografii Jacka Kuronia. Mimo to nadal dość trudno byłoby postrzegać ich zaangażowanie przez pryzmat rozgrywek personalnych i układów ideowych.

W styczniu 1980 r. wraz z Ludwikiem Cohnem, Edwardem Lipińskim i Anielą Steinsbergową Zbigniew Romaszewski utworzył Komisję Helsińską KSS KOR. Był głównym redaktorem jej pierwszego *Raportu o przestrzeganiu praw człowieka i obywatela w PRL*, opartego o bez mała czteroletnią pracę KOR. Został on ogłoszony jesienią 1980 r. w Madrycie na Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (tzw. Raport Madrycki). Dokument zamykał pierwsze stadium rozwojowe polskiego ruchu obrony praw człowieka. Co może ważniejsze, za pomocą tego raportu Romaszewski i cały KOR skutecznie przedzierali się na teren polityki zagranicznej.

Po powstaniu NSZZ Solidarność Romaszewski jako jeden z nielicznych członków KSS KOR odgrywał istotną rolę we władzach statutowych związku. 27 czerwca 1981 r. wszedł do Prezydium Zarządu Regionu NSZZ Solidarność Mazowsze, a od października w skład Komisji Krajowej, najważniejszego gremium przywódczego

Solidarności. Jednocześnie od listopada 1980 r. kierował Komisją Interwencji i Praworządności przy Regionie Mazowsze – biurom interwencyjnym z prawdziwego zdarzenia, z lokalem przy ulicy Szpitalnej, dyżurami personelu i adwokatów. Optymalnego kursu dla Solidarności upatrywał w unikaniu konfrontacji z władzą, choć nie za wszelką cenę, czego wyrazem było jego poparcie dla strajku generalnego w czasie tzw. kryzysu bydgoskiego w marcu 1981 r.

Ze stróżami porządku miał – jak wiemy – raczej na pieńku. Mimo to 7 maja 1981 r. wraz z Adamem Michnikiem i Janem Walcem pospieszył na pomoc funkcjonariuszom milicji z Otwocka, którzy z powodu lokalnego incydentu zostali zaatakowani przez zrewoltowany tłum. Reprezentował stronę związkową w rozmowach z rządem w sprawie rehabilitacji represjonowanych po Czerwcu '76 w Radomiu. Stał się znanym działaczem, udzielał się na licznych wtedy spotkaniach. Brał udział w tworzeniu Klubów Samorządnej Rzeczypospolitej Wolność-Sprawiedliwość-Niepodległość, powołanych 22 listopada 1981 r. przez m.in. Zbigniewa Bujaka, Jacka Kuronia i Adama Michnika. Taka deklaracja sytuowała go politycznie bliżej Michnika i Kuronia, a nie konkurencyjnych klubów animowanych w tym samym czasie przez Antoniego Macierewicza i Wojciecha Ziemińskiego.

### Tajna radiostacja

13 grudnia 1981 r. udało mu się uniknąć internowania, kontynuował więc działalność związkową w podziemiu. Ukrywał się pod fałszywym nazwiskiem i w konspiracyjnych mieszkaniach, poruszał się po mieście ucharakteryzowany – w dwustronnym płaszczu, w okularach zerówkach i peruce, którą kiedyś na ulicy zerwał mu z głowy nagły podmuch wiatru. „Poczułem się przez moment zdekonspirowany” – opowiadał.

Komuniści polityką represji skutecznie odcięli nie tak dużą przeciw grupę zdeterminowanych aktywistów od solidarnościowych mas. Dawna, liczna Solidarność została właściwie sparaliżowana, w powietrzu unosił się nastrój przygnębienia i klęski. W tej

jakże zmienionej sytuacji nieoczekiwanie przydał się Romaszewskiemu obroniony w 1980 r. doktorat z fal elektromagnetycznych.

W lutym 1982 r. wraz z żoną zaczął organizować w Warszawie pierwsze w kraju konspiracyjne Radio Solidarność. Zainauguowało ono działalność 12 kwietnia 1982 r. – dzięki nadajnikowi Komar skonstruowanemu przez Ryszarda Kołyszko. W następnych miesiącach w eter poszło kilkanaście kolejnych audycji. Za maszt posłużyła pięciometrowa wędka szczupakowa. Do niej podczepiano ćwierćfalową antenę. Wcześniej opracowaną kasetę z audycją wkładano do magnetofonu Kapral. Emiterzy pojawiali się z nienacka na dachach wysokościanców z kluczami do windziarni. Prąd podkradano z instalacji, która zasilala windę w bloku. Sygnałem nowej stacji była okupacyjna piosenka *Siekiera, motyka...* grana na flecie prostym przez Janusza Klekowskiego, muzyka warszawskiej opery.

W pierwszym wystąpieniu radiowym Romaszewski przedstawił się z imienia i nazwiska, a spikerka, jego żona Zofia, zaapelowała do słuchaczy o zapalanie i gaszenie światła w mieszkaniach. Chodziło o zorientowanie się, jak rozchodzi się fala radiowa – i czy ktoś w ogóle tego radia słucha. „Kiedy w budynkach zaczęły migać światła, to się zwyczajnie popłakaliśmy. To był fantastyczny widok! Ponieważ wówczas w eterze była cisza, nie było szumów, fala poszła przez całą Warszawę” – opowiadał po latach. Społeczne radio – pierwsze takie w naszej historii – wywołało wściekłość organów ścigania. W czasie kolejnych transmisji nad miastem latał policyjny helikopter z urządzeniem do pelengacji, a setki funkcjonariuszy przeczesywały teren w poszukiwaniu aparatury i sprawców.

Wybuch społecznego entuzjazmu zaskoczył nawet organizatorów radia. To wyjątkowe połączenie niezależnych nadawców z odbiorcami – ponad głowami bezradnie ganiających po mieście speców od zagłuszania i namierzania – tworzyło psychologiczne wrażenie siły podziemia. Było to do pewnego stopnia złudzenie, ale nikt ze słuchaczy przecież nie mógł wiedzieć, że radiowców jest najwyżej kilkunastu, a cały nadajnik, zaledwie 20 watów mocy, mieści

się w prostokątnej obudowie 15 na 25 centymetrów. Akcja Romaszewskich ożywiła zwolenników Solidarności przed kluczową próbą sił w Warszawie – manifestacjami z maja i sierpnia 1982 r., jako że chętniej się angażujemy, gdy sądzimy, że nasza sprawa cieszy się szerokim poparciem.

8 maja 1982 r. Romaszewski wraz ze Zbigniewem Bujakiem, Zbigniewem Janasem i Wiktorem Kulerskim powołał tajną Regionalną Komisję Wykonawczą NSZZ Solidarność Mazowsze. W sporze o strategię związku na najbliższe miesiące występował – w opozycji do Bujaka – jako zdecydowany zwolennik strajku generalnego; uważał go za jedyny środek, który może wymusić na władzy ustępstwa. Wspierał Międzyzakładowy Robotniczy Komitet Solidarności, najbardziej wówczas bojową strukturę warszawskiego podziemia. 7 czerwca 1982 r. wziął udział w planowaniu spektakularnej – i udanej – akcji MRKS uwolnienia ze szpitala rannego Jana Naroźniaka, przybywającego pod dozorem SB. Takie działania przemawiały do masowej wyobraźni i dostarczały Romaszewskiemu argumentów w dyskusji z resztą RKW na temat strategii podziemnego związku.

Tymczasem 5 lipca 1982 r. ekipa dochodzeniowa SB wtargnęła do konspiracyjnego mieszkania, w którym znajdował się wraz z żoną: „Romaszewski uciekł tak jak stał, w domowych pantoflach. SB-ecy wybiegli za nim, ale po kilku minutach wrócili sami” – relacjonował „Tygodnik Mazowsze” (10 lutego 1983 r.). „Akurat obchodziliśmy rocznicę ślubu w kameralnym gronie w konspiracyjnej kawalerce w alei Stanów Zjednoczonych” – dopowiadał po latach. „Zbyszek Kobyłański, właściciel mieszkania, zaparł się we framudze, by zaklinować esbeków, a ja wybiegłem na dwór. Ciągnąłem tak ze 400 metrów, zrozumiałem wtedy, co to znaczy sprint przedłużony. Spadły mi klapki, już w samych skarpetkach wpadłem w boczną uliczkę i położyłem się pod zaparkowanym samochodem”.

Radio jednak nie zamilkło, przeciwnie: Romaszewski – już bez aresztowanej żony, ale w komitywie z mocną ekipą MRKS – projektował komunikacyjną infrastrukturę obchodów rocznicy powstania Solidarności. Przez miasto miała przejść wielka demonstra-

cja. Do MRKS przeniknął jednak groźny szpicel policji Sławomir Miastowski. Zaczęła się policyjna obława.

Romaszewski został ujęty 29 sierpnia 1982 r. po kolejnym ulicznym pościgu w centrum Warszawy. Wraz z żoną i siedmioma współpracownikami zasiadł na ławie oskarżonych w procesie Radia Solidarność. 17 lutego 1983 r. otrzymał najwyższy wyrok – 4,5 roku więzienia. W lipcu 1984 r. stanął ponownie przed sądem – wraz z Kuroniem, Michnikiem i Wujcem, liderami byłego KSS KOR. Wkrótce jednak proces przerwano, a oskarżeni wyszli na wolność na mocy amnestii z lipca 1984 r.

### **Między więzienną celą a wyspami szczęścia**

Zanim do tego doszło, zimą i wiosną 1984 r. w największej tajemnicy toczyły się mediacje między władzą, Kościołem i opozycją o uwolnienie tzw. jedynastki – przywódców KSS KOR i Solidarności. Oferta władz brzmiała: zwolnienie z więzienia w zamian za rezygnację z dalszej walki. Aresztowanych odwiedził nawet specjalny wysłannik Organizacji Narodów Zjednoczonych Emilio de Olivares z kuszącą propozycją wyjazdu na kilkuletnie stypendium zagraniczne w dowolne miejsce na świecie. Wspominał Romaszewski: „zartowaliśmy, iż na następne spotkanie powinien przyjść z atlasem geograficznym naszej planety, a my będziemy patrzeć na Mauritius”. Ostatecznie władzom PRL nie udało się osiągnąć zamierzonego celu, jakim było pozbycie się lub zlojalizowanie czołówki Solidarności.

W 1985 r. Zofia Romaszewska wyjechała do Stanów Zjednoczonych, gdzie zbierała ponad 300 tys. dolarów na pomoc dla prześladowanych. Jej mąż, któremu przyznano to półroczne stypendium, nie dostał paszportu (choć jeszcze pół roku przedtem władze same mu paszport wciskały...). Fundusze te stały się podstawą Komisji Interwencji i Praworządności NSZZ Solidarność, powołanej 10 grudnia 1986 r. na polecenie Lecha Wałęsy, która uruchomiła domowe placówki w całym kraju, pomagała prawnie i finansowo represjonowanym niezależnie od ich przekonań politycznych, rekompensując koszty zasądzonych

grzywnien, straty poniesione w wyniku konfiskat mienia, wypłacając zasiłki dla wyrzuconych z pracy, a wiosną 1988 r. dla strajkujących w Nowej Hucie, Stalowej Woli i Gdańsku.

Służba Bezpieczeństwa nie bez przyczyny obawiała się podróży Romaszewskiego za granicę. Zbiórka w Stanach Zjednoczonych otworzyła nowy rozdział w działalności interwencyjnej. W antyrządowych przedsięwzięciach zawsze dość mocno odczuwa się nasilanie represji i to, jaki klimat polityczny wytwarzają miejscowe władze, pozostaje ważnym punktem odniesienia. W połowie lat osiemdziesiątych postępowała demobilizacja „społeczeństwa podziemnego”. Aparat ścigania zdawał się zwycięzać. Ale 300 tys. dolarów pozyskane na gruncie amerykańskim obniżały koszty uczestnictwa w solidarnościowym proteście. Masowe wypłaty rekompensat odwlekły proces kurczenia się opozycji, niezauważenie poprawiały samopoczucie – nie tylko zahartowanych weteranów, ale także ludzi o mniejszej tolerancji ryzyka.

Dzięki tej zewnętrznej pieniężnej interwencji Romaszewskim łatwiej poszła budowa struktury – ostatecznie złożonej z 82 terenowych koordynatorów. Komisji udało się stworzyć unikalną „mapę bezprawia” – wspominał senator. „Interwencji” skrupulatnie rejestrowali przypadki nadużycia prawa w swoich okolicach. Od października 1987 r. raz w tygodniu podawała je do wiadomości publicznej „Informacja Komisji Praworządności”. Biuletyn ten stanowił poręczną bazę danych o naruszeniach prawa do wykorzystania przez zachodnie agencje prasowe. Przeglądowa formuła „Informacji” umożliwia badaczom lepsze poznanie repertuaru represji w końcowym stadium PRL – nie tylko metod walki z opozycją, ale również zmagania zwykłych ludzi z bezduszną machiną władzy.

W 1987 r. Romaszewscy otrzymali Nagrodę Praw Człowieka Fundacji Aurora przy Uniwersytecie Stanforda w Kalifornii. Z działaczami Komisji Interwencji oraz Ruchu Wolność i Pokój zorganizowali w dniach 22–25 sierpnia 1988 r. w zaprzyjaźnionym kościele w Mistrzejowicach w Krakowie I Międzynarodową Konferencję Praw Człowieka, która zgromadziła około 1200 uczestników, w tym wielu reprezentantów

ruchów praw człowieka z całego świata. Po raz pierwszy w historii polskiej opozycji udało się w kraju zorganizować takie transnarodowe forum wymiany doświadczeń opozycyjnych. Tym samym Romaszewscy weszli do grona liderów międzynarodowej „rewolucji praw człowieka”.

Mając za sobą takich sprzymierzeńców, można było skutecznie wywierać presję na władze polskie, a te chyliły się już wyraźnie ku upadkowi. Sama impreza, choć zorganizowana siłami społecznymi, mogła być również dowodem na demontaż polityki represji. Ostatnie jej akordy zabrzmiały już bardziej kuriozalne niż strasznie. Krakowscy esbecy „zaaresztowali” obiad dla uczestników seminarium, próbowali zrobić organizatorów w nielegalny obrót mięsem (czarnorynkowym skupem żywca zajmowali się Jan Rokita i Zbigniew Fijak), ale szybko się wycofali – wspominał z rozbawieniem senator Romaszewski. Na konferencję zawitał bowiem – w imieniu gen. Kiszczaka – wysoko postawiony gość z MSW, który powstrzymał esbeków.

### Senator wolnej Polski

W broszurze *Minimalizm radykalny. Propozycje programowe dla NSZZ „Solidarność”*, napisanej w przededniu obrad Okrągłego Stołu, Romaszewski wyznaczał strategię rozmów i cele kompromisu, przestrzegając przed zawarciem porozumienia niedającego gwarancji obrony interesów pracowniczych. Sympatyzował już wówczas z antywałęsowską Grupą Roboczą Komisji

Krajowej. Ostatecznie wziął jednak udział w obradach Okrągłego Stołu (6 lutego – 5 kwietnia 1989 r.) w zespole eksperckim do spraw reformy prawa i sądów. „Okrągły Stół ruszył wszystko z bagna, z którego nie mogła się wydostać władza i opozycja” – oceniał z perspektywy czasu. W czerwcu 1989 r. został senatorem z listy Komitetu Obywatelskiego Solidarność.

Po 1989 r. nadal badał przypadki nadużyć administracji. Temat nie okazał się zupełnie przebrzmiały w nowej Polsce. Zabierał głos w debacie dotyczącej wymiaru sprawiedliwości, korupcji, lustracji, rozliczenia komunistów i zadośćuczynienia poszkodowanym przez PRL, zajmował się odnośnymi przepisami. Politycznie sytuował się po prawej stronie, nową Polskę postrzegał jako demokrację nieudolną i niepełną. Występował przeciw polityce prezydenta Lecha Wałęsy, potem wspierał m.in. Ruch Odbudowy Polski Jana Olszewskiego. Karierę parlamentarną zakończył w klubie Prawa i Sprawiedliwości. Jednak nigdy nie stał się postacią typowo partyjną. Przez wszystkie te lata zachowywał autonomię poczyñań.

W 2003 r. dwa razy gościłem w domu Zofii i Zbigniewa Romaszewskich, by zebrać historyczną relację o ich życiu opozycyjnym. Senator, polityk, ale w głębi duszy również fizyk, z pasją opowiadał o właściwościach fal radiowych i arkanach technicznej konstrukcji Radia Solidarność. Zrobił na mnie wrażenie człowieka wyczulonego na problemy ludzkiej krzywdy i godności. Swoją mandat – sprawowany do 2011 r. – postrzegał jako kontynuację etosu korowskiego.

# STALINIZM Z LOTU PTAKA

PAWEŁ MACHCEWICZ

**ANNE APPLEBAUM, *Za żelazną kurtyną. Ujarzmianie Europy Wschodniej 1944–1956*, przekład Barbara Gadomska, Świat Książki, Biblioteka „Gazety Wyborczej”, Warszawa 2013, ss. 622.**

Anne Applebaum, amerykańska dziennikarka i historyczka, a prywatnie żona polskiego ministra spraw zagranicznych, należy do tych nielicznych autorów, których książki o historii Europy Wschodniej docierają do szerokiego grona czytelników w kilkudziesięciu krajach, zdobywają najbardziej liczące się światowe nagrody i mają szanse kształtować sposób postrzegania naszego regionu nawet przez tych, którzy o jego przeszłości i teraźniejszości wiedzą bardzo niewiele. Jej poprzednia książka, *Gułag*, opublikowana w 2004 r., była monumentalną próbą opisanie historii radzieckich obozów pracy niewolniczej, jednego z najważniejszych i najbardziej zbrodniczych fenomenów XX wieku. Próbą bardzo udaną, łączącą rozmach i rzetelność historyka z reporterskim wyczuciem szczegółów, zdolnością wkomponowania indywidualnych ludzkich losów w dziejową panoramę. Ta książka dobrze pokazywała najważniejsze cechy warsztatu pisarskiego Applebaum: umiejętność sięgania po różnorodne źródła historyczne, od archiwów po pamiętniki, wywoływanie nowych w wyniku rozmów z uczestnikami i świadkami wydarzeń, wreszcie bardzo barwny, błyskotliwy styl, dzięki któremu najbardziej skomplikowane procesy tłumaczone są poprzez konkret, anegdotę, paradoks.

Tą samą metodą, która przyniosła tak dobre skutki przy rekonstruowaniu historii Gułagu, autorka chce opisać stalinizm w Europie Środkowo-Wschodniej. *Nota bene*, mimo że koncentruje się na trzech krajach: Polsce, Węgrzech i Niemczech Wschodnich, z których przynajmniej dwa ostatnie geograficznie i kulturowo lokują się bardziej w środku niż na wschodzie kontynentu, konsekwentnie używa w swojej książce terminu Europa Wschodnia – zgodnie z amerykańską zimnowojenną optyką, wpisującą w tę kategorię wszystko to, co znajdowało się na wschód od żelaznej kurtyny. Już na pierwszych stronach książki Applebaum wyjaśnia, jak rozumie istotę stalinizmu. Jest nią przejmowanie kontroli przez partie komunistyczne nad wszelkimi autonomicznymi inicjatywami i środowiskami społecznymi. Opisanie mechanizmów tego podboju wschodnioeuropejskich społeczeństw jest głównym celem jej książki. Zgodnie ze swoim reporterskim podejściem pokazuje go na przykładach konkretnych ludzi i organizacji.

Pierwszy obraz przywoływany przez Applebaum to łódzki dworzec w 1945 r., na którym działaczki spontanicznie odtworzonej w pierwszych powojennych tygodniach Ligi Kobiet udzielają pomocy pozabawionym dachu nad głową rozbitkom. Pięć lat później



Liga Kobiet Polskich jest już ogromnie rozbudowaną, scentralizowaną i zhierarchizowaną organizacją, „kobiecy skrzydłem PZPR”, które ma ściśle określone cele polityczne i ideologiczne, ale brak już w niej jakichkolwiek rzeczywistych oddolnych inicjatyw.

Liga Kobiet powraca jeszcze raz, w zakończeniu. Applebaum opisuje jej odrodzenie w Łodzi w ostatnich latach jako autentycznej kobiecej organizacji, społecznikowskim charakterem przypominającej swoją imienniczkę z lat czterdziestych, która została zgłajchszaltowana przez stalinistów. Dla Applebaum takie właśnie działania oznaczają prawdziwy koniec stalinizmu, który w swojej czystej postaci istniał stosunkowo krótko, do śmierci jego twórcy w marcu 1953 r., najdalej do przetomu 1956 r., ale – gruntownie niszcząc niezależne życie społeczne – stworzył model ustrojowy i społeczny na kolejne dziesięciolecia.

Applebaum snuje historie równoległe, opisując przejęcie władzy przez komunistów, sowietyzację i stalinizację trzech krajów bloków radzieckiego. Wybrała Polskę, Węgry i Niemcy Wschodnie dlatego, że bardzo się od siebie one różniły pod względem historii, kultury, stopnia rozwoju gospodarczego. Po 1989 r. również, jak uważa autorka, „mają zaskakująco mało ze sobą wspólnego, poza pamięcią historyczną o komunizmie”. Jednak, mimo całej swojej różnorodności, ujęte w stalinowskie imadło w latach czterdziestych zaczęły się błyskawicznie do siebie upodabniać, podlegając tym samym procesom politycznym, społecznym, gospodarczym, a nawet do pewnego stopnia kulturowym. „Przez krótki czas, od 1945 do 1953 roku, wydawało się – pisze Applebaum – że ZSRR zdoła przekształcić te tak zróżnicowane kraje Europy Wschodniej w region jednolity ideologicznie i politycznie. Z wrogów Hitlera i sojuszników Hitlera powstało w tym okresie grono pozornie identycznych państw. Już na początku lat pięćdziesiątych wszystkie szare, zniszczone przez wojnę stolice »dawnych państw« tego regionu – by posłużyć się wyrażeniem Churchilla – patrolowali podobni ponurzy milicjanci, architekci projektowali w tym samym stylu realizmu socjalistycznego, a na murach wisiły takie same plakaty propagandowe. Kult Sta-

lina [...] szerzył się w całym regionie, wraz z podobnymi kultami miejscowych przywódców partyjnych. Miliony ludzi brało udział w organizowanych przez państwo paradach i obchodach potęgi komunizmu”. Ta transformacja i unifikacja zarazem dokonywała się „we wręcz zdumiewającym tempie”, niespotykanym wcześniej w historii.

Nakreślona przez Applebaum panorama stalinizacji trzech krajów jest niewątpliwie interesująca, a także pouczająca – zwłaszcza dla polskiego czytelnika, który ma na ogół skłonność do dostrzegania wyjątkowości naszej historii, ale często brakuje mu większego zainteresowania, nie mówiąc o wiedzy, analogicznymi zjawiskami i wydarzeniami w innych krajach. Pasjonująca jest lektura fragmentu o powstawaniu modelowych miast stalinowskich, bliźniaczych w stosunku do naszej Nowej Huty: Sztálinváros (dzisiaj Dunaújvaros) na Węgrzech i Stalinstadt (Eisenhüttenstadt) w NRD. Wiele też skorzysta czytelnik zachodnioeuropejski lub amerykański; dla niego ta książka może być świetnym wprowadzeniem do powikłanej powojennej historii naszego regionu, którą autorka potrafi takiemu właśnie odbiorcy przedstawić lepiej niż jakikolwiek autor polski, węgierski czy też, jak sądzę, niemiecki.

A jednak w trakcie lektury narastało we mnie poczucie niedosytu, wynikające być może z ogromnych oczekiwań, które rozbudził wydany wcześniej znakomity *Gułag*. W nowej książce autorka z wielkim rozmachem opowiada o wydarzeniach w trzech różnych krajach, o konkretnych ludziach w trybach „wielkiej historii”, z którymi rozmawiała, posiłkuje się zarówno źródłami historycznymi, jak i obfitą literaturą przedmiotu. Opowieść jest wielowątkowa, znakomicie podana. Ja jednak miałem wrażenie pewnej powierzchowności, nawet naskórkowości, a także niewykorzystania szansy na rzeczywiste porównanie losów opisywanych krajów. Są to w gruncie rzeczy historie paralelne, autorka z góry założyła, że będzie skupiać się na wydarzeniach i procesach dla nich wspólnych, wychwytywać podobieństwa i zbieżności. Sądzę, że jeszcze lepiej zrozumielibyśmy istotę sowietyzacji i stalinizacji, gdyby Anne Applebaum

w znacznie większym stopniu uwzględniła głębokie różnice między wybranymi krajami, zupełnie inne podłoże społeczne i kulturowe, na którym dokonywano wielkiej przebudowy.

Wszystko prowadziło w tym samym kierunku, ale w każdym kraju komuniści znajdowali się w innej sytuacji i stawali przed różnymi wyzwaniami. Komunistyczna Partia Niemiec była masową, najpotężniejszą partią komunistyczną w Europie (nie licząc oczywiście Związku Radzieckiego). Została zdruzgotana przez Hitlera, ale jej działacze, którzy przeżyli III Rzeszę, w 1945 r. z wielkim entuzjazmem przystąpili do budowy państwa komunistycznego. Mieli znacznie szersze poparcie społeczne niż w Polsce i na Węgrzech, gdzie partie komunistyczne w okresie międzywojennym i podczas drugiej wojny światowej były marginalne. Zjednoczenie niemieckich partii komunistycznej i socjaldemokratycznej nie było takim samym wchłonięciem tej drugiej przez stalinistów jak w innych krajach bloku wschodniego. Pamięć o objęciu władzy przez nazistów, którzy skorzystali z podziałów na niemieckiej lewicy, wielu autentycznych działaczy SPD skłaniała do życzliwego przyjęcia budowy wspólnej partii z komunistami.

W Polsce dochodził jeszcze cały historyczny bagaż antyrosyjskości i antysowietyzmu, ukształtowany przez pamięć zaborów, tłumionych przez carat powstań narodowych, wojny 1920 r., 17 września, Katynia... To m.in. sprawiło, że sowietyzacja Polski przebiegała wolniej i z większymi oporami niż w większości innych krajów, które znalazły się pod radziecką kontrolą. Polska była z kolei w porównaniu z Niemcami (nawet ich wschodnią, słabiej rozwiniętą częścią) krajem zacofanym pod względem społecznym i gospodarczym. Stalinowska transformacja, z jej przyspieszoną industrializacją, hasłami egalitaryzmu i awansu społecznego, mogła się wielu Polakom jawić jako modernizacja (choć dzisiaj, po upadku komunizmu, rzadko się na to tak patrzy). Niemcom już raczej nie.

To tylko przykłady rozważań, które w książce poświęconej tak różnym krajom mogłyby się znaleźć, czyniąc ją naprawdę pasjonującą. Applebaum na

ogół nie próbuje sięgać pod powierzchnię opisywanych procesów, skupia się na wychwytywaniu podobieństw, a nie odmienności, które przecież zadanie stalinowskich budowniczych czyniły jeszcze trudniejszym. Mimo wszystko mu podołali, jak autorka świetnie pokazuje. Jej reporterski warsztat sprawdza się w snuciu barwnej opowieści, mniej w stawianiu bardziej złożonych pytań i poszukiwaniu na nie odpowiedzi.

Udało się jej jednak uchwycić coś bardzo prawdziwego na temat postaw społecznych w krajach poddanych stalinizacji, co często umyka analizom polskiej historiografii, zwłaszcza w ostatnich latach skupiającej się głównie na dwóch biegunach: przemocy i represji ze strony władz oraz oporu ze strony społeczeństwa. Applebaum pokazuje, posiłkując się losami konkretnych ludzi, których uczyniła bohaterami swojej książki, że najczęstszą postawą było przystosowanie. „Większość mieszkańców Europy Wschodniej – zauważa – nie zawierała paktu z diabłem ani nie sprzedawała duszy, wchodząc w rolę donosicieli, tylko poddawała się stałej, wszechogarniającej presji psychologicznej i ekonomicznej. System stalinowski do perfekcji opanował sposób tworzenia wielkich grup, które nie lubiły ustroju i wiedziały, że propaganda kłamie, ale które czuły się zmuszone przez okoliczności, by się dostosować. Z braku lepszego określenia nazwę ich »opornymi« lub »niechętnymi« współpracownikami”.

Przystosowanie mogło oznaczać tysiące różnych postaw, od pełnej współpracy we wprowadzaniu czy utrzymywaniu komunistycznego systemu aż po poszukiwanie w jego obrębie nisz, w których można było oddawać się pożytecznej, sprawiającej satysfakcję aktywności, na ogół jednak deklaratywnie płacąc ideologiczny trybut, a przynajmniej rezygnując z jakiegokolwiek otwartej krytyki władz. Przykładem tej ostatniej postawy jest w książce Wanda Telakowska, twórczyni Instytutu Wzornictwa Przemysłowego. Daleka od sympatii komunistycznych, była jednocześnie krytyczna w stosunku do przedwojennej Polski z jej biedą i kontrastami społecznymi. W nowym ustroju dostrzegła szansę na wytwarzanie dla masowych

odbiorców przedmiotów o oryginalnym, dopracowanym wzornictwie, wykorzystującym także dorobek sztuki ludowej. Jej wysiłki odniosły tylko połowiczne rezultaty, estetyzacja obiektów codziennego użytku niewątpliwie nie należała do stalinowskich priorytetów. Historia Telakowskiej dobrze ilustruje jednak swego rodzaju pozytywistyczne zaangażowanie w komunistyczny system, które Applebaum potrafiła opisać.

To książka pokazująca wielobarwność i wieloznaczność historii, nawet w tak złowrogim jej wydaniu jak stalinizm. Wiele miejsca zajmuje w niej przemoc i kłamstwo, bez których sowietyzacja Europy Wschodniej by się nie dokonała, ale zasługą Anne Applebaum jest ukazanie całej gamy różnorodnych postaw, współtworzących młyny wielkich procesów dziejowych, które po 1945 r. przemielły naszą część Europy.

---

# PORTRET NIEDOKOŃCZONY

---

ANNA MACHCEWICZ

**BARBARA SZCZEPUŁA, *Alina Pienkowska. Miłość w cieniu polityki*, Wydawnictwo WAB, Warszawa 2013, ss. 270.**

---

Biografia Aliny Pienkowskiej autorstwa Barbary Szczepuły jest kolejnym obok wspomnień Danuty Wałęsowej i biografii Anny Walentynowicz portretem kobiety zanurzonej w życie opozycji demokratycznej, a potem w politykę w wolnej Polsce. Tym razem oglądamy historię z perspektywy żony opozycjonisty, związkowca i polityka, ale również osoby głęboko zaangażowanej w działalność społeczno-polityczną – z wszelkimi konsekwencjami dla domu, pracy, rodziny, przyjaciół. Na tę podwójną perspektywę, choć w książce Barbary Szczepuły splecioną nierozłącznie, warto popatrzeć oddzielnie.

Znajomość Aliny Pienkowskiej ze słynnym potem opozycjonistą i senatorem w wolnej Polsce Bogdanem Borusewiczem zaczyna się w drugiej połowie lat siedemdziesiątych w lesie (bo tam nie ma podsłuchu), gdy młoda i nieco splotzona pielęgniarka z przychodni przy Stoczni Gdańskiej im. Lenina postanawia przyłączyć się do grupki działaczy Wolnych Związków Zawodowych, wydających pismo „Robotnik Wybrzeża”. Działalności tej nie akceptują jej bliscy, bo Alina gdzieś znika, zaczynają się rewizje, zatrzymywania, szykany w pracy. W zamian zyskuje grono przyjaciół, o których nawet po wielu latach mówi, że byli dla niej jak rodzina.

Ale w tych latach przede wszystkim pojawia się uczucie. Bogdan Borusewicz zostaje mężem Pienkowskiej, przy czym ich ślub w stanie wojennym odbywa się w konspiracji, ponieważ jedna strona się ukrywa w obawie przed aresztowaniem, a druga jest pilnie śledzona przez tajne służby w nadziei, że doprowadzi je do celu. Ta „prywatna” część opowieści jest chwilami wzniosta, a czasami zabawna, gdy Alina w kolejnych przebraniach (a to kobiecina w chustce na głowie, a to wamp w mini i ostrym makijażu) myli obstawy i bezpiecznie dociera na spotkanie z ukochanym. Chwilami jest jednak bardzo gorzka, jak wtedy, gdy zaszczuta niespokojnie przygląda się na przystanku obcemu mężczyźnie – a nuż to śledzący ją ubek... Nawet krótkie chwile szczęścia i beztrioski podczas wypadu w góry przerywa nieoczekiwane wopista, zmuszając oboje do panicznej ucieczki. Takie to były dla nich czasy. Gdy Borusewicz zostaje aresztowany, Alina pisze do niego: „Bez Ciebie, bez myśli, że jesteś gdzieś daleko, ale wolny, życie straciło dla mnie barwę. Czuję się jak w poczekalni, jakby zatrzymał się czas”.

Gdy wreszcie komunizm zaczyna się chwiać, Bogdan Borusewicz nie godzi się, by jego żona wystartowała z solidarnościowej listy do sejmu kontrak-

towego. „Mowy nie ma” – mówi, a my, czytelnicy, tylko domyślamy się dlaczego. Czy chce, by została w bezpiecznym wreszcie domu, z dwojgiem dzieci? Wie, że Alina, gdy się w coś angażuje, to bezgranicznie? Chyba najmniej prawdopodobne jest to, że nie chciał rywalizacji, gdy sam pozostał związkowcem.

Dlaczego to ona właśnie miała by startować w wyborach, o tym mówi równoległa część opowieści. Alina przystaje do opozycji już jako osoba ukształtowana, rozumiejąca absurdy systemu, ale konspiracji uczy się od Bogdana, Andrzeja Gwiazdy i innych, którzy zaczęli knuć wcześniej. Działa jak wszyscy – drukuje, roznosi ulotki, pisze teksty do „Robotnika Wybrzeża”, uczestniczy w spotkaniach samokształceniowych i rocznicowych manifestacjach upamiętniających grudzień 1970 r. Łąduje w areszcie na 48 godzin, zdobywa bezcenne doświadczenie, jak sobie radzić z milicją i Służbą Bezpieczeństwa. To jej, parafrazując tytuł książki Jacka Kuronia, gwiazdny czas. Drobną, szczupłą okularnicą, elegancką, a nawet ekstrawagancką – tak ją wspominają znajomi.

I wreszcie nadchodzi sierpień 1980 r., komitet strajkowy Stoczni Gdańskiej, na czele którego stoi Lech Wałęsa, po trzech dniach ogłasza koniec protestu. Ale do stoczni przybywają przedstawiciele innych strajkujących zakładów, domagając się solidarności. Zapada decyzja o dalszym strajku, a Alina Pienkowska, Anna Walentynowicz, Ewa Osowska i Henryka Krzywonos rozbiegają się po bramach stoczni, próbując powstrzymać strumień robotników zdążających do domu. Pienkowska wtedy po raz pierwszy zabiera publicznie głos, pokazuje odwagę i determinację. Zostaje wybrana do prezydium Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego i uczestniczy w negocjacjach z komisją rządową pod przewodnictwem Mieczysława Jagielskiego. Na taśmach z tamtego czasu słychać, jak stanowczo upomina się o zwolnienie opozycjonistów aresztowanych w czasie strajku. Ma też inną ważną rolę – jest przedstawicielką służby zdrowia w MKS i wspólnie z lekarką Barbarą Przedwojską zasiada do spisania postulatów służby zdrowia. Ten trzydziestopunktowy załącznik do porozumienia gdańskiego to

wielki sukces – jedyna grupa zawodowa tak zadbała o swoje interesy.

Nic dziwnego, że w chwili powstania NSZZ Solidarność Pienkowska zaczyna pracę związkowca. Przełamuje schematy. „W służbie zdrowia jak w wojsku i w kościele obowiązuje hierarchia. Pielęgniarkę od lekarza dzieli odległość mierzona w latach świetlnych” – przyznaje cytowana w książce Barbara Przedwojska. Pozycję Aliny buduje jednak legenda Sierpnia, a niebawem własnym zaangażowaniem zdobywa ona ogromny autorytet. Zostaje „Wałęsą służby zdrowia”. Jeździ ze spotkania na spotkanie, ale należy do umiarkowanych działaczy i z ociąganiem popiera strajki pracowników szpitali.

Niestety z książki nie dowiadujemy się, w jakim kierunku podążało myślenie związkowców na temat reformy służby zdrowia ani jakie zdanie miała sama Pienkowska.

Stan wojenny niweczy nadzieję na zmiany, a internowana Pienkowska trafia do więzienia w Fordonie, potem do Gołdapi. Duża liczba kobiet zaangażowanych w działalność przeciwko komunistom zapełniała więzienia w latach czterdziestych i pięćdziesiątych, teraz historia jakby zatacza koło, zagarniając nowe pokolenie. Książka Barbary Szczepuły przypomina o ich strachu o pozostawione w domu dzieci, a zarazem o tym, jak trzymały fason przed nadzorującymi je strażnikami.

Zwolniona z internowania Pienkowska wie, że o jakiegokolwiek jej działalności konspiracyjnej nie ma mowy, ale angażuje się, gdy tylko pojawia się możliwość społecznej pracy. W 1987 r. Kongres Stanów Zjednoczonych przyznał Solidarności pomoc w wysokości miliona dolarów. Pienkowska wraz z prof. Joanną Pensonową (która dzięki kontaktom z organizacją Lekarze Świata organizowała pomoc dla internowanych i ukrywających się działaczy podziemia) przekonują Lecha Wałęsę, by pieniądze przeznaczyć na służbę zdrowia. Dysponować funduszem ma specjalnie powołana fundacja. „Gdy Bogdan wracał do domu i spotykał stadko rozgadanych pań, nie wyglądał na zachwyconego” – opowiada w książce Barbara Przedwojska. Dodajmy jednak sprawiedliwie,



że mieszkanko było maleńkie, zaledwie jednopokojowe.

W wolnej Polsce, w odbudowanej Solidarności Pienkowska pozostała w strukturach służby zdrowia, ale na II Zjeździe Krajowej Sekcji Służby Zdrowia przegrywa wybory na przewodniczącą, być może dlatego, że próbuje studzić emocje, przekonywać do współpracy z rządem. Pozostaje związkowcem, aby być bliżej ludzi, ale w pierwszych wolnych wyborach do parlamentu postanawia startować do Senatu. „Albo muszę zająć się wychowaniem dzieci, albo spróbować zdobyć wpływ na decyzje” – tłumaczyła w wywiadzie prasowym. Nie przyjmuje jednak propozycji zostania ministrem zdrowia, być może z obawy przed nadmiarem obowiązków, brakiem kompetencji w zarządzaniu. Czy to brak odwagi, czy raczej wyraz poczucia odpowiedzialności?

Czy jej obecność w rządzie w pierwszych latach transformacji poprawiłaby standardy pracy nad reformą służby zdrowia, trudno wyrokować, natomiast jako senator Pienkowska się sprawdza. W parlamencie żwawo ruszają prace nad ustawą o powszechnym ubezpieczeniu zdrowotnym. Pienkowska ze współpracownikami analizuje rozwiązania innych krajów, wysyła ludzi na szkolenia. Słabością książki Barbary Szczepuły jest brak próby przedstawienia, w jakim kierunku szła ta reforma, niczego też nie dowiadujemy się o pomysłach samej Pienkowskiej, których ślad musiał przecież pozostać w stenogramach posiedzeń senackiej komisji czy izby. Zostajemy z opiniami współpracowników, którzy podkreślają jej zaangażowanie. Pracuje od rana do nocy, a w domu dorastające dzieci zostają same. Tymczasem upada rząd Hanny Suchockiej, prezydent Wałęsa rozwiązuje sejm. W kolejnych wyborach Alina nie bierze już udziału. „Uważam, że rodzina jest najważniejsza” – mówi i to jest pewnie jedna z odpowiedzi na pytanie, dlaczego rezygnuje z polityki. Co gorzej, nie wraca też do pracy w solidarnościowej służbie zdrowia, gdyż nikt jej tego nie proponuje. Pracuje w stoczniowej przychodni, znów jest pielęgniarką. Jej stopniowe odchodzenie z polityki i działalności związkowej było, jak pokazuje książka Szczepuły, wynikiem własnych

wahań, poczucia odpowiedzialności za rodzinę, ale i zadziwiającej w Polsce skłonności do marnowania wiedzy i kompetencji.

Barbara Szczepuła przytacza wypowiedzi współpracowników i przyjaciół Pienkowskiej, które wyjaśniają, dlaczego nie odniosła wymiernego politycznego sukcesu. To gorzkie konkluzje. Zabrakło jej politycznego sprytu, nie wykorzystata swej biografii, za to z oburzeniem patrzyła, jak szybko byli opozycjoniści się dorabiają, przesiadają do dobrych samochodów, przebierają w eleganckie ubrania, bratają z niedawnymi politycznymi wrogami.

W książce Szczepuły niewiele jest wypowiedzi Aliny Pienkowskiej, także publicznych, warto jednak zacytować jedną, ponieważ znakomicie pokazuje jakość jej wpływu na życie publiczne. W wywiadzie dla „Tygodnika Solidarność” udzielonym po ujawnieniu w czerwcu 1992 r. tzw. listy Macierewicza jeszcze jako senator RP skomentowała uchwałę NSZZ Solidarność na temat lustracji i dekomunizacji: „Mam inne zdanie na temat hasła dekomunizacji. Nie głoszę go, walczę natomiast z widocznymi skutkami komunizmu. Nie tylko brałam udział w obalaniu ustroju totalitarnego, uczestnicząc we wszystkich strajkach w Gdańsku, ale i dziś prowadzę codzienną walkę ze średnim szczeblem postkomunistycznej nomenklatury państwowej, przeszkadzając jej w sabotowaniu pracy. Otwarcie mówię, jeśli ktoś kradnie majątek narodowy, kieruję sprawę do NIK i prokuratury. Uważam walkę z komunizmem za podstawowy obowiązek tych wszystkich, którzy mają rodowód solidarnościowy, i nie rozumiem, dlaczego to hasło pojawia się dopiero teraz. Ci, którzy głoszą to hasło, powinni – nie ograniczając się do słów – we wszystkich sytuacjach na codzień wcielać je w życie. Najłatwiej jest walczyć z komunizmem na szczytach władzy, w Sejmie, w Senacie, natomiast najtrudniej jest czynić to samo na dole, gdzie aparat zarządzający jest wciąż komunistyczny, zaś szary obywatel traktowany jest arogancko i pozbawiony dostępu do informacji. Za swój podstawowy obowiązek uważam więc wspomaganie prostych ludzi w ich codziennej walce z komunizmem. Pod tym względem jestem stale do dyspozycji moich wyborców”.

Postać bohaterki wylania się z reporterskiej gęstwiny wspomnień i krótkich portretów otaczających ją osób. Alina Pienkowska zawsze o nich pamiętała. Na krótko przed śmiertelną chorobą, w dwudziestą rocznicę powstania Solidarności jako radna Gdańska zadbała o to, by zaprosić i uczcić zapomnianych inicjatorów wielkiego strajku.

Pielęgniarka w stoczniowej przychodni, działaczka Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża, sy-

gnatariuszka porozumienia gdańskiego, członkini Solidarności zaangażowana w reformę służby zdrowia, w wolnej Polsce senator, radna Gdańska, żona Bogdana Borusewicza, matka dwojga dzieci – Barbara Szczepuła wszystkie te role Aliny Pienkowskiej złożyła w portret być może jednej z najpiękniejszych postaci opozycji. Nie jest to pełny portret, nie daje odpowiedzi na wiele pytań, ale inspiruje do ich zadawania.

---

# BYDGOSZCZ '81

---

ANDRZEJ KACZYŃSKI

**KRZYSZTOF OSIŃSKI, PIOTR RYBARCZYK, *Kryzys bydgoski 1981. Przyczyny, przebieg, konsekwencje*, t. 1: *Monografia*, ss. 392, ilustr. i film dokumentalny *Czternaście dni. Prowokacja bydgoska*, t. 2: *Dokumenty, wstęp, wybór i oprac.* Robert Gajos, Krzysztof Osiński, Piotr Rybarczyk, ss. 1006, Instytut Pamięci Narodowej, Bydgoszcz – Gdańsk – Warszawa 2013; t. 3: *Kryzys bydgoski 1981 w relacjach świadków*, oprac. Agnieszka Dębska, Maciej Kowalczyk, Ośrodek KARTA, Narodowe Centrum Kultury, Warszawa 2013, ss. 140.**

---

Kto by szukał pomysłu na thriller polityczny, znajdzie tu pierwszorzędny materiał. *Kryzys bydgoski 1981* ma wszystko co trzeba: gęstość zdarzeń, mocne tempo, zaskakujące zwroty akcji, wyrazistych bohaterów, rozgrywkę o wielką stawkę. A w dodatku nic nie jest takie, na jakie z początku wygląda.

Trzy tomy, ponad półtora tysiąca stron. Pomyślałem zrazu: za obszerne, zbyt drobiazgowo. Co nie zostało jeszcze powiedziane o wypadkach, które działy się w pełnym świetle, były nagrywane, fotografowane, filmowane? O których z teleksów niezwłocznie dowiadywały się wszystkie instancje Solidarności, a zaraz potem z plakatów i ulotek całe społeczeństwo? Które drobiazgowo wyjaśniał związek, badały dwie komisje rządowe, komisja sejmowa i prokuratura?

Lektura rozwiązała wątpliwości. Na temat zajęć bydgoskich i ostrego konfliktu politycznego, który po nich nastąpił, powstały dwie sprzeczne narracje. Jedna z punktu widzenia związku, druga z punktu widzenia władz. Wojnę propagandową Solidarność zdecydowanie wówczas wygrała, choć zmonopolizowanym przez władze telewizji, radiu i wielkonakła-

dowej prasie mogła przeciwstawić zaledwie powielaczowe i sitodrukowe biuletyny, ulotki i plakaty albo chałupniczo reprodukowane fotografie i nagrania. Klęska zaawansowanych technologicznie środków przekazu w konfrontacji z „papierową rewolucją powielaczogodzin” (określenie z *Piosenki patetycznej* Jana Krzysztofa Kelusa) była tak bezapelacyjna, że zdeorientowane Biuro Polityczne KC PZPR kazało wyjąć z magazynów i uruchomić urządzenia małej poligrafii, aby partyjną propagandę przynajmniej graficznie upodobnić do opozycyjnej „bibuły”. A nie na tym przecież polegała informacyjna przewaga Solidarności.

Nazajutrz po awanturze w Bydgoszczy oficjalne media zaklinały się, że nikomu nic się nie stało. A związkowcy od rana rozpowszechniali oświadczenie Prezydium Krajowej Komisji Porozumiewawczej o ataku na związek, w południe okleili mury zdjęciami pobitych Jana Rulewskiego i Mariusza Łabentowicza, wieczorem z zakładowych radiowęzłów i ulicznych megafonów odtwarzali poruszający zapis dźwiękowy wydarzeń w Bydgoszczy. Szybkością i autentyczno-

ścią informacji związkowi wolontariusze kompletnie zdezawuowali rutynowe formułki zawodowych propagandystów i drętwe, ułożone w Komitecie Centralnym PZPR ideologiczne zaklęcia. Kampania informacyjna związku też nie była wolna od manipulacji, nadin-terpretacji i przemilczeń. Części z pewnością zawinił pośpiech, lecz gdy kurz bitewny opadł, sprostowań nie było.

Władze grzeszyły przeciw ósmemu przykazaniu nieporównanie więcej, skutecznie też spacyfikowały badania komisji i śledztwo prokuratury. Niebawem, w drugiej połowie roku, a jeszcze intensywniej w stanie wojennym, ruszyły z kontrofensywą propagandową i zdołały posiać w umysłach wiele zamętu. W bardzo więc nierównej mierze, jednak obydwie strony ówczesnego konfliktu przyczyniły się do powstania nieprawdziwego obrazu. Jako związkowy dziennikarz miałem wtedy niezły dostęp do informacji, zwłaszcza ze źródeł solidarnościowych. Ale – jak mi wynikało z lektury – o wielu sprawach nie miałem pojęcia albo miałem błędne. Moje wstępne wątpliwości były niesłuszne, autorzy *Kryzysu bydgoskiego 1981* mieli do wykonania kawał roboty.

Najobszerniejszy (tysiąc stron) jest wybór dokumentów. Monografia historyczna – czterysta stron. Autorami obu są Krzysztof Osiński i Piotr Rybarczyk, a współautorem wyboru źródeł jest Robert Gajos, wszyscy z bydgoskiej delegatury IPN. Tom trzeci (130 stron) opracowali Agnieszka Dębska i Maciej Kowalczyk z warszawskiego Ośrodka KARTA. Jest to kolaż (klejony według sprawdzonego patentu Karty) relacji, w większości zebranych w 2012 r., ponad trzydzieści lat po wspomnianych wydarzeniach, od uczestników i świadków, obfity w szczegóły, w tym nieuwzględnione przez autorów dwu pierwszych tomów (o dwóch takich faktach wspomnę jeszcze), oraz opinie o kryzysie bydgoskim, często skrajnie odmienne od formułowanych wtedy. Zawartość tych trzech tomów układa się na kształt piramidy, którą zwłaszcza w odniesieniu do najnowszych dziejów postulują historycy, a z czym często nie godzą się świadkowie, przekonani, że to oni, a nie dokumenty, lepiej wiedzą, „jak było”. U podstawy – źródła, piętro wyżej krytyczna ich analiza

i udokumentowany opis wydarzeń, a na wierzchołku – zapis pamięci świadków. Ludzie i ich losy są solą historii, lecz pamięć nie ogarnia wszystkiego, bywa zawodna i dobrze jest móc ją skonfrontować z opracowaniem źródłowym.

Kryzys bydgoski trwał dwa tygodnie i był najostrejszą konfrontacją strony rządowej i społecznej od czasu strajków sierpniowych. 19 marca 1981 r. ZOMO siłą usunęło grupę działaczy Solidarności z Urzędu Wojewódzkiego w Bydgoszczy. Na zamkniętym dziedzińcu, będącym pod pełną kontrolą służby porządkowej i funkcjonariuszy MO i SB, nieustaleni sprawcy pobili dwóch związkowców; poszkodowani mieli poranione twarze. Trzeci poszkodowany wskutek interwencji ZOMO doznał obrażeń wewnętrznych. Działacze Solidarności przyszli do urzędu na zebranie Wojewódzkiej Rady Narodowej. Zostali zapewnieni, że będą mogli na sesji zabrać głos. Zamierzali przemawiać w obronie prawa rolników do zrzeszania się w związku zawodowym. Było to uzgodnione i wielokrotnie potwierdzone, ostatni raz – podczas sesji. Ale niespodziewanie obrady zostały zakończone przed wyczerpaniem porządku dziennego. Związkowcom nie udzielono głosu i nic nie wyjaśniono. Przedstawiciele władz błyskawicznie zrejęterowali. Związkowcy ogłosili protest i nie wyszli z sali obrad. Zostało z nimi 45 radnych, którzy uznali protest za słuszny. Obie grupy postanowiły wydać wspólny komunikat. Przez kilka godzin wicewojewodowie usiłovali pozbyć się ich z urzędu i przeszkodzić w zredagowaniu oświadczenia. W końcu zdecydowali się użyć przemocy i wezwali ZOMO – ze znanym skutkiem.

Po raz pierwszy od sierpnia 1980 r. władze odstąpiły od praktyki nieużywania przemocy do rozstrzygania konfliktów. Reakcja Solidarności była natychmiastowa, gniewna i stanowcza. Związek zagroził bezterminowym strajkiem generalnym, a strajk ostrzegawczy stał się manifestacją determinacji całego społeczeństwa; strajkowali nie tylko członkowie Solidarności, ale także branżowych związków zawodowych, a nawet (i to masowo) PZPR. Negocjacje, kilkakrotnie przerywane, Solidarności z rządem nie zapowiadały kompromisu. Obie strony oskarżały się nawzajem

o sprowokowanie konfliktu, demonstrowały nieustępliwość. Kontekst tworzyły toczące się w Polsce manewry wojsk Układu Warszawskiego, zachęty z krajów ościennych do zdławienia opozycji, naciski dogmatycznej frakcji PZPR i zarazem bunt podstawowych organizacji partyjnych żądających odnowy, a równocześnie powszechne przygotowania – nie tylko działacze, ale również szeregowych członków Solidarności – do strajku generalnego. W ostatnim momencie, w którym można było jeszcze powstrzymać strajk, negocjatorzy rządu i Solidarności ogłosili pojednawcze oświadczenie. Większość społeczeństwa ugodę przyjęła z ulgą, ale i aparat związkowy, i aparat partyjno-rządowy uznały ją za swoją porażkę, a nawet za kapitulację.

Były to dwa tygodnie pełne napięcia i gęste od wydarzeń. Dość powiedzieć, co działo się w tym czasie po stronie PZPR: Biuro Polityczne zbierało się sześć razy, raz – Sekretariat KC; było siedem telekonferencji sekretarzy KC z sekretarzami komitetów wojewódzkich i plenarne zebranie Komitetu Centralnego. Krajowa Komisja Porozumiewawcza Solidarności zebrała się dwukrotnie, a działacze związkowi w zarządach regionów i komisjach zakładowych wielkich zakładów pracy obradowali właściwie bez przerwy. Kilka razy spotkały się delegacje związku i rządu. Autorzy monografii historycznej uporządkowali ten olbrzymi materiał, ustalili chronologię wydarzeń oraz personalia znacznej części uczestników, przeanalizowali uchwały i oświadczenia, wskazując na zróżnicowanie ocen i stanowisk. Wnikliwie i krytycznie podeszli również do dokumentów i relacji wytworzonych przez stronę związkową, co pozwoliło odkryć i ustalić wiele nowych, czasem zapomnianych, ale niekiedy dyskretnie przemilczanych szczegółów. Dotyczy to zarówno wydarzeń poprzedzających sesję rady narodowej, przebiegu wypadków w urzędzie wojewódzkim, jak i późniejszych okoliczności towarzyszących pertraktacjom z rządem.

Co do genezy kryzysu bydgoskiego autorzy monografii stawiają tezę, że nie były one przez nikogo sprowokowane. Jeżeli rozumieć przez to, że nikt ich nie zaplanował od początku do końca, świado-

mie i celowo, to wypada się z tym zgodzić. Takiego scenariusza nie było. Ale obie strony zrobiły wiele, żeby doszło do jakiejś zadymy. 16 marca, trzy dni przed sesją WRN, działacze chłopscy zajęli siedzibę Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego i ogłosili strajk okupacyjny. W odpowiedzi władze ściągnęły do Bydgoszczy potężne posiłki milicyjne: ponad tysiąc funkcjonariuszy, którzy przygotowując się do „odbijania” budynku ZSL, paradowali po mieście kolumnami samochodów i urządzali demonstracje siły. Siali popłoch wśród mieszkańców, ale sami też się buzowali. Na to bydgoska Solidarność ogłosiła pogotowie strajkowe węzła kolejowego w Inowrocławiu (tuż przed rozpoczęciem manewrów Układu Warszawskiego, a sojusznicy bardzo zważali na drożność strategicznych szlaków). Rozesłała też wezwanie do masowej demonstracji przed Urzędem Wojewódzkim podczas zebrania WRN. Władze wojewódzkie niewątpliwie za wiedzą, a zatem również za zgodą władz centralnych, postanowiły skrócić obrady, udaremniając związkowcom obiecane zabranie głosu. I taki już scenariusz powstał, rozpisano nawet poszczególne role.

W tomie relacji ówczesny radny Czesław Myszka mówi: „Najpierw propozycję zgłoszenia wniosku o przerwanie sesji otrzymał Zbigniew Bartel [...]. On się na to nie zgodził i wtedy, w drugiej kolejności, zaproponowano to radnemu [Andrzejowi] Młodeckiemu. Właściwie to go zmusili...” (tom 3, s. 28). Oficjalna wersja głosiła, że do przerwania sesji doszło wskutek błędu niedoświadczonego przewodniczącego, a on po prostu wypełniał polecenia. Wniosek radnego Młodeckiego dotyczył zresztą nie przerwania zebrania, tylko dyskusji nad jednym punktem. Radny należał do dobrze poinformowanych i prawdopodobnie wolał dopuścić się niesubordynacji niż wziąć na siebie odpowiedzialność za dalsze wydarzenia, które można było przewidzieć.

Milicja przystąpiła do opracowania planu wyrzucenia związkowców o godz. 15 – wynika to z relacji wystannika Komendy Głównej MO płk. Zbigniewa Cichawy (t. 2, s. 189). Te poczynania uzgadniano z Warszawą. Według dokumentów I sekretarz KC PZPR Stanisław Kania kilkakrotnie oponował przeciwko



karaniu lokalnych dygnitarzy, przyznając: „operacja w Bydgoszczy nie odbyła się bez naszej wiedzy”, „zrobili to, co im kazaliśmy” (t. 2, s. 524, 622). Sekretarz KC Kazimierz Barcikowski się dziwił: „W sprawie Bydgoszczy czegoś nie rozumiem – ludzie mieli być usunięci z sali, ale nie pobici. To nas rozłożyło moralnie i wpędziło w trudną sytuację” (t. 2, s. 528).

Wśród relacji (t. 3) jest poruszające wspomnienie radnej Bożeny Mędlewskiej-Pankowskiej. Rzecz działa się poza salą obrad, co najmniej pół godziny przed interwencją ZOMO. „Idę przez korytarz ze spuszczoną głową, jak zbity pies. I widzę, że zbliżają się do mnie jakieś czarne buty i czarne spodnie z naprzeciwką. Jakiś typ zaszedł mi drogę i mówi: »Gdzie?«. »Jestem radną, wracam na salę«. I ten człowiek dał mi w twarz, mocno... Odkoczyłam, on mnie jeszcze kopnął. I z tych schodów na dół wpadłam z powrotem na salę” (s. 44). Ta historia przebiegała jak w teatrze: jeśli w pierwszym akcie zawiesza się dubeltówkę na ścianie, to ona w trzecim akcie musi wypalić. Jeśli się sprowadza do miasta tysiąc milicjantów i każe im się straszyć ludzi, jeśli budynek Urzędu Wojewódzkiego rano obstawia się funkcjonariuszami, zapowiadając, że będą niezbędni, to dubeltówka w końcu wypali, a skumulowana w osiłkach agresja znajdzie sobie ujście. Najprawdopodobniej nikt nie rozkazał pobić Jana Rulewskiego. Ale histeria władz stworzyła po temu warunki i okazję.

Te trzy tomy można czytać na różne sposoby. Dokumenty partyjne odstaniają mechanizmy podejmowania decyzji. Kazimierz Barcikowski skarżył się na zebraniu Biura Politycznego 31 marca: „Mamy do czynienia z takim zjawiskiem, że I sekretarze KW inne stanowisko zajmują na spotkaniach z Sekretariatem KC [...], a inne, gdy są u siebie, [i] inne na plenum KC” (t. 2, s. 624). Na tym samym zebraniu żalił się przewodniczący Rady Państwa Henryk Jabłoński, że o godz. 17 upewnił się, iż „w sprawie Solidarności wiejskiej nie ustąpimy”, i powtórzył to członkom Rady Państwa, a z dziennika telewizyjnego o 19.30 dowiedział się, że reduta padła (s. 627). Zabawna koincydencja odnotowana jest w tomie relacji: Wojciech Jaruzelski opowiada, jak „Kania, bardzo na to wyczu-

lony, krytycznie oceniał, że Rakowski – w kwestii rolników – przekroczył uprawnienia. Ja wtedy stanąłem w jego obronie” (s. 109). Stanisław Kania wskazywał na gen. Jaruzelskiego: „Premier był bardzo przejęty tym, że w porozumieniu zawarto deklarację o zgodzie na utworzenie Solidarności wiejskiej. Takiego mandatu Mieczysław Rakowski nie miał” (s. 110).

W tomie źródeł zabrakło mi dwóch dokumentów. Listu Stefana Bratkowskiego do członków partii; kierownictwo PZPR bardzo wiele o nim rozprawia, jest on cytowany na 40 stronach, a bez niedostępnego dziś tekstu trudno się zorientować dlaczego. I przemówienia prymasa Stefana Wyszyńskiego do delegacji Solidarności 28 marca 1981 r.; wiadomo, że wywarło ono duże wrażenie na członkach KKP i nieco powściągnęło krytykę Lecha Wałęsy za zawarcie ugody z rządem. Prymas wzywał w nim do cierpliwości, stopniowania i rozłożenia w czasie żądań stawianych władzom, odpowiedzialności przy podejmowaniu decyzji o strajku generalnym.

Tu mam uwagę polemiczną. Autorzy monografii piszą, że odwołanie strajku było punktem zwrotnym w dziejach Solidarności; związkowi nigdy więcej nie udało się osiągnąć takiego stopnia mobilizacji społeczeństwa, Solidarność straciła impet i przeszła do defensywy. Tak wtedy mówili radykałowie, dziś wielu z nich nie podtrzymuje takiej oceny (mówią o tym w tomie świadectw, chociaż tylko Andrzej Milczanowski przyznaje wprost: „moja ówczesna postawa była po prostu niemądra” (t. 3, s. 126). Przeciwnie, związek zyskał wtedy ponad osiem miesięcy na pracę organiczną. Nie trzeba nawet odwoływać się do lekcji 13 grudnia. Pamiętam pewnego naukowca, który wraz ze swą komisją zakładową miał strajkować na dwunastym piętrze rektoratu. No tak, mówił, odetną nam prąd, wodę, zaopatrzenie i za trzy, cztery dni sami, bez przymusu, zrezygnujemy. W redakcji „Tygodnika Solidarność” kończyliśmy wtedy przygotowania do wydania pierwszego numeru. Pomyślałem: w strajku generalnym to nam na pewno nie dadzą wydrukować tygodnika... Solidarność miała napoczętych wiele ważnych spraw. Wszystkie zostałyby odłożone, a nikt wtedy nie wiedział, czym miałyby się zakończyć strajk

generalny i jak się z niego wychodzi. Dziś wiemy, że nie zależałyby to od Solidarności...

Zauważyłem kilka usterek. Eugeniusz Józwiak nie był wojewodą bydgoskim, a Roman Bąk i Stefan Warczak jego zastępcami; na stanowisku wojewody był wakat, a trzech wymienieni i Władysław Przybylski byli wicewojewodami (t. 1, s. 19). Pomyłka w nazwisku, powinno być Piotr Sapełło, a nie Sapięła (t. 1, s. 325 i 390). Bałuka ma na imię Edmund, nie Edward (t. 2, s. 734 i 994; w monografii poprawnie). Jerzy Węglarz nie był redaktorem „Tygodnika Solidar-

ność”, ale współpracował z legnickim biuletynem „Solidarność Zagłębia Miedziowego” (t. 2, s. 750); taki sam błąd występuje w internetowej *Encyklopedii Solidarności*. Uchwała Krajowej Komisji Porozumiewawczej podjęta została nie 3, lecz 4 czerwca i nie w Gdańsku, lecz w Bydgoszczy (t. 2, s. 785); taki sam błąd występuje w gdańskim wydaniu *Dokumentów KKP (19 XI 1980 – 4 VI 1981)* z 1981 r. i w *Dokumentach Krajowej Komisji Porozumiewawczej i Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” (1980–1981)* wydanych przez IPN.

# CO WIEMY O OPOZYCJI – A CZEGO JESZCZE NIE

TOMASZ WIŚCICKI

***Opozycja demokratyczna w PRL w latach 1976–1981*, red. Wojciech Polak, Jakub Kufel, Przemysław Ruchlewski, Europejskie Centrum Solidarności, Gdańsk 2012, ss. 618.**

Pokaźny tom *Opozycja demokratyczna w PRL w latach 1976–1981* to efekt konferencji pod tym samym tytułem, zorganizowanej przez Europejskie Centrum Solidarności. Jego dyrektor Basil Kerski wyraża we wstępie do omawianej książki nadzieję, że „przyczyni się ona do popularyzacji badań na tematy związane z historią i ideą »Solidarności« oraz opozycją wobec dyktatury, a także naświetli wiele wątków nieporuszonych dotychczas w historiografii”. Nieco paradoksalnie, zwłaszcza w świetle nadziei wymienionej na końcu cytowanego zdania, szczególną wartością omawianego zbioru jest jego pierwsza część, rzeczowo zatytułowana *Organizacje opozycyjne*. Składają się na nią tekst Jerzego Eislera *Edward Gierek wobec opozycji demokratycznej* oraz monograficzne opracowania dotyczące głównych organizacji przedsierniowej opozycji: KOR (Jana Skórzyńskiego), ROPCiO (Grzegorza Waligóry), KPN (Grzegorza Wołka), RMP (Tomasza Sikorskiego) i SKS-ów, połączonych z posierpniowym już NZS (Kamila Dworaczka).

Paradoks polega na tym, że teksty te, rzetelne i dogłębne, nie odstaniają zbyt wielu nieznanych wątków, a jednak ich zestawienie tworzy zupełnie

nową jakość: panoramę przedsierniowej opozycji. Skórzyński, Waligóra i Sikorski są autorami obszernych monografii organizacji, o których piszą w omawianym tomie<sup>1</sup>, trudno więc oczekiwać, by nagle dokonali nowych odkryć – już po napisaniu swych dzieł. Podobnie rzecz się ma z Jerzym Eislerem, badaczem peerelowskich kryzysów, owocujących przemianami systemu. A jednak taki właśnie początek tomu wydaje się w pełni uzasadniony. Syntetyczne przedstawienie głównych nurtów opozycji zarysowuje pokrótce stan naszej wiedzy na temat tych, którzy świadomie i w zorganizowanej formie postanowili rzucić wyzwanie wszechwładnemu i pozornie niezniszczalnemu (przynajmniej w perspektywie doraźnej) systemowi. Z kolei tekst Eislera pozwala zrozumieć, jak to się stało, że w totalitarnym systemie mogła pojawić się zorganizowana opozycja. Interesująco przedstawia on w tym kontekście postać Edwarda Gierka – człowieka, który ukształtował komunizm w Polsce lat siedemdziesiątych.

Tło zarysowane przez wspomnianych autorów pozwala też na perspektywę porównawczą. Ciekawe, że choć omawiane środowiska dzieliły rozmaite konflikty

<sup>1</sup> J. Skórzyński, *Siła bezsilnych. Historia Komitetu Obrony Robotników*, Warszawa 2012; G. Waligóra, *Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela 1977–1981*, Warszawa 2006; T. Sikorski, *O kształt polityki polskiej. Oblicze ideowo-polityczne i działalność Ruchu Młodej Polski 1979–1989*, Toruń – Szczecin 2011. Zob. moją recenzję tej ostatniej pracy: *Sukces i klęska realistów*, „Wolność i Solidarność” 2012, nr 4.

– nieuniknione chyba w żadnej ludzkiej działalności – większość z nich zachowała względną spójność. Istnienie choćby środowisk skupionych wokół „Krytyki” i „Głosu” nie rozsądziło KOR. Właściwie dopiero wyjście jego członków na nieporównanie szersze, solidarnościowe wody, a potem czas podziemia lat 1982–1989 (stopniowo coraz płytszego), podzieliły byłych korowców nieodwołalnie. Ostre, zakończone rozłamami podziały w innych środowiskach nastąpiły także dużo później niż sięga omawiana praca. Na tym tle uderza wyjątek ROPCiO. Organizacja rozpoczęła swój byt jako forum tych opozycjonistów, którzy nie odnajdywali się w formule KOR – i dość szybko pograżyła się w konfliktach, dając początek innym grupom, zwłaszcza RMP i KPN. A przecież taki obrót sprawy nie był bynajmniej konieczny: można sobie wyobrazić trwanie w ramach większego ruchu mniejszych środowisk, np. na kształt wewnątrzkorowkich kręgów „Krytyki” i „Głosu”. Wydaje się, że tendencjom odśrodkowym sprzyjała luźniejsza struktura i słabsze czynniki jednoczące. Samo przekonanie o tym, że Polska powinna odzyskać niepodległość i że należy o tym mówić wprost, jak widać nie wystarczyło. KOR znalazł sobie pole konkretnego działania, potrafiące łączyć ludzi, których skądinąd nie ma dzieliło. W ROPCiO było z tym gorzej.

Do szybkiego paraliżu ROPCiO przyczyniły się też niewątpliwie działania Służby Bezpieczeństwa. Choć jak w każdym takim przypadku nie sposób odpowiedzialnie stwierdzić, w jakim stopniu konflikty istniałyby i bez „działań dezintegracyjnych” służb, a w jakim to one skłóciły działaczy, wyliczenia konfidentów wśród czołowych działaczy ROPCiO w tekście Grzegorza Waligóry<sup>2</sup> i KPN u Grzegorza Wołka robią wrażenie przygnębiające. Wniosek stąd płynie taki, że model przyjęty w innych organizacjach, zwłaszcza w KOR, opierający się na znających się wzajemnie, niewielkich środowiskach, okazał się dużo bardziej ubekoodporny niż pospolite ruszenie na modłę

ROPCiO. Owszem, pewne zamknięcie zwłaszcza ośrodków decyzyjnych *modo* KOR też miało swoje wady, sprzyjając swoistej ekskluzywności, jednak konfidentów było tam wprowadzić dużo trudniej. Oczywiście, przykład Lesława Maleszki – zaprzyjaźnionego (jak się wszystkim wydawało...) z innymi członkami grupy tworzącej krakowski SKS – pokazuje, że pełne immunizowanie na wpływy agenturalne w warunkach totalitarnych jest utopią, jednak przypadek ROPCiO dowodzi, że przyjęty przez jego założycieli model słabiej chronił przed wpływami służb.

Nie oznacza to bynajmniej deprecjonowania osobistych zasług i odwagi ludzi tworzących Ruch Obrony. Nigdy dość powtarzania, że w warunkach totalitarnych każde działanie sprzeciwiające się ze szlachetnych pobudek opresyjnej władzy jest bezcenne. Z tego punktu widzenia nie ma opozycji nieudanej, niepotrzebnej. Oczywiście, jednym na krótką metę udawało się lepiej, innym gorzej – ale każde, choćby nawet najgłębiej spenetrowane przez SB działania opozycyjne miały sens.

Nie sposób też nie zadać pytania, czy z punktu widzenia totalitarnej władzy, starającej się nie dopuścić do zorganizowania się społeczeństwa przeciwko niej, można uznać za sukces fakt, że z osłabionego i sparaliżowanego w końcu ROPCiO wyłoniły się dwa inne, prężne środowiska: RMP i KPN.

W tle wszelkich właściwie rozważań na temat opozycji antytotalitarnej stoi pytanie o definicję. Jakie właściwie działania uważamy za opozycyjne? W polskiej historiografii najwyraźniej i nie bez emocji wyartykułowali ten spór Andrzej Friszke i Tomasz Strzembosz. W skrócie rzecz ujmując, spór dotyczy z jednej strony działań odśrodkowych w aparacie władzy, z drugiej oporu podejmowanego przez rozmaite grupy społeczeństwa, niebędącego wszakże świadomym sprzeciwem wobec władzy z pobudek politycznych. W definicji Friszkego mieściły się te pierwsze, a te drugie nie; jego oponent uważał przeciwnie.

<sup>2</sup> Nawiasem mówiąc, w przypisie poświęconym tajnym współpracownikom SB wśród ważnych postaci ROPCiO, w tym również Andrzejowi Mazurowi (s. 56, przyp. 14), dziwi brak odwołania do artykułu Mariusza Gossa i Pawła Spodenkiewicza *Bohater, konfident, prowokator. Działalność Andrzeja Mazura, konfidenta SB*, „Więź” 2006, nr 2, s. 70–88.

Emocje, które towarzyszyły tym debatom (i nadal towarzyszą: ten spór należy do kategorii takich, których raz na zawsze rozstrzygnąć nie sposób), są zrozumiałe. W tle tkwi bowiem nieakademicki zgoła dylemat: czyja postawa zasługuje na większe uznanie – zbuntowanych partyjnych czy np. ludzi Kościoła? I kto w większym stopniu przyczynił się do upadku komunizmu?

Choć w omawianym tomie odwołania do sporu o granice opozycji pojawiają się marginalnie, to jednak – jako się rzekło – ma on znaczenie dla wszelkich rozważań poświęconych opozycji antytalitarnej. Tematyka zbioru bliższa jest definicji Friszkego niż Strzembosza: o Kościele w omawianym tomie nie znajdziemy prawie nic (prócz wzmianek o duchownych zaangażowanych w struktury opozycyjne), partyjnym strukturom poziomym poświęcony jest tekst Romana Bäckerera, zresztą jednego z głównych ich działaczy. Nie traktowałbym jednak tego jako opowiedzenia się za którymś ze stanowisk w sporze o zasługi. Zbiór trzyma się ściśle tematyki zorganizowanej, świadomej opozycji politycznej. Autorzy nie formułują (na ogół) uogólnionych sądów wartościujących. Struktury poziome w realiach lat 1980–1981 bardzo szybko okazały się jednoznacznym wyjściem poza system komunistyczny, jakim go znaleźliśmy. To już nie były rewizjonistyczne nadzieje na socjalizm z ludzką twarzą, bez kwestionowania pryncypiów systemu. Działacze struktur poziomych domagali się znalezienia trwałego miejsca w oficjalnym systemie politycznym dla Solidarności; gdyby im się udało (na co – jak się wydaje – szans nie mieli najmniejszych), to byłby to już zupełnie inny system. Poza tym powstanie Solidarności całkowicie zmieniło perspektywę: to ona była zasadniczym układem odniesienia, a nie układ sił w KC PZPR.

Omówienie tematyki poruszonej przez autorów wszystkich tekstów zamieszczonych w omawianym tomie jest niepodobieństwem. Dalej znajdzie się jedynie subiektywny wybór zagadnień wartych moim zdaniem podkreślenia, zwłaszcza poszerzających pole dotychczasowych badań.

Kamil Dworaczek w swym tekście o ruchu studenckim – prócz opisu faktów – zajmuje się także socjologiczno-politologiczną analizą opozycyjnego ruchu studenckiego przed Sierpniem i po nim. Przyznam się, że ta warstwa jego rozważań przekonuje dużo mniej. Analizując przyczyny, dla których studenci dość szybko odchodzili do „dorosłej” opozycji, jakby nie zauważał, a przynajmniej nie doceniał znaczenia tego, że status studenta z definicji jest przejściowy. Tak jak same studia są etapem przygotowawczym do dorosłego życia, tak opozycja studencka jest również etapem przejściowym. Wydaje się, że autor szuka bardzo skomplikowanych odpowiedzi na dość proste pytania. Podobnie próbując wyjaśnić, dlaczego po Sierpniu skokowo wzrosła liczba studentów zaangażowanych w działania opozycyjne, krąży wokół dość prostego wyjaśnienia: Sierpień pokazał, że możliwa jest zasadnicza zmiana, że komunizm i PRL nie są spetryfikowane na wieki ani nawet w perspektywie mierzonej czasem ludzkiego życia. Z przekonania, że komuniści „władzy raz zdobytej nie oddadzą nigdy”, płynęła być może najskuteczniejsza legitymizacja władzy. Gdy tym przekonaniem udało się zachwiać, liczba ludzi gotowych narażać się na represje wzrosła gwałtownie. Autor wspomina o tym czynniku, cytując prof. Hannę Świdę-Ziembę (a nie Ziembę, jak w książce!), ale nie docenia jego wagi.

Ciekawą analizę znaczenia postulatu odzyskania przez Polskę niepodległości w myśli zasadniczych ugrupowań opozycyjnych przedstawia Jakub Kufel. Wskazuje przy tym na trudność w badaniu tej problematyki, jaką jest praktyczny charakter polskiej opozycji. Autorzy nie odwoływali się do teorii znanych z filozofii polityki, a nawet do definicji suwerenności czy niepodległości. Punktem wyjścia było działanie, a myśl miała być dla niego uzasadnieniem. Wydaje się, że właśnie myśl polityczna polskiej opozycji – nawet z trudem odcyfrowywana z doraźnej publicystyki – stanowi szczególnie ciekawe pole badań, pozwalające lepiej zrozumieć naszą współczesność.

Krótki tekst Barbary Kijewskiej zwraca uwagę na słabą obecność kobiet w naszej pamięci o opozycji przed- i posierpniowej. Tekst, oparty na rozmowach



z czterema działaczkami, ma charakter przyczynku, jednak problem jest niezwykle ważny. Jego rzetelne i wyczerpujące potraktowanie będzie o tyle trudne, że jest uwikłane w przepętniony ideologią dyskurs feministyczny. Rzetelne, nieideologiczne przedstawienie roli kobiet w opozycji – oto zadanie godne dziejopisów i dziejopisek.

Innej kwestii wymagającej niezbędnie obszernych badań dotyka tekst Jacka Tebinki o polityce Wielkiej Brytanii wobec opozycji w Polsce i całym bloku sowieckim. Tematem tym jest międzynarodowy kontekst Solidarności i – szerzej – polskiej opozycji. Autor na podstawie źródeł dochodzi do wniosku zgodnego z dość powszechną intuicją: zasadniczym celem dyplomacji brytyjskiej było nienaruszenie *status quo*, nawet jeśli Konferencja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie wprowadziła do brytyjskiej i w ogóle zachodniej polityki nową perspektywę. Nie zmienił tego antykomunizm Margaret Thatcher. Nawiasem mówiąc, z pamiętników Richarda Pipesa wynika, że w tej sprawie istniała przepaść między dwojgiem zdeklarowanych skądinąd piewców wolnego rynku: panią Thatcher i Ronaldem Reaganem. W kwestiach polityki międzynarodowej brytyjska premier była europejska do bólu – niczym nie różniła się od innych obrońców pojałtańskiego *status quo*. Prezydent Reagan zastanawiał się natomiast, jak je zmienić – z nie najgorszym skutkiem. Wyszedł przy tym od elementarnych intuicji moralnych: że wolność to ważna i piękna rzecz, na której zbudowano Stany Zjednoczone i której domagają się Polacy, a skoro komuniści postanowili nam ją odebrać, Ameryka powinna coś z tym zrobić. Takie rozumowanie dla polityków europejskich było zupełnie egzotyczne. Meandry światowej polityki wokół Polski zdecydowanie warto prześledzić – aby wyjść poza intuicje.

Wątpliwości budzi kategorię stwierdzenie Sebastiana Ligarskiego w tekście o wyborach 1976 i 1980 r.: „Władza nie musiała się uciekać do fałszowania wyników wyborów aż do 1989 roku” (s. 328). W innym miejscu przekonanie o fałszerstwach równie kategorię uznaje on za mit. Nie znaczy to, bym podpisał się pod cytowanym przez Ligarskiego w przy-

pisie twierdzeniem Krzysztofa Kolasy, że wszystkie wybory zostały sfalszowane, czy też podobnym zdaniem Pawła Sasanki (s. 336). Po prostu brak moim zdaniem podstaw źródłowych do tak kategorię stwierzeń – w jedną lub drugą stronę. Za tym, że wyniki bywały „korygowane”, przemawia zwłaszcza absurdalnie wysoka frekwencja. Nic jednak konkretnego na ten temat nie wiemy i – obawiam się – szczegółowo wiedzieć nie będziemy. Ale warto przynajmniej spróbować, choćby np. usiłując oszacować, jaki procent ludzi w żadnym razie głosować nie mógł – z powodu choroby, pozostawiania na marginesie społecznym itp. Natomiast dokonany przez Ligarskiego opis działań władz podejmowanych w związku z wyborami jest bardzo ciekawy i wartościowy.

Szczególnie ważne wydaje się możliwie wyczerpujące zbadanie, jak wyglądała (albo nie wyglądała) opozycja przedsierniowa na poziomie lokalnym, poza dużymi ośrodkami, oraz opisanie tamże czasu Solidarności (a także stanu wojennego, ale to wykracza poza zakres omawianego zbioru). Z tego punktu widzenia na uwagę zasługują teksty zajmujące się opozycją w Przemyskiem, Łomżyńskim i w Elblągu. Opisanie lokalnej opozycji powinno moim zdaniem być wstępem do spojrzenia na nią z perspektywy ogólnopolskiej i rekonstrukcji, jak naprawdę wyglądała Polska poza kilkoma największymi, najlepiej poznanymi i opisanymi miastami.

W tekście Karola Nawrockiego o Elblągu znalazło się jedno z nielicznych w całym tomie zdań ocennych, pisanych jawnie z dzisiejszej perspektywy, w pierwszej osobie. Dlatego przyjrę mu się bliżej – w niczym nie ujmując rzetelności autora w całym tekście. Opisując mianowicie Klub Inteligencji Katolickiej w Elblągu, Nawrocki stwierdza: „I mimo że z dzisiejszej perspektywy działanie KIK nie wydaje mi się szczególnie odważne, to jednak na ówczesne czasy to było coś nowego i przełomowego. Stąd nie dziwi fakt, że w sierpniu 1980 r. właściwie wszyscy członkowie KIK aktywnie włączyli się w ruch »Solidarności«”. Można zapytać: skoro to było coś „na ówczesne czasy” przełomowego i skoro włączyli się potem w działania Solidarności, to może „dzisiejsza perspektywa”, w której to działanie

wydaje się niezbyt odważne, jest myląca? Warto przypomnieć, a co młodszym uświadomić, że przystępując do takiej struktury jak KIK, a nawet tylko dystansując się jednoznacznie od struktur oficjalnych, obywatel (oficjalnie), a *de facto* poddany PRL sam skazywał się na byt drugiej kategorii. W późnej PRL nie musiało to oznaczać otwartych represji, ale np. niemożność normalnego, zgodnego z umiejętnościami awansu zawodowego. I niech nie myli tu fakt, że kluby inteligencji katolickiej działały na podstawie peerelowskiej koncesji. Kto z tej koncesji korzystał, sam się naznaczał jako ktoś, kto publicznie dystansuje się od władzy. A takich ta władza nie lubiła...

Nie mam zamiaru pastwić się nad jednym zdaniem skądinąd wielce interesującego tekstu. Skomentowałem je, gdyż coraz bliżej mi do smutnego przekonania, że doświadczenie życia w totalitaryzmie jest nieprzekazywalne tym, którzy w nim nie żyli. Nawet historykom. Dlatego czepiam się szczegółów w nadziei, że doświadczenie jednak uda się ocalić i przekazać.

O tym, że nawet o – wydawałoby się – dobrze zbadanych czołowych ośrodkach opozycji da się powiedzieć coś ciekawego, świadczy tekst Konrada Knocha o PIK, czyli Prywatnej Inicjatywie Krakowskiej, wydającej pismo „Merkuryusz Krakowski i Światowy”. Jej inicjatorem był Robert Kaczmarek, a do jej (nielicznych) współpracowników należały tak znane postaci jak Mirosław Dzielski i o. Jan Andrzej Kłoczowski OP. To przedsięwzięcie pozostaje chyba najmniej znanym spośród tych, które działały w duchu tworzenia czy odtwarzania nurtu liberalno-konserwatywnego. Modny (dziś) kierunek, duże miasto, znani współpracownicy – i zapomnienie. Dobrze, że Konrad Knoch wydobywa z niego PIK.

Wydarzenia – o dziwo – dość mało znane przypomina także Wojciech Polak, opisując strajk studencki z jesieni 1981 r. Ta ogromna fala protestów, która objęła zdecydowaną większość ówczesnych wyższych uczelni, ginie wśród burzliwych wydarzeń tego czasu, brutalnie zakończonych w nocy z 12 na 13 grudnia. A przecież te strajki odegrały niezwykle istotną rolę w integracji środowisk akademickich – nie tylko studenckich! Zaryzykuję twierdzenie, że w dużej mierze

dzięki tym strajkom duch oporu utrzymał się na sporej części wyższych uczelni przez całe lata osiemdziesiąte. Dlatego nie zgadzam się z minorową konkluzją: „Nikt nie mógł przewidzieć, że stan wojenny położy kres wszelkim nadziejom na przywrócenie uczelniom autonomii”. Nawet jeśli rzeczywiście tak się wydawało 13 grudnia, to rychło się okazało, że nie wszystko stracone. Z niejasnych (a wartych zbadania) powodów wiosną 1982 r. uchwalono ustawę o szkolnictwie wyższym dopuszczającą bezprecedensowy jak na warunki komunistyczne (zwłaszcza w stanie wojennym) zakres akademickiej samorządności. Uczelnie stały się enklawą, gdzie działał samorząd studencki, a władze pochodziły z wyboru. Dopiero gdy się zorientowano, jaki użytek czynią środowiska akademickie z niespodziewanego prezentu, w 1985 r. znowelizowano ustawę w duchu bardziej zgodnym z klimatem epoki...

Joanna Wojdon, zbadawszy, co o Solidarności pisze się w zagranicznych szkolnych podręcznikach, a więc – czego może się o nas dowiedzieć młody Europejczyk, dochodzi do zaskakująco pozytywnego wniosku, że nie jest z tą wiedzą tak źle. Uwzględniając ogólne sploty nieuchronnie towarzyszące upowszechnieniu, wiedza o naszym kraju nie jest taka mała – nawet jeśli w niektórych książkach pojawiają się fragmenty w stylu „Kiedy Kara Mustafa, wielki wódz Krzyżaków”...

Tomy pokonferencyjne rządzą się swoimi prawami: pełniąc funkcje dokumentacyjne, muszą zamieszczać przygotowane teksty w zasadzie w postaci integralnej. Stąd pewne powtórzenia wydają się nieuniknione. Ponieważ jednak podobne zbiory funkcjonują potem samodzielnie, aż by się prosiło, by niektórzy autorzy nieco powściągnęli zamiary opisanego swoich tematów *ab ovo*. Niekiedy ciekawe, szczegółowe rozważania poprzedza powtórzony po raz kolejny opis dobrze znanych faktów – np. jak i dlaczego powstał KOR. To nie ułatwia lektury – i nie wydaje się konieczne.

Lekturę tego grubego tomu warto jednak z pewnością podjąć. Można z niego się dowiedzieć nie tylko tego, co wiemy o opozycji, ale jak pasjonujące kwestie dopiero czekają na odkrycie i zbadanie.

# MIĘDZYNARODOWE KŁOPOTY Z PANNĄ S

MARCIN FRYBES

**PATRYK PLESKOT, *Kłopotliwa Panna „S”. Postawy polityczne Zachodu wobec „Solidarności” na tle stosunków z PRL (1980–1989)*, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2013, ss. 878.**

Książka Patryka Pleskota to praca bogato udokumentowana, często oparta na unikatowych źródłach (m.in. raportach i analizach, które zachodni dyplomaci przesyłali z Polski do swych central, zapisach ważnych posiedzeń), przy tym napisana dobrą polszczyzną. Czytelnik zostaje od samego początku wciągnięty w rytm akcji i z zapartym tchem śledzi wartko prowadzoną opowieść o tym, jakie emocje, reakcje, przewartościowania, a w konsekwencji jakie działania spowodowało pojawienie się na międzynarodowej scenie ruchu Solidarności, którą autor nazywa (nawiązując do piosenki opozycyjnego barda Jana Krzysztofa Kelusa, skomponowanej w pierwszych miesiącach stanu wojennego)<sup>1</sup> „sentymentalną Panną S”.

Jak zauważa Pleskot, wielu ludziom zarówno w Polsce, jak i na świecie „Panna S” po prostu bardzo się podobała. Jej nieoczekiwane pojawienie się na polskiej scenie (przede wszystkim jednak – na scenie międzynarodowej) wywołało nie tylko życzliwe zainteresowanie, ale też podziw, wręcz fascynację. Nikt nie mógł przejść obok niej obojętnie. Wielu pragnęło za wszelką cenę umówić się z nią na kawę (czy też raczej na wywiad). „Panna S” wywoływała skrajnie różne emocje: od wielkich nadziei po z trudem skry-

wany strach. Jedni widzieli w niej zapowiedź „innego socjalizmu” i możliwej demokratyzacji systemu komunistycznego, inni – śmiertelne zagrożenie dla procesu odprężenia (*détente*), nadwyręzonego już inwazją Armii Radzieckiej na Afganistan.

Czytelnik polski otrzymuje książkę ważną, solidnie napisaną, z imponującą bazą źródłową, czasem aż zbyt dokładną. Jest to książka na swój sposób pionierska, gdyż dotychczas tematyką zachodnich reakcji na Solidarność zajmowali się przede wszystkim badacze zagraniczni.

Autor drobiazgowo opisuje stosunek zachodnich dyplomacji i polityków w trakcie piętnastu miesięcy legalnego działania NSZZ Solidarność oraz w latach następnym, aż do 1989 r. W sposób bardzo dokładny, zróżnicowany, a zarazem dość kompletny prezentuje – w układzie chronologicznym – ewolucje ich ocen, poglądów i zachowań, czemu odpowiada plan poszczególnych rozdziałów.

Pierwszy rozdział, zatytułowany *Między sympatią a konsternacją*, opisuje reakcje Zachodu na letnie strajki w Polsce oraz pierwsze miesiące legalnego działania związku. W przytaczanych dokumentach i relacjach rzuca się w oczy powszechny strach przed radziecką interwencją (której konsekwencje mogłyby

<sup>1</sup> Tytuł oryginalny utworu: *Sentymentalna Panna „S” – materiały pomocnicze do nauki o Polsce i świecie współczesnym*.

poważnie zagrozić bezpieczeństwu w Europie). Strach ten był jednak znacznie silniejszy po drugiej stronie Atlantyku niż w Europie. Ostatnie tygodnie urzędowania ekipy prezydenta Jimmy'ego Cartera, w której czołową rolę odgrywał Zbigniew Brzeziński, upłynęły w atmosferze przekonania o nieuchronności zbrojnej interwencji w Polsce. Co wpłynęło ostatecznie na zrezygnowanie przez Moskwę z tej opcji, do dziś do końca nie wiemy.

Znacznie mniej bali się tego politycy europejscy (czyżby tylko z powodu swej naiwności w ocenie rzeczywistych zamiarów ZSRR?). W książce Pleskota brak może czasami pogłębionej analizy porównawczej, która aż się narzuca wobec bogactwa przytaczanych przez autora dokumentów. Czym innym były bowiem sympatia i poparcie dla Solidarności ze strony amerykańskich konserwatystów, którzy wraz z Ronaldem Reaganem przejęli władzę z początkiem 1981 r. – dla nich komunizm był przede wszystkim „przeżytkiem historii”, a czym innym życzliwe zainteresowanie i poparcie francuskich socjalistów, którzy doszli do władzy w czerwcu 1981 r., po zwycięstwie François Mitterranda w wyborach prezydenckich – wielu z nich bardzo chciało wierzyć w możliwość „innego socjalizmu” i w ten właśnie sposób postrzegało ruch Solidarności. Inne cele stawiała sobie w 1981 r. i później admistracja amerykańska (osłabienie ZSRR i rozpad bloku sowieckiego), zupełnie inne francuscy socjaliści (osłabienie wpływów rodzimych komunistów), a jeszcze inne pragnący za wszelką cenę utrzymać atmosferę *détente* – jako jedyną drogę mogącą prowadzić w przyszłości do zjednoczenia Niemiec – niemieccy politycy różnej maści.

Rozbieżności w ocenie sytuacji w Polsce, a co za tym idzie – istotne różnice w strategii, widoczne po ogłoszeniu stanu wojennego, były obecne w świecie zachodnim już od samego początku. Dla jednych Solidarność była „polskim eksperymentem”, dla innych dowodem głębokiego kryzysu trwającego blok komunistyczny. Pleskot wspomina, że tylko „Ekipa Reagana za pośrednictwem Departamentu Stanu nakazała amerykańskim placówkom dyplomatycznym w krajach socjalistycznych, w tym w Warszawie, aby

polecily opracowanie analiz sytuacji w tym rejonie Europy. Na ich podstawie eksperci rządowi mieli przygotować całościowe oceny sytuacji, stanowiące punkt wyjścia założeń polityki wschodniej nowej administracji”. Wniosek, który z tego wyciąga, pisząc, że nowy szef Białego Domu, lawirujący między tymi dwiema tendencjami, nie zamierzał „w fundamentalny sposób” zmieniać *status quo* w Europie Wschodniej i swoje stanowisko zaostriżył dopiero po 13 grudnia 1981 r. (s. 130), nie do końca odpowiada jednak rzeczywistości. Jak zresztą wspomina autor (a potwierdzają to liczne wspomnienia i dokumenty z tego okresu), podczas konferencji prasowej w połowie czerwca 1981 r. na pytanie jednego z dziennikarzy, czy „wydarzenia ostatnich dziesięciu miesięcy w Polsce stanowią początek końca radzieckiej dominacji w Europie Wschodniej”, prezydent Reagan odparł: „uważam, że jest niemożliwe – a historia to pokazuje – by jakkolwiek forma rządów trwała w nieskończoność przy całkowitej negacji ludzkiej wolności [...]. Uważam, że to, co obserwujemy nie tylko w Polsce [...], stanowi znak, że komunizm jest aberracją. To nie jest normalny sposób życia dla istnień ludzkich i moim zdaniem można już zauważyć pierwsze pęknięcia, początek końca” (s. 218).

Żaden z liczących się przywódców europejskich, z prawa czy z lewa, nie pozwoliłby sobie na tego typu sformułowania. I to nie tylko dlatego, że część krajów zachodnich negocjowała w tym samym czasie z Moskwą sprawę dostaw radzieckiego gazu dla Europy. Przede wszystkim dlatego, że nikt z nich nie był w stanie „intelektualnie wyobrazić sobie koniec komunizmu”. Tylko były aktor z Hollywood i amerykański kowboj był do czegoś takiego zdolny.

Te widoczne już w okresie legalnego istnienia NSZZ Solidarność podziały tłumaczą w dużym stopniu zróżnicowane reakcje polityczne państw Zachodu na wprowadzenie w Polsce stanu wojennego i zniszczenie związku. Autor omawia tę problematykę w kolejnym rozdziale, *Między potępieniem a ulgą*, wyodrębniając (jako modelowe przykłady) „linię amerykańską”, „linię francuską” i „linię niemiecką”.



Powracając do języka poezji, można powiedzieć, i Pleskot w sposób przekonujący to opisuje (znów posługując się bardzo bogatą bazą dokumentalną), że po 13 grudnia 1981 r. nikt specjalnie na Zachodzie nie zamierzał umierać za „Pannę S”, a tym bardziej bronić jej cnoty, gdy – jak śpiewa Kelus – „w końcu zgwałcono ją w teatrze, z częścią zdumionej wciąż widowni... i zostaliśmy bez niej smutni i chyba trochę bardziej głodni”.

To, że nikt nie chciał umierać za Solidarność (podobnie jak pół wieku wcześniej, we wrześniu 1939 r., nikt nie kwapił się „umierać za Gdańsk”), nie oznaczało bynajmniej, że świat zachodni może o niej szybko zapomnieć. Zarówno opinia publiczna, jak i światowe centrale związków zawodowych oraz duża część zachodnich elit politycznych (w szczególności prezydent Reagan) nie zamierzali przyglądać się bezczynnie, jak pod dyktando Moskwy łamane są nad Wisłą podstawowe prawa człowieka i obywatela, które ZSRR i PRL zobowiązały się respektować, podpisując w 1975 r. postanowienia konferencji helsińskiej, w tym „trzeci koszyk”.

Zachód był tym razem bogatszy o tragiczne doświadczenia z 1956 (Węgry) i 1968 r. (Czechosłowacja). Od samego początku polskiego kryzysu przywódcy zachodni apelowali, aby Polacy załatwili problem sami, własnymi rękami, w dialogu, bez jakiegokolwiek interwencji z zewnątrz. Generalnie jednak zarówno podczas piętnastu miesięcy legalnej działalności polskiego ruchu, jak i później reakcje zachodnich polityków były ostrożne i wyważone. Nikt nie chciał niepotrzebnie prowokować dogorywającego w Moskwie sowieckiego niedźwiedzia. Żaden z polityków nie reagował emocjonalnie (na co jednak mogła sobie pozwolić zachodnia opinia publiczna), a jeżeli już komuś się to zdarzyło, musiał się potem tłumaczyć (jak pokazują przykłady francuskiego ministra spraw zagranicznych Claude'a Cheyssona, któremu wyrwało się: „Oczywiście, nic nie zamierzamy robić”, czy premiera Kanady Paula Trudeau, w pierwszej reakcji na stan wojenny przychylnego gen. Jaruzelskiemu).

Wśród reakcji zachodnich stolic, bardziej zróżnicowanych (co trafnie pokazuje autor) niż Polakom

mogło się wówczas wydawać, bardzo ważne miejsce zajmują reakcje Watykanu. Nie jest to jednak – jak może sugerować tytuł podrödziału poświęconego temu zagadnieniu – jakaś „watykańska specyfika”, ale przemyślana i dalekowzrocza strategia papieża Jana Pawła II, której horyzont wykraczał poza klasyczne rozumienie polityki i dyplomacji.

Istotnym orężem polityki prowadzonej w tym okresie przez państwa Zachodu wobec Polski i Solidarności była zakrojona na niespotykaną wcześniej skalę pomoc humanitarna. Płynęła ona z wielu krajów, w jej organizowaniu uczestniczyły dziesiątki tysięcy mieszkańców państw zachodnich. Stanom Zjednoczonym zależało na rozwijaniu akcji humanitarnych i dobroczynnych, rekompensujących politykę sankcji – przypomina Pleskot (s. 412). Występując w Chicago w połowie 1984 r., przy okazji obchodów czterdziestolecia Kongresu Polonii Amerykańskiej, zastępca sekretarza stanu Kenneth Dam oświadczył: „wykorzystujemy sankcje, aby skłonić polski rząd do uwzględnienia życzeń narodu polskiego. Równocześnie chronimy naród polski przed skutkami sankcji”. W większości krajów pomoc taką organizowano przede wszystkim z pobudek czysto ludzkich.

W kolejnym rozdziale, zatytułowanym *Dyplomatyczny pat*, Pleskot opisuje ewolucję postaw Zachodu w latach 1983–1985. „Po szoku wywołanym wprowadzeniem stanu wojennego i pierwszych miesiącach gorączkowej dyplomacji – pisze autor – z biegiem czasu sprawa polska schodziła z pierwszych stron gazet i z centralnych miejsc na biurkach polityków. Tendencja ta uwiöodoczniała się zwłaszcza w 1983 r. i trwała do około 1985 r.” (s. 402). Tymczasem nie był to czas zupełnie nijaki, jak mogłyby świadczyć tytuły podrödziałów (*Czas wyczekiwania, Waszyngton: pogłębiający się marazm*). To przecież w tych właśnie latach Stany Zjednoczone przyjęły nową politykę zagraniczną wobec Związku Sowieckiego, której symbolem stała się – zbyt pobieżnie chyba omówiona w książce – podpisana przez Reagana w styczniu 1983 r. National Security Decision Directive (NSDD) 75. Napisała w dużym stopniu przez jedego z najbliższych współpracowników prezydenta, profesora Harvardu,



urodzonego w Cieszynie Richarda Pipesa, wyznaczała nowe priorytety amerykańskiej polityki, jasno określając jej główny cel, a mianowicie ostateczną dezintegrację i upadek ZSRR. Jednym zaś z oręży tej strategii było powołanie w tym samym roku funduszu National Endowment for Democracy (NED), dzięki któremu finansowanie podziemnej Solidarności (oraz innych ruchów opozycyjnych w bloku sowieckim) mogło się odbywać w sposób jawny i otwarty.

Reorientację amerykańskiej polityki widać doskonale w wystąpieniach Reagana, przytaczanych przez Pleskota. I tak w oświadczeniu z okazji trzeciej rocznicy powstania niezależnego związku zawodowego prezydent skupił się „na podkreślaniu trwałości »ducha Solidarności«, którego nie złamało wprowadzenie stanu wojennego i internowanie liderów opozycji: »pomimo wszystkich środków represji [...] Polacy nie dali się zastraszyć. Jest dziś jasne, że żadna siła nie może wymazać wspomnień historycznego wydarzenia z 31 sierpnia 1980 r.« Reagan podkreślał, że polscy robotnicy »rzucili wyzwanie całej potęgze współczesnego totalitarnego państwa«, a Solidarność »nadal prowadzi swą pokojową walkę« (s. 405).

Kolejne dwa rozdziały opisujące reakcje zachodnich polityków Pleskot zatytułował *Trudna droga do normalizacji (1985–1986)*. *Koncepcje ocieplenia stosunków* oraz *Przesilenie (1987–1988)*. *Skutki masowej amnestii*. Przywołuje przy tym tezę Andrzeja Paczkowskiego, że to nie zabiegi polskiej dyplomacji, lecz działania władz wobec zdelegalizowanego związku Lecha Wałęsy były „istotą sprawy” w kształtowaniu relacji PRL z Zachodem<sup>2</sup>. Zdaje się jednak nie doceniać zmiany klimatu, jaka w relacjach Wschód – Zachód zaszła po wyborze Michaiła Gorbaczowa na stanowisko sekretarza generalnego KPZR w marcu 1985 r. Tymczasem zainicjowana przez Gorbaczowa polityka *glasnosti* i pierestrojki umożliwiła reorientację polityki Zachodu wobec całego bloku wschodniego, a szczególnie wobec Polski i Solidarności. Praktycznym tego wyrazem było zakończenie bojkotu dyplomo-

matycznego PRL oraz wzmożone kontakty z działaczami solidarnościowej opozycji. Z przytoczonego przez autora zestawienia wynika, że „tylko w latach 1985–1986 działacze zdelegalizowanego związku 74 razy spotykali się z dyplomatami zachodnich ambasad w Warszawie (od szeregowych urzędników po ambasadorów), często w prywatnych mieszkaniach” (s. 830).

Ostatni rozdział, *Przełom roku 1989. Ewolucyjne przewartościowanie*, opisuje (znów bardzo szczegółowo i dokładne) ewolucję postaw zachodnich polityków i dyplomatów w okresie poprzedzającym zasadniczą zmianę, która nastąpiła w 1989 r. w wyniku ponownej legalizacji związku Solidarność, czerwcowych wyborów do sejmu oraz powołania rządu Tadeusza Mazowieckiego.

W zakończeniu Patryk Pleskot przypomina główną swoją tezę: „ruch »Solidarność« stanowił istotną kartę przetargową w relacjach zachodnich dyplomacji z władzami polskimi”. Dodaje: „w latach osiemdziesiątych można dostrzec inny fundamentalny proces, pokazujący nową jakość w stosunkach Zachodu z Polską – powstawanie dyplomacji alternatywnej, solidarnościowej. Śledząc podejmowaną zarówno w kraju, jak i za granicą działalność legalnej, potem nielegalnej, a wreszcie ponownie zalegalizowanej »Solidarności«, państwa zachodnie coraz wyraźniej uświadamiały sobie, iż władze PRL nie miały już monopolu na tworzenie państwowej dyplomacji”. Czy wobec tego nie powinien pójść o krok dalej – zwłaszcza że przytoczone przez niego dokumenty w pełni taką tezę uzasadniają – i stwierdzić, że Solidarność (oraz niezależne siły społeczne) była nie tylko kartą przetargową, ale także (z czasem coraz mocniej) samodzielnym podmiotem polityki międzynarodowej?

Inną sprawę, która może budzić pewien niedosyt, jest zbyt częste sytuowanie przez autora reakcji zachodnich na osi negatywne – pozytywne. Oś taka nie całkiem się nadaje do określania strategii politycznych czy analiz dyplomatycznych w sposób czytelny i zrozumiały. Tym bardziej kiedy te przymiotniki

<sup>2</sup> A. Paczkowski, *Dyplomacja polska czasów kryzysu [w:] Historia dyplomacji Polskiej*, t. 6, red. W. Materski, W. Michowicz, Warszawa 2000, s. 821–855.

występują co kilka stron (słowo „pozytywne” użyto sto razy, „negatywne” – 90).

Polski czytelnik otrzymał książkę niezwykle ważną (nieprzypadkowo już kilkakrotnie nagrodzoną). Trochę szkoda, że autor nie pokusił się o szersze przedstawienie klimatu intelektualnego, który towarzyszył badanym przez niego reakcjom polityków i dyplomatów. W szczególności atmosfery we Francji i innych krajach Zachodu, związanej z odkryciem w latach siedemdziesiątych głośnych książek radzieckich dysydentów – Aleksandra Sołżenicyna, Grigorija Zinowjewa i Władimira Bukowskiego, jak również no-

wego klimatu w Stanach Zjednoczonych, związanego z zapoczątkowaną w połowie lat siedemdziesiątych „rewolucją konserwatywną”.

Książka przynosi bardzo wiele nowych danych i informacji, do tej pory słabo znanych nawet specjalistom, i z tego już tylko powodu zasługuje na uznanie. Mimo pewnych przeoczeń i uproszczeń jest to książka bardzo ważna. Warto może, aby przy okazji obchodów 25-lecia odzyskania wolności Polacy dowiedzieli się, że nie zawdzięczają jej tylko sobie, ale także politykom, a przede wszystkim siłom społecznym na Zachodzie.

# POLAK O SKOŚNYCH OCZACH

ANNA MACHCEWICZ

**ANNA NASIŁOWSKA, *Wolny agent Umeda i druga Japonia*, Wydawnictwo Algo, Warszawa 2013, ss. 479.**

Gdyby Ryochu Umeda latem 1922 r. nie spotkał na statku płynącym z Japonii do Europy dwóch wracających do ojczyzny Polaków, a w Berlinie, dokąd zmierzzał, nie doszło właśnie do zamachu na ministra spraw zagranicznych Rathenaua, ani delegacja Solidarności nie byłaby tak uroczysto goszczona przez japońskich związkowców w 1981 r., ani Lech Wałęsa nie zostałby ojcem chrzestnym jego syna Yoshito.

Ten nieco żartobliwy skrót blisko pięćsetstronicowej opowieści Anny Nasiłowskiej o dwóch Japończykach, których los związał z Polską, wskazuje jej wady i zalety. Konstrukcja książki sprawia największy kłopot, gdy autorka decyduje się oddać głos drugiemu z jej bohaterów, synowi Ryochu – Yoshito Umedzie. Jego długie wypowiedzi jedynie od czasu do czasu są przedzielone wspomnieniami rodziny, znajomych lub przyjaciół bądź cytatem z dokumentów Służby Bezpieczeństwa, a czasem minimalnym odautorskim komentarzem. Czytelnik brnie zatem przez ważne i mniej ważne zdarzenia, poznaje dziesiątki nazwisk i tysiące anegdot, których natłok może przyprawić o ból głowy.

Nie znaczy to jednak, że nie warto być wytrwałym. Przeciwnie. Losy dwóch Umedów, ojca i syna, związanych z Polską (Europą) i Japonią (Azją) dodatkowo komplikuje dramatyczna historia XX wieku, druga wojna światowa i lata komunizmu. Otrzymujemy niezwykłą opowieść o zderzeniu cywilizacyjnym

i o cenie, jaką jest życie na pograniczu kultur, obserwacje polskich narodowych wad, masę interesujących szczegółów na temat opozycji demokratycznej lat siedemdziesiątych, solidarnościowych miesięcy, okresu transformacji.

Punktem wyjścia tej polsko-japońskiej historii była przypadkowa decyzja japońskiego studenta Ryochu Umedy, który zamierzał studiować w Berlinie, ale z powodu zdarzeń politycznych znalazł się ostatecznie w Polsce. W Warszawie podjął studia filozoficzne, tutaj obracał się w barwnym środowisku literacko-artystycznym, pracował w poselstwie Japonii i uczył japońskiego w Instytucie Wschodnim. Z tego okresu pochodzą jego ciekawie opisane w książce kontakty z działaczami ukraińskimi, a dystans obcokrajowca pozwolił mu spojrzeć głębiej na konflikt polsko-ukraiński.

Wybuch drugiej wojny światowej zakończył polską przygodę Umedy. Wraz z innymi japońskimi dyplomatami został on ewakuowany do Rumunii, a potem do Bułgarii, po wojnie powrócił na stałe do Japonii. Uczył m.in. na uniwersytecie w Nishinomiya – głównie historii Polski, przekładał także dzieła literatury polskiej. Przed śmiercią przyjął chrzest oraz imię Stanisław. Pozostawił w Polsce przyjaciół i oni dopomogli w zrealizowaniu jego woli wychowania jednego z synów w kraju, w którym spędził młodość.

W 1964 r., już po śmierci ojca, do domu archeologa prof. Konrada Jażdżewskiego w Łodzi zawiątał trzynastoletni Yoshito Umeda, syn Ryocho. Po kilkutygodniowym domowym treningu języka polskiego poszedł do szkoły. Opisy zetknięcia się młodego Japończyka z polskimi obyczajami i mentalnością należą do najlepszych bodaj fragmentów książki. Szok kulturowy odczuwany był zresztą przez obie strony, choćby w przypadku podejścia do spraw seksu. Yoshito z jednej strony zaskakiwał polskich przyjaciół swobodą obyczajową, z drugiej nie pojmował skali zwulgaryzowania tej sfery życia, wyrażonej np. w naszym języku. Skądinąd, choć polskim władał swobodnie, do końca życia posługiwał się kalkami językowymi z japońskiego. I zawsze tęsknił za sosem sojowym, o który w PRL nie było łatwo.

W domu Jażdżewskich w Łodzi, a następnie za pośrednictwem studentów w Warszawie poznał środowisko inteligencji, która kilka lat później zaangażowała się w działalność Komitetu Obrony Robotników. W końcu lat siedemdziesiątych dzięki swym japońskim kontaktom pomagał w zdobywaniu specjalnej kalki, na której opierał się podziemny druk Niezależnej Oficyny Wydawniczej.

W czasie rewolucji Solidarności znalazł się w samym centrum wydarzeń. Znał języki obce, więc Zbigniew Bujak zatrudnił go w biurze zagranicznym Regionu Mazowsze, powierzył mu też nierzaliczny odcinek spraw finansowych, z którego Yoshito sprawnie się wywiązał. Zorganizował wyjazd delegacji związkowej do Japonii i jej towarzyszył. Z książki Nasiłowskiej dowiadujemy się, jak członkowie wyprawy radzili sobie z pałeczkami i potrawami japońskimi, ale też otrzymujemy interesujące obserwacje różnic w podejściu do roli związków zawodowych w obu krajach. Jesienią 1981 r. Umeda pomagał w zorganizowaniu w Gdańsku I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ Solidarność i choć pełnił funkcje pomocnicze, był na tyle blisko, by obserwować, jak ludzie się zmieniają, dostrzec polskie przyzwyczajenia i wieczne swary, trudne do pojęcia dla Japończyka.

Ciekawym wątkiem jest sprawa tzw. raportu taterników, który odegrał decydującą rolę w skazaniu

milicjantów odpowiedzialnych za śmierć górników z kopalni Wujek. W lutym 1982 r. w tatrzańskim schronisku w dolinie Pięciu Stawów pojawił się katowicki pluton ZOMO, który miał przejść szkolenie – pod kontrolą czterech taterników – przysposabiające m.in. do akcji antyterrorystycznych. Szkolenie miało jednak także tajny cel – wydobywanie prawdy o zbrodni z grudnia 1981 r. Na podstawie opowieści zomowców powstała relacja taterników, w której dokładnie opisano, kto wydał rozkaz ataku i pierwszy otworzył ogień. Raport zaginął, a jego autorzy zostali poddani środowiskowemu ostracyzmowi za kontakty z zomowcami. W 1999 r. zostali zrehabilitowani, gdy przed sądem dokonali rekonstrukcji uzyskanych przed laty zeznań. Umeda, który znał zarówno jednego z taterników, jak i dodatkowe okoliczności całej sprawy, mógł potwierdzić przed sądem jego prawdziwość.

Yoshito Umeda nigdy nie przyjął polskiego obywatelstwa, co utrudniało władzom prześladowanie go za działalność opozycyjną, ale ułatwiło wydalenie z kraju wkrótce po 13 grudnia 1981 r. Odleciał niemal pustym samolotem do Sztokholmu i – jako jeden z pierwszych emisariuszy z Polski stanu wojennego – informował zagranicznych dziennikarzy oraz Polaków na przymusowej emigracji o powstaniu podziemia i nastrojach w kraju. W Warszawie zostawił żonę Agnieszkę i dwoje dzieci. Wszyscy sądzili, że to na krótko, tymczasem nieobecność trwała siedem lat. W tym czasie Umeda współdziałał z paryskim Komitetem Solidarności i Biurem Koordynacyjnym NSZZ Solidarność w Brukseli, a także próbował bez sukcesu ułożyć sobie życie w Japonii.

Gdy komunistyczne władze cofnęły mu zakaz wjazdu do Polski – wrócił i bez reszty zaangażował się w przygotowania do wyborów czerwcowych. Pierwsze pieniądze na funkcjonowanie warszawskiego Komitetu Obywatelskiego pochodziły ze sprzedaży tysiąca dolarów z jego osobistych oszczędności. Po wygranych wyborach poczuł pustkę. „Yoshito, ty masz taką gębę azjatycką, że nie możemy zrobić z ciebie ministra, posła, senatora i najlepiej, byś zajął się biznesem” – poradził mu wtedy Jacek Kuroń,

ale ta rada brzmiała jakoś gorzko. Nie można być Polakiem, mając skośne oczy?

Przez kilka lat Umeda nie mógł się odnaleźć, przeszedł depresję, którą próbował utopić w alkoholu. Wreszcie się podniósł, założył własny biznes w dziedzinie nowoczesnej energetyki, zaangażował się w pracę na rzecz zmniejszania emisji gazów i pośredniczył w polsko-japońskich spotkaniach poświęconych energetyce jądrowej. Był

aktywny, mimo choroby, do końca życia. „A co do tego, kim jestem?” – pytał i odpowiadał: „Przed wszystkim jestem obywatelem Japonii rezydującym w Polsce”.

Ten właśnie dystans Japończyka, głęboko oddanego Polsce, ale potrafiącego spojrzeć na nas z od-dali, jest w książce chyba najcenniejszy, choć lustro, w którym się przeglądamy, przedstawia nas nie zawsze korzystnie.



## NOTY O KSIĄŻKACH

---

**Dariusz Gawin, *Wielki zwrot. Ewolucja lewicy i odrodzenie idei społeczeństwa obywatelskiego 1956–1976*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2013, ss. 382.**

Na książkę Dariusza Gawina czekałem z wielką niecierpliwością, może dlatego poczułem rozczarowanie; bo sama książka napisana jest bardzo dobrze. Liczyłem na dzieło, które opowiada nie tylko o tekstach, ale także o tle, na jakim powstawały, o konkretnych działaniach będących inspiracją dla tekstów czy o działaniach tymi tekstami wywołanych.

*List otwarty do partii* bez analizy wcześniejszej aktywności Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego wydaje się zawieszony w powietrzu; a przecież i sam rok 1964 był bogaty w wydarzenia, takie jak *List 34* czy broszury grupy Kazimierza Mijala. Opisanie tekstów bez przedstawienia ich kontekstu może prowadzić do myślenia ahistorycznego – szczególnie dotyczy to czasów, które wydają się nam tak bliskie, że odruchowo patrzymy na nie kategoriami „naszej” prywatnej historii (np. postrzegając lata sześćdziesiąte przez pryzmat osiemdziesiątych). Gawin tego błędu nie popełnia, jednak ograniczenie się do statycznego opisu tekstów może prowadzić do zbyt pośpiesznych sądów. Książka jest zbiorem bardzo wnikliwych studiów nad niektórymi z tekstów, zmieniających – według autora – świadomość lewicy. Oczywiście, trudno z analizy tekstów czynić zarzut – mamy wszak do czynienia z pracą z zakresu historii idei. Nieporozumienie wprowadza jednak tytuł, po którym spodziewać się można pracy z zakresu szeroko rozumianej historii „w ogóle”. Bezpieczniej byłoby zatem zawęzić tytuł, dodając dwa określenia dodatkowe, np.: *Wielki zwrot. Ewolucja lewicy marksistowskiej i odrodzenie idei społeczeństwa obywatelskiego 1956–1976. Analizy tekstów*.

Pierwsze określenie doprecyzowujące jest konieczne. Autor zdaje się bowiem zakładać, że tylko te środowiska, które opisuje, należały do lewicy. W książce nie znajdziemy tymczasem niczego o autentycznych polskich socjalistach; Gawin pisze o komunistach, którzy wyewoluowali (lub, mówiąc oględniej, o tych, którzy w 1956 r. – Krzysztof Pomian, Leszek Kołakowski, Jacek Kuroń – wyznawali marksistowski czy też heglowski pogląd na świat). To jeden z nurtów lewicy, ale nie jedyny! W tym jednowymiarowym odczytaniu lewicy brak miejsca choćby dla osób z kręgu Jana Józefa Lipskiego. A rola tego środowiska – i osobiście Lipskiego – w ewolucji ludzi lewicy marksistowskiej jest nie do przecenienia.

Opozycja do czasu Komitetu Obrony Robotników to była opozycja listów protestacyjnych, jak zauważyła Barbara Toruńczyk. O tych inicjatywach w książce Gawina nie przeczytamy; nie tylko o *Liście 34*, który można interpretować jako jedną z pierwszych prób zbudowania szerokiej koalicji demokratycznej, ale o listach z 1968 r. (m.in. Sławomira Mrożka i Jerzego Andrzejewskiego) i protestach przeciw zmianom w Konstytucji PRL (1975–1976). Dla ewolucji ideowej istotne także były listy prof. Edwarda Lipińskiego do Edwarda Gierka, *List 15* w sprawie Polaków w ZSRR, listy w sprawie skazanych przywódców organizacji Ruch. To przecież nie tylko akty polityczne, ale także działania z zakresu, który interesuje historyka idei. Listy protestacyjne mogą być wdzięcznym obiektem szczegółowych analiz – z uwagi na wagę każdego słowa. Prowadziły do krystalizacji postaw, dzieliły, łączyły, skłaniały do dokonywania wyborów, które często trwale włączały ludzi w nurt opozycji.

Bardzo mi brakuje omówienia roli Lipskiego, analizy jego tekstów i działań. Postać Jana Józefa jakoś

nie pasuje do współczesnego dyskursu historycznego, tak bardzo zakorzenionego w bieżącej polityce. Swoją wielowymiarowością wykracza poza biegunowość postaw – zdaje się nie mieścić we współczesnym modelu pamięci o historii. Tymczasem Lipski jest wielkim łącznikiem tych środowisk, które spotkały się na dobre w KOR: lewicy marksistowskiej z lewicą socjalistyczną, której bliskie były tradycje PPS (on sam, Ludwik Cohn, Antoni Pajdak), oraz z osobami spoza lewicy (np. Józef Rybicki, wnoszący etos AK i WiN). Parafrazując tytuł książki Gawina, to właśnie Lipski był „Wielkim Zwrotniczym” już od lat czterdziest-tych, konsekwentnie proponując wizję innej, niemarksistowskiej, od zawsze niepodległościowej lewicy.

Jednak książka Dariusza Gawina jest pod tak dużym wpływem dyskursu lewicy według dawnego określenia Michnika „laickiej” (autor słusznie dekonstruuje ten pleonazm, uczciwie przywołując też auto-krytykę Michnika), że widzi marksizm czy marksistów nawet tam, gdzie ich nie było. Dwa przykłady.

Pisząc o Froncie Październikowym – inicjatywie Lipskiego i Płudowskiego z jesieni 1956 r., mającej być porozumieniem przedwyborczym różnych środowisk, w tym załóg robotniczych – Gawin interpretuje tę nazwę jako odwołanie do października 1917 r. Nawiązywała ona raczej do znacznie świeższych zdarzeń października 1956 r., a przede wszystkim do robotniczej samoorganizacji, np. w Fabryce Samochodów Osobowych na Żeraniu (Lechośław Goździk). Nazwa Front Październikowy to czytelne wówczas nawiązanie do polskiego Października i właśnie dlatego, jak sądzę, wywołała popłoch w Komitecie Centralnym PZPR. W dzienniku Lipskiego nie ma prób odwoływania się do dziedzictwa rewolucji bolszewickiej. Znaczący jest autorski tytuł analizowanego przez Gawina tekstu Lipskiego i Płudowskiego: *Wybory w perspektywie demokracji bezpośredniej* (autor podaje wersję tytułu powstałą pod wpływem cenzury – zapewne w redakcji „Po Prostu”, gdzie słowo „bezpośredniej” zastąpiono „socjalistycznej”). Można się zresztą zastanawiać, czy zasadna jest analiza tekstu mocno pokiereszowanego przez cenzurę, o czym pisał Lipski w swoim dzienni-

ku 8 grudnia 1956 r.: „Przeczytałem nowy numer »Po Prostu«. Masakra. Ostatnio cenzura otrzymała podobno nowe instrukcje. Szczególnie zmasakrowano b. słuszny i ciekawy artykuł Zimanda, ale i nasz bardzo ostrożny i delikatny, mało bojowy pozbawiono ostrza, skreślając wstęp, w którym między charakterystyką demokracji burżuazyjnej i socjalistycznej znajdowała się charakterystyka monopartii stalinowskiej jako karykatury demokracji burżuazyjnej”.

Sprawa druga, drobna, ale charakterystyczna: pominięcie postaci Ludwika Cohna, który wprawdzie pojawia się na s. 262, ale jako Daniel Cohn (a według indeksu to po prostu Daniel Cohn-Bendit). Jedno z wielkich nazwisk tradycyjnej lewicy niemarksistowskiej zostało wyparte przez wielkie nazwisko nowej lewicy marksistowskiej. Inną pomyłką jest zamiana jednego z uczestników grupy „taterników”, Macieja Kozłowskiego, na Macieja... Zalewskiego (s. 191).

Głęboka analiza tekstów znanych już z rozmaitych historycznych interpretacji ma sens, bo zawsze może prowadzić do znalezienia czegoś nowego. Pytanie, czy udało się to w tym przypadku, skoro autor abstrahuje od analizy kontekstu i działań towarzyszących tekstowi. Poza tekstami tworzącymi idee byli przecież ludzie i ich działania oraz inne teksty, także oddziałujące, a przez Gawina nieanalizowane. Opisanie zwrotu jednego z nurtów polskiej lewicy, który później stał się jednym z ogniw opozycji, bez choćby zasygnalizowania tych elementów jest niepełne.

*Łukasz Garbał*

---

***Narodziny „Solidarności”. Krajowa Komisja Porozumiewawcza 17 września – 10 listopada 1980, wstęp i oprac. Tomasz Kozłowski, Stowarzyszenie Archiwum Solidarności, Instytut Pamięci Narodowej, Europejskie Centrum Solidarności, Warszawa 2013, ss. 548.***

Przygotowany przez Tomasza Kozłowskiego tom źródeł pokazuje pierwsze tygodnie niezależnego związku zawodowego. Był to czas, w którym formował się nie tylko statutowy kształt Solidarności, ale także cha-

rakter relacji ruchu z władzami PRL oraz jego niepowtarzalny styl działania. Powstawanie tego ostatniego możemy śledzić dzięki stenograficznym zapisom posiedzeń władz związku we wrześniu, październiku i listopadzie 1980 r. To w czasie tych gorących miesięcy, zdominowanych przez spór rejestracyjny z rządem, kształtował się sposób procedowania i podejmowania decyzji w gremiach kierowniczych Solidarności, rodził się żywy, nasycony emocjami, bardzo bezpośredni i otwarty sposób dyskusji, który stał się jedną z najbardziej charakterystycznych cech ruchu.

Bardzo ciekawym dokumentem jest zapis spotkania przedstawicieli międzyzakładowych komitetów założycielskich z całej Polski w Gdańsku 17 września 1980 r. Na tym historycznym posiedzeniu niedoświadczeni jeszcze działacze podjęli jedną z najważniejszych decyzji w historii ruchu, łącząc wiele lokalnych inicjatyw w jeden związek i przesądzając tym samym o jego sile i znaczeniu. Przedstawiciele Gdańska, obawiających się rozmycia antykomunistycznego profilu związku i zinfiltrowania go przez Służbę Bezpieczeństwa, przekonały wystąpienia Jana Olszewskiego z Warszawy i Karola Modzelewskiego z Wrocławia.

Niezależny samorządny związek powstał na podstawie porozumień strajkujących robotników z władzami w sierpniu i wrześniu 1980 r., które na papierze gwarantowały mu nieskrępowany rozwój. W praktyce jednak musiał sobie dopiero wywalczyć możliwości działania i miejsce w życiu publicznym PRL. PZPR zgodziła się na powstanie nowego ruchu związkowego z nadzieją, że uda się go ograniczyć do bezpiecznych dla systemu wymiarów i z czasem wpisać w porządek realnego socjalizmu. Szybko okazało się to iluzją. Historia Solidarności toczyła się więc od konfliktu do konfliktu, od jednej konfrontacji z reżimem do drugiej. W trakcie tej pętającej konfrontacji w przywódcach związku rodziło się z jednej strony poczucie siły i determinacja w walce o swobody związkowe i prawa obywatelskie, z drugiej – świadomość politycznej odpowiedzialności, jaka się z tym łączy. Napięcie między tymi dwoma postawami: radykalną, chętnie sięgającą po broń strajkową i umiarkowaną,

wytrwale szukającą kompromisu naznaczyło dzieje ruchu przez następne lata.

Najpoważniejszym konfliktem w pierwszych miesiącach istnienia związku był spór o rejestrację, zapoczątkowany zmianą statutu przez Sąd Wojewódzki w Warszawie. Dzieje tego sporu przedstawione są w tomie za pomocą zestawu dokumentów, pochodzących zarówno od strony związkowej, jak i partyjno-rządowej.

Zgromadzone w tomie dokumenty obrazują najważniejsze momenty tego okresu: utworzenie Krajowej Komisji Porozumiewawczej, strajk ostrzegawczy z 3 października 1980 r., rozmowy z rządem, kryzys rejestracyjny. A także całą gamę aktywności ruchu: zakładanie MKZ-etów, obrady KKP, negocjacje z przedstawicielami władz. Obok stenogramów posiedzeń gremiów związkowych i negocjacji znajdziemy tu oświadczenia NSZZ Solidarność, dokumenty partyjne i sądowe, fragmenty wspomnień.

Opracowane przez Kozłowskiego materiały mają różnorodną proveniencję. Ich źródłem są zbiory Stowarzyszenia Archiwum Solidarności, Archiwum Sądu Najwyższego, Archiwum Akt Nowych, Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej, prasa niezależna, a nawet zbiory prywatne. Zebrane po raz pierwszy w jednym tomie będą cenną lekturą dla historyków i politologów, wszystkich osób analizujących fenomen NSZZ Solidarność. Publikacja tego tomu jest też potwierdzeniem odchodzenia od dotychczasowej, jednostronnej tendencji wydawania przez IPN wyłącznie dokumentów wytworzonych przez Służbę Bezpieczeństwa.

*Jan Skórzyński*

---

***Solidarność od wewnątrz 1980–1981, red. Andrzej Friszke, Krzysztof Persak, Paweł Sowiński, Instytut Pamięci Narodowej, Instytut Studiów Politycznych PAN, Warszawa 2013, ss. 376.***

Tom jest pokłosiem konferencji zorganizowanej przez Instytut Pamięci Narodowej i Instytut Studiów Politycznych PAN. Zgromadzony w nim materiał układa

się w syntezę szesnastu miesięcy legalnego funkcjonowania niezależnego związku, tworząc ciekawy obraz „pierwszej Solidarności”, dotyczący w wielu przypadkach obszarów mało lub wcale nie przebadanych.

Genezę protestów sierpniowych, będących jedną z największych fal nieposłuszeństwa społecznego w dziejach PRL, przedstawia obszernie Marcin Zaremba w szkicu *Zimno, ciepło. Nastroje Polaków od „zimy stulecia” do lata ’80*. Przypomina realia kryzysu ekonomicznego, który stanowił jedną z najważniejszych przyczyn buntu – w 1979 r. po raz pierwszy w powojennej historii nastąpił w Polsce spadek dochodu narodowego o 2,3 proc., a rok 1980 nie był lepszy. Pokazuje też przełom duchowy, jakim był wybór Karola Wojtyły na papieża, a potem jego pielgrzymka do Polski, która pozbawiła legitymizacji ideologiczne podstawy systemu socjalistycznego. Zaremba przypomina, że efekt papieski zaczął bezpośrednio oddziaływać 22 października 1978 r., gdy w Rzymie odbyła się uroczysta inauguracja pontyfikatu. Władze zgodziły się na trzygodzinną transmisję z tej mszy w polskiej telewizji. Była to rzecz bez precedensu. „Praktycznie wszyscy Polacy zasiedli przed telewizorami, by nie tylko obejrzeć, ale także na swój sposób uczestniczyć w mszy. Auditorium osiągnęło nienotowane w historii rozmiary 92 proc. dorosłej ludności. Bez wątpienia było to najważniejsze wydarzenie medialne w dziejach Polski Ludowej. Dla milionów Polaków okazało się ono przełomowym doświadczeniem religijnym i patriotycznym”. Pielgrzymka do ojczyzny ten efekt zwielokrotniła.

Andrzej Friszke zarysował historię Regionu Mazowsze. Region ten odegrał w Solidarności rolę niepoślednią z uwagi na swoją wielkość i stołeczną lokalizację. Cechą Mazowsza była też aktywność w pracy związkowej środowiska opozycyjnego, przede wszystkim związanego z Komitetem Samoobrony Społecznej KOR. Na tym tle m.in. zrodził się jeden z ostrzejszych konfliktów wewnątrzwiązkowych – między przewodniczącym regionu Zbigniewem Bujakiem i wspierającymi go korowcami a grupą tzw. prawdziwych Polaków. Rola prawdziwych Polaków, którzy działali przeciwko Bujakowi, próbując podważyć autorytet

KSS KOR także na I krajowym zjeździe Solidarności, staje się bardziej czytelna w świetle wydobytej przez Andrzeja Friszke z archiwum IPN informacji o kontaktach liderów tej grupy ze Służbą Bezpieczeństwa na przełomie 1981 i 1982 r. Brakuje danych, aby te kontakty zakwalifikować jako współpracę agenturalną, jednak niewątpliwie dysydenci z Regionu Mazowsze podjęli polityczną kolaborację z władzami.

Artykuł *Uczestnicy I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność” o Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej (próba analizy semantycznej)* Bartosza Kaliskiego to ciekawa próba określenia niektórych cech ideologii Solidarności za pomocą metody semantycznej. Zdaniem Kaliskiego określenie warstwy ideowej ruchu jako zwierciadlanego odbicia oficjalnej nowomowy oraz sposobu myślenia i interpretowania świata przez kierownictwo PZPR, powtarzające się w literaturze, nie znajduje pokrycia w źródłach. Działacze związku nie postępują się „jakimś związkowym ideolektem – nie ma utartego, kanonicznego sposobu mówienia o partii”. Uczestnicy ruchu ostro krytykują władze PRL, nawet darzą je zdecydowaną niechęcią, nie budują jednak własnej „bezalternatywnej ideologii solidarnościowej” – pisze Kaliski w polemice m.in. z Sergiuszem Kowalskim.

Do najciekawszych tekstów w tomie należy studium Jacka Luszniwicza *Koncepcje ekonomiczne „Solidarności” 1980–1981. Reforma czy transformacja socjalistycznego systemu gospodarczego?* Autor dowodzi, że wbrew schematowi interpretacyjnemu twierdzącemu, że w kwestiach ekonomicznych związek był zdominowany przez wyznawców socjalizmu, mających na celu reformy, a nie zasadnicze przeobrażenie polskiej gospodarki, silne były ośrodki, które już w latach 1980–1981 zmierzały do radykalnej transformacji ustroju gospodarczego w stronę wolnego rynku i kapitalizmu. I to one z czasem zyskały przewagę w Solidarności, doprowadzając do liberalnego zwrotu programowego w połowie lat osiemdziesiątych i jednoznacznie liberalnego oblicza transformacji w latach 1989–1990.

Jan Skórzyński





# PUBLIKACJE EUROPEJSKIEGO CENTRUM SOLIDARNOŚCI

---

## SERIA IDEA SOLIDARNOŚCI

Prezentuje prace z zakresu socjologii, filozofii, nauk politycznych oraz historii idei, których głównym motywem jest fenomen solidarności. W jej ramach ukazują się zarówno nowe tytuły, jak i niepublikowane dotychczas w Polsce dokonania współczesnej humanistyki.

---

Ireneusz Krzemiński

### NIESPEŁNIONY PROJEKT POLSKIEJ DEMOKRACJI

---

Zarówno w naukowej, socjologicznej, politologicznej i historycznej refleksji, jak i w odczuciu codziennym doświadczenie „pierwszej Solidarności” traktuje się jako wydarzenie czy proces, który jeśli nawet przyniósł niezwykły owoc w postaci odzyskania wolności przez obywateli i społeczeństwo w 1989 roku, to zarazem niespodziewanie się rozplynął w nowej rzeczywistości. Co się stało z tymi wzorami zachowań społecznych i rozpowszechnionymi postawami, nade wszystko mającymi wymiar obywatelski, wspólnotowy i polityczny? Gdzie się podziała podstawowa, jak można sądzić, idea Solidarności, że prawo człowieka do aktywnej troski o swój i swych najbliższych los zakłada zarazem prawo i obowiązek pamiętania o innych i o wspólnym losie, który ma przecież wielki wpływ na osobiste sukcesy i niepowodzenia? Co się stało z ruchem aktywnych, rozwijających dziesiątki inicjatyw obywateli, gdy znikł nękający ich wróg?

---

### SOLIDARNOŚĆ I KRYZYS ZAUFANIA

pod redakcją Jacka Kołtana

---

Zbiór esejów będący wynikiem międzynarodowego spotkania filozofów i teoretyków społecznych, którzy poszukiwali odpowiedzi na pytanie o to, jak idea solidarności, podjęta dziś przez myśl społeczną i polityczną, może ukazać nowe nadzieje, nawet jeżeli są to tylko nadzieje. Wychodzimy z przekonania, że bez rozmowy o przyszłości nie da się zrozumieć kulturowego kryzysu, który stał się naszym udziałem. Dlatego chcemy zastanowić się nad możliwością zaistnienia nowych form solidarności i zaufania, konfrontując naszą obecną sytuację z jakże odmienną sytuacją czasu zmiany społecznej w Polsce roku 1980. Autorami esejów są Shlomo Avineri, John Gray, Iwan Krastew, Gianni Vattimo, Pierre Manent, Peter Sloterdijk, Jadwiga Staniszkis oraz Scott Lash. Konferencja z okazji rocznicy powstania NSZZ Solidarność została zorganizowana przez Europejskie Centrum Solidarności oraz Katedrę im. Erazma z Rotterdamu Uniwersytetu Warszawskiego.

---

Sławomir Magala (pseud. Stanisław Starski)

### WALKA KLAS W BEZKLASOWEJ POLSCE

---

Mimo upływu trzech dekad procesy, które doprowadziły do upadku systemu władzy komunistycznej w Polsce, nie doczekały się przekonującego wyjaśnienia. Wskazywanie na bezprecedensową mobilizację czy wręcz determinację milionów ludzi, by wytrzymać zwiększoną poziom represji, drastyczne braki rynkowe, wreszcie konfrontację z emocjonalną pustką reprezentowaną przez elity władzy, skupia się na skutkach, a nie na me-

chanizmach przyczynowych, które legły u podstaw uruchomienia tych makroprocesów. Dzisiaj, z perspektywy trzydziestu lat, gdy socjologowie na próżno próbowali już tworzyć coraz bardziej bezsensowne, płaskie i zdroworozsądkowe teorie, koncepcja Magali, pokazująca logikę odwróconego konfliktu klasowego, wyjaśnia nie tylko wydarzenia lat 1981–1989, ale także, jestem pewien, wydarzenia lat 2015–2025. Trajektoria życiowa Magali-Starskiego pokazuje także, iż nieprzeciętność podróżuje, przenosi się, znajduje podatną glebę w świecie, gdzie mierne przyczynki nie stają się stopniami do karier politycznych czy życiowych. Magala, intelektualista publiczny najwyższej klasy, zdumiewa nas ostrością swoich sądów, dowcipem i głębią perspektywy poznawczej.

*Bronisław Misztal, dyrektor wykonawczy Community of Democracies*

---

**Jeffrey C. Goldfarb**

## **ODNOWA KULTURY POLITYCZNEJ. SIŁA KULTURY KONTRA KULTURA WŁADZY**

---

Goldfarb przekonuje, że sposób, w jaki ludzie myślą i podejmują działania polityczne, nie jest określony raz na zawsze. Obywatele mogą dokonać zmiany podstawowych granic swojej sytuacji politycznej. Kultura polityczna, w której żyją, potrafi ograniczać ich wyobraźnię i działania, ale jest także źródłem politycznej kreatywności i inwencji. Książka pokazuje te źródła i analizuje napięcia pomiędzy siłą kultury a kulturą władzy. Autor przeformułowuje pojęcie kultury politycznej tak, by zaproponować czytelnikom możliwość zrozumienia praktyk, które prowadzą do przekształcenia kultury politycznej przez samych obywateli. Analiza ta przebiega na przykładzie trzech przypadków: zmierzchu imperium sowieckiego i narodzin Solidarności w Polsce, konfliktów palestyńsko-izraelskich na Bliskim Wschodzie oraz wyborów prezydenckich Baracka Obamy w Stanach Zjednoczonych. W napisanym specjalnie dla polskich czytelników zakończeniu Goldfarb charakteryzuje ostatnie zmiany polityczne i społeczne związane z rewolucjami w Afryce Północnej oraz z ruchem Occupy Wall Street. Przekonuje, że kultury polityczne naszych czasów nie tylko stwarzają zagrożenia, ale także szansę na twórczą alternatywę.

---

**Jadwiga Staniszkis**

## **SAMOOGRANICZAJĄCA SIĘ REWOLUCJA**

---

To książka klasyk. Jest jedną z najbardziej znanych na świecie prac poświęconych genezie Solidarności. Wydana najpierw we Francji (1982), a później w Stanach Zjednoczonych w prestiżowym wydawnictwie Princeton University Press (1984), zapewniła Staniszkis pozycję jednego z najbardziej znanych polskich socjologów na świecie. W swoich analizach skupia się ona na mechanizmach władzy tworzących się zarówno po stronie obozu Solidarności, jak i obozu rządzącego. Ta perspektywa krytyczna wobec wydarzeń 1980 roku spowodowała, że *Samoograniczająca się rewolucja* czekała niemal 30 lat na publikację w Polsce.

---

**Alain Touraine**

## **SOLIDARNOŚĆ: ANALIZA RUCHU SPOŁECZNEGO 1980–1981**

---

Jedna z najwnikliwszych analiz socjologicznych narodzin ruchu Solidarności, pisana pod kierunkiem wybitnego znawcy ruchów społecznych i organizacji robotniczych na świecie i oparta na wielomiesięcznych badaniach socjologicznych przeprowadzonych w największych miastach kraju w 1981 roku. Polsko-francuski zespół badawczy przygotował wyjątkowy dokument epoki, który jest analizą procesów społecznych prowadzących do zmiany sytuacji politycznej w Polsce oraz podkreśla wyjątkowość ruchu Solidarności wśród rewolucji XX wieku.

---

**David Ost**  
**SOLIDARNOŚĆ A POLITYKA ANTYPOLITYKI**

---

Kiedy hucznie obchodzimy ćwierćwiecze wolności, warto sobie przypomnieć, skąd się ona wzięła. Bo przecież nie spadła z nieba. David Ost przypomina nam to w sposób nie tylko przenikliwy i kompetentny, ale też bezstronny i zaangażowany. Bezstronny, bo Ost nigdy nie stał się uczestnikiem polskich zmagania o wolność i jej kształt. I zaangażowany, bo wciąż wracając do Polski i przez lata zajmując się Polską naukowo, stał się jednym z nas. Polakowi ciągle jeszcze trudno by było emocjonalnie zdobyć się na taki opis.

Zagranicznym autorom zwykle brakuje wycucia potrzebnego, by trafnie ważyć niezliczone detale naszej rzeczywistości tamtych lat. David Ost potrafi nie tylko zbudować fantastyczną opowieść o naszym ówczesnym losie, ale też nadać mu intelektualną strukturę i zbudować oryginalną narrację o naszym doświadczeniu, bo jest to jeden z nielicznych zagranicznych uczonych, którzy byli w Polsce w najważniejszych chwilach lat Solidarności oraz stanu wojennego tylko po to, by widzieć oraz rozumieć. Jemu się to udało.

*Jacek Żakowski, publicysta, „Polityka”*

## **SERIA BIBLIOTEKA ECS**

Seria dokumentuje prace młodych polskich naukowców z różnych dziedzin szeroko pojętej humanistyki: historii, socjologii, filozofii, psychologii, prawa, kulturoznawstwa, ekonomii. Większość publikacji prezentowanych w serii wyłaniana jest w konkursie na najlepszą pracę magisterską i doktorską dotyczącą historii Solidarności, opozycji wobec komunizmu i dyktatury oraz idei solidarności społecznej.

---

**Maciej Wiśniewski**

### **RUCH WOLNOŚĆ I POKÓJ W SZCZECINIE W LATACH 1985–1992**

---

Monografia jest jedną z pierwszych pozycji poświęconych środowisku Ruchu Wolność i Pokój, który odgrywał w drugiej połowie lat osiemdziesiątych dość dużą rolę w opozycji. Autor wykorzystał materiał źródłowy znajdujący się w archiwach Instytutu Pamięci Narodowej, sięgnął po wydawnictwa drugiego obiegu oraz – co najważniejsze – zebrał wiele relacji. Ze względu na brak literatury przedmiotu relacje stanowią najważniejszą i najwartościowszą stronę opracowania. Praca zasługuje na uwagę nie tylko z powodu wysokiej wartości merytorycznej oraz innowacyjnego ujęcia tematu, ale również dlatego, że WiP był dotąd bardzo pobieżnie traktowany przez badaczy najnowszej historii Polski.

---

### **OPOZYCJA DEMOKRATYCZNA W PRL W LATACH 1976–1981**

**pod redakcją Wojciecha Polaka, Jakuba Kufła, Przemysława Ruchlewskiego**

---

Zbiór studiów poświęconych różnorodnym działaniom wymierzonym w system polityczny PRL w drugiej połowie lat siedemdziesiątych i początkowym okresie funkcjonowania NSZZ Solidarność. Autorzy omówili aktywność głównych organizacji opozycyjnych, politykę władz partyjnych i policyjnych PRL wobec środowisk niezależnych oraz międzynarodowe uwarunkowania istnienia opozycji. Książka szczególnie wiele wnosi do badań nad genezą Solidarności, wywodzącą się z lat siedemdziesiątych bazą polityczną tego wielkiego ruchu i wybranymi aspektami jego historii.

---

**Piotr Zariczny**

### **OPOZYCJA W NRD I W PRL – WZAJEMNE RELACJE I OCENY**

---

Książka podejmuje temat ważny dla badań dziejów opozycji intelektualnej w systemie politycznym NRD i PRL, aktualny w perspektywie dzisiejszej ożywionej dyskusji na temat fenomenu „zniewoleń krótkiego stulecia” oraz istotny ze względu na komparatystyczny profil badania stosunków polsko-niemieckich. Autor odkrywa ciekawe tropy, na przykład bezwarunkowy pacyfizm grup opozycyjnych w NRD w konfrontacji z bardziej realnopolitycznym podejściem opozycji solidarnościowej, postnarodowy charakter projektów niezależnych w NRD oraz związany z tym problem jedności Niemiec jako kwestii polityki międzynarodowej. Odpowiada na pytanie o znaczenie kontaktów między opozycjonistami polskimi i niemieckimi. O ile Polska była dla Niemców bardzo ważnym partnerem w dążeniu do obalenia reżimu komunistycznego, o tyle dla polskiej opozycji kontakty te należały do jednych z wielu i nie miały odrębnego miejsca, co nie znaczy, że były całkowicie bagatelizowane. Wzajemne kontakty odgrywały więc – przynajmniej w wypadku Polski – niewielką rolę. Jednak przyczyniły się do upadku muru berlińskiego w 1989 roku, kilkanaście lat wcześniej tworząc podwaliny ruchu opozycyjnego w NRD.

---

**Jarosław Wąsowicz SDB**

## **NIEZALEŻNY RUCH MŁODZIEŻOWY W GDAŃSKU W LATACH 1981–1989**

---

Autor podjął się opracowania jednego z ważniejszych tematów dziejów politycznych Gdańska lat osiemdziesiątych. Dla ruchu politycznego, który narodził się w tym mieście w sierpniu 1980 roku, ogromne wsparcie udzielone przez lokalne grupy młodzieżowe miało istotne znaczenie. Wzbogacało charakter ruchu solidarnościowego, a poza tym było szkołą obywatelskiej i politycznej aktywności dla pokolenia, które w warunkach pełnej suwerenności i demokracji włączyło się do współzrządzenia, organizując ważne dziedziny życia politycznego kraju.

*Mirosław Golon, dr hab., prof. Uniwersytetu Gdańskiego*

---

**Jan Olszek**

## **„NIELICZNI EKSTREMIŚCI”. PODZIEMNA SOLIDARNOŚĆ W PROPAGANDZIE STANU WOJENNEGO**

---

Praca wyłoniona w konkursie ECS-OBH na najlepszą pracę magisterską dotyczącą historii Solidarności i opozycji demokratycznej w Polsce w latach 1970–1990. Pokazuje, jak w okresie stanu wojennego rządzący dyskredytowali działaczy związku w oczach społeczeństwa. Warto bliżej przyjrzeć się kreowanemu wówczas przez aparat propagandy obrazowi wroga. Sposób jego przedstawienia z jednej strony może powiedzieć o polityce twórców stanu wojennego, z drugiej – o atmosferze, w jakiej przyszło działać ludziom tworzącym solidarnościowe podziemie.

---

**Małgorzata Michalewska-Pawlak**

## **OBYWATELSKOŚĆ DEMOKRATYCZNA JAKO IDEA NORMATYWNA W KONCEPCJACH POLITYCZNO-PROGRAMOWYCH POLSKIEJ OPOZYCJI W LATACH 1980–1989**

---

Autorka odpowiada na pytania, w jaki sposób opozycja rozumiała główne idee charakteryzujące obywatelskość, jaka była treść i ewolucja obywatelskich postulatów i oczekiwań wobec władz komunistycznych, jaki zakres, cele i formy aktywności obywatelskiej przejawiała polska opozycja, dążąc w latach 1980–1989 do realizacji programu obywatelskiego. Z tych względów książka dr Małgorzaty Michalewskiej-Pawlak jest cenną pozycją naukową.

---

**Łukasz Jasiński**

## **KWESTIE MIĘDZYNARODOWE W MYŚLI OPOZYCJI DEMOKRATYCZNEJ W PRL 1976–1980**

---

Jasiński analizuje poglądy na politykę międzynarodową, jakie reprezentowali autorzy publikujący w pismach wydawanych przez opozycję demokratyczną w latach 1976–1980, czyli w okresie od powstania Komitetu Obrony Robotników po strajk w Stoczni Gdańskiej. Po sierpniu 1980 roku duża część działaczy i współpracowników ugrupowań opozycyjnych włączyła się w tworzenie struktur NSZZ Solidarność, co doprowadziło do zaniku poprzednich ruchów dysydenckich.



## **SERIA RAPORT**

**Dokumentacja badań społecznych, publikacje pokonferencyjne, ważne głosy na palące tematy współczesności.**

---

### **JAK DALEKO SIĘGA DEMOKRACJA W EUROPIE PL/DE**

---

Mam nadzieję, że lektura zebranych w raporcie esejów pozwoli lepiej zrozumieć dynamikę tych przeobrażeń i możliwe kierunki rozwoju kultury demokratycznej Europy Środkowo-Wschodniej – pisze we wstępie do publikacji Basil Kerski, politolog i dyrektor ECS. – Niepokój spowodowany gospodarczą konkurencyjnością młodych państw UE oraz strach przed konsekwencjami globalizacji oraz imigracji ze Wschodu i Południa przyczyniły się w ostatnich latach do antyliberalnych, częściowo antyeuropejskich nastrojów w starych państwach UE. Dynamiczny rozwój wydarzeń na Ukrainie na przełomie 2013 i 2014 roku otworzył przed nami nowe perspektywy. Konferencja „Jak daleko sięga demokracja w Europie?” odbyła się w grudniu 2012 roku. Zawarte w publikacji tezy i analizy zostały potwierdzone przez zmiany społeczne i polityczne w tym regionie.

---

### **OBYWATELE ACTA**

**pod redakcją Łukasza Jurczyszyna, Jacka Kołtana, Pawła Kuczyńskiego,  
Mikołaja Rakusy-Suszczewskiego**

---

To pierwsza naukowa analiza największego i najciekawszego ruchu społecznego protestu młodego pokolenia w Polsce ostatnich dwóch dekad. Ruch ten nie tylko zmobilizował do manifestowania blisko sto tysięcy osób, ale również rozprzestrzenił się na całą Europę, by doprowadzić ostatecznie do odrzucenia przez Parlament Europejski kontrowersyjnych porozumień.

Obywatele ACTA nie są kroniką wydarzeń, ale raportem z tzw. interwencji socjologicznej, oryginalnej i rzadko praktykowanej metody badawczej stworzonej przez francuskiego socjologa i myśliciela Alaina Touraine'a. Zgodnie z jej założeniami badanie przeprowadzono w środowisku organizatorów tych burzliwych manifestacji, by dociec, kim byli, czego chcieli oraz co czuli. Przyniosło to zapis interesującego procesu autoanalizy liderów protestu, weryfikującego także, jak bardzo interwencja socjologiczna stanowi narzędzie uwalniania komunikacji i oddziaływania na tożsamość oraz subtelną formę quasi-politycznego oddziaływania zaangażowanej socjologii. Przede wszystkim jednak Obywatele ACTA to zbiór swobodnie powiązanych rozważań na temat logiki działania młodego pokolenia użytkowników Internetu – pokolenia Y.

Wyniki interwencji socjologicznej zostały uzupełnione źródłami internetowymi i prasowymi, wzbogacającymi kontekst analiz, a także wynikami badań ilościowych. Raport przygotowano z myślą o czytelnikach zainteresowanych bardziej pogłębioną refleksją nad ruchem protestu STOP ACTA.

